

J. T. GREATHOUSE

OGRÓD
IMPERIUM



fabryka słów

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Kroniki Olchy

Wstęp

Część I • Rozniecenie

Preludium. Dar Ojca Burzy

1 Wredny Lis

2 Niemożliwość

3 Propozycja

4 Szata z cierni

5 Narzędzia kanonu

6 Skrzynia, beczka i pytanie

7 Powrót do Nory

8 Co pozostało w Sor Cala

9 Stworzenie paktu

Część II • Drużyna

Interludium Jeździec Burzy

10 Moment zgubnej niepewności

11 Kawalek kości

12 Ugody w obliczu strachu

13 Wezwania

14 Sekret

15 Zasadzka

16 Wiedzmy nowych czasów

17 Wiatr i płomień

- 18 Pan Mah
- 19 Konsekwencje
- 20 Lis i wilk
- 21 Pułapka w rzece krwi
- 22 Drużyna
- 23 Ucieczka
- 24 Droga do morza
- 25 Schronienie

Część III • Pycha

Interludium Burza, która ma przeorać świat

- 26 Plan
- 27 Wyzwanie
- 28 Pierwszy i najważniejszy wybór
- 29 Bitwa o Wschodnią Fortecę
- 30 Niewykonalna propozycja
- 31 Polowanie na Głosy
- 32 Arogancja
- 33 Odsłonięcie świata
- 34 Wędrujący Wąskim Traktem
- 35 Czarna Paszcza

J.T. Greathouse



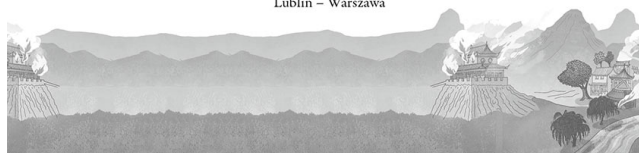
J. T. GREATHOUSE



Przełożył
Marcin Mortka

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów[®]
Lublin – Warszawa



KRONIKI OLCHY

Dłoń Króla Słońca
Ogród imperium
The Pattern of the World

Wstęp



Zatrzymajmy się na chwilę w miejscu, gdzie opowieść przestaje należeć już tylko do mnie. Pomówmy o tym, co wydarzyło się wcześniej, i o tym, co miało dopiero nadejść.

Mam jeszcze sporo własnej historii do opowiedzenia, ale nierozzerwalnie splata się ona z dziejami pewnego imperium, pewnego świata oraz pewnego upadku. Moja historia wiąże się z wyborami dokonanymi w dawnych czasach i z tym, jakie były ich skutki na przestrzeni kolejnych wieków. Każdy z owych wyborów był jak seria przeszywających dźwięków uderzających w szybę, aż ta w końcu rozpadnie się z brzękiem.

Pamiętam dobrze dźwięki, które rozlegały się podczas mojego krótkiego życia.

Pierwszym była moja podwójna edukacja. Za dnia uczyłem się imperialnej doktryny, a w nocy poznawałem sekrety dobrze skrywane przed okiem urzędników. Najpotężniejszą tajemnicą ze wszystkich była magia mojej babci, istniejąca dzięki paktowi zawartemu przez jej lud z bogami, a zakazana przez zdobywców. Przekazana mi sztuka rozpałała we mnie pragnienie osiągnięcia mistrzostwa we władaniu magią i nadzieję na zdobycie wolności. Dzięki temu pragnieniu stałem

się jednym z urzędników imperium, które jako jedyne na całym świecie władało magią bez lęku, gdyż tę sankcjonowała wola imperatora.

Drugim dźwiękiem, w którym pobrzmiwała melancholia, była nauka pobierana pod okiem Dłoni Przewodnika. Dzięki niemu poznałem skutki, jakie magia wywiera na świat, ale doświadczyłem również rozczarowania, gdy dotarłem do prawdy o imperialnej magii. Dowiedziałem się, że nigdy nie staje się ona niczyją własnością, ale jest wydzielana przez imperatora – tak jak władca posiadłości przekazuje część swojej władzy zarządcy – reszta mocy zaś kryje się za nieprzeniknionymi murami, które odgrodziły mnie od możliwości uratowania życia Wildze, synowi gubernatora i mojemu pierwszemu prawdziwemu przyjacielowi. Nie udało mi się ich sforsować i Wilga, którego gardło przeciął nóż buntownika, wykrwawił się w błocie.

Trzeci dźwięk – mroczny, bo zrodzony wskutek tej straty – doprowadził mnie do miasta An-Zabat, gdzie poznałem tajemnice wiatromistrzów, pozbyłem się resztek lojalności wobec imperium i zacząłem stawiać mu opór. To tam Tancerka Wiatru o imieniu Atar udzieliła mi pierwszych lekcji miłości i ofiarności. Tam też dowiedziałem się, czym jest pęknięte serce. Z powodu mojej ignorancji i arogancji oddałem sekret magii wiatromistrzów wprost w ręce imperium, przez co An-Zabat wśród huków granatów, jęku rozdieranego srebra i grzmotów walących się bloków piaskowca zostało zniszczone.

Powinienem był nie rozstawać się z nią. Powinienem był pozostać na pokładzie wiatrowca, walczyć u jej boku i spłacić dług jej rodakom, ale sny o ogniu i o nayeńskim wilczym bogu Okarze zwabiły mnie z powrotem na ojczystą wyspę. W snach wyczytałem bowiem obietnicę rychłego spotkania z prawdziwą nauczycielką, zwaną Kobieta Kości. To ona mogła wreszcie

uchylić drzwi oddzielające mnie od magii, którą tak bardzo pragnąłem opanować.

Jednakże odnalezienie Kobiety Kości nie było łatwym zadaniem. Przemierzyłem cały Nayen, najpierw w towarzystwie doktora Sho, który pomógł mi, gdy byłem dzieckiem, wrócić do pełni sił po pierwszym nieprzemyślanym kontakcie z magią. Potem razem z rannym psem, noszącym blizny wilczych bogów. W końcu odnalazłem prawdziwą nauczycielkę w osobie Syczącej Kocicy, która opowiedziała mi o prastarej wojnie między bogami i wiedźmami oraz o wypalonych w ciele paktach kończących tę wojnę. Dzięki paktom magia została ujęta w struktury, podzielona i przydzielona różnym ludom na świecie.

Sam nosiłem na dłoniach i ramionach znaki takich paktów łączących mnie z magią Nayenu, An-Zabat i Sienu, do chwili, gdy je usunąłem, a wraz z nimi także i magię. Każdy pakt ofiarował pewną moc, ale jednocześnie ją ograniczał – taką cenę za pokój z bogami i świat wolny od boskich ingerencji zapłaciły przed wiekami wiedźmy.

Ów pokój przetrwał wieki, a cesarz, jeśli wierzyć wilczym bogom, miał zamiar go zerwać. Jego imperium było tylko narzędziem, które miało wcielić wszystkie rodzaje magii do sieneńskiego kanonu, a każdy z jego Dłoni i Głosów odgrywał jedynie rolę broni. Zamierzał dokonać sprytnych zmian w kanonie i przekazać lojalnym poplecznikom tajniki starych sztuk magicznych zakazanych przez pakt z bogami i tym samym pozbyć się prastarych przeciwników ze świata.

Oczywiście bogowie nie byli ślepi i nie mieli zamiaru tolerować zagrożenia, jakie przedstawiało sobą imperium. W czwartym i ostatnim dźwięku, który wybrzmiał podczas mojego dojrzewania, pojawił się więc dylemat. Nie wiedziałem, czy mam pozostać z Syczącą Kocicą i szukać czystego zrozumienia magii, o czym zawsze marzyłem, czy też dołączyć

do nayeńskiej rebelii, kierowanej przez moją babcię, wraz z którą mogłem pomóc wyzwolić ojczyznę i zadać bolesny cios snującemu apokaliptyczne plany imperatorowi.

Na skutek podjętych wyborów dotarłem do Twierdzy Szarego Mrozu, gdzie postanowiłem uratować rebelię przed oblężeniem, na którego czele stał mój dawny nauczyciel Dłoń Przewodnik, wyniesiony do tytułu Głosu cesarza. Tam wreszcie opanowałem moce wykraczające poza starożytne pakty czy cesarski kanon, za co zapłaciłem utratą znaków oraz własną prawą dłoń, i odebrałem Przewodnikowi moce przydzielone mu przez imperatora. Przepełniony przerażeniem i rozpaczą, mój były mentor roztrzaskał swoje ciało w zderzeniu ze ścianą świetlistego więzienia, a wówczas jego uczeń Dłoń Lotka wycofał się z resztą imperialnej armii. Pozostałem sam. Musiałem zająć się zarówno swoimi obrażeniami, jak i ranami, które odniosła moja babcia.

Gdy trzymałem ją w ramionach i sięgałem głęboko do studni magii uzdrowicielskiej, bogowie spotkali się na naradzie. Będąc pierwszym prawdziwym czarownikiem od wielu tysięcy, stanowiłem dla nich zagrożenie, ale jako wróg imperatora mogłem przecież służyć ich celom. Pozostawili mnie więc przy życiu, ale surowo przykazali, bym nie przekazywał swoich mocy innym.

Ta decyzja przypominała piękny dźwięk, który zwiastował kolejny krok w tym pełnym napięcia układzie, ruch, który mógł wstrząsnąć światem i ostatecznie rozbić ową taflę szkła, choć wówczas nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z konsekwencji.

Wszak, wciąż jako młody człowiek, dopiero co posiadałem ogromną moc, a do tego poznałem sprawę, dla której byłem gotów walczyć. Sprawę, która mogła mi pomóc osiągnąć wyżyny mistrzostwa, a potem otchłanie rozpacz.

Ale to już nie jest wyłącznie moja historia. Inni również odegrali swoją rolę w wydarzeniach, które nastąpiły po

zerwaniu pokoju. Pora, by ich głosy dołączyły do pieśni.



ROZNIECENIE

1

Preludium

Dar Ojca Burzy

Leżała związana w świetle, przyciskając policzek do drewna, które ze zgrzytem przesuwano się po piasku. Pograżała się w oślepiającym chaosie, którym jej umysł stał się za sprawą światła. Rozpaczliwie szukała myśli, wspomnień czy drogi ucieczki.

Nazywała się Ral Ans Urrera i była dzieckiem girzańskich stepów. Zrodzonym pod Gwiezdnym Pasem podczas burzy z piorunami, która rozgniotła trawy stepu, pośród przeraźliwego rżenia przerażonych burzą koni. Ona jednak nie płakała. Starsi mówili, że nie krzyczała, gdy błyskawice wywabiły ją z namiotu matki, by tańczyła do rytmu wybijanego przez deszcz i ogłuszające pomruki piorunów.

Pamiętała to uczucie wyraźniej niż jakiegokolwiek inne. Pamiętała impuls przywodzący na myśl zaciskanie mięśni, który przemknął przez powietrze, a potem przeszył jej ciało. Skądś nabrała wówczas pewności, że błyskawice nic jej nie zrobią, choć uderzały w ziemię godzinę drogi od obozu i zamieniały ją w szkło.

Gdy starsi zwrócili na nią uwagę, jej matka poczuła strach. Najpierw lękała się jej samej, a potem zaczęła się o nią bać.

Uświadomiła sobie bowiem, że w ciele córki odżyły stare moce, o których myślano, że zagarnęło je imperium.

Ral Ans Urrera pamiętała noce, które spędziła, leżąc na plecach, przywiązana do siodła. Jej twarz wystawiona była na dotyk Ojca Nieba, na wycie wiatru, okrucieństwo słońca, litość chmur i deszczu. Cierpiała z powodu starych tradycji, nadal przekazywanych z pokolenia na pokolenie, choć imperium wybiło już Jeźdźców Burzy, do których owe tradycje należały.

Jeden z sekretów był strzeżony aż nazbyt pilnie. Sekretne znaki, które miały powierzyć jej dar władania światłem i błyskawicami przekazywany przez Ojca Burzy, zostały utracone z chwilą śmierci ostatniego Jeźdźcy Burzy. Mimo to starsi nie stracili nadziei i nadal ją szkolili. Oślepiające światło imperium nie mogło zniszczyć jej wspomnień z tego okresu. Dobrze pamiętała długie miesiące, kiedy to wychodziła w każdą burzę i siadała ze skrzyżowanymi nogami na świętych łupkach, a błyskawice wypalały powietrze wokół niej. Pamiętała, jak jej włosy unosiły się i poruszały, jak zaciskała powieki i otwierała umysł na boską tkaninę, której nici – gdyby nadzieje starszych nie okazały się płonne – któregoś dnia miały same zacząć się splatać. W końcu, gdy w swoim ciele nadal czuła vibracje uderzeń pioruna i mimo zaciśniętych powiek wciąż widziała poszarpane światło błyskawicy, wyszła umysłem z ciała i stworzyła własną błyskawicę.

Mijały lata. Przyzwyczajała się do swojej mocy i sięgała po nią coraz śmieiej. Wyrastała na przywódczynię szanowaną na równi ze starszymi, dobrze znaną poza swoim niewielkim kręgiem plemiennym, odwiedzaną przez wodzów wypraw łupieskich, grupy myśliwych, władców koni i królowe równin.

Wiedziała, że to miało doprowadzić ją do zguby.

Wiedziała, że jej sekret był bezpieczny tylko dlatego, że Sien nie interesował się szczególnie sprawami mieszkańców stepów. Po zagarnięciu girzańskiej magii imperium przypominało

o sobie jedynie raz na rok, kiedy nawet najdalej żyjące grupy koczowników spotykały się w Domu Ojca Nieba. Tam właśnie płacono imperium trybut w skórach, futrach, mięsie i stadach bydła zapędzanych do imperialnych zagród. Ral Ans Urrera była tam raz po swoim przebudzeniu, ale przed pierwszym udanym wykorzystaniem magii.

Pamiętała poszarpany, wysoki skraj krateru, naturalną fortyfikację wykutą przez samego Ojca Nieba w czasach wspominanych jedynie w legendach. Ów mur chronił Jeźdźców Burzy do chwili, gdy imperium wyszarpnęło w nim dziurę, przez którą wdarły się szeregi ich żołnierzy. Dziura przypominała wielką ranę, ale nikt jak dotąd jej nie załatał. Głos imperatora stał na murach i przyglądał się uważnie stadom girzańskiego bydła pędzonym przez szeroką wyrwę – brutalny dowód imperialnej potęgi, wypisany na popękanych i skruszonych głazach. Jednak w pamięci Ral Ans Urrery najlepiej zachowało się inne wspomnienie, przywołane teraz przez oślepiające światło – wspomnienie srebrnej wstążki, która wypływała z czoła Głosu i ciągnęła się na wschód, ciężka niczym żelazo, a przerażająca jak ryk głodnego lwa.

Ten strach towarzyszył jej w drodze powrotnej na bezmiar stepu, daleko od granic imperium. Wzmocnił jej determinację, by odnaleźć inne dzieci takie jak ona – dzieci umiejące wyczuć mięśnie i ścięgna świata. Chciała wraz z nimi odbudować formację Jeźdźców Burzy, ale uczynić to po cichu i z dala od dociekliwych spojrzeń urzędników imperium. Liczyła na to, że jej rodacy zwiążą z tym nadzieję, a któregoś dnia wspólnie zerwą kajdany założone im przez imperium.

Jednakże pojawiła się plotka, która rozeszła się po plemionach niczym deszcz po koleinach i wnet dotarła do imperium. Odpowiedzią był łoskot kopyt, urywane wrzaski dzieci, kolumny duszącego dymu, trzask płomieni i zygzaki błyskawic. Walczyła zawzięcie – ciskała we wrogów

błyskawicami, które topiły zbroje, zwęglały ciała i oślepiały tak bardzo, że zataczała się, sięgając po swoją moc. A potem? Kadłub statku. Szelest piasku.

Śmierć nadziei.

Nie miała pojęcia, dlaczego jej nie zabito, ale nie chciała się tego dowiadywać. Nie zależało jej. Postanowiła, że gdy dotrą na miejsce, zdobędzie się na ostatni atak. Miała nadzieję, że dymiące, zwęglone ciała wrogów okażą się godną zasługą, a Ojciec Nieba nagrodzi ją szybką, piękną śmiercią. Usiłowała odepchnąć oślepiającą aurę, nadal mieszającą jej w głowie, i sięgnąć po nici swojej mocy. Nagły impuls bólu, który przeszył jej ciało, był najlepszym dowodem na to, że udało się je znaleźć. Zacisnęła zęby i nie wypuszczała ich. Łańcuchy światła, w które ją zakuto, nie przypominały żadnego innego więzienia – przywodziły na myśl napięty mięsień struktury świata. Wiedziała, że się przebije. Czuła, że je pozrywa, bo przecież wszystko można było zniszczyć, a wtedy wezwie piorun, który zetrze imperium z mapy świata.

Pokład przechylił się. Dziewczyna zamrugła i rozchyliła powieki. Jej łańcuchy migotały upiornie w ciemnościach ładowni. Panika chwyciła ją za gardło. Od wielu, wielu dni statek szedł w linii prostej, a teraz skręcał, co oznaczało, że dotarł do punktu docelowego. Kończył się czas.

Oczy ją rozboleły, gdy ponownie wniknęła w głąb otaczającego ją nimbu. Wspomnienia, które mogłyby doprowadzić ją do źródeł mocy, były zamglone, ale udało się je znaleźć i okiełznać siłą woli. Dziewczyna zdławiła okrzyk.

Światło wokół zaczęło migotać i przygasać. Czuła, jak ustępuje. Zalewały ją kolejne fale bólu, które schodziły w dół kręgosłupa i wnikały w kończyny. Nie, to nie mogło jej zatrzymać. Pociągnęła i poczuła, jak pierwsze ogniwo łańcucha pęka.

Świat dookoła zaczął się zmieniać. Przez gródź przebiła się błyskawica. Drobiny strzaskanego drewna nadziały się na nagie ramiona i nogi. Okręt zatrzymał się nagle, a dziewczyna zamrugła, oślepiąca blaskiem pustynnego słońca, odbijającego się od zboczy wydm. Przez dziurę w kadłubie, okoloną szczątkami desek przypominającymi połamane zęby, widać było rufową część statku, leżącą teraz na burcie w odległości kilkunastu kroków.

Jednakże świetliste łańcuchy nie puszczały.

Z górnych pokładów dobiegły szczęk oręża oraz wrzaski ginących, a potem zapadła cisza. Dziewczyna przywarła do ściany i oddychała cicho. Słyszała już stłumione słowa w języku, którego nie знаła.

Rozległ się kolejny krzyk bólu, a wtedy aura w jej umyśle znikła, jakby nigdy nie istniała. Świetliste łańcuchy skruszyły się jak rozbite szkło. Ku swojemu zdumieniu odkryła, że jest zbyt oszołomiona, by zareagować. Zmusiła się do powstania i wbiła wzrok w najbliższą drabinę, doskonale widoczną, bo ładownia nie była niczym wypełniona.

Słyszała kroki. Zgrzytnęły zawiasy. W słońcu błysnęła stal zwisająca z przetkanej srebrną nicią szarfy. Nie znała mężczyzny, który pojawił się na drabinie. Miał lśniące oczy i włosy spłowiałe od słońca, co oznaczało, że należał do mieszkańców Pustkowie. Zwiślał z drabiny, przytrzymując się jedną ręką, podczas gdy druga spoczywała na połyskującym mieczu. Przyglądał się jej.

– To niepotrzebne – odezwał się w mowie używanej przez kupców z jego ludu, choć akcent sprawił, że w pierwszej chwili nie zrozumiała jego słów. Wtedy wskazał ruchem głowy jej dłoń, a dziewczyna uświadomiła sobie z zaskoczeniem, że wznosi trzaskającą błyskawicę, gotowa, by nią cisnąć. – Nie jesteś Dłonią – dodał, a dziewczyna zrozumiała, że to nie akcent

zniekształcił jego słowa. Głos przybysza drżał. – Kim więc jesteś?

Zacisnęła dłoń i rozproszyła czar, choć w każdej chwili mogła przywołać błyskawicę ponownie, by zgładzić się w okamgnieniu i nie pozwolić na to, by znowu ją uwięziono. Bolały ją kolana, ale ani myślała usiąść. Pragnienie, lęk przed nieznanym i nadzieja na odzyskanie wolności sprawiły, że w ustach czuła ogromną suchość, ale mimo to rozpoczęła opowieść.

Wredny Lis

Głupi Kundel

Jak dotąd spotkałem mojego wuja dwukrotnie. Pierwszy raz, gdy byłem dzieckiem, przez co wspomnienie zasnęła mgła. Pamiętałem tylko tyle, że jego dzikie oczy lśniły równie mocno jak ostrza włóczy strażników, którzy później przeszukiwali dom mojego ojca.

Po raz drugi spotkaliśmy się zaledwie tydzień temu, w samym środku oblężenia, z którego on uciekł. Ja zaś przełamałem napór wroga i zmusiłem do odwrotu armię, która położyłaby kres rebelii.

Wiedziałem, że nasze trzecie spotkanie nie będzie wcale takie krótkie. Po raz pierwszy w życiu miałem zasiąść naprzeciwko niego i odbyć z nim rozmowę. Ja, odcięta Dłoń cesarza, i on, Wredny Lis, nieuchwytny buntownik, którego imię i sława rzucały się cieniem na całą moją imperialną karierę, mieliśmy wreszcie stanąć twarzą w twarz.

Kikut mojego prawego ramienia przeszywały bolesne kurcze, gdy patrzyłem, jak wuj i jego ludzie zbliżają się do Twierdzy Szarego Mrozu. W czystym, mroźnym powietrzu niósł się stłumiony zgrzyt pracujących łopat. Zdziesiątkowana armia nayeńska, licząca teraz zaledwie dwadzieścia siedem dusz, zajmowała się przez ostatnie tygodnie głównie kopaniem

masowych grobów w popiele, gdzie składano poczerwiałe ciała niezliczonych sieneńskich żołnierzy, powalonych przez przywołaną przeze mnie burzę ognia, wiatru i błyskawic.

Stado dziesięciu rozmaitych, niepasujących do siebie ptaków zniżyło lot nad dziedziniec. Prowadzący grupę jastrzęb nagle znikł w pachnącej cynamonem chmurze, z której wyszedł mój wuj. Rozciągnął ramiona, by rozluźnić napięte masywne mięśnie szerokiej piersi.

Podszedłem bliżej. Wszędzie dookoła pozostałe ptaki – kruki, sępy, sowy i sokoły – przechodziły w ludzkie postacie, a w powietrzu wisiał zapach magii. Przybysze prostowali się i rozciągali mięśnie. Mieli na sobie zbroje składające się z niedopasowanych elementów i przystrojone piórami, kośćmi i kawałkami kamieni. Przeczynałem, że ozdoby te definiują tożsamość każdego z nich, co zapewne rozumiałbym bez trudu, gdybym wychowywał się wśród nayeńskich tradycji, a nie doktryn imperium.

– Witaj, Królu Słońca. – Złożyłem mu niski pokłon. – Twierdza Szarego Mrozu jest twoja.

– A przynajmniej to, co z niej zostało. – Wredny Lis przewiercił mnie swoim przenikliwym spojrzeniem. Analizował moją uniżoną postawę. – Zaszczyt dla Sieneńczyka to obraza dla Nayeńczyka, siostrzeńcze. Dobrze to sobie zapamiętaj. Gdzie jest moja matka?

– W głównej sali – odpowiedziałem, rumieniąc się z zażenowania. – Czeka tam na nas. Nasze starcie z imperialnymi magami sporo ją kosztowało, ale przeżyła.

– A ty straciłeś dłoń. – Wredny Lis ruchem głowy wskazał kikut mojej ręki.

Rana stanowiła dowód na to, że nie byłem niezniszczalny. Zastanawiałem się, czy to odkrycie dodało mu pewności siebie. Wiedział o mnie bardzo niewiele, nie licząc tego, że zniszczyłem imperialny legion za pomocą magii niedostępnej

dla zwykłego czarownika, a także pokonałem jeden Głos i dwie Dłonie cesarza. Oczywiście wiedział też, że wcześniej służyłem imperium.

Znów przeszła mnie nagła ochota, by odtworzyć brakującą rękę. Potrafiłem wyobrazić sobie potrzebną do tego magię, niewiele różniącą się od magii uzdrowicielskiej, którą posłużyłem się, by odciągnąć moją babcię znad krawędzi śmierci i poskładać jej ramię, porozrywane przez torturującego ją Dłoń Przewodnika. Posłużyłem się trzema mocami, które imperium skradło ludowi Toa Alon – moc wykrywania pomogła mi odnaleźć właściwe połączenie nerwów, moc uprawy zmusiła trupie pnącze, by rozrosło się w ciele babci, a moc uzdrawiania pozwoliła mi utrzymać ją przy życiu.

Pomasowałem kikut. Przed moimi oczami przemknęły wspomnienia rozciętego gardła Wilgi i pokruszonych resztek obelisków An-Zabat. Wrodzona arogancja zadała mi wiele ran i skłoniła mnie, bym zniszczył życie wielu tych, których uważałem za swoich bliskich. Nie mogłem pozwolić na to, żeby znów mną zawładnęła. Chciałem służyć wujowi i pomóc mu w realizacji wielkiego celu, jakim był wolny Nayen. Zamiast rozniecać jego lęki i wątpliwości, musiałem je stłumić, bez względu na to, jak bardzo ucierpiałyby na tym moja duma.

– Niewielka to ofiara wobec długich lat samotności i ciężkich walk, jakie przypadły w udziale tobie – odpowiedziałem, opierając się dobrze wyćwiczonemu odruchowi złożenia mu kolejnego ukłonu. Zamiast tego wskazałem na drzwi do sali głównej. – Pójdziemy? – zaproponowałem. – Babcia chciałaby z tobą porozmawiać. Sami też mamy sporo do omówienia.

Wredny Lis pogładził siwy kosmyk w brodzie, a potem wydał kilka szybkich rozkazów swoim przybocznym. Wezwali resztki armii buntowników na zbiórkę przed rozbitą bramą twierdzy, a wuj wszedł w ślad za mną do sali, gdzie chłodne powietrze zimy ustępowało kojącemu ciepłu bijącemu z żelaznych

piecyków. Nad jednym z nich pochylała się Sycząca Kocica. Żarzące się węgle rzucały pomarańczowy blask i cienie na krucze czaszki wplecione w jej włosy. Pod ręką miała stosik krowich łopatek. Za pomocą starożytnych runów, których nikt z żyjących nie potrafił już odczytać, wypisała na nich swoje pytania. W drugiej dłoni trzymała długą żelazną igłę, której czubek rozgrzała do białości w żarze. Babcia siedziała przy stole ustawionym na środku sali, wpatrzona w towarzyszkę. Aż podskoczyła, gdy rozległo się trzaśnięcie drzwi.

– Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, synu. – Podniosła się ciężko i stanęła, wsparta o blat stołu zdrową ręką. Druga ręka, skurczona i zwiędła na skutek tortur Dłoni Przewodnika, zwisała luźno u boku, choć palce zaciskały się jeden po drugim. Ocaliłem jej życie i zrobiłem wszystko, co mogłem, by oddać jej zdrowie, ale mimo to wydawała się drobna i słabsza niż kiedyś. Nie przypominała już wojowniczkę, która pokonała Dłoń Żara.

– I ja się cieszę, że cię widzę, matko. – Wredny Lis objął ją i przytulił, ale ani na moment nie spuścił wzroku z Syczącej Kocicy. – A kim jest twój gość?

– Jestem tylko kolejną stukniętą staruszką – oznajmiła Sycząca Kocica i zamachała jaśniejącym czubkiem igły. – Postanowiliśmy, że zajmiemy się wspólnie robieniem na drutach.

– To Sycząca Kocica – przerwałem. – Moja nauczycielka.

– Ach – powiedział powoli Wredny Lis. – A więc to ona nauczyła cię sztuki przyzywania burzy?

– Nie. – Sycząca Kocica wsunęła igłę na powrót między węgle. – Tę sztuczkę opanował sam. Ja natomiast chętnie przypiszę sobie zasługi za to, co miało miejsce później.

– Tym to może zajmiemy się w innym czasie. – Odsunąłem krzesło. – Proszę, wuju. Usiądź.

Wredny Lis wsparł się na stole, bębniąc palcami po blacie.

– Twierdzisz, że istnieją sprawy, które musimy omówić, siostrzeńcze? Zgadzam się. W pierwszej kolejności wyjaśnij mi, co tu robisz.

Kłykcie mi pobielają i miałem wrażenie, że ściskane przeze mnie drewniane krzesło zaraz pęknie.

– Tobie i wszystkim, którzy walczą z imperium, jestem winien nie tyle wyjaśnienie, ile dług. Odnalazłem moc, której szukałem. Byłem głupcem i pragnienie jej zdobycia zaprowadziło mnie prosto na służbę imperialną, ale teraz gotów jestem po nią sięgać, żeby zmasakrać swoje przewiny. Chcę ujrzeć wolny Nayen. Chcę dopomóc w rzuceniu imperium na kolana. Chcę, żeby jego okrucieństwa wreszcie dobiegły końca.

– Mówiłaś, że ambitny z niego człowiek, matko – rzekł Wredny Lis. – Widzę, że to nie uległo zmianie.

– Ambicja staje się wadą jedynie wtedy, gdy nie udaje się jej realizować – odpowiedziała babcia. – Usiądź, synu, i posłuchaj.

Usta Wrednego Lisa drgnęły, ale usiadł na wskazanym krześle.

– Bez względu na to, jaką moc zdobyłeś, jesteś sam. Cesarz ma cały legion Dłoni i Głosów, a do tego Pięść, która strzeże go dzień i noc. Czyżbyś odkrył sekret, który czyni cię kimś lepszym od jego czarowników? Czyżbyś mógł stawić czoła ich tysiącom? Ba, a może mógłbyś rzucić wyzwanie samemu imperatorowi?

W sali rozległ się suchy trzask, a po nim poniósł się kwaśny smród palonej kości.

– Nie. Nie mógłby. – Sycząca Kocica uważnie przyglądała się kości leżącej na jej kolanie. – A na pewno jeszcze nie teraz.

– Tu chodzi o coś więcej niż tylko wolność, wuju. Wiesz, że cesarz rządzi od tysiąca lat, prawda? Powoli rozciąga swoje rządy coraz dalej i dalej, wchłania magię podbitych ludów i dodaje ją do swojego kanonu. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego to robi?

– Historia o tysiącletnich rządach to jedynie sieneńska bajka, która ma nas zastraszyć! – warknął Wredny Lis.

Sycząca Kocica odrzuciła głowę i roześmiała się. Jej śmiech przypominał odgłos wydawany przez głąz wytaczany z wnętrza góry.

– Chłopcze, chodziłam po tym świecie, długo zanim twój pierwszy Król Słońca stworzył naród zwany Nayeńczykami – oznajmiła. Blask żaru odbijał się w jej oczach. – Pamiętam, jak cesarz nazwał się Doktryną i uznał za poetę. Patrzyłam też, jak stapia dziesiątki języków większości ludów naszego kontynentu w jeden i narzuca nam jeden sposób życia. Twój mały bunt bawi mnie do łez. Przypomina mi igielkę wbitą w lwi zad. Ciesz się, że nie rozbudziłeś jeszcze jego gniewu. Powiedz Alończykom i sieneńskim udzielnym królom czy samym bogom, że tysiącletnie rządy to jedynie bajka, i wsłuchaj się w ich szyderczy śmiech.

Wredny Lis zacisnął mocno pięści.

– Siostrzeńcze, jesteś pewien, że ta starucha jest po naszej stronie?

– Ja jestem po swojej własnej stronie – uśmiechnęła się Sycząca Kocica. – Póki co mamy jednak zbieżne interesy. Wolałabym, żeby świat się nie kończył. A ty?

Wuj wreszcie zwrócił uwagę na mnie. Pojedynek między nami mógł się skończyć wyłącznie moim zwycięstwem, jednak straciłem odwagę, gdy spojrzałem w jego twarde oczy, jakże nawykłe do oglądania przemocy.

– To właśnie planuje cesarz? Chce doprowadzić do końca świata?

– On chce się zemścić na bogach – powiedziałem, wskazując jego prawą dłoń i ledwie widoczne blizny, będące symbolem mocy. – Te znaki są pamiątką ugody między wiedźmami i czarownikami a bogami, którzy postanowili położyć kres

chaosowi wojny. Uczestniczyli w niej zarówno cesarz, jak i Sycząca Kocica.

Słyszając moje słowa, staruszka machnęła ręką, uśmiechnęła się szeroko i chwyciła kolejną łopatkę.

– Bogowie obiecali, że wycofają się z ziemskich spraw, a w zamian za to wiedźmy i czarownicy zadeklarowali, że ograniczą własną moc. Symbole, które w ramach ustaleń paktu grawerowali na własnej skórze, przyznawały im ograniczone zdolności magiczne, bez względu na to, czy chodziło o zmiennokształtność, władanie ogniem, wodą i wiatrem, sztukę uzdrawiania, czy przyspieszanie wzrostu roślin, ale te ograniczenia miały dla ludzi ogromne znaczenie. Wiedźma czy czarownik, którzy nosili owe znaki, nie byli w stanie rozwinąć swojej mocy, nawet jeśli wrodzony talent czy ich wrażliwość stwarzały im znacznie większe możliwości. Dzięki tym ustaleniom nie trzeba już było się martwić, że bogowie rozszarpiają świat na strzępy podczas wojny, bo wiedźmy i czarownicy nie stanowili już dla nich zagrożenia. Doktryna znalazł jednak sposób, żeby ominąć te ograniczenia. Dzięki magii, którą wybrał w ramach własnego paktu, mógł przekazywać myśli z umysłu do umysłu, co pozwoliło mu zjednoczyć imperium i przydzielić służącym moce z innych paktów. Gdy jego imperium podbijało lud, który władał magią, Doktryna dodawał ją do swojego kanonu i przekazywał sługom, nie naruszając przy tym porozumienia z bogami.

Wredny Lis wpatrywał się we mnie i bawił swoją brodą, wsłuchując się w moją opowieść. Być może w głębi duszy decydował, czy chce w nią uwierzyć.

– I myślisz, że cesarz poniesie porażkę? – spytał w końcu.

– Bogowie nie będą stać z założonymi rękami – odpowiedziałem. – Niektórzy uderzą natychmiast, ale inni uważają, że cesarz założył sobie zbyt ambitny projekt i jego imperium rozpadnie się, zanim zostanie ukończone. Wilczy bóg

Okara znajduje się w tej pierwszej grupie i zmusiłby nas, żebyśmy pokrzyżowali plany cesarza, zanim bogowie zgodzą się wszcząć wojnę na nowo.

Wuj rozparł się na krześle i skrzyżował ramiona na szerokiej piersi.

– A wiesz o tym dlatego, że mówią do ciebie, tak jak przemawiali do pierwszego Króla Słońca.

Otworzyłem usta, by zaprotestować, ale wuj nie przerywał:

– Jastrząb ma bystre oczy i czujny słuch. – Oparł dłonie na stole i pochylił się ku mnie. – Słyszałem to i owo od żołnierzy, których wysłałeś do grzebania kości naszych wrogów. Uważają cię za cudotwórcę. Za kogoś, kogo bogowie wysłali, żeby wyzwolił tę wyspę. W trakcie mojej kilkudniowej nieobecności zaczęli przyszywać sobie do kurtek kawałki popalonych gałązek ze zniszczonego przez ciebie lasu. A robią to nie po to, żeby opowiadały o ich przeżyciach, ale żeby zaznaczyć własną lojalność. Nie wobec powstania, tylko wobec ciebie, jakbyś był bogiem w ludzkim ciele. Wiesz, co sądzę, siostrzeńcze? – Wycelował we mnie palec. – Myślę, że hierarchia imperium tłamsiła twoje ambicje, więc przybyłeś tutaj, żeby móc dać im upust. Czy istnieje lepszy sposób na to, żeby zawładnąć armią, niż ocalić ją od zagłady w ostatniej chwili? Czy znamy coś, co jednoczy ludzi szybciej od opowieści, która czyni cię przywódcą natchnionym przez bogów, noszącym na barkach ocalenie świata?

– Czy jego moc nie świadczy o tym, że mówi prawdę? – odezwała się w mojej obronie babcia. Uniosła uschnięte ramię, krzywiąc się z bólu. – Widzisz? On nie nosi znaków paktu, a mimo to wyrwał mnie z objęć śmierci.

– Najlepsze kłamstwa zbudowane są na fundamencie prawdy – oświadczył wuj. Mięśnie jego ramion były twarde i naprężone jak liny okrętowe. Miałem wrażenie, że lada chwila sięgnie po

miecz. – Chłopak ma jakąś tajną wiedzę, nie ma wątpliwości. Ale wykorzystuje ją do własnych celów.

Jego słowa raziły jak noże. Jakże często w moim życiu uzbierałem się w półprawdy! Przed nim jednak stanąłem wiedziony szczerością i uczciwością. Odrzuciłem grzechy z dawnych czasów i poczułem ból w sercu, gdy znów zostałem o nie oskarżony. Zapadła cisza, przerywana jedynie grzechotem czaszek we włosach Syczącej Kocicy i jej niskim śmiechem. Odwróciliśmy się ku niej, a ona uniosła głowę znad żelaznego kosza z ogniem.

– Nie zwracajcie na mnie uwagi – powiedziała. – Myślałam właśnie o tym, jak bardzo tęsknię za moją jaskinią. Cudowne malowidła, cisza i tak dalej.

Nabrałem tchu.

– Co mogę zrobić, żeby cię przekonać, wuju?

Uniósł dłonie niczym szalki wagi.

– To Nayen, siostrzeńcze. Nie ma tu hierarchii imperium, która wyznacza, kto stoi nad kim. Tu znaczenie ma władza i prestiż. – Opuścił prawą dłoń i podniósł lewą. – Ty dysponujesz wiedzą, której mnie brakuje. Władasz też silniejszą magią, co zakłóca równowagę między nami. Z tego układu sił wynika, że to ty powinieneś dowodzić, a nie ja, choć to ja poświęciłem tej walce całe życie. Przesuń równowagę w moją stronę.

– Z ochotą – powiedziałem. – Jak?

Wuj zacisnął dłonie i oparł je na stole.

– Naucz mnie, jak władać dawną magią tak, jak ty to robisz. Pozwól, żebyśmy walczyli ramię w ramię przynajmniej jak równi sobie.

Sycząca Kocica parsknęła śmiechem, co przypomniało mi o ostatnich słowach Tollu – córki wilczycy Ateri, nayeńskiej bogini mądrości – które padły podczas narady decydującej o moim życiu. Zawyrokowała wówczas, że jeśli zacznę uczyć innych, moje życie dobiegnie końca.

– Nie żartuję. – Wredny Lis wskazał swoje wiedźmie znaki, a na jego policzkach pojawił się gorący rumieniec. – Jeśli powiedziałaś prawdę, wystarczy, że pozbędę się tych blizn, a wówczas również będę mógł przywołać burze wiatru i błyskawic, tak?

– To nie takie proste – zacząłem.

Mięśnie jego szczęki zadrżały, gdy usiłował opanować przybierającą na sile furję.

– Prosisz o tę jedną rzecz, której chłopak nie może ci ofiarować – powiedziała Sycząca Kocica. Przestała się śmiać, ale na jej twarzy nadal widniał okrutny grymas rozbawienia. – A co więcej, wcale nie ma gwarancji, że dałbyś sobie ze starą magią radę. Ona w niczym nie przypomina tej, którą znasz. Jest ulotna i kapryśna, a przy tym nie wiąże jej żaden rytuał inicjacyjny.

– Mógłbym jednak zrobić to, co cesarz – wypaliłem. – Mógłbym stworzyć kanon i przekazać moje moce innym. Nie mam zamiaru chować ich dla siebie, wuju. Jestem gotów w każdej chwili podzielić się nimi dla rebelii.

– Ha! – Sycząca Kocica zerwała się, a jej długi cień rozlał się po ścianach. W jej głosie brakowało już wesołości. – Skrajna głupota! Nie dałbyś sobie z tym rady!

– Po raz pierwszy zgadzam się ze staruchą. – Wuj założył ręce na piersi i przyglądał mi się, jakby szukał cierni na powierzchni kuszącego owocu. – Sam powiedziałaś, że cesarz posługuje się swoimi czarownikami jak bronią. Gdybyś stworzył kanon i zaczął obdzielać magią innych, zdobyłbyś jeszcze większe znaczenie!

– A gdybym stworzył kanon poza sobą? – Słowa wypadły z moich ust, zanim zdążyłem je przemyśleć. Mój zdradziecki umysł z rozpaczą szukał rozwiązań. Gdyby wuj mnie odrzucił, tak jak odrzuciło mnie imperium, gdzie mógłbym się udać? – Pakty nie opierają się na transmisji. Mógłbym stworzyć coś podobnego, jakąś metodę przekazywania mocy, która

przyzywałaby wiatr bądź leczyła rany. Mógłbym doprowadzić do tego, że nasze wiedźmy i nasi czarownicy dorównyaliby sieneńskim magom, ale byłiby przy tym niezależni od mojej woli.

Moja arogancja i żądza zawładnięcia magią zniszczyły życie setkom ludzi. Nie miałem już do siebie tyle zaufania, by chcieć władać czy też kontrolować kanon magii. Mogłem jednak stworzyć taki kanon i przekazać Nayeńczykom magię, która była im potrzebna do wyzwolenia ojczyzny. I być może, gdybym zdołał zdobyć ich zaufanie, mogliby pomóc mi pokrzyżować plany cesarza, który chciał wypowiedzieć wojnę bogom. Co więcej, mogłem zasłużyć sobie na to, by zasiąść z nimi jako jeden z ich grona. Zasłużyłbym sobie na ten przywilej o wiele wcześniej, gdybym udał się z babcią w góry, a nie wkraczał na zdradliwą, pozłacaną ścieżkę kariery imperialnej.

Gdybym się zawahał... Gdybym choć przemyślał ów szalony plan, zamiast po prostu przedstawić go wujowi, ile cierpienia oszczędziłbym sobie w przyszłości?

Wredny Lis przechylił głowę.

– Starucho, znasz jego możliwości. Czy on naprawdę mógłby temu podołać?

– Nie bez mojej pomocy – prychnęła ze złością Sycząca Kocica. – W przeciwnym razie będzie się błakał przez wiele, wiele lat niczym dziecko we mgle, próbując pojąć odmiany magii, których nigdy wcześniej palcem nie tknął.

– Pomożesz mu? – zapytał wuj.

Wyczuwałem napięcie, które pojawiło się między nami. Starucha spojrzała na kość łopatkową na swoim kolanie, uśmiechnęła się szyderczo i odrzuciła ją na stos.

– Może i przyda nam się coś takiego, jeśli będziemy chcieli rzucić wyzwanie Doktrynie – mruknęła. – Niemniej przekazywanie mocy to o wiele trudniejsza sprawa niż jej poszukiwanie.

– A więc dobrze – rzekł Wredny Lis. Jego krzesło zaskrzypiało na kamiennej podłodze, gdy się podnosił. – Zabierz się za swoje obowiązki, a ja zajmę się moimi. Ta armia, choć niewiele z niej zostało, musi być gotowa do wymarszu. Imperium otrzymało cios, a ja nie zmarnuję takiej okazji.

Babcia dotknęła zdrowym ramieniem obojczyka w pełnym czci salucie. Zrobiłem to samo, a Sycząca Kocica prychnęła i roztrąciła węgle igłą. Wredny Lis zatrzymał się jednak, wciąż dotykając palcami blatu stołu, by mi się przyjrzeć.

– Naznacz mnie, Głupi Kundlu – powiedział. – Dopóki służysz Nayenowi, dopóty będę cię miał za sojusznika. W chwili gdy dasz mi powód, żebym bał się twojej zdrady, nie zawaham się. Może i jesteś silniejszy ode mnie, ale wolę umrzeć, niż ułatwić robotę kolejnemu tyranowi takiemu jak cesarz, bez względu na to, z jakiego rodu pochodzi.

– Nie mam zamiaru zostać tyranem – odparłem zaskoczony.

Wuj zastukał kłykciami o stół, zmrużył oczy i wyszedł z sali bez słowa. Odgłos jego kroków i łoskot zatrzaskiwanych drzwi poniosły się ciężkim echem.

Wredny Lis przyjął moją pomoc. Wykonałem pierwszy krok. Teraz musiałem dać mu to, co obiecałem, a wtedy być może nauczy się mi ufać.

– Chodź, Kundlu. – Sycząca Kocica wstała znad ognia i ruszyła w stronę znajdujących się w cieniu drzwi w przeciwległym kącie pomieszczenia. – Porozmawiamy sobie na osobności. – Ruchem głowy wskazała babcię.

– Och, mną się nie przejmujcie – mruknęła staruszka, poruszając uschniętym ramieniem. – Rozumiem potrzebę przekazywania tajnych lekcji z dala od uszu wścibskich ludzi.

Udałem się w ślad za Syczącą Kocicą ciemnym korytarzem i razem zeszedliśmy osypującymi się schodami do sporego pomieszczenia z niskim sufitem. Ogień tlił się w kręgu kamieni, tocząc skazaną na porażkę walkę z wilgotnym chłodem

w powietrzu. Na podłodze i ścianach widziałem ślady po beczkach i skrzyniach, które upływ czasu oraz wilgoć zamieniły w smugi poczerńiałego kurzu. W którymś z kątów zalegały resztki po dziesiątkach rozgniecionych kości łopatkowych.

– Ty idioto! – warknęła Sycząca Kocica. Wyciągnęła palec, a wtedy jej wola, mocna i ostra niczym żelazny szpikulec, wbiła się w strukturę świata. Na jej dłoni zatańczył ognik, który rozsiał w powietrzu zapach cynamonu i napełnił moje ciało nierealnym ciepłem. – Zgaś płomień, jeśli umiesz.

Był to stary test, który oblałem setki razy, ale w końcu zdałem go w bitwie z Głosem Przewodnikiem. Tak jak wówczas zagłębiłem się w strukturę świata i zamieniłem w jadeitową kulę w samym sercu wiecznej relacji między śmiercią i narodzinami, między światłem i cieniem, między wschodem i zachodem słońca. Zespoliwszy się ze strukturą, sięgnąłem myślą w stronę płomienia, który stworzyła, płomienia, który stanowił pogwałcenie naturalnego porządku. Ściany kanonu cesarza rozpadły się pod moim dotykiem, co odebrało Przewodnikowi jego magię. Ogień na dłoni Syczącej Kocicy miał podzielić jego los.

Moja wola zderzyła się z jej wolą niczym kropla deszczu uderzająca w wysoką górę.

Z daleka dobiegły echa frustracji, które rozpędziły spokój właściwy osobie władającej prastarą magią. Wszak opanowałem tę sztukę, prawda? Zawładnąłem również mocą, której potrzebowałem, by pokonać cesarza i jego czarowników. Zacisnąłem powieki i natarłem gwałtownie na jej siłę woli. Nie mogłem pozwolić na to, by bez trudu odebrała mi nadzieję!

Przez ułamek sekundy czułem, jak żelazny kolec przesuwający się jak drzazga powoli wypychana przez gojące się ciało. Sycząca Kocica burknęła, a potem cisnęła we mnie mocą, z którą jak dotąd zetknąłem się tylko raz – gdy klęczałem przed cesarzem i jego Tronem Tysiąca Ramion.

Kolec stał się ostrzem równie twardym jak imperialna stal, wbijającym się w stronę serca struktury. Zalało mnie gorąco, jakby niespodziewanie dopadła mnie choroba. Wciągnąwszy gwałtownie powietrze, otworzyłem oczy. Byłem przekonany, że płomień na jej dłoni będzie gorzał jak pożar pochłaniający las. Ten migotał łagodnie niczym promyk świecy, osłonięty siłą woli kobiety.

– Doktryna jest zawsze zmuszony do tego, żeby skupiać swoją uwagę na całym, jakże rozległym imperium – powiedziała Sycząca Kocica. Drżące cienie pogłębiały jej zmarszczki. – Zakłóciłeś jego transmisję, zanim zauważył, co w ogóle robisz. Nie sądzisz chyba, że ta sztuczka uda się ponownie?

Zamknęła dłoń i zgasła płomień. Napór i gorąco bijące z jej magii nagle osłabły, a ja poczułem, jak uginają się pode mną kolana.

– Wyglądasz, jakbyś był chory, Głupi Kundlu – powiedziała. – I może tak jest. Właśnie obiecałeś, że pomożesz wujowi stoczyć wojnę, której nie ma szans wygrać. Zaproponowałeś również, że wręczysz mu dar, który jeśli coś pójdzie nie tak, spęta go klątwą. Masz jakieś pojęcie, od czego zacząć budowanie kanonu? Nawet ja nie za bardzo wiem, jak tego dokonać. Jak dotąd nie dokonał tego nikt poza Doktryną, a ty sam odrzuciłeś kanon, bo ujrzałeś w nim więzienie.

Rozciągnąłem ramiona, usiłując zademonstrować pewność siebie, której nie czułem. Starucha miała rację. Nie miałem pojęcia, jak spełnić obietnicę daną Wrednemu Lisowi, ale nie miałem wyboru i musiałem spróbować. Wynik powstania, a także wszelkie szanse na zdobycie zaufania wuja zależały od mojego sukcesu.

– Wiem, że nie mogę się równać z cesarzem, ale ty władasz podobną mocą. Jestem pewien, że tak. Z twoją pomocą i dzięki twoim naukom znajdę na to sposób, a mój kanon nie będzie

więzieniem. Chcę oddać magię każdemu, kto będzie jej potrzebował. Nie będę ograniczał jej własną wolą.

– O ile to w ogóle możliwe! – prychnęła Sycząca Kocica. – Mówisz z wielkim przekonaniem o rzeczach, których nie rozumiesz. Pięćset lat temu być może mogłabym się zmierzyć z Doktryną, ale w czasie gdy on budował swoje imperium, ja chowałam się w jaskini. Gdybyśmy go zaskoczyli lub gdybyś ty zajął jego uwagę, być może udałoby mi się go pokonać, ale nie mam żadnej pewności.

Przełknąłem żółć.

– Powiedziałaś, że pomożesz.

– Kiedy nabierzesz sił, a ja odzyskam więcej niż tylko część tego, kim kiedyś byłam, zbudujemy armię i zrobimy to, co do nas należy. Póki co Doktryna ma jeszcze sporo świata do podbicia. Mamy czas, Kundlu, zanim cesarz rozpocznie tę wojnę.

– A więc co tu robisz? Myślałem, że chcesz walczyć? – spytałem.

– Jesteś pierwszym czarownikiem od tysiąca lat! – parsknęła w odpowiedzi. – Nie mam pojęcia, w jakim celu struktura cię stworzyła, ale nie pozwolę ci zginąć w walce w powstaniu skazanym na porażkę.

Zakotłowało się we mnie ze zgrozy i z frustracji. Miałem wrażenie, że zaraz eksploduję gniewem.

– Skoro chcesz mnie uchronić przed śmiercią, będziesz musiała walczyć obok mnie.

Miałem wrażenie, że siwa chmura jej włosów aż trzeszczy, jakby miała zacząć ciskać błyskawicami.

Jej usta drgnęły i skrzywiły się, a powieki zmrużyły się niebezpiecznie.

– Mogłabym wrócić do jaskini, Kundlu. – Jej głos przypominał odległy pomruk zbliżającej się burzy. – Mogłabym przyglądać

się, jak opadasz z sił, odbijając się od woli Doktryny, i śmiać się z twojej głupoty.

– Każdy z nas kiedyś umrze – odparłem. Zebrałem całą swoją odwagę, by móc spojrzeć w jej kipiące furią oczy. – Moja śmierć będzie przynajmniej miała jakieś znaczenie, a ty po prostu zamienisz się w pył i kupkę kości w twojej nędznej podziemnej świątynce.

Starucha drgnęła, a na jej obliczu pojawiły się oznaki toczony w sercu bitwy. Myślałem, że uniesie dłoń i zmiecie mnie ze świata, ale niespodziewanie parsknęła niskim, głuchym śmiechem, który odbił się od kamiennych ścian małego pomieszczenia.

– Walczyłaś kiedyś z bogami – powiedziałem. – Gdzie się podziała twoja odwaga, Sycząca Kocico?

Starucha skrzywiła się.

– Utonęła w otchłani czasu i żalu. Co więcej, podczas tej wojny walczone bronią, za którą nie umiemy już chwycić. Ale przecież my próbujemy nie dopuścić do wojny z bogami, Kundlu, a nie rozpętać kolejną!

– Bogowie są po mojej stronie! – Przetrzymałem punkt kulminacyjny naszej rozmowy i przejąłem inicjatywę, zupełnie jakbym na powrót siedział w ogrodzie mojego ojca i odpowiadał na pytania z doktryny zadawane przez nauczyciela Koro Ha, a nie dyskutował o losie świata z wiedźmą, która mogłaby mnie rozerwać na kawałki samą myślą. – Walczymy z ich wrogiem! Z pewnością wybaczą nam, że w tym celu sięgnęliśmy po moc.

Starucha powoli wciągnęła powietrze w płuca i pokręciła głową.

– Rzucasz się na niebezpieczeństwa, które ledwie rozumiesz, a zaufać chcesz istotom, których nie ogarniasz umysłem. Wróć ze mną do jaskini. Przewrotność to nie przeciwieństwo odwagi, ale jej sojusznik. Arogancja zaś zapuszcza korzenie głęboko.

Możemy sobie myśleć, że udało nam się ją wykorzenić, ale znów odrasta i pokrywa się kwieciami życzliwości.

– Już raz porzuciłem mój lud, żeby służyć imperium. Drugi raz nie zrobię tego samego. Pozostaniemy tu i będziemy walczyć wraz z moimi rodakami. Wyzwolenie Nayenu będzie pierwszym krokiem na drodze do zniszczenia imperium i pokrzyżowania wszelkich planów Doktryny.

– Doprawdy? – Czaszki kruków we włosach Syczącej Kocicy zagrzechotały, gdy potrząsnęła głową. – Powiedzmy, że mogłabym ci pomóc, porzucić cię albo zabić tu i teraz.

Przeszył mnie dreszcz, a starucha wyszczerzyła zęby, widząc moją niepewność, i wzruszyła ramionami.

– Tylko jedna decyzja mogłaby w jakikolwiek sposób pokrzyżować plany Doktryny – powiedziała.

Napięcie w moich barkach zaczęło powoli słabnąć.

– Zostaniesz więc? Będziesz walczyć wraz z nami?

Starucha prychnęła i kucnęła obok paleniska. Futra zakryły jej skrzyżowane nogi.

– Jasne, zostanę. Przynajmniej do chwili, gdy odbijesz się od muru własnej głupoty i zaczniesz słuchać mojej mądrości. – Szturchnęła żar, który odżył. – Ale wiedz jedno, Kundlu. Nie chodzi już o imperialną karierę czy odrobinę magii. Teraz zależy nam na mocach, które kiedyś rodziły góry i wprawiały morza w stan wrzenia.

Nie była do końca przekonana. Przeczynałem, że jej ochota, by mnie wspierać, balansuje na krawędzi przepaści i moje następne słowa mogły okazać się tchnieniem wiatru, który strąci ją w dół. Miałem na szczęście tyle zdrowego rozsądku, by zostawić ją z jej ogniem i kośćmi i wyjść.



Wyprowadzony z równowagi i zmęczony pełnymi napięciami rozmowami, udałem się na poszukiwanie jedyne miejsce, w którym miałem nadzieję znaleźć ciszę i spokój.

Podczas naszego tygodniowego pobytu w Twierdzy Szarego Mrozu doktor Sho wybrał komnatę w możliwie najlepszym stanie i zamienił ją na prowizoryczny lazaret. Pośłania i koce pozostawione przez tych, którzy polegli w obronie fortecy, należały teraz do ich rannych towarzyszy. Po bitwie sam uleczyłem wiele ran za pomocą magii i większość naszych rekonwalescentów potrzebowała teraz jedynie odpoczynku i wzmacniających naparów, by wrócić do pełni sił. Jednakże trójka pacjentów była nieprzytomna, gdy odbudowywałem ich połamane kości i goiłem otwarte rany. Żadne z nich się jeszcze nie obudziło.

Gdy wszedłem do środka, doktor Sho klęczał przy jednej z nich, młodej, pięknej kobiecie. Podtrzymywał jej głowę i próbował wlać do ust odrobinę ciepłej herbaty. Nieopodal przysiadł pies, którego uratowaliśmy przed okrucieństwem imperialnego patrolu, a który potem odezwał się głosem swojego imiennika – Okary. Uniósł łeb na mój widok, a potem otarł się o moją nogę i wywalił język, gdy drapałem go za uchem.

– Nie słyszałem żadnych eksplozji, a więc zakładam, że rozmowa z wujem się powiodła – rzekł doktor Sho na powitanie, nie unosząc głowy.

– W miarę – mruknąłem. – Wyruszamy jutro.

Doktor Sho otarł ślinę i krople herbaty z ust pacjentki, a potem westchnął i przeczesał dłonią rzadkie włosy.

– A myślałem, że już się w życiu napatrzyłem na wojnę.

Ukłuło mnie poczucie winy. Przez większość ubiegłego roku doktor był moim towarzyszem podczas wędrówki przez Nayen. Prowadziłem samotne, ponure życie, które rzadko kiedy rozświetlał promyk przyjaźni. Na myśl o tym, że pociągnę tego

miłującego pokój człowieka w świat agresji, czułem się jak zdrajca. Jednakże wizja rozstania obudziła we mnie bolesny żal.

Nim jednak opanowałem emocje, nie mówiąc już o daniu im upustu, Sho zaczął pakować worki z ziołami, moździerz, tłuczek i kilka metalowych instrumentów nieznanego przeznaczenia do szufladek kufra z lekami.

– Musimy sporządzić jakieś nosze dla naszych pacjentów. Tylko potwór by ich tu pozostawił. Znajdź jakieś włócznie. Świetnie się nadadzą po odłamaniu ostrzy.

Wezbrała we mnie wdzięczność, która pochłonęła poczucie winy.

– Oczywiście – powiedziałem, zawstydzony tym, że zadrzał mi głos. – I dziękuję ci.

Doktor Sho uniósł głowę i spojrzał na mnie, marszcząc czoło. Patrzyłem w jego ciemne, stare oczy, które przyglądały się rozwojowi imperium od chwili jego powstania.

Raz, gdy byłem dzieckiem, ostrzegł mnie przed moją żądzą zawładnięcia magią, gdyż był boleśnie świadom ceny, jaką należy za to zapłacić. Arogancja i głupota nie pozwoliły mi wówczas z tej dobrej rady skorzystać. Być może drugie ostrzeżenie, wygłoszone w Twierdzy Szarego Mrozu, gdzie otaczały nas wielkie tajemnice, zdołałoby uchronić mnie od upadku.

Sho skinął głową, a ja udałem się na poszukiwanie włóczy, nadal w swojej ignorancji wierząc, że mogę poprowadzić tę małą armię ku zwycięstwu, wyzwoleniu i zagładzie imperium.

Niemożliwość

Dłoń Lotka

Niektóre rzeczy miały być niemożliwe. Słońce nie mogło wstać na zachodzie ani zająć na wschodzie. Martwi nie mogli powstać z grobów. Niczyja magia nie mogła przemóc woli cesarza.

Mimo to Wen Olcha, odrąbana Dłoń, rozerwał kanon magii, jakby to była kartka mokrego papieru.

Lotka czuł na sobie spojrzenia swych żołnierzy, gdy upokorzony wiódł ich po serpentynach, po których wspinali się ledwie kilka dni wcześniej. Wówczas ich sztandary dumnie łopotały na wietrze, a nad lasem włóczni niosły się marszowe pieśni. Choć szli wśród zasypanych śniegiem pól, by stoczyć bitwę w samym środku zimy, wszyscy mieli świadomość misji i czuli pewność zwycięstwa.

Jadąc na czele kolumny, obok Głosu Przewodnika i Dłoni Żara, Lotka przez chwilę rozumiał, dlaczego jego brat Wilga tak bardzo kochał piękno rzemiosła wojennego. Tę fascynację wykorzystał zdrajca Wen Olcha, który zwabił Wilgę do Żelaznego Miasta, gdzie ten zginął.

Nad niemrawy rytm kroków maszerującej piechoty wzniósł się stukot kopyt. Kapitan Huo, zastępca dowódcy Lotki, ściągnął

wodze wierzchowca obok niego i przytknął pięść do piersi w salucie.

– Dłoni, robi się ciemno – oznajmił. Wokół jego ust pojawiły się kłęby pary. – Może nadszedł czas, żeby znaleźć miejsce na rozbicie obozu?

Lotka z zaskoczeniem uświadomił sobie, że w istocie nadciąga zmierzch. Wydawać by się mogło, że jeszcze chwilę temu opuścił Olchę stojącego nad ciałem Głosu Przewodnika, ale mimo to upłynęła większość dnia. Jego ludzie maszerowali bez jedzenia i odpoczynku, lecz sam Lotka nie czuł głodu. Dokuczały mu za to mdłości oraz strach, który wraz z zimnem przenikał futrzane odzienie.

– Nie, kapitanie. Idziemy prosto do Nory.

Huo wyprostował się w siodle. Jego brwi drgnęły, jakby w duchu nie zgadzał się z tą decyzją, ale żaden zwykły człowiek, bez względu na swoją rangę, nie mógł zakwestionować decyzji Dłoni cesarza. Nawet takiego, który w akcie czystego tchórzostwa porzucił szansę na osiągnięcie pewnego zwycięstwa.

– Ekscelencjo – powiedział Huo z napięciem w głosie – nasi ludzie muszą jeść i spać. Mamy szczęście, że nie pada śnieg, ale nocą zrobi się zimno. Potrzeba nam czasu na przygotowanie porządnego obozu, na rozpalenie ognia i przyrządzenie ciepłej stawy. Nora znajduje się w odległości połowy dnia marszu.

Lotka wyprostował się w siodle. Huo był od niego starszy o pięć, sześć lat, ale wiek odcisnął już piętno na jego twardej, ogorzałej twarzy. Lotka czuł się przy nim jak dziecko, jakby nadal szlifował technikę dosiadanania konia w ogrodzie ojca, a nie dowodził legionem.

– Nie prosiłem cię o radę, kapitanie – przemówił twardo Lotka, ale bez emocji, naśladując ton, jakim ojciec karcił niższych urzędników, kiedy spartaczyli jakąś sprawę. – Idziemy do Nory.

Kapitan powoli wypuścił powietrze przez krzywy, często łamany nos, jakby wyciszał emocje.

– Nikt nas nie ściga, Ekscelencjo. A gdyby tak było, niedobitki z Twierdzy Szarego...

– Nie interesuje mnie to – parsknął Lotka. Mięśnie jego barków zeszywniały z gniewu. Wpatrywał się przez moment ze złością w Huo, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. – Wydałem rozkaz, kapitanie, i ma on zostać wypełniony.

– Oczywiście, Ekscelencjo. – Huo zasalutował z energią, choć na jego obliczu malowała się frustracja. Zawrócił konia i popędził wzdłuż kolumny, przekazując rozkaz.

Tu i ówdzie rozległy się ciche jęki, a Lotkę przeszył wstyd. Nieliczni ocalali obrońcy Twierdzy Szarego Mrozu nie stanowili zagrożenia dla jego żołnierzy i wszyscy oni o tym wiedzieli. Widzieli ogień i wiatr, który zadał im takie straty pod murami fortecy, ale widzieli też Wena Olchę i jego babkę wiedźmę sprowadzonych na ziemię.

Nie mieli jednak świadomości, że kanon został strzaskany, ani nie widzieli poczerniałego ciała Głosu Przewodnika.

Lotka udał się do Twierdzy Szarego Mrozu w poszukiwaniu odpowiedzi, na którą zasługiwał Wilga. Olcha pocieszał go przy grobie jego brata, a w zamian sam prosił o pokrzepienie. Jego życzliwość była niczym płatki róży i odciągała uwagę od zdradzieckich cierni.

„Czy to wydaje ci się słuszne?” – Lotka chciał spytać Olchę, gdy ten znalazłby się u jego stóp, pokonany i zakuty w kajdany. „Czy słusznie postąpiłeś, zdradzając mojego brata, żeby potem imperium dało ci wszystko?” A następnie chciał zadać kolejne pytanie: „Czy słuszne było zabicie Przewodnika, twojego mentora?”

Aby usłyszeć wyjaśnienia odrąbanej Dłoni, Lotka potrzebowałby mocy. Potrzebowałby magii i całej potęgi imperium za sobą.

Znad lasu dobiegł ostry krzyk jastrzębia. Lotka rozejrzał się po niebie i sięgnął po magię, ale jego umysł cofnął się, gdy dotknął bezmiaru niekontrolowanej magii. Jej bezdenne oceany obiecywały jedynie chaos. Bez kanonu magii, który kierował jego ruchami, Lotka mógł mieć spore problemy z przywołaniem magicznej osłony. Równie dobrze mógłby sam siebie spalić. Powtarzał sobie w myślach, że niebawem kolumna znajdzie się na tyle blisko Fortecy Zachodzącego Słońca, iż będzie mógł otrzymać kanon od Głosu Wieku Obfitości, który nią władał. Musiał więc dalej poganiać ludzi.

Przecież musiał przeżyć.



Gdy wyczerpany oddział Lotki dotarł do Nory, na skrzącym śniegu zaigrał niebieskawy blask świtu. Większość żołnierzy padła zaledwie kilka kroków od drogi i ledwo oczyściła ziemię pod posłania, podczas gdy kręcący się dookoła nich sierżanci wykrzykiwali zdawkowe rozkazy, każąc rozpalić ogniska.

Lotka udał się z kapitanem Huo i strażą honorową do domu sędziego. Zsiedli z koni na dziedzińcu, niedaleko kręgów koszy z płonącym żarem, który topił śnieg. Lotka przekazał wodze sennemu służącemu i przez moment walczył z pokusą, by dołączyć do swoich ludzi i rozgrzać zmarznięte ręce nad żarem. Był jednak Dłonią, a to oznaczało, że nie mógł otwarcie zdradzać swoich słabości, tak jak nie mógł zniżyć się do spania na ziemi.

Głos Przewodnik nigdy nie przykładał wielkiej wagi do tego, co stosowne, ale przecież szanowano go powszechnie za zdolności i wielką inteligencję. Lotka zaś nadal musiał zapracować sobie na uznanie, a więc nie podszedł do ognia

i stał kilka kroków od najbliższego kosza, marznąc i trzęsąc się z zimna.

Na szczęście nie czekał długo, gdy sędzia Lu Czysta Rzeka stanął w drzwiach głównej budowli, a za nim pojawiło się trzech członków miejskiego garnizonu. Lotka pamiętał sędziego z podróży na północ – był to niski człowiek o ciemnej karnacji i rudawych włosach, które zdradzały nayeńskie pochodzenie i kontrastowały z jedwabnymi szatami i czapką uczonego. Jego rękawy zafalowały, gdy zatarł marznące dłonie, ale utrzymywał wystudiowaną pozę, jakiej oczekiwano po sieneńskim sędzim, nawet jeśli miał barbarzyńskie pochodzenie.

– Ekscelencjo! – Czysta Rzeka uklonił się i wyprostował, po tym jak Lotka nagrodził go skinieniem głowy. – Nie spodziewaliśmy się tak szybkiego powrotu. Czy Głos Przewodnik i Dłoń Żar nadal są pod Twierdzą Szarego Mrozu?

Lotka stłumił nagłą falę nienawiści wobec tego człowieka. Sztywnym krokiem przeszedł obok niego, chowając dłonie w rękawach płaszcza, by ukryć ich drżenie, trudno powiedzieć, czy wywołane gniewem, czy może zimnem.

– Moi ludzie obozują pod murami. Przed nastaniem południa mają zostać nakarmieni, a ich zapasy odnowione.

– Oczywiście, Dłoni Lotko – powiedział Czysta Rzeka, znów pochylając głowę, choć w jego przenikliwym wzroku widać było dziesiątki niewypowiedzianych pytań. To samo spojrzenie Lotka czuł kiedyś na sobie, gdy stał nad grobem Wilgi.

Lotka marzył tylko o tym, by nakryć się ciepłym kocem i spać tak długo, jak pozwoli na to rozsądek i ostrożność, ale wiedział, że niebezpieczeństwo, przed którym uciekał, niebawem dopadnie i Norę. Ci ludzie zasługiwali na szansę przetrwania.

– Głos Przewodnik i Dłoń Żar nie żyją – oznajmił.

Kapitan Huo odkasznął zaskoczony. Najwyraźniej nie spodziewał się, że tragedia spod Twierdzy Szarego Mrozu

zostanie przedstawiona w tak brutalny sposób. Czysta Rzeka zamrugnął, maskując zaskoczenie.

– Wen Olcha, odrąbana Dłoń, któremu pozwoliliście przejść przez Norę, pokonał ich. Nie protestuj, bo cię nie winię. Gdybyś próbował go powstrzymać, z tego miasta pozostałyby jedynie zgliszcza. Głos Przewodnik nie docenił jego siły. Wen Olcha przewodzi teraz resztkom sił buntowników w Twierdzy Szarego Mrozu. Potrzebujemy wsparcia, żeby stawić mu czoła.

– Czy was ścigają? – spytał nerwowo Czysta Rzeka. – Czy zamierzasz stanąć tutaj przeciwko buntownikom?

Lotka najeżył się, słysząc pytania. Lu Czysta Rzeka nie ośmieliłby się zwrócić w ten sposób do Głosu Przewodnika czy Dłoni Żara.

– Jesteśmy w zbliżonym wieku, sędzio Lu, ale w wielkiej rodzinie imperium jestem twoim starszym bratem.

– Oczywiście. – Czysta Rzeka znów pochylił głowę. Kilka loków wyslizgnęło się spod jego czapki. – Proszę wybaczyć zuchwałość, Ekscelencjo. Zaskoczenie twoim przyjazdem na moment przyćmiło mój zdrowy rozsądek. To się nie zdarzy ponownie.

– Ilu ludzi masz w garnizonie? – przerwał mu Lotka.

– Sześćdziesięciu pięciu, Ekscelencjo, w tym moją osobistą straż.

Kropla w morzu potrzeb, ale przecież wiedział o tym od samego początku, prawda?

W głowie czuł zamęt i pustkę, wywołane przeraźliwym zimnem i długim marszem.

– Zabiorę ich ze sobą.

– Co... – Czysta Rzeka zakrztusił się. – Przecież wśród wzgórz wciąż czai się sporo bandytów, Ekscelencjo!

– A ci szybko połączą swoje siły z buntownikami – odparł Lotka. – Chcieliśmy ich zetrzeć na pył w Twierdzy Szarego

Mrozu, ale straciliśmy przewagę w magii. Lepiej się wycofywać i podjąć walkę na innych, lepszych warunkach.

– Do Fortecy Zachodzącego Słońca – powiedział Lu, uważając, by nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Gdzie twoje pokoje gościnne? – Lotka rozejrzał się po osobliwym wnętrzu domu sędziego, wielkiej budowli otaczającej wewnętrzny dziedziniec. – Kapitan i ja powinniśmy przespać kilka godzin.

– Oczywiście, Ekscelencjo. – Lu Czysta Rzeka skinął na jednego ze swoich strażników. – Porucznik Pa wskaże wam drogę.

– Jeśli to nie problem, Ekscelencjo – Huo zasalutował – wolę spać z moimi ludźmi.

Lotka wiedział, że widok dowódcy, który znosi te same trudy co zwykli żołnierze, wzmocni morale wyczerpanego forsownym marszem oddziału lub przynajmniej załagodzi ich oburzenie, ale mimo to najeżył się. Każda sugestia Huo, choć wszystkie były sensowne, wydawała się podminowywać jego pozycję.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Wystaw minimalną straż. Nie sądzę, żeby buntownicy nas ścigali, a ludzie muszą się wyspać.

Huo znów zasalutował i odszedł, a Lotka podążył za strażnikiem Czystej Rzeki po schodach. Jego łydki wydawały się jak z ołowiu i każdy krok sprawiał mu ból. W pokoju gościnnym już rozpalono ogień, dzięki czemu panowało tam miłe ciepło. Lotka zdjął płaszcz oraz zbroję i zrzucił je na podłogę przy drzwiach. Kiedy zjawił się służący z tacą z jedzeniem i srebrną miską pełną parującej wody, Lotka zdjął szatę podróżną i obmył ramiona oraz klatkę piersiową. Do ciepłej wody wrzucono skórki cytrusów, co przydało jej aromatu. W miesiącach zimowych zakrawało to wręcz na rozrzutność i gospodarz bez wątplenia chciał w ten sposób go uczcić, ale Lotka tym bardziej

nie mógł zapomnieć o jego zuchwałych pytaniach. Myjąc się, przyniósł ulgę mięśniom, ale bynajmniej nie rozproszył lęku, który nadal czaił się w żołądku. Wcisnął w siebie tylko kilka kęsów wspaniale pachnącego ryżu z wieprzowiną i sosem sojowym, a potem padł na łóżko.

Jednakże sen okazał się równie osiągalny jak kanon magii. Lotka leżał z otwartymi oczami i wsłuchiwał się w kroki służby w innych pokojach, głosy rozbrzmiewające echem na dziedzińcu i trzaskający ogień w palenisku. W końcu wyczerpanie wzięło górę i zaczęło wciągać go w odmęty snu. Jego myśli wirowały, a strach rozpływał się.

Udało mu się być może zdrzemnąć na kilka uderzeń serca, gdy omyła go fala magii, mocna i stabilna jak korzenie góry.

„Dłoni Lotko” – odezwał się głos w jego umyśle, donośny niczym grom na niebie.

Strach powrócił, silniejszy niż wcześniej, i Lotce zebrało się na wymioty. Usiadł gwałtownie, odrzucając na bok koce. Jęknął, gdy ogarnęło go zimno. To sam cesarz odezwał się w jego umyśle.

– Wasza Wysokość – powiedział Lotka do pustego pokoju, a potem zerwał się i padł na podłogę, drżąc z zimna w jedwabnej szacie, którą założył do snu. Znalazł się w obliczu cesarza jedynie raz, gdy wraz z Wilgą towarzyszyli ojcu podczas audiencji w Fortecy Centralnej. Tak jak wtedy, przycisnął czoło do podłogi. – Czym sobie zasłużyłem na ten zaszczyt?

„Nie musisz nic mówić. Sam obejrzę twoje myśli”.

Wola cesarza przeniknęła umysł Lotki i wydobyła jego wspomnienia. Znów ujrzał obrazy z bitwy pod Twierdzą Szarego Mrozu, przemykające jak uderzenie skrzydeł motyla. Burza ognia, błyskawic i wiatru. Ucieczka wiedźm i czarowników. Rozdarte gardło Żaru. Olcha skrępowany, a potem niespodziewanie wolny. Poczerniałe, dymiące ciało

Przewodnika. Lotka walczył z nudnościami, bo miał wrażenie, że przeżywa wszystko raz jeszcze.

Napór woli cesarza zelżał.

„Porażka, ale sytuacja jest do odratowania. Ufortyfikujesz tę osadę. Z Fortecy Zachodzącego Słońca przybędą posiłki”.

Zgroza przeobraziła się w panikę.

– Wasza Wysokość – powiedział Lotka, ale przypomniał sobie, iż cesarz nie chciał, by się odzywał. Myśli rozpiezchły się, zanim nadał im formę.

„Kimże jestem, żeby kwestionować twoją mądrość?” – przekazał siłą umysłu.

„Mimo to w duchu się sprzeciwiasz” – rzekł cesarz. „Wyraźnie to wyczuwam. Nie winię cię z powodu twojego lęku, bo nawet ja nie spodziewałem się, że odrąbana Dłoń tak szybko dotrze do takich głębin mocy, ale tym razem będę gotów na jego sztuczki”.

„Z całkowitą pewnością, Wasza Wysokość” – odpowiedział Lotka. „Niestety, jak napisał Wędrujący Wąskim Traktem, nawet najlepszy rzemieślnik nie osiągnie swojego celu, jeśli będzie miał do dyspozycji kiepskie narzędzia”.

Przez chwilę trwała cisza. Transmisja ze strony cesarza okazała się ciężkim doznaniem. Szarpała wszystkie nerwy Lotki i przygniatała go do drewnianej podłogi, nagiego i trzęsącego się. Dłonie wsparte o deski drętwiały. Naraz przeszła przez niego fala mocy przypominająca podmuch wiatru trącający rozwieszony jedwabie.

„Zabawne. Dobrze wiem, co chcesz mi przekazać, Dłoni Lotko. Tak czy owak, nie pozwolę, żeby mojemu imperium cokolwiek groziło. Zaczekasz w Norze na posiłki”.

Nacisk zaczął słabnąć, a cesarz oddalił się, pozostawiając Lotce rozkazy, które z całkowitą pewnością oznaczały wyrok śmierci dla niego i wszystkich jego ludzi.

Ukłuło go poczucie winy. Czyżby wątpił w moc cesarza? Nie. Powątpiewał jedynie we własną. Nie sądził, by udało mu się kiedykolwiek wyciągnąć odpowiedzi od Olchy, nawet gdyby pomagał mu sam cesarz.

– To wielka okazja – wypalił, zaskakując sam siebie.

Znów poczuł ciężar uwagi cesarza. Dociekliwe pytania zadawane Dłoni przez Czystą Rzekę były zniewagą, ale kwestionowanie woli cesarza stanowiło w zasadzie herezję. Ba, graniczyło ze zdradą, ale Lotka z mocno bijącym sercem nie poddawał się.

Ułożył swoją wypowiedź w myślach.

„Od czasu podboju te ziemie bez przerwy wstrząsane są powstaniem. Wystarczy zagasić jeden pożar, a zaraz gdzieś wybucha inny. Wen Olcha dał nam jednak okazję, żeby za jednym zamachem zgasić każdy żarzący się węgielek. Po tym, co się stało pod murami Twierdzy Szarego Mrozu, buntownicy ruszą za odrąbaną Dłonią. Nie tylko ci, którzy już z nami walczą, ale również ci, którzy z nimi sympatyzują”.

W jego umyśle powstawał plan. Wiedział już, co należy zrobić, by doczekać chwili, gdy Olcha znajdzie się na kolanach. Wiedział, jak usprawiedliwić działania, które w najlepszym razie zostaną odebrane jako tchórzostwo, a w najgorszym jako szaleństwo.

„To wszystko?”

„Nie, Wasza Wysokość” – odparł Lotka, wmawiając sobie, że w potężnym głosie władcy pojawiła się nutka zaciekawienia. Cóż to był za idiotyczny pomysł. Przecież cesarz wiedział o wszystkim, a więc trudno, by cokolwiek go zaciekawiło. Mimo to czuł ciężar umysłu cesarza, który uważnie przeglądał myśli Lotki, przewracając je jak kartki w książce. Wnikał nie tylko w ledwie zarysowany plan, który ten właśnie obmyślał, ale analizował również tchórzostwo, które skłoniło go do ułożenia tegoż planu. Lotka wzdrygnął się, lecz spróbował zdusić

obrzydzenie. Przecież wystarczyło, że zakwestionował wolę cesarza. Gdyby sprzeciwił się jego prawu do wejścia w umysł poddanego, z całą pewnością zostałby skazany na śmierć.

Rozpłaszczył się na podłodze. Dłonie i czoło sztywniały, a oddech był płytki. Sapiąc nerwowo, czekał, aż cesarz potępi go za zuchwalstwo lub zabije magiczną eksplozją z drugiej połowy kontynentu.

„Wedle tego, co mówił twój ojciec, to twój brat był zainteresowany strategią i taktyką, ale wygląda na to, że ty również odziedziczyłeś jakiś talent w tym kierunku” – powiedział w końcu cesarz. Jego uwaga zaczynała się rozpraszać. „Dobrze więc. Kontynuuj odwrót. Jeśli twój plan zadziała, osobiście wydam ci nowe rozkazy, gdy spotkamy się we Wschodniej Fortecy”.

Ciężar transmisji opuścił wreszcie ciało Lotki, który zaległ wyczerpany, nie mogąc poruszyć ręką ani nogą. W jego głowie panował chaos przypominający pierwszą lekcję kaligrafii małego dziecka. Rzucił wyzwanie cesarzowi i wygrał.

To również powinno być niemożliwością.

Jego zaskoczenie nie miało granic, ale wtedy uświadomił sobie równie szokującą rzecz. Cesarz dał mu do zrozumienia, że osobiście poprowadzi karną ekspedycję do Nayenu. Z tego, co Lotka wiedział, cesarz nie opuścił Fortecy Centralnej od czasu zmiążdżenia rebelii mówców kamieni z Toa Alon. Zrównał z ziemią ich święte miasto Sor Cala i przywalił je górą. Jakie przeznaczenie Lotka właśnie ściągnął na Nayen?

Nie miało to znaczenia. Liczyło się tylko to, by przeżył, a Olcha został pokonany, zniszczony i zmuszony do wzięcia odpowiedzialności za cierpienie, które wywołał.

Olcha miał poznać cenę zdrady, a potem wszystko będzie jak należy.

Propozycja

Koro Ha

Jeszcze raz – powiedział Koro Ha i postukał się po głowie rączką pędzelka do pisania. – Jakie są trzy filary imperium?

Uczył chłopaka od dwóch lat, a Bo Wiosenna Radość wpatrywał się w nauczyciela z wyzywającą tępotą na twarzy.

– Właśnie przeczytałem ci na głos fragment myśli Wędrującego Wąskim Traktem. – Koro Ha nabrał tchu, by uspokoić głos. Gniewem nie zdoła zmotywować ucznia do wspięcia się na wyżyny sukcesu. – Gdybyś był tak uprzejmy, młody paniczku Wiosenna Radość, i sięgnął swym umysłem pięć minut wstecz, być może znalazłbyś odpowiedź, której szukasz.

Chłopak zamrugał.

– Nie pamiętam.

Koro Ha zamknął oczy. Uczenie tego dzieciaka było niczym udzielanie nauk głazowi. Nic dziwnego, że jego ojciec był skłonny zapłacić aż tyle. Obiecał mu nawet rentę oraz dom, w którym nauczyciel będzie mógł zamieszkać na emeryturze, jeśli chłopak zda cesarskie egzaminy.

Koro Ha już trzykrotnie przeprowadził dziesięcioletni cykl szkolenia i właśnie rozpoczął czwarty. Przejście od analizy niuansów sieneńskiej doktryny z bystrym, czytany

młodzieńcem do pracy z siedmiolatkiem, który musiał poznawać absolutne podstawy, zawsze było trudne, ale rozpoczynając pracę z Bo Wiosenną Radością po dekadzie z Wenem Olchą, miał wrażenie, że przez dziesięć lat pił wyśmienitą herbatę, po czym zaczerpnął do filiżanki nieco zawartości świńskiego koryta.

Zastanawiał się, jak Olcha sobie radzi. W końcu od dwóch lat był już uczniem Dłoni Przewodnika. Koro Ha zwracał baczną uwagę na wszystkie wieści z Nayenu i słyszał plotki o powstaniu na północy – wśród wzgórz ponoć wciąż czaiła się owiana złowieszczą sławą Wściekła Wilczyca – ale nie usłyszał niczego o pierwszej nayeńskiej Dłoni. Uznał, że to chyba dobrze, bo przecież musiało upłynąć przynajmniej pięć lat, nim Olcha zostanie wysłany, by zarządzać jakąś kolonią, lub rozpocznie służbę dla cesarza w Sienie.

Koro Ha znów nabrał ochoty, by poużalać się nad sobą. Nieoczekiwany sukces jego ucznia obudził w nim żal i rozczarowanie, które – jak sądził – wygasły wiele lat temu. Pierwsza Dłoń z Nayenu. A gdzie była pierwsza Dłoń z Toa Alon, o wiele starszej kolonii?

Cóż, stare żale i pretensje nie mogły w żaden sposób poprawić jego obecnej sytuacji. Otworzył oczy i ujrzał Bo Wiosenną Radość dłubiącego z zapalem w nosie. Nauczyciel patrzył, zaskoczony i przepełniony odrazą, jak chłopak wyciąga palec z nosa, ciągnąc smark, i kieruje go ku ustom.

– Mistrzu Koro Ha!

Będący wybawieniem głos dobiegł zza zagajnika z bambusami, które odgradzały Pawilon Łaski i Harmonii od tysięcy widoków, jakże łatwo odciągających uwagę Wiosennej Radości od nauki. Wystarczyła służąca z praniem, wróble skaczące po ścieżce czy jakikolwiek odgłos, by chłopak zapomniał o tym, co miał zrobić. Tym razem jednak Koro Ha ucieszył się z tego, że coś przerwało lekcję.

– Opłucz dłonie w sadzawce, paniczu Wiosenna Radość – powiedział Koro Ha.

Chłopak wpatrywał się w nauczyciela przez chwilę, a w jego szeroko otwartych oczach błysnęła nadzieja.

– Czy mam potem wrócić na lekcję?

Koro Ha westchnął i potrząsnął głową. Wiosenna Radość zerwał się na równe nogi i wypadł po schodkach z pawilonu, pędząc w stronę głównego domu, niemalże potykając się o szatę. Po drodze minął zarządcę Rina, który spojrzał na chłopaka z troską, człapiąc ścieżką przed siebie.

– Już po pracy na dziś, mistrzu Koro Ha? – spytał Rin. – Mam wrażenie, że rozpoczęłeś naukę zaledwie godzinę temu.

– Póki co mam dość. – Koro Ha powstał, by powitać zarządcę. – Chłopak musi odpocząć, i ja zresztą też. Wszak rzeźbić kamień za pomocą pędzelka do pisania można jedynie dopóty, dopóki sił starczy.

– Surowo oceniasz swojego ucznia. Czyżby był to cytat z któregoś z twoich mędrców?

– Nie. Wołałeś mnie. Czy pan Surowa Zima mnie potrzebuje?

Rin pochylił łysiejącą głowę.

– Przybył gość. To kupiec z Toa Alon. Spożywa właśnie obiad z sędzią, a w trakcie ich rozmowy wypłynął temat wykształcenia młodego panicza. Pan Surowa Zima wspomniał twoje imię, na co nasz gość zareagował z miłym zaskoczeniem. Wygląda na to, że przyjaźniliście się za młodu.

– Doprawdy? – Koro Ha opuścił Toa Alon trzy dekady temu, a powrócił tam tylko raz, dwadzieścia lat temu, na wieść o śmierci matki. Z ojczyzną wiązały go jedynie osoby ojca i siostry, choć kontakty ograniczały się do okazjonalnej korespondencji oraz garści srebrnych monet wysyłanych jesienią na Festiwal Żniw.

Nawet jako dziecko Koro Ha był przekonany, że bystry umysł pozwoli mu wyrwać się z biedy i rozpacz, w której pogrążyła

się jego kraina po zniszczeniu Sor Cala. Pamiętał dzieci, z którymi się uczył – ludzie we wsi składali się na nauczyciela, który zajmował się kilkunastoma uczniami – ale żadnego nie mógłby nazwać przyjacielem, a już na pewno nie kogoś, kto mógłby gościć w domu sędziego.

– Chodź! Chodź! – zachęcał go Rin. – Zjesz i napijesz się z nimi. Nasz gość nalega!

– A przedstawił się jakoś ten gość? – spytał Koro Ha, ruszając w ślad za zarządcą.

– To pan Orna Sin, kupiec specjalizujący się w handlu klejnotami i rzadkimi minerałami, sprowadzanymi na północ z Toa Alon.

Koro Ha nie przypominał sobie nikogo o tym nazwisku, choć musiał przyznać, że nie pamiętał wszystkich dzieci z sąsiedztwa.

– A co kupiec z Toa Alon robi tutaj, tak daleko w głębi lądu?

Rin wzruszył ramionami. Podobnie jak wielu innych zarządców, których Koro Ha poznał, również i jego cechowała obojętność.

– Forteca u Stóp Gór w istocie leży na południowych kresach imperium, ale teraz to ważne miasto – powiedział Rin. – Może kupiec szuka nowych handlowych okazji?

– Być może – zgodził się niechętnie Koro Ha i gestem poprosił Rina, by ten wskazał mu drogę.

Rin poprowadził nauczyciela po misternej, wznoszącej się łukiem kładce, która wiodła do środkowej części posiadłości, gdzie wznosiła się sala przyjęć zwana Sercem Zamożności. Masywna, zwracająca na siebie uwagę, pomalowana w krzykliwe kolory budowla, typowa dla architektury północy, wyróżniała się na tle reszty zabudowy w stylu południowym, w którym dominowały ciemne barwy oraz delikatne kratki.

Niemniej macierzysty – prawdziwy! – Sien leżał właśnie na północy, a południe niegdyś, wiele pokoleń temu, było

niepodległe. Koro Ha odbył w swojej karierze wiele podróży i bez względu na to, jak kształtowały się ludzkie gusta, każdy sędzia od Toa Alon po girzańskie wyżyny budował salę przyjęć na sieneńską modłę.

Sędzia Bo był czwartym sędzią niższej rangi w Fortecy u Stóp Gór. Nie był Głosem ani nawet Dłonią, ale zręcznym politykiem, a do tego człowiekiem zamożnym i dysponującym pewnymi wpływami. Jego sala przyjęć była więc budynkiem wielkim i imponującym, wzniesionym w stylu zdecydowanie północnym, do którego nawiązywały nawet zdobienia takie jak spiralne ornamenty z postaciami węży i lwów czy dryfujące chmury wyryte na drzwiach. Wejście było otwarte, by umożliwić napływ świeżego powietrza. W samym środku sali nakryto okrągły stół z krzesłami o wysokich oparciach, na których rozparli się sędzia Bo oraz przybysz z Toa Alon. Rozmawiali nad talerzami ze słodzionymi owocami liczi i solonymi orzeszkami. Między nimi stał parujący imbryk z aromatyczną herbatą.

– Oto i on! – Sędzia Bo machnął ręką ku Koro Ha. – Oto nauczyciel, o którym wspominałem. Koro Ha, oto Orna Sin, kupiec z twojej ojczyzny. Utrzymuje, że znaliście się w dzieciństwie.

Koro Ha uklonił się kupcowi, a na znak dany przez sędziego usiadł na wskazanym mu krześle. Zarządca Rin napełnił jego filiżankę, a potem pochylił głowę i wycofał się z izby dla gości, pozostawiając ich pod opieką służących, którzy stali w rogach pomieszczenia, gotowi uzupełnić zawartość filiżanek czy talerzy.

– Koro Ha to mój nowy domownik, z którym wiązę wielkie nadzieje – ciągnął sędzia Bo. – Otrzymał propozycje od dwunastu innych rodzin po swoim sukcesie w Nayenie, ale po miesiącach korespondencji przyjął posadę nauczyciela mojego dziedzica, choć nie wątpię, że inni chętni cały czas przesyłali

mu swoje propozycje cenowe. Mój syn to dobry chłopak, choć mało co do niego dociera. Jednak jeśli jest ktoś, komu uda się do niego dotrzeć, będzie to wielki mistrz Koro Ha!

Nauczyciel uśmiechnął się, upił łyk herbaty i pochylił głowę.

– Przypisujecie mi zbyt wiele cnót, panie – rzekł. – Mędrzec Wędrujący Wąskim Traktem uczy nas, że rzeźbiarz nie jest lepszy od jadeitu w swoich dłoniach. A ofert było pięć, a nie dwanaście.

Sędzia Bo machnięciem ręki zbył jego skromność, co obudziło w sercu Koro Ha nieco zawstydzającą falę wdzięczności.

– O jakim sukcesie on mówi? – spytał Orna Sin.

– Coś takiego! A ja sądziłem, że Koro Ha będzie już sławny w Toa Alon! – powiedział sędzia Bo. – Był osobiście odpowiedzialny za wykształcenie Wena Olchy, pierwszej nayeńskiej Dłoni cesarza. Tylko sobie wyobraź! Dłoń wykuta w sercu tej barbarzyńskiej, nieokrzesej prowincji! Tylko prawdziwy geniusz byłby zdolny do czegoś takiego!

– Sędzia Bo znów okazuje nadmierną uprzejmość – odparł Koro Ha. – To Dłoń Przewodnik wybierał ucznia wśród kandydatów, którzy odnieśli sukces.

– Ale zdecydował się na twojego ucznia – zauważył sędzia Bo.

– Przytoczyłeś sentencję Wędrującego Wąskim Traktem o rzeźbiarzu, ale zapomniałeś o jej drugiej części. Nawet najlepszy jadeit zmarnuje się w dłoniach amatora.

– A teraz pracuje dla ciebie. – Orna Sin wzniosł czarkę w toaście. – Dobra decyzja, sędzio Bo. Świetna robota, Koro Ha. Żałuję, że nauczyciel Zhen nie dożył chwili, w której jego najlepszy uczeń osiągnął taki sukces.

Koro Ha był zaskoczony. Uniósł filiżankę, by odwzajemnić toast, i upił łyk łagodnej, rozgrzewającej herbaty, usiłując zebrać myśli.

– To stąd mnie znasz? – spytał, odstawiając filiżankę delikatnie na stół.

Orna Sin odsłonił w uśmiechu wielkie zęby, przebarwione od herbaty i tytoniu.

– Wszyscy uczniowie żywili jakąś... – urwał i machnął lekceważąco ręką, by podkreślić, że nie umie się dobrze wyrazić. – Żywili jakąś dziką nadzieję. Wszyscy cię znaleźliśmy, Koro Ha, jeśli nie wtedy, to później, po egzaminach.

W oczach Orny Sina nie było jednak niczego lekceważącego, gdy przyglądał się postaci Koro Ha tak, jak poszukiwacz złota bada potencjalną żyłę. Koro Ha nie przywykł do tego, że uważano go za inwestycję, i nie spodobało mu się analityczne spojrzenie kupca, nieróżniące się wiele od tego, jakim obrzucano konia wyścigowego.

– Jako pierwszy podnosiłeś rękę, gdy nauczyciel Zhen zadawał pytanie – ciągnął Orna Sin. – I ciebie jedyne go chwalił. Później zrozumieliśmy, że byłeś jedynym, który zdołał w jakiś sensowny sposób wykorzystać cały czas spędzony na nauce i pieniądze wydane przez całą wieś.

Na jego pokrytych białym zarostem policzkach pojawił się uśmiech, który nie docierał jednak do przenikliwych oczu.

– A teraz on pracuje dla ciebie, sędzio Bo.

– Jedynie łaska cesarza i uczciwe prawo rządzące egzaminami mogły to umożliwić – powiedział Koro Ha. Jego słowa w nie do końca zawoalowany sposób sugerowały, jak bardzo prześcignął kupca i jak bezczelne oraz niestosowne było gapienie się na niego jak na towar do obrotu handlowego.

– Zgadza się. To samo sprawiło, że ja, ubogie dziecko zrodzone wśród ruin Sor Cala, zdobyłem bogactwo i zacząłem podróżować po świecie. – Orna Sin w końcu zerwał kontakt wzrokowy i rozparł się na krześle, rozkładając szeroko ręce. – Pozostawiłem tam wielu innych, którzy mieli mniej szczęścia ode mnie.

– W rzeczy samej. – Sędzia Bo napełnił ich czarki i znów wzniósł własną, przypuszczalnie usiłując rozładować napięcie

między dwoma przybyszami z Toa Alon przy jego stole. – Toast za łaskę imperium!

Koro Ha opróżnił naczynie i odstawił je na stół z głośnym brzęknięciem.

– Na jak długo zatrzymujesz się w Podnóżu Gór, Orna Sin?

– Wyruszę w drogę zaraz po załatwieniu interesów – odpowiedział kupiec. – Być może jutro, może nieco później.

– Cóż. – Sędzia Bo podniósł ostatnią słodzoną liczi z platery. – Cieszę się, że mogłem was poznać, ale jestem przekonany, że każdy tylko marzy o tym, żeby powrócić do swoich spraw. Na mnie, niestety, również czekają nużące obowiązki. Ponadto zbyt długo już angażowaliśmy uwagę Koro Ha, który ma przecież sporo pracy z moim synem.

Wstali, wygłosili kilka pożegnalnych uprzejmości i pozostawili stół służbie do uprzątnięcia. Zarządca Rin czekał na sędziego przed pawilonem, by wyrecytować przed nim długą listę spotkań, dokumentów i spraw prawnych wymagających jego natychmiastowej uwagi. Wnet znikli za skalniakiem wznoszącym się na drugim brzegu strumienia. Koro Ha ruszył w ślad za nimi, zastanawiając się, czy potrafi znieść jeszcze kilka godzin wpychania wiedzy do czaszki Wiosennej Radości, gdy Orna Sin dotknął jego łokcia.

Koro Ha zmarszczył brwi, zaskoczony taką poufałością. Czegoś takiego nie miał zamiaru puścić płazem.

– Wiem, że jesteśmy rodakami, panie Orna Sin, ale nie znamy się na tyle dobrze, żeby pozwalać sobie na kontakt fizyczny.

Wtedy Orna wyciągnął z rękawa pasek pożółkłego papieru i wręczył go rozmówcy.

– Sam nauczyciel Zhen oblał egzamin. Myślę, że go zaskoczyłeś, a może nawet upokorzyłeś swoim sukcesem – rzekł i zrobił krok naprzód, by wcisnąć kartkę do dłoni Koro Ha. – Pomyśl tylko, ile szkoła taka jak jego, tyle że prowadzona przez

kogoś takiego jak ty, mogłaby dać Toa Alon. O wiele więcej, niż udaje ci się zdziałać tutaj, jak sądzę.

Palce Koro Ha zmięły papier. W jego sercu pojawiły się słowa protestu. Kim był Orna Sin, by sugerować, że był coś winien rodakom? Przecież swoim sukcesem jako nauczyciel zdziałał więcej dla Toa Alon niż tysiące kupców.

– Co to takiego? – spytał ostro Koro Ha.

– Nie mam tu żadnych interesów. To ty jesteś powodem, dla którego przybyłem do Fortecy u Podnóża Gór – odpowiedział Orna Sin, pokazując poplamione zęby. – Oto mój adres. Tu się zatrzymałem. Jeśli chcesz porozmawiać o przyszłości Toa Alon i twojej w niej roli, spotkaj się tam ze mną dziś wieczór.

Pochylił głowę i nie czekając na służącego, który by go odprowadził, opuścił ogród sędziego. Obracając papier między palcami, Koro Ha patrzył, jak kupiec odchodzi.

Nie co dzień spotykało się w imperium kogoś z Toa Alon. Jeszcze rzadziej udawało się spotkać kogoś, kto mówił to, co myślał, nie siląc się na pokorę i nie ubierając swoich przekonań w eufemizmy.

Przyszłość Toa Alon, myślał. Nie imperium, tylko Toa Alon.

Upłynęło zbyt wiele lat od czasu, gdy po raz ostatni postawił nogę w mieście, które wybudowano wokół ruin Sor Cala. Gdy zamykał oczy, nie mógł już sobie przypomnieć południowych zboczy Boskich Słupów ani zimnych kamieni świętej jaskini pod jego stopami. Kiedy po raz ostatni myślał o takich rzeczach?

Mało brakowało, a zmiąłby kartkę, wrzucił ją do strumyka i zapomniał o Ornie Sinie. Ten człowiek znieważył go przed pracodawcą, naruszył zasady przyzwoitości i nie okazał Koro Ha cienia szacunku, na który ten sobie zapracował. Niemniej irytujące zachowanie przybysza wcale Koro Ha nie odrzucało, lecz obudziło jego ciekawość. Orna Sin był człowiekiem nieokrzesanym, ale czy prostak byłby gotów wydać pieniądze na budowę szkoły?

Koro Ha wsunął kartkę do rękawa i udał się do cichej części ogrodu, by słuchać ptaków, palić fajkę i myśleć.

Szata z cierni

Dłoń Lotka

Dwudziestu sześciu uzbrojonych i ubranych w pancerze żołnierzy garnizonu Nory stało na baczność. Blask ich oczu zdradzał bunt. Na czele grupy stał dowódca, mężczyzna z ostro przyciętą brodą i o twardym spojrzeniu. Wzdłuż jego nosa ciągnęła się blizna. Zacisnął mocno zęby, wpatrując się w nadchodzących Lotkę, Huo i Czystą Rzekę.

Zlekceważył rozkazy i dobrze wiedział, na co sobie zasłużył. Mimo to nie rzucił się na ziemię, by błagać o litość.

Lotce nigdy nie zależało na kontroli, autorytecie czy którymkolwiek z przekleństw wiążących się z jego rangą. Wilga zapewne zdobyłby serca tych żołnierzy samym tylko uśmiechem i ciętym dowcipem. Ileż to razy przekonał gromadę leniwych kuzynów czy dzieci przyjaciół ojca, by wzięli udział w jego dzikich zabawach? Cóż, Wilga mógłby równie dobrze skazać tych ludzi na brutalne kary, bez wątpienia adekwatne do ich przestępstw, i czerpać z tego ponurą satysfakcję.

Lotka zaś powinien być w domu, cieszyć się wygodnym krzesłem, imbrykiem z gorącą herbatą i tomikiem poezji, a przejmować się jedynie garstką gości, których należało podjąć kilkoma tysiącami srebrnych taeli ojca, które musiał wydać. Tak

wyglądało jego przeznaczenie jako drugiego syna, chyba że Wilga zawiódłby pokładane w nim nadzieje lub – cesarzu, uchowaj – umarł.

Jednakże ich ścieżki skręciły w nieoczekiwanych kierunkach i Wilga znalazł się w towarzystwie zdrajcy Wena Olchy, a Lotka stanął w śniegu przed żołnierzami garnizonu Nory.

Lotka zastanawiał się nad dziwną postawą żołnierzy. Przecież wiedzieli, że ich protest nie przyniesie im nic prócz śmierci. Gdyby umiał zrozumieć, dlaczego człowiek był gotów poświęcić własne życie w idiotycznym, nierokującym żadnych nadziei akcie nieposłuszeństwa, być może znalazłby sposób, by przekonać ich wszystkich bez potrzeby przelewania krwi.

Ale przecież zmarnowali już cały ranek. Kapitan Huo przyswajał sobie rozkazy Lotki irytująco powoli, choć te zatwierdził sam cesarz! Do tego żołnierze odmówili wymarszu. Gdyby Lotka machnął na to ręką, wśród tych, którzy już powątpiewali w jego umiejętności jako dowódcy, rozniosłyby się kolejne plotki. Pobłażliwość tylko pozbawiłaby go resztek autorytetu, a wtedy straciłby szansę na dotarcie do bezpiecznego miejsca, nim powstanie Wena Olchy ogarnie południe skrzydłami wiatru i ognia. Jednak świadomość tego w niczym nie pomogła.

– Dowódco, czy chciałbyś się jakoś wytłumaczyć, zanim kapitan Huo odrąbie ci głowę? – zapytał Lotka.

Dowódca wyprostował plecy.

– Ekscelencjo – powiedział – to nasz dom. Nie możemy go porzucić.

– Jesteście żołnierzami imperium – rzekł Lotka ostro. – Jako Dłoń cesarza i wykonawca jego woli, kazałem wam dołączyć do mojej odchodzącej armii. Waszym domem jest teraz ta kolumna.

Dowódca wpatrywał się w niego, ale nie odpowiedział. Lotka zastanawiał się, jakie słowa Wilga dobrałby w obliczu takiego

buntu, choć o wiele łatwiej byłoby sobie wyobrazić, jak zachowałby się Dłoń Żar. Zadziałałby szybko, bez litości, z brutalną skutecznością.

Przecież tak należało, czyż nie? Jednak Lotka nadal nie mógł pogodzić się z tą koniecznością. Wyobraził sobie, jak głowa dowódcy spada na ziemię, a z uciętej szyi tryska krew.

– Kapitanie Huo! – odezwał się. Paląca żółć podeszła mu do gardła. – Przeprowadź egzekucję tego człowieka za niesubordynację.

Huo zawahał się jedynie na moment, wystarczająco długi, by Lotka zrozumiał, że rozkaz napawa go obrzydzeniem, po czym wyszarpnął miecz z pochwy. Słońce odbiło się od klingi, gdy odwrócił się, by wykonać cięcie.

– Ekscelencjo! – zawołał Czysta Rzeka, pochylając nisko głowę. Zarumienił się, przez co jego skóra wydawała się ciemniejsza, a piegi stały się wyraźne jak plamki farby. Czyżby powodował nim wstyd? A może gniew? – Wybacz, ale muszę zamienić z tobą słowo na osobności!

Lotka skrzywił się, patrząc na sędziego, który uklonił się jeszcze niżej. Na jego obliczu malowała się troska. Z całą pewnością wiedział, że przesadził, tym bardziej że poprzedniego dnia zdobył się na bezczelne zachowanie, ale mimo to w jego oczach połyskiwała zawziętość i determinacja. Dlaczego był gotów ryzykować w imieniu swoich ludzi? Czy był to szlachetny czyn, stosowny dla sędziego, niemalże starszego brata dowódcy garnizonu?

Dowódca garnizonu patrzył przed siebie, zaciskając mocno zęby. Jedynie drżąca warga zdradzała strach, który nim zawładnął. Mimo to nie zdradził lęku nawet na widok nagiego ostrza. Huo trzymał miecz w gotowości. Gdyby było to pytanie na egzaminie imperialnym, odpowiedź byłaby prosta. Wystarczyłyby cztery słowa do Huo, wygłoszone stanowczym tonem: „Rób, co ci każę”. Potem być może musiałby

przeprowadzić jeszcze jedną egzekucję, by nagrodzić miejscowego sędziego za kilkakrotne pogwałcenie ram hierarchii i zasad przyzwoitości. W najlepszym razie skazałby go na publiczne upokorzenie – być może chłostę – i pozbawił cesarskiego urzędu.

Tymczasem nie miał przed sobą eseju do napisania, ale zwykle życie, i słowa, które tak łatwo wymalowałby pędzelkiem, utknęły mu w gardle.

– Chwila, kapitanie – powiedział Lotka i udał się w ślad za Czystą Rzeką na przeciwny skraj dziedzińca.

– Proszę wybaczyć mi śmiałość, Ekscelencjo, gdyż wiem, że nie mam prawa. – Czysta Rzeka znów się uklonił. – Błagam cię o litość. Wei to dobry człowiek i świetny dowódca. Ma dwóch młodych synów. Prędzej by umarł, niż ich porzucił, co sam widziałeś.

Lotka potrząsnął głową.

– Twój człowiek podważył mój autorytet, zupełnie tak jak ty teraz. Karą za to jest śmierć. Jak pisał mędrzec Szuwarey w Wodzie: „Chwasty zamętu należy wyrwać wraz z korzeniami, a chaos i nieporządek trzeba zwalczać wszędzie, gdzie się je napotka”.

– Prawda, Ekscelencjo. – Czysta Rzeka krzywił się przez chwilę, ewidentnie myśląc o własnej przewinie, ale mimo to kontynuował: – Nie podważam tego, że dowódca okazał ci brak szacunku. Nie twierdzę też, że kara wyznaczona przez doktrynę to błąd. Zastanawiam się jedynie, co imperium zyska na jego śmierci. Żołnierze go kochają. Jeśli każesz ściąć ich dowódcę, stawią tym zacieklejszy opór. Mają w perspektywie karę śmierci, wyjdą w twojej kolumnie z Nory, ale uciekną przy pierwszej sposobności lub poderzną ci gardło we śnie.

– Jestem Dłonią cesarza. – Lotka wyczuł drżenie w swoim głosie i zapanował nad nim, choć na mdłości nie mógł nic

poradzić. – Jestem zobowiązany do wypełniania woli cesarza wedle przykazań doktryny.

Lu Czysta Rzeka pochylił nisko głowę.

– Oczywiście, Ekscelencjo. Ale co przysłuży się imperium bardziej: egzekucja ukochanego dowódcy, który sprzeciwił się dziwnemu i nieoczekiwanemu rozkazowi, czy wysłanie go tam, gdzie jego talenty okażą się użyteczne? Czy mędracy nie powtarzają w swoich zapiskach, że rzeczy należy wykorzystywać zgodnie z ich przeznaczeniem we właściwym miejscu o właściwej porze? Być może pozostawienie niewielkiego oddziału tutaj, by spowolnił powstanie, ma sens.

Serce Lotki drgnęło, gdy on sam uświadomił sobie sens takiego rozumowania, które pozwoliłoby zapomnieć o okrucieństwie kary. Niemniej postawa żołnierza zagrażała jego zakrwawionemu, niechcianemu autorytetowi.

– Gdyby przedstawiono mi ów pomysł przed niesubordynacją ze strony dowódcy, wyraziłbym zgodę – odparł.

– Wyrzeczenie się kary dla dobra imperium to nie słabość, Ekscelencjo. – W głosie Czystej Rzeki pojawiła się rozpacz. – To litość.

Czyżby? Lotka miał wrażenie, że dowódca i tak niebawem zginie, bez względu na to, czy padnie z jego ręki, czy też Wena Olchy.

Wcześniej tego dnia zaproponował Czystej Rzece możliwość wymarszu w jego kolumnie, ale sędzia odmówił, twierdząc, że wraz ze strażą i domownikami nie porzucą posterunku. „A poza tym co ci przyjdzie z towarzystwa zwykłego sędziego?” – zażartował i uśmiechnął się, aż na policzkach pojawiły się dołeczki. „Nie jestem wojownikiem ani magiem. Lepiej mnie zostawić. Wątpię zresztą, czy buntownicy zaatakują tak małą i niewiele znaczącą miejscinę”.

Gdyby Czysta Rzeka chciał zginąć we własnym domu, czy Lotka miał prawo siłą go z niego wyciągać? Nie miał czasu, by

mieczem czy słowem przekonać każdego, kto wątpił w wolę cesarza. Czemu nie odnieść tego do dowódcy garnizonu i głupców, którzy go popierali?

– Dobrze. – Lotka wsunął dłonie do rękawów i odwrócił się do Huo. – Kapitanie, proszę schować miecz. Tych dwudziestu sześciu ludzi zostanie tu i będzie bronić murów. Jeśli mój przyjaciel sędzia się myli i buntownicy w istocie wpadną na pomysł splądrowania tej osady w drodze na południe, nasi ludzie opóźnią ten pochód.

Dowódca nadal utrzymywał wojskową postawę, ale na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga. Huo również się rozluźnił, chowając broń.

Lotka doszedł do wniosku, że okazywanie litości przynosi pewne korzyści. Nie zmusił swojego kapitana do czynu, na który ten nie miał ochoty. Z drugiej strony pozwolił, by kapitan patrzył na to, jak on sam zmienia zdanie pod wpływem kogoś, kto stał w hierarchii o wiele niżej od niego. Co okaże się większym błędem?

– Powinniśmy ruszać w drogę, kapitanie – powiedział Lotka, odpychając od siebie ponure myśli. – Przygotuj ludzi do wymarszu. Zaraz do was dołączę.

– Dziękuję ci, Dłoni Lotko – odparł Czysta Rzeka, kiedy kapitan zasalutował i poszedł, by wypełnić rozkazy. – Nie pożałujesz tego.

Lotka uśmiechnął się, podziękował Czystej Rzece za jego gościnność i wysłał własną gwardię honorową, by zabrali należące do niego rzeczy z domu sędziego. Gdy czekał, przyszło mu do głowy, że żałuje, iż pozostawił tych ludzi w osadzie. Zastanawiał się, czy jego emocje mają jakieś znaczenie. W końcu oni wszyscy, razem z Czystą Rzeką, niebawem tego pożałują.

Narzędzia kanonu

Głupi Kundel

Szliśmy już pół dnia i moje ciało odnalazło znajomy rytm, który dobrze poznałem podczas wędrówki przez Nayen po ucieczce z An-Zabat. Idąca przed nami armia wuja pozostawiała głębokie, wydeptane w śniegu ślady. Jego zwiadowcy powrócili poprzedniego dnia z meldunkiem, że Lotka poprowadził już swoich ludzi naprzód, ku Żelaznemu Miastu. Wredny Lis miał ochotę wykorzystać sytuację i dorzucić do listy kolejne zwycięstwo, choć nikt z nas nie był pewien, dlaczego Lotka nie ufortyfikował Nory, by nas zatrzymać. Miał przecież przynajmniej kilka setek zbrojnych, a my ledwie trzydziestu.

Miałem nadzieję, że po śmierci Przewodnika udało mi się przemówić do lepszej części natury Lotki, a jego odwrót oznaczał, że przejrzał na oczy w sprawie imperium. Przypuszczałem jednak, że prawdopodobnie uciekł ze względu na to, że kanon magii przestał istnieć. Bez Głosu Przewodnika Lotka stracił więź z cesarzem, a bez magii nie miał większych szans na pokonanie drużyny mego wuja, nie mówiąc już o wiedźmie i czarowniku z dawnych czasów.

Oczywiście, tak naprawdę nie miałem pojęcia, co się działo w jego głowie. Nikt nie mógł tego wiedzieć z wyjątkiem cesarza,

który miał dostęp do umysłów swych Głosów dzięki magii transmisji. Ja nie byłem jednak cesarzem i nie potrafiłem rozgryźć motywacji Lotki, a więc skupiłem się na innym bieżącym problemie.

– Bogów wiąże pakt, prawda? – zapytałem.

– W tym samym stopniu co ciebie przysięgi złożone imperium – skrzywiła się Sycząca Kocica, która szła obok mnie, dźwigając jedynie swój worek z kośćmi. Postukała się po zębie.

– No, może trochę więcej. Ale pakt nie jest niczym realnym. Nie tak jak świat czy kanon. To jedynie umowa, choć wzmocniona magią, która ogranicza możliwości wiedźm i czarowników naznaczonych paktem. Niemniej, jak każda inna umowa, obowiązuje jedynie dopóty, dopóki obie strony uznają, że im służy. Gdy Doktryna uzna, że jego imperium i mała armia czarodziejów może pokonać bogów, zerwie pakt, żeby zniszczyć ich raz na zawsze, bez względu na to, jakie szkody wyrządziłby światu. Jeśli zaś bogowie uznają, że mogą pokonać jego, lub gdy nabiorą przekonania, że cesarz chce wzniecić wojnę na nowo, sami zerwą pakt.

Przypominało to jedną z owych zagadek logicznych, z którymi zmagalem się w ogrodzie ojca pod okiem nauczyciela. Miałem wiele czynników do uwzględnienia, a musiałem pamiętać o równowadze interesów – każdy nierozważny czyn mógł zrujnować umowę. Różnica polegała na tym, że nie rozmawialiśmy o lokalnych problemach politycznych czy handlowych, ale o starożytnych siłach, które przekraczały moje pojmowanie, a gdyby nie udało się zagadki rozstrzygnąć, doszłoby do apokaliptycznej wojny.

Przerzuciłem toból na drugie ramię i patrzyłem, jak Okara myszkuje w zaroślach, biegnąc za doktorem Sho. Nagle zatęskniłem za trwającą przez rok wędrówką u boku Sho.

– Myślałem, że mam już takie dylematy za sobą – mruknąłem.

– A jak myślisz, dlaczego spędziłam ostatnie pięćset lat w jaskini? – spytała Sycząca Kocica z rozbawieniem.

– A co z Napheną? – Mój umysł powracał do jej opowieści parokrotnie po rozmowie z wujem. Dysponowała magią, która przetrwała długo po jej śmierci. Być może stanowiła model kanonu, który miałem zbudować, mogącego działać niezależnie od mojej własnej mocy. – Bogowie zabili ją za to, że wybudowała oazę w An-Zabat. Dlaczego nie doprowadziło to do ponownego wybuchu wojny?

Sycząca Kocica ostro wciągnęła powietrze. Mięśnie jej twarzy zadrżały, jakby dusiła w sobie wściekłość.

– To mogłoby się skończyć wojną – powiedziała po prostu. – Ale stało się inaczej.

Moja ciekawość znów się rozbudziła, co działo się podczas każdej rozmowy z Syczącą Kocicą, ale uznałem, że zignoruję cisnące się na usta pytania. Miałem nadzieję, że kiedyś, gdy wyzwolimy Nayen i poradzimy sobie z cesarzem, wypytam ją o wszystkie szczegóły z jej długiego życia.

– Wolno mi sięgnąć po każdą magię – odparłem. – Powiedziała tak sama bogini Tollu, a przecież nie uczestniczyłem w podpisaniu paktu. Być może mógłbym zbudować kanon bez wywoływania wojny. Cesarzowi się udało.

Sycząca Kocica zdusiła ripostę, ale jej wahanie rozbudziło mój niepokój, tak jak oddech ożywia żar. Znalazłem się wszak na nieznanym sobie ziemi i usiłowałem uniknąć niebezpieczeństw, które czyhały zewsząd. Gdyby uznała, że powinienem trzymać się z daleka od magii, byłby to wystarczająco wyraźny sygnał.

– Istnieje granica, której zdaniem bogów nie wolno przekraczać – powiedziała w końcu, a potem uniosła sękaty palec. – Pomogę ci, ale wtedy i tylko wtedy, gdy pies również zgodzi się, że nie możesz tego robić.

Okara, jakby wiedział, że o nim rozmawiamy, przerwał myszkowanie wśród krzaków i zerknął na nas. Spojrzałem na jego blizny w poszukiwaniu blasku, który mówił o obecności boga – jak sądziłem – ale ujrzałem jedynie blade, poznaczone pręgami ciało. Pies szczerknął, położył uszy po sobie i powrócił do węszenia.

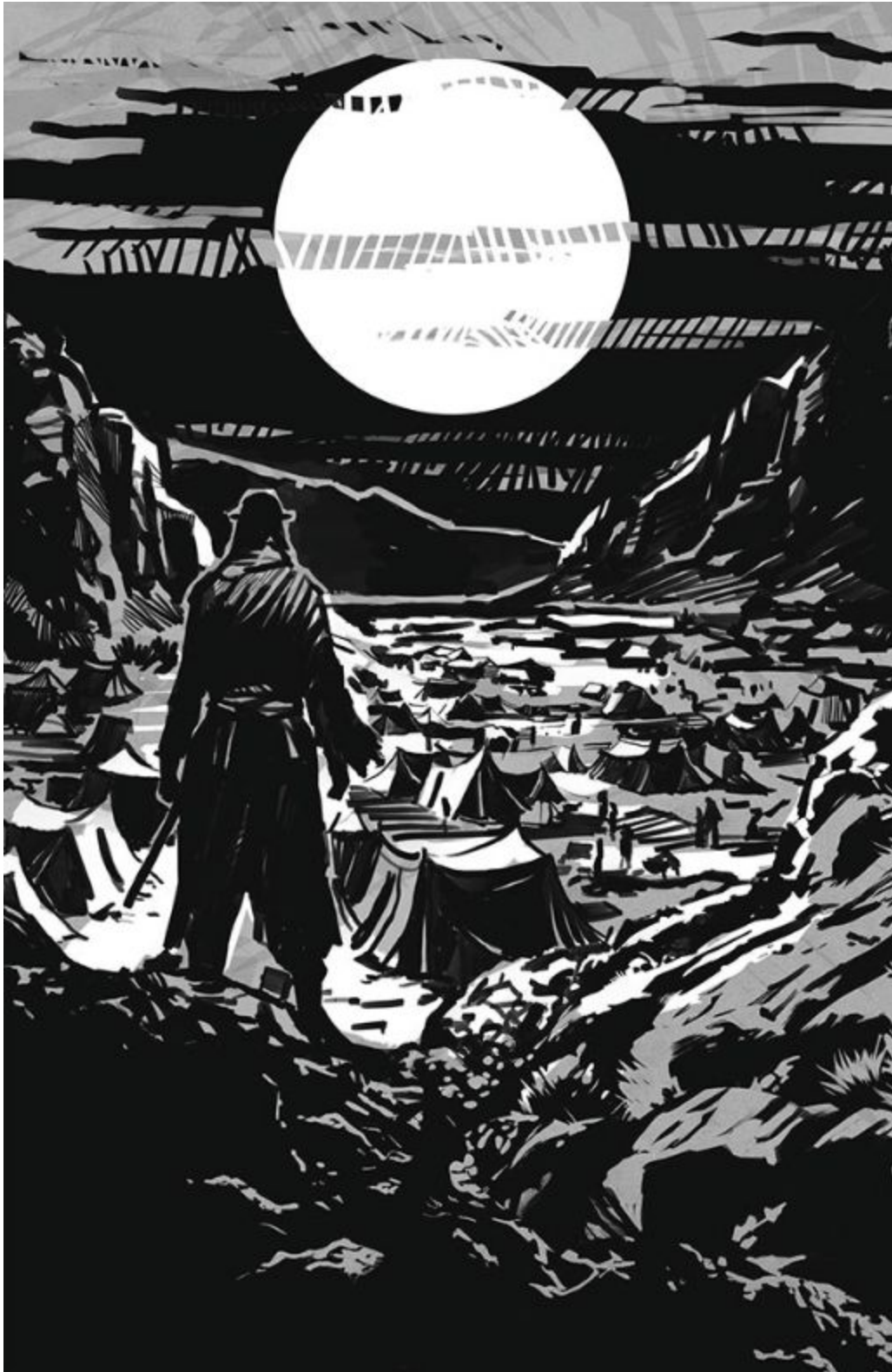
– To ci dopiero wyraz aprobaty! – powiedziałem.

Sycząca Kocica prychnęła śmiechem, a potem potrząsnęła głową, aż zaklekotały czaszki w jej włosach.



Rozbiliśmy obóz na noc na skalnym występie nad zasypaną śniegiem doliną, w której leżała osada zwana Norą. Po rozpaleniu ognisk i wystawieniu wart między namiotami rozległa się muzyka. Grana na skrzypkach, bębenu i flecie melodia ciągnęła się i wiła, a słuchacze wplatali w nią fragmenty pieśni ludowych opowiadających głównie o odwadze i przypominających szczegóły z legend o Kruchej Sowie i Żelaznym Szponie z czasów pierwszego Króla Słońca.

Słuchałem muzyki, siedząc na skraju urwiska. Wnet ujrzałem odległe, błyskające światełka, przypominające migotliwe brylanciki wplecione w ciemną tkaninę. Były to ogniska armii Lotki.



Mieszkałem z nim przez trzy lata pod tym samym dachem, ale nigdy się nie zaprzyjaźniliśmy. Wymienialiśmy uprzejmości

podczas rzadkich spotkań, gdy rodzina i domownicy jego ojca zbierali się na obiedzie wyprawianym na szczególne okazje, ale pierwszą dłuższą rozmowę odbyliśmy dopiero po pogrzebie Wilgi. Nie zapomniałem naszego spotkania przy grobie mojego przyjaciela pod kwitnącą śliwą, kiedy to poczułem bliskość z Lotką. Podzieliliśmy się żalem i lękami, po czym każdy z nas udał się w swoją drogę.

Wtem przez świat przeszła fala magii, ciężka, przypominająca transmisję cesarza, ale pozostawiająca po sobie poczucie ciepła.

„Sycząca Kocica twierdzi, że chcesz mi zadać pytanie”.

Okara okrążył mnie i usiadł na skraju urwiska. W chwili gdy w moim umyśle rozbrzmiał głos boga, blizny na ciele psa zajaśniały światłem.

– Zamierzam stworzyć kanon czarodziejstwa – powiedziałem i wyjaśniłem plan, który przedstawiłem wujowi. Oblicze Okary drgnęło. Pies zmrużył oczy i poruszył nosem. – Czy bogowie ukarzą mnie tak jak Naphenę?

Światło w jego bliznach zapłonęło jaśniej. Czuję ciężar jego obecności w moim umyśle, odciskający się na strukturze.

„Nie, nie sądzę” – odpowiedział w końcu Okara. „Ja na pewno nie”.

– A Tollu i Ateri? A Niebiański Ojciec?

„Nie mogę mówić w ich imieniu, tak jak ty nie możesz przemawiać za Doktrynę”. Ogon Okary drgnął, co uznałem za przejaw rozdrażnienia. „Ale cesarz to zagrożenie dla nas, dlatego że wybiera, jaką magię chce przekazać. Jego Dłonie i Głosy w każdej chwili mogą otrzymać starą magię. Ty zaś zamierzasz stworzyć kanon, który będzie istniał niezależnie od ciebie, a opierać się będzie o naturę”.

– Ale czy naruszę w ten sposób pakt? – dopytywałem. – Naphena została wszak ukarana za mniejsze przewiny.

„Czy to, co opisałeś, narusza granice tego, co możemy znieść? Tak. Ale jeśli stworzysz broń, która pomoże zniszczyć cesarza, byłiby głupcami, gdyby nią wzgardzili”.

– A są głupcami?

Pies zaszczeakał i wywalił język, jakby się śmiał.

„Doskonałe pytanie, Głupi Kundlu. W życiu nic nie jest pewne, ale mogę ci obiecać jedno. Dopóki walczysz z Doktryną, będę cię wspierał. Niewykluczone, że to wystarczy, żeby uśmierzyć gniew innych bóstw, bez względu na to, jaką zasadę złamiesz czy jakie zagrożenie ich zdaniem stworzysz”. Pies zamknął pysk i przechylił łeb. „Obiecać ci tego jednak nie mogę. Mimo to przekażę Syczącej Kocicy, że popieram twój plan”.

Ciężar magii ustąpił i umknął, pozostawiając kolejną bruzdę w strukturze świata, ku ognisku, które rozpałem z doktorem Sho i Syczącą Kocicą. Chwilę później światło w bliznach Okary zgasło. Pies poderwał się, zaskomlał ze zgrozą i otarł się o moje nogi.

Zadrzałem na myśl o przerażeniu zwykłego górskiego psa, którym nagle zawładnął bóg-wilk.

Okara trzymał się blisko mnie, gdy wracałem do obozu. Pieśń i muzyka już cichły. Sycząca Kocica siedziała z łopatką na kolanach, a czubek jej żelaznej igły rozgrzewał się w ogniu. Skrzynia z lekami doktora Sho opierała się o kamień. Jego samego nie widziałem, ale uznałem, że dogląda pacjentów.

Sycząca Kocica przycisnęła rozgrzaną igłę do łopatki. Kość pękła z ostrym trzaskiem. Uniósł się gryzący dym. Starucha przyjrzała się pęknięciu i dojrzała coś, co się jej nie spodobało. Skrzywiła się i odrzuciła łopatkę, która świsnęła i zagrzechotała o ziemię gdzieś w ciemnościach.

Popatrzyła mi w oczy. Jej spojrzenie było twarde. Znów poczułem szarpnięcie w strukturze świata.

„W porządku” – jej głos rozbrzmiewał w moim umyśle. Rozdziawiłem usta. Jak dotąd tylko Okara przemawiał do mnie

w ten sposób. „Najpierw będziesz musiał opanować magię transmisji, bo to zarówno narzędzie, jak i materiał, z którego Doktryna sporządził swój kanon. Siadaj i otwórz swój umysł na strukturę”.

Byłem zaskoczony, a przez umysł przemknęło mi pytanie, które zadałem sobie po raz pierwszy od wizyty w An-Zabat: czy to prawda, że cesarz umie czytać Dłoniom w myślach? Siedziałem jednak spokojnie i oddychałem miarowo. Stałem się kulą jadeitu zanurzoną w wiecznej wymianie energii.

„Różne rodzaje magii wpływają na świat zewnętrzny: wiatr, ogień, wodę, przyrost. Sprawiają, że zachowuje się on w sposób nietypowy. Transmisja zaś wpływa na umysł i napełnia go myślami, wrażeniami, a nawet przejawami cudzej woli”.

Jej magia uległa drobnej przemianie, jakbym patrzył na powierzchnię wody, pod którą przemknęła ryba.

– W twoich ustach brzmi to przerażająco – mruknąłem.

„Bo tak jest. Teraz milcz i skup się. Jeśli masz stworzyć własny kanon, musisz opanować wszystkie tajniki magii transmisji i jeśli już stworzysz wiedźmy i czarowników, wołałabym, żebyś nie wypalił im mózgow, w chwili gdy sięgną po moc”.

– Już trochę się na tym znam – zaprotestowałem. – Spędziłem lata jako Dłoń cesarza i...

„Co ci przed chwilą powiedziałam?” W jej słowach usłyszałem echo złości, przez co poczułem ucisk w żołądku. „Przeniesienie myśli z umysłu do umysłu, ba, do konkretnego umysłu w świecie, który jest nimi zatłoczony, przypomina próbę nakreślenia wyraźnego znaku za pomocą pędzelka na kartce, która leży gdzieś w absolutnie ciemnym pokoju. Da się tego dokonać, jeśli wiesz, gdzie leży kartka. Przekazując myśl, musisz więc znać umysł, z którym chcesz się skontaktować. Podczas prób kontaktu ze mną skup się na jakimś konkretnym

wspomnieniu. Może być klekot kruczych czaszek albo trzask pękających łopatek”.

Albo błysk tłustych włosów lub powiew wilgotnego powietrza w jaskini, pomyślałem i w ostatniej chwili ugryzłem się w język.

„Mam nadzieję, że nie tak o mnie myślisz” – odparła.

Wzdrygnąłem się.

„Skup się, chłopcze” – kontynuowała. „Nie musisz polegać na realnych odczuciach. Czasami wystarcza uczucie. Wielu z nas czuje ciepło w piersi na myśl o matce. W innych to wspomnienie budzi przerażenie”.

Z mojej czaszki i ramion zeszło napięcie i nagle poczułem się osobiwie pusty, jakby mój umysł rozrósł się, by sprostać jej wymaganiom, a teraz musiał powrócić do swojego naturalnego rozmiaru.

– Teraz – powiedziała.

Jej głos wydawał się bardzo odległy, choć dzieliło nas jedynie kilka kroków.

– To, co czujesz, widzisz lub słyszysz, kiedy myślisz o mnie, posłuży ci do nawiązania kontaktu z moim umysłem. To swego rodzaju imię, ale utrwalone w starszym, bardziej tajemniczym języku. Odnajdź to imię w strukturze i odcisnij na nim swoje myśli.

Sięgnąłem w głąb struktury, ocierając się o rozkołysane płomienie ogniska, i zaczerpnąłem moc z palącego się drewna, a potem cisnąłem ją w świat, gdzie starła się z chłodem wiatru. Wnikałem coraz głębiej w powolniejsze zmiany, często niezauważalne, postępujące w rytm eonów, jak ziemia przeobrażająca się w kamień, a potem w żelazo. Nigdzie jednak nie mogłem znaleźć Syczącej Kocicy, choć ze wszystkich sił skupiałem się na każdym wspomnieniu. Miałem wrażenie, że moja świadomość ukrywa się przed innymi umysłami.

– Boisz się mnie – powiedziała Sycząca Kocica, wyrywając mnie z frustrującej introspekcji.

– A nie ma się bać? – rozległ się głos powracającego doktora Sho.

Sycząca Kocica zignorowała go.

– Wiesz, że cholernie ciężko jest jeździć na koniu, który wie, że się go boisz? Z magią transmisji sprawa wygląda podobnie. Trudno ci będzie dotknąć umysłu, którego się lękasz. Zacznijmy więc od kogoś, kogo się mniej boisz. Od kogoś, kogo dobrze znasz. Od kogoś, kto nie uzna się za szaleńca, kiedy usłyszy twój głos w głowie.

Jedynym człowiekiem, który przyszedł mi na myśl, był Wilga, lecz on dawno już nie żył. Potem pomyślałem o Atar, ale natychmiast odrzuciłem ten pomysł. Byliśmy sobie bliscy, lecz nasza znajomość trwała zaledwie rok i zakończyła się rok temu. Czy ja naprawdę zdołałem ją poznać?

Otworzyłem oczy i ujrzałem doktora Sho, który ogrzewał dłonie nad ogniem. Spojrzał na mnie, a chwilę później otworzył ze zdumienia usta.

– Ze wszystkich ludzi na świecie to ja jestem tym, którego jesteś gotów uznać za przyjaciela?

Poczułem gorący rumieniec na twarzy.

– Nie miałem wielu okazji, żeby stworzyć prawdziwą przyjaźń – powiedziałem cicho, wpatrując się w płomienie. Nawet moja babcia, która kiedyś знаła mnie najlepiej ze wszystkich, przestała być mi bliska. Nie mam siły na podobne bzdury – przerwałem. – Pokaż mi, jak to działa.

Sycząca Kocica parsknęła śmiechem.

– Przecież próbuję!

– Stwórz kanon – powiedziałem. – Taki prosty, z jednym tylko kanałem. Daj mi poczuć, jak skutecznie władać magią.

Starucha pochyliła się ku mnie. W oczodołach czaszek w jej włosach rozlały się cienie.

– To nie rozwiąże twojego problemu, Kundlu. Nie tak, jak sobie tego życzysz. To droga na skróty.

– Potrafię władać magią bitewną i uzdrowicielską – zaprotestowałem. – Korzystałem z nich w ramach kanonu, poznałem je na wylot i uczyniłem własnymi. Mogę dokonać tego samego z transmisją. Pokaż mi, jak dotrzeć do twojego umysłu, chyba że wolisz się przyglądać, jak potykam się w ciemnościach.

Starucha wydeła wargę i wbiła żelazną igłę w ogień. Moment później poczułem, jak w mojej czaszce gromadzi się znajoma ciężka transmisja. Z Syczącej Kocicy wpływały fale nacisku i wznosiły mury w moim pojmowaniu struktury. Mury były ciężkie i niemożliwe do przebycia, a przywodziły na myśl kanon magii.

Z moich ust wyrwało się jęknięcie. Doktor Sho mruknął coś pod nosem, a potem odwrócił się od nas i zaczął otwierać i zatrzaskiwać szufladki swojego kufra z lekami.

W końcu nacisk osłabł, choć mury pozostały.

Osobliwym zmysłem, który pozwalał na korzystanie z magii, obmacałem zmiany w strukturze poczynione przez Syczącą Kocicę. Trochę ponad rok temu tak wyglądała moja magia. Korzystałem z niej nie wedle własnej woli, ale tak, jak pozwalał mi cesarz.

To wspomnienie wywołało poczucie niepokoju. Co ja wyczyniałem? Uwolniłem się od nacisku innych, którzy mówili mi, jak mam myśleć i co mam odczuwać, prawda? A może jedynie zastąpiłem cesarza Syczącą Kocicą i moim wujem, a zamiast imperium służyłem teraz nayeńskiemu powstaniu?

Przełknąłem żal. Moje filozoficzne obawy nie mogły mi pomóc w wyzwoleniu Nayenu ani w pokonaniu imperium. Musiałem udowodnić przed wujem, że byłem człowiekiem lojalnym. Musiałem mu pokazać, że uznałem powstanie za własne i że byłem gotów zadośćuczynić za grzechy, których

dopuszciliem się jako Dłoń cesarza. Czas na zadumę i poczucie winy miał nadejść później.

Gdy siłą woli dotarłem do końca kanału, odkryłem nowe wrażenia. Trzask nadpalonej kości. Para oczu wśród cieni po drugiej stronie ogniska. Pod nimi zaś kryło się źródło mocy. Zaczepnąłem z niego, a wówczas, gdy moja moc stała się równie ciężka jak magia Syczącej Kocicy, splotłem nasze umysły.

„Proszę” – omyła mnie jej myśl, która wypłynęła w jakimś odległym, niewidzialnym zakątku mojego umysłu. „Udało ci się. A umiałbyś to powtórzyć? A do tego sam? Zdołałbyś odnaleźć doktora Sho albo swojego wuja?”

„Nie” – pomyślałem i wiedziałem, że mnie usłyszała. „Tego właśnie masz mnie nauczyć”.

„Czy za pomocą magii, którą otrzymałeś od Doktryny, zdołałbyś ocalić umierającą babcię? Prawdziwa nauka, która prowadzi do stworzenia czegoś nowego, wymaga ciągłych zmagania i ciężko okupionych wniosków prowadzących do zrozumienia”.

Szybko odepchnąłem słowa, które obudziły kolejne poczucie winy. Kiedyś marzyłem tylko o tym, by zdobyć wielką moc, co spowodowało mnie na manowce. Być może uznanie własnych granic było formą autentycznego pogodzenia się z miejscem w strukturze świata?

„A jakie ma to dla ciebie znaczenie?” – odpowiedziałem.

Naraz ciężar jej magii znikł, a wraz z nim budowle, które wzniosła wewnątrz mojego umysłu. Desperacko próbowałem utrzymać kontakt. Chciałem poczuć tę magię, zanim stracę szansę, ale było już za późno.

Byłem już sam we własnym umyśle.

– Chcesz, żebym stoczyła z tobą wojnę? – spytała Sycząca Kocica bez emocji, sięgając po kolejną łopatkę. – Pokaż mi siłę potrzebną do zwycięstwa.

Wbiłem w nią złowrogie spojrzenie. Doktor Sho poruszył się niepewnie, najwyraźniej nieco zdezorientowany po tym, jak umknęła mu spora część naszej rozmowy.

– Dobra – powiedziałem, siląc się na gniew, choć po prawdzie czułem ulgę. Być może starucha odkryła moje obawy. Może sama miała wątpliwości. Ciekawiło mnie, jakie pytania grawerowała na kościach, które tak często wyrzucała.

Na powrót sięgnąłem w głąb struktury i szukałem tam wrażeń związanych z jej umysłem. Na ślepo brnąłem w ciemnościach jeszcze długo po tym, jak starucha i doktor Sho poszli spać, długo po tym, jak zgasł nasz ogień. W końcu, trzęsąc się z zimna, owinąłem się kocem i na kilka godzin zapadłem w niespokojny sen, pełen scen przemocy pośród niknących mgieł i obłoków pary.



Obudził mnie stukot zbieranych kotłów i odgłosy towarzyszące rozkopywaniu ognisk. Przez cały dzień siedłem z tyłu kolumny, niewyspany i z zamętem w głowie. Byłem koszmarne zmęczony i obiecywałem sobie, że w nocy nie będę nawet próbował sięgać po magię transmisji – musiałem się najpierw wyspać, żeby można było mówić o jakimkolwiek sukcesie. Byłem tak wyczerpany, że nie zorientowałem się, jak znaleźliśmy się na obrzeżach Nory. Zrozumiałem to, dopiero gdy wuj wezwał mnie do namiotu i objaśnił mi moją rolę podczas natarcia.

Zwiadowcy wyliczyli, że mury patrolowało ośmiu zbrojnych. Jeśli garnizon działał na trzy zmiany, w Norze przebywało około dwudziestu czterech żołnierzy.

– Osada tych rozmiarów powinna mieć większą załogę – zauważyłem.

Wredny Lis spojrział znad mapy. Brązowa Sowa – wiedźma, która dowodziła zwiadem – za pomocą kawałka węgla wyrysowała na korze brzozy plan osady i zaznaczyła główne budynki: koszary i dom sędziego. Teraz skrzyżowała ramiona, chude, ale muskularne.

– Dobrze się na tym znasz, co? – zadrwiła. – Kilka tygodni temu planowałyby obronę, a nie atak.

Dołączyło do nas kilkoro czarowników i wiedźm oraz czterech oficerów, mianowanych spośród garstki żołnierzy, którzy opuścili Twierdzę Szarego Mrozu. Wszyscy nosili kawałek spalonego drewna, przytwierdzony do skórzanych kaftanów pod grotem strzały, będącym symbolem ich rangi w armii Lisa.

– Być może ukrywają rezerwę – powiedziałem, skupiając uwagę na mapie, a ignorując zarówno wypowiedź Sowy, jak i wzrok wuja. – Być może Nora znajduje się za daleko, żeby Lotka zdołał odzyskać kanon od Głosu w Fortecy Zachodzącego Słońca, ale może się myłę. Nie wykluczam, że Lotka chce wykorzystać tę niepewność i wciągnąć nas w pułapkę.

Wiedziałem, że powinienem okazać wujowi uniżony szacunek, zwłaszcza w tym towarzystwie, ale byłem zbyt wyczerpany, by dbać o takie szczegóły, tym bardziej że czekała nas bitwa.

Przypomniałem sobie swoją ostatnią wizytę w Norze. Pozostawiłem po sobie zgrozę i rzeki krwi. Nie podobało mi się to, że wracam do domu Czystej Rzeki, tym razem jako wojownik. Już się nie kryłem z tym, że będę szerzyć zniszczenie.

– Główna część garnizonu mogła odejść z armią Dłoni Lotki – powiedziała Brązowa Sowa ponuro. – A nawet jeśli nie, jakie to

ma znaczenie. Mamy sześcioro czarowników i wiedźm, a do tego ty i starucha.

– Gdyby garnizon okazał się odpowiednio silny, Lotka mógłby zawrócić i uwięzić nas pod murami – powiedziałem. Nie zdradziłem tego na głos, ale brat Lotki bez wahania sięgnąłby po ten fortel. – Jedna Dłoń cesarza jest warta tuzin wiedźm czy czarowników, a umiejętność zmiany postaci czy władania ogniem niewiele pomoże na granaty.

– Nie dojdzie do oblężenia, siostrzeńcze – odparł Wredny Lis. – Uderzymy o zmierzchu i zajmiemy miasto podczas jednej nocy – dodał i wyjaśnił, jakie role nam przydzielili. Nawet moja babcia otrzymała swoje zadanie, choć wuj okazał na tyle powściągliwości, że nie zasugerował, by Sycząca Kocica dołączyła do walki. Wiedziałem, że wyzwolenie Nayenu pociągnie za sobą rozlew krwi, ale wcale nie było mi łatwiej się z tym pogodzić.

Przynajmniej na razie. Przeczuwałem, że niebawem bez trudu zdobędę się na moralną elastyczność. Wszak nie miałem wielkich wyrzutów sumienia, prowadząc żołnierzy imperium na buntowników w Żelaznym Mieście.

Gdy nastał zmierzch, Wredny Lis nakazał nam ruszać. Doktor Sho zastąpił mi drogę, gdy wyszedłem z obozu, kierując się razem z Okarą przy nodze w stronę niewielkiego wzniesienia, górującego nad miastem.

– Wiesz, kiedy po raz ostatni szedłem z ochotą do bitwy? – mruknął.

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie dawno temu. Zakładam, że nie było jeszcze na świecie nikogo, kogo znam, oprócz Syczącej Kocicy, a może nawet mojej babci – odpowiedziałem.

Co prawda przypuszczałem, że był starszy od Kocicy o parę dekad, jeśli nie wieków. W jej jaskini, gdy mówił o wojnie między bogami a czarownikami i wiedźmami, brzmiał nie jak

historyk, ale jak człowiek, który widział to wszystko na własne oczy.

Majstrował przy paskach kufra z lekami. Nie widziałem go tak poruszonego nawet po masakrze, którą urządziłem w Norze.

– Nie podchodzę lekko do tych kwestii, chłopcze. Obojętnie, kim byłem wcześniej, teraz jestem lekarzem. Zabijanie to nie moja sprawa.

– Ale nikt cię o to nie prosi.

– Nie – powiedział Sho, wzdychając. – Chcecie tylko, żebym później po was posprzątał.

Poklepałem go po ramieniu, bo też nie miałem pojęcia, jak go pocieszyć. Doktor zmarszczył brwi, ale nie odtrącił mojej dłoni. Fizyczny kontakt był naruszeniem sieneńskich zasad przyzwoitości i dobrego wychowania, ale przecież żaden z nas nie był Sieneńczykiem. Już nie.

– Uważaj na siebie – powiedziałem.

– Rzekłbym ci to samo, ale nie sądzę, żeby było tu coś, co mogłoby ci wyrządzić prawdziwą krzywdę. Zamiast tego powiem więc: nie trać głowy. Każdy z nas ma swój kompas moralny, chłopcze, ale nie każda igła wskazuje prawdziwą północ. Twoja wola zacznie dryfować, jeśli jej na to pozwolisz.

Znów mówił dokładnie o tym, czego się obawiałem, i nie po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, jaką magię skrywa Sho. Bez wątpienia umiał przedłużyć sobie życie. Dlaczego więc nie miałby władać również czymś, co przypominało transmisję? Czy istniało inne wyjaśnienie, dla którego Sho mógł czytać moją duszę jak logogramy?

Jeden z czterech oddziałków składających się na naszą żalostną armię przemknął obok nas, pobrząkując bronią. Dowódczyni, młoda, piegowata kobieta ze ściętymi krótko włosami pod niedopasowanym hełmem, zatrzymała się, a jej dłoń dotknęła kawałka spalonego drewna na kołnierzu.

Oddaliła się od swoich żołnierzy i podeszła do mnie. Pochyliła głowę, naśladując uproszczoną wersję sieneńskiego pokłonu, najwyraźniej uznawszy, iż tak należy oddawać mi cześć.

– Głupi Kundlu – jej cichy głos drżał z nerwów – czy mógłbyś nas pobłogosławić? Rzucić na nas jakiś czar, który obroni nas przed strzałami i ostrzami, tak jak pierwszy Król Słońca w dawnych czasach?

Spojrzałem na namiot wuja. Na samą myśl, że on bądź któryś z jego przybocznych mógłby to usłyszeć, ogarnęła mnie zgroza. Powinienem był powiedzieć stanowczo i ostatecznie, że nie jestem Królem Słońca, a ona nie powinna okazywać mi czci, ale dostrzegłem przerażenie w jej szeroko otwartych oczach i napiętych mięśniach. Miała stopień oficera, ale oznaka rangi nie mogła zamaskować tego, że była młodą kobietą na progu dorosłości, która przed dołączeniem do armii Lisa nigdy nie trzymała broni w ręku.

Jej wiara stanowiła zagrożenie dla mojego wuja, a więc również i dla mnie, ale nie mogłem zmiażdżyć jej tuż przed tym, jak po raz drugi od wielu tygodni dziewczyna miała spojrzeć śmierci w oczy.

– Jak cię nazywają? – spytałem.

– Biegnąca Sarna – odpowiedziała.

– Będę stał na tym wzniesieniu. – Pokazałem jej wzgórze, które Wredny Lis mi wybrał. – Nie musisz się niczego bać, Biegnąca Sarno. To my, wiedźmy i czarownicy, weźmiemy na siebie ciężar walk. Bitwa dobiegnie końca, zanim zdołasz złapać za miecz.

Nie o to mnie prosiła, ale to przynajmniej mogłem jej dać. Znów pochyliła głowę.

– Dziękuję ci – odparła, a potem powróciła do swoich żołnierzy, nadal spięta, ale wsparta na duchu. Lub przynajmniej taką miałem nadzieję.

– Uważaj z tym – powiedział cicho doktor Sho.

– Wiem – mruknąłem. – Ale co miałem zrobić?

Doktor Sho wzruszył ramionami, a potem poprawił plecak i ruszył za oddziałem Biegnącej Sarny.

Jego powinna była poprosić o zakłęcie, pomyślałem kwaśno. Być może naprawdę miał w tym swoim kufrze coś, co pomogłoby im w walce.

Dotarłem na miejsce, w chwili gdy niebo zabarwiła czerwień zachodzącego słońca. Pod sobą widziałem Norę – garstkę domów otoczonych drewnianym murem. Na zboczach doliny ciągnęły się pola ryżowe i gospodarstwa wzniesione na tarasach. Miejsce tchnęło spokojem. Czekaając na zmierzch, wyobraziłem sobie życie na jednym z tych tarasów, hodowanie bydła, pracę na polu.

Oto ścieżka ku prawdziwemu szczęściu, myślałem.

Dopóki ogień powstania nie zamieniłby owego szczęścia w popiół lub żelazna pięść imperium nie zacisnęłaby się na Nayenie. Westchnąłem i wniknąłem myślą w strukturę świata. Moje płuca wypełnił chłód, gdy zawładnąłem mocą powietrza i stworzyłem nad miastem kopułę z wirującego wiatru, podobnie jak podczas obrony Twierdzy Szarego Mrozu. Miałem zamiar ochronić Wrednego Lisa i jego drużynę przed granatami i bełtami obrońców.

Z tej odległości nie słyszałem krzyku mieszkańców, brzęku cięciw ani huku granatów, ale struktura przenosiła fale wywołane przez bełty wbijające się w moją barierę, roztrzaskujące się o nią gliniane pojemniki i płomienie niegroźnie rozchodzące się po niebie. Poczulem skurcze, gdy wuj i jego przyboczni zmienili postacie i wzbili się ku niebu. Utworzyłem wówczas dziurę w barierze, a oni spadli na miasto, siejąc spustoszenie ogniem i szponami.

Spoglądałem na miasto i czekałem, aż bramy staną otworem. Zastanawiałem się, czy powinienem już rozproszyć kopułę wiatru, zmienić postać i dołączyć do toczącej się wciąż walki.

Wredny Lis przepowiedział łatwe zwycięstwo i nie przydzielił żadnych innych rozkazów. Na niebie pojawił się rożek księżycy i opromienił srebrzystym blaskiem kotłujące się dymy. W końcu bramy się rozchyliły. Zdusiłem w sobie niepokój, rozproszyłem wiatry kotłujące się nad miastem i ruszyłem w dół zbocza, mając nadzieję, że sieneński garnizon się poddał i nie doszło do rzezi.

Pomyliłem się nie po raz pierwszy.

Skrzynia, beczka i pytanie

Koro Ha

Jeśli zaproponował ci więcej pieniędzy, przynajmniej pozwól mi przebić ofertę – powiedział sędzia Bo, marszcząc brwi z gniewem, gdy Koro Ha oznajmił decyzję o powrocie do Toa Alon z Orną Sinem. – Z radością spełnię twoje oczekiwania. Minie mnóstwo czasu, zanim znajdę dla Wiosennej Radości nauczyciela równie dobrego jak ty, co katastrofalnie wpłynie na jego wykształcenie.

Koro Ha miał wielką ochotę zasugerować, że lepiej byłoby przetopić rodzinną fortunę i sprzedać jako czyste srebro, niż płacić nauczycielowi, ale ugryzł się w język i oświadczył, że podąży za sercem, a nie pieniędzmi.

– Tak jak starszy brat powinien przekazywać przyswajane przez życie nauki młodszemu, tak ja mam obowiązek przyjąć tę propozycję, sędzio Bo. Orna Sin przedstawił mi możliwość tworzenia lepszej przyszłości dla dzieci z mojej ojczyzny. Będę mógł uczynić dla nich to, co stworzyło fundament pod mój własny sukces.

Stali teraz pod ażurową bramą ogrodu sędziego, niedaleko palankinu, który miał zanieść Koro Ha na należący do Orny Sina statek Chyżość Południowego Wiatru. Sędzia Bo pochylił lekko głowę przed Koro Ha, okazując mu zaledwie cząstkę

należnego nauczycielowi szacunku. Wymuszony uśmiech nie maskował jego oburzenia.

– Myślę, że powinniśmy oczekiwać tego, że na progu starości zatęsknisz za ojczyzną – rzekł. – Rzadko kiedy pochodzący z prowincji umysł umie stłumić zew pochodzącego z prowincji serca. Wygląda na to, że niesłusznie zakładałem, że uporasz się z takimi konfliktami.

Koro Ha postanowił zignorować zniewagę.

– Życzę tobie i twojemu synowi sukcesu na miarę możliwości i ambicji – rzekł, a potem uśmiechnął się i uklonił głęboko. – Żałuję, że nasza współpraca kończy się w ten sposób, ale mam nadzieję, że uznasz to za okazję, żeby znaleźć synowi nauczyciela lepiej przygotowanego do radzenia sobie z jego szczególnymi edukacyjnymi wymogami.

Nim sędzia zdołał poczuć ukłucie ciernia skrytego wśród kwiecistych zdań, Koro Ha wszedł do palankinu i zasunął okna. Wsłuchiwał się w stłumione odgłosy ulic Fortecy u Podnóża Gór, w miarę jak palankin wypełniał się ciepłem wczesnego lata. Pochwyciły go wspomnienia z Toa Alon, jego palącego słońca i wilgotnego letniego powietrza. Wspomnienia, w których kryło się straszne, lecz niesłabnące pytanie, czy wystarczy pieniędzy, by opłacić jego pracę lub choć napełnić mu żołądek.



Chyżość Południowego Wiatru zasługiwał na swoje miano, nawet z ładowniami pełnymi żelaza z Nayenu i przypraw z Pustkowiec Batir. Dowodziła nim Yin Ila, barczysta kobieta pochodząca z Toa Alon, co samo w sobie stanowiło szok dla Koro Ha, od dawna nawykłego do wymaganego w sieneńskiej

doktrynie oddzielenia mężczyzn od kobiet. Pod jej komendą wioślarze poprowadzili statek po mulistych wodach południowej odnogi Rzeki Dwuzębnej i wyprowadzili go na otwarte morze. Wówczas załoga postawiła trzy żagle i pomknęli wzdłuż wybrzeża. Koro Ha nigdy nie przepadał za żeglowaniem, zwłaszcza po morzu, gdzie nieustanne unoszenie się na falach źle wpływało na jego żołądek, ale Chyżość cięła fale niczym nóż masło i ku swojemu zaskoczeniu nauczyciel zaczął czerpać przyjemność z podróży. Spoglądał na horyzont z pokładu, popijał wino z Orną Sinem i rozmawiał o szkole, którą mieli zamiar razem zbudować.

Przeanalizowali liczbę uczniów, których mogliby przyjąć od razu. Koro Ha liczył na nie więcej niż dziesięciu, by móc każdemu poświęcić odpowiednią ilość uwagi. Orna Sin wymarzył sobie, że będzie ich trzydziestu.

– Mocno ucierpi na tym ich wykształcenie – powiedział stanowczo Koro Ha. – Nie. Naszym celem będzie staranne przygotowanie dziesięciu kandydatów, a nie pospieszne wbijanie wiedzy do głów całego stada, z którego każdy będzie miał jedynie połowę szans na sukces.

W końcu ustalili, iż będzie ich siedemnastu, przy czym Orna Sin zapewnił, że jeśli liczba ta okaże się zbyt wysoka, Koro Ha wydali jednego czy dwóch najmniej obiecujących uczniów. Potem przeszli do znacznie przyjemniejszych tematów. Odkryli, że obaj przepadają za tytoniem, co w Toa Alon stanowiło dość powszechną przywarę, ale sprzyjała ona nawiązywaniu kontaktów i wymianie informacji. Orna Sin trzymał kilka odmian na pokładzie statku i próbowali ich kolejno, aż zaczęli się prześcigać w opisywaniu subtelności smaków na najróżniejsze sposoby. Lekka słodycz w pewnej aromatycznej odmianie mocno ciemnego tytoniu stała się najpierw wiciokrzewem, później wanilią, a na koniec posmakiem ust młodej narzeczonej.

– Moja siostra od dawna upiera się, żebym rzucił palenie – powiedział Koro Ha jednego wieczoru, gdy statek sunął na północ po spokojnych wodach wzdłuż ciągnącego się po prawej burcie brzegu. Wyteżywszy wzrok, można było ujrzeć fioletowy kształt Boskich Słupów. – Matka umarła na chorobę płuc, co siostra przypisała nadmiernemu paleniu. Każdy list kończy słowami: „Mam nadzieję, że wrzuciłeś już tę fajkę do studni, bracie”.

– Nauczyła się czytać? – Orna Sin był zaskoczony. – Nie pamiętam żadnych dziewczyn w sali szkolnej. Wszyscy byśmy się zorientowali i nie sądzę, żeby nauczyciel Zhen pozwolił na coś takiego.

Koro Ha potrząsnął głową.

– Przekazałem jej parę lekcji, kiedy byliśmy dziećmi. Pisze i czyta jak dziesięciolatek i brakuje jej finezji, ale to wystarczy, żeby mogła się komunikować. – Zaciągnął się fajką, a wtedy przyszło mu coś na myśl. – Czy chłopcy, których wybrałeś, mają siostry?

Orna Sin przechylił głowę.

– Niektórzy – odparł.

– Mało co tak wpływa na dyscyplinę chłopca jak obecność starszej siostry. – Koro Ha zadumał się z uśmiechem. – Nie widzę powodu, dlaczego nasza szkoła, która i tak będzie marnować czas dla chłopaków nierokujących na zdanie egzaminów, nie mogłaby zająć się również kilkoma dziewczętami. Trzema lub czterema, być może.

Orna Sin parsknął śmiechem, a potem zaciągnął się i wypuścił kilka krążków dymu. W powietrzu rozniósł się zapach, który najpierw określili jako „dębowy”, potem jako „zmiersch w górskim lesie”, a na końcu jako „oddech jelenia karmionego jedynie liśćmi potężnych drzew”. Kupiec wpatrywał się przez moment w brzeg, a potem powiedział kilka

słów, które Koro Ha odebrał w pierwszej chwili jako bełkot, aż ich znaczenie dotarło do niego jak woda tryskająca ze studni:

– Szkoda, że nie mogą pisać w naszym własnym języku, prawda?

Koro Ha od kilkunastu lat nie słyszał mowy Toa Alon. Orna Sin patrzył na niego z obojętną miną.

– Kto mógłby nas nauczyć ich alfabetu? – Koro Ha w myślach zdmuchnął kurz z języka, który w dzieciństwie zapisał się głęboko w jego duszy, ale od tej pory nie używał go często. – Biblioteka Sor Cala została pogrzebana razem z miastem. Mówcy kamienia zostali wytropieni i wybici.

– Prawda – przyznał Orna Sin, a potem powrócił do sieneńskiego. – Twoim pierwszym zadaniem będzie bez wątpienia zmuszenie uczniów, żeby używali tylko języka sieneńskiego. W większości domów w Toa Alon nadal mówi się miejscową mową, która nie przekłada się dobrze na logogramy. Dzieciaki muszą nauczyć się myśleć w mowie imperium, jeśli mają opanować poezję i doktrynę, prawda?

Jego słowa rozpały w sercu nauczyciela osobliwą winę.

– Jak na człowieka, który chce zainwestować mnóstwo pieniędzy i wysiłku w budowę szkoły, najwyraźniej powątpiewasz w jej walor – odparł Koro Ha.

– Nie licząc wyjazdów w interesach, przeżyłem całe życie w Sor Cala – powiedział Orna Sin. Naoliwione kosmyki brody, poruszane morskim wiatrem, tańczyły wokół jego szyi. – Ty zaś po sukcesie na egzaminie mogłeś rozpocząć imperialną karierę. Zamiast tego stałeś się wędrownym nauczycielem. Dlaczego?

Było to pytanie, które Koro Ha usłyszał od wielu potencjalnych pracodawców. Na ogół tłumaczył swój wybór egoizmem. Udawał, że jego pasją jest czysta filozofia, a praktyczne aspekty kariery mogły mu tę przyjemność odebrać.

Przyjrzał się uważnie Ornie Sinowi. Patrzył na zbite loki jego siwych włosów, na ciemny odcień skóry, jakże osobliwy po tylu latach spędzonych wśród ludzi o innej karnacji, na zmarszczki wokół oczu, które zdradzały zmagania z tysiącami trudności, a także przenikliwość niespotykaną w Sienie i z rzadka widywaną w Nayenie.

Nieczęsto widywał babkę Wena Olchy, ale gdy się spotykali, dostrzegał w jej oczach dokładnie to samo. Patrzyła nań zza maski poważania i szacunku, spokoju oraz dystansu odpowiedniego dla uczonej.

– Wyobrażałem sobie, jak zasiadam na podwyższeniu sędziego – rzekł Koro Ha, przechodząc na mowę Toa Alon. Ze względu na brak doświadczenia musiał używać prostych sformułowań. – Wyobrażałem sobie sieneńskich kupców, dowódców i posiadaczy ziemskich, jak mi się kłaniają. Wyobrażałem sobie, jak przemawiam do nich z wyższością, i nawet w moich marzeniach wydawało mi się to niemożliwe.

– Ach. – Orna Sin uśmiechnął się szeroko. – I to dlatego tak szybko zgodziłeś się wyjechać ze mną?

– Co takiego? – Koro Ha przechylił głowę.

Orna Sin roześmiał się i postukał fajką o burtę. Wciąż tłący się tytoń wpadł do morza.

– Cóż, mój przyjacielu – powiedział kupiec, wracając do sieneńskiego. – Porozmawiajmy o prostszych rzeczach. Do Sor Cala wciąż mamy kawał drogi.



Kilka dni później, gdy promienie wschodzącego słońca zamigotały na łagodnych falach, Chyżość sunęła już do brzegu. Niebawem płynęli wśród płycizn i skał, kierując się ku

szmaragdowym wzgórzom Toa Alon, które wypełniły cały zachodni horyzont. Koro Ha siedział na dziobie, czytając ulubiony fragment z „Klasyków poezji” i próbując nie myśleć o tym, że wyładowana po brzegi Chyżość nie powinna pływać po tak płytkich wodach.

Nagły stukot za plecami sprawił, że nauczyciel wypluł łyk herbaty, na szczęście na kolano, a nie na książkę.

– Dzień dobry, nauczycielu – powiedziała Yin Ila. Trzymała osobliwy drąg, trzykrotnie dłuższy od niej, zakończony szerokim hakiem. – Wybacz, że ci przeszkadzam.

– Nic takiego się nie dzieje – zapewnił ją Koro Ha, strzepując brzegiem dłoni krople z szaty. Powrócił do czytania, ale jednym okiem śledził poczynania barczystej kobiety.

Ta wpatrywała się w płytkie wody, aż nagle wykrzyknęła: „Aha!” i z rozmachem wbiła hak w wodę.

– Jest – szepnęła, wyciągając koniec kija z wody. Z haka zwisał kłęb nadgniłych wodorostów oraz wielka, pusta butelka przywiązana do grubej liny.

Yin Ila zaczęła wciągać linę na pokład, a potem z głośnym stęknieniem wyszarpnęła z fal to, co znajdowało się na drugim końcu sznura. Okazało się, że jest to drewniana, okuta miedzią skrzynka. Yin Ila wyjęła nóż i odcięła linę, którą wraz z butelką wyrzuciła do morza. Następnie wzięła skrzynkę pod pachę i pomaszerowała do swojej kabiny, zerkając na Koro Ha, który demonstracyjnie przewrócił stronę czytanej książki.

– Miłego dnia, nauczycielu – powiedziała, pochylając głowę, a potem znikła pod pokładem.

Niemalże w tej samej chwili z rufy dobiegły jakieś krzyki i sternik spojrział ku otwartemu morzu.

Koro Ha zastanawiał się nad tymi niecodziennymi wydarzeniami, aż nadszedł czas jego zwyczajowego posiłku z Orną Sinem. Miał wielką ochotę zapytać o dziwne zachowanie Yin Ili i równie dziwną skrzynię. Przecież Orna Sin musiał

wiedzieć, co wyczynia osoba zarządzająca załogą statku, a Koro Ha jako gość nie miał prawa wściubiać nosa w nie swoje sprawy. Niemniej jeśli Orna Sin o niczym nie wiedział, zapewne powinien zostać poinformowany.

– Musimy się gdzieś zatrzymać, zanim staniemy w Sor Cala – powiedział Orna Sin, wrywając Koro Ha z rozmyślań powodowanych ciekawością. – Opóźnienie potrwa tylko kilka dni. Mam nadzieję, że się nie sprzeciwiasz.

– Oczywiście, że nie – zawahał się Koro Ha przez chwilę. – A skąd ta nagła zmiana planów, jeśli wolno spytać?

Orna Sin wzruszył ciężkimi ramionami i uśmiechnął się, pokazując swój pojedynczy złoty ząb.

– Coś mi wyskoczyło. Nic, czym byś się musiał przejmować.

Koro Ha chciał zapytać, co takiego mogło wyskoczyć w trakcie kilku dni, które minęły od ich wypłynięcia z Fortecy u Podnóża Gór, tym bardziej że przebywali na pełnym morzu. Jedynym wyjaśnieniem była owa skrzynia, a właściwie jej zawartość. Koro Ha nie miał bladego pojęcia, co Orna Sin właśnie sobie wymyślił.

Przez kilka kolejnych dni, gdy Koro Ha rozmyślał nad tymi dziwnymi wydarzeniami, oschłe nastawienie i liczne urazy załogi nabrały nieco mroczniejszego wydźwięku. Handel w imperium od dawna był zdominowany przez sieneńskich poszukiwaczy przygód i spekulantów, mających dostęp do pożyczonego lub odziedziczonego kapitału. Nie widywano wśród nich ludzi, którzy wychowali się na ulicach pokonanych, zrujnowanych miast, ale mimo to Orna Sin ze skrajnego ubóstwa doszedł do znacznego bogactwa.

Jedynymi logicznymi wyjaśnieniami było więc to, że dopisało mu niewiarygodne szczęście albo że wstąpił na ścieżkę przestępczą.

Koro Ha powinien właściwie odczuwać obawę, ale odkrył, że intryguje go sam pomysł pracy dla człowieka, który dorobił się

majątku mimo ograniczeń narzucanych przez imperium, nawet jeśli posłużył się nieczystymi metodami.

Punkt kulminacyjny tych rozważań miał miejsce trzy dni temu, kiedy załoga zwinęła żagle, by Chyżość Południowego Wiatru mogła stanąć w dryfie na otwartym morzu. Ustalenie pozycji, nie licząc użycia sekstansu i map gwiazd, było możliwe głównie dzięki odległej sylwetce ciemnej wyspy, która wznosiła się ponad mgłę horyzontu. Statek zwalniał, aż wreszcie zatrzymał się, a wtedy Yin Ila wypuściła krwistoczerwony latawiec z rufy, po czym odwiązała go i pozwoliła, by porwał go popołudniowy wiatr.

Jeden z żeglarzy wspiął się na grot i przywarł do rei, by przyjrzeć się odległej wyspie przez lunetę. Potem krzyknął coś na dół w żargonie używanym na pokładzie, który Koro Ha zrozumiał tylko na tyle, by wiedzieć, że zbliżał się inny statek.

– Widziałeś już kiedyś Czarną Paszczę, nauczycielu? – spytała Yin Ila, co zaskoczyło Koro Ha. Kobieta stanęła przy nim. – Imponujący widok, oczywiście z bliska.

– Chodzi o tę wyspę? – zainteresował się Koro Ha.

Yin Ila pokiwała głową.

– Wątpię, czy kiedykolwiek uda ci się podpłynąć bliżej. Dziwne, że Orna Sin pozwolił ci pozostać na pokładzie, żebyś mógł ujrzeć aż tyle.

– Dziwne jest to, że prowadzi potajemne interesy z pasażerem na pokładzie – powiedział Koro Ha. – Być może ufa mi bardziej, niż sądzisz.

– Ha! – Yin Ila postukała się w bok nosa z mądrą miną. – A może chce się przekonać, co zrobisz?

Wbiła w Koro Ha długie spojrzenie. Nauczyciel odwzajemnił je, choć jego ciało przeszył dreszcz, aż kobieta uśmiechnęła się i odwróciła. Wówczas odetchnął z ulgą i oparł łokcie na relingu.

Na morzu między Chyżością a Czarną Paszczą pojawiła się łódź z pływakiem, sunąca pod dwoma prostokątnymi białymi

żaglami. Zachwycony Koro Ha przyglądał się, jak mknie z ogromną prędkością po falach, aż jej załoga zwinęła żagle i zatrzymała się w odległości rzutu kamieniem od Chyżości, która z kolei opuściła na wodę jedną z dwóch szalup. Zasiadał w niej sam Orna Sin.



Szalupa oraz łódź z pływakiem spotkały się, unosząc się i opadając na falach. Nawigujący łódź z pływakiem wyrzucił do

wody dwie małe beczki, które Orna Sin wciągnął na pokład szalupy za pomocą bosaka. Następnie nad łodzią z pływakiem znów rozkwitły żagle, a prowadzący ją człowiek wykonał zwrot i odpłynął w stronę ciemnej wyspy, zachowując o wiele spokojniejsze tempo.

Dzień później, gdy Chyżość powróciła na południowo-zachodni kurs, Orna Sin zaprosił Koro Ha, by razem z nim wypróbował czarny tytoń o bogatym smaku. Jak wielokrotnie wcześniej, zasiedli na dziobie, ale Koro Ha nie mógł się skupić na ich zwyczajowej zabawie. Ciągle myślał o skrzyni, beczkach i tajemniczej wyspie.

– Cóż, nauczycielu, usłyszałeś moją pierwszą propozycję. Jakie miano zaproponowałbyś tej wspaniałej mieszance? – spytał Orna Sin.

Koro Ha zamrugnął. Nawet nie zwrócił uwagi na to, że zabawa się rozpoczęła. Pyknął z fajki pospiesznie.

– No i? – naciskał Orna Sin.

– To... to bardzo złożony smak – powiedział Koro Ha. – Wyczuwam w nim coś sekretnego i zmysłowego. Może „zakazany pocałunek o północy”? To tytuł starej opowieści o moralności.

– Ależ to oklepana bzdura – prychnął Orna Sin. – Zadałem sobie mnóstwo trudu, żeby cię zatrudnić, nauczycielu. Nie chcesz mi jakoś zaimponować? A może coś nie pozwala ci się skupić?

– Po prostu denerwuję się rychłym końcem podróży – przyznał Koro Ha, rumieniąc się z zażenowania. – Jak już mówiłem, od dawna nie byłem w Toa Alon i zastanawiam się, ile zmian nastąpiło.

– Czerwone żagle na lewej burcie! – krzyknął obserwator na grocie. – Żółty latawiec!

– Nie da się odbyć nawet jednego rejsu bez przeszkód – mruknął Orna Sin. Przeciągnął się, wystukał tytoń z fajki

i wsunął ją do kieszeni. – Proszę o wybaczenie, nauczycielu. Chyba nasza zabawa musi poczekać.

Następnie zszedł po drabince prowadzącej pod pokład, wykrzykując rozkazy:

– Złożyć żagle. Wypuścić zielony latawiec! Dołóżcie starań, żeby Sieneńcy nie zaczęli węszyć wokół tego, co jest dobrze schowane.

Zaskoczony Koro Ha patrzył, jak żeglarze skoczyli do wykonywania zadań. Wkrótce Chyżość wytraciła większość prędkości, a nauczyciel osłonił oczy dłonią przed słońcem i wpatrywał się w horyzont za lewą burtą, gdzie na wietrze unosił się trójkątny żółty latawiec. Wnet ujrzał trzy czerwone żagle, a potem rozpedzony kuter o wąskim kadłubie, mknący w kierunku Chyżości.

– Tylko się nie posikaj, nauczycielu – wykrzyknęła z dziobu Yin Ila. – To tylko jednostka patrolowa, która walczy z piratami i innymi takimi!

Koro Ha pomyślał o Czarnej Paszczy i osobliwych beczkach, pozyskanych w jeszcze dziwniejszych okolicznościach, co bynajmniej nie ukoilo jego nerwów. Mógł tylko liczyć na to, że spryt Orny Sina i Yin Ili wystarczy, by uniknąć wykrycia.

– A czego oni od nas chcą? – wykrzyknął Koro Ha w odpowiedzi. – Przecież płyniesz pod kupiecką banderą!

– Ale znajduje się na niej znak Sor Cala – rzekł Orna Sin, wychodząc na pokład. Zamienił swój wymięty płaszcz na bardziej elegancką szatę w sieneńskim stylu, uszytą z zielonego sukna i ozdobioną prostymi geometrycznymi kształtami. – Ich kapitan ma precyzyjne rozkazy. Każdego miesiąca musi przeszukać tyle a tyle statków, zająć tyle a tyle skrzyń ze szmuglowanym towarem i tak dalej.

Przeciągnął się, jakby oczekiwał bójki, i obdarzył Koro Ha pokrępiającym uśmiechem, choć spojrzenie nadal miał twarde i nieugięte.

– Wyglądasz, jakby cię dopadła choroba morska, nauczycielu. Niebawem ruszymy w dalszą drogę.

Nim Koro Ha zdecydował, czy warto podjąć temat osobliwych dóbr z Czarnej Paszczy, bez wątplenia podpadających pod kontrabandę, sieneński kuter zatrzymał się przy Chyżości. Ludzie z bandolierami ciężkimi od granatów obsadzili obrotowe balisty na dziobie i rufie. Wycelowali w Chyżość, a inni załoganci opuścili na wodę szalupę, która pokonała niewielką odległość między dwoma jednostkami. Na rozkaz Yin Ili załoga opuściła sznurową drabinkę i na pokład wdarło się sześciu sieneńskich żołnierzy uzbrojonych w kusze. Dowodził nimi młody porucznik.

– Witajcie, witajcie, czcigodni goście. – Orna Sin pochylił głowę niczym uosobienie kupca w dydaktycznej sieneńskiej opowieści. – Jestem Orna Sin, a ten statek należy do mnie. W jaki sposób my i moja załoga możemy przysłużyć się imperium?

Młody porucznik omiótł pokład wzrokiem.

– Chcę otrzymać kopię aktu własności i dokładną listę załogi oraz ładunku.

Zmrużył oczy, patrząc na Koro Ha, który próbował ukryć w rękawach drżące dłonie. Nauczyciel stłumił westchnienie ulgi, gdy porucznik zwrócił się do Orny Sina:

– Przemytnicy i piraci często pływają po tych wodach. Nie ma też wątpliwości, że Sor Cala jest ich bazą.

– Obrzydliwi nikczemnicy! – Orna Sin potrząsnął głową z dezaprobatą, a potem skinął na Yin Iłę, która podeszła z naręczami zwojów ostemplowanych jaskrawoczerwonymi pieczęciami, preferowanymi przez cesarską biurokrację. – Zapewniam was, że ja i moi ludzie doceniamy ochronę ze strony imperium. Moja pani kapitan przygotowała wszystkie stosowne dokumenty.

Porucznik przyjął zwoje, choć zmarszczył przy tym nos i nawet na nią nie spojrzał. Nie próbował ukryć swojej pogardy wobec tego, że kobieta służy jako kapitan statku handlowego.

– Moi ludzie będą musieli również otrzymać pełen dostęp do twojej ładowni – rzekł.

– Oczywiście. – Orna Sin wskazał drabinę prowadzącą pod pokład. – Osobiście dopilnuję tego, żeby nikt im nie przeszkadzał w oględzinach. Proszę mnie przepuścić.

Porucznik i trzech jego podwładni udali się za Orną Sinem, a reszta pozostała na pokładzie, uważnie przyglądając się załodze. Marynarze zaś robili wszystko, co tylko mogli, by nie patrzeć na żołnierzy i ich kusze. Koro Ha stał niepewnie przy relingu. Miał wrażenie, że upłynęła cała wieczność, choć słońce na niebie ledwie drgnęło.

– Hej, ty! – Jeden z żołnierzy ruszył ku niemu. – Pasażer?

Koro Ha przełknął ślinę.

– Tak. Nazywam się Koro Ha i jestem nauczycielem. Zmierzam do Sor Cala, żeby objąć tam nową posadę.

– Barbarzyńca nauczyciel... – Żołnierz zmrużył oczy. – Gdzie twoje papiery?

– W mojej kabinie pod pokładem – odparł Koro Ha. Przeszły go ciarki, gdy usłyszał zapał we własnym głosie. Jak się powinien zachowywać człowiek podczas kontroli statku? – Przyniosę je, jeśli to potrzebne.

– Oczywiście, że potrzebne – zadrwił żołnierz. – Luo, Yan, miejcie oko na resztę, a ja przyjrzę się papierom tego niby nauczyciela.

Z ładowni dobiegło szuranie przesuwanych beczek i skrzyń, a potem łoskot towarzyszący ich otwieraniu. Idąc do swojej małej kajuty na rufie, Koro Ha walczył z pokusą, by zerknąć przez ramię na żołnierzy prowadzących poszukiwania. Orna Sin z całą pewnością dobrze ukrył tajemne beczki. W innym razie nie wpuściłby Sieneńczyków na pokład z taką ochotą.

– Jesteśmy na miejscu. – Koro Ha wślizgnął się do ciasnej kabiny.

Żołnierz zatrzymał się przy luku. Kuszę miał przy sobie, a dłoń trzymał na rękojeści miecza, jakby się spodziewał, że Koro Ha wyciągnie spod koca kilka sztyletów. Nauczyciel przez chwilę przebierał wśród papierów w kufrze, aż odnalazł swoją historię zatrudnienia i zamieszkania, a także pokrytą lakierem skrzyneczkę, w której trzymał wypracowania napisane na egzaminach i zaświadczenie o ich zdaniu.

Gdy żołnierz przeglądał papiery, w ciasnym korytarzu za jego plecami rozległy się podniesione głosy. Koro Ha zerknął w tym kierunku. Po jego plecach spływał pot, a na szacie tworzyły się mokre plamy.

– Co takiego robi uczony pierwszego stopnia jako nauczyciel?
– zaszydził żołnierz. – Nie powiodło ci się na urzędzie państwowym, co, przybłądo z Toa Alon?

– A to? – rozległ się głos młodego porucznika, a potem łoskot odrzucanych na bok desek.

Żołnierz odwrócił się ku zamieszaniu, wpychając papiery i skrzynkę do rąk Koro Ha. Ten zatoczył się, odłożył wszystko do kufra i podążył za żołnierzem korytarzem ku kolejnej drabinie, prowadzącej do ładowni. Krew pulsowała mu w skroniach. Korciło go, by rzucić się do ucieczki, ale szedł prosto w kierunku niebezpieczeństwa, gdzie nie mógł liczyć na żadną kryjówkę. Strach przegonił wszystkie jego myśli. U dołu drabiny ujrzał porucznika, który stał nad otwartą skrzynią i machał podartą kartką przed twarzą Orny Sina.

– Wedle listy przewozowej wieziesz jedwab trzeciej kategorii, podczas gdy ten wygląda na drugą, jeśli nie pierwszą! – Porucznik musnął kciukiem jedwab, starannie ułożony w skrzyni. – Masz mnie za głupca? Mój ojciec handlował jedwabiem. Cóż za kupiec popełnia błąd tego rodzaju, co?

Orna Sin skulił się, ale odgrywał przedstawienie, z którego każdy aktor byłby dumny.

– Proszę o wybaczenie, panie oficerze, ale przedstawiłem wszystkie moje dobra do inspekcji w Fortecy Centralnej. Celnik osobiście zapisał kategorię jedwabiu! Przecież tu widać jego pieczęć! O, proszę!

– Po tym, jak wcisnąłeś mu kilka taeli – warknął porucznik. – Nie mam wątpliwości.

– Weź tę skrzynię, panie! – nalegał Orna Sin. – Weź ją całą. Uznajmy, że to różnica między cłem, który zapłaciłem w Fortecy Centralnej, a tym, które powinienem był zapłacić.

Od spojrzenia porucznika mogłoby skwaśnieć mleko, ale skinął ostro na towarzyszących mu żołnierzy, którzy zaczęli niezgrabnie wlec otwartą skrzynię po drabinie.

– Czy wy, barbarzyńska hołoto, zawsze musicie uciekać się do podstępów? – Porucznik zerknął raz jeszcze na otwarte skrzynie i połamane deski. – Zbyt leniwi, żeby uczciwie dojść do pieniędzy nawet w czymś tak podłym jak handel. Masz szczęście, że nie zająłem całego statku i nie zawlokłem was przed oblicze sędziego w Sor Cala.

– Oczywiście, drogi panie. – Orna Sin uklonił się nisko. – Mogę jedynie przeprosić za moją nieostrożność, choć przysięgam, że nie chciałem pozbawiać imperium należnych podatków.

– Nie waz się do tego dopuścić ponownie – burknął porucznik i w końcu ruszył w górę po drabinie. Orna Sin podążył za nim, ale wcześniej dał Koro Ha znak, by ten pozostał w kajucie.

– Dobrze się sprawiłeś – szepnął, stawiając stopę na pierwszym szczeblu. – Zasłużyłeś sobie na coś mocniejszego. Wyglądasz, jakbyś potrzebował kapki wina.

Gdy Chyżość znów sunęła po falach, a Koro Ha uporał się z kilkoma czarkami wina ryżowego, Orna Sin stanął w drzwiach jego kajuty. Miał na sobie ten sam wymięty płaszcz

co zwykle, przez co prezentował się naturalnie. Nauczyciel miał tysiące pytań, ale zaczął od zaproponowania mu wina, jednak kupiec odrzucił zaproszenie.

– Pytałeś, jak zmieniło się Toa Alon. – Orna Sin wzruszył ramionami i wyciągnął fajkę z kieszeni. – Ulice znów pokryto brukiem, ale reszta nie uległa zmianie. Imperium nadal rządzi. Biedni nadal cierpią. Kilku naszym udało się wybić, ale kilku innych całkiem upadło.

Koro Ha pracował dla okropnych ludzi i uczył nieznośne dzieciaki, gdy otrzymywał obietnicę bezpieczeństwa. Szkoła w Sor Cala wcale nie oznaczała spokojnej emerytury, na którą mógłby liczyć u Surowej Zimy. Wręcz przeciwnie, praca tam mogłaby się skończyć dla niego źle, gdyby imperium dowiedziało się o machlojkach Orny Sina, wymagających zostawiania przesyłek na morzu, sygnałów wysyłanych latawcami i wymiany dóbr na otwartym morzu.

Nabrał tchu i zdusił w sobie ostrzeżenie Yin Ili, choć to rozbrzmiewało echem w jego głowie.

– Jesteś oczywiście jednym z tych, którym udało się wybić – powiedział. – Zastanawiam się, jak tego dokonałeś. Ciekawi mnie też, czy dowiedziałbym się tego, gdybym zbadał beczki, które potajemnie wzięłeś na pokład. Chciałbym też dociec, co by się stało, gdyby Sieneńczycy je znaleźli.

Orna Sin błysnął złotym zębem. Zmarszczki wokół jego ciemnych oczu pogłębiły się, zlewając się z cienkimi liniami starych, spłowiałych blizn.

– Potrzebuję wielu rzeczy, Koro Ha, żeby pomóc moim rodakom. Chcę, żeby żyło im się lepiej, a do tego potrzeba pieniędzy. Ale jak miałbym zarabiać w świecie, gdzie prawo handlowe, nawet w naszych lasach i górach, ustanawiane jest przez Sieneńczyków? Gdzie jak sam widziałeś, wykorzystują każdą sposobność, żeby nas prześladować i odbierać nam majątek? Ty znalazłeś sposób, żeby żyć w sieneńskim świecie

w wygodzie, ale ja nie zdołam spełnić własnych marzeń, jeżeli będę ograniczany przez ich prawo.

Pochylił się i zapalił zapałkę, a potem wciągnął płomień do czaszy swojej fajki. W powietrzu rozszedł się bogaty aromat. Koro Ha rozpoznał go – był to ten sam tytoń, który palili przed inspekcją, a rozmaite aspekty jego woni były trudne do nazwania. Równie ciężko byłoby nazwać rozliczne odczucia, które odbijały się w oczach Orny Sina.

– Sprawiedliwe przestępstwo – wymamrotał.

Orna Sin uniósł brwi. Koro Ha wskazał jego fajkę.

– Miałem na myśli nazwę dla tej mieszanki tytoniu. Myślę, że pasuje.

Kupiec roześmiał się.

– Być może, nauczycielu – powiedział. – Czas pokaże.

Powrót do Nory

Głupi Kundel

Główną ulicą Nory płynęła krew przemieszana z popiołem. Ciała sieneńskich obrońców leżały w śniegu, poczerniałe od magicznego ognia, poszarpane pazurami i dziobami drapieżników. Wojna była koszmarem, co przyznawali nawet sieneńscy mędrcy. Zgroza ugniatała mi umysł, choć szedłem przed siebie, obojętny na mdłości.

Czy miałem inną ścieżkę?

Gdzieś z trzaskiem otwarto drzwi, szyld kołodzieja zakołysał się, skrzypiąc zawiasami. Ze środka wytoczył się starzec, który przewrócił się i wylądował w błocie. Dwóch młodych ludzi w improwizowanych zbrojach powstańców wypadło za nim. Jeden trzymał sierp, a drugi włócznię.

– Wziąłeś od mojego ojca całego taela za naprawę pękniętej osi – warknął chłopak z włócznią. – A teraz twierdzisz, że nie masz pieniędzy? Za głupków nas masz? Gdzie je chowasz?

Kołodziej uniósł dłonie.

– Proszę! Bierzcie, co chcecie, ale nie krzywdźcie nas!

Na progu stanęła drżąca kobieta, trzymając młodego chłopaka, który szarpał się i miotał, usiłując przyjąć staremu z pomocą. Powstaniec szturchnął kołodzieja ostrzem włóczni. Ze skaleczenia na ramieniu popłynęła krew.

Pogodziłem się z rzeczywistością wojny i z tragedią, będącą zawsze owocem przemocy, ale teraz nie byłem świadkiem powstania przeciwko imperium, a jedynie regulowania starych porachunków. Sięgnąłem po magię, przekonany, że wybuch płomieni czy błyskawica z nocnego nieba przegoni tych durniów.

– Wołek! Śpiewający Drozd! – Dziewczyna, która prosiła mnie o błogosławieństwo, zjawiła się w uliczce z latarnią w jednej ręce i mieczem w drugiej. – A co wy tu, do cholery, wyprawiacie?

Młodzi żołnierze stanęli na baczność.

– Pani kapitan, ten drań wziął od mojego ojca wszystkie oszczędności za naprawę wozu! – zameldował chłopak z włócznią. – Wiedział, że ojciec tego wozu potrzebuje, żeby przywieźć zbiory na sprzedaż. Wiedział, że nie może się targować...

– Gównu mnie to obchodzi! – Wokół ust Biegnącej Sarny tworzyły się obłoczki pary. – To nie nasze metody, Wołek, ty głupi łajdaku. Do izby sędziego! Walka jeszcze się nie skończyła.

Chłopcy byli więksi od niej, a do tego mieli broń w gotowości. Przez chwilę wahali się, a ja rozważałem, czy ich pragnienie zemsty nie przeważy nad lojalnością wobec powstania.

Już miałem wyjść z cienia, by wesprzeć Biegnącą Sarnę, ale obaj podnieśli pięści do piersi w niechętnym salucie i popędzili główną ulicą. Dziewczyna opadła z sił i westchnęła, a potem nachyliła się, by pomóc kołodziejowi. Dopiero wtedy mnie dostrzegła i otworzyła szeroko oczy.

– Dobra robota – powiedziałem i podszedłem bliżej, by jej pomóc.

Podnieśliśmy rzemieślnika, który obsypał nas podziękowaniami, a potem zadrżał i wciągnął gwałtownie powietrze, sięgnąłem po magię uzdrowicielską, by uleczyć skaleczenia na jego czole i ramieniu. Widząc efekt mojego

działania, znów zaczął mi dziękować, a potem obiecał, że jeśli będziemy mieli koło, oś czy cały wóz do naprawy, załatwi wszystko bez słowa.

– Powinieneś wiedzieć, że wokół domu sędziego nadal jest gorąco – powiedziała Biegnąca Sarna, gdy kołodziej zatrzasnął drzwi. – Miałam tam wysłać każdego, kogo znajdę, a ciebie pewnie w szczególności.

Nagle chyba uświadomiła sobie, że odzywa się do mnie nader swobodnym tonem, bo oblała się rumieńcem, dotknęła poczerńiałego drewnianka przy kołnierzu, zaszutowała i odbiegła w poszukiwaniu kolejnych młodych głupców, którzy potrzebowali surowych rozkazów.

Gdy zniknęła, znów poczułem niepokój. Widziałem wszędzie ślady odwrotu – rozrzucone wiązki strzał i ciała zabitych z plecami pochlastanymi mieczami i szponami. Nie widziałem wśród nich Nayeńczyków, choć nadal prześladowało mnie wspomnienie z tawerny.

Nad murami domu sędziego kłębiły się gęste chmury dymu, od których odbijał się blask niewidocznego ognia płonącego na dziedzińcu za bramami. Moja babcia, wuj, jego przyboczni oraz pół tuzina żołnierzy prowadzili oblężenie, oświetlając okolicę pochodniami oraz językami magicznego ognia. Poczulem skurcze w kończynach. Brązowa Sowa, zmieniona w ptaka, przemknęła nad dachem, widoczna w blasku płomieni. Pomknęła za nią lawina strzał, na co Sowa zawróciła i zanurkowała, pociągając za sobą kolejną salwę, aż wylądowała obok mojego wuja. W powietrzu rozszedł się zapach cynamonu, gdy wróciła do ludzkiej postaci.

– Och, Głupi Kundlu, dobrze cię widzieć – powiedział Wredny Lis, gdy się zbliżyłem. – Przydasz się nam.

Zaszutowałem, a wuj wyjaśnił, że sędzia zabarykadował się w domu wraz ze służbą i resztą garnizonu. Poczulem ulgę na

wieść o tym, że Czysta Rzeka nadal żyje, a potem ucisk w sercu, gdy wuj dodał, że nie chce się poddać.

– To przykre – powiedziałem – ale nie stanowi dla nas problemu. Pewnie mają studnię, ale jedzenie niebawem im się skończy.

Pogładził siwy kosmyk w brodzie.

– Obiecałem, że Nora padnie w jedną noc, i słowa dotrzymam. O świcie wieści o naszym zwycięstwie pomkną do okolicznych wsi, a my zaczniemy odbudowę naszej armii.

Bitwa pod Twierdzą Szarego Mrozu i ucieczka legionu Lotki powinny stworzyć wystarczający grunt pod odbudowę naszych sił, ale oczywiście Twierdza Szarego Mrozu była moim zwycięstwem, a to miało należeć do niego.

– Zakończ to żałosne oblężenie – ciągnął Wredny Lis. – Dzięki władzy nad wiatrem bez trudu osłonisz się podczas ataku na dom.

– Jeśli obrzucą mnie granatami, dom stanie w płomieniach – powiedziałem.

Wredny Lis zmarszczył brwi.

– Cóż. W takim razie sami się spalą – odparł.

– I pół miasta ze sobą.

– Naprawdę są aż takimi głupcami? – spytał wuj.

– Któż może powiedzieć, co uczynią zdesperowani ludzie w obliczu śmierci? Pozwól, żebym spróbował namówić sędziego do poddania się.

– Pewnie mógłbyś odwołać się jego sieneńskiej mentalności. – Wredny Lis wzruszył potężnymi ramionami. – Dobrze. Ale kiedy nadejdzie świt, ten dom ma być nasz, nawet jeśli zamieni się w stertę dymiących gruzów.

Przełknąłem tuzin innych argumentów i przypomniałem sobie, że przecież powróciłem do Nayenu, by wspierać wuja. Porzuciłem zarówno karierę w imperium, jak i szczęście odkryte wśród mieszkańców An-Zabat, by dołączyć do niego

i do babci, by zdobyć miejsce u jego boku, miejsce wśród rodziny i rodaków. Tymczasem już usłyszałem oskarżenia o próbę uzurpacji i jakkolwiek sprzeciw nastawiłby go jedynie przeciwko mnie. Liczyłem na to, że być może później znajdę sposób na stępienie jego okrucieństwa. Zamiast tego odwróciłem się ku oknom domu sędziego i zawołałem:

– Czysta Rzeka! To ja! Głupi Ku... – zacząłem, ale przypomniałem sobie, że tego imienia nie zna. – Wen Olcha znaczy się. Proszę, musisz się poddać. Nie wygrasz tej walki.

Najpierw nie było odpowiedzi, a moje myśli powróciły do opowieści o sieneńskiej moralności, które studiowałem przed egzaminami. W iluż z nich główny bohater decydował się na samobójstwo, gdy znalazł się w pułapce bez wyjścia, zmuszony do złamania istotnej zasady doktryny?

– Lotka ostrzegł mnie, że możesz się zjawić – odkrzyknął Czysta Rzeka po sieneńsku. W jego głosie pobrzmiwała zgroza. – To ty stworzyłeś ten wiatr, prawda? Widziałem odrzucane strzały i granaty wybuchające w powietrzu.

Znów nastąpiła przerwa, a gdy sędzia odezwał się ponownie, dzika furia w jego głosie zdawała się przebijać przez drżenie lęku.

– Nie chciałem w to wierzyć. Wolałem myśleć, że poprowadzisz armię bokiem i nas oszczędzisz. To przecież nie jest wielkie miasto, a nawet nie forteca. Czy widzisz w Norze jakąś wartość strategiczną? – Zaśmiał się krótko. – Żyliśmy tu w pokoju. Sam pewnie mogłeś to zauważyć. Chodziło ci o to, żeby zniszczyć symbol tego, czym moglibyśmy się stać, gdyby imperium przestało się szarpać z powstańcami?

Wuj zmarszczył brwi. Byłem pewien, że rozumie sieneński na tyle, by nadażać za naszą rozmową.

– To nie jest moja armia, Czysta Rzeka – odpowiedziałem po sieneńsku. – Jestem Dłonią mojego wuja, tak jak kiedyś

służyłem cesarzowi. Wuj oferuje wam łaskę. Poddajcie się. Każ swoim ludziom, żeby rzucili broń. Ocalicie życie.

– Ty już zniszczyłeś nam życie! I po co? Powiedz mi, Olcho, jaki był sens tego wszystkiego? – spytał Lu Czysta Rzeka.

Nie znałem odpowiedzi, która mogłaby go usatysfakcjonować. Nie było też takiej, która odpowiadałaby mnie.

– Jakoś ci to nie wychodzi, siostrzeńcze – powiedział obojętnie Wredny Lis.

– Wolisz zginąć czy żyć? – zawołałem. – Czy to naprawdę takie ważne, czy służysz cesarzowi, czy Królowi Słońca?

– Jeden z nich pozwolił mi zbudować tu coś dobrego – odparł sędzia. W jego głosie pojawiła się żalсна nuta, którą uznałem za sygnał, że jego gniew zaczyna słabnąć. – Drugi to zniszczył.

– Możesz to odbudować. Nie udawajmy, że Nora była idealnym miejscem pod rządami imperium. Pamiętam natarczywość tego sieneńskiego patrolu. Może i stworzyłeś tu oazę pokoju, ale co rusz próbowano ją podbić. Teraz może tu nastać prawdziwy pokój, Czysta Rzeka. Wystarczy, że się poddasz i wykorzystasz swoje talenty, żeby pomóc Nayenowi odzyskać wolność.

Przez chwilę słyszałem jedynie trzask palących się pochodni i magicznego ognia, co roznieciło moje nadzieje. Czysta Rzeka się zastanawiał. Tłamsił strach i gniew, by ujrzeć prawdę.

– Ja też pamiętam ten patrol – odpowiedział w końcu. – I ciała tych żołnierzy, poszarpane, rozrzucone na ziemi. I teraz prosisz mnie, żebym ci zaufał? Żebym oddał życie w twoje ręce? Chyba masz mnie za idiotę.

Serce we mnie zamarło. Zrozumiałem, że nigdy mi nie uwierzy. Wciąż będzie pamiętać krew, którą rozlałem przed jego oczami. Od chwili naszego pierwszego spotkania, gdy zdawaliśmy imperialne egzaminy lata temu, nie zaufaliśmy sobie nigdy. Dlaczego miałyby się to zmienić teraz? Słowa

najwyraźniej zawiodły i żałowałem, że nie mogę mu pokazać własnej szczerości w inny sposób.

Powoli uświadamiałem sobie istnienie jeszcze jednego sposobu, by do niego przemówić. Przypomniałem sobie Syczącą Kocicę w moim umyśle. Pamiętałem, jak wyraźnie czułem jej własną frustrację. Gdybym mógł dotrzeć w ten sposób do Czystej Rzeki, pokazałbym mu głębię mojego żalu i szczerą nadzieję na to, że zdoła ocalić życie. Wówczas na pewno nie podważyłby moich intencji.

– Przestałeś mówić, siostrzeńcze – powiedział Wredny Lis, krzyżując ramiona na piersi. – Mam to uznać za przyznanie się do porażki?

– Mam jeszcze jedną sztuczkę w zanadrzu – odparłem i zamknąłem oczy.

Wmówiłem sobie, że ten manewr nie różni się specjalnie od innych form wykorzystania magii, a moje wspomnienia Czystej Rzeki były wyraźne. Dokładnie pamiętałem jego piegowate policzki i dołeczki, które pojawiły się, gdy uśmiechnął się z udawaną szczerością i obiecał, że nikomu nie powie o płomieniu, który wyczarowałem. Pamiętałem też, jak potem ów uśmiech przeobraził się w szyderczy grymas, gdy zagroził, że mnie wyda. Pamiętałem zazdrość w jego oczach, gdy patrzył na mnie na podwyższeniu, a potem obrzydzenie i zgrozę, gdy ujrzał masakrę, którą sprowadziłem do jego domu.

Poczułem, jak przygniata mnie ciężar mojej magii, gdy sięgałem ku niemu przez strukturę, szukając echa tych wspomnień. Nie miałem już kanałów, którymi mogłem się poruszać. Odnosiłem wrażenie, że wyciskam własny umysł w poszukiwaniu na pół zapomnianej myśli czy kiedyś usłyszanego słowa.

– Co ty wyczyniasz? – spytał ostro Wredny Lis, ale jego głos był odległy, stłumiony. Byłem zanadto skupiony, by go słyszeć. Wnikałem w strukturę świata i szukałem umysłu Czystej Rzeki.

O, znalazłem coś odpowiedniego. Lustrzane odbicie mojego wspomnienia. Skulona, wyczerpana drogą postać, dłonie zaciśnięte na mieczach z wirującego powietrza, znoszone ubrania zbryzgane krwią. Rzuciłem się w jego stronę i wyczułem, jak Czysta Rzeka cofa się z przerażeniem, gdy mój umysł wniknął do jego myśli. Poczulem euforię zwycięstwa na chwilę przed tym, jak odkryłem echo strachu i dezorientacji Czystej Rzeki. Jego myśli wirowały i kotłowały się niczym wezbrany potok.

„Czysta Rzeco, to ja” – zapewniłem go, usiłując emanować spokojem w nadziei, iż to wyciszy jego umysł. „To Olcha”.

W odpowiedzi Lu Czysta Rzeka uformował jedną spójną myśl:

„Co to jest? Czy ja oszalałem?”

„Przemawiam do ciebie przy wykorzystaniu tej samej magii, po którą sięga cesarz, żeby zwrócić się do Głosów” – odparłem.

Z zamieszania w jego umyśle wyłaniały się niepełne pytania, przypominające fale sunące po wzburzonym morzu. Omywały mnie jedna po drugiej, pokazując chaos w jego głowie. Na szczęście udało mi się pojąć sens niektórych z nich.

„Tak, nasze umysły są połączone” – przyznałem. „Ale nie mam zamiaru cię zniewolić. Chodzi mi o coś innego. Wiem, że w słowa trudno jest uwierzyć i że potrafią zmylić, a więc chciałem ci pokazać pełnię moich zamiarów”.

Usiłowałem emanować spokojem, współczuciem, a także winą za agresję, której dopuściłem się w Norze, zarówno podczas poprzedniej wizyty, jak i tej. Jego umysł zaczął się stopniowo wyciszać, niczym burza, która wytraca siłę na brzegu.

„Pozwolisz nam ujść z życiem? Naprawdę?” – pomyślał w końcu, a ja poczułem falę tryumfu.

„Tak” – powiedziałem mu z przekonaniem. „Nie widzę powodu, żebyś musiał dziś ginąć. Unieście ręce i wyjdźcie, a nic

wam się nie stanie”.

Czułem jego wahanie, które przeszło w ponure przeświadczenie, że dalszy opór oznacza śmierć. W końcu ustąpił. Jego umysł był już spokojny jak wody w osłoniętej zatoczce.

„Będę musiał przekonać moich ludzi”.

– Wychodzą – wymamrotałem po nayeńsku i otworzyłem oczy. Wśród przybocznych mojego wuja poniosły się szepty zaskoczenia.

– Znam tę magię – rzekła Brązowa Sowa, patrząc na mnie oskarżycielsko. – Czułam jej emanację od Głosów cesarza.

Zignorowałem ją i odwróciłem się do wuja.

– Zapewniłem sędziego, że oszczędzisz życie wszystkim obrońcom.

Jego twarz nabrała surowego wyrazu.

– Nie jesteś moim Głosem, siostrzeńcze. Nie przemawiasz w moim imieniu.

Zamrugalem go, próbując zrozumieć.

– Poddadzą się. Ty...

– Kto z nas dowodzi tą armią? – spytał ostro wuj.

Stojąca za nim babcia drgnęła i napięła mięśnie kalekiego ramienia. Na jej obliczu pojawił się strach. Kogo się bała? Mnie czy Wrednego Lisa?

Dręczyła mnie frustracja wywołana jego podejrzeniami. Tak łatwo mógłbym je rozegnać, gdybym tylko sięgnął do jego umysłu, tak jak przed chwilą zrobiłem to z Czystą Rzeką. Mimo to czułem na sobie oskarżycielskie spojrzenie Brązowej Sowy i wiedziałem, że gdybym obrócił moją magię przeciwko wujowi, nawet kierując się obopólną korzyścią, nasz kruchy sojusz ległby w gruzach.

– Wuju, czy chcesz dowodzić jak tyran, który morduje klękających przed nim ludzi, czy jak człowiek, który wyzwoli cały Nayen, nawet tych, którzy kiedyś służyli imperium? Czysta

Rzeka ma umiejętności, które nam się przydadzą. Armia zaś zawdzięcza swoje istnienie nie tylko mieczom, ale chlebowi, lekarstwu i wozom z zaopatrzeniem. Logistyka to życie i śmierć każdej kampanii. Po co zabijać człowieka, i to jeszcze Nayeńczyka, który może ci pomóc?

– Czyli podwójnego zdrajcy? – wtrąciła Brązowa Sowa, ledwie panując nad swoją wściekłością.

– Ja też jestem podwójnym zdrajcą! – odciąłem się. – Ale umiem się przydać.

Zrobiła krok ku mnie, odsłaniając zęby w furii, ale zanim powiedziała choć słowo, drzwi do domu sędziego otworzyły się. Czysta Rzeka w zwykłych szatach wyszedł, rozkładając szeroko ręce. Przez moment wpatrywał się we mnie, a potem przeniósł wzrok na wuja. W ślad za nim wyszło sześciu ludzi w sieneńskich zbrojach, również pokazując puste dłonie oraz puste pochwy po mieczach. Czysta Rzeka padł na kolana i przytknął czoło do śniegu.

– Poddajemy się – powiedział. – I błagamy o litość.

– Wszyscy na kolana! – warknął Wredny Lis.

Jeden z żołnierzy, mężczyzna z twarzą przeciętą poziomą blizną, skrzywił się z niesmakiem, ale wszyscy wypełnili polecenie. Wredny Lis oparł dłoń na rękojeści miecza i wystąpił.

– Mój siostrzeniec ubłagał mnie, żebym oszczędził wam życie – powiedział po sieneńsku z ciężkim akcentem. – Mówi, że możecie mi służyć tak jak on. Mam zamiar rządzić całym Nayenem i wszystkimi Nayeńczykami, nawet tymi, którzy dali się zwieść powabowi imperium.

Lu Czysta Rzeka podniósł głowę. Czułem, jak wzbiera we mnie napięcie. Przez całe moje życie ludzie mający władzę bawili się mną. Wredny Lis przemawiał w ten sam sposób co oni. W jego głosie słyszałem arogancję i okrucieństwo.

– Oszczędzę cię. – Wredny Lis pokiwał głową, jakby właśnie doszedł do tego wniosku. Przeniósł wzrok na szóstkę sieneńskich żołnierzy klęczących za Czystą Rzeką. – Jesteś przecież Nayeńczykiem. Brakuje nam jednak ludzi, żeby pilnować więźniów, a już tym bardziej sieneńskich psów.

Brązowa Sowa ze zgrzytem wyciągnęła miecze z pochew. Z moich ust wyrwał się okrzyk protestu.

Wiedźma zamachnęła się raz. Jasna krew zbryzgała na pół otwarte drzwi i śnieg na ziemi. Pierwszy sieneński strażnik padł z głową zwisającą na strzępach mięśni.

Pozostałych pięciu zawyło z niedowierzaniem i zerwało się na nogi, ale wtedy Brązowa Sowa i reszta przybocznych wuja runęli na nich, tnąc i paląc. Mężczyzna z poziomą blizną zdołał się podnieść i złapać jakiś kamień, choć z rany na jego ramieniu tryskała już krew. Wrzasnął i rzucił się na Wrednego Lisa, który uniósł dłoń i przyzwał ogień. Ranny żołnierz padł, próbując zdrapać płomienie, które pochłonęły jego twarz. Jego wrzask przeszedł w gardłowe wycie, a ucichł, dopiero gdy zabrała go śmierć.

Czysta Rzeką, nadal klęcząc, uniósł głowę i wbił we mnie oskarżycielskie spojrzenie. Jego szata była zbryzgana krwią.

– Obiecałeś – wychrypiał.

– On nie ma prawa niczego obiecywać – powiedział obojętnie Wredny Lis. Pochylił się nad Czystą Rzeką, znów trzymając dłonie na rękojeściach mieczy. – Złóż mi przysięgę wierności, sędzio, lub giń w błocie i śniegu jak twoi żołnierze.

Twarz Czystej Rzeki wykrzywił wściekły grymas. Jego zęby błysnęły w blasku pochodni i płonących ciał. Zacisnął dłonie w pięści, gotów rzucić się na Wrednego Lisa i umrzeć tak jak jego ludzie.

A może to na mnie chce skoczyć? – pomyślałem, gdy poczułem na sobie jego nienawistne spojrzenie.

Tymczasem Czysta Rzeka oparł czoło o ziemię z takim impetem, że ze skaleczenia pociekła mu krew.

– Przysięgam ci wierność, Królu Słońca. – Głos mu się załamał, ale powtórzył: – Będę ci wierny.

Jego słowa cichły jak jego oddech.

Wredny Lis skinął głową, przeszedł obok Czystej Rzeki i wkroczył do jego domu. Podążył za nim jeden z przybocznych, przestępując nad ciałami żołnierzy. Nasi ludzie, którzy byli świadkami zajścia, rozeszli się, szepcząc do siebie i zerkając na mnie zza ramion.

Po chwili byłem sam z babcią i Czystą Rzeką. Migotały płomienie, a w powietrzu wisiał zapach krwi i smród spalonych ciał.

– Czysta Rzeko, ja...

– Odejdź – warknął, nadal wpatrzony w ziemię.

Przełknąłem ślinę. Babcia przestąpiła z nogi na nogę, wyprostowała ramię, mruknęła coś o zimnie i udała się za ludźmi wuja. Poczułem nacisk równie przytłaczający jak obecność Syczącej Kocicy w moim umyśle. Desperacko próbowałem znaleźć słowa, które mogłyby osłabić poczucie winy i wstyd za to, czego dokonał Wredny Lis, a w czym ja pomogłem. Już drugi raz wniosłem okrucieństwo i przemoc do domu Czystej Rzeki.

– To wojna – powiedziałem, jakby to cokolwiek uzasadniało.

Może i były to absurdalne słowa, ale szczerze, prawda? Zdusiłem w sobie bolesne poczucie winy i zamieniłem je w tarczę. Jeśli Nayen miał stać się wolny, trzeba było rozlać o wiele więcej krwi. Zostawiłem sędziego i udałem się na poszukiwanie Syczącej Kocicy, doktora Sho lub kogokolwiek, kto nie był moją ofiarą czy rywalem.

Odchodząc, mruknąłem w chwili słabości:

– Ciesz się, że nadal żyjesz.

Czysta Rzeka zaczął się śmiać. Ostry, rwany odgłos niósł się w rześkim powietrzu i towarzyszył mi długo po tym, jak ucichło jego echo na ulicach Nory.

Co pozostało w Sor Cala

Koro Ha

Sor Cala nie przypominało miasta, które zapamiętał. Wielki kopiec ziemi i ostrych skał w jego sercu nadal rzucał długi cień. Był grobem dawnej stolicy Toa Alon, jego wielkich kopuł, wiszących ogrodów i cudownych płaskorzeźb, które istniały jedynie w formie kopii oraz w starych opowieściach przekazywanych przez rodziny, nadal odczuwające ból z powodu ich straty. Koro Ha wywodził się z takiej właśnie rodziny, a teraz jechał do niej z wizytą w palankinie wynajętym przez Ornę Sina.

Przynajmniej klimat się nie zmienił. Choć większość powierzchni Toa Alon pokrywały duszne i wilgotne dżungle, porastające niziny na południe od Boskich Słupów, to Sor Cala zbudowano u podnóża wzgórz, gdzie klimat był bardziej umiarkowany. Koro Ha dobrze poznał wilgotne rzeki w sercu Sienu oraz upały, deszcze i śniegi nękające Nayen, ale dom kojarzył mu się głównie z rześkim wiatrem nadciągającym od Słupów, chłodnym jak marmur nawet latem.

Sor Cala zmieniło się z powodu upływu czasu, pieniędzy i sieneńskich wpływów. Ulice pokrywał bruk w sieneńskim stylu. Na zboczach wzgórz otaczających miasto wznosiły się sieneńskie posiadłości magnatów, którzy otrzymali przywilej

wydobywania marmuru i złota w górach lub wycinania dżungli w dolinach w celu pozyskania drewna. Mury pocięły starożytne miasto na dzielnice, a w dzielnicach wyrosły posiadłości i kamienice.

Smród uryny z garbarni i gryzący dym z pieców i kominów zdradziły, że palankin dotarł do dzielnicy handlowej, gdzie Koro Ha przeżył pierwsze i najtrudniejsze lata życia. Zapachy przywołały stare wspomnienia, budząc w nim pragnienie, by kazać tragarzom zawrócić do ogrodu Orny Sina. Nie chciał rozgrzebywać starych ran. Marzył o spotkaniu z rodziną, ale jednocześnie bał się go. Podczas ostatniej wizyty u ojca i siostry przekonał się, że czas i różne warunki życia bardzo ich od siebie oddaliły, a jedynym, co ich łączyło, był wspólny żal. Wiedział, że teraz, po upływie dwudziestu lat, przepaść między nimi mogła się tylko pogłębić, i obawiał się, że nadszarpnięte więzy rodzinne nie zwiążą się już na nowo.

Z framug mijanych domów zwisały kamienne płytki z prostymi rysunkami, uwieczniającymi zawody, którymi się tam zajmowano. Jego palankin zatrzymał się przed wejściem z dwoma płytkami – na jednej widniała nić i igła, a na drugiej dłuto. Koro Ha wyszedł z palankinu i powiedział tragarzom, że spędzi w środku dłuższą chwilę i że powinni odstawić ciężar na ziemię. Ci wymienili się spojrzeniami. Koro Ha wiedział, że pasażerowie nie odzywają się do tragarzy, no chyba że chcą przekazać adres bądź wyrazić niezadowolenie z powodu nazbyt powolnej wędrówki. Koro Ha osiągnął pozycję, która pozwalała na jazdę w palankinach, ale nadal pamiętał, że kiedyś uważał tragarzy za ludzi szczęśliwych.

Rzemieślnik taki jak jego ojciec cieszył się pewnym szacunkiem, ale mieszkańcy upokorzonej kolonii nie byli szczególnie zainteresowani pięknymi rzeźbami. Tymczasem bogacze, którzy nie mieli ochoty brudzić pantofli na ulicach, zawsze potrzebowali środków transportu. Zdrowy mężczyzna,

który miał udział w palankinie, nigdy nie głodował ani nie narażał przyszłości syna na niebezpieczeństwo tym, że nie miał czym zapłacić za nauczyciela.

Z haczyka na drzwiach zwisała ciężka drewniana kołatka. Koro Ha zastukał i czekał. Po drugiej stronie odpowiedziało szuranie stóp i kilka wymruczanych przekleństw w miejscowym języku.

– Zbyt zajęta, żeby otworzyć drzwi, co? – mamrotał ktoś chrapliwym głosem. – Zmusza teraz swojego ojca, żeby po siedemdziesięciu latach przełykania kurzu i jedzenia gówna wstawał dla niej i otwierał drzwi, co? Już zapomniała, że w moich stawach siedzi rdza, a kości przeszły granitem.

Znów rozległo się mruknięcie, zgrzytnęła przesuwana zasuwa i skrzypnęły zawiasy.

– Kto tam? – spytał starzec głośniejszym głosem, co wywołało lekki atak kaszlu. Drzwi otworzyły się szerzej i w szczelinie ukazała się twarz przypominająca wyschniętą śliwę z parą przymrużonych oczu. Gospodarz naraz rozchylił powieki.

– Witaj, ojciec – powiedział Koro Ha. – Mogę wejść?



Okazało się, że Eln Se wcale nie jest zbyt zajęta, by powitać swojego długo nieobecnego brata, który powrócił nagle i bez listu zapowiadającego przyjazd. Wraz z córką Reą Ab, która podczas ostatniej wizyty wuja Koro Ha była pulchnym berbeciem, niepewnie stawiającym kroki, w niczym nieprzypominającym obecnej siostrzenicy, wyższej od niego i szczuplej jak wierzba, szybko uprzątnęły bele materiału i kłębki nici z głównego stołu na niewielkim dziedzińcu domu. Markiza nad ich głowami została zwinięta, by wpuścić do

środką jasne słońce i chłodny wiatr z gór. Ojciec Koro Ha próbował dołączyć do zamieszania i krzątał się po kuchni na tyłach dziedzińca w poszukiwaniu czarek oraz, jak to ujął, czegoś nadającego się do picia, ale Eln Se zmusiła go do zajęcia miejsca na jednym z drewnianych krzesel z niskimi oparciami przy stole.

– Jak dobrze cię widzieć, bracie! – zawołała Eln Se, zmierzając w jego stronę z butelką i czterema czarkami.

Rea Ab siedziała obok niej i przyglądała się wujowi ciemnymi, zaciekawionymi oczami. Czy Eln Se czytała jej listy, które do niej wysyłał? Czy opowiadała jej historie o swoim mądrym bracie i jego przenikliwym umyśle? Czy może srebro, które wysyłał do domu, było jedynym, co łagodziło zacieklą nienawiść, jaką żywił do niego jej ojciec?

– Czemu nie napisałeś, że wracasz?

– To była nagła decyzja – powiedział Koro Ha. – Tak naprawdę to mój statek wypływał dzień po tym, jak zdecydowałem się na powrót. Gdybym napisał list, dotarłbym chwilę po posłańcu, a przecież nie mogłem przekonać jakiegoś Głosu, żeby wysłał wiadomość za pomocą magii. Poza tym to wcale nie wizyta. Chcę zostać w Sor Cala.

Nie jest to do końca prawda, pomyślał z ukłuciem wstydu. Posłaniec przybyłby kilka dni wcześniej. Wszak Orna Sin miał sporo ciemnych interesów do załatwienia po drodze.

Jednak im Koro Ha mniej mówił, tym lepiej.

– Doprawdy? – Ojciec napełnił czarki piwem ryżowym, białym niczym mleko. – Pewnie będziesz uczył syna jakiegoś kupca albo któregoś z ministrów. Nasz sędzia to wielki łajdak, a mówią, że jego syn jest jeszcze gorszy.

– Dzieci sędziego Tana są już dorosłe. – Eln Se zmrużyła oczy, patrząc na ojca. Wydawała się rozdrażniona albo zatroskana jego słabą pamięcią.

– Chcę otworzyć szkołę – powiedział Koro Ha. – Tak jak nauczyciel Zhen. Wynajął mnie w tym celu kupiec Orna Sin.

Ojciec o mało nie upuścił butelki.

– Szkołę! – wypalił, a potem wbił wściekły wzrok w Eln Se. – Mówiłaś, że sobie radzi! Że uczył nawet Dłoń cesarza!

– A dobrze ci płaci? – spytała Eln Se. – Więcej, niż zarabiałeś, ucząc jednego chłopca naraz?

– Mniej więcej tyle samo – przyznał z lekkim zażenowaniem. – I tak, wiem, że z większą liczbą uczniów czeka mnie więcej pracy.

Siostra uśmiechnęła się, co go zaskoczyło.

– Co takiego? – spytał Koro Ha. – Zdziwiona?

– Nigdy nie sądziłam, że porzucisz wygodę dla czegoś, w co wierzysz – powiedziała.

Nauczyciel poruszył się. Jej słowa były życzliwe, ale mimo to zabrzmiały jak zniewaga.

– Czy dzieci Toa Alon nie zasługują na to samo, co synowie zamożnych, potężnych Sieneńczyków?

– Ty miałeś to samo! – parsknął ojciec. – I co z tego masz? Nic! Kilka garści srebra wysłanych do domu! Twoja matka szyła, aż straciła czucie w palcach, a jej płuca wysiadły, tylko po to, żebyś mógł zostać nauczycielem?

– Teraz chcę to wykorzystać – odparł Koro Ha. – Zrobię coś dla Toa Alon.

– Phi! Mieliśmy szkołę, a jedynym pożytkiem z niej byłeś ty!

W sercu Koro Ha zapłonął gniew, ale zagasił go długim łykiem ryżowego piwa, które pozostawiło pałący smak w ustach.

A co osiągnął jego ojciec, zawsze próżny i oporny wobec zasad? Koro Ha pamiętał noce, gdy ich dom, mniejszy od tego i starszy, wybudowany w pośpiechu przez dziadka krótko po zagładzie Sor Cala, rozbrzmiewał narzekaniami sfrustrowanej matki, którym oddawała się po zapadnięciu ciemności, wierząc

w to, że jej dzieci już śpią. Sieneńczycy budowali wille na wzgórzach, w mieście powstawały posiadłości, a bogacze wciąż szukali rzeźbiarzy. Czy jego ojciec nie słyszał, że dzieciom burczy w brzuchach? Nie widział, że jego koledzy po fachu przynosili do domu mieszki srebra, a potem wznosili własne domy?

Sieneńczycy domagali się własnych zdobień. Chcieli węzów z lwimi łbami, chmur, drzew, liści oraz ptaków. Ojciec Koro Ha podołałby takim zadaniom bez trudu, jednak odmawiał.

„Jeśli będą chcieli zapłacić rzemieślnikowi z Toa Alon, żeby wykonał zlecenie w stylu Toa Alon, z ochotą przyjmę ich srebro, ale oni wszystko zabrali i uczynili własnym. Nie zasłużyli więc na to, żebym dla nich pracował”.

Chodził więc do kamieniołomów i wykrawał wielkie bloki z serca góry, zarabiając jedynie część tego, co prawdziwy rzeźbiarz, ale przynajmniej ocalił swoją dumę. Matka Koro Ha pracowała więc wytrwale, by wykarmić rodzinę, aż jej palce zwyrodniały.

W głowie Koro Ha zawirowały gniewne słowa i już otworzył usta, gotów je uwolnić, ale wtedy otworzyły się drzwi, odbierając mu szansę na zniweczenie atmosfery gościnności.

– Yan Hra! – Eln Se podniosła się, by powitać męża.

Ten wzruszył ramionami, by zrzucić płaszcz, otrzepał go z kurzu kamieniołomu i powiesił na kołku przy drzwiach.

– Twój brat powrócił, jak widzę – powiedział ostro, zatrzymując się na skraju dziedzińca. – Teraz już wiem, czemu przed domem stoi palankin.

Koro Ha wstał i pochylił głowę, wobec czego niechęć przybysza przeszła w gorycz.

– Wiedziałaś, że przybędzie? – Yan Hra skierował pytanie do żony.

– Nie, nie wiedziała – powiedział Koro Ha. – Jak już wyjaśniłem, moja decyzja...

– Mówisz tak jak oni – rzekł Yan Hra. – Śpiewnie i melodyjnie. Zbyt wiele czasu spędziłeś na północy. Skaziłeś nawet język matki.

Koro Ha zamknął usta. Ileż to razy słyszał, jak pracodawca, któryś z jego przyjaciół lub nawet uczeń mówi o niegodnych zaufania mieszkańcach Toa Alon i oszukańczej naturze, której nie dało się usunąć z ich dzikiej, niecywilizowanej krwi. Oczywiście zawsze podkreślali, że nie odnosi się to do Koro Ha, ale fakt pozostawał faktem. Gdyby jego ojciec znalazł w sobie choć odrobinę układności, jego rodzina żyłaby we względnym dobrobycie, zamiast klepać biedę przez długie lata.

Na twarzy swojego szwagra takiej układności również nie widział.

– Wujek Koro Ha przybył, żeby otworzyć szkołę – odezwała się Rea Ab, próbując nasycić swój drżący głos radością. Koro Ha poczuł włochatą kulę w gardle i ciepło w sercu. Wiedział, że niełatwo jest przeciwstawić się ojcu, i natychmiast poczuł sympatię do tej młodej kobiety, której dzieciństwo znał jedynie z rzadkich listów. – Będzie pomagał dzieciom z Sor Cala.

– Pomagał? – Yan Hra potrząsnął głową. – Chciałaś chyba powiedzieć, że będzie je wykradał. Będzie zamieniał je w Sieneńczyków, czego sam doświadczył. Tacy oni są, Reo. Biorą wszystko, co im się spodoba, nasze ciała, umiejętności, umysły, a potem ciskają górami, żeby pogrzebać resztę.

Wpatrywał się w Koro Ha przez długą chwilę, a potem wszedł po schodach na piętro.

– Przepraszam za niego – powiedziała cicho Eln Se. – Wybacz. Jest zmęczony po długim dniu. Na czym to my skończyliśmy?

Na rozgrzebywaniu starych ran, pomyślał Koro Ha i potrząsnął głową.

– Dziękuję ci, powinienem już iść – rzekł, po czym obdarzył Reę Ab pełnym wdzięczności, przepaszającym uśmiechem i obiecał, że niebawem znów wpadnie z wizytą. Już stracił za

dużo czasu i obawiał się, że nie zdoła tego nadrobić. – Zaczynamy zajęcia w przyszłym tygodniu i musimy wszystko przygotować – dodał i pożegnał się z siostrą, siostrzenicą i ojcem.

Pomyślał sobie, że następnym razem może zaprosi ich do domu Orny Sina, gdzie zaproponowano mu pokój. Przespacerują się po skromnych ogrodach kupca, a jego ojciec, choć będzie narzekał na sieneński styl domu – nawet jeśli wszyscy bogacze imperium budowali w tym stylu – być może wybaczy mu to i owo, gdy ujrzy staroświeckie ornamenty na kamiennej balustradzie. Może wtedy wszystko zrozumieją.

Od palankinu dzieliło go zaledwie kilka kroków, gdy usłyszał kogoś za sobą.

– Zaczekaj!

Eln Se stała na ulicy ze ściągniętymi brwiami.

– Wybacz mi. Cieszę się, że wróciłeś, bracie.

Koro Ha odwrócił się ku niej.

– Musisz mnie bardzo kochać, skoro tej miłości nie skaziła otaczająca cię nienawiść.

Przez jej twarz przemknął grymas gniewu.

– Oni sporo wycierpieli, Koro Ha. Ciebie tu nie było. Tak trudno zrozumieć ich uczucia?

– Tak! – oznajmił głośno Koro Ha. Siostra drgnęła i nauczyciel nabrał tchu, by uspokoić oddech. – Czemu oni tego nie rozumieją, Eln Se? Cesarz rządzi światem za pośrednictwem swoich Dłoni i Głosów. Sieneńczycy się stąd nie wyniosą. Nie oznacza to jednak, że Toa Alon ma się wic pod ich butem. Wykształciłem pewnego chłopca z wyspy Nayen, krainy nadal targanej powstaniem, żeby objął funkcję Dłoni cesarza. Pokazał już, że potrafi wiernie wypełniać swoje zadania. Ze względu na niego Nayeńczycy w ciągu jednego pokolenia, może dwóch upodobnią się do ludzi z królestw tworzących dziś serce Sienu, kiedyś niezależnych i pogardzanych przez zdobywców, a teraz

uważanych za obywateli imperium. Toa Alon nigdy nie wróci do dawnej chwały. Starożytne miasto na zawsze będzie spoczywać pod zrzuconą na nie górą, ale my nie musimy podzielić jego losu. Wychowam pokolenie nauczycieli z naszego ludu. Wychowam przyszłych ministrów, sędziów, a nawet Dłonie! Tak, skoro raz już tego dokonałem, uda mi się ponownie. Twój mąż i nasz ojciec nadal pielęgnują urazy z przeszłości i nienawidzą mnie za to, że chcę zbudować przyszłość.

W chwili gdy padły ostatnie słowa, między nimi zawisła cisza. Koro Ha poczuł żal, ale z drugiej strony czego tak w istocie miał żałować? Przecież powiedział tylko prawdę. Jak dotąd jedynie Orna Sin usłyszał jej aż tyle na pokładzie statku, gdy omawiali swoją wspólną wizję. Jednak siostra spoglądała na niego tak, jakby po raz pierwszy zupełnie go nie rozumiała.

– A więc życzę ci szczęścia, bracie – powiedziała w końcu i pozostawiła go z tragarzami. Ci zaś nie patrzyli na niego, gdy wsiadał do palankinu i dawał instrukcje, dokąd mają go zabrać.



Największa trudność w uczeniu całej klasy wcale nie polegała na tym, że uczniów zrobiło się więcej. Koro Ha spodziewał się, że odpowiadanie na pytania, sprawdzanie esejów czy szkolenie uczniów w wypowiedziach ustnych zabierze więcej czasu, ale przeszkody pojawiły w zupełnie nieoczekiwanych miejscach.

W ciągu trzech tygodni od przybycia do Sor Cala Koro Ha odbył z ojcami uczniów kilka spotkań, którym przewodniczył Orna Sin. Celem było przedstawienie, jak dużą wartość ma oferowana przez nauczyciela szansa, przed którą stawali przyszli uczniowie. Po każdym takim spotkaniu Koro Ha długo

się zastanawiał, ile ci ludzie wiedzieli o gospodarzu spotkania i źródle jego bogactwa.

Uczniowie wydawali się oszołomieni powagą wydarzenia, w którym brali udział. Siedzieli cicho i słuchali z szacunkiem, a pięć dziewcząt, na których obecność Orna Sin zgodził się niechętnie dopiero po tym, jak Koro Ha przystał na zwiększenie klasy do dwudziestu uczniów, zbiło się w gromadkę na uboczu. Wystarczyło jedno ostre spojrzenie, by dzieciaki przestawały się wiercić. Koro Ha przypuszczał, że być może czuli się nieswojo w ogrodach bogacza, pod dachem wielkiego pawilonu, lecz niewykluczone, iż onieśmielał ich on sam. Próbował sobie wyobrazić siebie z ich punktu widzenia – wysokiego, poważnego mężczyznę, który przez połowę czasu rozmawiał z nimi prostym sieneńskim, a potem powtarzał swoje słowa w miejscowej mowie, opisując przebieg następnych dziesięciu lat nauki, zwieńczonych egzaminami, które stanowiły furtkę do lepszej przyszłości dla nich, ich rodzin i całego Toa Alon. Zauważył przy tym, że Tul Elna, najstarsza z pięciu dziewcząt, skwitowała jego przemówienie ledwie skrywanym ironicznym uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: „Mów, co chcesz, mistrzu Koro Ha, ale niektórzy z nas nigdy nie wzbiją się tak wysoko”.

Były to decydujące dni dla jego uczniów, ale Koro Ha doszedł też do wniosku, że dzieci czuły się niekomfortowo we własnym towarzystwie.

Pierwsza rysa pojawiła się siódmego dnia. Koro Ha pokazywał dzieciom właściwy sposób trzymania pędzelka do pisania, przechodząc od jednego podopiecznego do drugiego i układając ich palce na grubych bambusowych uchwytach ćwiczebnych pędzelków.

– Nie, Kan In, palce trzeba rozstawić w tej sposób – powiedział, pochylając się nad chłopcem i ujmując jego pulchną piąstkę. Ten wpatrywał się w pędzel i wytrzeszczał z frustracją oczy.

Nagle przeraźliwy wrzask o mało nie rozsadził Koro Ha uszu. Odruchowo zacisnął mocniej dłoń, a Kan In krzyknął, szarpnięciem uwolnił własną rękę i zszokowany rozdziawił usta.

– Moje ucho! – zawołał któryś z uczniów.

Koro Ha wstał i rozejrzał się. Większość dzieci spoglądała w stronę drugiej części pawilonu, skąd dobiegał wrzask oraz stłumione chichoty.

– Trudno mi sobie wyobrazić większy brak dyscypliny – odezwał się Koro Ha głosem twardym i ostrym jak klinga miecza.

Przemierzył pawilon w dwóch długich krokach. Dzieci struchlały ze strachu.

Jeden z chłopców, któremu z ucha ściekał atrament, rzucił się na drugiego i obaj przetaczali się teraz między pulpitemi do pisania, wśród połamanych pędzelków i przewróconych kałamarzy. Byli wysmarowani czarnym atramentem, a Tul Elna patrzyła na ich wygłupy z nieskrywaną pogardą.

– Lon Sa! – ryknął Koro Ha. – Quon Lo!

Chłopcy zamarli, a potem odsunęli się od siebie i wstali niezdarnie. Jednocześnie przekrzykiwali się jeden przez drugiego, jakby prawda o winie zależała od tego, kto przedstawi ją jako pierwszy.

– Cisza!

W jednej chwili zamknęli usta. Koro Ha przyglądał się twarzom chłopców, a w jego duszy zażenowanie mieszało się z gniewem. Lon Sa był jednym z najbystrzejszych spośród uczniów i już potrafił kreślić podstawowe logogramy pewną, jak na siedmiolatka, dłonią, a w jego oczach błyszczało żywe zainteresowanie lekcją. Koro Ha wyobrażał sobie, że z całego grona to właśnie Lon Sa będzie siedział cierpliwie i czekał na kolejny etap nauki.

Drugi z nich, Quon Lo, rokował raczej średnie nadzieje. Koro Ha zdecydował, że powierzy mu ostatnie, dwudzieste miejsce w klasie dopiero po spotkaniu z jego ojcem, rzeźbiarzem, który wykonał kamienne elementy w ogrodzie Orny Sina, i po wysłuchaniu żarliwych zapewnień, że jego syn pochodzi z ciężko pracującej rodziny i wie, czym jest ciężka praca. Ujrzał zresztą w chłopcu coś z siebie – gdy sam był dzieckiem, w innych okolicznościach jego dzieciństwo mogłoby wyglądać tak samo.

Atrament ściekający z ucha Quona Lo brudził jego ramię. Twarz wykrzywił mu grymas gniewu. Lon Sa siedział cicho, choć był spięty i ze wszystkich sił udawał niewinność.

– Za pawilonem są wiadra – powiedział Koro Ha. – Będziemy potrzebowali wody, żeby wyczyścić pędzelki po zajęciach i umyć dłonie. Napełnijcie je ze studni.

– Ale, mistrzu! – zaprotestował Quon Lo. – To nie w porządku! To Lon Sa zaczął! Dziabnął mnie w ucho pędzlem! Widzisz?

– Widzę – odparł Koro Ha. – A ty go zaatakowałeś. Czy synowi wolno karać brata? Czy to może zadanie ojca?

Chłopcy zamrugali, wpatrując się w niego z niedowierzaniem. Cóż, nie ich wina, że wciąż nie znali nawet podstawowych zasad doktryny.

– Powinieneś opowiedzieć mi o wszystkim, a ja wymierzylbym karę Lonowi Sa – ciągnął Koro Ha. – Nigdy nie wolno bić innych uczniów. Nie wolno samemu wymierzać sprawiedliwości. Na tym polega twoja wina. Teraz zrób to, co powiedziałem.

Quon Lo burknął coś pod nosem i poszedł po wiadra. Lon Sa wbił wzrok w Koro Ha.

– Czy pan Orna Sin nie ma służby do noszenia wody? – zapytał chłopiec. – Nie jesteśmy służbą. To nie nasza robota.

– Ależ ty jesteś niewychowany! – rzuciła Tul Elna, ale Koro Ha uciszył ją jednym spojrzeniem. Dziewczyna w odpowiedzi wsunęła dłonie pod pachy i objęła się mocno, co oznaczało, że z trudem panuje nad furją. Widząc to, Koro Ha ledwo opanował ochotę, by parsknąć śmiechem. Odkaslnął, na powrót przybrał surową minę i skierował uwagę na Lona Sa.

– To prawda – powiedział. – Jeśli będziesz się przykładał do nauki i zdasz egzaminy, nadejdzie dzień, kiedy sam przyniesiesz wodę po raz ostatni, bo od tej pory będą się tym zajmować twoi służący. Jeśli jednak będziesz się zachowywać tak jak dzisiaj, sam zostaniesz służącym i do końca swoich dni będziesz nosił wodę w jakimś pięknym domu, o ile dopisze ci szczęście. Czego sobie życzysz, Lon Sa?

Chłopiec zastanawiał się przez długą chwilę, prowokacyjnie długą, aż w końcu odszedł, by spełnić wolę nauczyciela.

Koro Ha zdusił w sobie resztkę irytacji i powrócił do spokojnej, opanowanej pozy. Uklęknął przy Kanie In, którego pulchne policzki były już mokre od łez. Delikatnie rozchylił rączkę dziecka i ułożył jego palce na pędzelku, kątem oka przyglądając się pozostałym dzieciom, siedzącym nieporuszenie przy swoich pulpitych.



– To jakiś absurd. – Koro Ha ubijał kciukiem tytoń w fajce.

Orna Sin siedział obok niego w pawilonie kontemplacji, który wychodził na niewielki staw w jego ogrodzie. Była to prosta budowla, a jedyną dekorację stanowiło kilka kamiennych płytek z wzorem typowym dla Toa Alon. Z belek zwisały parawany z niemalowanego papieru, odsunięte na boki, by wpuścić do wnętrza podmuchy górskiego wiatru.

W przeciwnym razie ciepłe powietrze późnej wiosny mogłoby się przerodzić w nieprzyjemną duchotę.

Koro Ha ujął świeczkę, zapalił ją od latarni wiszącej w środku pawilonu i rozniecił fajkę.

Orna Sin zapalił własną, zaciągnął się leniwie i powoli wypuścił dym z ust. Ten utworzył chmurę nad ich głowami, zasłaniając belki.

– Chcesz się pozbyć tych dzieciaków? – spytał. – Są inni na ich miejsce.

– Nie. Quona Lo z pewnością nie. Zastanawiałem się nad Lonem Sa, ale... – Koro Ha zapatrzył się na kłęby dymu. – To po prawdzie moja wina. Jak mogę go winić za to, że zaczyna się nudzić, jeśli przez cały dzień uczę tego, co on już wie?

– Jesteś bardzo surowy wobec siebie – powiedział Orna Sin, na co Koro Ha zamachał fajką.

– Nigdy wcześniej nie mierzyłem się z takimi problemami. Mając jednego ucznia, dopasowywałem program do jego umiejętności, żeby czynił stałe postępy. I tak się działo, bez względu na to, czy miałem do czynienia z bystrym chłopcem, czy tępakiem. A ta sytuacja... Nie wiem, jak sobie z nią poradzić.

– Mógłbyś postąpić tak jak nauczyciel Zhen – zaproponował Orna Sin. – Możesz usadzić tych zdolnych z przodu i skupić się na nich, mając nadzieję, że coś dotrze do matolek z tyłu.

– Ta strategia doprowadziła do tego, że egzaminy zdał tylko jeden chłopak. – Koro Ha potrząsnął głową. – Naszym celem jest wykształcenie całego pokolenia ministrów, sędziów i nawet, jeśli się uda, Dłoni z Toa Alon. Muszą się uczyć najlepiej, jak to możliwe, a ja muszę wkładać w uczenie ich maksimum wysiłku, ale mam tylko tyle czasu, ile mam. Stworzenie programu nauki dla jednego dziecka to już wyzwanie. Przygotowanie go dla dwudziestu uczniów, którzy pracują jednocześnie... Potrzebowałbym jeszcze dziewiętnastu takich jak ja do pomocy!

– Szczerze powiedziawszy, przewidziałem ten problem i mam pomysł. – Orna Sin wystukał popiół z fajki o krawędź kosza z żarem. Siedział przez moment, wpatrując się w płomienie. – Chciałem ci to zaproponować za jakiś czas, za rok, być może dwa, kiedy nieuniknione różnice między uczniami stałyby się wyraźniejsze. Z drugiej strony być może warto spróbować teraz, na samym początku.

Koro Ha zeszywniał. Orna Sin taił przed nim wiele, co niepokoiło nauczyciela, ale to, co teraz powiedział, zapiekło najbardziej. Miał ochotę zadać ostrym tonem pytanie, dlaczego Orna Sin nie podzielił się swoim pomysłem na samym początku rozmów o szkole, ale zamiast tego powiedział jedynie:

– Będę wdzięczny za każdą pomoc z twojej strony.

Orna Sin uśmiechnął się.

– Nie licząc dostępu do mojego ogrodu, wikt, opierunku i godziwego zarobku?

Koro Ha odwzajemnił uśmiech. Był przyzwyczajony do tego rodzaju dowcipów. Nie przeszkadzały mu subtelne żarty na temat jego zależności od pieniędzy i władzy innych. Zastanawiał się czasami, czy można było w ogóle dać sobie radę w życiu bez umiejętności tolerowania takiej formy upokorzenia lub przynajmniej bez ryzykowania życia i kariery przy każdej okazji.

– Nie licząc tychże – powiedział łagodnie.

– Co byś powiedział na wysłanie Lona Sa, a być może również Quona Lo i innych uczniów, którzy szybciej pojmują twoje nauki, na osobne zajęcia? Być może raz na tydzień? W ten sposób robiliby dalsze postępy, a ty mógłbyś poświęcać uwagę tym, którzy potrzebują bardziej bezpośredniego podejścia.

Koro Ha poczuł, jak jego uśmiech przygasa.

– A czegoż takiego miałbym uczyć na tych osobnych zajęciach?

Orna Sin, pochłonięty ponownym nabijaniem fajki, nie spojrzał rozmówcy w oczy.

– Gdybym zaproponował, żeby ci uczniowie spędzali trochę czasu z którymś z zatrudnianych przeze mnie skrybów, żeby ćwiczyć kaligrafię, uznałbyś, że to tylko pogorszy sprawę. Dzieciaki podejrzewałyby, że marnują czas na niepotrzebnych powtórkach, i miałyby rację. Obaj jesteśmy inteligentnymi ludźmi i wiemy, że dla takich jak my nie ma nic gorszego niż marnowanie się w bezsensownych zadaniach.

– W rzeczy samej – powiedział Koro Ha. – A więc masz zapewne inny pomysł.

Orna Sin wsunął fajkę do ust i odstawił świeczkę do latarni.

– Powiedz mi, Koro Ha – rzekł. – Czy chodzi ci tylko o wykształcenie rodzimych ministrów, sędziów czy nawet Dłoni? Żeby jeszcze pełniej zintegrować się z imperium? Czy może zależy ci na wychowaniu ministrów, sędziów czy Dłoni, którzy służyliby Toa Alon?

Koro Ha zmarszczył brwi.

– Nie wiem, czy cię rozumiem.

Orna Sin pyknął parokrotnie i skupił uwagę na Koro Ha, którego serce zaczęło mocno bić z powodów, których nie potrafił zrozumieć.

– Co ty właściwie sugerujesz? – naciskał. – Mieliby się uczyć o obróbce kamienia? Czy poznawać dawne historie o starych bogach? I co miałyby im to dać?

– Jeśli mieliby działać w imieniu swoich rodaków, musieliby wiedzieć, kim oni są – powiedział Orna Sin.

– A kto będzie ich uczył? – ciągnął Koro Ha.

Orna Sin wskazał płaskorzeźby stanowiące dekoracje pawilonu.

– W Sor Cala mieszkają ludzie, którzy dbają o nasze tradycje. Starcy wciąż pamiętają opowieści sprzed wieków, a rzemieślnicy nadal pielęgnują swoje umiejętności, choć już

dawno na nich nie zarabiają. Osobiście zajmę się tym, kto miałby przekazywać taką wiedzę.

Orna Sin mówił z rzadką u niego powagą i dobierał słowa ostrożnie, jak gdyby przekazywał jakąś wyższą prawdę, i Koro Ha nagle uświadomił sobie, że jest blisko odkrycia tajemnicy prawdziwego motywu, jaki stał za stworzeniem szkoły. Kupiec mógł go wyjawić na samym początku, ale kierując się właściwą przemytnikowi ostrożnością czy lękiem, by Koro Ha się nie wycofał, uznał, że zatai swoje intencje i ograniczy się do aluzji i niejasnych sugestii.

– Wydaje mi się, że przemyślałeś koncepcję szkoły, na długo zanim zgodziłem się w niej uczyć – powiedział Koro Ha, czując, jak jego upokorzenie przechodzi w pałący gniew. Przecież zaczął uważać ją za własny projekt, skoro po raz pierwszy w życiu sam decydował o tym, co robi. – Potrzebujesz w ogóle mojej zgody na cokolwiek?

Orna Sin nabrał tchu i pochylił się.

– Powiedziałem ci, że to twoi uczniowie, Koro Ha. Powiedziałem, że to ty będziesz decydował o ich programie nauczania. Wątpisz w moje słowa?

– Wygląda to tak, że zadecydowałeś o programie nauczania moich najlepszych uczniów bez konsultacji ze mną. – Koro Ha czuł, że jego puls przyspiesza, i wiedział, że lada moment może powiedzieć coś, czego później pożałuje, ale mimo to nie miał zamiaru się zatrzymywać. Lepiej było wyrzucić wszelkie pretensje właśnie teraz, bo na razie można było jeszcze porzucić cały projekt bez groźniejszych konsekwencji. – Wystarczy mi już to, że nie uczę pojedynczego ucznia, tylko całą klasę, i to w szkole ufundowanej przez kupca, który najwyraźniej nie dogaduje się najlepiej z imperium. Jeśli wyjdzie na jaw, że szkoła ma podtrzymywać kulturę Toa Alon, uważaną przez imperium za barbarzyńską, nigdy już nie

zdobędę pracy jako nauczyciel, bez względu na to, czego dokonałem w przeszłości.

– Ja tylko wysuwam sugestie – powiedział Orna Sin łagodnie, jak gdyby próbował uspokoić przerażone dziecko. – A to mieści się w ramach naszej umowy.

Koro Ha pykał z fajki, spoglądał na ogród i na ptaki, uwijające się za owadami, słuchał ich melodii i próbował ukoić swój gniew.

Nie miał pojęcia, co tak naprawdę przyświeca Ornie Sinowi, ale jego sugestia miała trochę sensu. Koro Ha od dawna podejrzewał, że babka Wena Olchy również uczyła go dawnych sekretów swojego narodu, przynajmniej do chwili, gdy w tajemniczy sposób zniknęła. Być może takie wykształcenie – umiejętność spojrzenia na kanon i doktrynę z zewnątrz – miało swoje zalety. Być może dzięki niemu Wen Olcha imponował tak wielką błyskotliwością, oczywiście po tym, jak Koro Ha narzucił mu rygor, dzięki któremu jego myśli stały się bardziej zrozumiałe dla zwykłego człowieka.

Propozycja Orny Sina mogła wywołać zamieszanie w nauczaniu. Co więcej, sugerowana metoda zdecydowanie odbiegała od przyjętych w Sienie – łagodnie mówiąc! – ale można było spróbować. Co więcej, w istocie mogłaby rozwiązać problem z uczniami takimi jak Lon Sa i Quon Lo. Bez względu na prawdziwe motywy Orny Sina Koro Ha zgodził się na uczestnictwo w tym projekcie z osobistych względów. Ta szkoła i ci uczniowie mieli dokonać tego, co Wen Olcha zrobił dla Nayenu – mieli pokazać, że Toa Alon to nie kolonialny zaścianek z jego dzieciństwa, ale prowincja zdolna rodzić uczonych ważnych dla imperium.

– Dobrze – mruknął Koro Ha. – Spróbujemy, o ile zgodzisz się, żeby uczniowie, którzy przestaną sobie radzić, natychmiast wracali na regularne zajęcia ze mną.

Orna Sin uniósł fajkę w salucie.

– Oczywiście – rzekł.

Stworzenie paktu

Głupi Kundel

Wiedziałam, że to rozgryziesz – rzekła Sycząca Kocica, przyczajona pod murem zaimprovizowanego lazaretu, który kiedyś mieścił garnizon Nory.

Nayeńscy ranni, dziesięciu spośród naszych sił, w tym trzech, którzy nie przebudzili się od czasów bitwy o Twierdzę Szarego Mrozu, oraz dziesięciu wieśniaków, którzy odnieśli rany podczas walki, dochodzili do siebie na pryczach należących niegdyś do sieneńskich żołnierzy. Po mojej porażce pod domem sędziego przyłączyłem się do doktora Sho. Po tym, jak moja magia wytraciła swą moc, zajmowałem się opatrywaniem rannych, podczas gdy on przyrządzał leki. Leżałem teraz na pustej pryczy, wyczerpany po całej nocy, a Okara drzemał w pobliżu w ciepłe bijącym z kosza z żarem.

– Bardzo tego żałuję – odparłem.

W mojej głowie panował chaos od chwili, gdy opuściłem Czystą Rzekę chichoczącego w śniegu.

– Chyba nie mówisz poważnie – zadrwił doktor Sho.

Słyszał plotki szeptane przez żołnierzy, którzy przynosili rannych. Ja zaś widziałem, że przyglądają mi się podejrzliwie

i nie noszą już poczerniałych resztek drzewa z Twierdzy Szarego Mrozu.

– Z tego, co słyszałem, ocaliłeś komuś życie – dodał doktor.

– I skazałem pół tuzina innych ludzi na brutalną śmierć – powiedziałem gorzko.

Doktor Sho na moment przestał ucierać zioła w moździerzu.

– Bardziej brutalną od śmierci w płonącym domu, gdzie możesz udusić się dymem lub ugotować żywcem?

Pomyślałem o strażniku z blizną na twarzy, którego głowę spowiły płomienie.

– Tak czy owak, władasz już magią transmisji – wtrąciła Sycząca Kocica. – Rozumiem, że teraz będziesz się chciał dowiedzieć, jak powstają pakty.

Spojrzałem na jedno z dzieci pod naszą opieką. Była to dziewczynka, której ramię kończyło się na nadgarstku, zupełnie jak moje. Jak ja mogłem po tym wszystkim dać Wrednemu Lisowi kolejną broń, i to tak potężną jak kanon magii? Wuj zamierzał pozostać w Norze przez kilka dni, by wzmocnić naszą armię posiłkami z okolic, ale wiedziałem, że niedługo znów wyruszymy w pole. Będziemy dążyć do kolejnej bitwy i szukać następnej okazji, by wykorzystać niespodziewaną ucieczkę Lotki i zadać kolejny cios imperium. Każdy taki cios miał wszak czynić nasze powstanie potężniejszym.

Czy Sycząca Kocica była ślepa na cierpienie, które nas otaczało? Ile dzieci miało jeszcze zginąć po tym, jak dałbym Wrednemu Lisowi to, co mu obiecałem?

Nie, Sycząca Kocica nie była nieczułą kobietą. Wpatrywała się w podłogę załzawionymi oczami, jakby uparcie próbowała nie dostrzegać bólu wokół siebie. Nie działało to tak dobrze jak izolacja w jaskini.

– Dlaczego nie możemy położyć temu kresu? – spytałem ją ostro. Miałem wrażenie, że coś we mnie ustępuje jak pękająca

tama. – Oboje możemy przebudować strukturę świata wedle naszego kaprysu, a nadal tyle w nim cierpienia. Myślałem...

Co ja właściwie sobie myślałem? Że znajdę spokój w samym środku powstania? Co za głupota. Spokój może i pojawi się, gdy Nayen będzie wolny, a imperium zostanie zniszczone, ale droga ku przyszłości skąpana będzie krwią.

– Dlaczego więdźmy i czarownicy opuścili świat pokonani, skoro mieli tak wielką moc i tak wiele wyszarpnęli bogom?

– To nie ma związku ze strukturą, Kundlu – powiedziała ostro Sycząca Kocica. – To sprawa ludzkiej woli.

Po jej słowach nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Wstałem i podszedłem do kolejnej pacjentki, starej kobiety z uszkodzoną czaszką. Oddychała płytko, ale nadal żyła. Zamknąłem oczy, sięgnąłem po kanon leczenia i poczułem spokój, jaki na mnie zsyłała. Zabrałem się do leczenia jej ran. Różne miałem myśli na temat wuja i mocy, którą mu zaproponowałem, ale przynajmniej co do mocy uzdrawiania nie miałem żadnych zastrzeżeń.

– To, o czym mówisz – powiedział cicho doktor Sho, nadal trzymając moździerz i tłuczek na kolanie – pasuje do tego, co chce zrobić Doktryna. Chce narzucić całemu światu własną wizję pokoju i harmonii, za nic mając krzyki i protesty. I co? Jak to wygląda?

– Kiepsko – odparłem, ciesząc się, że magia pomogła mi ukryć drżenie głosu.

– Jeśli uznasz, że nie chcesz z nim walczyć, godzisz się z tym, że jego wizja świata zwycięży. – Doktor Sho przesypał zawartość moździerza do papierowej torebki, a potem zaczął przetrząsać swój kufer z lekami. – Oto wybór, którego dokonałem wiele lat temu.

– Żałujesz go? – spytałem, pochłonięty składaniem kości, splataniem żył i gojeniem poszarpanych nerwów. Kobieta

skrzywiła się. Nawet magia uzdrowicielska przynosiła nieco bólu, choć próbowałem go wytłumić.

Doktor Sho potrząsnął głową.

– Możesz podjąć walkę i zginąć na marne albo żyć dalej i próbować ulżyć cierpiącym, gdzie się da. Ty nie jesteś tak bezsilny jak ja. Musisz dokonać o wiele konkretniejszego wyboru. Czy zgodzisz się zaakceptować świat taki, jakiego życzy sobie Doktryna? Świat, w którym chce wypowiedzieć wojnę bogom, co pociągnie znacznie więcej ofiar niż to powstanie? A może gotów jesteś poprowadzić tysiące ludzi przez ogień i cierpienie w próbie powstrzymania go?

– A ja żałuję. – Sycząca Kocica poruszyła się pod ścianą. Czaszki kruków zaklekotały w jej włosach. – Żałuję bierności. Szkoda, że niczego nie zrobiłam. Do tego stopnia, że zdarzało mi się raz na jakiś czas ignorować kości.

– To po co w ogóle zasięgasz ich rady?

Sycząca Kocica burknęła i skrzyżowała ramiona, ale zignorowała kąśliwą uwagę. Staruszka, którą leczyłem, nabrała tchu. Na jej twarzy nadal widniał wielki siniec, ale kości i ciało zostały już uzdrowione.

A więc do tego się to wszystko sprowadzało. Czy miałem ochotę skrzywdzić ten świat i żyjących w nim ludzi, by znów go scalić? Czy miałem siłę, by zmierzyć się z bólem i pogodzić z tym, co trzeba zrobić, by wszystko naprawić? Mój wuj miał taką siłę, ale mnie jej brakowało.

Całe szczęście, że to on miał zostać Królem Słońca.

Niemniej być może mogłem się tej siły nauczyć.

– Cóż, Sycząca Kocico. – Wstałem i zacisnąłem pięści. – Opowiedz mi więc o tym, jak tworzy się pakty.



Dobrze było wysłuchać objaśnień, ale chciałem, by mi to pokazała. Bez przykładu jej słowa były jedynie wiatrem, ale sama nie chciała ryzykować i tworzyć nowego paktu.

– Tobie może pozwolono sięgnąć po każdy rodzaj magii – rzekła Sycząca Kocica, gdy poprosiłem ją o demonstrację. – Ale ja złożyłam pewne obietnice, których chcę dotrzymać.

Okara również niezbyt mi pomógł. Nawiązanie z nim kontaktu za pomocą transmisji okazało się wielkim wyzwaniem, bo moje wszystkie wspomnienia na jego temat były mgliste i niewyraźne. Pamiętałem kamienny posąg, śmiertelne ciało i boski głos, lecz miałem wrażenie, że to jedynie elementy większej całości. Ale w końcu mi się udało lub Okara po prostu zauważył, że chcę się z nim skontaktować.

„Nie stwarzaliśmy paktów” – powiedział otwarcie. „Uznawaliśmy je jedynie jako kompromis. To więdźmy i czarownicy się zwiędźzali”.

„Ale przecież wielokrotnie mówięś, że jesteście zwiędźzani paktem!” – zaprotestowałem.

„Tak wyględa kompromis z naszej strony” – wyjaśnił. „Więże nas jedynie umowa, którą reprezentuje pakt. Wiemy teź, że gdybyśmy go złamali, doszłoby do wojny, a tego chcemy uniknęć”.

Poszukując przykładu, dotarłem do mojego wuja, który zamieszkał w domu Czystej Rzeki, będącym teraz Pałacem na Wygnaniu Króla Słóńca. Blask poranka odbijał się od śniegu i raził w oczy, co przypomniało mi, jak bardzo jestem wyczerpany. W końcu nie spałem od dwóch dni.

Po ulicy nióśł się echem czyjś krzyk. Jeden z przybocznych wuja, którego nazywałem Sępem z uwagi na to, że w tego ptaka się przeistaczał, stał na przewróconej skrzyni. Okoliczni mieszkańcy zerkali na niego zza uchylonych drzwi lub kulili się nieopodal w niewielkich grupkach w nadziei, że jego słowa

pomogą im zrozumieć zmiany na świecie i znaczenie przybyłego niedawno króla.

– Zadośćuczynienie za pokorne życie pod jarzmem imperium! – oświadczył Sęp. – Głoście wieść! Każde gospodarstwo ma wystawić jednego sprawnego człowieka, żeby pomaszerował pod sztandarem Lisa! Wyzwolenie Nayenu właśnie się rozpoczęło.

W odpowiedzi rozległy się szepty oburzenia, ale nie chciałem ich słuchać. Idąc w stronę domu sędziego, natrafiłem na Biegnącą Sarnę i dwoje innych żołnierzy, którzy przebierali wśród najrozmaitszych pancerzy. Biegnąca Sarna uniosła zakrwawioną sieneńską kolczugę i przyjrzała się ogniowom poszarpanym od przebiecia strzałą, a potem ułożyła ją na jeden ze stosów. Na mój widok zasalutowała, a towarzysze poszli w jej ślady. Cała trójka nadal nosiła zwęglone kawałki drewna na kołnierzach. Pozdrowiłem ich skinieniem głowy.

W środku przywitał mnie zapach płonącego derenia, który stanowił miłą odmianę po nieprzyjemnych zapachach panujących w lazarecie doktora Sho. Wysokie okna były otwarte i wewnątrz przepełniało chłodne światło zimy. Na ścianach wciąż wisiało kilka namalowanych zwojów, przedstawiających głównie krajobrazy. Te, na których upamiętniono bohaterów z sieneńskich legend czy elementy kaligrafii, zostały pocięte. Dostrzegłem resztki podartych cytatów Wędrującego Wąskim Traktem, zwisających na jedwabnej podkładce. Brakowało wielu elementów, ale i tak rozpoznałem fragment:

Starszy brat ma najpierw służyć ojcu, a potem młodszemu bratu. Służąc pierwszemu z nich, jednocześnie służy drugiemu. W ten sam sposób sędzia służy tym, którzy rządzą w imieniu cesarza.

Z sąsiedniego pomieszczenia docierały głosy. Wuj siedział przy szerokim stole i naradzał się z Brązową Sową i moją babcią. Czysta Rzeka stał przed nimi ze zwieszonymi ramionami. Miał na sobie tę samą szatę ze zwykłego jedwabiu, którą nosił poprzedniego dnia, upstrzoną rdzawymi plamkami zaschniętej krwi. Jego włosy zwisały w nieładzie.

– ...zmuszony do odwrotu do Wschodniej Fortecy – mówił. Nawet jego głos się zmienił. Wydawał się płaski, jakby został zmiażdżony ciężkim kamieniem. – Garnizon byłby pusty, gdyby postawił na swoim. Myślę, że postąpi tak samo w Żelaznym Mieście i w Fortecy Zachodzącego Słońca, ale nie wydaje mi się, żeby zawracał sobie głowę innymi małymi osadami takimi jak ta.

– Ma około sześciuset ludzi, tak? – spytał wuj.

Lu pokiwał głową.

– Choć straci kilku na skutek wyczerpania, chorób i dezercji. Narzucił im ostre tempo, gdy opuszczali Twierdzę Szarego Mrozu, i nic nie wskazywało na to, żeby miał zwolnić.

– To jakieś szaleństwo. – Babcia stuknęła laską o podłogę. – Po co on doprowadza ludzi na skraj wyczerpania? Aż tak się boi naszej małej armii?

– On nie ucieka przed wami – powiedział Czysta Rzeka.

Wredny Lis pogładził brodę i uniósł wzrok znad stołu. Dostrzegł mnie na progu.

– To by było na tyle, sędzio – rzekł, wymawiając tytuł z pogardą.

Lu Czysta Rzeka uklonił się nisko i odwrócił, by odejść po sieneńsku, lecz nasze spojrzenia się spotkały. Jego oczy płonęły nienawiścią niczym drewno, w które dmuchnięto miechem. Przeszedł obok mnie sztywno wyprostowany i znikł w korytarzu dla służby.

Wredny Lis skinął na mnie. Podeszedłem bliżej i zasalutowałem. Wuj ułożył dłonie na sieneńskiej mapie

Nayenu rozłożonej na stole. Brązowa Sowa, oparta o ścianę, przyglądała mi się chłodno. Na widok wuja i na wspomnienie opadającego miecza Brązowej Sowy oraz krzyków przerażonych, zdradzonych ludzi ogarnęło mnie obrzydzenie.

Tak boli nastawiana kość, powiedziałem sam sobie, gasząc emocje. Powstanie potrzebowało kanonu magii. Musiałem go mieć przed pierwszą prawdziwą bitwą. Już wolałem okrucieństwo wuja od zbrodni imperium.

– Znużyła cię opieka nad rannymi, siostrzeńcze? – spytał Wredny Lis.

– Pozostawiłem ich pod opieką doktora Sho – powiedziałem. – Przyszedłem powiedzieć ci o postępach w tworzeniu kanonu magii i poprosić o pomoc w tym celu.

Wuj nadal przyglądał się mapie.

– A co takiego potrzebujesz?

– Tworzony przeze mnie kanon będzie naśladował magię wiążącą znaki paktu. Jak sam widzisz – urwałem, unosząc kikut prawej ręki – sam ich już nie mam.

Wredny Lis spojrzał na mnie znad stołu.

– Chcesz skorzystać z pomocy kogoś z moich przybocznych?

– Przyszło mi do głowy, że może babcia będzie chciała... – zacząłem, ale Wredny Lis przerwał mi w pół zdania i zwrócił się do Brązowej Sowy:

– Idź z nim.

Brązowa Sowa zawahała się, równie zaskoczona jak ja, ale opanowała emocje, zanim jej wahanie stało się zniewagą wobec Wrednego Lisa.

– Z największą przyjemnością przyjdę mu z pomocą – powiedziała babcia. – Nie ma sensu, żeby ta dziewczyna robiła to, na co nie ma ochoty.

– Ciebie nadal tu potrzebuję. – Wredny Lis skinął głową ku Brązowej Sowie. – A ty masz swoje rozkazy. Do roboty.

Usta kobiety drgnęły, ale zasalutowała i odwróciła się ku mnie.

– Będę potrzebował ciszy. Muszę się skupić – powiedziałem.

Brązowa Sowa bez słowa skierowała się ku skrzydłu, które kiedyś musiało należeć do gości. Przed wyjściem zasalutowałem wujowi.

– Dziękuję ci, Królu Słońca.

Nie odpowiedział, a jedynie powrócił do studiowania mapy. Babcia napięła mięśnie kalekiego ramienia, a w jej oczach ujrzałem ukryte ostrzeżenie, które doceniłem, ale wcale go nie potrzebowałem. Niezbyt ufałem wujowi, a jego przybocznym wcale. Być może po tym, co zrobili zeszłej nocy, nie zaufam im już nigdy.

Brązowa Sowa zaprowadziła mnie do pokoju gościnnego. Biblioteczka była pusta, choć w żarze paleniska przetrwało kilka drewnianych grzbietów książek, na których widniały tytuły sieneńskich klasyków. Na stole stała wypełniona do połowy butelka doskonałego ryżowego wina, przypuszczalnie zrabowanego z piwnicy Czystej Rzeki. Brązowa Sowa opadła na jedno z dwóch krzeseł i porwała butelkę.

Upiła łyk, odstawiła ją i wskazała mi drugie krzesło. Usiadłem.

– No? – spytała. – Co teraz?

– Muszę obejrzeć twoje wiedźmie znaki – wyjaśniłem.

Brązowa Sowa znów upiła łyk wina, a potem rozłożyła prawą dłoń na stole między nami.

– Mogę? – Wyciągnąłem rękę ku jej bliznom.

Skrzywiła się, ale przytaknęła. Wzdrygnęła się, gdy sięgnąłem ku jej dłoni, ale nabrała tchu, by się uspokoić, i znów rozwarła palce. Opuszką obwiodłem jej wiedźmie znaki, a wtedy obudziła się we mnie tęsknota za tymi, które nosiłem kiedyś na własnej, brakującej już dłoni.

Dłoń Brązowej Sowy stwardniała pod moim dotykiem.

– Ile to potrwa? – spytała.

– Trochę – powiedziałem obojętnie i zamknąłem oczy.

W przeciwieństwie do kanonu magii, nigdy nie czułem struktury paktu, gdy sam nosiłem znaki, zarówno symbole nayeńskie, jak i tatuaże wiatromistrzów, teraz przypominające zaledwie pomarszczone blizny po wewnętrznej stronie moich przedramion. Wiedźmie znaki na początku ograniczały mi pojmowanie struktury świata. Były niczym zasłona, za którą żyłem, a której pomimo wielu prób nie potrafiłem zerwać. Trwało to od chwili, gdy babcia mnie naznaczyła, do momentu, gdy Głos Przewodnik odciął mi prawą dłoń. Tatuaże wiatromistrzów sprawiły coś całkowicie odmiennego – otworzyły możliwości, które do tej pory były dla mnie ukryte. Były niczym nowa studnia pełna mocy, dzięki której mogłem kształtować wiatr i przyzywać wodę.

– Powiedz mi jedno, Kundlu – rzuciła nagle Brązowa Sowa. – Dlaczego udajesz, że służysz człowiekowi, którego nienawidzisz?

Pytanie było złożone i skrywało wyzwanie. Na moment oderwało moją uwagę od struktury.

– Nienawiść to złe słowo – powiedziałem stanowczo. – I niczego nie udaję.

Kobieta prychnęła.

– Wiem to i owo o nienawiści. Napięcie między wami trwa od chwili, gdy pojawiłeś się w Twierdzy Szarego Mrozu, ale kiedy spojrzalesz na niego przed chwilą, nienawiść czułam wyraźnie.

Wbiłem w nią ostre spojrzenie. Za kogo się uważała, by oczekiwać dowodów mojej lojalności? Nie byłem już pionkiem imperium i nie czułem zagrożenia ze strony Dłoni i Głosów, którzy mogliby mnie zabić jedną myślą czy ruchem nadgarstka. Była jedynie zwykłą wiedźmą, podczas gdy ja należałem do czarowników z dawnych czasów.

– Moja praca wymaga ciszy – powiedziałem i na powrót skupiłem uwagę na strukturze.

– Możesz jednym oddechem spopielić sieneński legion – rzekła Brązowa Sowa, ignorując moje słowa. – A mimo to domagasz się, żebyśmy oszczędzili sieneńskiego sędziego, i bledniesz, gdy ścinamy głowy. Sensu w tym nie widzę.

– Musiałem pozabijać tych żołnierzy, żeby uratować powstanie – powiedziałem. – Dalsze ofiary nie były potrzebne.

– I to ty o tym decydujesz? – Do jej głosu wkradła się gorycz. – Salutujesz Wrednemu Lisowi i nazywasz go Królem Słońca, ale nienawidzisz go.

– To nieprawda – powtórzyłem. – Kwestionuję jego postępowanie. Czy Nayen ma przypominać imperium i domagać się nie tylko lojalności, ale też bezwzględnego posłuszeństwa?

– Słuchamy go, bo doskonale wie, co ma zrobić otoczony przez łowców wilk, żeby przeżyć – odparła dziewczyna. – Uczył nas, jak walczyć. Uczył nas, jak wygrywać, nawet za wielką cenę, nawet jeśli jedyną korzyścią jest zemsta.

Mój puls wydawał się gorącą nicią w gardle.

– Nie gryzie cię poczucie winy po takim pokazie okrucieństwa? – spytałem.

– A czy wilkowi doskwiera poczucie winy za to, że rozszarpał myśliwemu gardło?

– Ale ty nie jesteś wilkiem, a ci ludzie nie polują na ciebie.

Wiedziałem, że jej nie przekonam, tak jak ona nie mogła przekonać mnie. Po co więc toczyliśmy tę rozmowę? Mimo to brnąłem naprzód, przepelniony świętym gniewem, nie przejmując się już lękiem, który krępował mnie przez długie lata.

– Zgadzam się, że imperium musi zostać powstrzymane i że musimy walczyć i zabijać tych, którzy mu służą. Ale ci ludzie się poddali. Nie stanowili już dla was zagrożenia.

Wpatrywała się we mnie z obojętną twarzą i nie odpowiedziała.

– Pozwól mi dokończyć pracę – mruknąłem i znów wniknąłem w strukturę.

Sięgnąłem ku delikatnym ścianom jej paktu, ale wtedy zalała mnie fala doznań. Odczuwałem wspomnienia nienależące do mnie. Zobaczyłem zimne ulice podczas śnieżnej nocy. Uliczki, w których z trudem dopatrzyłem się podobieństwa do Żelaznego Miasta, widziane teraz z perspektywy dziecka. Poczulem burczenie w brzuchu. Owionął mnie smród, którego nie znałem, ale wspomnienie powiedziało mi, że to woń burdelu zbyt ubogiego, by oczyszczać powietrze kadzidłami. Pożądliwe oczy Sieneńczyka, ciemne i wygłodniałe. But wbijający się w moje plecy. Dłoń pomagająca mi wstać i twarz Wrednego Lisa.

Ostry krzyk przeciął powietrze. Ogarnęła mnie fala obrzydzenia, jakbym sięgnął w głąb brudnej wody i dotknął gnijącego trupa. Gwałtownie wciągnąłem powietrze i wróciłem do siebie. Brązowa Sowa stała pod ścianą i spoglądała na mnie, obnażając zęby. Jej krzesło leżało na ziemi.

– Łajdaku! Mogłeś mnie ostrzec! – warknęła.

Jej oczy były zaczerwienione i szeroko otwarte, a ciało drżące i napięte jak u zapędzonego w kąt psa.

– Bolało, jakbym nabrała dłońmi żaru! – dodała.

Mój puls zwolnił, w miarę jak jej wspomnienia blakły. Nie było ich tyle, by utworzyć z nich opowieść, ale ujrzałem dość, by zrozumieć ją nieco lepiej. Co więcej, zanim dotknąłem jej umysłu, czułem strukturę czaru, który związał ją z paktem. Sycząca Kocica próbowała go opisać – magia paktu przypominała transmisję, ale obchodziła świadome warstwy umysłu i wnikała w podświadomość oraz w duszę. Jej wyjaśnienie wydawało mi się wówczas niejasne, ale teraz

dokładnie wiedziałem, o co jej chodziło. Zupełnie jakbym nagle pojął sens wiersza pełnego aluzji.

Dopiero teraz odkryłem istnienie nowych warstw struktury świata. Wywołując ogień, przywołując wiatr i nawet lecząc rany, dotykałem wierzchnich warstw i manipulowałem siłami fizycznego świata. Kiedy wnikałem w myśli Czystej Rzeki, opuściłem pierwszą warstwę i zagłębiłem się w drugą, pełną sprzeczności i niezliczonych, nachodzących na siebie struktur, z których każda w jakiś sposób współgrała z umysłem. Pod nią znajdowała się kolejna warstwa, nazwana przeze mnie duszą, gdzie kryły się najserdeczniejsze uczucia, najświętsze przekonania i najsilniejsze lęki, niczym diamentowe żyły przecinające głębiny ziemi.

Doktryna stworzył swój kanon w obrębie umysłu, posługując się magią transmisji. Bogowie i czarownicy oraz wiedźmy tworzyli swoje pakt w duszach.

Co ważniejsze, wiedziałem już teraz, jak stworzyć własny, choć nadal nie mogłem zapomnieć o przerażeniu Brązowej Sowy.

– Przykro mi, jeśli cię skrzywdziłem – powiedziałem, wstając powoli. – Mam już to, czego potrzebuję.

Patrząc na nią, poczułem wstyd. Odebrałem jej prawdy, którymi nie chciała się dzielić, a niektóre z nich były głęboko schowane. Nie dotknąłem jednak jej świadomego umysłu. Być może, w przeciwieństwie do Czystej Rzeki, nie wiedziała, czego dokonałem. Odwróciłem się, by odejść.

– Zobaczyłam coś – powiedziała niespodziewanie wiedźma. – Jakąs kobietę na tle księżyca, spowitą ogniem. Chłopca z rozciętym gardłem. Psa z oczami wilka, mokrego od krwi.

Moja dłoń ześlizgnęła się z klamki. Wpatrywałem się w nią, przekonany, że kłamie, ale jej twarz była szczerą i pełną lęku. Nie ja jeden więc dostrzegłem ból ukryty w umyśle drugiej osoby.

– Dawna magia osobliwie oddziałuje na świat – powiedziałem. – U ciebie wywołała halucynacje. Nie przejmuj się nimi. I dziękuję ci. Twój wkład pomoże mi stworzyć kanon magii.

Pilnowałem się, by wyjść równym krokiem, choć miałem ochotę biec, jakby ścigał mnie sienneński legion. Brązowa Sowa dostrzegła Atar i Wilgę. Odkryła ich oboje w rozpaczy, którą w sobie nosiłem. A trzecia postać... Któż to był? Na jej wspomnienie krew huczała mi w głowie, a kolana sztywniały. Przez całe życie skrywałem sekrety, ale nigdy przed sobą samym, a przynajmniej tak mi się wydawało. Cóż więc takiego ujrziała Brązowa Sowa?

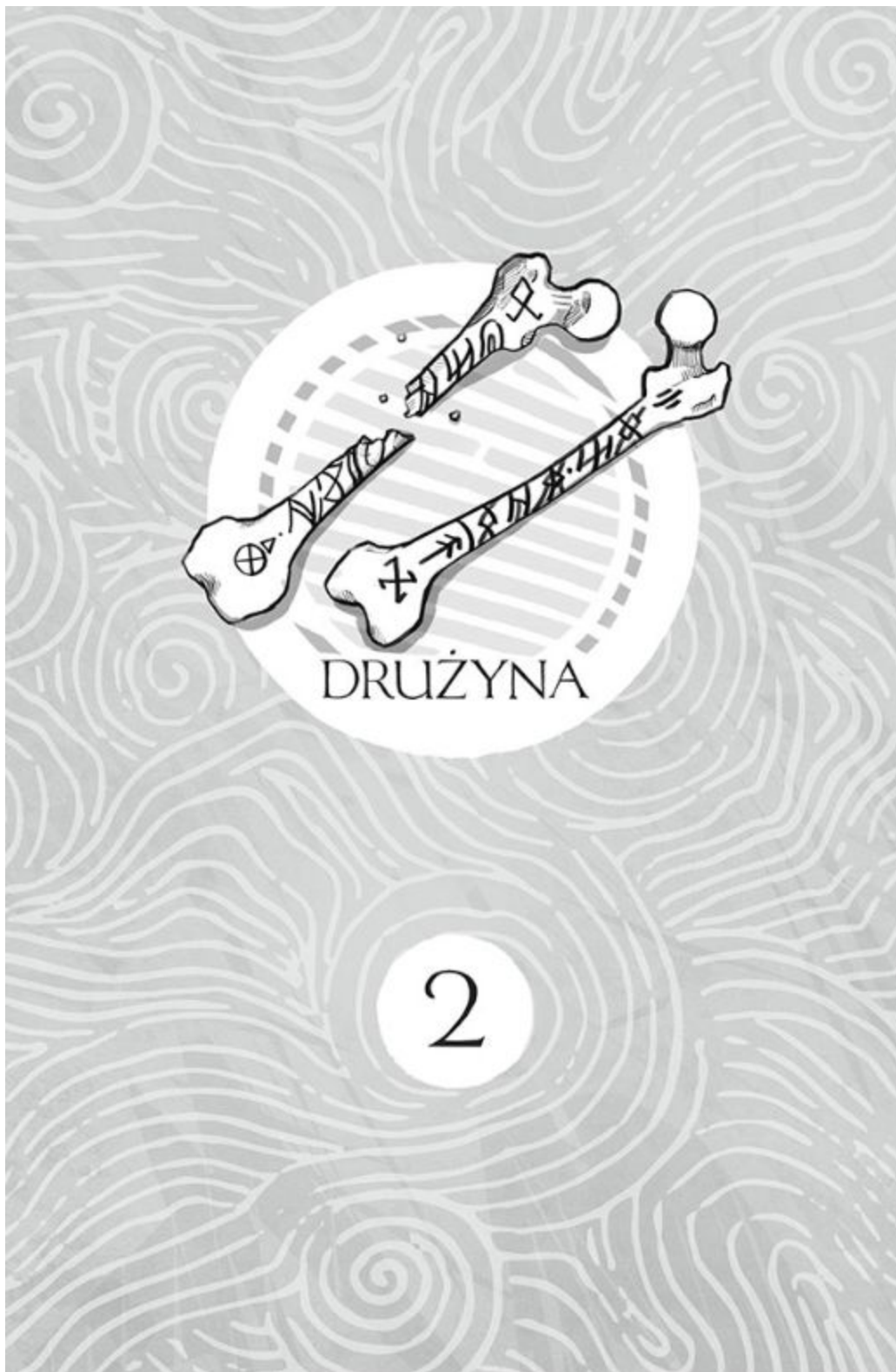
Kilka wdechów zimowego powietrza pozwoliło mi dojść do siebie. Oddychałem głęboko, próbując odnaleźć satysfakcję – wszak udało mi się osiągnąć cel! Poznałem kolejną tajemnicę magii, ale mimo to czułem tylko strach i niechęć przed kolejnym krokiem koniecznym dla powstania.

Ile takich kroków miałem jeszcze przed sobą? Ile dzieliło mnie od granicy, której nie chciałem przekroczyć? Przez ostatnie dwa dni dwukrotnie wtargnąłem do umysłu drugiej osoby, co jeśli wierzyć opowieściom, czynił sam cesarz. Ponownie ściągnąłem rzeź na Norę, a teraz budowałem broń, która miała rzucić wyzwanie kanonowi magii.

Znów nabrałem tchu. Skupiłem się na chłodnym powietrzu w płucach i sile, jaka napełniała moje ciało, ale nie uspokoiło to sensacji w żołądku. Byłem potrzebny powstaniu, ale czy miejsce u boku wuja było warte tego, bym stał się tym, kogo nienawidziłem? Czarownikiem wdzierającym się do umysłów i wrywającym ich sekrety? Tyranem zmieniającym magię w broń?

Nie. Nie byłem taki jak Doktryna. Stanowiliśmy swoje przeciwieństwa, tak jak powstanie i imperium.

I wcale nie tworzę broni, pomyślałem, ruszając na poszukiwanie Syczącej Kocicy i kolejnego narzędzia potrzebnego do stworzenia własnego kanonu. Nie chciałem mieć miecza. Potrzebowałem raczej skalpela. Zamiast prowadzić podbój, musiałem wyciąć wrzody, które ludziom takim jak ja i Brązowa Sowa przynosiły niewypowiedziany ból.



2

Interludium

Jeździec Burzy

Na Włóczni Napheny, statku, który uratowała Ral, żegluje kobieta o imieniu Atar, tancerka i baśniarka, która dobrze zna jej mowę. Otacza ją autorytet członkini rady starszych. Jest młodsza od Ral, ale zna historię jej ludu. Wymieniają się opowieściami – Atar słucha z błyskiem w oku, gdy Ral opowiada o jej dzieciństwie, mocy i błogosławieństwie bogów. Słyszając to ostatnie, Atar prychna.

– Bogowie są okrutni – stwierdza. – To, czym władasz, nie jest darem od nich, ale bronią przeciwko nim.

Z początku trudno ją zrozumieć, ale z biegiem czasu Ral zaczyna pojmować wizję świata An-Zabat. Niebiański Ojciec nie daje im deszczu, a na piaski zsyła jedynie palące słońce. Wszystko, co mają, zdobyli sami. Wydobywają wodę z głębin ziemi i ujarzmiają wiatr z nieba, a nauczyła ich tego kapłanka zwana Napheną. Uważają ją za boginię, ale Atar wyjaśnia, że przede wszystkim była kobietą, potężną wiatromistrzynią, która zbudowała miasto An-Zabat i ożywiła jego oazę, by sprzeciwić się okrucieństwu Niebiańskiego Ojca. Okazana ludziom łaska stała się dla niej wyrokiem.

Miasto również zostało utracone. Atar nie ma ochoty na wyjaśnienia, ale Ral wcale ich nie potrzebuje. Rozumie

okrucieństwo imperium. Pamięta błysk stali i rzenie koni, pamięta dym i ogień.

Ral ma nadzieję, że niektórzy rodacy przetrwają. Chciałaby ich szukać, ale jej obecność stanowi dla Zabatańczyków kwestię, która wymaga omówienia.

Lubią dyskutować. Ich kapitan, mężczyzna o imieniu Katiz, nie podejmuje ważnych decyzji bez wysłuchania uwag swoich ludzi, a Atar wyjaśnia, że sprawa Ral będzie wymagała konsultacji z szerszym gronem kapitanów i dłuższej dyskusji. Ral, słuchając jej, przełyka ślinę ze strachem, który zdążyła dobrze poznać.

Katiz wypuszcza latawiec w jaskrawych odcieniach czerwieni i żółci. Wkrótce na horyzoncie łopoczą też inne, a po kilku dniach zjawiają się kolejne statki Zabatańczyków. Ral przygląda się zgromadzeniu z narastającą obawą. Ci ludzie uwolnili ją, ale nie pozwalają jej odejść. Gdyby miała konia, mogłaby ruszyć w ślad za północną gwiazdą i odnaleźć sekretną dolinę, gdzie od wieków jej rodacy kryli się przed niebezpieczeństwem. Jeśli ktokolwiek z nich przeżył, na pewno chroni się właśnie tam, a ona powinna być z nimi.

– A cóż to za sprawa, którą chcecie rozwikłać? – pyta Atar.

Tancerka przygląda jej się przez chwilę, być może dobierając słowa w girzańskiej mowie, być może próbując ułożyć przekonujące kłamstwo.

– Nie nosisz oznak mocy, Ral, ale widziano, jak przywołujesz błyskawicę. Nie powinno tak być. Twoje zdolności zapowiadają wielkie zmiany na świecie. Może trzeba się ich bać, a może to okazja, której należy wypatrywać z niecierpliwością?

Ral czuje mdłości. Chciałaby spytać: okazja na co? – ale pytanie zamiera jej w gardle. Zabatańczycy nie są tak okrutni jak Sieneńczycy, ale jakoś nie kwapią się, by wypuścić ją na wolność na skraju stepów. Zamiast tego zwołują inne statki wokół szczytu wydmy, gdzie Katiz zakopuje srebrną misę i sięga

po magię podobną do tej, która przyciąga wiatr. Wyczarowuje wodę, a potem wszyscy siadają dookoła niej, piją i rozmawiają w języku, którego Ral nie rozumie.

Wspomina swoich rodaków. Uśmiech siostry. Bystre oczy starszych. Dumę i zarazem źródło troski ojca. Wspomina wrzaski w nocy. Oślepiające światło, a potem ciemność. Przebudzenie w ładowni statku.

Czy oni nadal żyją? W jej sercu odzywa się ból, a wtedy któryś z kapitanów celuje w nią palcem. Atar spogląda Ral w oczy, a ta przez chwilę ma nadzieję, że tancerka przemówi w jej imieniu, ale wtedy inni podejmują kłótnię. Smutek Ral przechodzi w gorycz, która zaczyna ją palić.

Naraz podrywa się i w trzech szybkich krokach staje w centrum zgromadzenia, tuż obok srebrnej misy. Rozmowa cichnie. Ral spogląda każdemu w oczy, rzuca oskarżenie i patrzy na każdego po kolei, aż w końcu odnajduje odpowiednie słowa, co nie przychodzi jej łatwo, bo dawno nie używała mowy kupców.

– To nie wy będziecie decydować o moim przeznaczeniu – oświadczają. – Jestem Ral Ans Urrera, Ujeżdżająca Burzę, z girzańskiego stepu. Moje miejsce jest przy moich ludziach. Nie pozwolę, żeby trzymano mnie w niewoli. Nie pozwolę na to ani imperium, ani tym, którzy deklarują przyjaźń.

Zebrani spoglądają po sobie i szepczą, a Ral maskuje wszelkie uczucia. Wtedy występuje Katiz, poważny i zatroskany. Unosi dłonie na znak poddania. Ral jest przekonana, że nauczył się tego gestu, handlując z jej rodakami, co tylko wzmacnia jej determinację.

– Nie jesteś w naszej niewoli – mówi Katiz. – Uratowaliśmy cię. Jeśli wrócisz na stepy, nie możemy zagwarantować, że imperium znów cię nie pojmie. Tego się obawiamy i na to nie chcemy pozwolić. Jesteś zbyt ważna. To, co sobą

przedstawiasz... Magia bez żadnych oznak powinna być niemożliwa.

Ral zgrzyta zębami. Ci ludzie w niczym się nie różnią od imperium. Nie życzy sobie, by ją chronili, kontrolowali czy wykorzystywali!

– Jestem Ral Ans Urrera! – wykrzykuje i wyciąga dłoń ku niebu. – Nie jestem wiatrem, który wypełnia wasze żagle, Zabatańczycy. Ja jestem burzą!

Po tak długiej przerwie magia spływa do niej natychmiast w fali oślepiającego blasku. Pojedyncza, rozszczepiająca się błyskawica zamienia świętą wodę w parę, a srebro i piasek w migotliwe szkło. Wszędzie rozlegają się krzyki, ale Ral przechodzi między zebranymi, odwraca się bokiem do południowego słońca i rusza na północ.

Niech ją gonią. Pozabija ich, jeśli będzie musiała.

Tuż za nią słychać kroki. Odwraca się i widzi tancerkę Atar, która wyciąga dłonie tak jak przed chwilą Katiz, ale na jej twarzy zamiast strachu czy współczucia maluje się zrozumienie.

– Masz rację, Ral – mówi Atar i robi krok naprzód. – Ale nigdy nie dotrzesz tam pieszo. Zaczekaj na zmrok, a ja pomogę ci znaleźć rodaków.

Ral zastanawia się. Wydmy ciągną się aż po horyzont, a ona nie ma bukłaka z wodą. Step zaś znajduje się gdzieś daleko, za cienkim murem migotliwej mgiełki ciągnącej się na skraju widoczności. Ral nie ufa Atar, ale nie chce zginąć. Musi jedynie odzyskać wolność, by pomóc swojemu ludowi.

– Zaczekam – mówi w końcu. – Ale tylko raz.



Atar dotrzymuje słowa, ku lekkiemu, acz przyjemnemu zdumieniu Ral.

Nocą tancerka przychodzi do niej, gestem nakazuje ciszę i prowadzi ją obok Zabatańczyków śpiących w hamakach na pokładzie. Nocna wachta skupia uwagę na północy – żeglarze wypatrują lejów wirującego piasku, co oznacza rychłą burzę piaskową, bądź okrętów imperium. Atar i Ral podkradają się do jednej z łodzi, które cumują do burt. Dziwne to jednostki, przypominające potomstwo statku, zamiast masztów wyposażone w długie ramiona, spotykające się nad pokładem. Ta, do której się zbliżają, jest niemalże pozbawiona skomplikowanej sieci lin i węzłów, a między jej ławkami kryje się ciemnoskóry mężczyzna o pomarszczonej twarzy.

– Oto Jhin – szepcze Atar. – Pomaga nam.

Ral pozwala, by ów dziwaczny chudzielec pomógł jej wejść na łódź, a potem marszczy brew, spoglądając pytająco na Atar. Odpowiedź pada jednak z ust Jhina:

– Chciałbym zobaczyć twoją ojczyznę – szepcze w wyuczonym, ale zrozumiałym girzańskim. Oczy lśnią mu z podekscytowania. – A Atar potrzebuje tłumacza. W języku handlowym człowiek nie przekaze za dużo.

Ral wyraża zgodę kiwnięciem głowy. Tłumaczenia są dla niej nieistotne, czuje jedynie wdzięczność, że ów człowiek, najwyraźniej gość Zabatańczyków, jest gotów ryzykować, by przyjść jej z pomocą.

– Szykuj się – mówi Atar i ruchem głowy wskazuje jedną z ławek.

Ral siada i chwytą mocno za burtę, a Atar i Jhin rozplątują ostatni węzeł. Przepuszczają liny przez świeżo naolejowane bloki i statek niemalże bezgłośnie opada na piasek.

Ral nie zna się na żegludze, ale wie, że potrzeba do niej żagla. Ma ochotę zapytać, co się stało z masztem, ale Atar otwiera luk na dziobie i wyciąga stamtąd wydęty latawiec, przywiązany do

pokładu trzema mocnymi linami. Atar wyrzuca go w powietrze i sięga po swoją skromną magię, by przywołać wiatr. Łódź skacze naprzód i zaczyna sunąć po piaskach.

– Uświadomią sobie, że uciekliśmy, i ruszą za nami – oświadcza Ral. – A ta łódka jest chyba o wiele wolniejsza od statku.

Atar śmieje się wesoło.

– Zostawiłam list dla Katiza. Może nie robi wrażenia, ale mnóstwo w nim wyrozumiałości. Oczywiście inni kapitanowie zaczną się z nim wyklócać, ale my pokonamy w tym czasie połowę drogi do granicy stepów.

A wtedy ujawnia najważniejszy sekret. Odplątuje ostatni węzeł i pozwala, by ramiona łodzi opadły po obu burtach. Zamocowane do ich końców pontony dotykają powierzchni piasku, a wtedy odgłos tarcia cichnie i łódź naraz staje się lżejsza. Nabiera prędkości i mknie ku zamglonemu horyzontowi, za którym – w co wierzy Ral – czekają ci z jej ludu, którzy ocaleli.

Moment zgubnej niepewności

Dłoń Lotka

Cienka kolumna dymu pojawiła się na północnym niebie, doskonale widoczna z murów Żelaznego Miasta. A więc Wen Olcha przybył do Nory i podpalił miasto, co wcale Lotki nie zdziwiło. Resztki sentymentu w jego sercu kazały mieć nadzieję, że durny sędzia i jego kapitan z poblížnioną twarzą zdołali uciec, choć z drugiej strony być może śmierć tych dwóch byłaby wynikiem nieposłuszeństwa? Rozważanie, czy powinno się żałować ich straty, w niczym nie przypominało zadań z egzaminów imperialnych. Lotka zaśmiał się gorzko.

Ktoś za nim kaszlnął. Lotka zacisnął zęby i odwrócił się na spotkanie kapitana Huo. Ten pochylił głowę na znak szacunku.

– Ekscelencjo – rzekł – zwiad na tyłach donosi o dziwnej aktywności w górach. Między wsiami latają niespotykane tam ptaki: orły, sępy, sokoły. Ku Norze nadciągają grupy wieśniaków. Buntownicy zbierają siły.

– Wiedźmy i czarownicy rozpowiadają o tym, co się wydarzyło pod Twierdzą Szarego Mrozu – mruknął Lotka. – Moc, której musimy unikać, ściąga sympatyków rebelii jak magnes.

– To nie wszystko, Ekscelencjo – ciągnął kapitan Huo, wciąż stojąc z pochyloną głową. – Dotarły do nas wieści o potyczkach na zachodzie. Ci buntownicy maszerują pod innym sztandarem. Wiedźmy w ciałach wilków napadają na nasze patrole po lasach.

Sprawa się komplikowała, ale i to przewidział. W końcu przed laty Olcha, Wilga i Przewodnik ruszyli na wyprawę przeciwko innemu przeciwnikowi, bynajmniej nie Wrednemu Lisowi.

– To siły Wściekłej Wilczycy – powiedział. – Uznała, że się wycofujemy.

Skierował wzrok na gęste lasy porastające zachodnie zbocza wyspy, chroniące je przed naporem nadciągających ze wschodu tajfunów. Okolica była gęściej zaludniona, ale mniej cywilizowana, co czyniło ją idealnym matecznikiem dla powstania. Lotka poczuł, że serce bije mu szybciej. Wściekła Wilczyca była drugą w kolejce – za Wenem Olchą – którą obwiniał o śmierć Wilgi.

– Nie ma ich wielu, Ekscelencjo – powiedział kapitan Huo. – Może nie uda nam się wszystkich otoczyć i zgładzić, ale bez wysiłku zmusimy ich do wycofania się do kryjówek, a posmak zwycięstwa podniesie ludziom morale.

Ba, sam Lotka też odzyskałby nieco pewności siebie. Śmierć Wściekłej Wilczycy byłaby ukojeniem dla jego duszy. Trudno byłoby to uznać za pełną zemstę, ale stanowiłoby przynajmniej jej istotny element.

Nie to jednak obiecał cesarzowi. Nie taki zamysł krył się za jego odwrotem – zamysł, który chciał przeprowadzić, choć nigdy dotąd nie wypowiedział tego głośno, nawet w głębi własnego umysłu. Stłumił dreszcz na wspomnienie cesarza, który przetrząsał jego świadomość i przyglądał się najskrytszym myślom, tajnym strachom, sekretnym pragnieniom i urazom niczym stronicom księgi.

– Nie – powiedział, maskując żal i wstręt. – Mamy rozkazy. Czas ruszać naprzód. Zbierz ludzi na dziedzińcu garnizonu Żelaznego Miasta.

W postawie kapitana Huo pojawiło się napięcie.

– Ekscelencjo, wielka mądrość nakazała ci oddalić się od Wrednego Lisa i odrąbanej Dłoni, ale ta Wściekła Wilczyca... jej siły nie dysponują potężną magią. Jeśli będziemy nadal uciekać przed powstańcami, ani razu nie dobywając miecza...

– Nie prosiłem cię o radę, kapitanie – parsknął Lotka. – A twoje słowa naruszają zasady stosownego zachowania. Przemawiam tu w imieniu cesarza. Idź wypełnić moje rozkazy, bo inaczej narazisz się na oskarżenie o niesubordynację.

Kapitan zakołysał się na piętach i zmrużył oczy. Lotka wytrzymał jego wzrok w nadziei, że ten się ukorzy, niepewien, co pocznie, jeśli oficer okaże większą siłę woli. Nie mógł sobie pozwolić na to, by ktoś podważał jego pozycję. Nikt nie mógł krytykować go z powodu wieku, braku doświadczenia czy szaleństwa, które czego był pewien, wytykano mu za plecami. Czy istniało inne uzasadnienie dla odwrotu? Czy można było inaczej wytłumaczyć niechęć do zaatakowania choćby patrolu powstańców?

– Oczywiście, Ekscelencjo – rzekł kapitan Huo i odszedł. Jego ukłon, szybki i stosunkowo płytki, graniczył ze zniewagą.

W chwilach gdy wielka hierarchia imperium mierzyła się z czymś, co nie zostało zawarte w wytycznych doktryny, zaczynała się chwiać i sypać jak ściany kanionu z piaskowca. Lotka zacisnął prawą dłoń, czując oddziaływanie wypalonych tam srebrnych linii tetragramu. Byli na tyle blisko Fortecy Zachodzącego Słońca i Głosu Wieku Obfitości, że w zasadzie mógł już odbudować grube mury kanonu w swoim umyśle. Wystarczyłaby mu jedna błyskawica. Nie musiał nawet razić nią kapitana Huo. Wystarczyłoby spalić ziemię u jego stóp,

a wszystkie pytania i wątpliwości oficera zniknęłyby w jednej chwili.

Tam, gdzie sypała się hierarchia, jej miejsce mogło zająć okrucieństwo.

Oczywiście, kapitan Huo nie był jedyną osobą, którą musiał przekonać, a nie każdego da się równie łatwo zastraszyć pokazem magii.

Lotka opanował emocje i ruszył na poszukiwanie sędziego Żelaznego Miasta. Poznał Dłoń Wspaniałomyślność podczas wyprawy na północ, gdy ich legion rozłożył się obozem pod miastem i uzupełniał zapasy. Starszy Dłoń zaprosił Głos Przewodnika, Dłoń Żara oraz Lotkę na prosty posiłek, podczas którego siedział owinięty w ciepłe futra i obejmował gruzłowatymi dłońmi parujący imbryk, nie przestając narzekać na zimno. Przerywał zrzędenie tylko po to, by zaszczyścić gości pełnymi chwały historiami o podboju Toa Alon. Lotka zastał sędziego w jego gabinecie, siedzącego tuż przy płonącym żelaznym koszu. W pokoju było tak gorąco, że po czole Lotki natychmiast spłynął pot.

– Ach, młody Lotka. – Dłoń Wspaniałomyślność obrócił się na swoim krześle z szerokim oparciem i ruchem głowy wskazał gościowi inne, równie wygodne. – Czyżbyś dobrze sobie przemyślał ów szalony wypad do Wschodniej Fortecy? Jak sam widzisz, mury Żelaznego Miasta są mocne. Zawaliliśmy tunele, którymi buntownicy kiedyś wkradli się do miasta, żeby je zająć. Jeśli chcesz znać prawdę, bez trudu odeprzemy atak tuzina wiedźm. Lepiej tu zostać, prawda? Przynajmniej dopóki nie otrzymamy rozkazów od Głosu Wieku Obfitości.

– Nie zmieniłem zdania – powiedział Lotka, nie siadając. – Mam rozkazy od samego cesarza. Idziemy prosto do Fortecy Zachodzącego Słońca, a potem do Wschodniej Fortecy. Ty i twój garnizon udacie się z nami.

Stary Dłoń spojrzał na niego. Pożółkłe oczy odbiły blask płomieni w żelaznym koszu.

– Przeżyłem już wiele, wiele lat, młody Lotko, i jeszcze nigdy nie słyszałem o Dłoni, który otrzymywałby rozkazy od cesarza.

W jego słowach kryło się subtelne oskarżenie, co ubodło Lotkę, ale spróbował to zignorować.

– Ale żyjemy w dziwnych czasach – powiedział obojętnie.

– W rzeczy samej. – Dłoń Wspaniałomyślność pochylił głowę powoli, jakby się obawiał, że pęknie mu kruchy kark, jeśli włoży w ów gest zbyt wiele energii. – Obeliski w An-Zabat padły, a wedle plotek, o ile można im wierzyć, na girzańskich stepach odrodziła się Ujeżdżająca Burzę. Kilka setek buntowników i odrąbana Dłoń odrzucili jeden z naszych potężnych legionów. Zaiste dziwne i niepokojące czasy, Dłoni Lotko.

Zjawił się sługa ze składanym stołem, który postawił między dwoma krzesłami. Dłoń Wspaniałomyślność zdjął pokrywkę z imbryka, odetchnął parą i westchnął:

– Cudowny jaśmin. Podczas tak zimnych dni przynosi mi ukojenie. Napijesz się?

Obaj byli Dłońmi, ale wiek i doświadczenie Wspaniałomyślności czyniły go starszym bratem Lotki w wielkiej hierarchii imperium. Ten musiał więc przyjąć zaproszenie. Skoro wymagał, by kapitan Huo był posłuszny wobec doktryny, sam tym bardziej nie mógł jej naruszać. Usiadł i czekał, aż Dłoń Wspaniałomyślność napełni dwie filizanki migoczącym bursztynowym napojem.

– Nikt nie będzie cię winił, jeśli ulegniesz pod naporem strachu – powiedział łagodnie Dłoń Wspaniałomyślność. – Nie po tym, jak patrzyłeś na brutalną śmierć dwojga przełożonych, zabitych potężną magią. Nawet tutaj czułem, jak oddziaływała na strukturę. Nie ma nic złego w przyznaniu się do strachu.

Ręka Lotki zamarła obok filizanki. Uważnie wpatrywał się w twarz Dłoni Wspaniałomyślności, ale starzec skupił się na

popijaniu herbaty.

– Cesarz nie przemawia do swoich Dłoni – ciągnął Wspaniałomyślność. – Twierdzisz, że usłyszałeś jego głos tylko raz, po długim, przerażającym marszu, gdy leżałeś i nie mogłeś zasnąć. Może to był tylko sen? Może ów głos był jedynie wytworem twojego umysłu, wciąż przerażonego po walce z okropnościami magii?

Oczywiście, że nie. Lotka czuł nacisk transmisji cesarza. Czuł napór wypełniający jego czaszkę. Czuł obecność, która przetrząsała jego myśli i wspomnienia. Słyszał słowa wypowiedziane głosem, który dotąd słyszał jedynie raz wcześniej, gdy klęczał u stóp Tronu Tysiąca Ramion.

A może dałoby się to rzeczywiście wyjaśnić zmęczeniem? A może ów głos był wytworem szalonego koszmaru?

Zaraz, jakie otrzymał rozkazy? Pamiętał chwilę układania planu, pamiętał swoje przerażenie, gdy cesarz zwrócił na niego uwagę. Potem władca się zgodził, ale na co? Żaden z nich nie powiedział na głos, na czym miał polegać plan!

– Nikt nie będzie cię winił. – Słowa Dłoni Wspaniałomyślności zawisły w powietrzu, stłumione, jakby dotarły z daleka. – Jesteś tu bezpieczny, Dłoni Lotko. Nie musisz uciekać.

Przecież cesarz nie naruszyłby od niechcienia struktur swojej hierarchii, prawda? Trudno było uwierzyć w to, że Lotka, zwykły Dłoń, a więc niewiele więcej niż uczeń, był w stanie wpłynąć na decyzję cesarza i zainteresować go niedokładnie przemyślanym planem. Może jednak wszystko mu się przyśniło, a potem zaczął w ten sposób tłumaczyć swoje tchórzostwo?

Puls dudnił mu równie szybko jak serce.

– Nie – powiedział Lotka stanowczo. – To nie był sen. To się wydarzyło naprawdę. Nie zlekceważę rozkazu wydanego mi przez cesarza, nawet jeśli to się wydaje niezwykle. To cesarz stworzył naszą hierarchię, prawda? Dlaczego więc nie miałby jej zburzyć, żeby sprostać nowym wyzwaniom, tym bardziej że,

jak sam mówisz, żyjemy w dziwnych i niebezpiecznych czasach?

– Nadal się boisz. – Dłoń Wspaniałomyślność zmienił pozycję i poprawił futro na ramionach. W kąciu jego ust pojawił się grymas frustracji, co natychmiast opanował, ale było już za późno. – Ale musisz posłuchać głosu rozsądku, młody Lotko. Jestem twoim starszym bratem w imperium. Posłuchaj mojej rady. Zostań tutaj. Zaczekaj, aż przerażenie przestanie ci dokuczać, albo wyjdź i dorwij bandytów, którzy napadają na sąsiednie wsie. Udowodnij sobie, jak potężne jest imperium i jak słabi są ci najeńscy buntownicy. Nie ma potrzeby uciekać przed nimi.

Dziesięć lat nauki doktryny i zasad zachowania zmuszały Lotkę do przyznania racji starszemu mężczyźnie. Oczywiście, kilka miejscowych wiedzów nie stanowiło zagrożenia dla armii Lotki ani dla Żelaznego Miasta, bronionego przez dwie Dłonie. Niemniej jego lęk przed Olchą był uzasadniony, a wybór racjonalny. To dlatego cesarz zgodził się na jego plan. On też rozumiał niebezpieczeństwo, jakie niósł Olcha.

– Przykro mi to mówić i naprawdę nie chcę się kłócić z tym, kto powinien być moim przewodnikiem, a wiem, że nadużywam już twojej cierpliwości, ale nie było cię tam – rzekł Lotka i potrząsnął głową. – Ani w Twierdzy Szarego Mrozu, ani w Norze, gdy cesarz przekazywał mi swoje rozkazy. Żelazne Miasto upadnie, tak jak wcześniej upadła Nora i jak upadnie Forteca Zachodzącego Słońca. Tak jak upadnie ta wyspa, jeśli nie zwabimy odrąbanej Dłoni w pułapkę zastawioną przez cesarza. W tym celu ty, twój garnizon oraz ci ludzie z Żelaznego Miasta, którzy mają na to ochotę, dołączycie do mnie.

Wypowiedział te słowa szybko, jakby miał nadzieję, że w ten sposób zdoła stłumić frustrację starszego Dłoni. Ten nabrał głęboko tchu i raz jeszcze zmienił pozycję.

– Miałem nadzieję, że uda mi się przemówić ci do rozumu – rzekł, a w jego głosie pojawił się żałobny ton. Przesunął rękę pod futrami. – Mogę mieć jedynie nadzieję, że magia uzdrawiająca zdoła uleczyć twój uszkodzony mózg.

Lotka wstrzymał oddech, a na barkach poczuł ciężar magii, którą dobrze znał z Twierdzy Szarego Mrozu.

Ręka Dłoni Wspaniałomyślności wystrzeliła spod futer, zakreślając świetlisty łuk. Lotka poczuł panikę. Uniósł własną dłoń i myślami przemknął po kanałach kanonu, by odpowiedzieć błyskawicą na atak krępującej magii.

Zapach palonego cynamonu ustąpił odorowi przypalonego ciała. Dłoń Wspaniałomyślność stęknął bez słów i osunął się na krzesło. W dziurze wypalanej w jego futrach pojawiło się poczerwiałe znamię. Wstrząśnięty Lotka nie mógł się nawet poruszyć. Patrzył na starca, który oddychał chrapliwie, z wielkim trudem.

– Nie – wymamrotał Lotka.

Chciał się podnieść, ale poczuł słabość w nogach. Oparł się o stolik, który pękł pod ciężarem ciała. Bursztynowa herbata rozlała się po podłodze i zaczęła wsiąkać w szczeliny. Młodzieniec przypadł do starszego Dłoni i sięgnął po moc uzdrawiającą, po czym dotknął wypalonego ciała drżącymi palcami.

Rana zagoiła się i porażona skóra powróciła do swojej poprzedniej barwy. Wyglądała już na zdrową, choć nieco ziemistą, ale w trakcie gdy młody Dłoń klęczał i czarował, pierś starego Dłoni przestała się unosić, a z jego oczu znikł blask.

Lotka rzucił się w tył i poderwał, rozwierając i zaciskając dłonie, usiłując uspokoić oddech i wyciszyć burzę szalejącą w jego głowie. Nie. Rany się zagoiły! Wpatrywał się w Dłoń Wspaniałomyślność, w myślach nakłaniając starca, by ten poruszył powiekami, by jego wąsy zadrżały, gdy będzie nagle wciągał powietrze.

To był odruch. Strach i szok zmusiły go do nieadekwatnej reakcji, a teraz stary człowiek – Dłoń cesarza – leżał martwy.

Pośród chaosu w głowie Lotki pojawiły się pierwsze myśli. Nikt nie może znaleźć ciała. Kapitan Huo już powątpiewał w jego poczytalność, a ciało starca było dowodem, którego potrzebował. Co więcej, Lotka popełnił zbrodnię, przez którą powinien stanąć w kajdanach przed Głosem Wiekim Obfitości, a potem zostać stracony w Fortecy Zachodzącego Słońca.

Nabrał tchu, by się uspokoić. Nadal nikt tu nie zaglądał, nawet nikt ze służby nie był świadkiem wydarzenia. Być może ktoś podsłuchiwał część ich rozmowy, a z pewnością usłyszał trzask błyskawicy. Ciało zostałoby więc szybko znalezione.

Rana jednak była zagojona, a nadpalone ubrania można by bez trudu wyjaśnić. Jeśli wszystko odpowiednio przygotuje, ten, kto znajdzie ciało, nie nabierze podejrzeń. Przecież starcy często umierali bez ostrzeżenia. Podszedł więc do trupa i ostrożnie umieścił go na krześle, a potem postawił stolik. Imbryk na szczęście był cały, choć jedna z filiżanek się stłukła. Lotka umieścił porcelanowe okruchy na ziemi, by wyglądało to tak, jakby Dłoń upuścił naczynie. O, proszę. Życie nagle opuściło jego ciało i starzec rozchylił palce, a filiżanka spadła na ziemię. W koszu nadal płonął mocny ogień, a więc sługa, który tu wejdzie, zapewne uwierzy, że mężczyzna umarł ze starości i pochylił się, a wtedy przypaliło mu się ubranie. Zapewne? Cóż, trochę logiki jednak by mu się przydało. Wiedział, że analizował wersję wydarzeń, na którą on sam by wpadł, gdyby znalazł się przypadkiem w tym miejscu.

Mniejsza zresztą o to, czy się kłócili, czy nie. Mniejsza o błyskawicę! Czy byle sługę może obchodzić, co zaszło między Dłońmi cesarza? Kapitan Huo przebywał na dziedzińcu garnizonu. Od innych czarodziejów dzieliły go dni drogi, choć Głos Wiek Obfitości zapewne poczuł falę magii wzbudzoną

przez ich starcie. Z pewnością był również w kontakcie z cesarzem, który bez wątpienia stanąłby w obronie Lotki.

Oczywiście przy założeniu, że to Dłoń Wspaniałomyślność się mylił, a Lotka w istocie rozmawiał z cesarzem podczas bezsennej nocy w Norze. Gdyby w istocie przytrafił mu się koszmar, zrodzony z szaleństwa wywołanego wyczerpaniem i strachem, wówczas Lotka zostałby schwytany w jednej chwili i stracony zaraz po dotarciu do Fortecy Zachodzącego Słońca.

Nie. Cesarz przemówił do niego. W swojej nieskończonej mądrości nakazał mu kontynuować odwrót. Co więcej, kierując się tą samą niewysłowioną mądrością, nie odezwał się do Dłoni Wspaniałomyślności, by i jemu przekazać szczegóły planu...

Krew Lotki pulsowała głośno z przerażenia, a jego dłonie drżały. Miał ochotę paść na ziemię, a w następnej chwili zerwać się i uciekać. Każde z tych rozwiązań byłoby jednak równoznaczne z przyznaniem się do winy.

Znów nabrał tchu i w końcu spłynął na niego spokój. Wszystko się ułoży. Nie oszalał. Rozkazy cesarza należy wykonać, nawet jeśli pociągają za sobą śmierć Dłoni. Rozciągnął ramiona, odwrócił się od trupa i ruszył zwawym, ale nie pospiesznym krokiem na dziedziniec garnizonu.



Kapitan Huo był człowiekiem zawziętym i podejrzliwym, ale umiał wykonywać rozkazy. Na dziedzińcu stało w zwartej formacji tysiąc żołnierzy, wśród których znajdowały się zarówno resztki jego legionu, jak i trzy setki ludzi z garnizonu Żelaznego Miasta. Na ich głowy wolno padał śnieg. Lotka wszedł na podwyższenie wbudowane w mur obronny, gdzie ukłonami powitali go kapitan Huo i dowódca garnizonu Zhu.

– Ekscelencjo – Zhu uniósł wzrok, by spojrzeć nad ramieniem Lotki – gdzie, jeśli wybaczysz pytanie, jest Dłoń Wspaniałomyślność?

Lotka machnął ręką z lekceważeniem, choć serce zabiło mu szybciej.

– Odpoczywa i przygotowuje się do podróży. Oczywiście wysłał pozdrowienia i wyraża żal, że tetragram nie chroni przed upływem czasu.

– Oczywiście. – Zhu ukrywał prawdziwe uczucia znacznie lepiej od Huo, ale lekka zmarszczka na czole zdradzała jego wątpliwości. – Nie powinniśmy jednak poczekać na niego lub przynajmniej wysłać emisariusza, zanim zaczniemy?

– Mówię w jego imieniu, jak i w swoim – odparł Lotka.

Przez twarz Zhu znów przemknął grymas, ale Lotka zignorował to i stanął na skraju podwyższenia, jakby nadal był przekonany, że wojsko powinno bez szemrania słuchać go jako Dłoni cesarza, w co wierzyłyby święcie, gdyby sam nie tracił wiary w doktrynę, zasady zachowania i hierarchię.

– Żołnierze Drugiego Legionu Nayeńskiego, z garnizonu Nory i garnizonu Żelaznego Miasta! – zawołał, a jego głos poniósł się echem. – Żyjemy w niecodziennych czasach. W Twierdzy Szarego Mrozu pojawiło się pierwsze od chwili podboju Nayenu prawdziwe zagrożenie dla rządów cesarza. Ci z was, którzy wymaszerowali ze Wschodniej Fortecy z Głosem Przewodnikiem, Dłonią Żarem i ze mną, widzieli już zagrożenie. Czuliście żar płomieni i siłę wiatrów, słyszeliście grzmot piorunów i widzieliście migotanie błyskawic. Odrąbana Dłoń, który włada niewysłowionymi mocami, idzie na południe na czele rosnącej armii buntowników, a ja z żalem przyznaję, że nie będziemy w stanie go tu zatrzymać. Zatem zgodnie z wolą cesarza będziemy kontynuować odwrót ku Fortecy Zachodzącego Słońca, a potem do Wschodniej Fortecy. Zabierzemy z Żelaznego Miasta wszelkie zapasy, które mogłyby

poprawić sytuację wroga, i zniszczymy wszystko, czego zabrać nie zdołamy.

Na twarzach kilku oficerów stojących na czele formacji pojawiło się zaskoczenie, ale nie było westchnień zdumienia czy szeptów niepokoju. Nawet kapitan Huo nadal stał na baczność, choć z ponurą miną.

– Utrata terytorium to bolesna sprawa, tym bardziej dla obywateli Żelaznego Miasta, którzy udadzą się z nami. Ale powtarzam, działamy na rozkaz cesarza. Odrąbana Dłoń i jego siły i tak osiągną tu zwycięstwo, bez względu na to, czy oddamy miasto, czy też przelejemy rzekę krwi w jego obronie. Zdobędą również Fortecę Zachodzącego Słońca, a ich sukcesy obudzą mrok w sercach Nayeńczyków sympatyzujących z takim barbarzyństwem. Ich szeregi powiększą się, ale nie rozpaczajcie! – Uniósł lewą dłoń, by jego tetragram zamigotał w słońcu. – Ogień powstania od dawna żarzy się na tej wyspie, a z nim rodzi się przemoc, która kosztowała nas miasta i wsie, która pociągnęła za sobą śmierć naszych synów i braci, ojców, matek, sióstr i córek. Jednak cesarz przewidział w swoich planach pacyfikację Nayenu. My nie przeprowadzamy odwrotu, ale przegrupowujemy nasze siły. Z czasem dzięki łasce cesarza odwrócimy losy wojny i zmiażdżymy wrogów na murach Wschodniej Fortecy! Wszak to jedynie niezadowoleni chłopci i bezdomni bandyci czyhający w cieniu lasów. My zaś jesteśmy imperium! Przynosimy światło, które przegna te cienie, a wraz z nimi resztki buntowniczego ducha Nayenu!

Ku niebu poniósł się chóralny okrzyk, a w sercu Lotki rozeszła się ulga przypominająca łyk ciepłej herbaty. W krzykach żołnierzy wyczytał bowiem, że zagrożenie buntem odeszło, przynajmniej na jakiś czas.

Oczywiście, usunięcie mieszkańców i opróżnienie lub spalenie magazynów miało zabrać wiele dni. W międzyczasie buntownicy mogli przypuścić atak z zaskoczenia, a rozlew krwi

zdołałby obudzić w jego ludziach pragnienie zemsty. Miał więc nadzieję, że ich lojalność wytrzyma próbę czasu, aż dotrą do Fortecy Zachodzącego Słońca, gdzie zdoła wreszcie uwolnić się od przekleństwa dowodzenia i przekazać je w ręce Głosu Wieku Obfitości.

Chwilę po tym, jak okrzyki ucichły, w bramie pojawił się posłaniec, który podbiegł do podwyższenia, powiewając połami płaszcza.

– Dłoni Lotko – szepnął z pochyloną głową – przynoszę straszliwe wieści.

Lotka poczuł ukłucie w sercu, ale odepchnął strach. Przecież przygotował wszystko jak należy. Jeśli zachowa się odpowiednio, nikt nie zacznie go podejrzewać. Zmarszczył więc brwi, udając zaskoczenie i troskę, po czym zszedł na ziemię.

– Co się stało? – spytał.

Posłaniec podszedł bliżej.

– Dłoń Wspaniałomyślność nie żyje.

Lotka uniósł brwi, wytrzeszczył oczy i rozchylił usta.

– Ccco? – wymamrotał na tyle głośno, by usłyszeli to Huo i Zhu. – Jak do tego doszło? Przecież dopiero co z nim rozmawiałem!

– Wygląda na to, że jego serce się poddało – powiedział posłaniec. – Być może przytłoczył go stres związany z coraz potężniejszym powstaniem. Bada go lekarz, może powie nam coś więcej.

Lotka potrząsnął głową ze smutkiem, a potem odwrócił się do kapitana Huo i dowódcy Zhu.

– Kolejne nieocenione życie padło ofiarą barbarzyństwa Nayenu. Musimy przygotować ciało do transportu. Zabierzemy je ze sobą i dopilnujemy, żeby zostało pochowane z honorami we Wschodniej Fortecy. To zaszczyt, którego nie doczekał ani Głos Przewodnik, ani Dłoń Żar.

– Oczywiście, Ekscelencjo. – Zhu pochylił głowę. – Osobiście się tym zajmę.

Lotka skinął głową, a oficer skrzyknął paru ludzi i odszedł.

– To prawdziwa tragedia, Ekscelencjo – powiedział kapitan Huo obojętnie. – I znów ciężar dowodzenia spoczywa jedynie na twoich barkach.

– W rzeczy samej, kapitanie – odparł Lotka. – Chętnie bym się owego ciężaru kiedyś pozbył, ale póki co dopilnuj, żeby nasi żołnierze opróżnili spichrze i zabrali ze zbrojowni wszystko, co ma jakąś wartość. Za dwa dni spalimy to, czego nie zdołamy zabrać, i ruszymy w drogę.

Kapitan Huo przyglądał mu się, ewidentnie poszukując dowodów na to, że Dłoń kłamie bądź postradał zmysły. Ale on nie oszalał. Wcale nie. I naprawdę odczuwał smutek z powodu śmierci Dłoni Wspaniałomyślności, przez co kłamstwo nie było wcale udawane. Wreszcie kapitan Huo uklonił się.

– Jak rozkażesz, Ekscelencjo.

Lekarz w końcu uznał, że Dłoń Wspaniałomyślność umarł ze starości. Przyczyną śmierci nie była trucizna ani rana. Przypalone ubranie wyjaśnił zgodnie z oczekiwaniami Lotki, a słudzy, którzy musieli usłyszeć ich ostrą rozmowę oraz trzask przywołanej przez niego zgubnej błyskawicy, nie powiedzieli niczego. Jeśli pojawiły się jakieś plotki i dotarły do kapitana Huo, ten nie dał tego po sobie poznać, choć Lotka bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak on sam rozsiewa je wśród żołnierzy i czeka na odpowiedni moment do ataku.

Lotka zapamiętał, by mieć na kapitana oko. Ryzyko buntu zostało jedynie odwleczone w czasie, tego był pewien.

Przez całą noc i cały następny dzień, gdy nad miastem unosiły się kłęby dymu, a ulice wypełniały się przeładowanymi wozami, zwożącymi majątek zrozpaczonych mieszczan, czuł się jak rozciągnięta struna, o którą ociera się smyczek. Miał wrażenie, że lada moment pęknie. Wykonywał wolę cesarza.

Robił to, co obaj uznali za właściwe, by zdławić nayeńskie powstanie, by zdeptać je jak żarzące się węgielki. Co więcej, mścił się za śmierć Wilgi i usiłował zniszczyć Wena Olchę, odrąbaną Dłoń, zdrajcę imperium, który w chwili śmierci z ręki Lotki pożałuje idiotycznej łaski okazanej mu w Twierdzy Szarego Mrozu.

Nie oszalał. Był sługą imperium, a nagrodą za jego służbę była zemsta. Mimo to w głowie nadal rozbrzmiewały mu słowa Dłoni Wspaniałomyślności, a za nimi unosiło się wspomnienie Wena Olchy, wciąż Dłoni, stojącego nad grobem Wilgi. Nie przestawał zadawać sobie prostego pytania, na które coraz trudniej było odpowiedzieć.

Czy to w porządku?

Kawałek kości

Głupi Kundel

Rozciągały się przede mną wszystkie warstwy struktury świata – świat fizyczny, umysł i dusza – splecione w nieskończonym, niepojętym porządku. Ich nici ugiwały się pod moim dotykiem. Lekki nacisk rozbudziłby ogień. Wystarczyłoby rozpleść kilka z nich, bym zmienił się w niedźwiedzia. Inne proste oddziaływania mogłyby przygnać wiatr znikąd, wykuć światło twarde niczym stal czy też przywołać błyskawicę z pustego nieba. Gdybym zaś sięgnął głębiej, mógłbym wtłoczyć własne myśli do umysłu innego człowieka lub wywlec z niego głęboko schowany lęk.

Skupiłem się na własnym umyśle, na widmowej dłoni, która pracowała nad strukturą, i nakreśliłem ścieżkę od jadeitowej kuli we mnie do mocy, która mogłaby przywołać płomień. Kikut prawego nadgarstka bolał, ale przycisnąłem go stanowczo do kawałka kości, którą zabrałem z zapasu Syczącej Kocicy. Musiałem teraz zdobyć się na precyzję, a w rzeźbieniu nigdy nie byłem dobry.

Chciałem stworzyć prosty kanon, w przeciwieństwie do labiryntu cesarskiej magii. W trakcie tworzenia układałem cegły za pomocą magii transmisji i wznosiłem ściany w obrębie warstwy mojej duszy. Te stawały się na tyle wielkie i silne, bym

szybko zapomniał o świecie za nimi. Nagle przebudziła się we mnie panika, gdy pomyślałem o tym, na co się porywam. Miałem wrażenie, że zamiast wbijać nóż w suchą kość, ranię sobie oko czy język. Szybko przeszedłem więc do ostatniego zaklęcia i skupiłem magię tak, by uformowała łańcuchy i związała mój kanon ze znakami, które wyryłem w kości.

W końcu wycofałem się spod jego ścian i odetchnąłem z ulgą. Odłożyłem nóż i musnąłem palcami wyryte linie. Trzy z nich zbiegały się w jednym punkcie niczym płomień wyrastający z jednego miejsca.

Uniosłem kość pod migotliwe światło. Jej stęchły zapach mieszał się z ziołową wonią maści i leków, bez końca unoszącą się w garnizonie pełniącym rolę kliniki. W pobliżu siedział doktor Sho i karmił łyżką pacjenta pogrążonego w katatonii. Przysposobił do pomocy miejscowego chłopaka i dwie dziewczyny, młodzi zajmowali się zmianą bandaży, wydawaniem leków i karmieniem tych, którzy nie mogli tego zrobić samodzielnie. Sho zerknął na moje dzieło i burknął:

– Wygląda to jak jeden z tych runów, które Kocica przygotowuje, żeby wróżyć – powiedział. – Działa?

Podąłem mu kość.

– Sam się przekonaj.

Na twarzy doktora przez moment widniało przerażenie, ale szybko zastąpił je chłodną obojętnością.

– Magia to nie moja domena. Sam dobrze wiesz.

– Dlaczego nie? – W moim sercu zaszła jakaś zmiana po tym, jak mroczny smutek zawładnął mną na kilka dni po zdobyciu Nory. Znów przebudziła się we mnie stara ciekawość. – Żyjesz bardzo długo, jak na kogoś, kto nie korzysta z magii – powiedziałem.

– Gdyby było to coś, co moim zdaniem powinieneś wiedzieć, już znalazłbyś prawdę – odparł obojętnie doktor Sho. – A nie

powiedziałem ci, bo nie jest to dla ciebie ważne, a dopytując się, możesz mnie tylko rozzłościć.

– Dobrze, dobrze. – Uniosłem dłonie i uśmiechnąłem się. – Pilnuj swoich sekretów.

– Tak też będzie – rzekł doktor i ruchem głowy wskazał kawałek kości. – I co? Działa?

– Przekonajmy się.

Przycisnąłem kciuk do trzech stykających się linii. Wycucie struktury świata natychmiast przygasło i zaczęło przypominać stłumiony dźwięk czy światło przebijające przez tkaninę.

Stworzona przeze mnie struktura nie miała rozmiarów kanonu ani też nie była równie subtelna jak pakt. Była jak zwykły pokój, w którym brakowało nawet okna wychodzącego na świat, pokój falujący i pulsujący mocą, rozgrzany i przepelniony zapachem cynamonu.

Odruchowo rozchyliłem dłoń, a z chwilą gdy mój kciuk zsunął się z przecięcia linii, stworzony kanon znikł w moim umyśle. Upuszczona kość zaklekotała o podłogę. Wpatrywałem się w nią jak w psa, który nagle zdziczał i mnie ugryzł.

– Zgaduję, że albo nie zadziało, albo też zadziało zbyt dobrze – powiedział doktor Sho.

Przez świat przeszła fala magii, która obudziła dreszcze w moich rękach i nogach. Najwidoczniej powrócił ktoś z przybocznych mojego wuja, niosąc wieść o naszym zwycięstwie. Gdy skurcze ustały, znów skupiłem się na kanonie, tym razem uważając, by nie dotknąć znaków. Poczułem nagłe mdłości. Do licha, przecież to był jedynie kawałek wyschniętej kości, ale mimo to miałem wrażenie, że trzymam coś surowego i gnijącego.

Przez całe życie próbowałem wyrwać się z ograniczeń paktu, a potem kanonu, próbując zrozumieć pełnię struktury świata. Chciałem opanować magię na własnych zasadach. Absurdem

wydawało się to, że osiągnąłem swój cel tylko po to, by ograniczać umysły i magię innych.

Niemniej powstanie, jeśli miało zakończyć się sukcesem, potrzebowało kolejnych potężnych czarowników. Wykonane przeze mnie narzędzie napełniało mnie obrzydzeniem i nie sądziłem, bym miał czas na udoskonalanie go, ale mogło nam pomóc w realizacji celów.

Pod warunkiem, że ktoś, kto nie przeszedł szkolenia, mógłby używać magii.

Ale kto miałby to być? Towarzyszyłem armii wuja od jakiegoś czasu, ale nadal czułem się tu samotny. Każdy, kogo poznałem, wydawał się wiedźmą bądź czarownikiem – oprócz doktora Sho, który w tej sprawie wypowiedział się jasno. Wspomnienia Brązowej Sowy i przybocznych wuja mordujących ludzi Czystej Rzeki nadal budziły we mnie obrzydzenie i przypominały mi, jakie ryzyko podjąłbym, przekazując tę broń w ręce nayeńskich buntowników.

Wtedy, jakby w odpowiedzi, nawiedziło mnie inne wspomnienie. W myślach zobaczyłem Biegnącą Sarnę z dłonią na mieczu, stojącą między dwoma młodymi żołnierzami i starcem, którego chcieli obrabować i zabić. Nie miałem pojęcia, czy zachowałyby się tak samo, gdyby starzec był Sieneńczykiem, ale wydawała się kobietą współczującą i sprawiedliwą.

Drzwi do lazaretu stanęły otworem, wpuszczając któregoś z pielęgniarzy. Znów przyjrzałem się kości. Gdybym wykonał wszystkie znaki tej samej wielkości, znalazłoby się na niej miejsce dla jeszcze czterech, być może pięciu. Zadałem sobie pytanie, czy umiałbym wybrać pięć sztuk magicznych najbardziej użytecznych dla przyszłych wiedźm i czarowników.

Co więcej: którą z mocy mógłbym oddać, wiedząc, że może zostać wykorzystana wbrew mojej woli?

– A więc już po wszystkim?

Uniosłem głowę i ujrzałem babcię, która stała nade mną i wpatrywała się w kość w mojej dłoni. W jej spojrzeniu krył się cichy strach, wspomnienie nocy, po której wycięła mi na skórze znaki paktu, a potem opuściła dom mojego ojca.

– Wręcz przeciwnie. Dopiero zaczynam. – Uniosłem kość, by mogła się jej przyjrzeć. – Oto uproszczony kanon magii, który przekazuje jedynie moc tworzenia płomienia. Dodam do niego...

– I działa? – przerwała mi.

– Wygląda na to, że tak. Choć musiałbym przetestować go na kimś innym, żeby mieć pewność.

– Lepiej się pospiesz. Przybył posłaniec od Wściekłej Wilczycy, a ona nie wybacza. – Babcia westchnęła i potrząsnęła głową. – Choć jej nie winię. Straciła przecież córkę. Z drugiej strony zawsze miała wąskie horyzonty.

Ze wszystkich rzeczy, które zrobiłem w imię imperium, podbój Żelaznego Miasta pozostawił najgłębsze rany. Powiodłem Wilgę na śmierć, a pomściłem ją, brutalnie zabijając Chłodne Szczenię, córkę Wściekłej Wilczycy, która go torturowała. Gdy postanowiłem wrócić do Nayenu i znaleźć swoje miejsce wśród buntowników, wiedziałem, że będzie próbowała się zemścić.

– Domyślam się, że domaga się mojej głowy?

– A w zamian zaoferowała wsparcie armii – powiedziała babcia. – Wówczas Wredny Lis nie miałby rywala do tytułu Króla Słońca.

Moje poczucie winy przygasło. Wściekła Wilczyca mogła domagać się ode mnie rekompensaty, ale dlaczego niby wuj miałby wykorzystywać mnie w politycznych targach? Po tym, co dla niego zrobiłem pod Twierdzą Szarego Mrozu, w Norze i teraz, zasłużyłem na wdzięczność i na miejsce u jego boku. Nie miałem zamiaru zostać polityczną walutą!

– Sądysz, że dobije targu? – spytałem.

Babcia się zawahała.

– Widział pod Twierdzą Szarego Mrozu, do czego jesteś zdolny, choć tego nie rozumie. Cóż, ja też nie, ale twój wuj dobrze wie, co się wydarzy, jeśli między wami dojdzie do konfliktu.

Jej dłoń drgnęła, a wzrok powędrował ku kości skrywającej magię.

– Ale nie jesteś niezwyciężony. Musisz spać. Musisz jeść. Wuj może dojść do wniosku, że zagrożenie, które przedstawiasz, nie jest warte mocy, którą mu proponujesz. Tym bardziej że wykluczasz lojalne poparcie ze strony Wściekłej Wilczycy.

Mój gniew zapłonął z taką siłą, że spalił tuzin skrywanych głęboko złych przeczuc i spowił resztę dymem. Wstałem i ścisnąłem kość w dłoni.

– A więc pokażmy mu, co mogę zaoferować.



Sycząca Kocica zjawiała się chwilę po tym, jak wypadłem z lazaretu, prowadząc babcię. Starucha za dnia kryła się w lesie, by „unikać tego przekłętą zgiełku”, jak to sama określiła. Szła główną drogą, klekocząc czaszkami we włosach i powiewając połami futra. Przypominała boginię piorunów, gotową utopić świat w deszczu i furii.

Zatrzymała się kilka kroków przede mną. Oddychała ze wzburzeniem, a jej ramiona unosiły się i opadały.

– Wkraczasz na niebezpieczny teren, chłopcze – powiedziała.

Myślałem, że odnosi się do wuja i mojego gniewu, ale spojrzeniem dała do zrozumienia, że chodzi o kość.

– Wiem – odparłem. – Ale wolno mi korzystać z dowolnej magii, a ty sama wyjaśniłaś...

– Wyjaśniłam, ale nie miałam pojęcia, jakie fale rozejdą się po świecie, gdy zaczniesz pracę – warknęła. – To, co stworzyłeś, nie przypomina paktu. Czułam obecność tych murów nawet z odległości, i to w cudzym umyśle.

Znałam Syczącą Kocicę od dawna, ale nigdy dotąd nie wykryłem w niej ani odrobiny strachu. Teraz lęk kotłował się w niej jak wrząca woda w garnku, co dało mi do myślenia. Wpatrywałem się w nią z niepokojem.

Babcia przestąpiła z nogi na nogę.

– Z całą pewnością zanosi się na ciekawą rozmowę, ale my akurat musimy się pospieszyć.

Sycząca Kocica przeniosła twarde spojrzenie na babcię, a potem na kość. Zmrużyła swoje prastare oczy, a ja zobaczyłem, że kryje się w nich nie tylko strach, ale i ogromna nienawiść, przypominająca tę, jaką pies darzy głodzącego go, biczącego pana.

– Bogowie również są zdolni do transmisji – powiedziała. – Okara porozumiewa się w ten sposób. Potrafią również budować labirynty w umysłach. Gdy rzuciliśmy im wyzwanie, okazało się, że dorównujemy im magią. Zsyłali trzęsienia ziemi, a my je wyciszaliśmy. Cisnęli w nas górami, a my je rozbijaliśmy. Rzucali gwiazdami, a my topiliśmy je w morzu. Ich umysły były jednak większe od naszych, starsze i bogatsze. Mury, które wznosili za pomocą magii transmisji, sięgały korzeni ziemi i gdy nie mogli nas pokonać w wojnie magicznej, znaleźli sposób na to, by uwięzić nasze umysły wśród murów. Odcięli nas od mocy. Odebrali nam umiejętność walki. Uczynili nas bezsilnymi, osaczyli mentalnymi tworamami, których za nic w świecie nie mogliśmy pokonać. – Wycelowała sękaty palec w kawałek kości. – Oddziaływanie tego czegoś było identyczne!

Drżąc, nabrałem tchu. A więc właśnie ten fakt ukrywała przede mną? Z tego powodu się wahała? Żywiła lęk przed czymś, co miało miejsce w zamierzchłej przeszłości?

Pomyślałem o stworzonym przez siebie pokoju z mentalnymi ścianami, bez okien, ale wypełnionym mocą. Była to wielka studnia, lecz zarazem więzienie. Czy byłem gotów na podporządkowywanie sobie uczniów, tak jak niegdyś związał mnie cesarz i jego kanon?

– Rozumiem twój strach – powiedziałem, tłumiąc drżenie głosu. – Ale ja chcę rozdawać moc, a nie ją odbierać.

– Powinieneś wiedzieć lepiej od wszystkich ludzi na świecie, że jedno idzie z drugim w parze – odcięła się Sycząca Kocica. – Czy ktoś, kto dotknie tego znaku, zrozumie cokolwiek ze struktury świata, czy jedynie nauczy się władać jakąś magią, którą uznasz za stosowne mu powierzyć? Ty nie obdarowujesz nikogo mocą, Kundlu. Moc to umiejętność rozumienia, oceniania i wybierania.

– Gdybym mógł przenieść w te znaki wszystko, co wiem, zrobiłbym to – powiedziałem. Jej słowa przynosiły mi ból, ale pozwalałem, by pochłonęły go gniew i frustracja. Dobrze wiedziałem, że miała rację, ale trwała wojna i nie mieliśmy czasu na akademickie dyskusje. – I może gdybym miał czas i twoje wsparcie, zrobiłbym to, ale póki co ten kanon to wszystko, co mogę uczynić. Muszę go stworzyć, jeśli mamy pokonać imperium.

– Musisz? – warknęła. – Naprawdę?

Babcia stanęła między nami, co było aktem idiotycznej brawury. Starcie między mną a Syczącą Kocicą zamieniłoby miasto w pył.

– Może dokończyć tę kłótnię kiedy indziej – parsknęła. – Wnuku, przedstawisz swoją sprawę wujowi, czy może zaczekasz, żeby się przekonać, czy nie wsypie ci trucizny do herbaty?

Sycząca Kocica emanowała taką furią, iż bałem się, że zaraz zamieni babcię w kupkę popiołu. Jednakże ona od lat zmagiała się z zagrożeniem ze strony imperium, patrzyła na swojego

męża, który umierał w płomieniach, by chronić sekrety nayeńskiej magii, i wychowała syna, który teraz dowodził armiami, uznającymi go za Króla Słońca. Stała twardo między nami, nie okazując lęku, i wpatrywała się Syczącej Kocicy w oczy.

W końcu Sycząca Kocica obróciła swoją wściekłość na mnie.

– Porozmawiamy o tym później.

Obróciła się, klekocząc czaszkami, i wróciła tą samą drogą. Babcia zgarbiła się, westchnęła i spojrzała na mnie ze złością.

– Myślałam, że ta kobieta to twój nauczyciel.

– Bo tak jest, ale Głos Przewodnik również nim był. Nauczyciele nie zawsze są zadowoleni z wyborów podejmowanych przez ich uczniów.

Babcia prychnęła, potarła uschniętą rękę i ruszyła w stronę domu sędziego.

– Chodźmy więc. Tylko czekać, aż paranoja twojego wuja sięgnie zenitu i wyśle jakiegoś półgłówka, żeby cię zamordował.

– Tak łatwo na niego wpłynąć? – spytałem, zrównując się z nią.

Babcia parsknęła szyderczym śmiechem.

– Dzieje się tak tylko dlatego, że go przerażasz. Wśród jego ludzi nadal są tacy, którzy noszą kawałki spalonego drewna z Twierdzy Szarego Mrozu. Jest przekonany, że twoi ludzie przeniknęli do jego armii i powoli odbierają mu nad nią kontrolę.

– Przecież to nieprawda! – wypaliłem.

Babcia uniosła brew, a ja zatrzymałem się w pół kroku, zaskoczony jej oskarżeniem.

Wpatrywała się we mnie jak dawno temu w Świątyni Płomienia, jakby znów poprawiała moje układy Żelaznego Tańca, a ja poczułem się mały. Odkryłem w sobie wstyd małego dziecka przyłapanego na kłamstwie.

Tymczasem ja wcale nie kłamałem, a wstyd rozbudzony przez jej podejrzenia tylko wzmacnił mój gniew. Zacisnąłem zęby.

– Stworzyłem dla niego kanon magii, a przynajmniej jego zaczątki. Ciekawe, co teraz powie o mojej lojalności.

Babcia zmarszczyła nos, wzruszyła ramionami i ruszyła naprzód. Gdy podeszliśmy do domu sędziego, wyszedł ku nam Sęp. Stał z pochyloną głową i założonymi ramionami, jakby spodziewał się, że zaraz dojdzie do bójki.

– Złamana Kończyno! – powitał babcię, a potem spojrzał na mnie. – Głupi Kundlu! Król Słońca ma teraz prywatną audiencję. Będziecie musieli poczekać.

– A kto stanął mi na drodze? – spytałem ostro.

Sęp napiął mięśnie, gotów na cios lub szykując się, by samemu go wyprowadzić.

– Przepuść nas – rzekła babcia. – Wredny Lis będzie chciał zobaczyć to, co zrobił mój siostrzeniec.

Sęp zastanawiał się przez chwilę, ale w końcu usunął się na bok, choć jego ciało pozostawało napięte.

Zastaliśmy Wrednego Lisa tam, gdzie zawsze. Siedział w sali przyjęć na szerokim krześle przed stołem z mapami. U jego boku oczywiście stała Brązowa Sowa z dłonią groźnie wspartą o rękojeść miecza, wpatrzona w ich gościa, posłańca od Wściekłej Wilczycy.

Przybysz miał wysokie, kanciaste kości policzkowe, a jego karnacja była ciemniejsza niż u większości Nayeńczyków. Włosy, w które wplótł krucze pióra, opadały mu na ramiona. O czymś rozmawiali, ale złość i szum krwi w uszach zagłuszyły ich słowa. Chyba padło coś o tym, jak bardzo Wredny Lis chce mnie zabić.



– Dokonałem tego – oświadczyłem, wchodząc do pokoju. Ani mi nie przyszło do głowy, by pomyśleć, jak najlepiej okazać Wrednemu Lisowi czy emisariuszowi Wściekłej Wilczycy

wyraży szacunku. Pokazałem kość i ułożyłem ją na stole, roztrącając drewniane żetony, które Wredny Lis rozmieścił na mapie. – Stworzyłem kanon magii, który przekazuje moc do wytwarzania ognia. Proces pobierania mocy jest na tyle łatwy, że nawet dziecko by go pojęło. Wręczam ci to, co obiecałem, wuju.

Wuj przyjrzał się sporządzonej przeze mnie broni, a potem zerknął na posłańca.

– Masz moją odpowiedź.

Oczy posłańca były głodne i zapadłe. Patrzył na wuja i na kość, a potem uklonił się zdawkowo i wyszedł z pomieszczenia. Wuj się nie odezwał do chwili, gdy ucichły kroki. Przez strukturę przeszła fala mocy, która zaowocowała serią dreszczów i skurczy, a potem zaczęła się oddalać na wschód.

Wuj przyglądał mi się spod zmarszczonych brwi.

– Myślałem, że dotrzymanie tajemnic wychodzi ci lepiej.

– Noszę ich zbyt wiele i zaczyna mnie to wiele kosztować. – Znów wskazałem palcem kość. – Dotknij znaku. Przekonaj się sam.

Wredny Lis skinął na Brązową Sowę, która zrobiła krok i wyciągnęła rękę.

– Nie – powiedziałem stanowczo. – Przekonaj się ty sam.

Dłoń Brązowej Sowy zastygła w bezruchu. Jej palce muskały kość, a oczy lśniły jak płonące strzały. Stojąca u mojego boku babcia, wciąż zasapana po szybkim marszu, wierciła się niespokojnie. Być może rozważała, po czyjej stronie się opowie, gdy napięcie między mną i wujem nagle zmieni się w agresję.

Wuj pochylił się ku mnie, złowieszczy, emanujący mocą.

– Słyszałem pogłoski, że magia cesarska może zniszczyć umysł – powiedział.

– To nie magia cesarska, tylko magia wedle mojego własnego pomysłu – odparłem. – Nadal nie pokładasz we mnie wiary, wuju? Nawet po tym, jak ocaliłem ciebie i twoją armię pod

Twierdzą Szarego Mrozu? Po tym, jak odrzuciłem imperialny legion i zmusiłem go do ucieczki? Po wszystkim, co zrobiłem, żeby udowodnić moją lojalność?

Brązowa Sowa przyglądała się jego twarzy, w każdej chwili gotowa wypełnić rozkaz i podnieść kość lub zaatakować mnie stałą, ogniem czy pazurami. Wredny Lis podniósł kość od niechcenia, jakby nie miał żadnych zastrzeżeń. Trzymał ją przez chwilę na dłoni i przyglądał się znakowi.

– Brązowa Sowo – powiedział, a ta zrozumiała go w lot. Dotknęła rękojeści swojego miecza i pokiwała głową.

Nim zdołałem zaprotestować przeciwko temu nikomu niepotrzebnemu przedstawieniu, Wredny Lis przycisnął palec do miejsca, gdzie zbiegały się linie. Otoczyła go fala mocy, która rozeszła się po strukturze, a mury kanonu znalazły się we właściwym miejscu.

Wredny Lis stęknął i zatoczył się w tył. Brązowa Sowa obnażyła zęby i ruszyła ku mnie, wyciągając miecz. Uniosłem dłoń, gotów się bronić, a mój umysł zawirował w poszukiwaniu wyjaśnień. Czyżby kanon magii w jakiś sposób wszedł w konflikt z wiedźmimi znakami wuja? A może był to podstęp, który miał na celu wyłączyć mnie z gry i pozwolić na dobiecie targu z Wściekłą Wilczycą?

Fala mocy wywołała serię nieprzyjemnych skurczy wzdłuż kręgosłupa. Buchnął zapach cynamonu, a wtedy babcia wyrosła obok mnie pod postacią niedźwiedzia. Jedna z jej łap była uschnięta. Brązowa Sowa pobladła, ale podniosła miecz do ciosu, a jego ostrze natychmiast spowił płomień.

– Dość! – ryknął wuj. Siedział na krześle, nie mogąc się z niego podnieść. Oddychał powoli, a jego pierś unosiła się i opadała jak miech. Kość leżała na stole przed nim. – Sowo, schowaj broń.

Płomień jarzył się jeszcze przez moment na klindze miecza, ale wnet zgasł, a Sowa schowała broń. W powietrzu nadal

niosły się smużki dymu. Babcia wróciła do ludzkiej postaci i rozciągnęła ramiona, by ulżyć napiętym mięśniom.

– Kiedy dotknąłem tej... tej rzeczy, którą zrobiłeś – wuj postukał palcem w kość – poczułem, jak świat wokół mnie się zbliżał. Umiejętność zmiany postaci odpadła ode mnie niczym odrąbana kończyna. Ale przecież obiecałeś mi narzędzie, które ma obdarzać mocą.

– I oto ono – rzekłem, z trudem odrywając wzrok od pobielających kłykci dłoni Brązowej Sowy, zaciśniętej na rękojeści miecza. – Nie mnie lub tobie, bo my wszak władamy już mocą, ale komuś, kto nie nosi znaków paktu. Póki co przekazuje tylko moc tworzenia ognia, ale dodam nowe znaki i nowe moce.

– Potężny artefakt, o ile to wszystko okaże się prawdą. Niebezpieczna rzecz.

– To broń, która pozwala nam walczyć z Dłońmi cesarza jak z równymi.

– A kto będzie nią władał? – spytał, w końcu odrywając oczy od kości.

Na to pytanie sam nie znałem odpowiedzi.

– Wiesz już, że wykonanie kanonu jest możliwe – powiedziałem. – Pozwolisz mi skończyć pracę i porzucisz marzenia o przekazaniu mojej głowy Wściekłej Wilczycy?

Wuj stuknął jeszcze raz paznokciem w kość, a potem przesunął ją po stole ku mnie.

– Jeśli będziemy mogli uzbroić oddział żołnierzy w taką broń, Wschodnia Forteca padnie w ciągu jednego dnia – odparł. – Weź to i wróć do pracy.

Porwałem kość ze stołu i wyszedłem. Sęp zszedł mi z drogi, najprawdopodobniej świadom fal magii, które buchnęły z komnat sędziego. Gniew w mojej piersi nie przestawał płonąć, aż pozostały po nim tylko żarzące się węgielki.



Wróciłem do lazaretu długą, okrężną drogą, a tam znalazłem butelkę alkoholu z sorgo, którą doktor Sho przeznaczył do celów medycznych. Piętro domu garnizonowego było puste i nikomu nie przeszkadzał chrobot łóżka, które przywlokłem pod okno. Usiadłem na nim i pociągając tęgie łyki palącego trunku, wpatrywałem się w słońce, które zabarwiło horyzont odcieniami wypalanej czerwieni.

Gdy zapadła noc, a ja dotarłem już do dna, dojrzałem rozczochraną postać, powłóczącą nogami w płytkim śniegu, ubraną w tę samą postrzępioną, splamioną krwią szatę widoczną spod płaszcza. Kręcone włosy związane były w parę niedbałych supłów, a starannie przycięta broda zlewała się już z tygodniowym zarostem.

– Czysta Rzeka! – zawołałem i zasalutowałem mu butelką.

Były sędzia zatrzymał się i uniósł wzrok. Jego twarz była ledwie widoczna ze względu na blask księżyca odbijający się od śniegu. Poczułem, jak zalewa mnie współczucie. Przecież tak niewiele nas różniło. Czysta Rzeka osiągnął wysoką rangę w imperium, a potem został pchnięty na dno i upokorzony, a teraz nikt mu nie ufał. Czyż nie schronił się w pomieszczeniach dla służby? Cóż on robił na ulicach po zmroku, brudny i drżący z zimna?

– Masz gdzie się przespać? – wykrzyknąłem.

Choć dzieliła nas spora odległość, a ja byłem pijany, wyczułem jego wahanie, zanim potrząsnął głową.

– Zaczekaj chwilę – wymamrotałem i potykając się, ruszyłem w dół.

Przebyłem lazaret, gdzie doktor Sho i jego pomocnicy karmili pacjentów, i przypadłem do drzwi. Byłem przekonany, że Lu

Czysta Rzeka ruszył w dalszą drogę, ale gdy wyszedłem na zewnątrz, nadal stał na ulicy, ściskając koc.

– Wejź! Wejź do środka! – Zamachałem ręką.

W końcu zrobił kilka niepewnych kroków i stanął w zasięgu światła lampy.

Część jego twarzy szpeciły sińce, miał opuchniętą szczękę i ledwie widoczne oko. Idąc, utykał. Podąłem mu ramię, ale wzdrygnął się i odsunął.

– Zrobiono ci krzywdę – powiedziałem. – A to jest lazaret. Możemy ci pomóc.

– Już raz mi pomogłeś – wymamrotał, co przychodziło mu z trudem z powodu spuchniętej szczęki. – Oszczędziłeś mi życie i spójrz sam, gdzie wylądowałem.

Alkohol nie ugasił mojego gniewu, a jedynie mnie na niego znieczulił. Słowa Czystej Rzeki przecięły się przez odrętwienie niczym ostrze skalpela.

– Kto ci to zrobił? – spytałem ostro.

Czysta Rzeka zaśmiał się, skrzywił i potrząsnął głową.

– A co z tym zrobisz, Olcho? – odezwał się silniejszym głosem, w którym płonęła furia. – Obaj dobrze wiemy, że nie ty tu dowodzisz. Widziałem, jak traktuje cię wuj. Myślisz, że będzie się przejmował tym, że kilku jego żołnierzy skopało sieneńskiego psa?

Wtedy padł, jakby gniew pochłonął resztki jego sił. Złapałem go i podtrzymałem okaleczonym ramieniem, przytrzymując jego ramię dłonią. Sam miałem trudności z utrzymaniem równowagi, ale mimo to zdołałem przeprowadzić go przez drzwi.

Doktor Sho o mało nie upuścił miski z rosółem na jednego z pacjentów. Poderwał się i wspólnie pomogliśmy Czystej Rzece dotrzeć do pustej pryczy. Doktor Sho mruczał i przeklinał przez cały czas.

– Co się, do diabła, stało? – spytał, gdy Czysta Rzeka położył się wreszcie.

Sędzia oddychał swobodnie, ale krzywił się, gdy układałem jego ranną nogę. Kość wydawała się cała, ale przez rozdarcie w nogawce ujrzałem długi, krwawy obrzęk otoczony sińcami. Najprawdopodobniej patrzyłem na ślady ciosu zadanego tępym końcem włóczni lub mieczem w pochwie.

– Możesz poruszyć palcami u nóg? – spytałem.

Czysta Rzeka burknął i potrząsnął głową.

Zacisnąłem powieki i sięgnąłem w głąb struktury świata. Nawet pod wpływem alkoholu bez trudu przywołałem magię uzdrowicielską, czemu nie można było się dziwić – wszak spędziłem wiele dni w lazarecie. Zalała mnie fala wyciszającej mocy, a pozrywane ścięgna i połamane kości Czystej Rzeki zaczęły się goić. Sapnął głośno, poruszył nogą, a ja wycofałem się ze struktury. Moje ciało i mój umysł były już na krawędzi wyczerpania, ale uśmiechnąłem się do niego.

– Gdybyśmy się tym nie zajęli, utykałbyś do końca życia – powiedziałem. – Pozwól mi teraz, żebym się zajął twoją twarzą.

Były sędzia słabo pokiwał głową, a ja dotknąłem jego policzka. Przez mgłę alkoholu, wyczerpania i magii słyszałem doktora Sho, który mamrotał i przetrząsał swój kufer z lekami. Gdy zakończyłem pracę, twarz Czystej Rzeki nadal była posiniaczona, ale mógł już otworzyć oko, a opuchlizna szczęka zmniejszyła się. Doktor Sho przygotował gorący, słono pachnący wywar i przysunął go do ust Czystej Rzeki.

– Wypij to – powiedział. – Musisz odzyskać siły. Te sztuczki wydają się lekiem na wszystko, ale kosztują ciało tyle samo co naturalny proces leczenia, z tą różnicą, że zabierają jedną setną czasu.

Opadłem na sąsiednią pryczę i przytknąłem nadgarstek do czoła, a doktor Sho zajmował się nowym pacjentem. Byłem wyczerpany, to prawda, ale mimo to od wielu dni nie czułem się

lepiej. Pokonanie problemów ze stworzeniem kanonu przyniosło mi sporo satysfakcji, ale nic nie równało się czystej satysfakcji płynącej z uleczenia złamanej kości czy bolesnego sińca.

– Masz. – Doktor Sho wcisnął mi filiżankę. – Ty też to wypij. Zbyt wiele z siebie dajesz, a do tego cuchniesz alkoholem.

Podziękowałem mu, ująłem filiżankę i wypilem gorzki lek jednym łykiem. Najpierw mnie rozgrzał, a potem wypełnił zimnem. Czysta Rzeka leżał i oddychał miarowo. Oczy miał zamknięte.

– Zostawię ci go tu – powiedziałem i wstałem. Wszedłem na piętro i ułożyłem się na łóżku, gdzie szybko pochłonał mnie sen, wolny od strachów, żalów i marzeń.

Ugody w obliczu strachu

Głupi Kundel

O budził mnie ostry ból w boku. W pierwszej chwili pomyślałem o wuju i o posłańcu z piórami kruka we włosach, ale otworzyłem szeroko oczy i zobaczyłem twarz Czystej Rzeki. Upstrzoną krwią, z wytrzeszczonymi oczami i ustami wykrzywionymi wściekłością.

Szok został pochłonięty przez falę wściekłego bólu.

Ktoś krzyknął, a potem wpadł na Czystą Rzekę i pchnął go na ziemię. Biegająca Sarna przygniotła go własnym ciałem i zacisnęła mu ramię wokół szyi. Czysta Rzeka miotał się, próbując wydrapać jej oczy. Wolna dłoń dziewczyny zacisnęła się na rękojeści sztyletu.

– Zaczekaj! – wychrypiałem i wyrwałem sztylet wbity między żebra. Próbując ze wszystkich sił nie stracić przytomności, sięgnąłem po magię uzdrawiającą. Moją klatkę piersiową wypełnił napór, a ciało uzupełniło utraconą krew i zaleczyło przebite płuco. – Nie zabijaj. Proszę. Wypuść go.

Biegająca Sarna wahała się jeszcze przez moment, trzymając sztylet wzniesiony nad sercem Czystej Rzeki, a potem zwolniła chwyt. Oboje podnieśli się z trudem. Lu Czysta Rzeka stał sztywno i rozglądał się w poszukiwaniu sposobności do

ucieczki, a Biegnąca Sarna stanęła między nim a schodami. W jednej ręce trzymała sztylet, a drugą położyła na rękojeści miecza.

– O co chodzi, Czysta Rzeka? – spytałem ostro, a potem zerknąłem na Biegnącą Sarnę. – A co ty tu robisz?

Czysta Rzeka wpatrywał się we mnie z nienawiścią. Jego oczy cięły równie ostro jak sztylet leżący na podłodze.

– Ktoś z nas pilnuje lazaretu w nocy – rzekła Biegnąca Sarna, nie spuszczać wzroku z Czystej Rzeki. Nadal była zdenerwowana. – Widziałam, jak go tu przyprowadzasz, a potem usłyszałam ruch w środku.

Chciałem zapytać, co ma na myśli, mówiąc: „ktoś z nas”, ale potem zauważyłem, że nadal nosi swój fetysz z wypalonego drewna. Miałem szczęście, że to ona trzymała wartę. Spojrzałem na krew, która poplamiała mi koszulę. Ból ustał, ale wiedziałem, jak blisko byłem śmierci. Gdyby nie dziewczyna, Czysta Rzeka mógłby mi zadać śmiertelną ranę, a tej nie zdołałbym już wyleczyć.

Poukładawszy sobie fakty w głowie, odwróciłem się z powrotem do Czystej Rzeki. Stał niczym zapędzony w pułapkę wilk, przerażony, ale wciąż niebezpieczny. Gdyby nadal miał broń, rzuciłby się na mnie.

– Schowaj sztylet – poleciłem Biegnącej Sarnie.

Dziewczyna otworzyła usta, by zaprotestować, ale zamknęła je powoli. Nóż wrócił do pochwy, ale nadal trzymała dłonie na broni.

– Co chciałeś osiągnąć, zabijając mnie? – spytałem.

– A czy musiałem coś osiągnąć? – prychnął po sieneńsku.

– Wyrządzono ci wielką krzywdę, ale nie ja za tym stoję.

– Ale to przez ciebie mi ją wyrządzono. – Lu Czysta Rzeka zrobił krok ku mnie, unosząc dłonie.

Biegnąca Sarna wysunęła do połowy miecz z pochwy, ale nakazałem jej gestem, by trzymała się od nas z daleka. Lu

patrzył na nas oboje, a jego zbryzganą krwią twarz wykrzywiła nienawiść.

– Gdyby nie ty, powstanie zakończyłoby się w Twierdzy Szarego Mrozu. Dłoń Lotka nie zabrałby połowy żołnierzy z garnizonu Nory. Moi ludzie nadal by żyli. Wszystko, nad czym pracowałem, nadal by istniało. – Odsłonił zaciśnięte zęby. – Niesiesz ze sobą zniszczenie wszędzie tam, dokąd trafiasz. Przy każdym naszym spotkaniu spada na mnie klątwa.

Uświadomiłem sobie przemożną, choć absurdalną potrzebę, by się bronić.

– Ja jedynie próbowałem znaleźć sobie miejsce na świecie, a teraz próbuję naprawić to, co zrobiłem źle.

– Popołniając kolejne potworne czyny – warknął. – A co z resztą nas wszystkich? Co z tymi, których światy niszczysz po drodze? Zdarza ci się w ogóle o nas pomyśleć?

– Być może nie tyle, ile powinienem – przyznałem i wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, dlaczego powstrzymałem najpierw dłoń wuja, a teraz Biegnącej Sarny. – Chcę, żeby świat stał się lepszym miejscem, Czysta Rzeka, ale nie wiem, jak tego dokonać. Ty podjąłeś własną próbę i wydawało się, że w Norze odniosłeś sukces. Z twoją pomocą być może przestanę niszczyć, a zacznę budować.

Wpatrywał się we mnie z uwagą. Rozdziawił usta, nie wiedząc, co powiedzieć.

– A więc jeszcze nie – powiedziałem w końcu. – Ale mam nadzieję, że kiedyś się przełamiesz. – Odwróciłem się do Biegnącej Sarny i rzekłem po nayeńsku: – Pozwól mu odejść, chyba że będzie chciał zostać.

Dziewczyna spojrzała na mnie z niedowierzaniem. Czysta Rzeka powoli potrząsnęła głową i ruszył ku schodom. Biegnąca Sarna zeszła mu z drogi.

– Czy ty... – zaczęła dziewczyna, ale zmarszczyła brwi.

Zastanawiałem się, jakie wnioski wyciągnęła z tego, co zobaczyła. Czy mogło to wzmocnić mit, który nosiła w sobie? A może miało to go osłabić? Może nagle stałem się dla niej bardziej ludzki, bardziej ułomny, mniej godny lojalności i czci?

Jak mogłem wyjaśnić jej to, że wypuszczam Czystą Rzekę? Oparłem się o mur, czując resztki bólu w boku.

– Jeśli to powstanie ma pozostawić cokolwiek trwałego, potrzebujemy ludzi, którzy potrafią wyobrazić sobie ten świat jako lepsze miejsce – powiedziałem.

Biegająca Sarna wskazała krew na mojej pryczy.

– Jemu wydaje się, że świat stanie się lepszym miejscem, jeśli ciebie zabraknie.

– On cierpi, a jego nadzieje zostały zdruzgotane – odparłem. – Ja zaś liczę na to, że znów odnajdzie sam siebie. W końcu zbudował tu trwałą pokój przed naszym nadejściem. Będę go potrzebować, gdy wojna dobiegnie końca.

Zmarszczyła brwi, nadal nerwowo przestępując z nogi na nogę. Westchnąłem i sięgnąłem do kieszeni szaty, gdzie nadal znajdowała się kość. Istniały powody, by nie robić tego, co właśnie przyszło mi do głowy, jak choćby uzasadniona obawa przed podejrzeniami wuja, ale one wszystkie nagle wydały mi się błahe.

– Nie ma problemu, jeśli mnie nie rozumiesz. Posłuchaj, mam coś dla ciebie.

Pokazałem jej kość, na co dziewczyna otworzyła szeroko oczy, które błysnęły jak gwiazdy. Zobaczyłem w nich odbicie tej nocy, kiedy babcia wyczarowała przy mnie płomień. Jeśli w armii wuja była osoba, której mogłem naprawdę zaufać, to stała właśnie przede mną. Ostatecznie uratowała mi przed chwilą życie.



Trzy dni później o zmierzchu Biegąca Sarna siedziała ze skrzyżowanymi nogami na beczce w uliczce przy dziedzińcu garnizonu w Norze. Ułożyła otwartą dłoń na kolanie niczym kaganek, który miał zapłonąć ogniem, a w drugiej trzymała kość, przyciskając kciuk do wyrytego znaku. Zamknęła oczy tak mocno, że na jej czole pojawiła się zmarszczka. Była doświadczoną wojowniczką, która przetrwała bitwę o Twierdzę Szarego Mrozu, nie zlekkała się żadnych zemsty żołnierzy na ulicy i obezwładniła Czystą Rzekę, ale teraz stała się smukłą młodą kobietą o piegowatej, zastygłej w skupieniu buzi.

W niczym nie przeszkadzało to, że zdjęła zbroję i zastąpiła ją prostym ubraniem, tak jak ja, gdy babcia po raz pierwszy zabrała mnie do Świątyni Płomienia. Wydawała się teraz drobniejsza i wreszcie wyglądała na swój wiek – zaledwie dwadzieścia lat – choć nadal nosiła sztylet za pasem, oficerską strzałę i kawałek spalonego drewna przy kołnierzu. Nabrała głęboko tchu, aż obojczyki napały na kołnierz koszuli.

– Chyba... chyba coś poczułam. Jakby ciepły wiatr – wymamrotała i zmarszczyła nos. – Ktoś gotuje coś w pobliżu?

– Cisza. Nie ruszaj się i milcz – rzekłem.

Próbowałem zachować obojętny głos, ale serce zabiło mi mocniej z entuzjazmu. Po trzech dniach w końcu poczuła oddziaływanie magii. Pierwszym krokiem było nauczenie się, jak sięgnąć w głąb struktury, czego uczyli mnie babcia i Dłoń Przewodnik, choć metoda, którą przekazałem dziewczynie, była oparta o lekcje Syczącej Kocicy. Chciałem, by wyobraziła sobie siebie jako kulę jadeitu unoszącą się nad strukturą lub – w jej przypadku – w obrębie ścian kanonu magii.

– Oto ślady magii, którą będziesz władać. Skup się na niej. Sięgnij ku niej i przyciągnij ją do siebie, jakbyś piła ją jak wodę lub wdychała jak powietrze.

Na jej twarzy pojawiła się jeszcze głębsza zmarszczka, co uznałem z początku za rzecz niemożliwą. Powstrzymałem śmiech, by jej nie rozpraszać. Tymczasem dziewczyna znów nabrała głęboko tchu, tak jak ją uczyłem. Iskra niczym spod krzesiwa pojawiła się wśród palców jej otwartej dłoni. Potem kolejna, choć zgasła równie szybko, jak ćma ginie nad świecą.

– To chyba nie działa – wymamrotała Biegnąca Sarna, westchnęła i otworzyła oczy, w chwili gdy płomień zatrzepotał i zgasł.

– Działa, działa. – Uśmiechnąłem się.

Dziewczyna wybuchła śmiechem, a potem zamachała rękami, by uniknąć upadku z beczki. Złapałem jej nadgarstek i pomogłem zachować równowagę. Biegnąca Sarna zacisnęła dłoń i wbiła wzrok w moją twarz. W jej oczach widziałem zaskoczenie i niedowierzanie.

– Nie sądziłeś, że mi się uda, co? – Uśmiechnęła się szeroko.

Odwzajemniłem jej uśmiech.

– Nie sądziłem, że mnie się uda.

Dziewczyna przechyliła głowę. Uwydatniły się jej dołeczki, przez co uśmiech stał się niemalże nieśmiały.

– Cóż, a więc pomyliłeś się dwa razy.

Czułem, jak rozchodzi się po mnie ciepło. Ten uśmiech topił wszelkie napięcie, każdy żal i każdy strach, nawet jeśli na krótki moment.

– Przykro mi, że przeszkadzam w tak uroczej chwili – odezwała się Brązowa Sowa, stojąca w wejściu do uliczki – ale Wredny Lis cię szuka, Kundlu. A ty zajmij się swoimi ludźmi, Sarno. Ruszamy o świcie.

Biegnąca Sarna zeskoczyła z beczki i zasalutowała. Przebiegła kilka kroków, ale zatrzymała się nagle i nieśmiało

zawróciła, by oddać mi kość.

– Wrócimy do ćwiczeń jutro w nocy – powiedziałem, odbierając artefakt.

Biegnąca Sarna opanowała uśmiech, ewidentnie nie chcąc okazać emocji w obecności Brązowej Sowy, a potem znów zasalutowała i udała się w drogę. Brązowa Sowa patrzyła za nią, nadal oparta o mur. Miała skrzyżowane ramiona i twarde spojrzenie.

– A więc to pierwsza mała wiedźma, którą chcesz stworzyć – powiedziała. – Nie powinieneś się więc zastanawiać, dlaczego Wredny Lis nadal ci nie ufa.

– Dlaczego? – udałem niedowierzanie. – To oficer w jego armii, a do tego zdolna kobieta i chętna do nauki. Dlaczego miałbym jej nie uczyć?

Brązowa Sowa wpatrywała się we mnie, a potem wywróciła oczami i odepchnęła się od ściany.

– A więc chodź. Jesteś potrzebny na naradzie. Król Słońca zdecydował, gdzie teraz uderzymy.

Wiedziałem, że wybrał Żelazne Miasto.

Widziałem mapę, na której zgodnie z raportami zwiadowców rozkładał żetony z cesarskimi tetragramami, szpiczastym obliczem lisa i warczącym wilkiem. Lotka porzucił już Żelazne Miasto i teraz maszerował w kierunku Fortecy Zachodzącego Słońca. Wściekła Wilczyca w międzyczasie plądrowała wsie, które się jej przeciwstawiły, i prowadziła swoje siły w stronę miasta.

Sytuacja budziła we mnie oszołomienie i strach. Patrząc na mapę, miałem wrażenie, że odbywam podróż w przeszłość, do dni, kiedy cztery lata temu ja, Wilga i Dłoń Przewodnik planowaliśmy nasze natarcie. Oczywiście wszystko wyglądało teraz inaczej – powstanie było podzielone, a odwrót Lotki wydawał się absurdalnym obrotem wydarzeń. Nie wiedziałem,

czy się z tego śmiać, czy płakać, i rozmyślałem, co on czuł, porzucając ziemię, za które jego brat oddał życie.

A do tego w słowach wuja usłyszałem czyste szaleństwo.

– Odmówiłem żądaniom Wściekłej Wilczycy – powiedział Wredny Lis, pochylając się nad mapą. Przyciskał pięści do stołu.
– Zmusimy ją do posłuszeństwa albo ją zniszczymy, a potem przejmujemy te spośród jej sił, które są naprawdę lojalne wobec Nayenu.

Babcia usiłowała utrzymać kamienną twarz, ale w jej oczach i kącikach ust widziałem frustrację i niesmak. Sama myśl o bratobójczej walce budziła w niej wściekłość, ale zachowywała milczenie, gdyż Wredny Lis był Królem Słońca i jej synem. Co więcej, istniały odpowiedzi, których nie mogła się od niego domagać.

– Czyli nie będziemy negocjować, wuju? – spytałem.

Powoli nabrał tchu i rozszerzył nozdrza.

– Może być tylko jeden Król Słońca, siostrzeńcze, a wiesz, czego trzeba, żeby cisnąć Wściekłą Wilczycę na kolana.

– Ale żadne z was nie zasiądzie na Tronie Słońca, dopóki nie przegnamy imperium z wyspy – zaprotestowałem i zamachałem dłonią nad mapą z żetonami. – Czy takie przepychanki nie mogą poczekać?

Brązowa Sowa, siedząca u boku wuja, parsknęła szyderczo.

– Jesteś wśród nas od niedawna, Kundlu. Armia Wilczycy przelewa naszą krew równie chętnie jak krew sług imperium. Jeśli nam się pokłonią, zrobią to tylko po to, żeby podciąć gardło Wrednego Lisa.

– To szczyt głupoty – powiedziałem obojętnie.

Na twarzy wuja pojawiło się rozdrażnienie.

– Od dawna walczymy o to samo, ale jej metody nie pomagają. Jest zbyt łagodna wobec tych, którzy współpracują z imperium. Kiedy nasze miecze się skrzyżują, stanie się tak, ponieważ Wilczyca stoi między nami a zemstą na tych, którzy

biorą sieneńskie srebro w zamian za żelazo i ziemię, bogactwa tej wyspy.

Przeanalizowałem jego słowa jak podczas zajęć z retoryki, doszukując się w nich niewypowiedzianych prawd. Przypomniała mi się historia sieneńskiego podboju, którą babcia opowiedziała mi lata temu. Podbój ten zaczął się od wizyt sieneńskich statków i kupców jedwabiu, przypraw i srebra, a skończył samospaleniem dziadka, gdy sieneńskie legiony maszerowały po wyspie. Te wydarzenia zdefiniowały młodość mojego wuja.

Zaczynałem rozumieć jego nienawiść wobec tych, którzy dali się zwabić w szczęki imperialnej pułapki, ale wykorzystali sytuację i zaczęli się bogacić. W efekcie skupił swoją nienawiść na Czystej Rzece i zaczął żywić podejrzenia wobec mnie, gdyż nie tak dawno sam korzystałem z przywilejów i bogactw imperium. Niemniej jego słowa, pełne świętego oburzenia, kryły chęć mordowania tych, którzy jedynie próbowali ułożyć sobie jakoś życie pod jarzmem imperium. Z rozpaczą zadałem sobie pytanie, czy istniał sposób, by zwalczać okrucieństwo i jednocześnie mu nie ulec?

Na to pytanie musiałem znaleźć odpowiedź.

– Pozwól mi ją przekonać! – poprosiłem. Kotłowała się we mnie desperacja, a słowa buchnęły ze mnie niczym para. Nadal nie miałem ochoty rządzić, choćby dlatego, by nie karmić paranoi wuja, ale byłem gotów na wszystko, co w mojej mocy, by zepchnąć powstanie z kursu ku samodestrukcji. – Polecę do Żelaznego Miasta, pokażę jej kanon magii i pokajam się przed nią. Być może zechce zapomnieć o wrogości między wami.

Wredny Lis zmrużył oczy, a babcia zeszywniała. Uświadomiłem sobie, że wuj najwyraźniej źle odczytał moje słowa i zamiast nienawiści i strachów znalazł w nich odbicie własnego pragnienia władzy.

– Ona nie zapomni o śmierci córki – powiedział. – Nie. Ruszamy do Żelaznego Miasta, ale pokażemy jej twój kanon magii. Przetrzebimy szeregi tych, którzy nie chcą porzucić jej proporców i złożyć mi przysięgi na wierność.

Zwarłem pięści i zacisnąłem zęby.

Lepiej służyć wujowi niż imperium, powiedziałem sobie. Lepiej, by Nayeńczycy władali Nayenem. Lepiej, by Doktryna przestał stopniowo pożerać świat i nie wypowiedział wojny bogom.

Niemniej mogliśmy zapłacić zbyt wysoką cenę, by cieszyć się ze zwycięstwa. Struktura świata nadal się rozwijała, niesiona pędem narzuconym przez przeszłość i w wytyczonym przez nią kierunku. Stare zbrodnie i zdrady mogły rzutować na jej kurs o wiele mocniej niż współczucie, sprawiedliwość czy zwykły zdrowy rozsądek.

Chyba że mogłem na to jakoś wpłynąć.

– Odwalisz więc robotę cesarza za niego. Wytniesz powstaniu serce podczas prób zjednoczenia go – rzekłem, wbijając w wuja spokojne spojrzenie. Przez lata robiłem wszystko, by dopasować się do oczekiwań imperium, i nie miałem już najmniejszego zamiaru podążać za cudzą wizją. – Po co nam zwycięstwo, skoro musimy naśladować okrucieństwo imperium, żeby je osiągnąć? Myślisz, że żołnierze podzielają twoją żądzę władzy? Myślisz, że będą ginąć, żebyś zaspokoił swoje ambicje i zasiadł na tronie? Nie, wuju. Oni walczą, bo cierpieli.

Przeniosłem spojrzenie na Brązową Sowę, odświeżając wspomnienia, do których dotarłem podczas badania znaków jej paktu. Obnażyła zęby i dotknęła rękojeści miecza, ale ja ciągnąłem, nie mając zamiaru przerywać ani uginać się przed czyjąkolwiek wolą:

– Na własnej skórze poznali okrucieństwo świata, który wznoszą tu Sieneńczycy. Są więc gotowi go zniszczyć

i zbudować własny, lepszy. Idą za tobą, bo wierzą, że taki właśnie lepszy świat chcesz stworzyć. Wolisz zdradzić ich zaufanie? Czy ty...

– Dość! – Głos Wrednego Lisa, ostry i ochryply, przywodził na myśl stal. – Czyżbyś wykorzystał swoją imperialną magię, żeby wejrzeć do każdego umysłu wokół nas? Czyżbyś w ten sposób zdobył taką wiedzę? Kto z nas dwóch, siostrzeńcze, lepiej rozumie naszych rodaków? Ja od dekad stoję na ich czele, a ty rozlewałaś ich krew na ulicach Żelaznego Miasta!

Zacisnąłem mocno zęby z wściekłości i zwarłem dłoń w pięść.

– Mów dalej, siostrzeńcze – warknął Wredny Lis. – I przekonaj się, dokąd cię to powiedzie. Ja jestem Królem Słońca. Jeśli pożadasz mojego tytułu, rzuć mi wyzwanie tu i teraz. W przeciwnym razie cofnij się ze skraju zdrady i wykonuj moje rozkazy.

Kiedyś marzyłem o tym, by naginać strukturę świata do własnej woli. Byłem dzieckiem i nie wiedziałem, czego tak naprawdę będę sobie życzył. Teraz miałem zarówno wolę, jak i moc magiczną, a powstanie stanowiło jedynie drobny fragment struktury. Czego mi więc brakowało?

Wiedziałem jedynie tyle, że mógłbym zabić wuja jednym gestem i zająć jego miejsce, ale moja zaciśnięta pięść nawet nie drgnęła. W porę przypomniałem sobie o zgliszczach, które pozostawiłem za sobą, gdy po raz ostatni uległem ambicji.

– Dobrze, wuju – wycedziłem przez zaciśnięte zęby, unosząc pięść w salucie. – Jesteś Królem Słońca. Wypełnimy twoje rozkazy.

Wuj przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, analizując moje słowa i gesty. W końcu skinął głową i machnął dłonią na znak, że możemy odejść, choć nie wydał żadnych rozkazów.

Dlaczego więc w ogóle mnie wzywał? Cóż, nie po to, by wysłuchać, co miałem do powiedzenia. Chciał jedynie poinformować mnie o swoich planach i zbadać moją reakcję.

Każda rozmowa była serią posunięć na planszy do kamyków, a to, co robiłem i co mówiłem, stanowiło część gry, którą rozgrywał wyłącznie we własnym umyśle.

Mógłbym wejrzeć do jego głowy, przyjrzeć się tej grze, przetrząsnąć jego myśli, a nawet usunąć z nich lęk przede mną, ale w ten sposób jedynie bym ów strach uzasadnił.

Gdy wszyscy udali się do swoich zadań, ja skierowałem się do doktora Sho. Ktoś musiał mu powiedzieć o rychłym wymarszu i pomóc w pakowaniu i przygotowaniach pacjentów na drogę. Ledwie przeszedłem parę kroków, gdy dołączyła do mnie babcia. Jej uschniętą dłoń przeszywały skurcze, a w kąciку ust pojawił się tik.

– Ja również całkowicie się z nim nie zgadzam – rzuciła, rozglądając się dookoła, by mieć pewność, że nikt nie patrzy i nikt za nami nie podąża. – Ale bezpośredni sprzeciw jedynie zmusi go do ataku.

Pokręciłem głową.

– Gdybym umiał wypełniać rozkazy bez pytania, nadal służyłbym imperium.

– On jest Królem Słońca. W jego umyśle nie ma różnicy między nim a powstaniem. Nie powinieneś milczeć. Musisz jedynie znaleźć sposób, żeby wyjaśnić swój sprzeciw tak, żeby on to przyjął.

– Być może Król Słońca powinien dostrzec tę różnicę.

Babcia spojrzała na mnie złowrogo i warknęła:

– Nie wiem, czy prosisz mnie, żebym pomogła wnukowi obalić jego wuja, czy może chcesz, żebym zastąpiła własnego syna.

– Nie o to mi chodzi – mruknąłem, kręcąc głową, ale ona ciągnęła, ignorując mnie:

– A ponadto jesteś równie ślepy i głupi, jak wskazuje twoje imię, jeśli myślisz, że Wściekła Wilczyca okaże ci tyle

wyrozumiałości! – Prychnęła i pomasowała ramię. – Mnie też to wszystko się nie podoba, Kundlu, ale nie widzę innego sposobu.

– Wszyscy chcemy tego samego, a więc powinniśmy współpracować. Cała reszta... – Machnąłem lekceważąco ręką. – Krótkowzroczna głupota. Urazy i ambicja.

– Jedne z najpotężniejszych sił tego świata – skrzywiła się. – Niestety.

– Ale nie potężniejsze niż imperium – sprzeciwiłem się. – Jeśli nie potrafimy pokonać własnych słabości, czy możemy liczyć na zwycięstwo?

Babcia uniosła zdrową dłoń na znak rezygnacji.

– Ja jedynie proszę cię, żebyś myślał, zanim zaczniesz działać. Twój wuj być może znajdzie sposób, żeby zmusić Wściekłą Wilczycę do poddania się bez wyrzynania jej armii i wprowadzania zamętu do armii powstańczej. Daj mu szansę.

Burknąłem na znak, że się zgadzam, a babcia podziękowała mi i odeszła.

Wsunąłem dłoń do kieszeni szaty i musnąłem kciukiem gładką powierzchnię kości. Moją jedyną ambicją było kształtowanie struktury świata dla dobra nas wszystkich. Chciałem wyzwolić Nayen i naprawić wszystko, co zrobiłem źle. Chciałem uniemożliwić Doktrynie wszczęcie wojny z bogami. Jeśli więc naprawdę miałem wypełnić obietnicę, musiałem nauczyć swoich zwolenników czegoś więcej niż tylko sztuki tworzenia płomieni. Musiałem pokazać im o wiele więcej niż tylko prostą magię.

Uznałem, że ktoś inny powiadomi doktora o wyjeździe. Zamiast tego odwróciłem się w kierunku bramy do miasta, za którą ciągnął się las. Tam kryła się Sycząca Kocica, a ona wciąż miała kilka nieznanych mi sekretów i mocy, których jak dotąd mi nie pokazała. Poza tym nie miałem już cierpliwości, mój lęk przygasł, a potrzeba stała się paląca.



– Sho powiedział mi, że uratowany przez ciebie Sieneńczyk dźgnął cię w płuco – powiedziała Sycząca Kocica z uśmiechem w ramach powitania. – Kryje się w tym chyba metafora, ale to ty powinieneś to wiedzieć. Kiepska ze mnie poetka.

Jej polanę znalazłem, kierując się odgłosem pękających kości. Usiadłem po drugiej stronie ogniska i patrzyłem, jak roztrąca Żar.

– I co, Kundlu? – Starucha wyjęła rozgrzaną do białości igłę z ognia. – I co teraz? Skleciłeś już swój mały kanon. Nie sędzę, żebyś się po prostu za mną stęsknił. Mówże więc.

Szkolono mnie, bym uznawał granice, zarówno te wynikające z doktryny, jak i te, które obowiązywały w imperialnej magii. Granica, którą stworzyła Sycząca Kocica, chroniła to, o czym kobieta chciała rozmawiać i co chciała dać. Niewiele jednak zyskałem, gdy pozwalałem takim granicom zaistnieć.

– Pod Twierdzą Szarego Mrozu powiedziałaś, że tę wojnę stoczono za pomocą broni, którą nikt już nie włada.

Staruszka zmarszczyła oczy, surowe niczym jarzące się węgielki, a ja mówiłem, bojąc się, że jeśli zamilknę, przerwie mi i nigdy już nie wrócimy do tej rozmowy.

– Chcę dodać tę broń do mojego kanonu. Dla ciebie może jest zakazana, ale Tollu uznała, że mogę sięgać po wszystko, a ty sama przyznałaś, że nasze szanse w wojnie z cesarzem są znikome.

– Usłyszałeś te słowa, w chwili gdy zmagales się z mocną i niebezpieczną falą magii – odpowiedziała krótko ostrym głosem. – I nawet gdybym wygłosiła taką deklarację, wiedz, że bogowie są równie zjednoczeni jak ja i Doktryna. Przecież to Niebiański Ojciec wyładował swój gniew na Naphenie. Nawet

jeśli zgodzili się wówczas z Tollu, nie wiadomo, czy nadal tak jest. Nie wspomnę już nawet o tym, co będzie, gdy zaczniesz ciskać magią, która jest dla nich prawdziwym zagrożeniem!

– Bogowie może i są kapryśni – zgodziłem się. – W porządku. Ale mimo wszystko warto podjąć ryzyko, a ty chyba się ze mną zgadzasz. W przeciwnym razie dalej siedziałabyś ukryta w jaskini.

Sycząca Kocica wycelowała we mnie rozżarzoną końcówką igły.

– Pakty nie są równie twarde i sztywne jak mury kanonu Doktryny, a tworzy je jedynie moc bogów. To umowy! Chyba wspominałam, że umowy można złamać, i nadmieniałam przy tej samej okazji, że tobie mogłoby ujść na sucho o wiele więcej niż mnie.

– Tak czy owak, dojdzie do wojny – dowodziłem. – Bo albo cesarz da bogom powód do jej rozpoczęcia, albo ja.

Sycząca Kocica wbiła igłę w ziemię i patrzyła w smużkę dymu, która uniosła się z czubka. Pochyliła się naprzód z ciężkim westchnieniem, aż czaszki w jej włosach zaklekotały szyderczym chórem. Powoli nakreśliła krąg obok ognia.

– Oto struktura świata – powiedziała, a potem narysowała faliste linie przecinające krąg. – A to są fale mocy, które się po niej rozchodzą. To taka wymiana energii, bla, bla, bla, sam dobrze wiesz, o co chodzi. – Potem nakreśliła mniejszy okrąg w środku większego. – To broń, którą wykorzystaliśmy, żeby doprowadzić konflikt z bogami do impasu. Jest nią mur przypominający te, które bogowie tworzyli w naszych umysłach. Jak ściany kanonu, twojego czy Doktryny, ale wbudowane w świat. Rozumiesz? To właśnie zrobiliśmy. Najpierw poddaliśmy się strukturze. Potem stworzyliśmy w jej obrębie granice, a w końcu obróciliśmy naturalny rytm struktury przeciwko każdemu rodzajowi magii wewnątrz wyznaczonego terytorium.

Rysowała kolejne linie, ale gdy igła zbliżała się do wewnętrznego kręgu, unosiła ją i powracała do rysowania po drugiej stronie. Wnętrze większego kręgu wypełniło się falami, a środek mniejszego pozostał pusty.

– Gdy bogowie toczyli swoją wojnę, świat pękał i łamał się. Z tkaniny rzeczywistości wyłaniały się potwory, które czaiły się wzdłuż granic, ale nie mogły ich przekroczyć. Do wnętrza nie sięgały zsyłane przez bogów trzęsienia ziemi, nie docierały tam ognie ani wiatry. Nikt nie mógł tam wnikać, nawet sami bogowie.

– I nie mogli was pokonać? – spytałem, myśląc o przywołanym przez nią na dziedzińcu Twierdzy Szarego Mrozu ogniu i o sile jej woli, twardej jak żelazo. Pomyślałem również o kanonie Doktryny i o tym, jak łatwo pękł, gdy pchnąłem na niego strukturę.

Starucha postukała igłą o wnętrze kręgu.

– To nie magia – powiedziała. – To przeciwieństwo magii. Ta moc nie zmienia naturalnego porządku świata, ale spaja go i utrzymuje. – Znow uniosła igłę na wysokość mojego oka. – Tak jak żelazo, struktura staje się solidniejsza, gdy zostaje zagęszczona, a wymiana energii uproszczona. Jak sam wiesz, trudno jest utrzymać całą strukturę w obrębie jednego umysłu i jeszcze ją kontrolować. O wiele łatwiej jest przejąć fragment całości i używać go w charakterze tarczy.

– A bogowie się tego bali? – Nadal nie rozumiałem, jak to, co mi opisała, mogło zostać wykorzystane jako broń.

– Oczywiście, że tak! – warknęła w odpowiedzi. – Bogowie nie istnieją tak jak ja czy ty. Nie są stworzeniami z krwi i kości. Oni są czystą wolą, która wywiera swój wpływ na świat. – Dźgnęła wewnętrzną krąg raz jeszcze. – Złapaliśmy kilku z nich w obrębie owych granic. Nie pozostały po nich żadne trupy, ale nigdy już tych drani nie widzieliśmy. – Zaczęła kreślić kolejne koła, które niemalże wypełniły zewnętrzny krąg, pozostawiając

jedynie wąskie przestrzenie między nimi. – Zabezpieczyliśmy przed nimi tyle świata, ile się dało. Oczywiście pojawiły się konsekwencje, bo każda z owych granic z czasem sama wrosła w świat. Każda drobna struktura zaczęła falować i pojawiał się chaos, gdy bariery padały i struktura zaczynała się odbudowywać sama z siebie. Bywało, że tonęły całe kontynenty lub wyrastały łańcuchy gór. Tak czy owak, opłaciło się.

Wskazała drobne przestrzenie między wewnętrznymi kręgami.

– W pewnym momencie nie mogliśmy już rozszerzać granic i pozostawiliśmy bogom za mało zewnętrznego świata, żeby mogli zaspokoić głód czy w ogóle istnieć. Doszło do impasu, w którym zawarliśmy porozumienie. Bogowie z całą pewnością uznają je za zerwane, jeśli znów wnikniesz w strukturę i zaczniesz wznosić nowe mury bądź jeśli Doktryna to zrobi.

– Nawet jeśli wzniosę je, żeby pokonać Doktrynę?

Wzruszyła ramionami.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Może zna ją Okara, ale zapewne byłaby to tylko jego opinia, a być może podjąłby przy tym próbę zmanipulowania ciebie.

Zgarbiłem się. Przeświadczenie o tym, że zostałem pokonany, stawało się coraz silniejsze. Broń, której bali się bogowie, powinna być gwiazdą ciśniętą z nieba. Czymś, co mogłoby wypalić cesarza ze świata, lub przepaścią, która mogłaby go pochłonąć na zawsze.

– Nie bądź rozczarowany. – Sycząca Kocica wsunęła igłę na powrót w ogień. – Doktryna będzie niemal bezradny, jeśli podejdziesz do niego i otoczysz barierą strukturę, po której stąpa. Magia, którą władamy oboje, zacznie wówczas się rozpadać, a wtedy nagle poczuje swój wiek, co będzie dla niego boleśniejsze od ciosu nożem w serce. – Przechyliła głowę. – Może też nie być w stanie zatrzymać twojego noża. Myślę, że

nie pamięta ostatniej okazji, gdy musiał się bronić bez użycia magii.

Jej słowa nie pocieszyły mnie zbyt.

– Oczywiście, znany nam świat może się równie dobrze skończyć – zauważyłem.

– Z tego, co mówisz, wynika, że może się skończyć tak czy owak. – Sycząca Kocica sięgnęła po nową kość. – Teraz masz wybór, Kundlu. Możesz skorzystać z mocy lub nie. Ja jak dotąd uznałam, że nie będę tego robić. Podjęłam jednak wiele innych decyzji, których żałuję.

Dym buchnął znad kości, gdy zaczęła ryc runy przepowiadające.

– I wygląda na to, że po wielu długich latach jestem bardziej zmęczona, niż się tego obawiałam.

Wezwania

Koro Ha

Koro Ha bawił się niespokojnie skrajem swoich rękawów, czego w obecności strażnika trochę się wstydził, choć przecież żołnierz przydzielony do stróżówki Orny Sina nie interesował się wcale jego egzystencją. W sumie spodziewał się, że Eln Se odrzuci jego zaproszenie, bo oczywistych powodów miała wiele. Ona i Rea Ab były wszak przytłoczone zamówieniami, jako że zapotrzebowanie na dobre krawcowe ostatnio się nie kończyło.

Pamiętał też o tym, że choroba płuc ojca mogła uniemożliwić nawet podróż z jednej dzielnicy do drugiej, ale Eln Se się zgodziła i Koro Ha stał teraz w bramie i czekał, rozesławszy już uczniów do domów. Żołądek miał ściśnięty z nerwów.

Prawie podskoczył, gdy ktoś uderzył ciężką kołatką w deski bramy. Strażnik zerknął na niego i uniósł zasuwę, a moment później wprowadził do środka Eln Se, Reę Ab i, ku zaskoczeniu Koro Ha, Yana Hrę.

– Witajcie! – zawołał Koro Ha i uściśnął dłoń siostry, a potem siostrzenicy. Obie rozglądały się dookoła szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w wysokie okna i osłonięte jedwabnymi zasłonami obrazy przy wejściu do ogrodu. – Tak się cieszę, że mogliście przyjść.

Yan Hra zareagował jedynie ponurym spojrzeniem. Postawny kamieniarz poruszył ramionami, widocznymi spod nieskazitelnie białej tuniki, na której żółtą nicią wyszyto chmury oraz kilka wzorów miejscowego zdobnictwa. Koro Ha domyślał się, że po raz ostatni założył ten strój na ślub.

Eln Se uśmiechnęła się do niego, zerknąwszy ukradkowo na męża.

– Zaproszenie od ciebie było miłą niespodzianką, bracie. Ojciec nie był w stanie do nas dołączyć, niestety. Dokuczają mu płuca.

– Oczywiście – powiedział Koro Ha. – Może kiedy indziej.

– Wątpliwe – mruknął Yan Hra. – Staruszek nie jest zainteresowany gapieniem się na zrabowane bogactwo własnej ojczyzny.

Koro Ha nabrał głęboko tchu. Każda odpowiedź na te słowa rzuciłaby ponury cień na resztę wizyty, ale na szczęście Rea Ab wybawiła go z niezręcznej sytuacji.

– Chodź, tato – powiedziała radośnie, ujmując ojca za łokieć. – Jestem pewna, że to zrabowane bogactwo będzie pięknie wyglądać.

Yan Hra burknął niechętnie, ale dał się poprowadzić córce przez ogród.

– Cóż, nie kryje swoich uczuć – powiedział cicho Koro Ha.

– Tak czy owak, dałby do zrozumienia, co o tym myśli. – Eln Se ujęła go pod ramię. – Przynajmniej teraz jego opinia opiera się na czymś konkretnym i nie powtarza narzekań usłyszanych w tawernie. A teraz, bracie, pokaż mi swój nowy dom i opowiedz, jak ta twoja szkoła działa.

Koro Ha wziął ją za rękę i podążył za siostrzenicą i szwagrem.

– Po prawdzie to lepiej, niż sądzisz. Teraz Orna Sin bierze piątkę najbystrzejszych na kilka godzin dwa razy w tygodniu i mam czas dopilnować, żeby nikt się nie opuszczał w nauce.

Oczywiście problemy się pojawiają. Wedle konwencjonalnych metod powinienem prowadzić z dziećmi indywidualne dialogi, co jest niemożliwe przy piętnastu czy dwudziestu uczniach.

– Pewnie gadają wszystkie naraz lub żadne z nich.

– Głównie to pierwsze. – Koro Ha uśmiechnął się. – Najczęściej odzywają się ci najbystrzejsi i pewnie ucieszysz się na wieść, że najbardziej aktywna jest dziewczyna, Tul Elna. Reszta siedzi cicho. Chcę myśleć, że słuchają, ale większość wydaje się bardziej zaintrygowana słomą na podłodze niż rozmową. Próbowałem nakłonić dzieci do rozmów w grupach po troje lub czworo, a samemu chodzić między nimi, słuchać i interweniować, gdy usłyszę nieporozumienie, ale... – Wzruszył ramionami. – Te dzieciaki potrzebują mocniejszego wprowadzenia w doktrynę, zanim pozwolę im na większą niezależność w myśleniu. Być może spędzamy zbyt wiele czasu na ćwiczeniu pisania, ale przynajmniej każde może pracować we własnym tempie. Boję się tylko, że wykształcę garść zdolnych skrybów i ani jednego kandydata z szansą na sukces.

Weszli do właściwego ogrodu, gdzie Rea Ab wielkimi oczami wpatrywała się w mały raj, który Orna Sin zbudował dla siebie.

– Wujku, toż to wspaniałe! – zawołała, a potem z ekscytacją wskazała gałąź drzewa nad pobliskim stawem. – Tato, spójrz. Śnieżne czaple!

– Pewnie kupione od cesarskiego łowczego – burknął Yan Hra. – Dziadek opowiadał, że kiedyś widywał ich całe stada, gdy spławiał marmur do Ans Alrua czy Sama Ta. Teraz trudno jej uświadczyć.

Rea Ab zmarszczyła czoło, ale zamiast zaangażować się w kłótnię z ojcem, pociągnęła go ścieżką w kierunku pawilonu kontemplacji.

– Pięknie tu – powiedziała Eln Se, ściskając dłoń Koro Ha. – Cieszę się twoim szczęściem, bracie. Cieszę się, że możesz mieszkać i pracować w takim miejscu.

Koro Ha ukłuło po tych słowach poczucie winy.

– Orna Sin w istocie dorobił się majątku, ale nie trzyma go dla siebie, jak utrzymuje twój mąż. Moja zapłata to jego inwestycja w lepszą przyszłość Toa Alon.

Eln Se milczała przez chwilę i uśmiechała się łagodnie, gdy szli brzegiem stawu. Karp wyskoczył, by pochłonąć nartnika kręcącego się wśród lilii. Rozległ się plusk, a potem pisk zachwyconej Rei Ab.

– Jestem pewna, że chodzi o lepszą przyszłość dla niektórych ludzi w Toa Alon – powiedziała w końcu Eln Se. – Nie każdy może mieszkać w takim ogrodzie.

Ukłucie winy zmieniło się w ból.

– Czy wszyscy mieszkaliśmy w pałacach i ogrodach przed nadejściem Sieneńczyków?

– Pamiętasz historie, które opowiadała nam matka? – ciągnęła Eln Se, jak gdyby Koro Ha nie powiedział ani słowa. – O Sor Cala, zanim zostało zniszczone? Tam były pałace, ale zbudowane dla bogów o kamiennych twarzach i otwarte dla wszystkich. Były tam ogrody, ale nie ukryte za murami. Było w nich mnóstwo jedzenia, które powstawało dzięki magii mówców kamieni. Nie byliśmy potężnym narodem, ale nikt nie głodował i każdy miał dach nad głową. Czy to taką przyszłość Orna Sin chce zbudować? Czy po prostu założył sobie, że kilka nowych posiadłości na zboczach zostanie kupionych przez kupców i sędziów naszej krwi?

– To stare opowieści, biorące się z nostalgii, a pochodzące z czasów przed narodzeniem matki – wytknął Koro Ha. – Jestem pewien, że w Toa Alon było lepiej przed nadejściem imperium, ale nigdzie nie ma idylli, siostró. Co do odpowiedzi na twoje pytanie, wiedz, że Orna Sin dopilnował, żeby pięcioro najzdolniejszych uczniów spędzało kilka godzin tygodniowo na studiowaniu kultury Toa Alon. Ma nadzieję, że Toa Alon kiedyś będzie rządzona przez tych, którzy rozumieją tę krainę

i pamiętają, czym kiedyś była, nawet jeśli muszą rządzić w imieniu imperium.

Eln Se westchnęła.

– A więc chyba muszę życzyć mu szczęścia. – Dźgnęła Koro Ha łokciem. – A teraz opowiedz mi coś więcej o tym ogrodzie, bracie. Gdzie lubisz siadać i palić tę swoją fajkę?

W jej słowach nadal pobrzmiwały resztki wyrzutów, ale mimo to Koro Ha rozpoczął bardziej beztroską rozmowę. Wnet dotarli do pawilonu, gdzie Rea Ab i Yan Hra opierali się o balustradę.

– Ile tu spokoju – powiedziała Rea Ab, patrząc na brodzące w wodzie czaple i zmarszczki, które na tafli zostawiał wiatr.

Nie po raz pierwszy Koro Ha poczuł żal, że nie założył szkoły w Toa Alon wcześniej, gdy Rea Ab była w odpowiednim wieku do podjęcia nauki.

Taka mądra z niej dziewczyna, zadumał się. Jakie rymy by ułożyła, żeby oddać piękno tego miejsca?

Eln Se stanęła obok córki, a Koro Ha zatrzymał się za nimi. Czuł się trochę niezręcznie, ale przynajmniej cieszył się, że Rea Ab się podobało.

W myślach powrócił do tego, co wiedział o historii Toa Alon. Jego wiedza była chaotyczna i pełna luk, niczym esej pisany bez zaangażowania. Jego umysł zamiast nauk mówców kamienia i tajemnic bogów o kamiennych twarzach wypełniały całe tomy sieneńskiej filozofii oraz doktryny. Pamiętał jedynie kilka historii opowiadanych przez matkę i ojca. Pamiętał również tragedię, która na zawsze odcisnęła się na geografii miasta – pamiętał pokojowy, choć daremny opór mówców kamienia, broniących przed imperium sekretu kultuwacji, opór, który mimo wszystko doprowadził do zagłady.

Matka zaprowadziła go w góry dwa razy, by pamiętał swoje dziedzictwo. Za każdym razem odwiedzali stare jaskinie, gdzie ze ścian spoglądały wykute w nich twarze, spowite w całuny

światła z pochodni. Klęczeli, palili kadzidło, a matka zmówiła modlitwę, choć nie zapamiętał z niej ani słowa.

Pragnienie Eln Se było niemożliwe do zrealizowania. Nie można było odbudować wolnego Toa Alon. Nie było już nikogo – może poza samym cesarzem – kto żył w czasach niepodległości i naprawdę wiedział, jak kraj powinien wyglądać. Imperium odebrało mu zbyt wiele. Pogrzebało wielkie miasto pod ciężarem góry, ale jednocześnie wieloma warstwami żalu przysypało wszystko, co mieszkańcy wiedzieli o sobie, a na koniec wzniosło na nim własną kulturę, przepojoną doktryną.

Było już zbyt późno, by odbudować to, co uległo zagładzie. Przegnanie imperium znad grobu Toa Alon wymagałoby długiej, krwawej kampanii, a mieszkańcy nigdy nie słynęli z wojowniczości. Ich jedyną nadzieją był Orna Sin. To on dawał szansę na zasianie w imperium resztek Toa Alon.

– Może myliłem się co do tego człowieka – powiedział cicho Yan Hra, wyrywając Koro Ha z zadumy.

Kamieniarz musnął twardymi, zrogowaciałymi palcami element dekoracyjny na jednej z kolumn.

– Mówiłem ci – odezwał się Koro Ha. – Działamy tu tylko dla dobra naszych ludzi.

Yan Hra zacisnął pięści i oparł je o balustradę.

– Chyba rzeczywiście tak mówiłeś. Tak przynajmniej będę myślał. – Ruchem podbródka wskazał staw oraz czaple, które pochłonęły uwagę jego córki. – Choć to... To akurat marnotrawstwo.

Nie zdążył jednak rozwinąć tematu, a Koro Ha nie udało się zaprotestować, bo do pawilonu wpadł zdyszany sługa.

– Dla was, mistrzu Koro Ha – powiedział, a potem pochylił głowę i wręczył nauczycielowi futerał na zwój z imperialnym tetragramem.

Koro Ha zerwał pieczęć i rozwinął ciężki papier, na którym przeczytał:

Czcigodny nauczyciel Koro Ha ma się niniejszym bezzwłocznie stawić na audiencję u Jego Ekscelencji Tana Żerującego Jelenia, sędziego dzielnicy.

Jedynie kilka słów czystej, urzędowej kaligrafii.

– Co to takiego, bracie? – Eln Se wpatrywała się w jego twarz.

Koro Ha zwinął w pośpiechu szeleszczący papier. Uśmiechnął się. Nie chciał, by dostrzegła wir zmartwień w jego oczach.

– Nic, czym ty musiałabyś się przejmować, ale niestety, muszę przerwać naszą wizytę. – Skinął na sługę. – Sen, czy mógłbyś oprowadzić gości za mnie? Obawiam się, że to nie może poczekać.

Sługa uprzejmie pokiwał głową, ale Eln Se się sprzeciwiła.

– Nic takiego się nie dzieje – powiedziała. – Możemy wrócić kiedy indziej.

Ścisnęła jego dłoń. Rea Ab zrobiła to samo, choć z rozczarowaną miną. Yan Hra zawahał się, wpatrując się w złamaną pieczęć z tetragramem, ale skinął głową i ruszył w ślad za żoną i córką ku bramie.

Gdy znaleźli się już daleko, Koro Ha opadł na ławkę i uważnie przestudiował wezwanie raz jeszcze, ale nie znalazł w nim nic nowego, żadnej wskazówki, która zdradzałaby charakter owego wezwania.

Przyczepiła się do niego myśl, że sędzia skądś dowiedział się o lekcjach dla dzieciaków z Toa Alon. Czy zrobił cokolwiek innego, by przyciągnąć jego uwagę? Ale jeśli chodziło tylko o szkołę, wezwanie przysłoby przecież natychmiast po jej założeniu.

Oczywiście, jeśli sędzia miał jakieś pojęcie o bardziej nielegalnych działaniach Orny Sina, mógł chcieć, by Koro Ha

zaczął dla niego szpiegować. Przecież patrol, który dokonał inspekcji na pokładzie Chyżości Południowego Wiatru, na pewno zauważył jego obecność. Dzięki niech będą bóstwom o kamiennych twarzach i mądrości mędrców, że funkcjonariusze nie interesowali się okutą miedzianą skrzynią, łodzią z pływakiem czy przemycanymi beczkami. Jeśli sędzia zacznie drążyć, Koro Ha będzie mógł powiedzieć jedynie o odległej wyspie i dziwnym spotkaniu na otwartym morzu.

Czy Orna Sin wiedział o wezwaniu? Jeśli nie, plotka zapewne prędzej czy później dotrze do jego uszu, choć lepiej by było, aby Koro Ha poinformował Ornę Sina osobiście.

Zastał kupca w biurze, pochylonego nad zakurzoną księgą. Koro Ha pokazał mu zaproszenie i wyjaśnił, ścierając pot z dłoni, że nie miał pojęcia, czego sędzia może chcieć.

– Jesteś sławnym człowiekiem, Koro Ha – odparł kupiec z krzywym uśmiechem. – Może chce cię zwabić do siebie?

Cóż mógł teraz począć? Wysilek związany z prowadzeniem szkoły sprawił, że Koro Ha całkiem zapomniał o swoich złych przeczuciach. Teraz myślał tylko o ważnych kwestiach, które powinien był zawczasu zbadać. Na przykład o tym, czym naprawdę zajmował się Orna Sin, i o karze, która spadnie na Koro Ha, gdy sędzia uzna, że są partnerami.

– Pewnie masz rację – rzekł, dusząc w sobie lęk.

Kupiec uśmiechnął się szerzej i klepnął go w ramię.

– Zapewne mnie nie porzucisz, ale jeśli propozycja sędziego okaże się zbyt hojna, daj mi znać, żebym skądś wygrzebał jeszcze kilka taeli dla ciebie.



Koro Ha wysiadł z palankinu przed bramą do posiadłości sędziego, a stamtąd zarządca zaprowadził go krętą ścieżką do sali przyjęć. Dygotał z niepokoju. Otwarto drzwi, z których wyszedł inny zarządca. Skinął na niego, a sam poszedł przodem, by oznajmić przybycie gościa.

Sala była oszałamiająco podobna do tej, którą Koro Ha widział w ogrodzie sędziego Bo. Zobaczył kolumny, na których wyrzeźbiono lwie smoki, i wzór liścia na oknach. Przebył setki mil, by dotrzeć do takiego samego miejsca, jakie opuścił.

Sędzia Tan wstał z fotela na podwyższeniu i zszedł, by powitać Koro Ha. Był mężczyzną wysokim i szczupłym, czym różnił się od barczystego sędziego Bo.

– Mistrzu Koro Ha – rzekł i ukłonił się lekko niczym papierowa lalka kołysana podmuchami wiatru.

Koro Ha w odpowiedzi ukłonił się trzykroć niżej.

– Otrzymanie twojego zaproszenia, sędzio, to prawdziwy zaszczyt – rzekł.

Uśmiech sędziego Tana był powściągliwy.

– Nie wątpię. Czy mogę ci zaproponować filiżankę herbaty?

– Oczywiście, Ekscelencjo.

Sędzia Tan wyprowadził go przez boczne drzwi sali przyjęć na ścieżkę ułożoną z marmurowych płytek, otaczającą płytki staw. Dotarli nią do pawilonu w czerwieni. Na ławce pod szerokim okapem siedział jakiś człowiek w zwykłych szatach, zwrócony do nich plecami. Czekał tam już na nich stół z parującym imbrykiem i trzema filiżankami z białej porcelany.

Siedząca postać uniosła głowę, słysząc ich nadejście. Na jej czole, tuż pod linią siwiejących włosów, znajdowały się srebrne znaki.

Koro Ha zwolnił.

– Mistrzu Koro Ha! – Głos i jednocześnie gubernator Kwitnący Wiąz, zarządzający prowincją Toa Alon, pochylił

głowę, uśmiechnął się i wskazał ławkę naprzeciwko siebie. – Proszę. Herbata zapewne już dochodzi.

Sędzia Tan również usiadł. Koro Ha zawahał się. Czy powinien się uklonić? Czy miał prawo się odezwać? Kanon i wszelkie zasady zachowania nie przygotowały go na tę chwilę.

– Dziękuję ci, Eminencjo – wykrztusił i złożył ukłon, a potem usiadł powoli i dokładnie, nie wykonując żadnego zbędnego ruchu. Być może przesadzał, ale, na niezmiennie imię cesarza, miał zamiar stawić czoła swojej przyszłości z godnością.

Sędzia Tan nappełnił filiżanki. Sędzia służył nauczycielowi! Przez krótką chwilę Koro Ha sądził, że Orna Sin może jednak ma rację i ci ludzie naprawdę chcą go kupić. Głos Kwitnący Wiąz upił łyk, a potem zaczekał, aż Koro Ha zrobi to samo. Herbata miała ostry zapach mięty i w innych okolicznościach wywarłaby na niego kojący wpływ.

– Wyczuwam w tobie napięcie – powiedział Głos Kwitnący Wiąz.

Koro Ha prawie zakrztusił się łykiem herbaty.

– Wiele lat temu studiowałem dla żartu medycynę i trudno jest ukryć przede mną takie rzeczy – ciągnął Głos Kwitnący Wiąz, jak gdyby Koro Ha wcale nie zareagował. – Chcę cię zapewnić, że w tej konkretnej chwili nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo.

Od czasu swego egzaminu Koro Ha nigdy nie przestudiował zdania równie uważnie.

– Chcesz przemówić – rzekł Głos Kwitnący Wiąz. – Widzę to na twojej twarzy. Śmiało.

– Wasza Eminencjo – zaczął Koro Ha – wasze słowa zabrzmiały, jakby niebezpieczeństwo groziło mi wcześniej lub miało się niebawem pojawić.

– Wszystko jest możliwe – stwierdził sędzia Tan. – Ale nikt cię nie skrzywdzi w obecności Głosu w środku imperialnej cytadeli.

Koro Ha powątpiewał w te słowa. Dorastał w czasach, gdy ulice Sor Cala często spływały krwią. Sieneńscy żołnierze patrolowali ulice, szukając podżegaczy, a jeden ze szkolnych kolegów Koro Ha, nie mógł sobie przypomnieć jego imienia, stracił brata podczas jednej z takich potyczek, po czym jego rodzina uciekła z Sor Cala. Plotka głosiła, że należał do jakiegoś kultu i nadal czcił bogów wykutych w kamieniu.

Jakiś czas później Koro Ha odmówił, gdy matka chciała go zabrać na pielgrzymkę do jaskiń. Miał zaledwie dziesięć lat, ale już w pełni zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie pociągało za sobą trzymanie się dawnych zwyczajów.

– Chcesz jeszcze coś powiedzieć? – Głos Kwitnący Wiąz sięgnął po imbryk, a potem napełnił wszystkie filiżanki. – Co cię dręczy, Koro Ha? Mów otwarcie. Darzymy się tu zaufaniem.

– A skąd bierze się owo zaufanie? – zapytał Koro Ha. – Poczulbym się pewniej, wiedząc, dlaczego zostałem wezwany.

– Czy wiesz o ostatnich wydarzeniach w mieście An-Zabat? – spytał sędzia Tan.

Koro Ha znał An-Zabat jedynie z map i zapamiętał je jako plamkę cywilizacji w środku rozległego Pustkowiec Batir. Było to miasto handlowe, swoisty pomost między imperium i odległymi ziemiami na zachodzie, otoczone wielką oazą, którą Zabatyńczycy uważali za cudowny twór ich bogini. Nauczyciel nie miał żadnego związku z tym miastem.

Poczuł, jak rozlewa się w nim ulga, rozluźniająca jego mięśnie i spowalniająca szybki puls. Mimo wszystko zachował czujność, bo spotkanie stało się dla niego jeszcze dziwniejsze.

– Jestem jedynie prostym nauczycielem – powiedział Koro Ha. – Nie wiem, co się dzieje na odległych krańcach imperium.

– Oczywiście. – Głos Kwitnący Wiąz przechylił głowę. Tetragram na jego czole zamigotał w słońcu. – Jednak my mamy taką wiedzę. Wiemy, co się dzieje na każdym krańcu.

– A w An-Zabat doszło do powstania – powiedział sędzia Tan.
– Szybko je stłumiono, ale buntownicy zdołali zniszczyć oazę, która zapewniała miastu wodę.

– Setki ludzi zginęło podczas zamieszek – podjął Głos Kwitnący Wiąz. – A tysiące zostało zmuszonych do ucieczki do właściwego imperium. Nie wiemy dokładnie, ilu ludzi zginęło z głodu czy pragnienia podczas długiej wędrówki w upale pustyni. Wielu z nich było niewinnymi cywilami, zarówno Sieneńczykami, jak i Zabatańczykami.

– To okropne wieści – powiedział Koro Ha.

Czy oni podejrzewali go o rewolucyjne sympatie? A może jednak chodziło im o tajne lekcje Orny Sina? Albo o jego nielegalne interesy... Koro Ha zakładał, że kupiec przemycy narkotyki lub kradzione kosztowności, a przecież powstanie trzeba jakoś finansować, prawda?

– Niemniej nadal nie rozumiem, dlaczego chcecie się podzielić tymi wiadomościami ze mną – rzekł.

– Powstanie zostało rozpętane przez twojego byłego ucznia, Wena Olchę – rzekł sędzia Tan.

W głowie Koro Ha panował sztorm od chwili, gdy otrzymał wezwanie, ale teraz wzniosła się w nim gigantyczna fala, która pociągnęła go za sobą w głębiny.

– Wiemy to od Głosu, który zarządza prowincją – ciągnął Kwitnący Wiąz. – Olcha nawet próbował zamordować jednego z Dłoni.

– Ja... ja... – Koro Ha nie mógł się wysłowić. – Czy ja dobrze słyszę, Wasza Eminencjo?

– Wygląda na to, że w dzieciństwie Wen Olcha znalazł się pod wpływem nayeńskiej wiedzy – ciągnął sędzia Tan, nalewając herbaty, zupełnie jakby podczas tej rozmowy nie padły słowa, które wstrząsnęły światem. – Od początku był agentem dążącym do powstania.

– Ty również wywarłeś znaczący wpływ na jego dzieciństwo.
– Głos Kwitnący Wiąz przyglądał się obliczu Koro Ha niczym nauczyciel oceniający charakter pisma ucznia. – Możliwe, że największy. Sukces na egzaminie pchnął Olchę do An-Zabat.

– Mówicie, jakby cała jego nauka służyła temu, żeby rozpętał to powstanie na zachodzie. – Koro Ha usiłował narzucić spokój myślom. – Przecież to było jedynie dziecko!

– Któż może powiedzieć, kiedy myśli o powstaniu wpadły mu do głowy? – rzekł Głos Kwitnący Wiąz.

Przed oczami Koro Ha stanęło wspomnienie babki Olchy. Wciąż pamiętał jej pobrużdżoną twarz naznaczoną niedostatkiem i zmrużone, kryjące głębię oczy, jak u Orny Sina. Próbował zapanować nad emocjami. Bezruch. Skupienie. Przecież o niczym nie wiedział. O tym nie mógł zapominać.

– Ekscelencjo, Eminencjo – zwrócił się do obu mężczyzn, patrząc każdemu w oczy – szczerze przyznam, że jestem zdumiony. Podczas nauki Olcha okazywał przez cały czas wnikliwe rozumienie imperialnego kanonu i znakomicie opanował doktrynę. Jestem wstrząśnięty słowami o jego zdradzie i wstyd mi, że nie zauważyłem tej słabości w jego charakterze. Nikt nie zwrócił na to uwagi, ani nauczyciele na egzaminie, ani też sam Głos Przewodnik.

– W rzeczy samej – stwierdził sędzia Tan. – Zupełnie jakby chciał nauką zamaskować zgniliznę, która toczyła jego serce.

Głos Kwitnący Wiąz pochylił się, a jego tetragram błysnął w świetle przenikającym przez ażurowe ściany pawilonu.

– Nie musisz się bronić, Koro Ha. Wymieniamy się jedynie informacjami i dzielimy się żalem, że tak obiecujący sługa imperium upadł tak nisko. To tragedia.

– Oczywiście, Wasza Eminencjo – powiedział Koro Ha. – Dziękuję ci za to, że...

– Ta tragedia skłoniła imperium do przebudowania niektórych priorytetów – mówił sędzia Tan. – Rozumiemy, że

uczysz dzieci w Sor Cala?

Aha, pomyślał Koro Ha. I doczekałem się.

Miał wrażenie, że płuca wypełniła mu woda. Gospodarze czekali tymczasem na jego odpowiedź.

– To prawda – przyznał.

– A więc powinieneś wiedzieć, że wprowadzono osobne egzaminy – ciągnął sędzia Tan. – Będziemy teraz mieli egzaminy dla dzieci sieneńskiego pochodzenia i dla dzieci z rozwijających się prowincji, takich jak ta.

– Będzie na nich obowiązywał ten sam materiał – dodał Głos Kwitnący Wiąz. – Ale standardy będą znacznie wyższe. W miarę rozwoju imperium ważne jest, żeby większość ministrów pozostała Sieneńczykami. Jesteśmy wszak starszymi braćmi ludów z prowincji, czyż nie? Czyż nie odpowiadamy za prowadzenie młodszego rodzeństwa w zgodzie z wolą cesarza?

– Oczywiście – odparł Koro Ha.

Woda, którą czuł w płucach, stała się lodowata i zsyłała na niego odrętwienie, w miarę jak słowa Głosu docierały do jego umysłu.

Jeszcze chwilę temu uważał, że pięcioro jego uczniów miało szansę na prawdziwy sukces. Mogli zostać sędziami, a nawet Dłońmi. Może kolejna piątka również zdołałaby zrobić urzędnicze kariery, a pozostała siódemka, gdyby naprawdę się przyłożyła i zdała egzaminy, mogłaby podjąć pracę nauczycieli.

Ale teraz... Nie mógł sobie wyobrazić, co oznaczają owe wyższe standardy. Jeśli ich celem było wyeliminowanie ludzi takich jak Wen Olcha, jakie szanse miało którekolwiek z jego dzieci?

– Cieszę się, że rozumiesz – rzekł Głos Kwitnący Wiąz.

Pochylił się i zamrugał, a Koro Ha uświadomił sobie, że Głos zrobił to po raz pierwszy od początku rozmowy.

– Jestem też przekonany, że rozumiesz, że musisz położyć kres uczeniu dziewcząt. To doprawdy osobliwy pomysł.

Zdajemy sobie sprawę z pewnych... cóż, różnic kulturowych... które mogły skłonić twój pracodawcę do otwarcia szkoły dla dziewcząt. To on dobierał uczniów, przez co nie ty ponosisz winę za otwarte złamanie zasad przyzwoitości, ale nie możemy pozwolić na to, żeby młode umysły przyszłych kandydatów zatruto podobnymi wymysłami. Dziewczynki muszą zostać natychmiast wydalone.

Koro Ha poczuł rumieniec na twarzy. W obliczu dwóch przedstawicieli władzy nie mógł sobie pozwolić na oburzenie, ale nie potrafił go opanować, nie tylko z powodu Tul Elny, trzykrotnie mądrzejszej od chłopców w jej wieku, ale i z powodu wszystkich młodych ludzi takich jak Rea Ab (jak jego własna siostra!), których przyszłość właśnie została zablokowana przez imperialną doktrynę. Mimo to zacisnął zęby i zdusił w sobie emocje, a potem się uklonił.

– Oczywiście, Wasza Eminencjo.

– Rozumiemy więc, że nie będziesz sprzeciwiał się temu, żeby jeden z moich skrybów uczestniczył w twoich lekcjach – dodał sędzia Tan.

W głowie Koro Ha pojawiły się dziesiątki argumentów przeciwko temu pomysłowi. Dzieci, którym i tak trudno się było skupić, na pewno nie ignorowałyby nieoczekiwanej obecności milczącego obserwatora. Ba, jemu samemu byłoby trudno się skupić, bo cały czas roztrząsałby, czy w trakcie nauki nie odbiega przypadkiem od założeń.

No i co powie ów skryba, gdy pięcioro z jego uczniów będzie znikać z Orną Sinem raz w tygodniu?

Nie, Koro Ha miał wiele powodów, by zaprotestować przeciwko sugestii sędziego Tana, ale czy mógłby powiedzieć cokolwiek i nie ściągnąć na siebie podejrzeń? Nie mógłby nic poradzić, gdyby sędzia z Głosem postanowili go uwięzić lub zabić za sprzeciwianie się cesarskiemu rozkazowi.

– Nie wydaje się to konieczne, Ekscelencjo – rzekł Koro Ha i ukłonił się. – Ale jeśli tak uznasz, kim ja jestem, żeby się sprzeciwić?

– Bardzo dobrze. – Sędzia Tan wstał z za stołu. – Mój zarządca wyprowadzi cię z ogrodu, mistrzu Koro Ha. Dziękuję ci za wizytę i przykro nam, że przynosimy złe wieści.

Koro Ha również mu podziękował, wygłosił komplement pod adresem herbaty i w oszołomieniu opuścił pałac sędziego. W myślach przyglądał się bez końca lekcjom zaplanowanym na przyszły tydzień i zastanawiał się, który element doktryny wzmocnić i jakie pytanie mogłoby zaalarmować skrybę. Potem jego myśli powróciły do Wena Olchy stojącego na podwyższeniu obok Głosu Złotej Zięby i przyjmującego imperialne nadanie oraz tetragram.

Zastanawiał się, czy owego dnia w sercu chłopca kiełkowało już ziarno powstania, zasianie zadaniem ze złością pytaniem czy tematem, który budził w nim sprzeczności. Być może owo ziarno wypuszczało już korzenie, by z czasem zniszczyć to, co stanowiło największy sukces Koro Ha.

Koro Ha

Będzie to teraz mało komfortowe, zgadza się – rzekł Orna Sin. – Ale to nie katastrofa.

Koro Ha wpatrywał się w niego, zastanawiając się, czy to możliwe, by kupiec nie pojął powagi sytuacji. Orna Sin machał nogami zanurzonymi w ogrodowym stawie i palił fajkę, a Koro Ha rozsiadł się na krześle. Trzymał w dłoni nabitą fajkę, ale całkiem o niej zapomniał.

– Ja nie mogę uczyć w takich warunkach – powiedział. – Dzieciaki już mają trudności ze skupieniem się. Ba, ja sam nie mogę się skupić! A przecież trzeba przerwać urządzenie specjalnych lekcji dla Lona Sa, Quona Lo i innych...

– Nie. – Orna Sin wystukał fajkę. – Tego nie zrobimy.

– A więc obaj trafimy do więzienia za zdradę, o ile po prostu nie zostaniemy straceni. – Koro Ha uniósł dłonie. – A te dzieci i ich rodzice wraz z nami. Od początku towarzyszyło nam ryzyko, ale po tym, co zrobił Olcha... – Potrząsnął głową. – Musisz odzyskać zdrowy rozsądek, Orna Sin.

– Jesteś przerażony – powiedział kupiec. – I twoimi myślami kieruje strach, a nie rozsądek. To, czym się zajmujemy, jest odstępstwem od tradycyjnych sieneńskich metod, a więc budzi podejrzenia. Wiedziałem, że będą chcieli uważniej nam się

przyjrzeć. Nastąpiło to po prostu szybciej, niż się spodziewaliśmy.

– Pozwolisz więc, żeby wysłany przez sędziego skryba nadzorował twoje lekcje mitów i tradycji kamieniarskich Toa Alon? – spytał Koro Ha. – Gdzie tu ostrożność?

– Te lekcje od dziś będą się odbywać wieczorami i nie będziemy o nich informować sędziego i jego ludzi.

Orna Sin wsunął fajkę do rękawa i wstał, a potem ruszył ku przeciwnej stronie ogrodu. Koro Ha patrzył w ślad za nim, całkiem oszołomiony.

– Czy cała piątka będzie do nas dołączać każdego dnia po lekcjach, znudzona i rozwydrzona, podczas gdy ja będę wałkował trudniejsze rzeczy z ich mniej bystrymi kolegami?

– Tak! – odkrzyknął Orna Sin. – Choć założę się, że w obecności obcego dorosłego będą o wiele grzeczniejsi.

Koro Ha dźwignął się na nogi.

– Albo uznają za stosowne podzielić się z tym obcym fascynującymi rzeczami, których uczą się na tajnych, wieczornych lekcjach.

– To są bystre dzieci, Koro Ha.

– Uczę dzieci przez całe życie – parsknął Koro Ha, doganiając Ornę Sina. – Tak, są bystre i zdolne, ale nawet jeśli wpoimy im potrzebę zachowania tajemnicy, nie mamy żadnej pewności, że się do tego zastosują.

Ani też, pomyślałem ponuro, czując posmak gniewu skierowanego ku Wenowi Olsze, nie można mieć pewności, że nie zdradzą twojego zaufania i nie ściągną ci podejrzeń na głowę.

– Twoi uczniowie jak dotąd zawsze byli Sieneńczykami. – Orna Sin skręcił na wyłożoną kamiennymi płytkami ścieżkę, prowadzącą do niewielkiego zagajnika tekowych drzew. Koro Ha od dawna zakładał, że ów gaj jest symbolem wysiłków Orny

Sina, by zachować tożsamość Toa Alon, choć zdołał się zaaklimatyzować do życia w obrębie imperium.

– Większość z nich – przyznał Koro Ha.

– Byli też bogaci – ciągnął Orna Sin, rozgarniając liście dłonią. Niewielką mosiężną laseczkę z hakiem oparł o drzewo. – Uczyłeś uprzywilejowane dzieci, które nigdy wcześniej nie bały się prawdziwego niebezpieczeństwa. Uczniowie z naszej szkoły dorosli w cieniu góry, którą cesarz zesłał na Sor Cala. Ojciec Quona Lo dorobił się już niewielkiego majątku, ale przez wiele lat sam nie dojadał, żeby jego dzieci miały co jeść. Jego syn to pamięta. Inni są w tej samej sytuacji. Jeśli powiemy, że sieneńscy słudzy stanowią zagrożenie, i uświadomimy, że należy dotrzymać tajemnicy, dotrzymają jej.

– Ale nadal istnieje ryzyko! – Koro Ha potrząsnął głową. – I nie rozumiem twojej gotowości, żeby się na nie zgodzić. Kamieniarstwo i stare opowieści... Czy warto jest uczyć takich rzeczy i ryzykować przy tym życie? A co jeszcze Sieneńczycy odkryją, gdy nabiorą większych podejrzeń i przyjdą splądrować ten ogród?

Orna Sin uniósł laskę i uśmiechnął się przenikliwie. Koro Ha poczuł chłód na plecach. Frustracja i strach sprawiły, że mówił bez ogródek o rzeczach, które należało w ogóle pominąć milczeniem. Kupiec przyprowadził go do pnia najwyższego drzewa od drugiej strony, a potem klęknął i rozsunał szerokie, woskowate liście, a potem nieco ziemi. Odsłonił osobliwy kwadratowy kamień szerokości klatki piersiowej dorosłego mężczyzny.

– Proszę bardzo – wymamrotał Orna Sin.

Wsunął hak w szczelinę na powierzchni kamienia, a potem pociągnął, stękając przy tym cicho. Kamień podniósł się na naoliwionych zawiasach, a Koro Ha uzmysłowił sobie, że to zamaskowane drzwi do podziemnej kryjówki. Zawahał się, zastanawiając, czy zaraz pozna tajemnicę, która przywiodła ich

do Czarnej Paszczy. Wiedział, że to niebezpieczna wiedza, której nie chciał. Dźwigał już na swoich barkach świadomość zbyt wielu innych niebezpieczeństw.

– Oto gdzie Lon Sa i inni pobierają lekcje – wyjaśnił Orna Sin.

– W dziurze w ziemi? – powiedział zaskoczony Koro Ha.

Orna Sin parsknął śmiechem.

– Chodź. Mamy kawałek do przejścia.

I jakby to była najbardziej normalna rzecz na świecie, zszedł po drabinie i zniknął w dziurze.

Koro Ha patrzył, jak Orna Sin rozplątał się w ciemności. Nie czuł takiego rozdarcia od chwili, gdy jako mały chłopiec słuchał kłótni rodziców. Matka rugała ojca za ich ubóstwo i wyrzucała mu jego dumę, a Koro Ha słuchał i zastanawiał się, czy rzeczywiście rodzice powinni marnować pieniądze na jego wykształcenie, podczas gdy mógł spędzać czas na noszeniu kamieni czy układaniu cegieł, by móc nakarmić matkę.

– Orna Sin! – syknął Koro Ha w ciemność.

Rozejrzał się po ogrodzie. Pnie drzew zasłaniały ich przed wścibskimi oczami.

Jak często, zastanawiał się, jego słudzy odwiedzali tę dziwną kryjówkę? Kto wiedział o tej dziurze? Czy ktokolwiek z tych ludzi sprzedał tajemnice pana władzom?

Wymruczał przekleństwo pod nosem. Nie miał wyboru, musiał zejść na dół.

Szczeble drabiny zostały wyryte z dbałością o szczegóły, tył każdego z nich zwęzał się, by wygodniej było go uchwycić. Koro Ha wiedział, że ma do czynienia z arcydziełem kamieniarstwa Toa Alon. Skupił spojrzenie na szczebli przed sobą, usiłując wyczuć stopą drogę w dół. Gdy schodził, światło z wjazdu nad głową zaczęło przygasać, a gdy otoczyły go nocne ciemności, rozjaśnił je blask lampy.

– Nieźle, co? – spytał Orna Sin, gdy Koro Ha pokonywał ostatnie szczeble. – Ta drabina to dzieło dwóch starych

kamieniarzy. Zrędlive stare pierdziele. Oni i górnicy z kopalni złota, których zatrudniłem do wykopania tunelu, uznawali każde wbicie kilofa czy każde uderzenie młotka i dłuta za cios w Sieneńczyków.

Koro Ha zszedł z drabiny i potarł obolałe dłonie. Coraz częściej odczuwał skutki starzenia się i mało aktywnego trybu życia. Był wysokim mężczyzną, lecz tunel był o głowę wyższy od niego i ciągnął się prosto jak strzełił. Łagodnie zaoblony dach podtrzymywały kamienne kolumny biegnące środkiem korytarza. Każdą z kolumn wykuto z jednego kawałka skały, a zarówno ich powierzchnię, jak i ściany zdobiły skomplikowane ryty. Nieprawdopodobny nakład pracy, jak na kryjówkę przemytnika.

– Cieszę się, że jakieś moje drobne dokonanie, nawet jeśli mowa jest tylko o jego finansowej stronie, wprowadziło cię w osłupienie – powiedział Orna Sin. – Pewnie się zastanawiasz, dlaczego zawracałem sobie głowę dekoracjami. Cóż, chciałem podnieść rangę tego tunelu i uczcić miejsce, do którego prowadzi.

Dał gościowi znak, by za nim podążył, a sam podniósł wysoko mosiężną latarnię. Jej światło zalewało cały tunel i ukazywało nauczycielowi piękno licznych płaskorzeźb. Koro Ha podążył za kupcem. Jego umysł pracował gorączkowo, a wzrok przesunął się z jednego miejscowego arcydzieła na drugie. Patrzył na dorobek całych pokoleń, ukryty przed okiem innych. Otaczały go złożone, wielowarstwowe symbole z dawnych czasów, niezrozumiałe dla Koro Ha, który znał kulturę Sienu lepiej od własnej. Miał wrażenie, że wszystkie te dzieła, skryte pod stopami imperium, wołają doń jednym głosem. Oznajmiały, że choć stolica Toa Alon została pogrzebana, a kraina upokorzona, jej mieszkańcy wciąż tu byli i nadal mogli tworzyć cuda.

Koro Ha nigdy dotąd nie czuł takiej pokory.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł Orna Sin.

Zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami, za którymi rozciągała się ogromna komora wypełniona stosami gruzu i potłuczonego marmuru. Jedynie ciemność, wilgotny chłód powietrza oraz echo ich kroków mówiły Koro Ha, że nadal przebywają pod ziemią. Orna Sin uniósł latarnię wyżej, by światło musnęło sufit nad ich głowami.

W pierwszej chwili Koro Ha nie był pewien, na co patrzy. Ogromne ściany wykrzywiały się nad nim na podobieństwo gigantycznej misy, spoczywając pod kątem czterdziestu pięciu stopni w stosunku do ziemi. Potem w stercie gruzu wypatrzył przechyloną, pękniętą kolumnę.

Obrócił się powoli. Znajdowali się w jakiejś ogromnej otwartej przestrzeni. Czyżby to była świątynia? A może pałac? Wszędzie, gdzie padało światło, Koro Ha dostrzegał zimny połysk marmuru, złota bądź cennych klejnotów, przyćmiony kamiennym pyłem.

– Koszty wykopów już dawno się zwróciły – rzekł Orna Sin. – Pewnie cię to nie dziwi.

– Wiedziałaś, że to się tu znajduje? – spytał Koro Ha.

– Miałem jedynie nadzieję. – Orna Sin opuścił latarnię i kamienne niebo nad ich głowami znów pogrążyło się w ciemności. – Ale moja nadzieja została wynagrodzona. Nie mam jednak na myśli wyłącznie tunelu do naszej pogrzebanej chwały i garstki skarbów. Chodź za mną.

– Bezpiecznie tu jest? – spytał Koro Ha, gdy mijali coś, co kiedyś było ozdobnym oknem, a teraz, pozbawione szkła, spoczywało pod dziwacznym kątem.

– Nie sprowadziłbym tu uczniów, gdyby było inaczej. – Orna Sin pochylił głowę i przemknął pod oknem, a Koro Ha poszedł w jego ślady.

Rozpoczął się tam kolejny, nieco węższy tunel, gdzie ledwie starczało miejsca dla dwóch ludzi idących obok siebie. Na ścianach pojawiały się dziwne wzory, starsze i miejscami

niewyraźne. Czasami mijali fragmenty rzeźb bądź fasad budynków. Koro Ha uświadomił sobie, że to ruiny pogrzebanego miasta.

– Na ogół lekcje są prowadzone w kopule – wyjaśnił Orna Sin.
– Ale nie powiedziałem nikomu, że nadchodzimy z wizytą.

Przeszli przez drzwi, które prowadziły do innego, krótkiego korytarza, kończącego się na niewielkiej otwartej przestrzeni. Koro Ha uznał, że to wejście do jakiegoś domu, ale nagle zatrzymał się jak wryty, całkiem zaskoczony.

– Zaczekaj! – wykrzyknął do Orny Sina. – Chodź tu z tym światłem. Co to jest?

Orna Sin powrócił, niosąc latarnię. Na twarzy miał szeroki uśmiech. Uniósł latarnię w stronę rzeczy, która wstrząsnęła Koro Ha. Choć nauczyciel był przekonany, że mu się przywidziało, nagle uzmysłowił sobie, że to jednak nieprawda – w kamiennym korycie wypełnionym ziemią znajdował się niewielki ogród warzywny. Liście były blade, niemalże przejrzyste, ale wśród gałęzi widział grube tykwy i pęki strąków.

– Nie ma co ukrywać, że stworzenie ogrodu, który może się rozwijać w ciemnościach, zabrało wiele lat eksperymentów – rzekł Orna Sin. – Ale magia kultywacji może dokonać cudów nawet w takich miejscach.

Magia. Koro Ha wpatrywał się w niego, a jego umysł pracował z oszałamiającą prędkością.

– Masz tu mówcę kamieni – powiedział. – To w ten sposób odsłoniłeś miejsce. Dzięki niemu tyle budynków nadal jest w nietkniętym stanie!

Orna Sin poklepał towarzysza po ramieniu, uśmiechnął się i powrócił do tunelu.

– Jeśli imperium się dowie... – zaczął Koro Ha.

– Imperium od dwudziestu lat nie nabrało żadnych podejrzeń. – Głos Orny Sina niósł się echem w korytarzu. – Ale

teraz będą się nam przyglądać.

Koro Ha przyspieszył kroku, by się z nim zrównać.

– Tym bardziej powinniśmy uważać!

– Masz bystry umysł, Koro Ha. – Orna Sin zatrzymał się i potrząsnął głową. – Zastanawiam się, ile mógłbyś osiągnąć, gdyby nie ograniczał cię strach.

– A teraz mnie obrażasz – mruknął Koro Ha.

– Nie pozwolę, żeby przestraszyli mnie na tyle, żebym porzucił naszą kulturę. – Orna Sin nadal szedł przed siebie.

– Ale możemy zachować ostrożność – upierał się Koro Ha. – Przynajmniej do czasu, gdy minie niebezpieczeństwo.

– Zawsze istnieje jakieś niebezpieczeństwo. – Orna Sin zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami, nowymi i nieuszkodzonymi, przypuszczalnie zrobionymi na wymiar i osadzonymi w odgrzebanej wnęce. Zastukał głośno i uśmiechnął się. – Nie możemy przed nim uciec, ale możemy wybrać, kiedy się z nim zmierzymy.

Odpowiedź Koro Ha została przerwana delikatnym skrzypnięciem drzwi otwierających się do wewnątrz. Wyjrzał zza nich starszy, przygarbiony mężczyzna z grzywą bielutkich włosów otaczających jego głowę jak chmura. Od nasady jego nosa przez usta do końca podbródka biegł błękitny tatuaż.

– Ach, Orna Sin – odezwał się w miejscowej mowie starszy mężczyzna. – Przyprowadziłeś gościa.

– Oto Koro Ha – powiedział Orna Sin. – Nasz nauczyciel. Czas, żebyście się poznali.

Starszy mężczyzna pochylił głowę i wyciągnął sękatą dłoń, której brakowało palca.

– Dzieci sporo o tobie mówiły, ale nie sądzę, żeby wspominały mnie. Jestem Uon Elia, strażnik tych jaskiń.

Koro Ha ujął jego dłoń i uścisnął ją wedle starego zwyczaju Toa Alon, choć jak na sieneńskie zasady przyzwoitości, był to gest zdecydowanie zbyt poufały. Uon Elia uśmiechnął się,

pokazując trzy pozostałe mu zęby, poplamione jeszcze mocniej niż u Orny Sina. Zdradził tym samym, że jego tatuaż na ustach ciągnął się po wewnętrznej stronie warg oraz wzdłuż dziąseł.

– Wejdźcie, wejdźcie. – Uon Elia cofnął się do wnętrza domu i zaprosił ich do środka gestem. – Mam tu maty! Moje stare palce wciąż potrafią dobrze tkąć!

Zachichotał do siebie. Był to ochryply odgłos, noszący ślady wielu lat wdychania pyłu, nic więc dziwnego, że przerodził się w długą serię pokasływań. Dom Uona okazał się kolejną przestrzenią nakrytą kopułą, mniejszą od tej, którą odwiedzili jako pierwszą, choć tu większość kolumn nadal stała prosto i wstrzymywała sklepienie. Latarnie wypełniały miejsce ciepłym światłem. Z sufitu kopuły spoglądała na nich wielka twarz, wyrzeźbiona z niebywałym artyzmem, łagodna i błogo uśmiechnięta.

– Panuje tu spokój – powiedział Uon Elia – bo cały czas patrzę na mnie ich czujne oczy.

Koro Ha miał wrażenie, że jego kolana zaraz się ugną pod ciężarem tego kamiennego spojrzenia. Opuścił Sien i znalazł się w starszym świecie, pogrzebanym przez imperium.

– Jak przetrwałaś czystkę? Jak doszło do tego, że tu zamieszkałaś? Jak długo tu mieszkasz?

– Usiądź tutaj. – Uon Elia wskazał stertę szorstkich mat pod ścianą. Kilka innych wisiało na sznurach rozpiętych między kolumnami, wyznaczając pokoje. Uon Elia zniknął za jedną z nich i powrócił z miedzianym czajnikiem. Wydymał z wysiłku policzki, a jego ramiona drżały.

– Pomogę ci – powiedział Orna Sin.

Uon Elia postawił czajnik, potrząsnął głową i zbył go machnięciem ręki, a potem ruszył – już sztywnym krokiem – z powrotem za matę. W oczekiwaniu na jego powrót Orna Sin i Koro Ha zdjęli maty ze stosu i usiedli, a po chwili powrócił

gospodarz z trzema filiżankami uformowanymi z gładkiego kamienia.

– Trzymam ją na ogniu przez cały dzień – oznajmił Uon Elia i postawił filiżanki na podłodze obok czajnika. Następnie napełnił każdą z nich mlecznym napojem, z którego buchała para. – To herbata z uszaków bżowych! Odprężająca i zdrowa!

Orna Sin ujął filiżankę, a Koro Ha poszedł w jego ślady. Herbata pachniała lekko stęchlizną, ale wyczuł również posmak cytrusa. Smak okazał się zbliżony do zapachu i każdy łyk pozostawiał nieprzyjemny, gorzki posmak, ale Koro Ha nie miał zamiaru narzekać na wytwór geniuszu magicznego graniczącego z cudem, który większość mieszkańców Toa Alon uważała za utracony dar.

Uon Elia stęknął ciężko i usiadł na macie. Strzyknęło mu w kolanach, a więc westchnął, potarł nogi i upił łyk.

– Oczywiście nie smakuje tak samo jak ta ze świeżych liści – powiedział. – Ale miałem sporo trudności, żeby przekonać cokolwiek oprócz pnączy i grzybów, że warto rosnać w ciemnościach.

Jego słowa wywołały kolejne pytanie: jak udało mu się wyhodować cokolwiek w pokruszonym kamieniu w mroku pogrzebanego miasta? Magia kultywacji nie pozwalała przecież na tak wiele. Koro Ha zdusił jednak w sobie ciekawość. Zadał już wystarczająco dużo pytań i musiał też dać staruszkowi czas na odpowiedź.

Uon Elia cmoknął i odstawił filiżankę pełną do połowy.

– Kiedy cesarz wydał wyrok na Sor Cala, uznał, że wystarczy spuścić górę na miasto, żeby pozabijać jego mieszkańców. Cóż, nie wystarczyło.

– Mieszkasz tu od siedemdziesięciu lat? – spytał zaskoczony Koro Ha.

– Magia uzdrawiająca to potężny żywioł, nauczycielu. Mój mistrz, który jest już tylko stertą starych kości, o ile w ogóle

można o nim coś takiego powiedzieć, uczył mnie, gdy sam miał trzysta lat na karku, a umarł jedynie... och... jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści lat temu. Pewności nie mam, bo w ciemnościach czas jest dość ulotny. Przetrwał jednak wystarczająco długo z nami wszystkimi.

– Z wami wszystkimi? – wykrztusił Koro Ha.

– Zniszczenie naszego miasta przetrwało dwudziestu siedmiu mówców kamieni – rzekł Uon Elia. – Ale zostałem tylko ja.

– Jak? – spytał Koro Ha. – Nawet jeśli przetrwałeś zagładę stolicy i potrafiłeś zaleczyć swoje rany, nie miałeś wody ani jedzenia.

– Miasto dysponuje wieloma studniami. – Uon Elia zakręcił herbatą w filiżance. – Łatwo je odnaleźć za pomocą magii wykrywającej. Ciężiej wykopać, ale to jest do zrobienia. Co do jedzenia zaś, przez pierwsze lata było kiepsko, ale mieliśmy magazyny i stragany, a na nich wystarczająco suszonego jedzenia, żeby kilku staruszków napełniło brzuchy i miało siłę do pracy nad ogrodem. Kiepska dieta, ale da się wyżyć. Kiedy twój przyjaciel przebił się tu i nas znalazł, sytuacja znacznie się poprawiła.

– Pozostało ich pięciu – powiedział Orna Sin. – Grupa naszych znalazła ich podczas przekopywania ruin w poszukiwaniu skarbów. Nie sądziliśmy, że natkniemy się na coś o wiele cenniejszego.

Uon Elia udał zażenowanie i machnął dłonią, jakby odganiał muchę.

– Z początku myślałem, że jesteście Sieneńczykami, ale nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego mieliby zadać sobie aż tyle trudu, żeby dokończyć swój nieczny czyn pięćdziesiąt lat później. Widok kogoś pochodzącego z Toa Alon był miłą niespodzianką, choć Orna Sin i jego chłopaki o mało nie padli ze strachu.

– To było spore zaskoczenie – rzekł Orna Sin z szerokim uśmiechem.

– Mogę sobie wyobrazić – wymamrotał Koro Ha.

– Jakiś czas później wpadłem na pomysł, żeby zaczęli kształcić nowych mówców kamieni – ciągnął Orna Sin. – Ale Uon Elia nalegał, żeby jego uczniowie byli dziećmi. Musieli być młodzi, żeby ich umysły objęły wszystkie nowe możliwości, które daje magia.

– Lon Sa... Quon Lo... – Koro Ha zmarszczył brwi. – Czy ich rodzice zgodzili się na to?

– Zgodzili się na lekcje z kultury i tradycji Toa Alon, jak sam wiesz – odpowiedział Orna Sin.

– Naznaczę ich mocą, gdy chłopcy będą mieli dziesięć lat – wyjaśnił Uon Elia. – Byłoby lepiej poczekać jeszcze kilka lat, zważywszy, że mam ich tylko raz w tygodniu, ale Orna Sin boi się, że jeśli będziemy zwlekać za długo, moje stare płuca w końcu eksplodują, zanim dokończymy dzieło.

– Co się wydarzy po naznaczeniu? Przecież Sieneńczycy znają te znaki. Aresztują ich, w chwili gdy jakiś żołnierz na nich spojrzy! – Koro Ha potrząsnął głową. – A ja myślałem, że szkolimy tych chłopców do imperialnych egzaminów!

Orna Sin skrzyżował masywne ramiona.

– Wolisz, żeby ich wspaniałe umysły służyły imperium, a nie własnemu ludowi?

– Oczywiście, że nie! – Koro Ha nadal nie mógł objąć rozumem tego, czego się dzisiaj dowiedział. Ogrom zamysłu kupca oraz towarzyszące mu niebezpieczeństwo obudziły w nim głęboki niepokój. – Co planujesz zrobić później, Orna Sin? Chcesz tu trzymać owych młodych, naznaczonych mówców kamieni i wypuścić w bliżej nieokreślonej przyszłości po upadku imperium?

– Być może – powiedział Orna Sin. – Jeśli tego zechcą. Jeśli będą chcieli wyruszyć na świat, służyć imperium i naprawiać je od środka, również będę zadowolony.

– Ale spójrz na jego twarz! – parsknął Koro Ha, celując palcem w Uona Elię. Czuł się zażenowany i sfrustrowany tym, co robi, ale nie mógł zlekceważyć oczywistej wady w sposobie myślenia Orny Sina. – Umiesz sobie wyobrazić sieneńskiego sędziego ze znakami mówcy kamieni na ustach?

– Na szczęście to jedynie ozdoba. – Uon Elia przejechał palcem wzdłuż linii ciągnącej się od nosa po podbródek. Odsunął wargi i uśmiechnął się szeroko, mówiąc przez zęby. – Patrz! To są znaki mojej mocy!

– A atrament nie musi być przecież widoczny – powiedział Orna Sin.

– Chcesz więc rozesłać po imperium nie tylko urzędników, którzy będą okazywać zrozumienie dla mieszkańców Toa Alon, ale również mówców kamieni. – Wiedział, że imperium z całą pewnością zwróci uwagę na taką infiltrację, zwłaszcza po tym, co Wen Olcha zrobił w An-Zabat. – To się nie uda!

– Masz prawo do własnej opinii – rzekł Orna Sin. – Pokazuję ci to wszystko w nadziei, że cię przekonam, ale decyzja nie będzie należeć do ciebie. Tak wygląda plan, Koro Ha, a ty jesteś jego częścią.

– A jeśli zrezygnuję z udziału? – spytał Koro Ha.

Orna Sin uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały chłodne. Sięgnął po filiżankę, jak gdyby słowa Koro Ha nie stanowiły jawnego zagrożenia.

– Ty stałeś się obiektem podejrzeń ze strony imperium. Nie ja. Poza tym nie jesteś jedynym nauczycielem na świecie. Nie zmuszaj mnie, żebym zaczął się zastanawiać, czy nie zdradzisz nas sędziemu.

– Zgadzam się, że istnieje wielkie ryzyko – wtrącił Uon Elia. – Ale musimy przekazać naszą tradycję nowym pokoleniom. W przeciwnym razie umrą i cały świat stanie się taki, jakim chce go widzieć cesarz. A cóż to za świat, który został zaprojektowany przez jednego człowieka, w którym istnieją

tylko te książki, które on uzna za stosowne, tylko taka magia, dla której widzi użytek, i tylko takie przekonania, które akceptuje?

– To świat harmonii – powiedział Koro Ha. – Jeśli wierzyć mędrcom.

– A dlaczego powinniśmy im wierzyć? – parsknął Orna Sin. – Przecież imperium włada światem, nieprawdaż? A mamy pokój? Mamy harmonię?

Koro Ha mógłby udzielić odpowiedzi zgodnej z doktryną. Mógłby powiedzieć, że takie konflikty rodzą się z ignorancji tych, którzy nie chcą przyjąć nauk sieneńskiego kanonu. Niemniej zawsze miał wątpliwości, gdyż we wszystkich wieściach o powstaniach zawsze piętnowano buntowników jako bandytów.

– Ja wolę chaos, o ile jest w nim nadzieja i energia, gdzie moimi rodakami rządzą władcy przez nich wybrani, gdzie można czcić własnych bogów i zbijać majątek dzięki ich darom. – Orna Sin pochylił się naprzód, a w jego głosie pojawiła się nagła pasja. – Gotów jestem zaryzykować wiele, żeby kiedyś ujrzeć taki świat. Myślałem, że podzielamy to marzenie, gdy ruszyłeś w nieznaną wraz ze mną. A może był to jedynie ostatni przejaw twojej ambicji? Zostało w tobie choć trochę odwagi czy imperium odarło twój umysł ze wszystkiego poza dogmatami?

W miarę jak Orna Sin mówił, Koro Ha czuł narastające ciśnienie w głowie. Myślał o Wenie Olsze, który rozumiał kanon lepiej od kogokolwiek wcześniej, który splatał wszelkie wymysły w logiczny sens, a pisał równie wyraźnie i spójnie jak sami mędracy. Cóż, ostatnie porównanie być może stanowiło przesadę, ale łatwo było tak pomyśleć podczas lektury esejów napisanych przez zaledwie szesnastoletniego chłopca.

Skoro taki umysł, znakomicie rozumiejący kanon i dzieła mędrców, wyciągnął wnioski, które ze szczytu kariery doprowadziły go w szeregi powstania, to czy Koro Ha mógł

dalej ignorować własne wątpliwości? Wątpliwości, przed którymi sam ostrzegał Olchę w przededniu egzaminów?

Mówił mu o właściwym wykształceniu i odpowiednim nazwisku, ale niewłaściwym kolorze skóry, włosów i pochodzeniu ze strony matki. Tak, mówił mu o tym. Zrozumiał te słowa w imieniu Olchy i pchnął go ku wyższym sferom społeczeństwa imperium uzbrojonego jedynie w ostrzeżenie: „Czasami ceną sukcesu jest upokorzenie lub zdrada we własnym sercu”.

Jak sukces – prawdziwy sukces, który pozwala kroczyć z głową uniesioną dumą – może się zrodzić z upokorzenia? Z oszukiwania samego siebie? Ze zdrady samego siebie? Jak mógł uwierzyć w to, że którykolwiek z jego uczniów poradzi sobie inaczej od niego?

Żałował teraz, że nie zadał sobie tych pytań trzydzieści lat temu. Może gdyby znał lepsze odpowiedzi, przekazałyby je Olsze, a chłopiec nie zboczyłby ze złotej ścieżki wytyczonej dla niego. Być może też Koro Ha mógłby lepiej rozumieć, a nawet zaaprobować niechęć Olchy do pogodzenia się z upokorzeniem. Może nie czułby teraz gniewu na wieść o tym, ile szkód chłopak wyrządził, odrzucając je.

– Jeśli mamy zrealizować ten plan – rzekł w końcu, patrząc Ornie Sinowi w oczy, przerażony, ale po raz pierwszy czując prawdziwy sens życia – musimy zachować ostrożność.

Orna Sin uśmiechnął się, klepnął go po ramieniu i zacisnął na nim dłoń. Koro Ha pomimo swojego sieneńskiego wyszkolenia poczuł w tym geście jedynie serdeczność.

Zasadzka

Dłoń Lotka

Połamane koło przewróconego wozu obracało się leniwie w bladym świetle świtu. Na drodze leżały popękane deski i rozrzucone resztki ładunku. Do smrodu krwi i spalonych ciał zleciały się roje much, które obłaziły teraz pół tuzina trupów.

Lotka odchylił głowę do tyłu i nabrał tchu. Od głównej kolumny maszerującej traktem nadpłynęła cicha, stłumiona pieśń. Żołnierze od chwili opuszczenia Nory przez cały dzień i do późna w nocy śpiewali po nayeńsku, w niezrozumiałej, gardłowej mowie.

Jednym z trupów był żołnierz, który pełnił nocną wartę i strzegł uciekinierów z Żelaznego Miasta podążających za armią Lotki. Dalej leżały zwłoki innych: dwóch młodych ludzi, z których jeden nadal ścisnął bambus w żalosnej próbie ocalenia życia, staruszki, do której należał wóz, i małej dziewczynki z gardłem przebitym strzałą. Muchy, przebudzone wraz z wiosenną odwilżą, obsiadły oczy i otwarte rany trupów.

Wszyscy byli Sieneńczykami, co było godne uwagi, bo większość uciekinierów z Żelaznego Miasta stanowili Nayeńczycy. Buntownicy wiedzieli więc, jak uderzać, by nie razić rodaków. Lotka znów skupił się na odległej nayeńskiej pieśni.

– Siódmy atak – rzekł kapitan Huo. – Rozstawianie nocnych wart daje buntownikom jedynie okazję, żeby przerzedzić nasze siły, podczas gdy oni nadal nas okradają.

Kilku sieneńskich żołnierzy zaczęło ściągać trupy do płytkiego grobu wykopanego w przydrożnym rowie. Towarzyszyła im młoda kobieta, która zawodziła i tłukła się pięściami po piersi. Najwidoczniej któryś z poległych był jej bratem lub kochankiem. Lotka nie miał pojęcia, ale próbował nie myśleć o dziewczynce i o strzale, która przebiła jej gardło.

Tragedia. Okropna, rozdzierająca serce tragedia. Ale Lotka nie miał czasu, by zastanawiać się nad ludzkim bólem, czekać na pochowanie zmarłych czy poprowadzić ludzi do lasu w poszukiwaniu buntowników. W porównaniu z koszmarem, w którym Wen Olcha opadł na skrzydłach ptaka i spalił całą kolumnę na popiół, ciała oraz strzaskany wóz wydawały się przyjemnym wspomnieniem.

– Musimy stawić im czoła, Ekscelencjo – powiedział kapitan Huo. – Musimy chronić naszych ludzi.

– Zgadzam się. – Lotka zawrócił konia, by skierować się na czoło kolumny. – Ale jedyną prawdziwą ochronę znajdziemy we Wschodniej Fortecy.

Kapitan Huo zgrzytnął zębami.

– Moglibyśmy ich dopaść w lesie! Moglibyśmy przynajmniej odpędzić ich od cywilów!

– W swoich lasach – Lotka popędził konia – ci buntownicy poruszają się dwakroć lepiej od naszych najlepszych zwiadowców. Kontratak byłby aktem pozbawionym sensu, jeśli nie samobójczym. Będziemy próbować strzec kolumny i iść dalej naprzód, nie poddając się chaosowi.

Jego koń zrobił już kilkanaście kroków, gdy Lotka uświadomił sobie, że kapitan Huo mu nie towarzyszy. Odwrócił się w siodle. Ramiona Huo wznosiły się i opadały, w miarę jak oficer walczył z potężniejszą furją.

– Ekscelencjo, morale jest bardzo niskie. Od opuszczenia Żelaznego Miasta zginęły dwa tuziny twoich żołnierzy i dwakroć tyle cywilów.

Wydawało się, że ograniczenia narzucane przez doktrynę i hierarchię pękną pod naporem emocji. Lotka wiedział, że jeśli do tego dojdzie, nie będzie mógł tolerować buntu kapitana, a wówczas kolumna pogrąży się w chaosie. Żołnierze przypuszczalnie obrócą swoją złość na uchodźców, których mieli eskortować, przynajmniej na tych, którzy nie różnili się kolorem skóry i włosów od napastników.

– Morale opadnie bardziej tylko wtedy, gdy pošlemy naszych ludzi do lasu, gdzie wiedźmy wypatroszą ich i spalą żywcem – powiedział Lotka. – Mają przecież magię i przewagę terenu.

– A więc wielka szkoda, że towarzyszy nam tylko jedna Dłoń cesarza – parsknął kapitan Huo.

– W rzeczy samej – zgodził się Lotka. W jego piersi zapłonął żar poczucia winy, ale Dłoń rychło go zgasił. To Dłoń Wspaniałomyślność, którego trumna podróżowała na szerokim wozie na czele kolumny, okazał się zdrajcą, nie Lotka. – Życzysz więc sobie, żebym sam zapuścił się w las i pozostawił kolumnę bez dowódcy?

– Życzę sobie, żebyś zrobił cokolwiek. – Huo wydał szyderczo usta. Wskazał na ludzi z miasta i mijanych wsi, którzy szeroko otwartymi oczami przyglądali się swoim przywódcom, pogrążonym w kłótni jak dzieci. – Udowodnij im, że potrafisz ich ochronić. To nasz obowiązek.

Zapadła między nimi cisza, przerywana jedynie zgrzytem żołnierskich łopat. Lotka znów pomyślał o dziewczynce. O strzale w jej gardle.

W jego piersi coś się rozpadało. Dusił w sobie wszystkie emocje od wyjazdu z Twierdzy Szarego Mrozu, ale nie miał już na to dłuższej siły. Zaznał osobliwej ulgi, przeżywając ból małej tragedii i rozbudzony przez nią gniew. Poczował też motywację do

działania, choć wiedział, że prawdziwym niebezpieczeństwem była strata czasu.

– Dobrze, kapitanie – odparł. Musiał sobie na to pozwolić, bo tak należało postąpić, nawet jeśli decyzja była głupia. – Ale nie będziemy gonić buntowników po lasach. Co innego możesz zasugerować?



Lotka zastanawiał się, jak Wilga odnalazłby się w jego sytuacji.

Niekoniecznie w tej konkretnej sytuacji, bo właśnie leżał na brzuchu w opróżnionym z towarów wozie, między dziesiątkami innych ludzi, przyciskając ręce i nogi do ciała. Byli nakryci kocami, a ich oddechy napełniały przestrzeń dookoła stęchłym ciepłem. Tę sytuację jego brat z całą pewnością uznałby bowiem nie za niewygodę i upokorzenie, ale za ekscytujące przeżycie. Przecież mieli wyskoczyć z pułapki na głupich buntowników jak Su Biały Nóż w jednej ze starych opowieści. Wilga całe życie marzył o takiej chwili.

Niemniej Wilga nie tolerował dwuznaczności. Lotka przechowywał w pamięci wspomnienie z dzieciństwa – jedno z najwcześniejszych, spowite mgiełką jak wszystkie równie stare obrazy. W owym wspomnieniu dreptał z pokojów zajmowanych wraz z mamą na zalany promieniami słońca i nasycony wonią kwiatów dziedziniec, zaintrygowany podniesionymi głosami.

– Sprawiedliwość i bezstronność nie należą do podstawowych cech naszego świata, Wilgo – powiedział ich ojciec lub przynajmniej tak to Lotka zapamiętał.

Rozmowa, która się później odbyła, należała do tych, jakie Głos Żłota Zięba na ogół przekazywał nauczycielom.

Wydawałoby się niepojęte, że trzy- czy czteroletnie dziecko tak dobrze zapamiętało słowa ojca, i Lotka przypuszczał, że znaczna część wspomnienia była efektem wielu wykładów o doktrynie, ale te wcale nie umniejszały jego wagi.

– Wysiłki, żeby zrównoważyć każdą skalę i zadośćuczynić każdej krzywdzie, okażą się tak czasochłonne, że właściwie niemożliwe. Każdy człowiek powinien więc wykonywać zadania związane ze swoim stanowiskiem tak, jak zostały one zdefiniowane przez doktrynę i trzy filary społeczeństwa. To dlatego musisz uczęszczać na lekcje i zakończyć swój głupi upór.

Lotka podreptał w kierunku głosów i odkrył, że dobiegają one z jednego z wielu pawilonów w ogrodzie. Wysoka postać w szacie siedziała na ławce, a Wilga, który miał siedem lub osiem lat i właśnie rozpoczął naukę, kroczył to w jedną, to w drugą stronę. Zaciskał pięści tak mocno, że aż skóra na kłykciach pobieliała.

– Ale to nie w porządku! – uskarżał się. – To nie Mały Kret zbił wazę, tylko ja! To ja powinienem dostać w skórę, a nie on.

– Mały Kret to służący, który jest dwa lata starszy od ciebie – rzekła postać. – Powierzono mu opiekę nad tobą i domem. Waza pękła, a ty zostałeś skaleczony. Poniósł więc porażkę zarówno w jednym, jak i w drugim, a więc został ukarany.

Wilga sięgnął do rękawa, by dotknąć ręki, i skrzywił się.

– Ale to nie było poważne skaleczenie. Poza tym on niczego nie zrobił! Bawiliśmy się i powiedziałem, że jestem Su Biały Nóż. Biegałem, wymachiwałem kijem jak mieczem, no i strąciłem wazę.

– A on powinien cię powstrzymać. Taki był jego obowiązek. Nie dopełnił go.

– Ale to nie w porządku!

– To. Nie. Ma. Znaczenia – rzekła postać dosadnie i wstała, by złapać Wilgę za ramię. Był to jedyny szczegół, który sugerował,

iż wspomnienie nie jest do końca precyzyjne, bo żaden nauczyciel nie dotknąłby w ten sposób syna Głosu. – Nie chcę już słuchać o sprawiedliwości czy zranionych uczuciach sługi, nawet jeśli to twój towarzysz zabaw. Jesteś synem Głosu, a wśród swoich przodków masz inne Głosy i wiele Dłoni. Ty też masz obowiązki do wypełnienia na tym świecie, a wśród nich znajdą się rzeczy o wiele trudniejsze od przyglądania się twoim zdaniem niewinnemu dziecku, które zbiera lanie w twoim imieniu.

Wspomnienie kończyło się w tym miejscu. Być może Lotka w tej chwili zaczął płakać lub inaczej zdradził swoją obecność. Lub być może wszystko to było jedynie wytworem umysłu, a karykatury brata i ojca zbudował z fragmentów tysiąca momentów rozrzuconych na przestrzeni dwudziestu lat. Tak czy owak, Lotka nie przestawał się zastanawiać.

Był pewien, że Wilga poszedłby do lasu za buntownikami. Poprawka, Wilga nigdy nie uciekłby z Nory, a przynajmniej nie z Żelaznego Miasta! Nigdy nie poświęciłby tylu istnień i takiego dobytku bez choćby prób stawienia oporu. Nie poświęciłby aż tyle nawet po to, by pomścić śmierć nauczyciela czy brata. On zrobiłby to, co należało zrobić, a nie to, co było konieczne.

Myśli Lotki przerwał głos przytłumiony przez płótno i drewno. Gdy sierżant syknięciem nakazał ciszę, ciała dookoła poruszyły się. Lotka uniósł głowę i zerknął przez wąską szparę między kocem a deską. W ciemności dostrzegł sylwetki, które poruszały się wokół stosu skrzyń, ustawionych przez ludzi Huo kilka kroków od wozu. Lotka naliczył przynajmniej tuzin Nayeńczyków, choć w okolicy było ich zapewne więcej. Jeden z nich, przypuszczalnie przywódca, wysłał trzech innych na skraj drogi. Dwie postacie podeszły do wozu. Byli tak blisko, że Lotka widział zwierzęce czaszki, kości i kawałki kory przyszyte do skórzanych pancerzy.

Obcy zatrzymali się przy skrzyniach i zaczęli przetrząsać ich zawartość, usypując stosy jedwabiu i innych materiałów. Lotka podniósł dłoń, wstrzymał oddech i zaczekał. Jeden z Nayeńczyków wysłanych do przeszukania wozu stał z przodu. Jego towarzyszka, młoda kobieta z ohydnie krótko przyciętymi włosami, wyciągnęła palec. Fala ciepłej mocy przeszła ciało Lotki, a z palca młodej wiedźmy wystrzelił płomyk świecy. Lotka skrzywił się, oślepiony nagłym rozbłyskiem. Młoda kobieta zrobiła krok naprzód. Ludzie na wozie leżeli nieruchomo, bojąc się choćby odetchnąć.

Nie było czasu do stracenia.

Lotka wniknął w kanon, najpierw odnajdując magię bitewną. Odrzucił koc, poderwał się na kolanach i cisnął błyskawicą, która przemknęła obok przerażonej wiedźmy. Ta krzyknęła i cofnęła się, a ogień nad jej palcem spotęźniał w jednej chwili. Było to ostrzeżenie, ale spóźnione. Lotka przesunął się bowiem z drugiego kanału do piątego i przywołał ochronne światło. W tej samej chwili jego błyskawica uderzyła w stos skrzyń i wywołała eksplozję ukrytych tam granatów.

Lotka odczuł eksplozję jak cios w brzuch. Wóz zakołysał się z głośnym skrzypnięciem, a płomień rozpląnął się po wzniesionym przez niego polu ochronnym. Na szczęście ludzie kapitana Huo zawczasu połamali osie, by nikt nie miał wątpliwości, że wóz naprawdę został porzucony. Dzięki temu nie potoczył się dalej. Przejmującą ciszę po eksplozji przerwały wrzaski żołnierzy wokół Lotki, którzy wyskakiwali spod koców i wyciągali krótkie miecze.

Na drodze zaroilo się od pociętych i popalonych trupów napastników. Inni napastnicy, oszołomieni i zdezorientowani, uciekali na oślep, jedynie kilku, którzy trzymali się na skraju lasu, stawiało Sieneńczykom opór. Zadźwięczała stal, poszybowało kilka strzał, ale po krótkiej walce większość

ocalających Nayeńczyków uciekła. Wedle pospiesznych rachub Lotki padła trzydziestka buntowników.

Rozległy się tryumfalne okrzyki i mściwe zniewagi ciskane w ślad za uciekającymi buntownikami. Kilku żołnierzy chodziło po pobojowisku i wbijało miecze w ciała zarówno poległych, jak i tych, którzy wciąż opierali się śmierci.

Lotka poczuł mdłości i odwrócił wzrok. Niech ci ludzie nacieszą się zemstą i satysfakcją, bo innej okazji przed dotarciem do Wschodniej Fortecy nie będzie.

Spojrzał na skraj drogi, gdzie zjawił się Huo, a wraz z nim oddział żołnierzy w płaszczach, do których doszyto liście i gałęzie. Czekali w zasadzce, gotowi wesprzeć żołnierzy z wozu, gdyby ci zaczęli tracić siły.

Huo patrzył, jak jego ludzie dają upust swojej furii. Marszczył brwi i wydymał usta, jakby wypił łyk gorzkiej herbaty. Lotka podszedł i pochylił głowę.

– Dobra robota, kapitanie – powiedział mocnym głosem. – Ta banda już nie będzie nas niepokoić. Mam jedynie nadzieję, że kolumna ludzi z Żelaznego Miasta, która idzie przed nami, nie ucierpiała w międzyczasie za mocno.

Rysy twarzy Huo stwardniały.

– Jutro – ciągnął Lotka – idziemy szybkim marszem do późna w nocy.

– Co? – wypalił Huo. – Nie chcesz chyba wyprzedzić Nayeńczyków? Przecież mamy całą grupę cywilnych uchodźców!

– Możemy wygrać dziesiątki takich potyczek, a nie będzie to miało żadnego znaczenia. – Lotka wskazał pocerniałego trupa.

– Gdyby Wen Olcha był wśród napastników, wszyscy leżelibyśmy martwi jak tamten. Morale to waluta, kapitanie Huo. Zdobyłem jej trochę i mam zamiar jutro wydać ją na marsz.

Huo otworzył szeroko usta, a na jego twarzy pojawił się grymas złości. W końcu zacisnął zęby, burknął, odwrócił się i odszedł w kierunku zagajnika, gdzie ukrył ich konie. Nie uklonił się. Nie okazał nawet cienia szacunku należnego Dłoni cesarza.

Jednakże Lotka nie potrzebował jego szacunku, a jedynie przyzwolenia i współpracy, nawet niechętniej. A mimo to zastanawiał się, czy Wilga, który wierzył w sprawiedliwość, zdołałby osiągnąć od Huo obie te rzeczy.

Wiedzmy nowych czasów

Głupi Kundel

Przez dwa tygodnie naszego pobytu w Norze młodzi ludzie spływali do miasta niczym strumienie schodzące z górskich lodowców. Docierali też tacy, którym siwizna przyprószyła już włosy, ale w ich oczach błyszczała ochota do walki. A byli i tacy, których nazwałbym dziećmi i odesłał z powrotem do wsi.

Armia Lisa liczyła teraz dwustu trzydziestu dwóch żołnierzy. Choć było to żałośnie niewiele w porównaniu ze sieneńskim legionem, to jednak ludzi było dziesięć razy więcej niż w chwili naszego przybycia do Nory. Wredny Lis wierzył w to, że uda się ściągnąć więcej rekrutów po kolejnych sukcesach podczas marszu na południu, z których pierwszym miało być zwycięstwo nad armią Wilczycy, nękającą wedle zwiadowców wuja kolumnę Lotki, kontynuującą własny marsz na południe. Ale wuj widział jedynie dwa rozwiązania: albo Wściekła Wilczyca złoży mu przysięgę na wierność, albo zetnie jej głowę.

Nie wszyscy nasi żołnierze byli ochotnikami. Trzy dni przed wyruszeniem w drogę Wredny Lis stanął na przewróconej skrzyni, z której Sęp tak często ogłaszał jego wolę. Założył masywne ramiona na piersi i stał tak przez moment, z brodą mieniającą się bielą, czerwienią i szarością, mierząc

zgromadzony tłum spojrzeniem przywodzącym na myśl chmarę strzał, po czym ogłosił karę dla Nory.

– Jedliście i piliście wraz z tymi, którzy polowali na naszych czarowników i palili nasze świątynie – mówił głosem cichym i spokojnym, który jednak niósł się echem po ulicy. – Tolerowaliście ich rządy. Płaciliście podatki. Godziliście się na okupację i nazywaliście ją ochroną. Uważaliście ludzi z prowincji za bandytów i wypowiadaliście cicho słowa błogosławieństw. Ludzie z Nory, macie dług do spłacenia wobec swojej ojczyzny. Będą go płacić wasi synowie i wasze córki.

Wiedziałem, że Sęp wygłosił już tę deklarację parokrotnie, ale tym razem sam Król Słońca chciał ujrzeć, jak wypełnia się jego wolę. Każda rodzina musiała oddelegować kogoś ze swojego domostwa – najstarszego syna, niezamężną ciotkę czy owdowiałego ojca dorastających dzieci. W ramach pokuty nacinano im przedramiona i utaczano krwi, a potem zmuszano do złożenia przysięgi wierności i wstąpienia do armii Króla Słońca.

Jako dowódczyni oddziału, Biegnąca Sarna spędziła ostatnie dni w Norze na szkoleniu świeżych rekrutów w posługiwaniu się bronią.

– Przynajmniej wyrządzą więcej szkód wrogowi niż towarzyszą w szeregu – powiedziała z uśmiechem.

Skoro już jej nie uczyłem, wykorzystałem sposobność, by rozbudować kanon, i do dnia wymarszu dodałem do niego dwa nowe typy magii. Pierwszy z nich, oznaczony czterema falistymi liniami w kształcie rozpostartego skrzydła, umożliwiał zmianę postaci i okazał się niewielkim problemem, gdy przystąpiłem do tworzenia ścian i nasycania ich mocą. Z jednej strony ta moc niewiele się różniła od magii tworzącej ogień, ale podczas pracy naszło mnie mroczne przeczucie, rozbudzone wspomnieniem kruchych kończyn wlekących zniekształcone ciało na mojej własnej zarośniętej ścieżce.

Wizja Biegnącej Sarny zamienionej w bezkształtnego potwora, nie będącego ani człowiekiem, ani zwierzęciem, wstrząsnęła mną mocno, ale po namyśle znalazłem sposób, aby zawęzić ściany kanonu i ograniczyć tę moc tak bardzo, by nie stanowiła niebezpieczeństwa. Każdy, kto po nią sięgał, mógł zmienić się tylko w jastrzębia. Rozwiązanie było dalekie od ideału, ale uznałem moc przemiany w ptaka za najważniejszą. Pazury wilka można było zastąpić stalowym ostrzem, ale skrzydeł nie dało się zastąpić niczym.

Trzeci kanał dodany do mojego kanonu pozwalał na przywołanie wiatru. Trudno było wygrawerować znak trąby powietrznej, nieudolną imitację tatuażu wiatromistrza, tym bardziej że mogłem przytrzymywać kość jedynie kikutem prawej ręki, ale sama magia była o wiele łatwiejsza od tej, która pozwalała na zmianę postaci.

Mój kanon nadal nie był zakończony, ale przynajmniej stawał się użyteczny. Pozwalał na przywołanie ognia, co dawało broń. Zmiana postaci umożliwiała mobilność, a przyzywanie wiatru świetnie nadawało się do obrony i okazało się narzędziem o wiele bardziej wszechstronnym niż magia osłaniająca, chroniąca jedynie przed płomieniami i błyskawicą.

Bardzo chciałem pokazać te nowe moce Biegnącej Sarnie i nauczyć ją, jak z nich korzystać, ale się powstrzymałem. Miała obowiązki wobec wuja, a ja nie chciałem, by jej lojalność wobec mnie wygrała z posłuszeństwem wobec niego. Oczekałem więc, aż po miesiącu okupacji powiększona armia Lisa wyruszy Drogą Słońca, pozbawiając Norę prawie jednej piątej ludności.

Szedłem na tyle kolumny z Okarą przy nodze, a kilka kroków przede mną wędrował doktor Sho. Zostawiliśmy jego pogrążonych w śpiączce pacjentów w Norze pod opieką pielęgniarzy, którzy do tej pory pomagali przy chorych. Zakładałem, że Sycząca Kocica ruszy za nami, tak jak podążyła naszym śladem z Twierdzy Szarego Mrozu, choć od paru dni

nie miałem z nią kontaktu. Nie wznosiliśmy żadnych sztandarów, nie wyprzedzała nas kawaleria, a za nami nie podążała karawana wozów z zaopatrzeniem. Przypominaliśmy nie tyle armię, co gromadę bandytów zebranych w jednym celu.

Mówiłem sobie, że w moim myśleniu wychodzi sieneńska postawa. Przecież armia tak naprawdę zawsze była grupą ludzi gotowych do szerzenia przemocy. Oddziały sieneńskie może i wznosiły proporce i miały identyczne pancerze, ale nie wydawało mi się, by ta różnica jednocześnie stanowiła granicę między bandytyzmem a wojskowym podbojem.



W nocy Biegnąca Sarna siedziała przy ognisku z zamkniętymi oczami, a wokół jej dłoni wędrował liść, unoszący się na wyczarowanym przez nią prądzie powietrza. Magię przywoływania wiatru opanowała w godzinę. Formowanie bardziej złożonych kształtów, jak ostrza, tarcze czy kopuły, musiało potrwać, ale przyzwanie wiatru i skłonienie go, by tańczył wokół jej dłoni, okazało się dla niej proste.

Zmiana postaci mimo moich wysiłków, by uprościć procedurę, okazała się o wiele trudniejszym wyzwaniem.

Czułem oddziaływanie rozbudzonej przez nią magii, objawiające się lekkimi dreszczami i skurczami kończyn oraz zapachem cynamonu przebijającym się przez dym. Wstrzymałem oddech. Biegnąca Sarna zmarszczyła twarz, a potem nagle wypuściła powietrze z płuc i zgarbiła się, a jej dłonie opadły na kolana.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się przepaszająco.

– Powinno zadziałać – mruknęła. – Nie wiem, co robię nie tak.

Wziąłem od niej kawałek kości. Być może upraszczając magię, odebrałem jej siłę. Dotknąłem znaku i poczułem obecność ciężkich murów kanonu, po czym sięgnąłem w głąb pozostałej tam mocy. Skurcze, zapach cynamonu i... Otrząsnąłem się i rozciągnąłem skrzydła. Wzrok stał się ostrzejszy, a nos wciągał inne, wyraźniejsze zapachy. Kawałek kości zlał się z moim przekształconym ciałem tak jak ubrania czy broń, a kanon pozostał na miejscu.

– Cudowne – wymamrotała Biegnąca Sarna. – Choć przerażające. Gdy ty to robisz, wszystko wydaje się takie proste.

A więc wszystko było w porządku. Uwolniłem czar, powróciłem do ludzkiej postaci i oddałem jej kawałek kości.

– Zajmuję się tym znacznie dłużej od ciebie i wiem z własnego doświadczenia, że ten konkretny rodzaj magii odbiera pewność siebie. Z czasem na pewno go opanujesz.

Uśmiechnęła się nieśmiało i musnęła kciukiem trzy znaki, po czym zamknęła oczy. Znów poniósł się zapach cynamonu. Powróciłem na miejsce obok niej, wziąłem inną kość i mój nóż do rycia. Mieliśmy dotrzeć do Żelaznego Miasta w kilka dni, a ja zamierzałem w tym czasie wykonać przynajmniej trzy lub cztery kolejne kanony magii. Skoro miałem rozmawiać z Wściekłą Wilczycą o współpracy, dobrze byłoby mieć drużynę młodych wiedźm i czarowników u boku.

Doktor Sho stęknął, siadając na płaskim kamieniu w kręgu światła rzucanego przez nasz ogień, i z ciężkim westchnieniem odpiął kufer z lekami.

– Będę uważał się za szczęśliwca, jeśli już nigdy w życiu nie zobaczę pęcherza.

Okara przybiegł w ślad za nim, ale zatrzymał się, by pomyszkować chwilę w zaroślach na poboczu. Spojrzał na Biegnącą Sarnę i podszedł, by obwąchać jej twarz. Otworzyła jedno oko, poklepała psa po boku i łagodnie go odepchnęła.

– Nikt nie mówił, że w powstaniu uda się znaleźć szczęście – powiedziałem, przyzywając Okarę do siebie. Podrapałem psa za uszami. Jego blizny były ciemnobrązowe, co oznaczało, o ile dobrze rozumiałem, że na razie był jedynie zwykłym psem. – Uzgodniłeś już z wujem formę zapłaty za twoje usługi czy to pacjenci płacą ci miedziakami zabranymi z domu? – spytałem.

Doktor Sho burknął coś, a potem otworzył jedną z głębszych szuflad z boku kufra i wydobyl skórzany bukłaczek. Wyjął korek, pociągnął łyk i podsunął bukłak Biegnącej Sarnie. Ta zmarszczyła nos i otworzyła oczy. Wciągnęła zapach alkoholu i spojrzała na mnie. Zachichotałem, widząc jej niepewną minę, i wzruszyłem ramionami. Dziewczyna ujęła bukłak, pociągnęła wielki łyk, skrzywiła się i podała mi bukłak nad ogniem. Gdy go odbierałem, koniuszki naszych palców zetknęły się, na co dziewczyna zareagowała kolejnym nieśmiałym uśmiechem, od którego pojawiły jej się dołeczki, a we mnie znów rozlało się ciepło.

– Chciałem wystawić mu rachunek, gdy to wszystko dobiegnie końca. – Sho uśmiechnął się krzywo. – Kiedy już zdobędzie sobie odpowiedni tron i klucz do skarbcza.

Odwróciłem się od Biegnącej Sarny być może nieco za szybko.

– Przyznaj, Sho, że nie zależy ci na srebrze. – Pokazałem bukłakiem Okarę, który zwinął się przy moim kolanie. – Pamiętasz, jak znaleźliśmy tego nieboraka na poboczu? Masz w sobie po prostu mnóstwo serca dla ofiar okrucieństwa. Na przykład dla żołnierzy tej armii.

Pociągnąłem łyk palącego alkoholu, w którym wyczułem lekki posmak sorgo. Przypomniała mi się pierwsza butelka wypita z Wilgą. Ta myśl pełna melancholii przegnała ciepło, które rozbudziły we mnie palce Biegnącej Sarny. Oddałem butelkę doktorowi Sho. Jego mina idealnie pasowała do mojego nastroju.

– A skoro mowa o okrucieństwie – powiedział. – Widziałeś, co się stało z sędzią z Nory?

– Nie. – Naraz uświadomiłem sobie, że z jakiegoś powodu uznałem, iż sędzia został gdzieś na tyłach. Po tym, jak wuj wypytał go o wszystko, co ten wiedział o zamiarach Lotki, Czysta Rzeka nie został już wezwany na radę. W innych okolicznościach szukałbym go na wozach z więźniami, ale Wredny Lis żadnych nie zabrał. Poczułem napięcie w ciele.

– Mów.

– Wypełnia zadania jucznego muła. – Doktor Sho upił kolejny łyk. – Spędziłem sporo czasu na wcieraniu maści w jego boki i ramiona i na bandażowaniu miejsc, gdzie kiepsko zrobione rzemienie przecięły mu ubranie.

Zalało mnie poczucie winy, niszcząc kruchy wieczorny spokój. Chyba dałem temu wyraz miną, bo Biegnąca Sarna zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Ten łajdak próbował cię zamordować – powiedziała.

– Ale nie podołał – odparłem i podniosłem się. – A ja zniszczyłem mu życie. Gdzie on jest, Sho?

Doktor westchnął, a potem zakorkował bukłak i odłożył go do szuflady.

– Chodź więc ze mną.

– To nam się przyda – powiedziałem. – Tylko raz podjąłem próbę zdobycia przyjaciela i alkohol okazał się ważnym elementem.

Doktor Sho zmarszczył brwi zagadkowo, ale wzruszył ramionami, wyciągnął ponownie butelkę i poprowadził mnie w kierunku głównego obozu, gdzie Czysta Rzeka leżał obok stosu worków i skrzyń, spiętych skórzaną uprzężą. Mizerne ognisko nieopodal wypaliło się niemalże do cna. Mężczyzna leżał w poplamionych, postrzępionych szatach, otulając się ramionami, mrucząc coś do siebie i drżąc. Nad ustami pojawiały się chmurki pary. Wziąłem butelkę od doktora Sho

i ukląknęłam obok Czystej Rzeki, a potem łagodnie dotknęłam jego ramienia kikutem prawego nadgarstka. Jego powieki rozchyliły się nagle, ukazując mętne, przekrwione oczy. Naraz zwęził je, cofnął się gwałtownie, poderwał na kolana, dysząc z przerażeniem.

– Przy naszym ognisku jest sporo miejsca – powiedziałem i potrząsnąłem butelką. Alkohol zachlupotał. – Możemy też się napić po długim dniu.

Były sędzia wpatrywał się we mnie, jakbym mówił od rzeczy.

– Kolejny podstęp – wymamrotał, a potem spojrzał na doktora Sho. – Po to opatrzyłeś mi rany? Żeby on znów mógł mi je porozdzierać? W co wy gracie?

– W nic – odparł doktor Sho. – Właśnie zgodziłem się z obecnym tu moim przyjacielem, że powinieneś raczej spać u nas. Mniejsze szanse na śmierć z zamarznienia czy cios nożem jakiegoś domorosłego żołnierza, który pamięta, jak byłeś sędzią.

Czysta Rzeka w końcu wstał i sięgnął po swój pakunek.

– Dość się już dziś nadźwigalesz – powiedziałem i niezdarnie zarzuciłem tobolek sobie na ramię.

Ładunek okazał się cięższy, niż sądziłem, a składał się po części z worków ryżu i prosa, które przesuwają się to w jedną, to w drugą stronę. Znów podałem Czystej Rzece bukłak. Wziął go, wciąż niepewny, jakby w każdej chwili spodziewał się, że na niego naskoczą. Wyjął korek, upił łyk i westchnął z ulgą.

– Jedyne, co miałem dziś do picia, to stopiony śnieg – powiedział.

Obudził się we mnie wściekły gniew, ale zdusiłem go, co czyniłem często od powrotu wuja do Twierdzy Szarego Mrozu, i odwróciłem się ku naszemu małemu obozowi. Doktor Sho ruszył za mną, a moment później usłyszałem powolne, niepewne kroki Czystej Rzeki.

Widząc nasz powrót, Biegnąca Sarna wyprostowała się i położyła dłoń na sztylcie, ale gestem nakazałem jej spokój

i odłożyłem niewygodny bagaż. Dziewczyna wpatrywała się w przybysza z niechęcią, ale zdjąłem jej dłoń z broni.

– Jesteś pewien, że nie będzie próbował znów wypruć ci flaków?

– Raczej tak – odpowiedziałem z krzywym uśmiechem.

Powróciłem na moje miejsce na ściętej kłodzie, wziąłem nóż i kawałek rzeźbionej kości, po czym wróciłem do pracy, jakby obecność Czystej Rzeki była najnormalniejszą rzeczą na świecie.

– Jadłeś coś, chłopcze? – spytał doktor Sho.

Czysta Rzeka powoli potrząsnął głową.

– Pewnie nikt cię nie dopuścił do wspólnego kociołka. – Sho schował alkohol i zabrał dwa pełne do połowy bukłaki z wodą, przytroczone do kufra z lekami. – Dobra, to co powiesz na zupę z suszonej ryby, doprawioną solą i kilkoma ziołami? Chodź, Sarno. Pomóż mi przynieść więcej wody ze strumienia.

Biegająca Sarna rzuciła mi pytające spojrzenie, a ja ponagliłem ją skinieniem głowy. Zmarszczyła brwi, ale wstała i poszła za doktorem, nadal dotykając sztyletu i skupiając się na swoim kanonie magii. Okara, który drzemał przy ogniu, przebudził się ze stęknieniem. Patrzył na Czystą Rzekę przez chwilę, a potem przyczłapał do niego i obwąchał mu dłoń. Czysta Rzeka dopiero wtedy zwrócił uwagę na obecność zwierzęcia. Podrapał psa za uszami, a potem jeszcze raz potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Teraz to już jestem pewien, że to jakiś podstęp – powiedział.

– Chcesz, żebym cię zaatakował. Odesłałeś swoją strażniczkę. Chcesz mnie sprowokować, a potem mnie zabić i udawać, że nie jesteś mordercą. Już raz przegapiłeś okazję.

– Chcę, żebyś się rozgrzał i coś zjadł. – Oparłem kawałek kości o płaski kamień. – Siedź, Czysta Rzeko. Okara nie chce zrobić ci krzywdy.

Były sędzia spojrzał na psa.

– To z nim przyszedłeś do Nory, prawda? To z jego powodu zabiłeś tuzin strażników? Dlaczego nazwałeś go... Och. – Zmarszczył brwi ze zdziwieniem. – Rozumiem. Myślałem, że twój wuj uznał już tytuł Króla Słońca za własny.

– Tak się stało – odpowiedziałem. – A Okara to jedynie pies. Przynajmniej na razie.

Okara wywalił język i przechylił łeb, by Czysta Rzeka miał lepszy dostęp do śwędzącego miejsca za uchem. Były sędzia w końcu usiadł obok ognia. Skrzywił się, opierając się o pień drzewa i wyciągając nogi. Okara uznał to za zaproszenie i oparł łeb o udo człowieka.

– Naprawdę nie chcesz mnie zabić? – spytał Czysta Rzeka.

Pokręciłem głową i skupiłem się na polerowaniu znaku przywoływania wiatru.

– Ale ja podjąłem taką próbę! – rzekł stanowczo.

– Jeden z nas musi wykonać pierwszy krok w kierunku przebaczenia – powiedziałem.

Czysta Rzeka burknął:

– Ja miałem bardzo dobry powód. Powód, dla którego ty pozabijałeś moich ludzi, był co najmniej błędny.

– Żałuję, że sprawy tak się potoczyły, odkąd po raz pierwszy przybyłem do Nory, a to, co mój wuj zrobił z twoimi ludźmi, to błąd – odparłem.

Słyszając te słowa, Czysta Rzeka wreszcie się odprężył, choć nadal marszczył podejrzliwie brwi. Siedzieliśmy przez jakiś czas w ciszy. Słyszać było jedynie pochrapywanie Okary, trzask płomieni i chrobot mojego noża na kości.

– Co robisz? – spytał.

Nagle pojawiła się okazja, żeby naprawdę wykonać ów pierwszy krok. Mogłem mu okazać zaufanie i dać szansę, by je odwzajemnił. Odłożyłem nóż i podniosłem kawałek kości.

– To broń – powiedziałem i rzuciłem ją Czystej Rzece. – Kość spadła na jego nogę, budząc na moment Okarę, który zamrugał

parokrotnie. – To kanon, który ma rzucić wyzwanie cesarskiemu. Dotknij pierwszego znaku. Tego, który wygląda jak płomień.

Czysta Rzeka podniósł kawałek kości.

– Widzę tu tylko jakąś trąbę powietrzną, trawę na wietrze i ślad kurczaka.

Zakaszlałem, tłumiąc ochotę, by zaprotestować.

– No dobra, nie jestem najbardziej utalentowanym artystą świata. Chodziło mi o ten trzeci znak.

Przez moment się wahał, ale w końcu przycisnął kciuk do kości. Ciężka fala mojego kanonu rozeszła się po strukturze świata i Czysta Rzeka otworzył szeroko oczy.

– Uczę Biegającą Sarne, jak z niej korzystać – powiedziałem. – Chcesz zostać moim drugim uczniem?

Rozchylił nagle dłoń, a kość sturlała się i odbiła od pyska Okary. Pies znów się rozbudził i rozejrzał zaskoczony.

– Chyba żartujesz – prychnął Czysta Rzeka.

– Jesteś lepszym człowiekiem ode mnie – wygłosiłem wreszcie bolesną myśl, która uwierała mnie od dawna. – O wiele lepszym, myślę. Ale istnieją powody, dla których twoje marzenie, żeby przebudować imperialne struktury, żeby zachować podobieństwo do Nayenu, co usiłowałeś zrobić w Norze, nie może się zrealizować. Gdybym mógł ci przekazać całą moją moc wraz z moją wiedzą, zrobiłbym to. Niestety, to niemożliwe. – Wskazałem przekazany mu kanon, leżący teraz na ziemi przy ogniu. – Oto wszystko, co mogę zrobić.

Czysta Rzeka podniósł kawałek kości i obrócił go na dłoni.

– A te powody... Czy to dla nich zacząłeś zabijać za tego psa po przybyciu do Nory? Czy to dla nich ludzie twojego wuja wyróżnili moich ludzi?

– Nie. – Nabrałem tchu, by się uspokoić. – Może trochę. Niemniej powodował nimi strach. Po tym, co zrobiłem w służbie imperium, kwestionuję własny kręgosłup moralny.

Wydawało mi się, że to, co zrobił Wredny Lis, było nie tyle dopuszczalne, co konieczne.

– Już tak nie myślisz?

Skrzywiłem się, co było jedyną odpowiedzią, na jaką mógł liczyć. Znów uniósł kość i przycisnął kciuk do pierwszego znaku. Zacisnął oczy i oddychał ciężko, a kanon magii wypełniał jego umysł.

– Jak mam z tego korzystać? – wymamrotał.

Gdy Biegnąca Sarna i doktor Sho powrócili z bukłakami pełnymi wody na plecach, Czysta Rzeka wiedział już wszystko o wiedźmach i czarownikach z dawnych czasów, o ich wojnie z bogami i o cesarzu, który bardzo chciał ją na powrót rozpętać. Potrafił też wytworzyć płomień świecy nad dłonią. Doktor Sho burknął z aprobatą, a potem rozgarnął żar i zabrał się do gotowania wody na zupe. Biegnąca Sarna stała jak skamieniała i wpatrywała się w ogień na dłoni Czystej Rzeki.

– Nic się nie dzieje – powiedziałem jej. – Usiądź.

Wypełniła moje polecenia, choć przez resztę wieczoru i cały następny wpatrywała się w Czystą Rzekę z wrogością, aż prześcignął ją trzeciego dnia po opuszczeniu Nory.

Znów obozowaliśmy za główną częścią armii. Okara myszkował w okolicy w poszukiwaniu czegoś na kolację, a doktor Sho gotował dla nas zupe, do której tym razem dodał orzechy. Czysta Rzeka umiał już utrzymać płomień i doliczyć do dziesięciu, wobec czego zaproponowałem, by spróbował zmienić postać.

Nie podzieliłem się obawami, że kanał może być wadliwy, nie chciałem tego w żaden sposób sugerować. Czysta Rzeka zamknął oczy i przycisnął kciuk do czterech wykrzywionych linii. Opadła na nas ciężka moc kanonu, a on sięgnął w jej głąb.

Natychmiast otoczył nas zapach cynamonu, który przytłoczył aromat gotującej się zupy i woń dymu. Znów przeszyły mnie skurcze, mignęły pióra i Czysta Rzeka stał się jastrzębiem.

Przechylił łebek ze zdziwieniem, przez chwilę skakał dookoła i zmierzwił pióra dziobem, po czym odwrócił czar równie szybko, jak go rzucił. Siedział naprzeciwko mnie, zaskoczony i oszołomiony.

– A niech mnie szlag! – zawyła Biegnąca Sarna, zrywając się na nogi. – Próbuję tego dokonać od kilku dni, a ten obszczany łajdak osiąga sukces za pierwszym razem?

O mało nie zakrztusiłem się ze śmiechu, widząc jej wybuch. Czysta Rzeka przyglądał jej się chłodno.

– Mogę ci pomóc, jeśli chcesz – zaproponował.

– Ona nie potrzebuje pomocy – odparła Sycząca Kocica, wyłaniając się z lasu z Okarą u boku. Blizny na jego pysku mieniły się lekko, rozjaśnione wewnętrznym ogniem. Sycząca Kocica uśmiechnęła się do Biegnącej Sarny. – Ona się boi i tyle. Trudno zresztą ją winić. Bawisz się przecież z pospiesznie odtworzoną metodą rzucania czarów, która od dawna budzi wątpliwości.

Biegnąca Sarna skrzywiła się na widok Syczącej Kocicy. Powoli przyzwyczajała się do mnie, ale moja sprawiająca wrażenie szalonej nauczycielka nadal budziła jej przerażenie. Czysta Rzeka przyglądał jej się z zainteresowaniem.

„Powinniśmy porozmawiać” – usłyszałem w głowie głos Okary. „Ty, ja i Sycząca Kocica”.

W głosie boga rozbrzmiewającym w mojej głowie słyszałem echo troski.

– Kontynuuj ćwiczenia, Czysta Rzeko. Jeśli chciałbyś się podzielić jakimiś wskazówkami z Biegnącą Sarną, nie krępuj się – powiedziałem, a następnie zwróciłem się do doktora Sho: – Dopilnuj, żeby się nie pozabijali, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Jeśli zaczną ciskać w siebie kulami ognia, wątpię, żebym mógł cokolwiek poradzić – burknął doktor Sho.

Patrzył, jak podążam za Okarą do lasu, unosząc brew ze sceptyczną miną, ale nie miał ochoty za nami podążyć ani nie

skomentował nagłego pojawienia się Syczącej Kocicy po wielu dniach nieobecności.

Pokonaliśmy kilkaset kroków od ognia, gdy Sycząca Kocica usiadła na przewróconej kłodzie i zaprosiła mnie gestem, bym zrobił to samo.

„Okazuje się, że nie jesteś tak unikalny, jak sądziliśmy” – powiedział Okara. Jego blizny migotały niczym przygasające węgielki. „Pojawiła się inna wiedźma z dawnych czasów. To dziecko Zrodzonych w Burzy, a przyszła na świat na girzańskich stepach”.

W pierwszej chwili jego słowa wydały mi się niezrozumiałe.

– Masz na myśli kobietę, która włada magią bez paktu? – spytałem.

– I to o wiele lepiej, jeśli wierzyć psu – odpowiedziała Sycząca Kocica.

Już zastanawiałem się kiedyś nad tym, czy na tym świecie istniały inne wiedźmy bądź czarownicy z dawnych czasów, ale uznałem, że obsesja na punkcie magii mogła ich zniszczyć lub skłonić do służby imperium, jak to się skończyło ze mną.

„Pokażę ci coś”. Głos Okary okazał się falą przypływu, która pociągnęła mnie w ciemność, jak gdyby ból narzucił mi sen. Nie, nie sen, ale senne marzenie. Wszak wpływał na moje sny od lat, powoli prowadząc mnie w kierunku Syczącej Kocicy.

Przed moimi oczami materializował się obraz. Ujrzałem łagodnie zbiegające wzgórza, porośnięte wysoką, ciężką od ziaren trawą. Nad nią ciągnęło się niebo jasne i piękne jak szafir, a w oddali wyrastały cienie gór. Z pobliskiego kanionu dobiegał stłumiony odgłos wodospadu. Na skraju kanionu wyrastał krąg masywnych, zwieńczonych stożkami namiotów. Na zboczu sąsiedniego wzniesienia stał statek przypominający te wiatrowe, ale mniejszy i bez żagli. Jego kadłub obramowywały dwa mniejsze, a za jednym z nich kucała jakaś postać, wpatrując się z przerażeniem w namioty.

Zmrużyłem oczy, by móc cokolwiek dojrzeć w blasku słońca. Usiłowałem odgadnąć, kim był nieznajomy człowiek. Miał ciemną skórę i kręcone włosy ludzi z Toa Alon.

– Koro Ha? – zapytałem głośno.

Nie, to nie był on. Spojrzałem na ów osobliwy wiatrowy statek i nagle rozpoznałem swojego byłego zarządcę.

– Jhin!

Na moje barki opadła ciężka fala magii. Spojrzałem tam, gdzie wpatrywał się Jhin. Wśród namiotów poruszały się trzy postacie. W jednej natychmiast rozpoznałem Dłoń cesarza lub jego Głos, gdyż miała na sobie pozłacaną cesarską zbroję. Pozostałymi były kobiety, zakute w kajdany ze światła. Jedną z nich poznałbym natychmiast, choćby kątem oka, nawet w najgęstszym tłumie na najbardziej zatłoczonym bazarze świata.

– Atar!

Dłoń szedł naprzód z rękami splecionymi nonszalancko z tyłu. Promieniał satysfakcją.

– Co ona tam robi? – spytałem Okarę, który siedział ze spokojem u mego boku. – A Jhin? Co robi tam Jhin?

„Patrz. Skup się. Nie pozwól, żeby coś cię rozproszyło”.

Burknąłem pod nosem, ale nie spuszczałem oczu z okropnej sceny rozgrywającej się wśród namiotów. Zawładnęła mną nieodparta pokusa, by ruszyć na ratunek Atar i jej sojusznicze, ale Okara oczywiście nie przerzucił nas na drugi koniec świata. Dzielił się jedynie wizją tego, co już miało miejsce.

Dłoń kroczył ku drugiej kobiecie, której nie rozpoznawałem, przypuszczalnie owej Zrodzonej w Burzy, o której mówili Okara i Sycząca Kocica. Coś powiedział, ale nie dosłyszałem słów.

– Nie możesz nas przybliżyć?

„To jedynie rekonstrukcja oparta na zmianach, które rozeszły się po strukturze” – powiedział Okara. „Kwestie takie jak ludzka mowa nie wpływają zasadniczo na strukturę, chyba że wynika

z nich jakieś działanie. Nie wiem, co oni mówią, choć naprawdę bym chciał”.

Kobieta wyla się na ziemi, napierając na kajdany magii wiążącej. Dłoń odrzucił głowę i roześmiał się, a potem leniwie wskazał Atar. Poczułem ucisk w gardle. Co takiego miałem według Okary zobaczyć? Jej śmierć w tych dziwacznych, niewytłumaczalnych okolicznościach, w towarzystwie kobiety, która powinna być w stanie ją ocalić?

Z namiotów buchnęła nagle fala magii o sile, jakiej dotąd nigdy nie odczułem. Wypełniła świat roztańczonymi kolorami, przeraźliwymi dźwiękami, zapachem cynamonu i płonących włosów. Potem fala ucichła, a kobietę nadal spowijało migotliwe światło. Łańcuchy magii wiążącej opadły niczym podarty papier. Nieznajoma uniosła rękę i uwolniła strugę jaskrawego światła, które przeszło ciało Dłoni i cisnęło nim o namiot. Buchnęły jasne płomienie oraz oleisty dym. Potem kobieta odwróciła się ku następnemu namiotowi, a potem ku kolejnemu. Podpalała każdy, aż stała w sercu płonącego kręgu.

„Zaraz zapytasz, z jakiej magii skorzystała” – powiedział Okara. „Równie dobrze mógłbyś zapytać psa, jak się tworzy dworską poezję”.

Atar oraz kobieta ruszyły w stronę dziwnego wiatrowego statku, a krąg płomieni buchnął z furją. Na kruchą trawę padały jarzące się skrawki popiołu, które tu i tam zamieniały się w małe tłące się ogniska. Jhin już zaczął rozwijać osobliwy latawiec skryty w schowku na dziobie, a po kilkudziesięciu uderzeniach serca Atar wypełniła go wiatrem. Statek pomknął po stepie, zostawiając za sobą ogień i dym.

Scena znikła, gdy statek zmierzał w stronę horyzontu. Zamrugalem, nagle otoczony ciemnością lasu. Sycząca Kocica wpatrywała się we mnie, a na jej twarzy pojawiły się głębokie zmarszczki zatroskania.

– Wiem. – Jej słowa były niczym uderzenie młotem. – Pies już mi pokazał. I nie pytaj, ja również nie mam pojęcia, co ta kobieta zrobiła. Myślę zresztą, że ona też tego nie wie, i to martwi mnie jeszcze bardziej.

– Martwi? – spytałem, nie mogąc złapać tchu. – Dlaczego? Przecież przyda nam się tak potężny sojusznik.

„To wiedźma z dawnych czasów, która ma mnóstwo mocy i wspaniały talent, ale nie ma przy niej nikogo, kto mógłby ją uczyć”. Okara zamrugał, a w jego psich oczach błysnęła nadludzka inteligencja. „Jak twoim zdaniem moi bracia i siostry zareagują na jej pojawienie się? Są wystarczająco zaniepokojeni twoimi działaniami i uważnie śledzą każdy krok Doktryny, a pakt zaraz podrze się na strzępy”.

– A jak twoim zdaniem zareaguje Doktryna? – prychnęła Sycząca Kocica i pokręciła głową, aż jej czaszki we włosach zaklekotały. – Jeśli uważa, że imperium lada chwila stanie w płomieniach, po co ma się starać, żeby go przed tym uchronić? Mógłby zyskać pretekst, żeby wypowiedzieć wojnę bogom, bez względu na to, czy w niej zwycięży, czy też nie. – Skrzywiła się. – Wiem, że się nie zgadzamy w tej sprawie, psie, ale dla mnie to możliwie najgorszy scenariusz.

Okara odsłonił kły.

„Tak czy owak, jeśli mamy zachować pokój, musimy znaleźć sposób, żeby kontrolować tę wiedźmę z dawnych czasów lub przynajmniej skłonić ją, żeby zaczęła na siebie uważać”.

– A jak twoim zdaniem mamy tego dokonać? – spytałem. – Przecież ona jest po drugiej stronie świata!

W uśmiechu Syczącej Kocicy pojawiła się złośliwa nutka.

– Tak, ale tych dwoje w jej towarzystwie to twoi przyjaciele, prawda? Są ci bliżsi niż Czysta Rzeka, a do niego jakoś dotarłeś.

Miałem wrażenie, że wybałuszam oczy.

„Dystans to nie przeszkoda dla magii transmisji” – zauważył Okara. „O ile posługujemy się nią w odpowiedni sposób”.

Zaskoczenie ustąpiło niepokoju. Zdradziłem zaufanie Atar i zniszczyłem jej ojczyznę, a teraz Sycząca Kocica chce, bym wniknął w jej umysł i z nią porozmawiał. Mierzyłem się już ze śmiercią i niebezpieczeństwami, ale jak dotąd nic nie napełniło mnie takim przerażeniem.

Wiatr i płomień

Głupi Kundel

To musisz być ty – warknęła Sycząca Kocica. – Ja i pies nie dalibyśmy rady odnaleźć dziewczyny w tłumie, nie mówiąc już o drugiej stronie świata.

– Ale ona zna moc transmisji. Korzystał z niej Głos Strumyk z cytadeli An-Zabat. Wpadnie w panikę, w chwili gdy do niej dotrę.

„Nie radzę ci się ociągać. Girzanka w każdej chwili może sięgnąć po jakąś nieprzewidywalną magię, co przerazi bogów i skłoni ich do agresji”. Blizny Okary zapłonęły, a jego obecność w moim umyśle rozgorzała niecierpliwością. „Nie zwlekaj!”

– Dobrze, dobrze, niech was szlag – mruknąłem i zacisnąłem powieki w poszukiwaniu wyraźnych wspomnień Atar, które mogłyby zaprowadzić mnie do niej przez labirynt oszołomienia i niepewności zaćmiewający jej umysł. Pamiętałem brzęk jej bransolet, gdy śmiała się z moich głupich żartów. Pamiętałem zapach lawendy, miodu i soli oraz błysk przetykanej srebrną nicią szarfy splecionej z ogniem.

Odległość przestawała mieć znaczenie. Czulem, jak echo tych wspomnień przenika przez głębokie warstwy struktury. Sięgnąłem ku nim i poczułem, jak ciężar magii transmisji opada niczym kajdany i wiąże nasze umysły.

Pojawiły się kolejne doznania. Zapach ziemi i wyschniętego łąjna, kojarzący się ze stepem. Łaskotanie źdźbeł trawy o policzek. Chłodny dotyk wiatru. Obrazy przemykały przed moimi powiekami. Kolory wydawały się przygaszone, jakbym uczestniczył w skomplikowanym teatrze cieni. Wnet wiedziałem, co Atar czuje, co widzi i jakie zapachy do niej docierają.

Wtedy zarejestrowałem wybuch paniki. Jej myśli się zwały, pełne strachu i wspomnień imperium. Była przekonana, że jakiś Głos znalazł sposób, by zapanować nad jej umysłem. Serce waliło mi jak młot. Wszystko się zakołysało, gdy Atar zerwała się z posłania, sięgnęła po nóż i przytknęła ostrze do gardła.

„Zaczekaj!” – krzyknąłem w obrębie mojego umysłu.

– Co się dzieje? – spytała Sycząca Kocica, ale zignorowałem ją, skupiając całą uwagę na transmisji i próbując natchnąć ją spokojem. Próbowałem jakoś okiełznać przerażenie Atar, jednak nie udawało mi się.

Czułem zimne żelazo przytknięte do jej gardła.

– Co to? – spytała. Słowa najpierw pojawiły się w jej umyśle, potem uderzyły w jej uszy i mój umysł, by następnie rozejść się chaotycznym echem.

„To ja! Olcha! Poskramiacz Ognia!”

Jej myśli zawirowały w panice. Zastanawiała się, czy imperium nie znalazło jakiegoś sposobu, by roztoczyć nade mną kontrolę, lub czy jakiś czarodziej nie wyszarpnął mojego głosu z jej pamięci i teraz jej nie ma. Przycisnęła nóż mocniej do gardła. Mało brakowało, a nacięłaby skórę.

– Powiedz mi coś, co mnie przekona.

Przetrząsnąłem pamięć w poszukiwaniu sekretu, który nas połączył. Pamiętałem spokojne chwile pod gwiazdami, gdy nasze ciała stykały się ze sobą, gdy szeptaaliśmy do siebie i wybuchaliśmy śmiechem. Poczulem wyciekającą kroplę krwi i jej cichą determinację.

„Żałuję, że nie zostałem z tobą na Włóczni Napheny” – powiedziałem w nadziei, że to wystarczy. „W najmroczniejszych chwilach zastanawiam się, czy nie popełniłem błędu, porzucając miejsce, w którym czułem się najszcześniejszy”.

Czekałem, a ona krwawiła. Jej umysł pracował gorączkowo. Wtem poczułem, jak jej serce wypełnia echo mojego smutku i żalu.

Opuściła nóż. Westchnąłem z ulgą.

– Do jasnej cholery, Kundlu – odezwała się Sycząca Kocica. Jej głos docierał do mnie z oddali. – Co się dzieje?

– Wszystko w porządku – wymamrotałem, a potem zwróciłem się do Atar: „Dziękuję ci. I przepraszam, że kontaktuję się z tobą w ten sposób. Wiem, że wdzieram się do ciebie jak intruz, ale kieruje mną wyższa potrzeba”.

– Jak intruz? – prychnęła Atar. – O mało nie umarłam ze strachu.

Skrzywiłem się.

„Wiem. Przykro mi. Proszę, jeśli chcesz mi coś przekazać, formułuj to w myślach. Gdy się odzywasz, rozlega się okropne echo”.

Zamilkła na moment. Czułem, że marszczy czoło.

„To wszystko jest bardzo, bardzo dziwne” – powiedziała w końcu. „Mam nadzieję, że nie obudziłeś we mnie tak wielkiej paniki tylko dlatego, że masz ochotę ze mną porozmawiać”.

„Widziałem wizję twojej ucieczki przed Dłonią cesarza pośród namiotów” – wyznałem, czując, że poczucie winy przebija melancholię. „Kobieta, z którą podróżujesz, jest niezwykle potężna, Atar, i o wiele bardziej niebezpieczna, niż sądzisz”.

Wyczułem jej zaskoczenie i sceptycyzm.

„Jak to możliwe, że wiesz o Ral więcej ode mnie, skoro ja przebywam w jej towarzystwie od tygodni, a ty jesteś po drugiej

stronie świata?”

„Wiele się wydarzyło od chwili, gdy opuściłem An-Zabat”. Z całego serca chciałem opowiedzieć jej o wszystkim i dowiedzieć się, jak radzili sobie jej pozbawieni miasta rodacy, toczący wojnę z okrętami cesarskimi pośród bezmiaru Pustkowie. Nie miałem jednak na to wszystko czasu. „Poznałem wiedźmy i czarowników, którzy władają magią bez paktu czy kanonu. Nauczyli się tego sami. A ja znalazłem się pod opieką boga i dowiedziałem się wiele o wielkim zamiśle cesarza, leżącym u podstaw ekspansji imperium. Cesarzowi zależy na ponownym roznieceniu starożytnej wojny, która zakończy znany nam świat. Chcę go powstrzymać, ale nie jestem jeszcze na tyle potężny. Muszę zbudować własną drużynę, żeby móc stawić czoła Dłoniom i Głosom, ale...”

„Znany nam świat już się skończył, Poskramiaczu Ognia” – przerwała mi Atar.

„Zapowiada się przyszłość o wiele gorsza niż zniszczenie miasta. Podczas ostatniej wojny ludzi z bogami morza zalały kontynenty, góry eksplodowały, gwiazdy spadały z nieba, a nielicznych ocalałych ścigały potwory. Cesarz i bogowie powoli zbliżają się na skraj kolejnej wojny i każda zmiana w równowadze może okazać się tą ostatnią. Musimy uważać na każdy krok, bo okazywanie niespotykanych wcześniej mocy i łamanie Dłoni cesarza jak gałęzi może się okazać kosztowną pomyłką”.

Zapadła między nami cisza. Myśli Atar wirowały głęboko pod powierzchnią, gdzie odbierałem je jako odległe cienie, ale jedna z nich nagle wynurzyła się i eksplodowała świętym gniewem.

„A czy twoja wizja pokazała, kto leżał w tych spalonych namiotach, Poskramiaczu Ognia? Były tam ciała jej rodziny, nauczycieli i starszych jej plemienia, wyróżnionych jak zwierzęta. Miała się pogodzić z takim koszmarem i taką

niesprawiedliwością? Chcesz, żeby przełknęła swoją wściekłość?”

„Nie” – odpowiedziałem, zastanawiając się, czy Atar wyczuwa moją rozpacz. Miałem nadzieję, że tak jest. „Chcę, żeby o niej pamiętała, ale chowała ją do chwili, gdy nadejdzie odpowiedni moment do ataku”.

„Gniew to nie miecz!” – parsknęła Atar. „To wiatr. Wznosi się i musi rzucić się na świat, a my decydujemy jedynie o tym, czy nadamy mu kierunek i zmusimy do posłuszeństwa, czy też pozwolimy, żeby niszczył wszystko na swojej drodze”.

„A ty jesteś mistrzynią w przyzywaniu wiatru. Zrób wszystko, co możesz, żeby utrzymać go w ryzach”.

Poczułem jej gniew, a potem osobliwy ból zębów, echo jej zaciśniętych szczęk.

„Nadal jest w tobie zbyt wiele ze Sieneńczyka. Świat nie jest zbudowany z metafor, Poskramiaczu Ognia”.

„Tak czy owak, muszę cię o to prosić. W przeciwnym razie wiatr wyrwie się i zniszczy wszystko, co cenimy”.

Jej uczucia, głównie żal i złość, znów buchnęły i wdarły się do mojego serca. Ponownie złapałem się na rozmyślaniach nad tym, co Atar porabiała od upadku An-Zabat.

„A może należy ten świat zniszczyć do reszty?” – powiedziała.

„Częściowo na pewno” – usiłowałem ją pocieszyć, ale przeczuwałem, że w jej słowach pobrzmiwa echo jej własnej wściekłości, a na to nie mogłem nic poradzić. „Zniszczymy to, co zniszczyć należy, Atar, i zrobimy to razem. Ja, ty, buntownicy z Nayenu, wiatromistrzowie i Rał, a w głowach będziemy mieć nowy świat, który zbudujemy na ruinach”.

„To tylko marzenia” – odparła. Odniosłem wrażenie, że opór w jej słowach ustępuje pełnej znużenia rezygnacji. „Opowiem jednak o wszystkim Rał. Nie mogę ci obiecać, że zgodzi się z tobą albo nawet zaproponuje kompromis. Mój gniew płonie żywym ogniem, ale jej jest gorący jak samo słońce”.

„O to tylko cię proszę” – powiedziałem, a potem, choć nie miałem takiego zamiaru, posłuchałem myśli, która wyskoczyła z ciemnego zakamarka mojego umysłu i wpadła do naszej rozmowy. „Bardzo chciałbym cię znowu ujrzeć, Atar”.

Zastanawiałem się, czy niecodzienne napięcie w kącikach moich ust to echo jej uśmiechu.

„Może kiedyś, Poskramiaczu Ognia, gdy razem zaczniemy budować nowy świat”.

Zwalczyłem w sobie pokusę, by przedłużyć nasz kontakt i porozmawiać o zwykleszych, miłszych rzeczach. Chciałem podzielić się z nią czymś, co nie miałoby związku z gniewem, żalem i wojną. Prądy świata tak rzadko zanoszą nas ku tym, których kochamy, a jeśli do tego dojdzie, natychmiast nas rozdzielają. Każdy kontakt to dar, który jednak niesie zapowiedź bólu rychłego rozstania.

Każde kolejne słowo przyniosłoby cierpienie. Siedziałem oparty o szorstką korę drzewa i mrugałem, by przepędzić wilgoć z oczu. Sycząca Kocica pochylała się nade mną, a blizny Okary nadal jaśniały niczym żar.

– Atar zrobi wszystko, co się da – powiedziałem.

Sycząca Kocica burknęła i usiadła, nieco odprężona.

„Czy to wystarczy?” Okara przechylił łeb.

– Musi wystarczyć – odparłem, gdy ból i nostalgia odpłynęły.

Wziąłem się w garść, powstałem i ruszyłem ku odległemu blaskowi naszego ogniska, migoczącemu między drzewami.

Czekała nas jeszcze jedna noc, po której mieliśmy się znaleźć pod murami Żelaznego Miasta, a tam nayeńska rebelia miała się zjednoczyć i wspólnie dążyć do zemsty i wyzwolenia albo doprowadzić do samounicestwienia.

Pan Mah

Koro Ha

Kilka dni po wizycie Koro Ha w pogrzebanym mieście Sor Cala skryba sędziego Tana przybył po raz pierwszy na jego zajęcia. Był to mężczyzna o wesołej twarzy z różowymi policzkami i wielkimi dołeczkami. Przedstawił się dzieciom jako pan Mah i powiedział im, że przyszedł, by pomagać Koro Ha, choć nie wdawał się w wyjaśnienia, co konkretnie chciał robić. Słuchając jego słów, Quon Lo uniósł sceptycznie brew. Pan Mah usadowił się na krześle w kącie pokoju. Tam ułożył dłonie na brzuchu, przybrał skromy uśmiech i czekał na rozpoczęcie lekcji.

Po krótkim wykładzie o trzech filarach sieneńskiego społeczeństwa, który jego uczniowie przesiedzieli w ciszy, od czasu do czasu rzucając jedynie nerwowe spojrzenia na przybysza, Koro Ha podzielił dzieci w pary i kazał im wymyślać podobne relacje do: ojciec – syn, mąż – żona oraz starszy brat – młodszy brat. Podczas gdy pracowali, on chodził po pomieszczeniu i usiłował nie poddawać się rozpacz na widok pustych miejsc po dziewczynkach. Przysłuchiwał się jednocześnie rozmowom chłopców.

– Nauczyciel – uczeń to tak jak starszy brat – młodszy brat? – spytał Quon Lo.

– Bardziej jak ojciec – syn – dowodził Lon Sa. – Koro Ha zawsze nam mówi, co mamy robić. Zupełnie jak mój ojciec.

– Ale jeśli ojciec nie zgodziłby się, żebyś tu był, nie musiałbyś wcale słuchać Koro Ha – wytknął Quon Lo. – Musisz robić to, co mówi, bo tak ci kazał ojciec, a on musi robić to, co mówi twój ojciec.

– Co? – spytał głośno Lon Sa. – Wcale nie!

Koro Ha poczuł napięcie i zadał sobie w myślach pytanie, czy połączenie tej dwójki w parę było sensownym pomysłem. Wyglądało na to, że radzą sobie lepiej od czasu, gdy zaczęli lekcje z Uonem Elią.

– A właśnie że tak. – Quon Lo zerknął ukradkiem na pana Mah i dodał ciszej:

– Wiesz co? Ja powiem Koro Ha to, co sam myślę, a ty podziel się własnym pomysłem. Zobaczymy, kto ma rację.

Lon Sa zgodził się niechętnie i Koro Ha odetchnął z ulgą, a potem stanął za kolejną parą. Gdy nadszedł czas, by uczniowie przedstawili własne odpowiedzi, uprzejmie poprawił pomysł Lona Sa, pochwalił Quona Lo za wnikliwe rozumowanie i przypomniał całej klasie, że odmienne poglądy oraz dyskusja to najważniejsze elementy procesu uczenia się.

– Do właściwych wniosków dotrzemy tylko wtedy, gdy uważnie przeanalizujemy własne błędy – powiedział i oparł się pokusie, by spojrzeć na pana Mah. – Nie ma nic złego w tym, że się mylimy, pod warunkiem, że umiemy zaakceptować poprawkę ze strony nauczyciela, rodzica czy mędrca.

Zakończył zajęcia godzinnym ćwiczeniem z kaligrafii, po czym dzieci wyszły, by poczekać na rodziców odprowadzających je do domu. Pan Mah wstał i pożegnał wszystkich uczniów skinieniem, uśmiechając się przy tym szeroko, a gdy wyszli, nabrał tchu i z podobnym uśmiechem odwrócił się do Koro Ha.

– Twoja decyzja, żeby pozwolić dzieciom omawiać doktrynę w parach przed poprawieniem ich błędów, jest... – Skryba zmarszczył brwi, jakby nagle ogarnęła go troska. – Ile oni mają lat? Osiem? Czy oni w ogóle mają możliwość zrozumienia tych pojęć na tyle dobrze, żeby móc o nich rozmawiać?

– Skądże znowu – powiedział Koro Ha. – Ale ja nie przekazuję jedynie wiedzy, tylko trenuję ich w myśleniu. Muszą się przyzwyczaić do samodzielnego pojmowania tych idei, jeśli mają odpowiadać na złożone pytania z doktryny na imperialnych egzaminach.

– Rozumiem. – Pan Mah pokiwał głową i dotknął palcem podbródka. – Ale zastanawiam się, czy ta metoda nie przyczyniła się w jakiś sposób do porażki twojego najzdolniejszego ucznia, obecnie pohańbionego rebelianta.

Skryba zachichotał do siebie, a Koro Ha poczuł zimny dreszcz. W końcu pan Mah wzruszył ramionami.

– Cóż, muszę przygotować dla sędziego raport do oceny. – Ukłonił się na pożegnanie i udał w stronę bramy ogrodowej. – Miłego dnia, Koro Ha. Do zobaczenia jutro! – zawołał.



– Czułem się niebywale ograniczony – powiedział Koro Ha do Orny Sina wieczorem, gdy czekali przy bramie do ogrodu. – Próbowałem ze wszystkich sił się nie wychylać, ale okazało się, że sama metoda uczenia jest podejrzana.

Wachlował twarz, by odpędzić uparty wieczorny upał, i wpatrywał się w drogę, szukając wzrokiem światła latarni.

– Nie wiem, jak długo zdołam to podtrzymać.

– Oni już uważają, że jesteś zamieszany w wydarzenia w An-Zabat, nawet jeśli nieświadomie – powiedział Orna Sin. –

Zawsze bez cienia dowodów posądzali mnie o podejrzone interesy wszelkiego typu, pomimo moich starań, żeby utrzymać pozory zwykłego, przestrzegającego prawa kupca. Sam to widziałeś na pokładzie Chyżości.

– Tym bardziej powinniśmy unikać niepotrzebnego ryzyka – mruknął Koro Ha, wpatrując się w rozmówcę nieufnie.

Orna Sin westchnął, opadł na ławkę obok bramy i splótł dłonie.

– Zgodzę się, że naszym działaniom towarzyszy ryzyko, ale robimy najważniejszą rzecz na świecie, Koro Ha. To dlatego tu jesteśmy i dlatego żyjemy. Musimy dołożyć wszelkich starań, żeby prawdziwa kultura Toa Alon trwała dalej po naszej śmierci.

Koro Ha zgodził się niechętnie, choć nie uśmierzyło to jego niepokoju. To, że ryzykowne działanie było jednocześnie słuszne, nie czyniło go wcale mniej przerażającym.

W końcu na drodze pojawiło się światło, a Koro Ha rozpoznał po chwili ojca Quona Lo, żyłastego mężczyznę o surowej minie. Był dobrze odziany, ale jego oblicze zdradzało, że okres względnego powodzenia poprzedziły długie lata ciężkiej harówki. Za nim dreptał Quon Lo w szkolnym ubraniu. Na jego buzi widniał grymas niezadowolenia.

– Witaj, mistrzu Koro Ha. Witajcie, panie Orna Sin – powiedział ojciec Quona Lo.

– Witajcie – odparł Orna Sin i uściśnął wyciągniętą dłoń gościa na modłę Toa Alon. – I dziękuję za wyrozumiałość.

Ojciec Quona Lo zacisnął mocno usta i pokiwał głową. Spojrzał na Koro Ha.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało z twoim uczniem. Zapewne nie wymaże to twoich zmartwień, ale wiedz, że wielu z nas ma teraz o tobie tylko lepsze zdanie.

Koro Ha próbował ukryć swój szok.

– Miło mi to wszystko słyszeć, ale skąd to przekonanie?

– Umieściłeś tego Wena Olchę wysoko w hierarchii imperium
– powiedział ojciec Quona Lo – a jednocześnie nie zmuszałeś go do tego, żeby porzucił własne przekonania. To niełatwe zadanie.

– Nie wiem, czy mogę przypisać sobie zasługi za to.

Ojciec Quona Lo zachichotał.

– A teraz okazujesz fałszywą skromność, jakże uwielbianą przez Sieneńczyków. – Popchnął syna naprzód. – No, idź ze swoim nauczycielem i panem Orną Sinem. Zabiorą cię na lekcje naszej kultury.

Quon Lo mruknął coś pod nosem i skrzyżował ramiona.

– A to co? – Głos ojca stwardniał.

– Powiedziałem, że ja i Ola Nin byliśmy w połowie zabawy. To nie w porządku, że muszę mieć lekcje dwa razy dziennie.

– Kto ci powiedział, że coś ma być w porządku? – spytał ostro ojciec.

Quon Lo prychnął.

– Ja chcę do domu.

– Hej! – Ojciec popchnął go bardziej stanowczo. – Nie okazuj braku szacunku nauczycielowi.

– Quon Lo – powiedział Koro Ha – co jest pierwszym filarem społeczeństwa?

Quon Lo spojrzał na niego ponuro, a potem nabrał głęboko tchu, a jego ramiona opadły.

– Wybacz, tato – mruknął.

– Siadaj. – Orna Sin poklepał ławkę obok siebie. – Opowiedz mi o tej zabawie, podczas gdy będziemy czekać na innych.

Quon Lo zawahał się na moment, a potem wciągnął się na ławkę obok kupca i zaczął mu objaśniać mocno niespójne zasady skomplikowanej gry w lwie węże, morskie smoki i dziesiątki innych mitycznych bestii.

– Imponujące – powiedział ojciec Quona Lo, a na jego surowej twarzy pojawił się uśmiech. – Zawsze był upartym

chłopcem, a tobie udaje się do niego dotrzeć.

Koro Ha jedynie pochylił głowę i przyjął komplement. Chwilę później ojciec chłopca pożegnał się z nim i odszedł. Po chwili pojawiła się reszta z piątki wyznaczonej do pobierania nauk z kultury i tradycji Toa Alon, wszyscy w różnych stadiach rozespania, złości i ekscytacji. Dołączyła do nich Tul Elna, a chłopcy zgromadzili się wokół niej i opowiadali jej o wszystkim, co straciła z lekcji. Szeptali też o dziwnym mężczyźnie, który odwiedził ich lekcje. Lon Sa wydawał się najbardziej podekscytowany ze wszystkich, jakby chodzenie do szkoły dwa razy dziennie stanowiło dla niego przygodę, a nie utrapienie.

Dzieci już wiedziały o ukrytych drzwiach w zagajniku drzew tekowych. Rozmawiały teraz podekscytowane, pokazując sobie różne nocne dziwy w ogrodzie. Coś przemknęło nieopodal nich, a zasypany pytaniami dzieci Orna Sin wyjaśnił, iż właśnie widziały jednego z czerwonych szopów, których stadko mieszkało w ogrodzie.

– Nie, nie sprowadziłem ich tu, w przeciwieństwie do innych zwierząt – opowiadał. – Po prostu jakoś się tu dostały i już nie chciały wyjść.

Dzieci ucichły dopiero w drodze po drabinie do bogato zdobionego tunelu. Z sufitu zwisały lampy, które wypełniały pomieszczenie ciepłym blaskiem, ale mimo to ryty kryły się w gęstych cieniach, wśród których łatwo sobie było wyobrazić starożytnych bogów i duchy.

W końcu znaleźli się pod przechyloną kolumną, gdzie czekał Uon Elia. Podobnie jak w korytarzu, tu również stały lub wisiały latarnie, ale przestrzeń do oświetlenia była o wiele większa i górne partie kopuły nadal spowijały cienie przypominające pajęczyny. Orna Sin podszedł i pierwszy uścisnął dłoń Uona Elii, a każde z dzieci powtórzyło gest po nim. Po powitaniu dzieci rozsiadły się na matach rozłożonych przed mówcą kamieni.

Uon Elia omiótł ich wszystkich ciepłym, zapraszającym spojrzeniem.

– Nie powinniście spać w łóżeczkach? – rzekł z szerokim uśmiechem.

Dzieci zachichotały i rozsiadły się wygodniej, a Uon Elia rozpoczął opowieść o ogrodniku, uzdrowicielu i kamieniarzu z mitów Toa Alon. Była to spokojna, romantyczna i miejscami zabawna rozmowa o trzech młodych ludziach z gór, z których każdy próbował zbudować własną wieś w lesie, a tam trudnić się własnym fachem, należącym do trzech najstarszych i najbardziej typowych dla Toa Alon. Mit, tak jak wiele innych, obrazował różne warstwy tożsamości składających się na archetyp Toa Alon.

Koro Ha, który stał za dziećmi, naraz nawiedziło mgliste wspomnienie z wczesnego dzieciństwa, kiedy matka opowiadała mu tę samą historię, zanim jeszcze nauczyciel Zhen otworzył swoją szkołę i Koro Ha odrzucił poczucie własnej wartości na rzecz standardów obowiązujących na imperialnych egzaminach.

– Czy ty płaczesz, Koro Ha? – szepnął Orna Sin.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to robimy – powiedział Koro Ha cicho. – Masz rację. Nie możemy się poddać tylko dlatego, że zadanie jest niebezpieczne.

Orna Sin uśmiechnął się i poklepał Koro Ha po ramieniu. Kamieniarz właśnie kładł fundamenty pod to, co pod koniec opowieści miało się stać wielkim miastem, w którym teraz stali, pogrzebanym przez imperium, ale nie zniszczonym.



Przez pierwsze tygodnie Koro Ha walczył z przybierającym na sile pragnieniem, by złapać pana Mah i strząsnąć mu uśmiech z ust. Mimo to nadal pracował i zmieniał metody pracy w reakcji na komentarze wygłaszane od czasu do czasu przez skrybę. Zawsze towarzyszyły im mało subtelne aluzje, iż to konkretne niedociągnięcie w prowadzeniu zajęć mogłoby wyjaśnić zdradę Wena Olchy.

Choć podsłuchujący skryba nie przestawał go irytować, tygodnie zamieniły się w miesiące, a po upływie pół roku Koro Ha zaczął doceniać intelektualne wyzwanie, jakie stwarzała jego obecność. W umyśle nauczyciela szkoła stała się czymś na kształt sztuczki iluzjonisty. Codzienne lekcje Koro Ha, choć oczywiście ważne, miały teraz za zadanie odciągnąć uwagę skryby od Uona Elii. Gdyby program nauczania za bardzo odpowiadał oczekiwaniom pana Mah, ten zacząłby podejrzewać, że nauczyciel specjalnie modyfikuje lekcje, by coś ukryć. Koro Ha celowo wybierał więc takie metody, co do których mógł się upierać, iż są korzystne, choć wiedział, że pan Mah uzna je za dziwne lub nawet sprzeczne z doktryną. W tym celu, jak to było z Wenem Olchą, Koro Ha angażował swoich uczniów w debaty, w których często zmuszał ich do obrony zasadniczych elementów doktryny. Pan Mah zaś ostrzegał nauczyciela przed tą metodą, od chwili gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

– Jeśli usłyszają swojego nauczyciela krytykującego słowa mędrców, wiara w doktrynę zacznie w nich słabnąć – złościł się skryba po pierwszej takiej lekcji. – Musisz natychmiast zerwać z tą metodą.

– Ale przecież dobieranie argumentów w obronie jakichś wartości to najlepszy sposób na wzmocnienie rozumienia tematu. Nie chcę tu podważać ich zaufania do słów mędrców, panie Mah, a jedynie pomóc uczniom w należywym zrozumieniu

ich geniuszu. Jeśli sędzia Tan sobie tego zażyczy, chętnie przedstawię mu zalety tej metody.

Pan Mah spojrział na niego złowrogo, nie siląc się już na uśmiech, ale nie powiedział ani słowa i nie powracał do tematu.

Wizyty kapitan Yin Ili sprawiały Koro Ha znacznie mniej przyjemności. Gdy pojawiła się w ogrodzie po raz pierwszy, zauważył ją, dopiero gdy dostrzegł zagadkowe spojrzenia pana Mah, którymi ten obrzucał ścieżkę. Wtedy Koro Ha dostrzegł Yin Ilę opartą o drzewo i przyglądającą się bacznie nauczycielowi. Uśmiechnęła się do niego i ruszyła przed siebie, by wypełnić zadanie, które sprowadziło ją do posiadłości.

– Znasz tę dziwną kobietę? – spytał pan Mah.

Koro Ha miał ochotę przekląć żeglarzkę. Kobieta zachowująca się tak bezczelnie, a do tego nosząca ubrania, które w oczach Sieneńczyka wydawały się męskie, całkowicie zaprzeczała zasadom przyzwoitości, których usiłował uczyć w tym ogrodzie, a które odebrały Tul Elnie i innym dziewczynkom miejsce w szkole.

– To agentka handlowa Orny Sina – powiedział nonszalancko.

– Rzadko się zdarza, żeby kobiety się tym zajmowały, ale Orna Sin uważa ją za zdolną i godną zaufania. Nadal trzyma się niektórych dawnych tradycji Toa Alon.

– Oczywiście – zamyślił się pan Mah. – A mimo to finansuje sieneńską szkołę.

Koro Ha zeszywniał.

– Dorastał w trudnych okolicznościach. Poza tym czy mędrcy nie twierdzą, że dobroczynność to zaleta, panie Mah? Czy Orna Sin potrzebuje innych powodów niż współczucie dla dzieci, które w przeciwnym razie nigdy nie zdobyłyby wykształcenia?

– I to dlatego opuściłeś Fortecę u Podnóża Gór, mistrzu Koro Ha? – Uśmiech, ton głosu i postawa pana Mah stwarzały wrażenie, iż toczy spokojną, przyjazną rozmowę, ale pytanie dopiekło nauczycielowi do żywego.

– Istniało wiele powodów – rzekł, ostrożnie dobierając słowa.
– Nigdy dotąd nie było Dłoni, który wywodziłby się z Toa Alon. Chciałem wykształcić pierwszego z nich, ale nie jestem już młodym człowiekiem. Im więcej mam uczniów, tym większa szansa na znalezienie idealnego klejnotu, który pomoże mi zrealizować ten cel.

– Piękna ambicja. – Pan Mah pokiwał głową i dotknął podbródka. – Jednak miejmy nadzieję, że cię nie oślepi. Mógłbyś wówczas przeoczyć niektóre skazy na owym klejnocie, co raz już miało miejsce.

– Wszyscy uczyliśmy się na błędach, panie Mah.

Skryba odpowiedział jedynie uśmiechem, a ta rozmowa kosztowała Koro Ha cały tydzień bezsennych nocy.



Pomimo dociekliwości pana Mah piątka dzieci wybranych na tajne lekcje odwiedzała posiadłość raz w tygodniu. Uon Elia omówił już z nimi mitologię i przeszedł do pisma Toa Alon, opartego na supłach i pętelkach wiązanych na długich sznurkach. Podobnie jak skrybowie Toa Alon z dawnych czasów, dzieci zaczęły kreślić węglem na papierze z kory drzewnej, a gdy Uon Elia uznał, że są gotowe, by pozostawić trwały ślad w świecie, przeszły do korzystania z dłuta i kamienia. Lon Sa, który zawsze był najlepszy z kaligrafii, zafascynował się falistymi wzorami z tradycji Toa Alon i wkrótce potrafił odczytać fragmenty z zapisów ciągnących się w tunelu pod ogrodem Orny Sina.

Gdy Koro Ha patrzył na to, jak Uon Elia uczy dzieciaki, przypomniał sobie, jak uczył go pisać jego ojciec. Wspomnienie obudziło w nim bolesną nostalgię – pamiętał już, jak siedział

łokieć w łokieć z ojcem i patrzył, jak ten kreśli linie i wypowiada powoli każdą sylabę. Nabyta w ten sposób wiedza uleciała w niepamięć, gdy Koro Ha zaczął się kształcić pod okiem nauczyciela Zhena, co oczywiście pogłębiło niechęć ojca wobec Sienu i zapoczątkowało rozpad ich zażyłości, która niebawem przerodziła się w cichą wrogość.

Koro Ha odbudowywał teraz utraconą wiedzę. Przysłuchiwał się Uonowi Elii i najlepiej jak umiał zapisywał węzły w notesie. Stopniowo przyzwyczyił się do nowej rzeczywistości, choć pan Mah nieustannie przychodził na jego lekcje, co oznaczało, że sędzia Tan nadal nie był w pełni usatysfakcjonowany z jakości jego uczenia. Lub być może obaj czekali na błąd, który przypieczętuje jego los i położy kres szkole.

Taki błąd pojawił się w końcu po siedmiu miesiącach działania szkoły, i to w całkiem nieoczekiwanych okolicznościach. Koro Ha nigdy nie darował sobie, że go nie przewidział. Dzieci chcąc nie chcąc zawsze zaczynają się nudzić. A gdy rozwiną w sobie pasję do zabawy, rzemiosła czy książki, nie można ich od tego oderwać. W chwili gdy zostawi się je samopas, bez wahania zaczną się tej pasji oddawać.

I to właśnie ów moment pobłażania wobec dzieci zdradził sekret szkoły Toa Alon.

Konsekwencje

Koro Ha

Pewnej nocy na początku wiosny, niedługo po tym, jak na wyspie zwanej Nayen na nowo wybuchło powstanie, które o mały włos nie zakończyło się klęską pod Twierdzą Szarego Mrozu, Koro Ha i Orna Sin siedzieli, paląc fajki i popijając ryżowe wino w Pawilonie Fundamentów Cierpliwości, niewyszukanej budowli udekorowanej na modłę Toa Alon, wychodzącej na gaj kryjący sekretne wejście.

Gdy Orna Sin napełniał ich czarki, wzrok Koro Ha wędrował po ornamentach zdobiących wnętrze budynku. Zaledwie kilka miesięcy temu owe układy nachodzących na siebie pętli i okręgów były jedynie interesującą dekoracją, a teraz Koro Ha odczytywał w nich błogosławieństwa i nadzieje na lepszą przyszłość. Żaden Sieneńczyk, nie licząc może znawcy kultury Toa Alon, by się ich tam nie doszukał.

Patrzył na węzeł, który informował: „Niech ogrody Sor Cala rozkwitną w pełni!”, kolejny głosił: „Niech bogowie o kamiennych twarzach ponownie przemówią do swych dzieci!”, następny zaś brzmiał: „Niech ci, którzy tu zasiadają, poznają, czym jest wyzwolenie”.

Orna Sin wiązał z obecnością Koro Ha w tym miejscu wielkie nadzieje od samego początku, ale nauczyciel zanadto oddalił się

od swojej własnej kultury, by móc to dostrzec. Przypomniawszy sobie wizytę jego rodziny w ogrodzie i moment, w którym zachowanie Yana Hry zmieniło się diametralnie, gdy jego palce musnęły dokładnie te same znaki.

– Dziękuję ci – powiedział.

Orna Sin wydmuchnął chmurę dymu przez nos i uniósł brwi.

– Za co?

– Za to, co tu robisz. – Koro Ha zmienił pozycję, czując się nieco niezręcznie, ale kontynuował: – I za to, że za twoją sprawą stałem się częścią tego wszystkiego.

Orna Sin zachichotał. Uniósł butelkę i wskazał czarę Koro Ha, a ten podsunął mu ją bliżej.

– Nie wiem, czy naprawdę zasługuję na podziękowania – rzekł Orna Sin, napełniając naczynie. – Zawsze udawało mi się znaleźć dobre okazje tam, gdzie inni nie wiedzieliby, gdzie szukać. Ten tunel z początku był jedynie kolejną inwestycją.

Zaczął napełniać własną czarę i potrząsnął głową.

– Z początku był to jedynie korytarz, który prowadził ku zaginionemu skarbcowi. Rzeźbiarzy, którym powierzyłem zadanie wykonania rytów, sprowadziłem trzy lata później. Ojciec Quona Lo był wśród nich. Zżerało mnie poczucie winy. Wzbogaciłem się, rabując skarb naszego upadłego miasta, a więc postanowiłem, że oddam coś naszemu ludowi, nawet jeśli miało to być jedynie zatrudnienie ludzi, którzy nadal uprawiali nasze rzemiosło, żeby zrobili coś pięknego, choć skrytego przed oczami innych.

Ze stuknięciem postawił butelkę na ławce obok niego.

– Uona Elię spotkałem dopiero rok później, gdy wraz z górnikami przedzieraliśmy się przez gruz. Natrafiliśmy na tunele, które on i inni mówcy kamieni wykonali nieco wcześniej. – Wypuścił powietrze przez nos i uśmiechnął się, a potem uniósł czarę do toastu. – W tym akurat niewiele się różnimy. Zaangażowaliśmy się w tę sprawę z własnych

powodów. Tobą kierowała ambicja oraz, być może, urażona duma, bo przecież imperium nie chciało uznać twojego wielkiego talentu. Mnie popychała do działania uraza i chciwość, coraz silniejsze, w miarę jak docierała do mnie świadomość straty, aż znalazłem Uona Elię i uświadomiłem sobie, co mogę tu osiągnąć.

– A więc za wszystko, co zostało stracone – powiedział Koro Ha i stuknął czarką o naczynie Orny Sina. – I za wszystko, co udało nam się znaleźć.

Orna Sin uśmiechnął się i obaj spełnili toast, nie mając pojęcia, jak szybko to wszystko znów mogło zostać stracone.



– Wędrujący Wąskim Traktem był od urodzenia zwykłym człowiekiem. – Koro Ha powoli kroczył od jednej ściany do drugiej. Dłonie trzymał splecione z tyłu i co rusz spoglądał na swoich uczniów, by mieć pewność, że wszyscy uważają.

Za nimi na swoim stołku czuwał pan Mah, który przyglądał się lekcji w milczeniu. Na jego ustach widniał blady, pusty uśmiech.

– Kiedy ów chłopiec, który w przyszłości miał się stać Wędrującym Wąskim Traktem, był niewiele starszy od was, natknął się na głodującego urzędnika, który stracił pracę. Powodem była jedna z wielu wojen, które wstrząsały wówczas Sieniem. Urzędnik błagał chłopca o jedzenie, ale ten, od zawsze ciekawy i skupiony na nauce, zaproponował handel. Zauważył bowiem, że urzędnik pomimo swojej biedy dźwigał stos książek przewiązany sznurkiem. Tamten z początku protestował, ale jego żołądek w końcu wygrał starcie z umysłem i urzędnik oddał chłopcu podręcznik do nauki logogramów i egzemplarze

„Księgi praw” i „Księgi świętej poezji” za koszyk ryżu. Te teksty istniały już wówczas w kanonie, gdyż spisał je sam cesarz. Nie było jeszcze wtedy egzaminów, a więc syn wieśniaka nie miał szans na awans w imperium, ale chłopiec nie chciał pozwolić, żeby wąskie horyzonty życia na wsi ograniczały jego nieskończoną ciekawość. Wędrujący Wąskim Traktem przekonał kiedyś wędrownego lekarza, żeby ten wynajął go jako pomocnika do noszenia kufra z lekami i sporządzania notatek. Miał nadzieję, że podróżując ze staruszką, nauczy się wszystkiego i być może, jeśli mu szczęście dopisze, któregoś dnia dotrze do Fortecy Centralnej i uklęknie u stóp samego cesarza, który napisał tak wspaniałe książki. Podczas swoich podróży Wędrujący Wąskim Traktem obserwował życie różnych ludzi w imperium. Zauważył, że źle wypełniane obowiązki jednego członka społeczności, bez względu na to, czy był to sędzia prowincji, czy też syn rybaka, miały poważne konsekwencje i burzyły harmonię naokoło. Dostrzegł też, że zaburzenia harmonii prowadzą do tego, że społeczności stają się bezbronne wobec rozmaitych niebezpieczeństw, tak zewnętrznych, jak wewnętrznych. Spisał swoje obserwacje w aforyzmach, które zbierał stopniowo w „Klasykach strumieni i dolin” oraz „Klasykach żywych i martwych”, dwóch najważniejszych pismach sieneńskiej doktryny. Pewnego dnia, długo po tym, jak rozstał się ze starym lekarzem, Wędrujący Wąskim Traktem spotkał trzech łowców w samym sercu Sienu, którzy podchodząc jelenia, zostali osaczeni przez watahę wilków. Przywódca grupy, wysoki i elegancki mężczyzna w jedwabiach lepszych od tych, które nosili sędziowie, został ranny podczas odpędzania wilków. Wędrujący Wąskim Traktem zaproponował im swoją medyczną wiedzę. Elegancki pan, głęboko wdzięczny za pomoc, przedstawił się jako siostrzeniec samego cesarza. Zaproponował Wędrującemu Wąskim Traktem bogactwo, ziemię albo żonę z dobrego rodu, ale ten tę

propozycję odrzucił. Zamiast tego poprosił o coś, o czym marzył od dawna – o audiencję. Niedługo później Wędrujący Wąskim Traktem spotkał się z cesarzem Sienu i okazawszy należyty szacunek, podarował mu spisane przez siebie traktaty. Przypadek lub przeznaczenie sprawiły, że cesarz przeczytał je jeszcze tej samej nocy i myślał nad nimi do rana, kiedy to wezwał Wędrującego Wąskim Traktem i opowiedział mu o swoim wielkim projekcie, któremu miały dać początek książki kupione przez Wędrującego Wąskim Traktem od wyrzuconego z pracy urzędnika. Cesarzowi przyszło bowiem do głowy, żeby stworzyć filozofię, która miałaby zjednoczyć nie tylko królestwa Sienu, ale cały świat. Zaprosił Wędrującego Wąskim Traktem, żeby został w akademii, którą cesarz miał zamiar w tym celu zbudować. Teraz jest nią Wschodnia Dzielnicą Akademicką, część Fortecy Centralnej, większa od całego Sor Cala, gdzie uczeni z całego imperium udoskonalają kanon własnymi przemyśleniami i obserwacjami świata. A dzisiaj – Koro Ha zatrzymał się, by podnieść pęk papierów z biurka – będziecie czytać i kopiować jeden z najślawniejszych i najważniejszych aforyzmów Wędrującego Wąskim Traktem.

W klasie rozległ się stłumiony jęk, w którym Koro Ha usłyszał przede wszystkim głos Quona Lo, któremu nadal nie szła kaligrafia, choć świetnie radził sobie z innymi przedmiotami.

– Żadnych skarg! – Koro Ha zmarszczył brwi, udając surowość, po czym uśmiechnął się łagodnie. – Nie dość, że udoskonalicie sztukę pisania, to jeszcze lepiej zapamiętacie aforyzm, który pojawi się wielokrotnie podczas egzaminów, zapewniam was.

Położył arkusz na każdej ławce, a potem jak zwykle zaczął chodzić po klasie i przyglądać się pracy. W pomieszczeniu słychać było chrobot przygotowywanego atramentu i szelest papieru układanego pod ciężarkami. Na każdym arkuszu widniało zdanie: „Gdy wszystkie rzeczy znajdują się we

właściwym miejscu, światem rządzą pokój i harmonia. Gdy rzeczy wypadają z ustalonego porządku, pojawia się chaos i nieład”. Pod cytatem ciągnęło się sześć linijek, które uczniowie mieli wypełnić własnym tekstem. Dzieci przystąpiły do pracy, a Koro Ha chwalił ich pilność oraz umiejętności i poprawiał zarówno zwykłe bazgroły, jak i równe linijki tekstu. Lon Sa jak zwykle skończył jako pierwszy.

– Doskonała robota – rzekł Koro Ha i wręczył chłopcu pustą kartkę. – Twoi koledzy jeszcze pracują, a więc możesz sobie poćwiczyć pisanie innych aforyzmów.

Lon Sa wziął arkusz i przystąpił do pracy, a Koro Ha powrócił do krążenia po klasie. Przystanął przy Quonie Lo, by poprawić jakiś jego logogram, a potem ukląkł obok Kana Ina, który nadal miał trudność z wieloma podstawowymi znakami. Wtedy pan Mah podniósł się ze stołka. Z dłońmi splecionymi z tyłu i miną wyrażającą łagodne zaciekawienie skryba zaczął powoli krążyć po pawilonie. Zdarzało mu się to robić od czasu do czasu i Koro Ha, który śledził wszystkie jego ruchy, wcale nie poczuł się tym zaniepokojony.

– Ciekawe – powiedział pan Mah na tyle głośno, by Koro Ha go usłyszał. – Mogę spytać, Lon Sa, co ty rysujesz?

– To nie rysunek – mruknął Lon Sa.

– Doprawdy? – Pan Mah klęknął obok chłopca. – A więc co to jest?

Koro Ha walczył z ochotą, by się nagle wyprostować. Pomógł Kanowi z narysowaniem kolejnego logogramu, pochwalił jego pracę, wstał i skierował się do Lona Sa i pana Mah, siląc się na swobodny krok. W chwili gdy zerknął na arkusz Lona Sa, krew zastygła mu jak woda wyrzucona w powietrze w samym środku zimowego dnia.

Zamiast kanciastych kształtów sieneńskiego logogramu symbol narysowany przez Lona Sa był pełen falistych linii i zaokrągleń typowych dla Toa Alon.

– Nieźle. – Koro Ha miał nadzieję, że pan Mah nie zwrócił uwagi na drzenie w jego głosie.

– To pismo – powiedział niepewnie Lon Sa.

– Coś podobnego. – Pan Mah przeniósł spojrzenie na Koro Ha i uśmiechnął się szerzej.

– Ojciec Lona Sa to kamieniarz – powiedział Koro Ha, co było kłamstwem, ale nic innego nie przychodziło mu do głowy. – Nadal uprawia sztukę typową dla Toa Alon. Chłopiec przypuszczalnie zauważył takie rzeczy w domu.

– Rozumiem. – Pan Mah dotknął podbródka i pokiwał głową, a potem wskazał gestem dzieło chłopca. – Przypomnij sobie, co mówili mędrcy, mały Lonie Sa. Czy to odpowiednie miejsce na takie bazgroły? Zdumiewa mnie, że wasz nauczyciel pozwala na takie odstępstwa od imperialnej doktryny! Przypomnę wam, że barbarzyńskie naleciałości podbitych kultur źle wpływają na czystość myślenia!

W kącikach oczu chłopca pojawiły się łzy.

– Ale...

– A teraz chcesz się ze mną sprzeczać, skoro relacja między nami przypomina tę między młodszym a starszym bratem? – Pan Mah z trzepotem rękawów wycelował palec w twarz Koro Ha. – Czy tolerowałeś takie wywrotowe postawy u twoich wcześniejszych uczniów, Koro Ha? Czy tutaj należy upatrywać źródła tragedii w An-Zabat?

Umysł Koro Ha wirował szaleńczo w poszukiwaniu odpowiedzi, która mogłaby uśmierzyć przybierający na sile gniew pana Mah, a nie pogorszyć sytuację.

– Mylisz się! – Quon Lo zerwał się na równe nogi.

Pan Mah uniósł ciężkie powieki. Powoli odwrócił się w stronę Quona Lo, który stał z zaciśniętymi pięściami i drżącą wargą.

– Doprawdy? – Pan Mah splótł dłonie na brzuchu w pozycji, która przypominała Koro Ha żmiję gotową do uderzenia. – W jakiej to sprawie, jeśli mógłbyś mi wyjaśnić?

– Quon Lo po prostu staje w obronie nauczyciela – powiedział Koro Ha. – Co jest słuszną decyzją, bo mędracy...

– Chcę, żeby to chłopiec wyjaśnił – rzekł pan Mah. – Dalej, Quon Lo. W czym się mylę?

Quon Lo oddychał ciężko. Stał z szeroko rozchylonymi nozdrzami, patrząc z wściekłością to na pana Mah, to znów na Koro Ha.

– Ten ornament jest bardzo ładny – powiedział Quon Lo. – Dlaczego nie powinniśmy pisać za jego pomocą?

Serce Koro Ha zalała fala emocji, od dumy aż po przerażenie, ale nie mógł otrząsnąć się z przeświadczenia, że dzieje się coś niedobrego.

– Wygląda na to, że nie udało ci się nauczyć ich choćby jednego z zasadniczych elementów doktryny. – Głos pana Mah ociekał trucizną. Stał wyprostowany, pełen moralnego oburzenia. – Cóż za wspaniała okazja, żeby poprawić swój błąd. Dalej, Koro Ha. Wyjaśnij temu chłopcu, dlaczego już nigdy nie powinien używać bardziej prymitywnych alfabetów.

Koro Ha bez trudu mógłby przytoczyć właściwy ustęp z wykutej w dzieciństwie doktryny, przez którą duma, z jaką ojciec mówił o swoim fachu, zaczęła wydawać mu się idiotyczna i godna pogardy. Nigdy naprawdę w nią nie wierzył, ale akceptował ją jako ideę, którą należy zapamiętać, powtarzać i bezkrytycznie wdrożyć do sposobu myślenia, by móc awansować w świecie.

Skryba stał przed nim i wpatrywał się w niego, kwestionując i katalogując każdą chwilę zwłoki czy wahania. W jego oczach Koro Ha ujrzał już wyrok. Pan Mah podjął już decyzję i zamierzał napisać w swoim raporcie, iż w najlepszym razie szkoła nie zdołała dostarczyć wychowankom właściwego wykształcenia, a w najgorszym doprowadziła do upadku ich morale. W obu tych przypadkach powinna zostać natychmiast

zamknięta, a nauczyciela należałoby wtrącić do więzienia za sprowadzanie nieletnich na złą drogę.

Przypomniał mu się cytat z Wędrującego Wąskim Traktem: „Czy nie lepiej zmierzać ku wierzchołkom gór, niż osiedlać się wśród wzgórz?”.

– I jak będzie, Koro Ha? – spytał pan Mah. – Nie poprawisz ucznia?

– Quon Lo zachował się wobec ciebie nieelegancko i bez należytego szacunku. – Koro Ha sam nie wierzył w to, co mówi. – Niemniej chłopiec ma trochę racji.

Pan Mah przechylił głowę.

– Słucham?

– „Księga świętej poezji” podkreśla wyższość sieneńskich logogramów nad innymi systemami pisma, jeśli chodzi o elegancję, klarowność i wyszukanie – mówił Koro Ha. Jego serce biło mocno, ale nie tylko ze strachu. Po raz pierwszy od czasu swojego egzaminu czuł ekscytację nawiedzającą go w chwilach intelektualnych wyzwania, od których zależała jego przyszłość. – Jeśli chodzi o dyskusję, analizę, wspomnienia lub jakąkolwiek interakcję z ideami zawartymi w sieneńskim kanonie, nie ma wątpliwości, że sieneńskie logogramy przeważają nad każdą formą wyrażania myśli. Dowodem są trudności, na które natrafiamy nawet przy najbardziej zaawansowanych próbach przełożenia myśli klasyków na jakikolwiek inny język.

Pan Mah otworzył usta, chcąc zabrać głos, ale Koro Ha mówił dalej, jak gdyby tego nie zauważył. Odwrócił się i zaczął kroczyć, udając, iż porwała go głęboka kontemplacja, choć w głębi duszy pragnął rzucić się do ucieczki.

– Należy więc logicznie wywnioskować, że skoro pismo sieneńskie idealnie nadaje się do wykładania sieneńskich idei, inne systemy pisma przekazują treści macierzystych kultur. Niewykluczone więc, że pismo Zabatańczyków idealnie ujmuje

subtelności związane z handlem i wymianą towarów czy też życia w świecie kształtowanym przez wiatr, piasek i upał. – Nie przestawał mówić, choć wiedział, że pan Mah zlekceważy jego argumenty, nawet jeśli okażą się genialne. Walczył, choć wiedział, że nie ma szans na zwycięstwo. – Czy hodowcy koni w sercu Sienu nie wypracowali metody wplatania rodowodów i zalet przeznaczonych na sprzedaż rumaków w ich grzywy za pomocą girzańskiego alfabetu węzłów, co przejęli później girzańscy władcy koni? Czy więc alfabet Toa Alon nie może być ładny, jak ujął to Lon Sa, ale nieprzetłumaczalny na sieneński sposób myślenia? Czy nie nadaje się bardziej do uchwycenia niektórych właściwości kamienia, drewna czy górskich warunków, które po prostu nie przyszły na myśl cesarzowi, gdy ten tworzył dla nas sto tysięcy logogramów w Fortecy Centralnej? Zgodnie z cytatem, nad którym pracują właśnie nasi uczniowie, rzeczy na tym świecie mają swoje miejsce i swoją funkcję. Czy nie...

– Wszyscy wiemy, że zdołałeś zdać egzaminy, Koro Ha – parsknęła pan Mah. – To, że argument da się stworzyć, wcale nie oznacza, że to argument prawdziwy. Poza tym ignorujesz jeden element doktryny: wiedza cesarza nigdy, ani przez krótki moment nie była niczym ograniczona. Obojętnie, gdzie tworzył swoje logogramy, tu czy na środku morza, nie uciekłyby mu żaden niuans znaczeniowy, ani też żadna subtelność poetycka warta uwagi. Wszystko, co należy poznać, zostało wprowadzone do naszego systemu logogramatycznego.

– Skoro to prawda, to czemu cesarz wezwał Wędrującego Wąskim Traktem po przeczytaniu jego aforyzmów? – Koro Ha zacisnęła zęby. – Dlaczego Wschodnia Dzielnica Akademicka w ogóle istnieje, skoro nie ma już nic do odkrycia i cała dostępna wiedza mieści się w umyśle cesarza?

Uśmiech powrócił na usta pana Mah.

– Teraz nie mam już wątpliwości, że nie nadajesz się do uczenia.

Powiódł wzrokiem po sali pełnej uczniów i potrząsnął głową ze smutkiem. Moment uniesienia Koro Ha minął i przerodził się w rozpacz.

– Współczuję wam, dzieci. I współczuję waszym rodzicom, którzy dali się zwieść i zapłacili za to śmieszne niby-wykształcenie, które otrzymujecie. Obiecuję wam, że nie będziecie już dłużej poddawani tej formie wypaczania wiedzy.

Uklonił się, jakby właśnie wyświadczył im przysługę, a dzieci wpatrywały się w niego z oszołomieniem. Jedynie Quon Lo i Lon Sa wydawali się rozumieć, co się stało. Ich oczy wezbrały łzami, gdy pan Mah wyszedł z pawilonu bez kolejnego słowa.

– Przepraszam! – zawołał Lon Sa. Łzy spływały mu po policzkach. Porwał swój arkusz z zamiarem podarcia go na strzępy, ale Koro Ha go zatrzymał.

– Nie, nie! – zawołał i klęknął obok chłopca, po czym skłonił go, by ułożył dłonie na blacie ławki i wypuścił arkusz. Wpatrywał się w faliste linie, które przypieczętowały los jego, Orny Sina i wszystkich, którzy marzyli o wolnym Toa Alon. – To piękna praca, a ty nie zrobiłeś nic złego – dodał.

– Ale wciągnąłem cię w kłopoty! – płakał Lon Sa.

– To nie twoja wina. – Koro Ha ścisnął ramię chłopca. Zrobiłby wszystko, by usunąć ból i poczucie winy, które pan Mah pozostawił w sercach Lona Sa i Quona Lo. Spojrzał na drugiego chłopca, którego twarz nadal przeszywały spazmy wściekłości. – Wszystko w porządku, Quon Lo.

– Nie, wcale nie! – Ramiona Quona Lo unosiły się i opadały, gdy usiłował zdusić szloch. – Imperium teraz będzie próbowało cię skrzywdzić, tak jak skrzywdziło mówców kamienia. Ale to niesprawiedliwe!

Inne dzieci zaczęły szeptać do siebie i rozglądać się z niepokojem.

– To niesprawiedliwe, ale tak wygląda rzeczywistość – rzekł Koro Ha. – Ale nic mi nie będzie, Quon Lo. Przysięgam. Pomóż Lonowi Sa wrócić do domu, dobrze? Na dziś koniec lekcji.

Wypowiedział te słowa, choć sam w nie nie wierzył, i opanował swoje przerażenie na tyle, by dzieci zdążyły się spakować i wyjść. Były już na tyle duże, by mogły wrócić same do domu, ale mimo wszystko odprowadził je do bramy i raz jeszcze życzył im wszystkiego dobrego.

Wciąż zapłakany Lon Sa w przypiływie rozpaczyci zarzucił na niego ramiona, przepaszając szeptem, aż w końcu oderwał się od niego, zgarbił i wybiegł przez bramę. Jego sandaalki klekotały na bruku, a szata powiewała. Quon Lo zaczął jeszcze chwilę.

– Jesteś dobrym nauczycielem – powiedział w końcu i pochylił głowę w niezdarnej wersji sieneńskiego ukłonu. – I nikt mi nie powie, że jest inaczej.

Koro Ha uśmiechnął się i podziękował mu. W chwili gdy chłopiec zniknął za bramą, Koro Ha wreszcie dopuścił do głosu tłumiony strach. Kilkanaście razy wciągnął głęboko powietrze, aż odnalazł siłę, by się odwrócić, po czym rzucił się biegiem na poszukiwanie Orny Sina.

Lis i wilk

Głupi Kundel

Ostry wiatr, niosący ze sobą resztki zimowego chłodu, szalał po dolinie, szarpiąc żołnierskimi płaszczami. W miarę jak schodziliśmy w dół, lekka pokrywa śniegu na gałęziach sosen stawała się coraz cieńsza, aż widać było spłowiałą zielenią igieł na tle szarości nieba.

Zatrzymałem się na zakręcie drogi, skąd rozciągał się widok na Żelazne Miasto, wznoszące się na wzgórzu w środku doliny, przypominające swoim wyglądem bramę do grobowca. Każdy krok w kierunku dziedzińca garnizonowego był dla mnie jak pazur wbijający się w starą ranę. Nad bramą wisiał ciężki, falujący na wietrze proporzec z czerwonym wilkiem na czarnym tle.

– Nic ci nie jest, chłopcze? – Doktor Sho zwolnił marsz. Okara zatrzymał się, odwrócił łeb i wywalił język.

– Odpoczywam – odparłem i poprawiłem paski plecaka, do którego przytroczyłem część ciężaru Czystej Rzeki. On sam szedł gdzieś między mułami. Nie udało mi się uratować go od niedoli tragarza, choć nosił kanon magii w kieszeni szaty. Mógł w każdej chwili do niego sięgać i trenować korzystanie z trzech wygrawerowanych tam mocy, by przynajmniej zająć się czymś podczas tych trudnych dni.

Łatwiej było mi myśleć o nim, niż rozpamiętywać, co mi wycięto i pozostawiono w kałuży krwi na ulicach tego miasta, nie mówiąc już o rozmyślaniu na temat boju, który nas czekał.

Podjąłem marsz, krok za krokiem, a stare rany nadal się otwierały.



Nad ustawiającą się w szyku armią Lisa wisiało coś upiornego. Przypominała mroczny, niepokojący wiersz, w którym wymieniono logogramy na takie o przeciwnym znaczeniu.

Byłem już tu kiedyś, przyszło mi do głowy.

Nie miałem na myśli jedynie samego miejsca, tej pustej, płaskiej równiny przed murami Żelaznego Miasta, ale również samą historię, którą teraz mogłem opowiedzieć po raz drugi. Otrzymywałem być może kolejną okazję, by odkupić swoje winy, a przynajmniej zacząć leczyć ranę po śmierci Wilgi.

Mieliśmy tylko jeden proporzec. Powiewał niegdyś z belki nad wejściem do domu sędziego w Norze, a teraz zwisał z końca włóczni, która została wyzywająco wbita w ziemię w odległości strzału z łuku oddanego z murów Żelaznego Miasta.

Ze skraju lasu wyleciała wrona. W ślad za nią pomknęło sześć strzał, a ptak, protestując z wrzaskiem, schronił się między drzewami.

– Jaki masz plan? – spytał doktor Sho.

Każdy żołnierz, zarówno z armii broniącej miasta, jak i obozującej pod lasem, mógł stanąć pod dowolnym z dwóch sztandarów, a o jego lojalności wobec poszczególnych przywódców decydowały jedynie czas i geografia.

– Zmuszę ich do rozmów.

– A jak ci się nie uda? – naciskał doktor Sho.

Wuj wyszedł z namiotu dowództwa, by przyjrzeć się umocnieniom. Gdyby nie to, że nie miał konia, wyglądałby tak jak ja pięć lat temu, działając na polecenie Dłoni Przewodnika.

– Układając cholerny wiersz, jestem w stanie wymyślić tylko jedną linijkę naraz – mruknąłem. – Wymyślę coś, gdy nadejdzie pora.



W blasku niewielkiego ognia, który rozpaliliśmy z doktorem Sho i Czystą Rzeką na skraju obozowiska, pojawił się posłaniec. Doktora nie było, bo odszedł, by opatrywać rany i pęcherze najmocniej cierpiącym piechurom. Posłaniec zasalutował mi.

– Król Słońca życzy sobie, żebyś stawił się w namiocie dowodzenia.

Jego słowa zmartwiły mnie, ale jednocześnie roznieciły we mnie nadzieję. Wredny Lis nie rozmawiał ze mną od chwili, gdy rzuciłem mu wyzwanie na poprzedniej naradzie wojennej. Czyli albo miał ochotę posłuchać mojej rady i pertraktować z Wściekłą Wilczycą – a mógł teraz udawać, że pomysł był jego, a nie mój – albo chciał zbadać poziom mojej skruchy i przekonać się, czy okażę mu posłuszeństwo.

– Idziesz? – spytałem Czystą Rzekę.

– Wezwanie dotyczy jedynie ciebie, Głupi Kundlu – powiedział goniec, który palił się już do powrotu, być może mając kolejne zadanie do wypełnienia.

Czysta Rzeka spojrział na mnie znad układanego stosu drewna. Był zaskoczony.

– Dla twojego wuja jestem w zasadzie jedynie mułem jucznym.

– Ale masz doświadczenie i umiesz skłaniać ludzi, żeby odrzucali podejrzenia i współpracowali – powiedziałem. – Będziesz doradzał mnie, a nie jemu.

Goniec westchnął z irytacją, a ja dałem mu znak, by wracał beze mnie. Zasalutował i odbiegł, a Czysta Rzeka spojrział w ślad za nim i potrząsnął głową.

– Cokolwiek powiem, uznają to za głos Sienu.

– Nie masz w sobie ani kropli sieneńskiej krwi – odparłem.

– Krew nie ma z tym nic wspólnego. Twoim wujem kieruje uprzedzenie i z pewnością postrzega mnie jako Sieneńczyka. Niech więc to będzie moja rada. Jeśli chcesz, żeby pracowali wspólnie, musisz usunąć wszelkie fałszywe przekonania, które ich dzielą. – Jego oblicze nabrało gorzkiego wyrazu. – Choć zapewne mają swoje wyobrażenia na ten temat, które mogą to uniemożliwić.

– Twoja wiara we mnie daje mi wielkie wsparcie – mruknąłem. – Dziękuję ci.

Czysta Rzeka wzruszył ramionami i odwrócił się do ognia.

– Obiecuj mi tylko, że nie zmiażdżysz im mózgow, tak jak zrobiłeś to mnie.

Przechyliłem głowę.

– Co to? Współczucie dla wrogów?

– Istnieją rzeczy, których nie możemy życzyć innym – powiedział Czysta Rzeka obojętnie, a ja pomyślałem o Atar i jej reakcji na wymuszony przeze mnie kontakt. Wykorzystywanie transmisji jako środka przymusu, z czego o mało nie skorzystałem przeciwko Czystej Rzece, było brutalną torturą.

Nie miałem ochoty stawać na czele powstania, a tym bardziej nie chciałem przemocą zmuszać jego przywódców do posłuszeństwa, ale stawka była poważna, o wiele poważniejsza od moich moralnych sentymentów.

– Zrobię, co będę mógł – powiedziałem, a Lu Czysta Rzeka pokiwał głową. Zadałem sobie w myślach pytanie, czy moje

słowa były obietnicą, przeprosinami, czy podejmowaną zawczasu próbą wybaczenia samemu sobie.

Opuściłem Lu, czując ciepło na karku. Stworzył język ognia, by rozpalić własny chrust. Ruszyłem w stronę namiotu dowodzenia. Moje myśli uwijały się chaotycznie, a ciało drżało z niepokoju.

Po drodze dostrzegłem Biegnącą Sarne, która ruszała na patrol wraz ze swoim oddziałem. Serce skoczyło mi w piersi na myśl o tym, że będą przechodzić obok starych szybów kopalnianych, gdzie Wilga podążał ku śmierci. Zostały zawałone za pomocą granatów chemicznych, co było jednym z pierwszych rozkazów Dłoni Przewodnika po podbiciu miasta.

Biegnąca Sarna zauważyła mnie. Uniosła dłoń, dotknęła kawałka spalonego drewna przy kołnierzu i sięgnęła po kość noszoną przy pasku. W myślach powiedziałem sobie, że nie powinienem się tak bać. Przecież Biegnąca Sarna ruszała jedynie na patrol, ale nie na dziką, ryzykowną wyprawę jak w opowieściach o dawnych bohaterach.

Namiot dowództwa wychodził na mury Żelaznego Miasta, ledwie kilka kroków za cienkim okopem, który wyznaczał zasięg strzału z łuku. Za każdym razem, gdy wuj wychodził z namiotu, rzucał wyzwanie Wścieklej Wilczycy i jej łucznikom na murach. Łatwo mi było wyobrazić sobie, jak Wilga wytknęłaby strategiczną głupotę takiego działania. Wystarczyłaby przecież chwila nieuwagi lub jedna celna strzała z murów, a tłący się powoli konflikt między dwoma nayeńskimi stronnictwami nagle by się zakończył. Ale mój wuj pomimo swojego sprytu oraz instynktu, bardzo pomocnego w prowadzeniu asymetrycznej wojny, uznał, że symbolika jest ważniejsza od bezpieczeństwa.

Wszedłem do ciasnego namiotu, a tam znów zastałem stół z zarzuconą zetonami mapą Żelaznego Miasta. Wokół wuja tłoczyli się jego przybocznicy – Brązowa Sowa, mężczyzna,

którego nazywałem Sępem, bo jego imienia nigdy jakoś się nie nauczyłem, oraz babcia, która zmarszczyła brwi na mój widok.

– W końcu możemy zaczynać. – Wuj wskazał mi miejsce przy babci, ale ja nie drgnąłem, wpatrzony w mapę Żelaznego Miasta. Wśród oznaczonych symbolem Wściekłej Wilczycy żetonów dostrzegłem bowiem kilka nowych, noszących wiedźmie znaki.

– Czyli chcesz zaatakować? – spytałem. – Nie chcesz nawet dać jej szansy, żeby się ukorzyła?

– Może to zrobić w każdej chwili – odparł surowo wuj.

– A nie sądzisz, że wypadałoby poczynić jakieś kroki, jeśli poważnie rozważasz kwestię sojuszu?

– Rozmawialiśmy już...

– Tak, rozmawialiśmy, a ja wyszedłem z tej rozmowy nieusatisfakcjonowany – podniosłem nieco głos. Zbliżałem się do granicy, której miałem nadzieję nie przekroczyć. Nie miałem wielu powodów, by sobie ufać. W końcu to właśnie tutaj zginął Wilga, i na dodatek za sprawą moich ambicji. Ale nie miałem zamiaru wyrzekać się własnego poczucia sprawiedliwości, by ułatwić pracę innym. Nigdy więcej.

Przyboczni zasłonili wuja. Babcia napięła mięśnie, ale nawet nie drgnęła.

– Kto z nas tu rządzi, siostrzeńcze? – spytał wuj.

– Żaden z nas tak naprawdę nie dowodzi, dopóki Wściekła Wilczyca i jej armia nie dołączą do naszej, bez względu na to, czy ich do tego przekonamy, czy zmusimy – odparłem.

Wuj oparł pięści o stół i wyprostował się. Wyczuwałem ciepło i lekki zapach cynamonu.

– Dobrze – powiedziałem. – Jeśli nie chcesz zacząć negocjacji, ja to zrobię.

Zasalutowałem mu i odwróciłem się doń plecami, gotów zasłonić się tarczą światła. Spodziewałem się, że zaraz uniesie

dłoń i wytryśnie z niej strugę ognia. Nie miałem pojęcia, jak będzie wyglądał kolejny wers w moim dzikim wierszu.

Moc jego magii przygasła. Nie zatrzymał mnie. Wyszędłem z obozu, opanowałem skołatane nerwy i zmieniłem postać.

To nie była moja wina. Ja próbowałem ich ocalić, nawet gdyby trzeba było wywlec jednego po drugim, wyjątych i parskających, z bagna ich własnej głupoty.

Wzniosłem się i pomknąłem nad pobojobowiskiem. Z murów obronnych dobiegł ostrzegawczy dźwięk rogów. Śmignęły strzały, ale te można było przepędzić podmuchem wiatru równie łatwo jak sieneńskie bełty.

Żołnierze rzucali broń i kulili się, gdy mój cień przemykał nad nimi, a potem podnosili się niezgrabnie i wpatrywali we mnie w oszołomieniu – nie robiłem przecież żadnych wrogich ruchów w ich kierunku. Okrążyłem miasto, rozglądając się bystrych oczyma jastrzębia. Wściekła Wilczyca postępowała dokładnie tak jak mój wuj. Ucieczka przed armią Lisa czy schronienie się w rezydencji sędziego było równoznaczne z porzuceniem wszelkich pretensji do Tronu Słońca.

Sieneńska inwazja wiele nauczyła Nayeńczyków, a wśród najważniejszych wniosków znalazł się ten, że nikt nie ma prawa do rządzenia. Liczy się tylko siła, by móc obronić swoje pretensje, bez względu na to, czy rywalem będzie inny pretendent, czy rozrastające się imperium.

Przeszył mnie kurcz towarzyszący fali magii. W moim kierunku zbliżały się dwie postacie – ciężki kruk o szerokich skrzydłach, a za nim sokół z pazurami wzmocnionymi żelazem. Gdybym znał tych dwoje czarowników, sięgnąłbym do ich umysłów, by uświadomić im, że chcę pertraktować. Jednakże widziałem jedynie ich zwierzęce kształty, a więc nie miałem jak zapewnić ich o swoich intencjach.

Wokół skrzydeł kruka rozblęsnął płomień, który pomknął ku mnie. Stworzyłem tarczę ze światła, która przyjęła na siebie

cały impet. Sokół skręcił szybciej od kruka, a także szybciej ode mnie. Przemknął obok mnie, a ja wrzasnąłem z bólu, gdy wydarł mi strzęp mięsa z nogi. Sięgnąłem po błyskawicę. Czułem jej pulsującą moc, ale trzymałem ją przy sobie, choć miałem wielką ochotę od razu zdmuchnąć obu przeciwników z nieba. Ale moim celem było uchronienie nayeńskiej armii przed rzezią, a nie jej wszczynanie.

Kruk zawrócił, by również przystąpić do ataku. Ogień zbierał się już wokół jego rozżarzonych ślepi i spływał po skrzydłach. Sokół złapał prąd powietrza i wzniósł się nade mną, czekając na chwilę, gdy zostanie otoczony i oślepiony przez płomienie, a przez to niezdolny do kolejnego ataku.

Nasz pojedynek nad Żelaznym Miastem mógł trwać jeszcze długo, ale wykorzystałem odpowiednią okazję. Kruk wrzasnął i cisnął ogniem, a ja rozrzuciłem skrzydła szeroko i zawołałem go. Mój przeciwnik zakrakał ze zdumienia, gdy fala gorąca i światła, którą we mnie cisnął, eksplodowała niczym żar rozdmuchany mieczem, a potem pomknęła ku niemu, prowadzona stworzonym przeze mnie podmuchem. Sokół nade mną zanurkował ku językom ognia.

Zmieniłem odrobinę kierunek wiatru, by zmodyfikować trajektorię morderczego nurkowania sokoła i unieruchomić jego skrzydła. Czarne, białe i brązowe pióra buchnęły na boki, gdy oba ptaki zderzyły się i kotłując, poleciały ku ziemi. Miałem nadzieję, że nie są mocno poszkodowane i zdołają wylądować, a sam zyskałem chwilę, by móc podjąć poszukiwania.

Struga światła pomknęła ku mnie, odcinając się jaskrawo od szarego nieba. Zanurkowałem pod nią, a potem pomknąłem tam, gdzie powstała. W porę zrobiłem unik przed dwoma kolejnymi pociskami, a potem zasłoniłem się tarczą przed trzecim.

Na murze stała Wściekła Wilczyca. Jej ramiona spowijał ogień, a na twarzy zamarł wściekły grymas. Blizna, biegnąca aż

po kres szczęki, jaśniała w blasku jej płomieni. Siwe, nierówno przycięte włosy powiewały dziko, a biało-żółte zęby połyskiwały zza wykrzywionych ust.

Zmieniłem postać i wylądowałem kilkanaście kroków od niej. Jej twarz najpierw zdradzała zdumienie, ale mgnienie oka później eksplodowała rozpaczą i wściekłością.

– To ty! – ryknęła. – A co ty tu, do kurwy nędzy, robisz?

– Zaczekaj, Wściekła Wilczyco! – krzyknąłem i uniosłem dłoń i kikut nadgarstka. – Chcę porozmawiać o rozejmie.

Kobieta uniosła ramię, warknęła i cisnęła ogniem. Przyjąłem jej atak na tarczę ze światła. Płomienie buchały z niej pulsującymi falami, a ich gorąco przenikało przez tarczę. Spanikowany zadałem sobie pytanie, czy sama jej furia nie wystarczy, by zniszczyć moją obronę.

– Nie chcę z tobą walczyć! – wykrzyknąłem, ale w odpowiedzi usłyszałem jej śmiech. – Śmierć Chłodnego Szczenięcia była tragedią – dodałem, robiąc krok naprzód. Płomienie rozstępowały się przede mną. – Popełniłem błąd, służąc imperium. Nienawidzisz mnie, i dobrze. Zasłużyłem na to, ale pamiętaj, że wyzwolić Nayen możemy jedynie razem.

– Nie waż się wypowiadać jej imienia. – Głos Wściekłej Wilczycy zmienił się, a w powietrzu rozszedł się zapach cynamonu. Ogień znikł, a razem z nim znikł także napór na moją tarczę. Potknąłem się, a wtedy Wściekła Wilczyca skoczyła ku mnie, rozchylając szeroko wilcze szczęki.

Prawdziwe przerażenie przeszło moje ciało. Po raz pierwszy od czasu, gdy babcia wywlekła mnie z objęć śmierci. Kły Wściekłej Wilczycy błysnęły, ociekając śliną, obrysowując czerń jej paszczy.

Poczułem nagły nacisk transmisji i skurcz w boku.

Jakiś brązowy kształt z przenikliwym wrzaskiem uderzył w ciało Wściekłej Wilczycy, pozbawiając ją równowagi. Kłapnęła zębami w powietrzu, owiewając mnie ciepłym

oddechem. Odwróciła łeb i warknęła na jastrzębia, który wbił się w jej bok, uwalniając z niego strumień krwi.



Wściekła Wilczyca rozchyliła paszczę i sięgnęła po ogień. Poczułem ciepło jej magii, co zwiastowało rychłą eksplozję płomieni mogących spalić napastnika na popiół.

– Nie! – wykrzyknąłem. Serce nadal biło jak szalone, a myśli przyćmiewał strach. Wiedziałem tylko tyle, że śmierć Czystej Rzeki lub Biegnącej Sarny stanie się moją odpowiedzialnością. Mój umysł pospiesznie przeanalizował dolne prądy struktury, wychwytyjąc nieliczne, ale potężne wspomnienia Wściekłej Wilczycy, ciężkie od bólu i nienawiści.

Pospiesznie odnalazłem jej umysł i wypełniłem go murami. Nie przekazywałem żadnych informacji, chodziło mi tylko o to, by odgrodzić ją od magii. Płomienie wokół jej pyska przeobraziły się w dym, a potem ciało przeszły potężne spazmy, które rzuciły ją na ziemię. Jastrząb, który wpił się w jej bok, odskoczył, zatrzepotał skrzydłami i wylądował na balustradzie, gdzie w eksplozji zapachu cynamonu przeobraził się w Lu Czystą Rzekę. Były sędzia dyszał ciężko, wspierając dłonie na kolanach. Z gardła Wściekłej Wilczycy wyrwał się skowyt, który przeobraził się w ryk bólu i zgrozy. Kobieta wiała się i miotła, aż powróciła do ludzkiej formy.

– Obiecałeś, Olcho – powiedział Czysta Rzeką, drżąc na całym ciele. W oczach biła wściekłość.

– Ja jedynie zablokowałem jej magię! – odparłem. – W przeciwnym razie musiałbym ją zabić.

Wściekła Wilczyca chwiejnie podniosła się na nogi. Krwawiła w miejscu, gdzie wgrzyzły się szpony jastrzębia. Chwyciła jeden ze swoich mieczy. Lu cofnął się i przygotował do uderzenia ogniem, ale kobieta nawet na niego nie spojrzała.

– Potnę cię na kawałki – syczała z wściekłością. – Pozostanie z ciebie tylko krwawy strzęp! Będziesz wyglądać tak jak moja córka w chwili śmierci!

– To nie przywróci jej do życia – powiedziałem. – Co w ten sposób osiągniesz, Wściekła Wilczyco?

– Nic, kurwa, nie osiągnę!

Kobieta uniosła broń i rzuciła się do ataku. Cofnąłem się o kilka kroków i pozwoliłem, by czubek jej miecza wyciął znajome układy Żelaznego Tańca, a potem stworzyłem własne ostrze, wykute z wiatru, cieńsze i ostrzejsze. Mój blok otoczył jej ostrze twardym podmuchem. Wykonałem ostre szarpnięcie, a wtedy wiedźma krzyknęła z bólu. Zdążyła jednak wypuścić broń, zanim pękły kości jej nadgarstka. Miecz upadł z brzękiem.

– Jeśli muszę pozbawić cię wszelkiej broni, żebyś mnie wreszcie wysłuchała, zrobię to! – powiedziałem.

Kobieta obnażyła zęby i zacisnęła pięści.

– Olcho! – wykrzyknął Czysta Rzeką, pokazując coś za mną.

Odwróciłem się i ujrzałem burzę piór pędzącą prosto na mnie. Był to kolejny jastrząb. Moje uformowane z wiatru ostrze przeobraziło się w wirującą sieć, która pochwyciła jego skrzydła. Ptak wrzasnął i uderzył w mur kilka kroków przede mną, a potem padł. Jego połamane skrzydła sterczały pod różnymi kątami.

Wściekła Wilczyca ryknęła i uderzyła mnie pięścią w bok głowy. Przed oczami buchnęły mi iskry i padłem na ziemię, a wtedy wiedźma rzuciła się na mnie, szykując się do drugiego ciosu.

Potrafiłem już tworzyć więcej niż jeden podmuch wiatru. Nim Wściekła Wilczyca zdołała zmiażdżyć mi nos, oplotłem jej łokcie i kostki. Jęknęła i padła na kolana, a potem przewróciła się. Odwróciła ku mnie głowę. Jej oczy nadal ziały nienawiścią. Charknęła i splunęła krwią na moją szatę.

– Gdybyś tylko potrafiła obrócić swoją wolę walki przeciwko imperium – powiedziałem, z trudem maskując frustrację.

– Pieprz się – warknęła.

Jastrząb za mną wrzasnął. Buchnął zapach cynamonu, przyniesiony przez krępujący go wiatr, a ptak przeobraził się w znajomą postać. Płonący Pies parsknęła i miotała się, próbując

uwolnić się z sieci. Wypluła z siebie ledwie zrozumiałą klątwę i znów zmieniła postać. Jako żmija z lśniącymi kłami prześlizgnęła się przez szczelinę między utkanymi przeze mnie wiatrami i rzuciła się na mnie. Cofnąłem się za wolno i moja łydka eksplodowała wściekłym bólem. Potem rozlał się w niej palący jad.

– Ha! – warknęła Wściekła Wilczyca w tryumfie, a ja odpowiedziałem ciężkim westchnieniem.

Dwa uderzenia serca później przegnałem resztki jadu z krwi za pomocą magii uzdrawiającej. Zerknąłem na Czystą Rzekę i poczułem przypływ żalu, ale sięgnąłem przez strukturę i otoczyłem umysł atakującej mnie kobiety tak samo jak przed momentem jej matki. Gadzie ciało miotało się i wiło, aż powróciło do ludzkich kształtów. Na twarzy dziewczyny pojawiła się zgroza, która szybko przeszła w furję. Nim jednak Płonący Pies zdołała porwać za miecz i znów spróbowała odebrać mi życie, skrępowalem ją więzami wiatru.

– Wysłuchasz mnie wreszcie? – parsknąłem, odwracając się do Wściekłej Wilczycy. – Czy będziemy jeszcze długo skakać sobie do gardeł? Przypomnę, że ja nie chcę was zabijać, a wy nie zdołacie zabić mnie!

Powoli osiągałem spokój, choć wiedziałem, że nie tak miała się potoczyć ta rozmowa.

– Chcecie się na mnie zemścić? W porządku, ale nie mogę wam na to pozwolić. Zamiast tego proponuję wam inną zemstę, o wiele pełniejszą i prawdziwszą! Zabijmy cesarza i pokonajmy Sien!

– Ha! – Wściekła Wilczyca pokręciła głową. – To pusta obietnica, której nie możesz dotrzymać.

– A jednak mam taki zamiar – powiedziałem, wskazując Czystą Rzekę. – Widzicie ten kawałek kości? Obdarowuje mocą zmiany postaci, tworzenia ognia i każdą magią z odległych krańców świata, a to wystarczy, żeby stawić czoła Dłoniom

cesarza. Same poczułyście, z jakich głębin pochodzi moc, którą czerpię. Niemniej macie rację co do jednego. Nie zdołam dotrzymać tej obietnicy, jeśli ty i mój wuj nadal będziecie rozlewać nayeńską krew w tej waszej idiotycznej walce o władzę.

– Pozwól, że ci przerwę, Olcho – powiedział Czysta Rzeka, wstając. Wskazał na garstkę żołnierzy, którzy stali niepewnie, trzymając miecze i łuki, szukając w sobie odwagi, by ruszyć na odsiecz Wściekłej Wilczycy i jej córce. Machnąłem nadgarstkiem i wypuściłem w nich język ognia, na co ci rzucili się z wrzaskiem do ucieczki, porzucając broń.

– A więc to ty chcesz zasiąść na Tronie Słońca? – prychnęła Płonący Pies.

Zapadła ciężka cisza, przerywana jedynie szumem wiatru krępującego obie kobiety. Minęła chwila, zanim zdusiłem w sobie resztki wątpliwości.

Nie nadawałem się do rządzenia, ale mój wuj również nie, podobnie jak Wściekła Wilczyca. Jeśli miałem zaufać ich idiotycznym ambicjom albo własnym, wybór pozostawał oczywisty, ale nadal wzdragałem się przed jego podjęciem.

– Jakiegokolwiek pretensje do tronu, obojętnie, moje, wasze czy mojego wuja, są puste i całkowicie bezpodstawne dopóty, dopóki sieneńskie legiony nadal okupują Nayen.

Znów przeszył mnie skurcz. Spojrzałem w kierunku naszego obozowiska, gdzie w powietrze wzbijały się właśnie sęp, sowa oraz para jastrzębi. Wszystkie ptaki kierowały się na Żelazne Miasto.

– Co powiesz, Wściekła Wilczyco? – spytałem. – Proponuję ci sojusz i szansę na zemstę. Czy może wybierasz upokorzenie, które szykuje ci mój wuj?

– A więc ty również przed nim uklęknieš? – odpowiedziała pytaniem Wściekła Wilczyca. – Przed człowiekiem, który woli

okradać głodujące wsie, niż je bronić? Coś mi mówi, że lubisz stawać po niewłaściwej stronie, Kundlu.

– Nie staję już po żadnej stronie z wyjątkiem własnej – parsknąłem. – Ale musisz dać mi powód, żebym przemówił mu do rozumu. Nie dawaj mu pretekstu, żeby zrealizował własny plan, tylko stwórz okazję, żebym wykorzystał go tak, jak trzeba.

Czysta Rzeka przechylił głowę, a ja zastanawiałem się, co sądził o tej wymianie zdań.

– Okrucieństwo to w istocie sieneńska cnota – zadrwiła Wściekła Wilczyca.

– A upartość pozostaje cechą Nayeńczyków – odgryzłem się.

Kobieta zlizwała krew z kącika ust i wpatrywała się we mnie z obrzydzeniem. Skurcze stawały się coraz mocniejsze.

– I nie zwlekaj z wyborem – ponagliłem ją. – Oni już tu prawie są.

– Dobra, niech cię szlag – powiedziała. – Złożymy mu pokłon.

– Prędeż pozwolę, żeby rozszarpano mnie na strzępy, niż pokłonię się przed którymś z tych drani – warknęła Płonący Pies.

– Będziemy się kłaniać do chwili, gdy wyrzucimy stąd ostatniego Sieneńczyka – upierała się Wściekła Wilczyca, częściowo ze względu na mnie, a częściowo z powodu córki. – A potem lepiej mnie zabij, tak jak zabiłeś Chłodne Szczenie, bo poderżnę ci gardło w nocy.

– Zawsze możesz próbować – mruknął Czysta Rzeka.

Wściekła Wilczyca warknęła na niego i właśnie wtedy nowo przybyły jastrząb przemknął nad murem.

Uwolniłem wiatr, który krępował Wściekłą Wilczycę i jej córkę. Wycofałem się też z ich umysłów, choć byłem gotów stłumić je na nowo, gdyby którakolwiek okazała choć cień agresji. Wściekła Wilczyca wstała powoli, tak, by jej ręce były widoczne, i skinęła na córkę, by ta zrobiła to samo.

Nadpłynęła fala zapachu cynamonu, a ptak zamienił się w moją babcie.

– Co tu się wyprawia, Kundlu? – spytała ostro.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, wuj, Brązowa Sowa oraz Sęp wylądowali i zmienili postać. Znalazłem się między nimi a Wściekłą Wilczycą. Sęp musnął palcem noże przy pasie, a Brązowa Sowa sięgnęła po miecz.

– Nie ma potrzeby – powiedziałem. – Wściekła Wilczyca i ja zawarliśmy porozumienie.

Wredny Lis zachował obojętną minę, choć widziałem burzę emocji w jego oczach.

– Doprawdy?

Dostrzegłem jakiś grymas na jego opanowanym obliczu. Zdusił kolejne słowa. Nie wiem, co chciał powiedzieć. Może chciał mi wytknąć, że nie upoważnił mnie do takich działań, a może spytać, czy znów sprzymierzyłem się przeciwko niemu? Jego podejrzenia wobec mnie, zrodzone w chwili, gdy ujrzał kawałek spalonego drewna przypięty do mundurów żołnierzy, osiągnęły punkt kulminacyjny.

Choć w istocie nie umiałem wzbudzić w sobie prawdziwej lojalności wobec niego, sam nie potrafiłem przewodzić, a moja ambicja zawsze prowadziła do tragedii, nie czułem teraz ani cienia żalu czy wyrzutów sumienia. Być może nie byłem właściwym człowiekiem, by stanąć na czele Nayenu, ale wybrałem dla siebie słuszną ścieżkę.

– Ustalenie, kto zasiądzie na Tronie Słońca, jest bezcelowe, dopóki Wschodnia Forteca znajduje się pod kontrolą cesarza – powiedziałem. – Armie Wilczycy i Lisa zawrą sojusz. Razem wyruszymy, żeby uwolnić naszą ojczyznę i położyć kres imperium.

Wyciągnąłem dłoń ku Wścieklej Wilczycy. Kobieta wydeła wargi, ale złapała mnie za rękę i z warknięciem dźwignęła się

na równe nogi. Wtedy odwróciłem się do wuja i jemu również podałem dłoń.

– Będziemy walczyć razem jak równi – powiedziałem. – Albo zniszczymy się jako rywale.

W oczach wuja zamigotał gniew. Byłem pewien, że moje słowa o równości stanowiły dlań stek bzdur. Widział we mnie jedynie uzurpatora, czego się po mnie spodziewał. Fakt, zdradziłem go, ale przyczyną był on sam. Zachowałbym się inaczej, gdyby wuj nie widział we mnie wyłącznie zagrożenia dla własnej władzy. Gdyby przyjął mnie tak, jak sobie tego życzyłem, gdyby wykorzystał mój umysł, moje rady oraz moją magię, być może stałbym u jego boku i razem stworzylibyśmy ten sojusz. W jego spojrzeniu błyszczała żądza mordy, ale uścisnął mi dłoń.

– Otworzysz bramy przed moimi żołnierzami? – Wredny Lis zwrócił się do Wściekłej Wilczyca głosem zimnym jak stal. – Mamy za sobą długi marsz z Nory. Potrzeba nam odpoczynku i jedzenia.

– Jedzenia wiele nie mamy – odparła Wściekła Wilczyca. – Sieneńczycy spalili wszystko, czego nie mogli zabrać, gdy opuszczali miasto.

– Będziemy zdobywać żywność po drodze – powiedziałem. – Nasi ludzie zjedzą i wypiją wszystko, co się da, dziś wieczór i odpoczną, a jutro ruszymy ku Wschodniej Fortecy.

Zarówno wuj, jak i Wściekła Wilczyca zamrugali z zaskoczeniem, co było pierwszą rzeczą, którą zrobili wspólnie.

– Chcesz pozostawić Fortecę Zachodzącego Słońca za plecami? – spytał Wredny Lis.

– Nie spodziewają się tego – powiedziałem. – A to dlatego, że Wschodnia Forteca jest broniona przez cały legion, trzy Dłonie i Głos.

Wściekła Wilczyca zmrużyła oczy. Nie była tak zaskoczona jak mój wuj, ale bardziej zaciekawiona.

– Waszym zadaniem nie będzie zajęcie miasta, ale utrzymanie oblężenia do chwili, gdy Sycząca Kocica, moi przybocznicy i ja pokonamy siły obrońców – rzekłem. Miałem wrażenie, że wygaduję bzdury, ale byłem świadkiem tego, co się stało na girzańskim stepie, a Okara pokazał mi, czego mam się bać. Wiedziałem, że Atar zrobi wszystko, co w jej mocy, by okiełznać girzańską wiedźmę o imieniu Rał, ale nie miałem pojęcia, kiedy cesarz, teraz zagrożony zarówno ze wschodu, jak i z zachodu, zdecyduje się na zerwanie delikatnego pokoju między ludźmi a bogami.

Wojna w Nayenie musiała się skończyć, i to szybko. Potem gdy połączymy siły z Zabatańczykami, Atar i ich girzańską sojuszniczką, być może otrzymamy szansę powalenia cesarza na kolana.

– Oboje widzieliście, do czego jestem zdolny – powiedziałem.
– Nadal we mnie wątpicie?

Wuj zgodził się z cichym mruknięciem, a Wściekła Wilczyca skrzywiła się i skinęła. Nie dawałem im wielkiego wyboru. Oboje stali się bronią, za pomocą której mogłem osiągnąć swój cel, jakim było najpierw ocalenie Nayenu, a potem świata.

Być może próbowałem osiągnąć ten cel zbyt szybko, być może działałem nazbyt lekkomyślnie. Wiele się nauczyłem dzięki mojej wspinaczce po hierarchii imperium i przyłączeniu się do powstania, ale też wiele zapomniałem, a do tego wciąż istniało mnóstwo rzeczy, które spadały na mój umysł jak krople deszczu na liść i spływały, nie pozostawiając po sobie śladu.

Pułapka w rzece krwi

Dłoń Lotka

Podążający na czele kolumny Lotka wjechał na szczyt wzgórza, skąd wreszcie ujrzał Fortecę Zachodzącego Słońca, rozlewającą się w dolinie za kręgiem starożytnych murów. Napięcie w jego ramionach nagle odpuściło, a wtedy poczuł się równie wyczerpany jak w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał swoje imię wypisane złotymi literami na szczycie listy kandydatów, którzy zdali egzaminy.

Biały całun spowijający trumnę Dłoni Wspaniałomyślności, nadal niesiony na czele kolumny, jaśniał w słońcu wczesnej jesieni.

Żołnierze maszerujący w formacji wokół trumny mieli szale na twarzach pomimo coraz cieplejszej pogody i smużek dymu unoszących się z kadzielnic zamontowanych po obu burtach wozu. Sam Lotka również marszczył nos, przejeżdżając obok wozu.

Gdy kolumna minęła wzgórze, zarówno żołnierze, jak i zwykli ludzie na chwilę przerwali śpiewanie niekończących się pieśni marszowych i zaczęli wiwatować. Mieli przed sobą obietnicę schronienia, dobrego jedzenia i czegoś więcej niż kilka nerwowych godzin snu w najciemniejszej chwili nocy. Nagle wszystkich połączyła bezbrzeżna ulga.

Czy Lotka również powinien czuć się dumny z powodu tego, że doprowadził ich tak daleko, że zniósł tyle bandyckich ataków i utrzymał kolumnę w całości pomimo coraz gorszego morale i zachowania kapitana, który w ledwie zawołany sposób sygnalizował, iż jest gotów do buntu? A może powinien wybuchnąć przeraźliwym śmiechem, rzucić się z konia i cisnąć pod nogi piechurów i koła wozów? Niech go depczą i miażdżą, karząc za to, że oszalał, że mordował, porzucał dzieci, starców i całe rodziny na śmierć głodową lub rzeź tylko za to, że nie mogli za nim nadążyć?

Niedługo się tego dowie. Będzie mógł odpocząć, bez względu na to, czy zakują go w kajdany i rozkażą czekać na egzekucję, czy ruszy za Głosem Wiekiem Obfitości ku Wschodniej Fortecy, wreszcie wolny od dowództwa i wiążącego się z nim brzemienia. Wybuchnął więc śmiechem tak czy owak, nie dbając o to, co pomyślą sobie mijający go żołnierze.



Znad Fortecy Zachodzącego Słońca buchał już dym. Z początku było to jedynie kilka cienkich kolumn, ale w trakcie dnia niebo nad miastem zakryła czarna, gryząca chmura. Zewsząd opadały płatki popiołu, przynoszące zapach zbliżony do tego, który bił od trumny Dłoni Wspaniałomyślności.

Głos Wiek Obfitości wyjechał im na spotkanie na czele własnej, najeżonej włóczniami kolumny. Lotka z początku pomyślał, że chcą go uwięzić. Być może Dłoń Wspaniałomyślność miał rację i cesarz mimo wszystko nie rozmawiał z Dłońmi? Wrócił myślami do dymu i do rozmiarów formacji towarzyszącej Głosowi. Za nią tłoczyły się gromady mieszkańców, którzy prowadzili wozy i furgony, a także było

i muły obładowane meblami i dobytkiem wszelkiego rodzaju. Z tej odległości było to trudno ocenić, ale tłum wydawał się o wiele za mały.

Słupy dymu nadal wiły się ku niebu, a wraz z nimi rozchodził się smród palonych trupów. Myśli Lotki wirowały, a w sercu narastało przerażenie przemieszane z obrzydzeniem. Oddychał szybko, a czas nagle zaczął się rozciągać jak napięta cięciwa łuku.

Dwie rzeczy naraz przyszły mu do głowy. Najpierw ulga, a potem świadomość, że strzała przeszywa mu gardło.

Popędził konia, a kapitan Huo i Zhu, dowódca garnizonu z Żelaznego Miasta, ruszyli za nim. Z tyłu podążali chorążcy z proporcami. Lotka ponownie wbił ostrogi w końskie boki, uniósł się w siodle i skłonił rumaka do rozwinięcia większej prędkości. Huo zaklął i wykrzyknął w ślad za nim, by zwolnił. Przecież mieli się spotkać z Głosem Wiekiem Obfitości, ich starszym bratem w wielkiej hierarchii imperium, a więc powinni przynajmniej próbować zachować godność.

Lotka był już na tyle blisko, że mógł przyjrzeć się tłumowi i wyciągnąć pierwsze konkretne wnioski. Widział tylko ciemne włosy i sieneńskie ubrania. Wśród uchodźców nie było nikogo z rudawą bądź brązową czupryną. Nie było kobiet, które poruszałyby się z tą samą pewnością siebie co mężczyźni. Wgnany z domów tłum budził litość, ale zdołał zabrać jakieś bogactwa, jak choćby wysadzone klejnotami grzebienie czy spinki z żółwich skorupki. Żaden zwykły Nayeńczyk nie marnowałby na coś takiego pieniędzy, ale na takie błyskotki mógł sobie pozwolić nawet mizerny sieneński kupiec.

– Dłoni Lotko! – Kapitan Huo ściągnął wodze. Jego koń ciężko dyszał, protestując przeciwko szybkiemu galopowi po długim, niewymagającym marszu. – Co ty wyprawiasz?

– Nie ma lepszego sposobu, żeby rozwścieczyć tych, co przeżyli, i skłonić ich do wojny – mruknął Lotka ochryple.

W jego głowie pojawiły się na wpół uformowane myśli, rozbudzone przez ingerencję cesarza. Znów zastanawiał się nad wykorzystaniem strategii z planszy do kamyków i stworzeniem okazji do ataku. Fałszywy odwrót, który dawał buntownikom jedno łatwe zwycięstwo po drugim, jednocześnie obdarzał ich iluzją potęgi, przez co ci, którzy darzyli imperium nienawiścią, ścigali pod sztandary Wrednego Lisa i Wściekłej Wilczycy. Potężniejsze powstanie było na najlepszej drodze, by przejąć wyspę, spychając imperium z powrotem do Wschodniej Fortecy, gdzie Lotka w końcu odwróciłby się i odparł szturm. W międzyczasie z portów cesarstwa wypłynęłaby armia z posiłkami zdolnymi zmiażdżyć buntowników pod murami twierdzy, a na jej czele stałby sam cesarz. Rozdeptując resztki powstania, cesarz mógłby rozdmuchać przygasające węgielki, a w ich świetle odnaleźć i wytępić ocalałych buntowników.

Podobne zagadnienia poruszano na egzaminie imperialnym. Urządzano tam eksperymenty, których celem było zbadanie wszystkich przypadków, gdzie moralne sentymenty nie zgadzały się z doktryną, by wygładzić różnice lub przynajmniej dać każdemu kandydatowi okazję, by wykazał gotowość do stłumienia osobistych przekonań.

Sprawiedliwość, okrucieństwo, dobro i zło były mglistymi, niewygodnymi pojęciami, a wola cesarza mogła wypalić wszelkie niejasności. Wystarczało poczucie obowiązku wobec rodziny czy imperium, by skłonić człowieka do podjęcia właściwych działań.

Na kartach eseju Lotka umiałby uzasadnić abstrakcyjną rzeź mieszkańców miasta, ale czy pismo mogło usprawiedliwić smród popiołu i krwi na wietrze?

– To było konieczne – szepnął, chcąc usłyszeć te słowa, jakby mogły przez to stać się bardziej prawdziwe i mniej potworne niż w chwili, gdy wymykały się z jego głowy.

Tu, na ulicach Fortecy Zachodzącego Słońca, powstał wielki, przerażający koszmar, który miał pomóc wypełnić plan. Plan Lotki. Tak właśnie było – plan był jego i on ponosił odpowiedzialność za przemoc. Gdy gniew cesarza skierował się na Toa Alon, świat ujrzał rzeź, do jakiej nie doszło nigdy wcześniej. Było to okrucieństwo zdolne wyzwolić bunt u niemal wszystkich, oprócz tych najbardziej lojalnych lub najbardziej strachliwych.

Jednak okazało się, iż było to tylko preludium okrucieństw, które dopiero miały nadejść. Pod murami Wschodniej Fortecy i w innych miejscach imperium miało odbudować swoją władzę w Nayenie i odzyskać tereny, z których się wycofało, by zwabić buntowników w pułapkę.

Głos Wiek Obfitości podjechał na czele swojego orszaku bliżej. Nad głowami przybyłych wznosił się czerwony sztandar z imperialnym tetragramem i osobistą pieczęcią Głosu. On sam miał może dziesięć lat więcej od Głosu Przewodnika, a w jego czarne włosy wniknęły już pasma siwizny. Usta między zapadłymi policzkami były ostro zarysowane, a jego oczy wydawały się przenikać Lotkę niczym para skalpeli.

Huo i Zhu ukłonili się, prawie dotykając pierściami łęków siodła. Głos Wiek Obfitości skinął im w odpowiedzi, a potem, przechylając głowę, zerknął na Lotkę, który uświadomił sobie nagle, że również powinien okazać mu szacunek. Ukłonił się pospiesznie i nazbyt głęboko, czując jednocześnie, jak żółć podchodzi mu do gardła.

– Bądź pozdrowiony, Głosie Wieku Obfitości – rzekł.

– Czy coś cię dręczy? – Głos podjechał bliżej. – Wydajesz się chory.

– To tylko znużenie, Wasza Eminencjo – odpowiedział Lotka, usiłując się wyprostować i przybrać obojętną minę, choć przerażenie sprawiało, że z trudem wypowiadał słowa. – Mamy za sobą długą podróż.

– W rzeczy samej. – Głos Wiek Obfitości pokiwał głową z wyrozumiałością. – Śledzę wasz postęp od chwili opuszczenia Żelaznego Miasta przez struktury, które wiążą nas wszystkich z cesarzem. Pochwalam pośpiech, z jakim wypełniasz rozkazy cesarza, choć żałuję, że nie dałeś więcej czasu Dłoni Wspaniałomyślności. Być może zdołałby wówczas zrozumieć sens naszych działań.

Czy kolejny powód do odczuwania wstydu mógł cokolwiek zmienić? Lotka pochylił jedynie głowę, choć na swój sposób poczuł również ulgę. Wypełniał co prawda rozkazy, ale kto mógł opisać ów moment agresji inaczej niż morderstwo?

– Oczywiście, Głosie Wieku Obfitości. Przyjmę każdą potrzebną karę.

– Karę? – wybuchnął kapitan Huo i kolanami zmusił konia, by podszedł bliżej. – O czym ty mówisz?

– Dłoń Wspaniałomyślność umarł na skutek ataku serca wywołanego starością – rzekł cicho Zhu.

Lotka spojrział na niego. Na spokojnej twarzy oficera ujrział zdumienie i niedowierzenie.

– Czyż nie?

– Nie obawiaj się, Dłoni Lotko. Dlaczego niby miałbyś zostać ukarany? – spytał Głos Wiek Obfitości, a potem zwrócił się do dowódcy Zhu i kapitana Huo: – Dłoń Wspaniałomyślność odmówił wykonania woli imperium i zaatakował Dłoń Lotkę, który musiał się bronić. Niestety, starszy Dłoń stracił życie na skutek tego starcia. Ten fakt został przed wami zatajony ze względów strategicznych, co, mam nadzieję, wszyscy rozumiecie.

Na twarzy kapitana Huo malowały się różne emocje – od zaskoczenia przez oburzenie, na obrzydzeniu kończąc. Zhu wpatrywał się w niego pustym wzrokiem. Lotka uświadomił sobie, że każdy w tym momencie toczy wojnę z sobą samym, bezskutecznie próbując pogodzić nową wiadomość

z imperialną doktryną i nakazami imperium. Te same zmagania toczyły się w duszy Lotki i coraz trudniej było mu odnaleźć w tym wszystkim równowagę.

– Widzę, że sprowadziłeś Nayeńczyków ze sobą – ciągnął Głos Wiek Obfitości. – Interesujący wybór. To tylko kwestia czasu, zanim się zorientują, co właściwie zamierzamy.

Lotka zamrugał. Wiedział, co się wydarzyło w mieście, ale mimo to czyste okrucieństwo niewypowiedzianej sugestii Głosu wprowadziło go w osłupienie. Głos Wiek Obfitości uśmiechnął się znacząco i pokiwał głową do kapitana Huo.

– Widzę w tobie wściekłość. Bywa, że wola cesarza wydaje się niepojęta dla naszych ograniczonych umysłów, ale gniew rozbudzony zdradą Dłoni Wspaniałomyślności i tajemniczością Dłoni Lotki powinien wreszcie przygasnąć.

Rumak kapitana Huo odbił nieco w bok, prychnąwszy, gdyż trzymające wodze dłonie opadły bez sił.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz. – Głos Wiek Obfitości pochylił się ku Huo niczym współkonspirator. – Chociaż nie musisz. Zaakceptuj jedynie słowa cesarza, który uznał, że to Nayeńczycy ponoszą odpowiedzialność za rozliczne tragedie, jakich byłeś świadkiem podczas swojej długiej podróży.

Lotka ujrzał bitwę szalejącą w oczach kapitana. Twarz mu drżała, poczucie obowiązku przybierało na sile, a moralne oburzenie słabło.

– Ekscelencjo – wtrącił się Zhu, który toczył w sobie podobną bitwę, zauważalną dzięki kilku tikom nerwowym – nakazujesz nam wybić wszystkich Nayeńczyków w kolumnie marszowej. Czy to prawda?

Głos Wiek Obfitości pokiwał powoli głową.

– Tak. Jeśli potrzeba ci usprawiedliwienia dla tego czynu, posłuchaj mnie uważnie. Przez cały marsz prześladowały was siły rebeliantów, prawda? Kto najbardziej ucierpiał na ich

skutek? Kto poniósł koszt? Na pewno nie Nayeńczycy, ale Sieneńczycy. A skąd buntownicy zawsze wiedzieli, gdzie uderzyć? Skąd wiedzieli, gdzie wasza obrona jest najsłabsza i gdzie szukać najcenniejszych zdobyczy?

„Oglądając nas spomiędzy drzew!” – chciał krzyknąć Lotka. „I po co mieliby zrywać łąchmany z ciał wygłodzonych wieśniaków, skoro obok stały wozy kupieckie?”

– Mieli szpiegów w kolumnie – ciągnął Głos Wiek Obfitości. – Ci ludzie mogą żyć w waszych miastach, płacić podatki i okazywać wam szacunek, gdy trzeba, ale ci barbarzyńcy, każdy bez wyjątku, prędzej spalą naszą cywilizację, niż się poddadzą.

Dowódca Zhu nabrał powoli powietrza, a potem pokiwał głową. Bitwa w jego spojrzeniu przygasła, a zastąpiła ją ponura rezygnacja. Dłoń Lotka nie miał pojęcia, czy Zhu po prostu uległ argumentacji Głosu, czy przystał na cenę, którą należało zapłacić za zwycięstwo. Dowódca zawrócił konia i ruszył w stronę kolumny.

– Chodźmy, kapitanie – powiedział obojętnie. – Mamy pracę do wykonania.

Dotychczas napięte ramiona kapitana Huo opadły. Zacisnęła dłonie na wodzach, ale nienawiść w jego oczach nadal płonęła. Zawrócił wierzchowca, by ruszyć w ślad za dowódcą Zhu, który wydawał już ciche rozkazy członkom ich orszaku. Potem ruszyli ku kolumnie.

Kiedy różnica między tym, co słuszne, a tym, co błędne, zmieniła się tak bardzo? W chwili gdy zabił Dłoń Wspaniałomyślność? Gdy prawie zamordował mężczyznę w Norze, bo ten nie chciał porzucić domu i rodziny?

– Nie powinieneś tego robić – szepnął Lotka.

– Słucham, Dłoni Lotko? – Wiek Obfitości przysunął się bliżej. Kolumna za ich plecami zapadała się, a ku niebu wznosiło się

już ostrzegawcze wycie Nayeńczyków. Gdzieś opadł miecz i na śnieg sączyła się struga krwi z rozciętej arterii.

– To nie wojna – powiedział Lotka, którego głos odzyskał swoje brzmienie. – To rzeź.

Tłum nayeńskich uchodźców zakotłował się, gdy ludzie idący na czele zaczęli się cofać przed włóczyniami i mieczami. Z tyłu, gdzie ludzie nie wiedzieli jeszcze, jaki los ich czeka, dobiegały okrzyki zaskoczenia. Dowódca Zhu poprowadził kawalerię w stronę lasu i zatoczył szeroki łuk, by zgarnąć uciekinierów.

– Ależ, Dłoni Lotko – rzekł cicho Głos Wiek Obfitości – przecież to był twój pomysł.

– Ale ty wcale nie odbierasz powstaniu siły!

Lotka nie mógł oderwać wzroku od rzezi, wychwytyjąc jedną przerażającą scenę po drugiej. Widział ojca, który osłaniał własne dzieci krwawiącymi ramionami do chwili, gdy ostrze włóczni przebiło mu czaszkę. Widział kobietę z wrzaskiem rzucającą się w kierunku mężczyzny, który odrąbał jej dłoń. Zamierzała się do ciosu nożycami trzymanymi w drugiej ręce, ale jej żywot zakończył bełt w sercu. Wzrok Lotki przeskakiwał od jednej przerażającej sceny do drugiej, zatrzymywał się na twarzach wrzeszczących ludzi, na odrąbanych kończynach, na rozszarpanych, tryskających krwią gardłach.

– Kto nie będzie chciał chwycić za broń po czymś takim? Ty właśnie stworzyłeś to powstanie! Nie rozdmuchujesz żaru, ale rozpalasz ogień! – Lotka mówił jak we śnie. Nie wierzył, by jego słowa mogły wpłynąć na przebieg wydarzeń, ale i tak je wypowiadał. Były wszak prawdą. Wiedział to i czuł, nawet po tym wszystkim, czego sam dokonał, co zaplanował i co umożliwił. Wszystkie jego plany, a z nimi cały znany mu świat, zamieniły się w koszmar.

Wiedział, że dokładnie to powiedziałyby Wilga, poczerwieniały z frustracji, wpatrzony w zimną twarz ich ojca.

– Zatrzymaj to – zażądał, gdy rodzina uciekająca w stronę lasu została stratowana przez konie. – Zrób to albo sam wyjadę, żeby powstrzymać tę rzeź!

Lotka złapał wodze, ale odkrył, że jeden z przybocznych Głosu już je trzyma.

– Jesteś zmęczony, Dłoni Lotko. – Słowa Głosu Wieku Obfitości dobiegały z oddali i wydawały się stłumione. – Chodź. Musisz odpocząć. Poniesie cię palankin, przynajmniej przez chwilę. Niebawem ruszamy w stronę Wschodniej Fortecy.

Lotka wpatrywał się w niego, a świat za jego plecami wypełniło rżenie koni i wrzaski umierających.

– Chodź! – Głos Wiek Obfitości przemawiał teraz bardziej stanowczo. – Nie chcesz chyba pokonać drogi do Wschodniej Fortecy w pętach? Przyniósłbyś wielki wstyd ojcu. Obawiam się, że po tym wszystkim musiałby porzucić swoje stanowisko, zwłaszcza po tak zdradzieckich słowach, które padły z ust jego syna. Może i jesteś zmęczony, ale taką wypowiedź trudno będzie wybaczyć.

Mężczyzna, który trzymał wodze konia Lotki, zaczął go odprowadzać w kierunku głównej armii Głosu Wieku Obfitości, a Lotka, wstrząśnięty słowami, które właśnie usłyszał, nie przeszkadzał mu w tym. Wpatrywał się w grzbiet konia, który unosił się i opadał. Słuchał stukotu kopyt i świstu trawy ocierającej się o pęciny. Wyobrażał sobie dom rodzinny i to, jak jeździ w zagrodzie z Wilgą i Yulem Pekorą, ich instruktorem jazdy. Wspominał chwile, gdy jego umysł był zaprzątnięty tylko czystą przyjemnością i dodającym energii lękiem przed upadkiem z siodła.

Czy Wilga również pozwoliłby się odprowadzić? Czy odwróciłby się plecami od takiego okrucieństwa? A może ruszyłby wraz z kapitanem Huo oraz dowódcą garnizonu Zhu i z mieczem w dłoni rozpocząłby krwawą rzeź, będącą ceną za istnienie imperium, za luksusy i proste przyjemności, za

którymi Lotka tak bardzo teraz tęsknił? A może próbowałby własnym ciałem zatamować tę rzekę przemocy, tak jak ongiś stawiał czoło ojcu, który karał służącego rówieśnika za coś, czego ten nie zrobił?

Palankin wyłonił się z tłumu żołnierzy i mieszkańców Fortecy Zachodzącego Słońca, stłoczonych i gotowych do ucieczki z pobojuwiska, które jeszcze niedawno było ich domem. Niektórzy przyglądali się rzezi bez zainteresowania, na twarzach innych widniała zgroza, ale większość kiwała głowami z ponurą satysfakcją.

Nie było opowieści dydaktycznej, aforyzmu czy wypracowania egzaminacyjnego, które zdołałyby przedstawić tę sytuację.

Lotka zsunął się z siodła i usiadł w palankinie. Zamknął drzwi i okiennice, nie chcąc słuchać szczęku oręża i wrzasków bólu. Siedział tam w ciszy, na krawędzi płaczu, gdy nagle, jak gdyby z jego umysłu odpadł strup, uświadomił sobie bolesną rzecz.

O to właśnie tu chodziło. O doktrynę. O egzaminy. O ogromną wagę obowiązku wobec rodziny i narodu. O sam kanon magii. Każdy z tych elementów był sposobem na ukierunkowanie rzeki przemocy, która służyła celom cesarza, oraz na zbudowanie murów na tyle wysokich, by zamaskować koszmar tego, co się wydarzyło.

Czy to dla ciebie jest w porządku, Olcho?

W głębi serca wybuchnął cichym, gorzkim śmiechem, a jego od dawna tłumione myśli wyrwały się z osadu na dnie umysłu i zaczęły krążyć.

W porządku? Co to w ogóle ma oznaczać? Nawet dla osoby takiej jak on?

To on ułożył ów plan, choć nie był człowiekiem na tyle gruboskórnym, by zaakceptować ten element układanki. Poza tym wiedział, że jeśli te wydarzenia nie skłonią każdego

Nayeńczyka z choćby cieniem poczucia sprawiedliwości do chwycenia za broń, nic tego nie dokona. Wówczas cesarz zmiażdży ich pod murami Wschodniej Fortecy i skąpie ich wyspę w krwi i ogniu, a Lotka się zemści.

Przynajmniej mógł mieć nadzieję na prywatną satysfakcję. Nie liczył na sprawiedliwość, a jedynie na to, by ból, który sam znosił, spadł na tych, którzy odpowiadali za śmierć Wilgi.

W najgorszym razie, kiedy wszyscy już zostaną zabici, on usiądzie w ciepłym kąciku swojego pokoju z książką, fajką i imbrykiem herbaty, po czym wyrzuci to wszystko – zemstę, wspomnienia, obowiązki i winę – z głowy.

A być może, skoro widział to, co widział, już nigdy nie zazna pokoju.

Drużyna

Głupi Kundel

Dziedziniec garnizonowy nie wyglądał już tak, jak go zapamiętałem. Nie było ulewnego deszczu ani rozdeptanego błota. Nie było więźniów przywiązanych do pali. Nie było kamieni popękanych od ognia i błyskawic oraz krwi, wnikającej w szczeliny i przywodzącej mnie do bezrozumnego szału, w którym ciskałem się o ściany kanonu.

Nabrałem tchu. Rześkie powietrze poranka pachniało zapowiedzią wiosny. Do bruku podwórca przylgnęła ostatnia warstewka śniegu. Stałem tam wraz z Czystą Rzeką, Biegnącą Sarną i dziesięcioma żołnierzami, którzy mieli stać się moją drużyną. Połowę z nich wybrał Wredny Lis, a drugą połowę stanowili ludzie Wścieklej Wilczycy. Tylko jeden z żołnierzy nosił kawałek spalonego drewna. Wuj być może dobrał go w akcie dobrej woli, a być może w celu odwrócenia mojej uwagi od innych, bardziej subtelnych machinacji. Możliwe też, że była to kiepska atrapa. Niewykluczone, że druga i trzecia możliwość łączyły się ze sobą.

Paranoja Wrednego Lisa najwyraźniej okazywała się zaraźliwa. Przegnałem ją w najciemniejszy zakątek umysłu

i uniosłem dziesięć kanonów magii, które skończyłem poprzedniego wieczoru.

– Zostaliście wybrani, żeby opanować nowy rodzaj magii – oświadczyłem, krocząc przed żołnierzami. Czysta Rzeka i Biegnąca Sarna szli za mną. – Nie ja was wybrałem, bo w przeciwieństwie do tego, w co wierzą Wredny Lis i Wściekła Wilczyca, nie interesuje mnie władza nad tą wyspą i jej mieszkańcami. Ja chcę ją jedynie wyzwolić i zmiażdżyć imperium. Jak rozumiem, wszystkim nam na tym zależy, tak?

Kilku zebranych pokiwało niechętnie głową. Jeden z nich, człowiek z armii Wilczycy, chudzielec o wąskiej twarzy, skrzyżował ramiona i przechylił głowę z niedowierzaniem w dziecinnym akcie sprzeciwu wobec mojego autorytetu lub protestu przeciwko upokorzeniu Wściekłej Wilczycy. Zatrzymałem się.

– Jak cię zwa? – spytałem.

Mężczyzna przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

– Podarty Liść.

Rzuciłem mu jeden z kanonów. Cofnął się zaskoczony, ale zdołał go w porę przygnieść dłonią do piersi.

– Widzicie cztery znaki na kości?

Dodałem do kanonu magię uzdrawiającą, którą symbolizował sieneński logogram oznaczający medycynę, uproszczony tak jak pozostałe. Nie kierowałem jego magii na zewnątrz, jak robił to cesarz, ale do wewnątrz, by wzmocnić potencjał ciała do samoleczenia. Miał tym samym mniejsze możliwości, ale mógł przynajmniej jakoś wykorzystać moc bez konieczności studiowania anatomii przez rok.

Podarty Liść przyglądał się kanonowi, trzymając go jak okruch stłuczonego szkła.

– Dotknij pierwszego znaku – powiedziałem.

Dzięki pomocy ze strony Czystej Rzeki i Biegnącej Sarny jeszcze tego samego dnia rano wszyscy potrafili stworzyć

plomień świecy. Niedługo później na dziedzińcu zjawiała się Brązowa Sowa, być może zwabiona oddziaływaniem magicznym. Na jej ustach widniał grymas nieskrywanej niechęci. To, czego ona uczyła się przez lata pod okiem wuja, ja przekazałem swoim przybocznym w ciągu paru godzin.

– To wszystko jest twoją zasługą – powiedziałem jej. – Bez twojej pomocy i szansy przyjrzenia się twoim wiedźmim znakom nie udałoby mi się stworzyć moich kanonów.

– Rządzi nami czarownik ze starożytnych mitów, który wydziela magię wedle swojego uznania. – Kobieta zrobiła krok ku mnie, co było, zważywszy na jej słowa, aktem odwagi. – Powiedz mi, Kundlu, czy ta wojna ma jakikolwiek sens, skoro musimy stać się tacy jak imperium, żeby ją wygrać?

– Ja porzuciłem imperium, żeby walczyć wraz z wami – parsknąłem. – Porównujesz oczywiste podobieństwa i ignorujesz najważniejsze różnice.

– Porównuję to, co widzę. – Brązowa Sowa wzruszyła ramionami. – Czy sieneńscy synowie nie mają w zwyczaju podważać autorytetu ojców?

– Nie. – Dzięki jej ignorancji łatwo mi było obalić oskarżenia. – Nie mają takiego zwyczaju. Podobne działanie jest zaprzeczeniem podstawowych cnót zawartych w doktrynie.

– A mimo to znalazłeś się tutaj. – Ruchem głowy wskazała moich przybocznym. – I zajmujesz się tym.

Po co ja się z nią kłóciłem? Jakie miało znaczenie to, o czym ta młoda wiedźma myślała? Mimo to mój gniew zapłonął żywym ogniem i ogarnęła mnie chęć obrony własnych działań. Od tej całkiem bezcelowej debaty uwolnił mnie kruk wysłany przez Wściekłą Wilczycę, który wylądował na balustradzie nad naszymi głowami i zmienił postać. Wychudłą twarz wysłanniczki zdobiło kilka sińców i paskudne skaleczenie pod okiem, będące pamiątką po naszym krótkim starciu.

– Wściekła Wilczyca i Wredny Lis czekają w domu sędziego – zawołała. – Na was oboje.

Brązowa Sowa czekała na moją reakcję.

– Pójdziemy więc? – spytałem i gestem wskazałem, by szła przodem.

Wiedźma skrzywiła się, ale zmieniła postać i wzbiła się ku niebu. Zrobiłem to samo i pomknąłem nad pustymi ulicami Żelaznego Miasta, by wylądować na dziedzińcu przed ubogą rezydencją, gdzie po raz pierwszy spotkałem Wściekłą Wilczycę. We wnętrzu sali audiencyjnej powitały mnie echa dawnych kłamstw.

Na podwyższeniu stał pusty, wyściełany aksamitem tron sędziego, a na ścianie za nim widniały jasne plamy w miejscach, gdzie jeszcze niedawno wisiały proporce. Stała tam Wściekła Wilczyca, oparta o jedną z kolumn z drzewa cedrowego, i z pochmurną miną wpatrywała się w ciężki stół, ciągnący się przez całe pomieszczenie. Wredny Lis siedział przy jego przeciwnym końcu, obok młodego chłopca o wychudłych policzkach. W chwili naszego wejścia chłopak poderwał głowę znad miski z zupą i otworzył szeroko oczy z przerażenia.

– Nie ma powodu do obaw, dziecko – powiedział Wredny Lis. Nigdy dotąd nie słyszałem, by odzywał się tak łagodnym tonem. Nigdy też nie domyśliłbym się, że w ogóle potrafi takiego tonu użyć.

Chłopiec patrzył na mnie jeszcze przez moment. A więc to ja wzbudzałem w nim strach, a nie Brązowa Sowa. W końcu na powrót skupił uwagę na misce i wsunął kolejną łyżkę zupy do ust. Wargi miał cienkie i zsiniałe.

– To dziecko Żelaznego Miasta – wymamrotała Wściekła Wilczyca z podwyższenia. – Urowadzony stąd przez sieneńską armię. Jeden z nielicznych ocalałych...

– Wilczyco! – parsknął wuj.

Trzymająca łyżkę dłoń chłopca zamarła w połowie drogi do ust, a potem zadrżała, rozlewając część zawartości. Wredny Lis zawołał strażnika z korytarza.

– Zostań z dzieckiem – polecił mu, a strażnik zajął jego miejsce obok chłopca. Wuj zaś ruchem głowy wskazał nam drzwi na podwyższeniu. Prowadziły do niewielkiej garderoby, gdzie stały dwa wyściełane krzesła, opustoszałe komody i ogołocona szafa.

Wuj stanął za jednym krzesłem i zacisnął dłoń na obłym oparciu, aż kłykcie mu pobieły.

– Wedle słów chłopaka Sieneńczycy zaprowadzili ludzi z Żelaznego Miasta pod bramy Fortecy Zachodzącego Słońca tylko po to, żeby ich tam wyrzucić. Chłopak jakoś ocalał życie i zdołał tu wrócić.

– Prawie zdołał – powiedziała Wściekła Wilczyca. – Grupa myśliwych znalazła go kilka godzin drogi stąd, jak spał w korzeniach drzewa.

– Bydłęta – prychnęła Brązowa Sowa, stojąca obok mnie.

Żałowałem, że nie odczuwam tego samego oburzenia co oni, gdyż moim umysłem zawładnęło bez reszty oszołomienie. Myślam wrócić do chłopca, który zamiatał grób Wilgi, zgarbiony pod ciężarem własnej rozpacz. Połączył nas ból i lęk przed przyszłością, a także chwila rzadkiej szczerości, która powróciła lata później, kiedy Lotka wolał wyprowadzić swoich ludzi spod Twierdzy Szarego Mrozu, niż przebić mnie mieczem, w chwili gdy ratowałem babcię. Jednak okazywało się, że moja wiara w jego dobroć, lub nadzieja na nią, była błędem.

– Mam też wieści od oddziałów, które wysłałam w celu nękania sieneńskiej kolumny. – Wściekła Wilczyca zaczęła kroczyć po komnacie. – Mówią o słupach czarnego dymu wznoszących się nad dachami Fortecy Zachodzącego Słońca. Nikt nie odważył się podejść na tyle blisko, żeby mieć pewność,

ale wygląda na to, że Sieneńczycy zmasakrowali nayeńską ludność i spalili miasto do szczętu.

Wredny Lis zgrzytnął zębami.

– To był zawsze ostateczny cel ich podbojów – warknął. – Najpierw proponowali zdobycie bogactwa dzięki wymianie handlowej, a potem rządzą prawem miecza. Teraz albo już do niczego im się nie przydajemy, albo nauczyli się nas bać, a więc będą nas mordować.

Wściekła Wilczyca burknęła, zgadzając się z nim.

– A więc dobrze, że połączyliście siły – stwierdziłem.

Łatwiej było rzucić niezobowiązujący dowcip, niż rozvodzić się nad okrucieństwami Lotki. Oboje pretendenci do tronu wbili we mnie spojrzenia.

– Ale to niewiele zmienia – ciągnąłem. – Zbierzemy wszystkie siły, jakie mamy, i pociągniemy na Wschodnią Fortecę.

Wredny Lis zacisnął mocno zęby, ale skinął głową.

– Ludzie mniejszego formatu popadliby w przestach, słysząc o okrucieństwach imperium, co zapewne było ich zamierzeniem. Jednakże Nayeńczycy tacy nie są. Niebawem rozniesie się wieść o ich zbrodniach, a wojownicy zlecą się tłumnie pod nasze sztandary.

Wściekła Wilczyca wywróciła oczami. Wredny Lis spojrzał na nią złowrogo.

– Co? Nie zgadzasz się?

– Nie, skądże znowu – odpowiedziała. – Roześlę zwiadowców po wsiach. Niech się ludzie zbierają.

– Jeszcze nie – rzekł Wredny Lis. – Niech plotki krążą jeszcze przez jakiś czas, a my potem zbierzemy ludzi na dziedzińcu garnizonowym. Mamy szansę na zjednoczenie naszych sił, Wściekła Wilczyco. Jeśli tego nie zrobimy, nadal będziemy musieli borykać się z animozjami w szeregach.

Kobieta spoglądała na niego sceptycznie, ale wzruszyła w końcu ramionami. Potem, ku mojemu zaskoczeniu, oboje

spojrzeli na mnie w niemej prośbie o aprobatę.

Pokręciłem głową.

– Nie jestem tu przywódcą.

Wredny Lis nabrał głęboko tchu i skrzyżował ramiona na piersi.

– Jak chcesz, siostrzeńcze. Dobrze, że się wszyscy zgadzamy.

Opuściliśmy splądrowaną garderobę. Wściekła Wilczyca udała się, by rozpowiedzieć wśród swoich ludzi plotki o zbrodniach, jakich dopuścił się Lotka, a Wredny Lis wrócił do chłopca, by czuwać nad nim i jednocześnie myśleć gorączkowo. Ja zaś wybrałem się na poszukiwania Syczącej Kocicy.

Puste domostwa, sklepy i warsztaty zdawały się ze mnie szydzić, gdy szedłem w kierunku porzuconego magazynu, który zamieniła na swoje schronienie. Z przerażeniem myślałem o tym, jak bardzo Lotka zdradził moje zaufanie. Żałowałem, że pozwoliłem mu opuścić Twierdzę Szarego Mrozu. Pojedyncza rozmowa przy grobie – bez względu na to, jak dobrze ją pamiętałem i jak wyraźnie czułem w niej echo przyjaźni z Wilgą – nie mogła okazać się ważniejsza od imperialnej doktryny.

Pozwoliłem mu ująć z życiem, wierząc w dobro w jego sercu, które najwyraźniej sobie wymyśliłem, a tysiące ludzi poniosło śmierć.

Miałem na swoim sumieniu jeszcze jeden błąd. Na moje przeciążone barki, na których dźwigałem odpowiedzialność za śmierć Wilgi oraz ludzi z Nory i An-Zabat, spadła teraz wina za nowe ofiary.

I zapomniałem o Chłodnym Szczeniściu i moim długu wobec jej matki.

Do mojego umysłu niczym uderzenie pioruna wdarła się czyjaś obecność.

„Jeśli chcesz mi opowiedzieć o Fortecy Zachodzącego Słońca, jesteś wolniejszy od głodującego dziecka”.

„Nie” – odpowiedział Okara. „Przybyłem cię ostrzec. Doktryna zmierza do Nayenu”.

Odchyliłem głowę i wbiłem wzrok w szare niebo. Skwierczące we mnie poczucie winy, powoli przeradzające się w nienawiść do siebie samego, nagle znalazło swój prawdziwy cel. Każdy wstrząs i każdy błąd był produktem filozofii cesarza. On, ze swoją doktryną i pustymi obietnicami magii, był powodem, dla którego ruszyłem tą ścieżką, i to on, nie ja, odpowiadał za każdą zbrodnię, jaką na niej popełniłem, i każdą dramatyczną próbę, by z tej ścieżki zejść.

„Imperium cesarza ogarnął chaos. Zaprowadzi w nim porządek, jeśli zdoła, a w przeciwnym razie zbierze żniwa broni w nadziei, że to wystarczy”.

Rozumiałem, o co mu chodzi. Otrzymaliśmy szansę, by położyć kres jego imperium oraz zagrożeniu, jakie stwarzał dla pokoju między ludzkością i bogami.

„Twoja matka powiedziała swego czasu, że wolno mi korzystać z każdej magii. Przekaż jej oraz im wszystkim, że nie mam zamiaru zaczynać wojny. Nie stanowią zagrożenia ani dla nich, ani dla pokoju, a jedynie dla imperium”.

„Dobrze” – odparł, ale ja wyczułem, że w jego umyśle drgnęły jakieś potężne, nieznane mi emocje. Być może tylko bogowie odczuwali takie rzeczy. „Co zamierzasz?”

„Udać się do Wschodniej Fortecy”. Na powiekę padła mi kropelka deszczu. „Położę tam kres okrucieństwu Doktryny i jego planom”.

A jednocześnie pomszczę nie tylko Wilgę i Zabatańczyków, ale także każdego innego człowieka, który ucierpiał w wyniku imperialnych rządów. Należał do nich Czysta Rzeka. Byli wśród nich moja matka, moja babcia oraz wuj, a do tego każdy żołnierz w obu naszych armiach. Ucierpiała Brązowa Sowa, żyjąca pod imperialnym butem, ucierpiał nawet Lotka, którego

życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie wypaczyła go służba wobec Sienu.

„A więc życzę ci powodzenia” – rzekł Okara i wyparował z mojego umysłu.

Skrzypnęły drzwi do magazynu i Sycząca Kocica uniosła wzrok znad żarzących się węgielków, które dźgała swoją igłą.

– Stwórz płomień – powiedziałem.

Starucha zmrużyła oczy, ale zrobiła to, co jej kazałem. Zamieniłem się w kulę jadeitu zanurzoną w strukturze i sięgnąłem w kierunku żelaznego pręta jej woli. Łatwiej byłoby przepchnąć górę małym palcem. Wycofałem się więc ze struktury, ciężko dysząc, i starłem pot z czoła wierzchem dłoni.

– O co ci chodziło, Kundlu? – Sycząca Kocica przechyliła głowę, aż zagrzechotały czaszki w siwej chmurze jej włosów. – Uznałeś, że po kilku miesiącach marszów jesteś już gotów rzucić mi wyzwanie?

– Cesarz żegluje do Wschodniej Fortecy – powiedziałem. – Lub tak przynajmniej twierdzi Okara.

Starucha parsknęła śmiechem.

– Ale to nie wszystko – dodałem i opowiedziałem jej o chłopcu i masakrze pod Fortecą Zachodzącego Słońca.

Jej rozbawienie błyskawicznie ustąpiło miejsca goryczy, a potem wściekłości.

– Może i mieszkałaś w ukryciu przez kilkadziesiąt lat – rzekłem. – Ale Nayen nadal jest twoją ojczyzną. Ty kształciłaś pierwsze wiedźmy i pierwszych czarowników. Tymczasem Doktryna chce nas zniszczyć w preludium wojny przeciwko bogom.

– Już ci powiedziałam, że wojna między nami wcale nie okaże się lepsza od apokalipsy – warknęła. – A skończy się o wiele gorzej niż apokalipsa, jeśli to ja przegram.

– Być może. Ale razem mamy większe szanse. Istnieje pewna broń, której odmówiono tobie i Doktrynie, ale ja mogę za nią

pochwycić.

Znieruchomiała i wpatrywała się teraz we mnie czujnie. W jej wzroku nie widziałem ani tradycyjnej obojętności, ani też furii, jaka zawładnęła nią chwilę temu.

– Rozmawiałem z Okarą – powiedziałem. – Bogowie nie zemszczą się, jeśli zamknę strukturę, żeby powstrzymać cesarza.

– Doprawdy? – spytała cicho Sycząca Kocica. – A może to jedynie obietnica nałożona na inną?

– W którymś momencie musimy zacząć sobie ufać – upierałem się. – Bogowie mają swoje plany, a ja mam swoje, ale obie strony pragną śmierci Doktryny i rozpadu imperium. Podobnie jak Wściekła Wilczyca i Wredny Lis, powinniśmy się zjednoczyć w tym celu, bo wzajemne podejrzania doprowadzą nas do zguby.

Jej obojętna twarz drgnęła.

– Być może, ale nie znasz ich tak dobrze jak ja. Bogowie są równie okrutni jak Doktryna i mniej przewidywalni.

– Ale nie sieją już chaosu jak kiedyś – powiedziałem. – A w międzyczasie cesarz morduje ludzi wszędzie, gdzie sięga jego długie ramię.

Cienie, które spowijały twarz Syczącej Kocicy, nie maskowały konfliktu toczącego się w jej duszy. Stare rany i jeszcze starsze traumy wypływały teraz na powierzchnię i ścierały się z tym, co ode mnie usłyszała. Mimo to wiedziała, że na świecie dochodzi do okrucieństw, które domagały się sprawiedliwości i budziły jej poczucie winy. Nie chodziło bynajmniej o zbrodnie, do których doszło dawno temu, ale o te, które miały miejsce, gdy się ukrywała, nie umiając odepchnąć własnego strachu, by spróbować powstrzymać przybierającą na sile falę okrucieństwa Doktryny.

– Masz rację, oczywiście – powiedziałem. – Nie podejmę ryzyka zamknięcia struktury, bez względu na słowa Okary,

chyba że nie będzie wyjścia. Pomóż mi pokonać cesarza bez tego.

Jej wzrok padł na igłę i stos łopatek czekających na runy wyroczni.

– W sumie albo mogę ci pomóc, albo beczynn timer czekać na wojnę – mruknęła. – Doskonale, Kundlu. Zniszczmy tego łajdaka, zanim on zniszczy świat.

Ucieczka

Koro Ha

Oni wiedzą o wszystkim! – Koro Ha oparł się o framugę drzwi do gabinetu Orny Sina. Nogi mu dygotały, a płuca płonęły, choć nie pamiętał biegu przez ogród. W jednej chwili stał przy bramie i żegnał się z Quonem Lo, a teraz był tutaj, zlany potem i przerażony.

Orna Sin zdjął okulary, uniósł wzrok znad papierów rozłożonych na biurku i nabrał głęboko powietrza. Wskazał nauczycielowi drugie krzesło w pokoju.

– Kto wie o czym? Mów konkretnie.

– Pan Mah! – Koro Ha opadł na krzesło i mocno zacisnął drżące dłonie na podłokietnikach, jakby się bał, że się rozpadną, jeśli tylko zwolni uścisk. – Zobaczył, jak Lon Sa rysuje symbole Toa Alon. Wtedy Quon Lo wstawił się za nim, a ja... – Zacisnął oczy. – A ja popełniłem błąd. Postanowiłem bowiem obronić obu chłopców za pomocą sieneńskiej doktryny.

Orna Sin postukał okularami o podbródek.

– A więc pan Mah, a za jego pośrednictwem również sędzia Tan wiedzą, że jeden z twoich uczniów gryzmolił sobie ornament w chwili znudzenia. Mógł się tego ornamentu nauczyć w domu albo zobaczyć go gdzieś w moim ogrodzie lub

na mieście. Wiedzą też, że masz nietypowe poglądy na niektóre punkty doktryny.

– Powiedział, że dopilnuje, żebym już nigdy nie przeprowadził kolejnej lekcji. – Koro Ha potrząsnął głową. – A wypowiedział to z taką nienawiścią w głosie, Orna Sin. Musimy potraktować to poważnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Orna Sin odchylił się na krześle. – Czy oni wiedzą o Uonie Elii i pogrzebanym mieście? Wiedzą, czego dzieci się tam uczą?

– Nie – rzekł Koro Ha. – Ale rozpoczną dochodzenie. Mogą przeszukać ogród. Co ich powstrzyma przed odkryciem prawdy?

– Przypuszczalnie cię przesłuchają – zgodził się Orna Sin. – I mnie zapewne również, skoro jestem twoim pracodawcą. Mogą mnie zmusić, żebym zerwał z tobą więzi.

– Mogą dopuścić się czynów o wiele gorszych! – Koro Ha nie mógł pojąć, jak Orna Sin może być taki spokojny. Najwidoczniej całe życie balansowania na krawędzi prawa za bardzo przyzwyczyło go do niebezpieczeństwa. – Mogą wyłapać dzieci! Ciebie mogą poddać wielogodzinnemu przesłuchaniu. Nie mam pewności co do siebie samego, ale nie wydaje mi się, żeby dziewięcioletnie dziecko znalazło w sobie hart ducha, żeby zataić wszelkie sekrety.

Orna Sin grzmotnął pięścią o blat biurka i skrzywił się. Rozchylił dłoń i upuścił poskręcane resztki okularów. Zaczął wyjmować drobinki szkła z dłoni.

– Musimy chronić Uona Elię – rzekł Koro Ha. – Jeśli imperium go znajdzie, możemy zapomnieć o odbudowaniu Toa Alon.

– Ile tysięcy godzin pracy pana Mah poszło na marne? Ile tysięcy taeli jego pensji imperium wyrzuciło w błoto? – zastanawiał się na głos Orna Sin. – Myślałem, że już dawno dadzą sobie spokój.

– Niczego nie zmarnowali.

Orna Sin wbił w niego gniewne spojrzenie.

– Oczywiście masz rację, że Uona Elię trzeba chronić. Sprowadzę rzemieślników, żeby zamknęli tunel. Otworzymy go, gdy sprawa przycichnie.

– Nie przycichnie! – upierał się Koro Ha. – Dłoń zdradził imperium. Trudno sobie wyobrazić większy skandal. Wen Olcha wymknął się władzy, a więc ukarzą jego współpracowników! Owoc, zarówno słodki, jak i kwaśny, jest odbiciem gałęzi, na której wyrósł, jak mawiają mędrcy. Ja jestem tą gałęzią, a miejscowy sędzia jest już przekonany, że niebawem obrodzę owocami. Tymi owocami zaś będą dzieci, które mają odmienne poglądy, kłócą się z przełożonymi i umieją pisać w jakimś barbarzyńskim alfabecie.

Palec Orny Sina zatrzymał się nad ostatnią drobinką szkła na dłoni.

– A więc umieszczę cię na statku i wyślę gdzieś, gdzie imperium nie będzie cię szukać. W jakieś bezpieczne miejsce.

Koro Ha przypomniał sobie poszarpaną sylwetkę Czarnej Paszczy na horyzoncie i odepchnął myśl o życiu wśród piratów i przemytników.

– Niedobrze ci się robi na samą myśl o tym? – zachichotał Orna Sin. – Jesteś teraz jednym z wrogów imperium. Pomoc znajdziesz jedynie wśród innych jego wrogów.

– Nie chodzi mi o to. – Koro Ha potrząsnął głową. – Możesz mnie wywieźć w tajemnicy i ocalić mi życie, ale to nie wystarczy.

Orna Sin zmarszczył brwi, nieprzekonany.

– Pomyśl tylko. – Koro Ha czuł, jak jego opanowanie wreszcie pęka. Przez krótką piękną chwilę miał nadzieję na to, że jego życie nie zakończy się na służbie u młodych dziedziców imperialnych fortun. Wszystko jednak przepadło przez jedną chwilę nieuwagi. – Ilu ludzi zna Uona Elię? Ty, ja, górnicy, którzy odkryli go razem z tobą, piątka uczniów i ich rodzice. My

dwaj będziemy strzegli jego tajemnicy, ale czy możesz mieć pewność, że dzieci nie opowiedziały o nim kolegom, kochanej cioci czy sąsiadowi? Sien będzie wypytywał wszystkich. Nie przestaną, dopóki nie znajdą słabego elementu naszej tajemnicy i nie przedrą się do prawdy. Jeśli Uon Elia ma to przeżyć, musi udać się ze mną.

– On żyje pod ich stopami od siedemdziesięciu lat! – Orna Sin uczepił się nadziei.

– Bo go nie szukano – wytknął łagodnie Koro Ha.

Orna Sin skrzywił się, wreszcie ujawniając burzę gwałtownych emocji. Nie mógł już wypierać rzeczywistości.

– Ile życia mu pozostało? – spytał. – Czy damy jeszcze radę sprowadzić go tu z powrotem, zanim jego życie dobiegnie końca?

– Jeśli imperium go dopadnie, stracimy wszelką nadzieję – powiedział Koro Ha.

– Być może będziemy mogli wysłać z wami niektórych uczniów. Lon Sa czy Quon Lo mogliby kontynuować naukę...

– Myślisz, że ich rodzice się zgodzą? – Koro Ha potrząsnął głową.

W końcu Orna Sin westchnął ciężko.

– Dobra. Przygotuj wszystko, co trzeba. Ja zajmę się statkiem i spróbuję przekonać Uona Elię, choć ten stary łajdak będzie się ze wszystkich sił trzymał ścian swojej jaskini.

– Przekonałeś mnie, żebym porzucił wspaniałą karierę w Sienie – powiedział Koro Ha. – Uon Elia jest starszy i bardziej uparty ode mnie, ale nie jest głupcem. Dostrzeże mądrość w twoich słowach.

Orna Sin burknął pod nosem i zabębnił palcami o blat.

– Twój były uczeń ponosi winę za to całe zamieszanie. Jeśli kiedyś go jeszcze spotkasz, rąbnij go w gębę w moim imieniu.

Koro Ha uśmiechnął się.

– Dobrze, choć wątpię, czy mi się to kiedyś uda.

I rozeszli się. Każdy do swoich obowiązków. Orna Sin miał za zadanie przekonać najcenniejszą osobistość w swojej karierze do potajemnego opuszczenia jedynego domu, jaki znała, a Koro Ha chciał jeszcze spotkać się z rodziną.



– Koro Ha! – wykrzyknęła Eln Se, przewyciężając zaskoczenie. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. – Musisz być strasznie zajęty w tej swojej szkole, bo od dawna cię już nie widziałam. Wejdz, wejdz.

Zaprowadziła go do stołu na dziedzińcu, a potem popędziła do kuchni po coś do picia. Potem zawołała ojca, który jak wyjaśniła, wziął dzień wolnego, by się wyspać i odpocząć po miesiącu trudnej pracy dla jednego z najznamienitszych kupców Sor Cala.

– Twój pracodawca pewnie go zna – powiedziała Eln Se.

– Czy Rea Ab jest w domu? – Koro Ha miał nadzieję raz jeszcze zobaczyć swoją siostrzenicę. Dopiero co się poznali, a los znów miał ich rozdzielić na dobre. Przeczował bowiem, że tym razem już nie zdoła wrócić do Sor Cala. – A co z Yanem Hra? – dodał, czując ukłucie winy. Wiedział, że powinien był spytać o jej męża.

– Rea Ab jest na rynku, a Yan Hra pracuje. – Eln Se wyłoniła się z kuchni z talerzem smażonych orzechów i butelką ryżowego piwa, w którym rozsmakowywał się ich ojciec. Miała poważną minę. – Wszystko w porządku, bracie?

– Wolałbym nie musieć tłumaczyć tego wielokrotnie. – Czuł, jak znów ogarnia go rozpacz. Uniósł orzech i obracał go w palcach, zbyt poruszony, by cokolwiek zjeść. W drodze z ogrodu Orny Sina próbował ułożyć jakieś wyjaśnienie dla

swojego nagłego wyjazdu z Toa Alon, ale teraz wszystkie myśli go opuściły. Przez lata tęsknotę za domem odpędzał nadzieją, że któregoś dnia powróci do rodziny. Wieści o chorobie matki i starzejącym się ojcu o mało nie sprawiły, żeby powrócił wcześniej, ale żadne z tych wydarzeń nie przepełniło go takim żalem, jaki czuł teraz. Oddałby wszystko, by móc pozostać z nimi jeszcze jakiś czas.

– Popatrz tylko, kto nas odwiedził! – zawołał ojciec, kusztykając w dół po schodach. – Bywasz u nas z nową regularnością, Koro Ha. Raz na pół roku! Tak czy owak, nazwałbym to postępem. – Opadł na krzesło naprzeciwko syna, westchnął i otworzył butelkę. – Co cię sprowadza?

– Wyjeżdżam z Sor Cala – powiedział Koro Ha.

– Doprawdy? – Ojciec uniósł butelkę do ust. – Szkoła okazała się kiepskim pomysłem?

Koro Ha zignorował docinek.

– Nie. Coś... Coś niedobrego dzieje się z jednym z moich byłych uczniów. Doszło do wypadków, które rzuciły podejrzenia na mnie.

– Podejrzenia? – Eln Se nachyliła się nad stołem, zaciskając dłonie i marszcząc czoło. – Jakie podejrzenia?

– O zdradę – powiedział obojętnie Koro Ha. – Albo przynajmniej o nauczanie w sposób, który skłaniałby uczniów do podważania doktryny lub nieakceptowania jej, co dla nich oznacza to samo.

Ojciec odstawił butelkę. Spoglądał teraz na syna z powagą.

– Co się stało? – spytała szeptem Eln Se. – Dokąd się udasz?

– To, co się wydarzyło, jest bez znaczenia – rzekł Koro Ha. – Mój pracodawca zna miejsce, gdzie mogę zniknąć, i właśnie tam się udam.

– Zniknąć? – nie rozumiała Eln Se. – Co będziesz robił? Jak przetrwasz? Koro Ha, o co chodzi?

– Próbuje wam właśnie powiedzieć. – Nauczyciel nabrał głęboko tchu. – Mam oszczędności. Zabiorę ich trochę, żeby móc się utrzymać do chwili, gdy znajdę pracę. Wszędzie potrzeba dobrych skrybów, nawet na końcu świata. To, co będę musiał zostawić, trafi do was, ale będziecie musieli to schować. Imperium będzie mnie szukać, a nagle bogactwo może ściągnąć podejrzenia na was.

– Czyli jest aż tak źle, co? – spytał ojciec.

Koro Ha spojrzał mu w oczy i odkrył w nich strach oraz troskę. Trudno mu było uwierzyć, że jego ojciec, mężczyzna twardy i zahartowany, jest zdolny do takich uczuć wobec niego.

– Tak – odparł. – Przykro mi. Żałuję, że nie odwiedzałem was częściej.

Ojciec burknął:

– Robiłeś to, co mogłeś. Pomogłeś nam zachować dach nad głową w trudnych chwilach.

– Mimo to... – Głos zawiódł. Emocje i zasady toczyły w sercu Koro Ha zaciekle starcie. – Żałuję też, że nie mogę wam opowiedzieć, czym się zajmowałem przez ostatni rok. O tym, co próbowałem zbudować. Dzieci z mojej szkoły, nie wszystkie, ale przynajmniej część, usłyszały historie, których nie opowiadał nikt od wieków. Opowieści Toa Alon. Uczyły się kaligrafii, ale też naszego pisma węzełkowego i... – Chciał powiedzieć, że na własne oczy widział to, co zostało z Sor Cala, kopuły i kamienne twarze, które przetrwały pod zrujnowanym miastem. Wiedział też, że niektóre z uczonych przez niego dzieci kiedyś odziedziczą największy sekret Uona Elii: magię. – Tak czy owak, imperium będzie was przesłuchiwać i im mniej będziecie wiedzieć, tym lepiej dla was.

– Koro Ha – zaczęła Eln Se, ale przerwał jej atak płaczu.

Ojciec wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na jej ramieniu, a w jego oczach Koro Ha zobaczył nową emocję. Znał swojego

ojca i wiedział, że to raczej niemożliwe, ale wydawało mu się, iż w jego oczach zapłonęła duma.

– Prędzej popękają te ich filary, niż wyciągną ze mnie cokolwiek – powiedział. – Kiedy wyjeżdżasz?

– Gdy tylko statek będzie gotów. Znajdę jakiś sposób, żeby do was napisać po przybyciu na miejsce, ale...

Ojciec pokiwał głową. Eln Se znów się rozszlochała, a potem objęła go mocno.

– Zaczekaj przynajmniej na powrót Rei Ab – powiedziała. – Proszę. Powinna zobaczyć się ze swoim wujem.

Koro Ha poklepał ją po plecach, ale potrząsnął głową. Nie mógł się podnieść, sparalizowany rozpaczą, którą przerwało głośne, natarczywe walenie do drzwi. Zamarł ze strachu, a w domu zapadła cisza.

Uderzenie w drzwi powtórzyło się, a potem ktoś zawołał po sieneńsku. Głos był stłumiony, ale ton władczy. Eln Se poderwała się i spojrzała na drzwi.

– Ktoś cię śledził? – spytał cicho ojciec Koro Ha.

Jeśli pan Mah nie pokonał całej drogi biegiem, w co Koro Ha bardzo wątpił, wieści o postępach nauczyciela powinny dotrzeć do sędziego, w chwili gdy ten opuścił posiadłość Orny Sina. Koro Ha potrząsnął głową, bojąc się choćby odetchnąć.

– Pomóż mu się schować – rzucił ojciec do Eln Se, a potem pchnął oboje ku schodom.

– Otwierać, w imię cesarza! – wykrzyknął przybysz łamaną mową Toa Alon. – Albo wyważymy drzwi!

Eln Se pogoniła Koro Ha w górę schodów, do okna, które wychodziło na dach.

– Schowaj się – szepnęła i podała mu matę z sitowia. – Kucnij i nakryj się tym.

Nie było czasu ani na pytania, ani na myślenie. Koro Ha otworzył okiennice i ostrożnie wypełzł na dachówki, których

krawędzie wpijały się w jego brzuch i palce stóp. Nauczyciel czuł, że serce bije mu jak szalone.

Eln Se chwyciła matę i zarzuciła ją na brata, przykrywając mu głowę i ramiona.

Ze schodów dobiegały stłumione pokrzykiwania oraz ciężkie kroki, które przeniosły się na piętro. Czy Eln Se zamknęła okiennice? Koro Ha miał wrażenie, że wpatrują się w niego tysiące oczu.

– Nie miałeś żadnego kontaktu z synem? – pytał ktoś w mowie Toa Alon z akcentem sieneńskim.

– Żadnego przez ostatnich kilka miesięcy – odpowiedział ojciec. – O co tu chodzi? Czyżby zrobił coś złego?

Zamiast odpowiedzi rozległ się łomot otwieranych kufrów i wypróżnianych koszy, Koro Ha usłyszał również trzask rozdieranego materiału. Później dobiegło go stęknienie i łoskot przewracanego łóżka.

– Co się dzieje? – krzyczała zdjeta przerażeniem Eln Se.

– Nauczyciel zwany Koro Ha jest poszukiwany w związku z działalnością buntowniczą w różnych rejonach imperium – odpowiedział Sieneńczyk głośniej niż wcześniej.

Koro Ha słyszał łomot ciężkich butów na drewnianej podłodze, który przybliżał się, aż dotarł pod okno.

– Każdego człowieka, który udzieli mu schronienia, czeka surowa kara! Zostanie potraktowany, jakby wspierał wrogów cesarza.

– Mój syn jest uczonym! – parsknął ojciec. – Nauczycielem! Zdał te wasze przekłete egzaminy! Czemu miałby się zwracać przeciwko wam teraz, skoro porzucił własną rodzinę, żeby służyć cesarzowi?

Kroki urwały się. Koro Ha wstrzymał oddech. Rozległ się ostry trzask ciosu wymierzonego w twarz, a potem jęknięcie bólu. Koro Ha zacisnął pięści, by powstrzymać drżenie dłoni wspartych na dachówkach.

– Jeśli będziecie mieli jakiegokolwiek wiadomości na temat waszego syna, natychmiast powiadomcie sędziego dzielnicowego – oznajmił Sieneńczyk.

Kroki zaczęły się oddalać, aż ucichły, a potem rozległo się trzaśnięcie drzwiami, a z ulicy dobiegły pokrzykiwania po sieneńsku. W końcu usłyszał, że ktoś otwiera okiennice.

– Szybko! – syknęła Eln Se. – Właż do środka.

Koro Ha wpełzł przez okno i padł na podłogę. Nie mógł opanować niekontrolowanego drżenia rąk i nóg.

– Musisz uciekać! Bezzwłocznie! – rzuciła Eln Se, wpychając ubrania do plecaka. Rzuciła mu parę prostych spodni, spłowiałą zieloną koszulę i wytarty płaszcz podróżny. – Załóż to. W tych jedwabiach natychmiast cię rozpoznają.

Koro Ha ściągnął szatę przez głowę. Czuł paralizującą panikę, przez którą nagle przebiło się zażenowanie wywołane tym, że siostra ujrzała jego nagość. Eln Se przerwała pakowanie jedynie po to, by wziąć jego szatę i wepchnąć ją do plecaka. Nie zwracała sobie głowy zwijaniem jedwabiu.

– Będiesz mógł ją sprzedać – powiedziała. – Ale nie noś jej. Będą aresztować dobrze odzianych miejscowych w porcie.

– Gdzie ojciec? – spytał Koro Ha, zapinając ostatnie guziki koszuli.

Eln Se pokręciła głową.

– Na parterze. Położył się z kawałkiem surowego mięsa na twarzy, żeby zatrzymać opuchliznę.

Koro Ha poczuł, jak ogarnia go zgroza. Zbiegł po schodach i ujrzał ojca na łóżku. Leżał i pojękiwał cicho, przyciskając cienki plaster koziny do twarzy.

– Walnął mocniej, niż sądziłem – wymamrotał ojciec. – Nie wiedziałem, że kryje takie mięśnie pod tą szatą.

– Przykro mi – powiedział Koro Ha, klęcząc u boku ojca. – To wszystko moja wina.

Ojciec uśmiechnął się słabo.

– Zgadza się. I moim zdaniem najwyższy czas, żebyś wywołał gdzieś jakieś kłopoty.

Eln Se zjawiała się na schodach i rzuciła bratu plecak.

– Zawinę ci trochę chleba i owoców – mruknęła. – I ruszaj w drogę, bracie. Oni mogą tu wrócić lada chwila.

Ojciec ujął policzek syna i poklepał go, a potem łagodnie pchnął jego pierś.

– Uciekaj.

Koro Ha niemalże sparaliżowała potrzebą powiedzenia czegoś, co będzie miało sens. Podniósł się znad łóżka ojca, który naraz wydał mu się człowiekiem zarówno potężnym, jak i kruchym. Jak to możliwe, by związek między ojcem i synem, często odległy i napięty, ale nacechowany miłością, w końcu osiągnął ten moment?

– Koro Ha! – Eln Se trąciła go tobołkiem z jedzeniem. – Włóż to do torby i uciekaj!

Nauczyciel przyjął dar i schował go. Zastanawiał się, jak choć w paru słowach podsumować relację z siostrą, z którą miał tak niewiele wspólnego.

– Przykro mi – rzekł. – Przeze mnie znaleźliście się w niebezpieczeństwie.

Kobieta wydmuchnęła powietrze przez nos, a w kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

– Idź już wreszcie – powiedziała. – I napisz do mnie, jeśli będziesz miał możliwość.

– Niebawem się zobaczymy – skłamał, na co Eln Se uśmiechnęła się, ujęła go za ramiona i przywiodła do drzwi.

– Powodzenia! – zawołał ojciec z łóżka. – Utoż krwi tym łajdakom!

Koro Ha niemalże się roześmiał. Czy zasługiwał na to, by wznoszono za nim okrzyki bojowe? Przecież był jedynie nauczycielem w średnim wieku, który podjął ryzyko i skupił na sobie wrogość władców świata.

Eln Se wysunęła głowę z za drzwi i rozejrzała się.

– Droga do portu wiedzie tędy – wskazała kierunek. – Pochyl się nieco, jak czynią to żeglarze, i miej nadzieję, że te łajdaki nie rozpoznają cię wśród innych ciemnoskórych nieboraków w tym mieście. – Przytuliła go, a potem odsunęła od siebie na długość ramion. – Nie wiem, o co chodzi, ale jestem z ciebie dumna. Matka również by była.

Koro Ha uściśnął ją na pożegnanie i odszedł zgarbiony, ledwie powstrzymując ochotę, by rzucić się do biegu.



Nawet w całkiem zwyczajny dzień mężczyzna noszący chłopski strój ściągnąłby podejrzenia w dzielnicy otoczonej murami posiadłości, gdzie mieszkał Orna Sin. Jednak Koro Ha zlekceważył słowa Eln Se i udał się tam, przechodząc wąskimi uliczkami. Starał się przypominać wędrujących bez celu bezrobotnych biedaków, których tak często widywał w dzieciństwie.

Skreślił w uliczkę prowadzącą do bramy Orny Sina i zawahał się. Wzrokiem szukał straży czy cesarskich agentów, którzy mogli się tu na niego czaić. Nikogo nie zauważył, a więc nabrał odwagi i podszedł do bramy.

Czyjaś dłoń opadła na jego ramię. Należała do barczystego człowieka w kapturze, który zawlókł go w boczną uliczkę.

– Pójdę z wami! Pójdę! – wybełkotał Koro Ha, któremu strach odebrał resztki elokwencji. – Nie rób mi krzywdy!

– Cicho bądź! – Yin Ila, kapitan Chyżości Południowego Wiatru, odrzuciła płaszcz. – W ogrodzie czeka tuzin sieneńskich żołnierzy, którzy bardzo się ucieszą z twojego powrotu. Idź za mną i trzymaj głowę nisko. Musimy dostać się do portu.

– A co z Orną Sinem? – spytał Koro Ha, gdy Yin Ila znów narzuciła kaptur i ruszyła w drogę. – A z Uonem Elią? Nie możemy go porzucić!

– Jeśli masz na myśli tego upartego drania, którego musieliśmy przemycić przez bramę dla służby, w chwili gdy imperium wywlekało Ornę Sina, to on już jest na łodzi – powiedziała Yin Ila. – Chodźmy.

Koro Ha podążył za nią. Ulica zlała mu się w plątaninę bieli, brązu, zieleni i szarości, a odgłosy miasta odurzały go. Orna Sin trafił do niewoli, a więc zapewne będzie torturowany i zabity. Co się stanie z uczniami? Co będzie z ich rodzicami, a zwłaszcza z tymi, których dzieci studiowały pod okiem Uona Elii? Koro Ha nadal miał szansę na ucieczkę, ale pozostawiał za sobą mnóstwo cierpienia.

– Musimy mu pomóc! – Koro Ha nagle poczuł mdłości. – Jesteście przemytnikami, tak? Macie śmiałe uciezki i łamanie prawa we krwi!

Yin Ila prychnęła i pokręciła głową.

– Dalibyśmy radę wyrwać kogoś z więzienia na jakimś zadupiu, ale Orna Sin trafił do ogrodu sędziego. Nie da rady wyciągnąć go stamtąd niespostrzeżenie. Możemy mu pomóc tylko w jeden sposób, trzeba wywieźć stąd ciebie i Uona Elię.

Koro Ha chciał się sprzeczać, jakby potrafił wyrazić swoją desperację tak, by przekonać zahartowaną, ciągnącą go przez miasto żeglarkę, by zawróciła i zerwała kajdany Orny Sina. Złamane serca i poruszające słowa nie mogły jednak pokonać potęgi imperium.

Załoga Chyżości Południowego Wiatru zdjęła już dwa z trzech trapów i statek siedział nisko w wodzie, ciężki od ładunku. Pierwszy oficer rozmawiał jeszcze z zarządcą portu, a załoga czyniła ostatnie przygotowania do wypłynięcia.

Yin Ila gwizdnęła ostro niczym ptak. Pierwszy oficer zerknął w jej kierunku, a potem stanął między nimi a zarządcą, po czym

wbił palec w dokument przewozowy. Ich kłótnia toczyła się w najlepsze, a Koro Ha i Yin Ila weszli na pokład i schronili się pod nim.

Yin Ila odepchnęła beczkę, uklękła i wyciągnęła niewielki mosiężny kluczyk, który idealnie pasował do szczeliny między deskami. Obróciła go ze szcęknięciem, a potem uniosła trap. Oczom Koro Ha ukazała się przestrzeń, w której zmieściłby się mężczyzna. Uon Elia kulił się wśród cieni, zerkając na nich z przerażeniem.

– Wszystko w porządku – powiedziała Yin Ila. – Sprowadziłam ci towarzystwo.

Uon Elia cofnął się gwałtownie, mrużąc oczy od wpadającego światła. Drżąc, nabrał tchu i potrząsnął głową na cienkiej szyi.

– Nie – mruknął. – Od wielu dekad nic nie jest w porządku. Wygląda na to, mistrzu Koro Ha, że my dwaj długo się tego nie doczekamy.

Droga do morza

Głupi Kundel

Lasy Nayenu rozkwitły szmaragdem młodych wiosennych liści. Latałem nad wyspą i patrzyłem, jak topniejące śniegi spływają do morza i zalewają pola na południu. Widziałem też strumienie ruszających na wojnę mężczyzn i kobiet, zbrojnych w sierpy i łuki myśliwskie.

Osady i wsie pustoszały, w miarę jak rozchodziły się opowieści o zbrodni pod Fortecą Zachodzącego Słońca. Wyglądało to, jakby strzaskano naraz tysiące tam, co uwolniło fale słusznej furii, a te rozeszły się po świecie, by topić Sieneńczyków.

Mój własny gniew wzbierał, gdy wraz z owymi falami podążałem do Żelaznego Miasta. Zbierające się tam siły nie mieściły się już w murach miasta. Nasza armia, licząca z początku siedmuset wojowników, z których większość należała do armii Wilczycy, rozrosła się już do przynajmniej trzech tysięcy, a z tego, co widziałem podczas zwiadu, liczba ta mogła się podwoić.

Prawie tyle co dwa pełne sieneńskie legiony. Mieliśmy mniej wojska niż imperium we Wschodniej Fortecy i o wiele za mało, by pokonać kontyngent prowadzony przez cesarza ze Sienu, ale

moim zdaniem mogliśmy utrzymać miasto, gdybyśmy zdołali je zdobyć.

Spłynąłem na skromny dziedziniec przed pałacem sędziego i zmieniłem postać. Złapały mnie skurcze i przystanąłem na chwilę, krzywiąc się. Cały dzień w powietrzu sporo mnie kosztował, ale warto było ujrzeć całą wyspę szykującą się do zemsty. Moje serce pragnęło ruszyć pod Fortecę Zachodzącego Słońca, a każdy odważny Nayeńczyk wydawał się czuć to samo.

Jednak mieliśmy jeszcze inny problem. Walcząc z kolejnymi skurczami, ruszyłem w stronę rogu dziedzińca, skąd napływał zapach cynamonu. Za bambusowym zagajnikiem Czysta Rzeka nadzorował bowiem codzienny trening moich przybocznych. Doktor Sho, którego poprosiłem o pomoc, pozostał na skraju zagajnika. Potrzebowałem go. Nie mogłem pozbyć się koszmarnych wspomnień z momentu mojej pierwszej przemiany postaci. Mój lęk przygasał dopiero wtedy, gdy wiedziałem, że doktor czuwa w pobliżu, w każdej chwili gotów do interwencji.

Czysta Rzeka, Biegnąca Sarna i dziewięciu nowych rekrutów stali w kręgu za zagajnikiem. W centrum siedział jastrząb ze złożonymi skrzydłami. Buchnął zapach cynamonu i jastrząb zmienił się w Podarty Liść. Kucał przez chwilę, oddychając powoli i masując ramiona, a potem spojrzał na Czystą Rzekę z uśmiechem pełnym satysfakcji.

– Jak długo?

– Doliczyłem do dwudziestu – odparł Czysta Rzeka. – Lepiej, ale wciąż za mało, żeby wzbić się w powietrze.

Uśmiech Podartego Liścia przygasał, ale gdy wstał i powrócił do swojego miejsca w kręgu, nadal wydawał się zadowolony. Czysta Rzeka uniósł brew, patrząc na Biegnącą Sarne, a ta, przybrawszy niewzruszoną minę kiepsko przygotowanego ucznia wybranego do odpowiedzi na trudne pytanie, stanęła

w centrum i złapała swój kanon magii. Pomachałem do niej, by dodać jej odwagi, ale tylko zarumieniała się z zażenowania.

– Jak sobie radzą, Sho? – spytałem cicho, stając obok doktora, który wzruszył ramionami.

– Robią postępy. Żaden nie utknął w połowie przemiany. Ta sztuczka z kością chyba działa. – Spojrzał na mnie. – Rozglądałeś się po wyspie.

Jego słowa zabrzmiały jak oskarżenie, co mnie trochę zdziwiło.

– Powstał niemalże cały Nayen, co przypomniało mi pewien cytat z mędrców.

– Który? – Doktor Sho uniósł brew.

– Wędrującego Wąskim Traktem, zawarty w „Klasyku strumieni i dolin” – odparłem i wyrecytowałem: – „Ogród, podobnie jak imperium, należy nawadniać, a woda stanowi pomoc dla ludzi w chwili potrzeby. W przeciwnym razie naród wyschnie jak zapomniany ogród, a wówczas płomień powstania, rozpalony pojedynczą iskrą, pochłonie wszystko, co dobre”.

– Ten fragment brzmiał inaczej – prychnął doktor Sho. – Chyba go przebudowali.

– Naprawdę? – spytałem ze zdziwieniem, ale najbardziej zaskoczyła mnie moja własna reakcja. Czy należało się dziwić, że Doktryna wprowadzała zmiany do swoich nauk, tak jak uzupełniał kanon magii? Oba narzędzia miały przecież służyć jego celom, a więc można je było modelować jak wczesny szkic wiersza. – Co zostało usunięte?

Sho podrapał się po brodzie. Rozmowy, które zaczynały dryfować w kierunku jego przeszłości, odbierały mu pewność siebie.

Uznałem, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek, więc skupiłem uwagę na Biegnącej Sarnie. Zacisnęła oczy i oddychała powoli, rytmicznie. Poczułem emanację magiczną, jednak towarzyszyły

jej ledwie zauważalne skurcze i delikatny powiew cynamonu. Najwidoczniej Biegnąca Sarna wciąż nie potrafiła pokonać wewnętrznej blokady, która uniemożliwiała jej zmianę postaci.

– To było dawno temu – mruknął doktor Sho. – Nie wiem, czy zapamiętałem dokładnie, ale brzmiało to jakoś tak: „Tak jak rozmaite zwierzęta i rośliny ożywiają ogród i zamieniają go w miejsce radości i wygody, tak tłumy ludzi stają się siłą imperium, ale pod warunkiem, iż nie są zaniedbani i opuszczeni. Wówczas mogliby wyschnąć i zapłonąć”.

Zastanowiłem się nad tym, co usłyszałem.

– Nie brzmi to jak Wędrujący Wąskim Traktem. Tematyka może się zgadza, ale rytm jest niewłaściwy, a dobór słów co najmniej dziwny.

– A może aforyzmy, które ty znasz, mają zły rytm – burknął doktor.

Otworzyłem szeroko usta, nie wiedząc, jak zareagować na jego dziwne słowa, gdy nagle przeszył mnie skurcz tak bolesny, że zacisnąłem kurczowo palce u rąk i nóg. Świat wypełniła surowa woń palonego cynamonu. Podarty Liść oraz trzech innych padli na kolana z okrzykami zaskoczenia i bólu. W centrum kręgu siedział jastrząb, który rozkładał szeroko skrzydła.

Chwilę później fala magii cofnęła się gwałtownie niczym wypuszczona cięciwa. Biegnąca Sarna opierała się na dłoniach i kolanach, ale uśmiechała się szeroko.

– Udało mi się – szepnęła, ciężko dysząc.

– Choć bolało, jakby mi ktoś nóż wsadził w bebechy. – Podarty Liść podniósł się, ściskając brzuch.

– Ale to nie jej wina – oświadczyłem, wchodząc do kręgu. – Powinniście podziwiać moc, którą Biegnąca Sarna właśnie wam pokazała.

– Ale przecież nie zrobiła niczego wielkiego! – ciągnął Podarty Liść, patrząc na mnie z grymasem niechęci. Jego mina

przebudziła we mnie Sieneńczyka. Domagałem się szacunku od moich przybocznych i uczniów. Czysta Rzeka, który przewidział mój gniew bądź go wyczuł, wtrącił się pospiesznie:

– On ma trochę racji, Olcho. Sam czar i jego źródło nie różnią się od poprzednich. Jak możesz wyjaśnić większą moc jej fali magii od mojej, Podartego Liścia czy kogokolwiek innego?

– Jeden z moich nauczycieli powiedział mi raz, że wszystkie rzeczy chcą być takie, jakie naprawdę są – powiedziałem, narzucając sobie spokój. – Magia zmiany postaci zmienia naturę rzeczy, choć jedynie na chwilę. Fala, którą wywołuje rzucony czar, jest wyrazem oporu przeciwko tej zmianie. Możemy więc założyć, że z was wszystkich Biegnąca Sarna jest najbardziej sobą.

Podąłem jej dłoń. Chwyliła ją i wstała, a potem pochyliła się ku mnie.

– Wybacz, ale... – zmarszczyła brwi – co to ma wszystko właściwie znaczyć?

Zamrugąłem, a potem parsknąłem śmiechem. Dziewczyna spojrzała na mnie gniewnie i zawstydzona cofnęła się na swoje miejsce w kręgu.

– Trudno to wyjaśnić – odparłem i przepchnąłem pytanie na skraj umysłu, by mogła się nim zająć podświadomość. Być może mogłem je zadać Syczącej Kocicy, choć ta od czasu naszej ostatniej rozmowy wydawała się jeszcze mniej dostępna. – Tak czy owak, powinniśmy pogratulować Biegnącej Sarnie osiągniętego z trudem sukcesu.

– Zgadza się. – Na dziedziniec weszła moja babcia. Miała podkrążone oczy i przez chwilę mierzyła wzrokiem moją drużynę. Wpatrywała się w kawałki spalonego drewna noszone przez Biegnącą Sarnę i cztery inne osoby. – Powinniście być bardzo dumni. Nigdy nie widziałam, żeby młode wiedźmy i młodzi czarownicy zdobywali wiedzę tak szybko. Dzięki wam mamy szansę w walce z cesarzem i jego Dłońmi.

Przyboczni wymienili zadowolone spojrzenia, a babcia zbliżyła się do mnie.

– Musimy porozmawiać – szepnęła. – Spotkajmy się wieczorem w lesie. Wyczaruję płomień świecy.

Miałem ochotę zadać jej więcej pytań, ale przycisnęła palec do ust i pokręciła lekko głową. Przypomniały mi się dawne czasy, gdy stukała mi do okna, a ja szedłem przez cienie lasu do Świątyni Płomienia. Kiwnąłem głową. W przeszłości dzieliliśmy niebezpieczne sekrety, ale przecież pod dachem domu mojego ojca jej lekcje były wbrew prawu i jeśli chciała mnie czegoś nauczyć, musiała to robić z dala od domu, w mroku puszczy.

Skoro teraz znów planowała spotkanie w lesie, najpewniej chciała omówić coś równie niebezpiecznego. Wyglądało na to, że zagrożenie płynące z dopiero co połataney nayeńskiej rebelii wcale nie zostało zażegnane.

– Biegająca Sarno, poprowadź zajęcia z przyzywania wiatru – powiedziałem i sięgnąłem do kieszeni. Poprzedniego wieczoru wygrawerowałem jedenasty kanon i jednocześnie pierwszy z wszystkimi pięcioma sztukami magicznymi, które zamierzałem przekazać mojej drużynie.

Biegająca Sarna skinęła głową, a potem kazała uczniom zrywać za pomocą magii liście bambusów. Wnet na moich plecach poczułem dreszcze, a liście pomknęły ku filiżankom trzymanym przez uczniów.

– Czysta Rzeka! – Skinąłem na przybocznego.

Dołączył do mnie w przeciwnym rogu dziedzińca z bardzo zaciekawioną miną, ale w jego oczach dostrzegłem też ledwie zauważalną zawziętość. Po raz pierwszy zwróciłem na nią uwagę po krótkotrwałym oblężeniu Żelaznego Miasta i połączeniu armii Lisa i Wilczycy, a potem widywałem ją zawsze, gdy przebywaliśmy na osobności. Wyjąłem nową kość z kieszeni i oddałem mu ją.

Czysta Rzeka przeczesał dłonią swoją dziką czuprynę.

– Skończyłeś!
– Tak, skończyłem.
– Myślałem, że pierwszy podarujesz Biegącej Sarnie.
– Cóż, jeśli tak ma być... – Postąpiłem w bok, jakbym chciał ją przywołać.

– Nie, nie – zawołał szybko Czysta Rzeka i wyrwał mi kość z dłoni. Musnął palcem piąty znak, krąg w kręgu, zainspirowany ostatnią lekcją Syczącej Kocicy, uważając przy tym, by nie dotknąć go kciukiem.

– Ta magia nie weszła w skład żadnego paktu – powiedziałem. Czysta Rzeka przechylił głowę, ale nie przerywał mi. – Do tej pory nie nosiła też żadnego miana, ale postanowiłem nazwać ją odcięciem. Skorzystałem z niej, żeby wydostać się z magii wiążącej Głosu Przewodnika. W przeciwieństwie do czterech innych form magii z kanonu ta przesywa strukturę świata, wnika w głąb umysłu i tam działa.

Czysta Rzeka nagle pobladł, przez co jego piegi wyglądały teraz jak ciemne gwiazdy na białym niebie. Odruchowo cofnął kciuk od piątego znaku, a jego gęste loki opadły mu na twarz, gdy z wściekłością potrząsnął głową.

– Olcho, wdarłeś się do mojego umysłu i była to najbardziej przerażająca rzecz w moim życiu. Nie interesuje mnie to, jak użyteczny to znak i jak bardzo się przyda do osiągnięcia zwycięstwa. Nie zrobię czegoś takiego drugiej osobie.

Poczułem wstyd. Koro Ha zbeształby mnie za brak logicznego myślenia.

– Nie, przepraszam. Źle mnie rozumiesz. To tarcza, a nie broń. Jak już mówiłem, pozwala na ucieczkę spod wpływu magii wiążącej. Bez niej stracisz możliwość korzystania z magii, w chwili gdy Dłoń czy sam cesarz otoczy się łańcuchami ze światła. Ten znak będzie chronił twój umysł przed ich wpływem. Wystarczy, żebyś przycisnął kciuk do piątego

znaku, i każda zewnątrz moc zostanie wyrzucona z twojego umysłu.

Powinienem go przeprosić za to, co zrobiłem i jemu, i Wściekłej Wilczycy oraz jej córce, ale przecież to wszystko było konieczne, prawda? A poza tym nie zmuszałem ich, by się ze mną zgadzali, a jedynie przekazywałem swoje myśli z całkowitą jasnością.

Niemniej to, co konieczne, mogło również okazać się szkodliwe. Musiałem nauczyć się przyjmować winę za agresywne metody, po które sięgałem dla większego dobra, co przypuszczalnie było najważniejszą lekcją w moim życiu.

Byłaby to łatwa sztuka i oszczędziłbym nam w ten sposób wiele zgrzyoty, gdybym tylko znalazł właściwe słowa. Nie byłem w stanie ich wykrztusić, choć naprawdę chciałem je wypowiedzieć.

Dziwne. Jeszcze nie tak dawno temu zrobiłbym wszystko, by móc odepchnąć winę i wyrzuty sumienia jak najdalej od siebie. Teraz naszło mnie przeczucie, że pierwsze przeprosiny strzaskają jakiś ważny element straszliwej maszyny w moim wnętrzu, a wtedy się rozsypię i nie będę już mógł wykonywać tych wszystkich koniecznych, choć okropnych zadań potrzebnych do uratowania świata.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– To dar, Czysta Rzeka. Ma chronić cię przed tym, czego się boisz najbardziej.

Coś przemknęło przez jego twarz. Nie rozpoznawałem tego uczucia, a może nie chciałem go przyjąć?

– A więc dziękuję ci, Olcho. – Wcisnął kość do kieszeni, po czym odwrócił się ku reszcie. Przyglądałem się, jak wraz z Biegnącą Sarną uczył ich jeszcze przez chwilę, aż naszły mnie coraz to wyraźniejsze wspomnienia ogrodu Głosu Żłotej Zięby, Dłoni Przewodnika i owych toksycznych dni, które kiedyś uważałem za piękne.



Długo po tym, jak na niebie pojawiły się gwiazdy, poczułem napływ ciepła i leciutki zapach cynamonu. Zamieniłem się w kruka, opuściłem kupiecką rezydencję, którą zajmowałem wraz z doktorem Sho, i podążyłem w kierunku ciepła i zapachu. Przeleciałem nad murami Żelaznego Miasta i wniknąłem do lasu.

Noc była spokojna, a w przejrzystym powietrzu czuć było zapach rozrastającej się roślinności i pączkujących kwiatów. Babcia siedziała wśród poskręcanych korzeni sosny, a nad jej zdrową dłonią unosił się płomień. Zgasła go, gdy podszedłem bliżej.

– I znów spotykamy się w tajemnicy – powiedziała, przerywając ciszę.

Mimo mocy, którą kiedyś uważałem za niezmierną, zaczynała się starzeć. Od wydarzeń, jakie miały miejsce w Twierdzy Szarego Mrozu, sprawiała wrażenie kruchej. Być może był to efekt mojej magicznej bitwy z Głosem Przewodnikiem, na skutek czego ramię uszło jej na podobieństwo gałęzi umierającego drzewa.

– Podczas ostatniego takiego spotkania obdarzyłaś mnie magią i obowiązkiem zachowania tradycji naszego ludu – powiedziałem. – Długo błądziłem, ale teraz robię wszystko, co mogę w tej kwestii. Nayan zjednoczył się w naszej wspólnej sprawie. Niedługo imperium zostanie pokonane, a wyspa znajdzie się pod naszą władzą.

Palce jej kalekiej dłoni zacisnęły się.

– Doprawdy?

Słowo zawisło w powietrzu. Miałem ochotę, by na nie odpowiedzieć, ale znałem babcię wystarczająco dobrze, by

wyczuć, że ta przerwa ma znaczenie. Przepęłniło mnie dziecięce poczucie winy, a ona oparła się o szorstką korę pnia.

– Usiądź, Kundlu – nakazała.

Opadłem na zwaloną kłodę i czekałem.

– Co sądzisz o tej masakrze pod Fortecą Zachodzącego Słońca? – spytała w końcu.

– Okropna rzecz – odpowiedziałem. – Imperium jest okrutne i nieprzewidywalne.

– Ale nie głupie. – Babcia pochyliła się ku mnie, a jej oczy rozbłysły. – Gdyby zamierzali wyrznąć ludność Nayenu, zrobiliby to już dawno. Dlaczego robią to dopiero teraz, w chwili gdy przywódcy powstania mogą wykorzystać okazję, żeby zwiększyć rekrutację?

Przypomniałem sobie okrutne sceny na girzańskim stepie pokazane mi przez Okarę i opisane przez Atar – trupy rozrzucone między namiotami, starsi plemienia wyrżnięci jak bydło. Były również inne przykłady, jak choćby przemoc, która przetoczyła się przez An-Zabat zaledwie dzień po tym, jak imperium w końcu dodało sztukę przyzywania wiatru do swego kanonu, czy zniszczenie Sor Cala, perły Toa Alon.

– Być może przypisujemy imperium zbyt wielką inteligencję – powiedziałem. – Rządzą nim ludzie tacy jak my. Jak długo Wściekła Wilczyca i Wredny Lis pozwalali, żeby zwykła zazdrość i ambicje przeszkadzały im się zjednoczyć i wspólnie walczyć z imperium?

– Dokładnie o tym mówię. – Babcia wycelowała we mnie palcem. – Dlaczego dali nam coś, co pomogło nam w zjednoczeniu? Dlaczego rozniecili ogień powstania?

Kolejne słowa niemalże utknęły mi w gardle, ale zmusiłem się, by je wypowiedzieć, a tym samym pogodziłem się z tym, iż przypuszczalnie są prawdą.

– Nie wykluczam, że Dłoń Lotka uległ swojej najgorszej naturze. Czytałem sieneńskie klasyki dotyczące taktyki i bitew.

Wedle nich każdy dowódca uznałby go za tchórze. Być może uznał, że okazując przemoc, udowodni swoją siłę.

Babcia burknęła coś pod nosem i oparła łokieć na kolanie.

– Być może, ale powtórzę jedno, imperium nie jest głupie. Obroną Fortecy Zachodzącego Słońca dowodził Głos. Cesarz nie uległa kaprysom czy pomysłom swoich Dłoni, a na pewno nie w sytuacji, gdy może to zdecydować o losie wojny. – Uschniętą dłonią drapała się po szyi. – To pułapka. Czuję to w kościach. Podobnie jak obietnice bogactw, którymi nas zwabili, gdy wkradali się na nasze ziemie. Nazywają cię Głupim Kundlem, ale wcale głupi nie jesteś. Wiesz, że mam rację.

Zastanowiłem się nad jej słowami, walcząc z narastającym lękiem. Łatwo było wyjaśnić zdarzenia pod Fortecą Zachodzącego Słońca jako przejaw najgorszej natury imperium, ale przecież cesarz musiał przewidzieć, jak zareagują ludzie z Nayenu. Próbowałem wyobrazić sobie wyspę jako planszę do gry w kamyki – tak właśnie widziałaby ją Wilga, który zawsze był lepszy ode mnie w strategii.

Lęk zamienił się w panikę.

– Jeśli to w rzeczywistości pułapka – powiedziałem, narzucając sobie spokój – mam zamiar ją udaremnić. Do Nayenu żeglujecie armia, której przewodzi sam cesarz.

Babcia otworzyła szeroko oczy.

– Skąd wiesz?

– Daleko dotarłem podczas moich lotów wokół wyspy. Ich statki nadal dzielą od nas tygodnie. Wschodnia Forteca upadnie przed ich przybyciem.

– A potem okrążą nas, zanim zdołamy zaopatrzyć miasto i wzmocnić jego fortyfikacje! – Babcia zerwała się na równe nogi. – Mówiłeś już Wściekłej Wilczycy i swojemu wujowi o tym wszystkim?

Pokręciłem głową.

– Czemu nie, do cholery? – wybuchła gniewem.

– Bo jak ci powiedziałem, chcę udaremnić zasadzkę. Cesarz nie może wiedzieć ani nawet podejrzewać, że szykujemy się na jego nadejście. Wschodnia Forteca upadnie, a gdy cesarz przystąpi do przygotowań do oblężenia, zaskoczmy go wraz z Syczącą Kocicą i zakończymy jego rządy.

– A jeśli ci się nie uda? Wiedziesz nas na pewną śmierć! Na bogów, Kundlu, widzę to teraz wyraźnie. Imperium chce, żebyśmy się zjednoczyli. Co więcej, zapragnęli, żeby wszyscy Nayeńczycy, nawet ci, którzy się wahają, złapali za włócznie i dołączyli do nas. Bo kto podejmie walkę o wolność Nayenu po tym wszystkim? Kto ośmieli się choćby szeptać o wolności?

– Chodzi o coś więcej niż tylko Nayen. – Walczyłem z ochotą, by się podnieść i zmiażdżyć ją spojrzeniem. – Cesarz musi zostać zniszczony. To nasza jedyna szansa. Tak, wiem, że istnieje wielkie ryzyko, ale nie robiąc zgoła nic, ryzykujemy jeszcze bardziej.

– Och, marzę tylko o tym, żeby ujrzeć głowę tego łajdaka na ostrzu włóczni – warknęła. – Ale dom twojego ojca opuściłam z najważniejszym zadaniem w głowie. Chciałam ocalić nasze zwyczaje i nasz lud. Jednak ty chcesz ryzykować, jak hazardzista z garścią miedziaków! Jesteś potężny, Kundlu, ale zawsze cechowała cię nadmierna pewność siebie.

– Nie będę w tym sam. Po prawdzie będę jedynie wspierał Syczącą Kocicę.

– Ach, cudownie. – Babcia pokiwała głową z ironią. – Czyli nie będziesz poległ na sobie, ale na jakiejś starusze z dawnych dziejów, która sama nie wie, co ma ze sobą zrobić.

– A co mam twoim zdaniem począć? – Próbowałem nad sobą panować, ale mimo to uświadomiłem sobie, że zerwałem się na równe nogi i góruję nad babcią. W porę przypomniałem sobie, jak krucha się stała. – Cena porażki będzie bardzo wysoka – odparłem po chwili. – Ale nie sądzę, żeby kosztowała nas więcej niż powrót do niemającej żadnego znaczenia walki

partyzanckiej w górach. Nie mam ochoty szarpać się przez kolejne lata o wsie czy miasteczka, na których nikomu nie zależy. Powinniśmy brać przykład z wiatromistrzów z An-Zabat, którzy woleli zagłodzić własne miasto, niż oddać je cesarzowi. – Mój głos nagle stał się płaczliwy, jakbyśmy byli z powrotem w Świątyni Płomienia, a ja prosiłbym ją, by nauczyła mnie wyczarowywać ogień. Nabrałem więc tchu, by się uspokoić, i przemówiłem z całą stanowczością, na jaką było mnie stać: – Ta wojna zakończy się w sposób ostateczny. Zwycięzimy lub przegramy, ale koniec nastąpi na pewno.

Babcia wpatrywała się we mnie, a potem powoli pokiwała głową, wstała i rozciągnęła ramiona.

– Mam nadzieję, wnuku – powiedziała i ruszyła w kierunku Żelaznego Miasta, wymijając mnie.

– Zaczekaj! – zawołałem za nią.

Zatrzymała się, ale nie spojrzała za siebie.

– Nie mów nikomu o tym, co ci wyznałem. Nawet Wrednemu Lisowi.

– Może więc niepotrzebnie mi o tym powiedziałeś? – prychnęła.

Kikut mojej odrąbanej dłoni swędział. Mogłem wejrzeć w jej umysł i zbudować bariery wokół tego, co jej powiedziałem, by przestała o tym pamiętać i nie mogła podzielić się tą wiedzą z Wściekłą Wilczycą i Wrednym Lisem. Ci z pewnością sprzeciwiłoby się na wieść o tym, że są jedynie przynętą w mojej pułapce. Czuję ogromne wyrzuty sumienia, ale robiłem już gorsze rzeczy z gorszych powodów.

– Proszę, babciu – nagliłem. – Obiecuj mi, że nasza rozmowa pozostanie sekretem. Wśród nas mogą działać szpiedzy...

– Jak ów sędzia, którego zamieniłeś w czarownika? – Teraz się odwróciła, a jej wyraz twarzy wydawał się nieprzenikniony wśród cieni. Westchnęła, odchyliła głowę do tyłu i wpatrywała się przez chwilę w gwiazdy. – Nigdy się do tego nie nadawałam

– powiedziała cicho, a potem odezwała się szyderczym tonem. Z każdym wypowiedzianym słowem jej głos stawał się coraz bardziej stanowczy. – W porządku, Kundlu. Zachowam twój sekret. Pewnie masz rację. Cesarz musi zostać zniszczony, żeby to wszystko dobiegło końca. Być może to nasza jedyna szansa. Ale pomyśl o cenie. Traktujesz ludzi jak narzędzia! Gorzej, jak pionki na szachownicy, które można przesuwać i strącać, żeby osiągnąć nasze cele. Zastanawiam się, czy taki wpływ na ciebie wywarło imperium. Mam taką nadzieję, bo wówczas okazywana przez ciebie gruboskórność okazałaby się owocem zła, z którym już walczę, a nie czymś nowym. Żałuję, że nie pozwoliłeś mi zginąć pod Twierdzą Szarego Mrozu. Wówczas nie musiałabym tego oglądać.

Zrobiłem ku niej krok. Serce biło mi jak szalone, a w gardle czułem bolesny ucisk.

– Przykro mi, babciu. To, co konieczne, nie zawsze jest dobre, ale nadal trzeba to zrobić. Nie ma innego sposobu, żeby odnieść zwycięstwo.

– Być może, chłopcze. Ale ja już widziałam wiele zakończeń w swoim życiu. – Opuściła głowę i potrząsnęła nią, a potem ruszyła w drogę powrotną do murów. – I nigdy nie są tak ostateczne, jak się wydają.

Schronienie

Koro Ha

W pierwszym tygodniu po ucieczce z Sor Cala Koro Ha usiłował śledzić trasę przy wykorzystaniu swojej znikomej wiedzy astronomicznej. Zerkał na słońce i gwiazdy, a potem próbował wyliczyć ich pozycję na skrawku papieru. Uon Elia spędził większość każdego dnia w ładowni, by nie musieć spoglądać na bezmiar nieba i jasne słońce. Wychodził jedynie w nocy, by oprzeć się o burtę i wpatrywać w horyzont z milczącym podziwem. Po swoich pierwszych, fatalistycznych słowach, które wygłosił w chwili wyjazdu, Uon Elia nie odzywał się właściwie wcale, choć Koro Ha wielokrotnie próbował wciągnąć go w rozmowę.

Ósmego dnia po wypłynięciu z Sor Cala na horyzoncie pojawił się ciemny, poszarpany kontur Czarnej Paszczy. Podczas ich poprzedniej podróży Yin Ila nazwała to miejsce gniazdem piratów i przemytników. Być może w istocie nie groziło im tam imperium, ale miejsce było niebezpieczne samo w sobie i nie nadawało się na kryjówkę dla ostatniego mówcy kamieni. Znalezienie tam uczniów, którym Uon Elia mogłoby przekazać swoją sztukę, również nie wydawało się łatwe.

Następnego dnia, gdy niebo zasnuły chmury, a fale wzburzył rześki wiatr, Chyżość Południowego Wiatru wpłynęła na wiosłach w labirynt skał zwanych przez Yin Ilę Zębami. Niektóre wyrastały ponad powierzchnię wody, ale znacznie więcej jej zdaniem czało się w głębinach. Były niewidoczne, ale równie niebezpieczne dla kadłuba. Pilot prowadził statek ostrożnie i zmieniał kurs wychyleniami rumpla to w jedną, to w drugą stronę, unikając niebezpieczeństw. Robił to na wyczucie bądź za pomocą jakiejś metody, której Koro Ha nie mógł sobie wyobrazić. Czarna Paszcza górowała nad nimi jako poszarpany masyw porowatych skał.

Gdy znaleźli się po przeciwnej stronie wyspy, pilot wpłynął do zatoki, gdzie ujrzeli liczne statki przycumowane do prymitywnego drewnianego pomostu, znajdującego się pod skalnym nawisem. Proste, wąskie dróżki prowadziły stąd do niewielkiego miasta, wbudowanego w wysokie zbocza klifów otaczających zatokę, rozświetlonego setkami latarni. Szczyty klifów odchyłały się do wnętrza zatoki, tworząc naturalne sufity nad zabudowaniami.

Koro Ha zszedł pod pokład i po dłuższej chwili zdołał skłonić Uona Elię, by ten wyszedł na górę. Oszołomiony mówca kamieni wbił wzrok w ogromny cud natury przed sobą.

– Niewiele się różni od tego, co mamy w domu, co? – spytał Koro Ha.

– Różni się wszystkim – odparł Uon Elia. – Ale mimo to jest cudem.

Po tylu dniach ciszy jego głos był dla Koro Ha miłym zaskoczeniem.

– Cieszę się, że tak sądzisz – stwierdził. – Być może nie będzie się tu źle mieszkało przez jakiś czas.

Uon Elia jedynie odburknął coś w odpowiedzi, a następnie zamilkł ponuro.

– Chodźcie! – powiedziała Yin Ila, gdy wioślarze zatrzymali statek, a po pokładzie poniosły się okrzyki ulgi. Wyglądało na to, że nie wszyscy żeglarze ufali swojemu nawigatorowi. – Orna Sin utrzymuje tam pokój, który teraz należy do was. Pokażę wam drogę.

Koro Ha zarzucił plecak na ramię i pomógł Uonowi Elii zejść po stromym trapie. Nadbrzeże wydawało się miejscem zdradliwym, gdyż sklecono je z kadłubów i gnijących desek dziesiątek wraków. Wspierając starca, Koro Ha szedł krętym chodnikiem, który to się wznosił, to opadał.

– Ofiary Zębów – powiedziała Yin Ila i uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając dwa złote zęby, które podkreśliły urodę jej ciemnej twarzy. – Widzicie? Będziecie tu bezpieczni.

Ulice Czarnej Paszczy nie bardzo na te nazwy zasługiwały, bo były jedynie schodami wykutymi w kamieniu. Uon Elia, który nie przestawał sapać, zatrzymywał się co kilkanaście kroków, opierał łokcie na kolanach i kaszłał, dopóki nie złapał tchu. W końcu dotarli do drewnianej fasady z szerokimi, podwójnymi drzwiami, wyniesionymi z jakiegoś ogromnego statku kupieckiego.

– Oto Łamacz Fal. – Yin Ila wskazała miejsce ruchem głowy. – Jeden z ładniejszych lokali na wyspie.

Stwierdzenie pogłębiło tylko coraz większą rozpacz Koro Ha. Przez upał, który opanował całą wyspę, byłemu nauczycielowi aż zakręciło się w głowie, gdy poczuł chłodny wiatr w drzwiach Łamacza Fal. Ale w środku czekała na niego przykra niespodzianka. Jako nauczyciel przywykł do mieszkania w luksusowych, przestronnych apartamentach, a pokój, do którego zaprowadziła ich Yin Ila, wydawał mu się niewiele większy od szafy. Uon Elia opadł na jedną z prycz i wbił wzrok w drewniany sufit.

– To miejsce należy do Orny Sina, a więc nie musicie się martwić o zapłatę – powiedziała Yin Ila. – Możecie tu mieszkać

tak długo, jak chcecie.

Koro Ha nie zająknął się ani słowem o tym, że nikt nie miał pojęcia, jak długo rzeczywiście to potrwa. Podziękował jedynie Yin Ili, uścisnął dłoń i poprosił, by przekazała im wieści o losie kupca, jeśli się czegoś dowie.

– Rozpowiem, że trafił tu skryba, który szuka pracy. – Żeglarka uśmiechnęła się, kiepsko maskując własną niepewność. – Mieszkańcy Czarnej Paszczy nie przepadają za prowadzeniem ksiąg, ale podczas niektórych większych operacji trzeba zapisać to i owo. Zarobicie póki co na jedzenie i picie.

Yin Ila dotrzymała słowa i rozpuściła wieści o umiejętnościach Koro Ha. Średnio raz na tydzień jakiś kapitan czy kwatermistrz zaglądał do Łamacza Fał, poszukując usług skryby, na ogół po to, by ten odczytał niedawno nabyte dokumenty niejasnego pochodzenia. W ich skład często wchodziły listy towarów, które właściciele, o ile mieli prawo do posiadania dokumentów, w zasadzie powinni znać.

Nie licząc tych krótkich zleceń, Koro Ha miał mnóstwo czasu dla siebie i nie wiedział, czym go wypełnić. Po jakimś miesiącu wygnania do Czarnej Paszczy wpłynął statek przewożący niewielką bibliotekę. Były nauczyciel przehandlował więc swoją jedwabną szatę za tyle książek, ile mógł, choć wiele z nich później okazało się mało wiarygodnymi historyjkami o imperialnych prowincjach, spisowanymi przez emerytowanych sędziów. Po dwóch miesiącach przeczytał dosłownie wszystko, co mógł – łącznie z niewiele wartymi komedyjkami – i znów naszło go przygnębienie.

Zaczął więc chodzić po schodach wyciętych w klifach, co pochłaniało sporo czasu i męczyło na tyle, że przynajmniej dobrze spał w nocy. Parokrotnie zapraszał Uona Elię, ale mówca kamieni nie reagował. Całymi dniami wpatrywał się pustym wzrokiem w sufit, ściany czy morze, widoczne przez

jedyny bulaj w ich pokoju. Rozmawiali tylko raz przez cały pierwszy miesiąc – Uon Elia zapytał Koro Ha, czy ten natknął się na cokolwiek żywego podczas swoich wędrówek. Odpowiedź brzmiała: nie.

– To martwe miejsce – mruknął mówca kamienia. – Nie nadaje się do życia.

– Przeżyłeś całe dekady pod ziemią – powiedział Koro Ha. – Kiedyś się przekonasz.

Uon Elia burknął, odwrócił się i znów zamilkł. Nie było wiadomo, kiedy się ponownie odezwie.

Trzy miesiące po ich przybyciu na północnym wschodzie zgromadziły się ciemne chmury, a potem w Czarną Paszczę uderzył sztorm. Wiatry wyły wśród porowatych skał, a deszcz i fale znad morza zamieniły ścieżki w śliskie, zdradliwe pułapki. Właściciel Łamacza Fal zdradził Koro Ha, że właśnie nadszedł sezon tajfunów i statki, które zawitały do portu, miały tu zostać do samego końca. Nie można się też było spodziewać gości.

Izolacja i nuda bardzo dokuczały Koro Ha. Miał wrażenie, że ów dziwny wrak, który zamieniono na tawernę, stał się dla niego klątką. Patrząc na pochyłe ściany, zaczął tęsknić za oprawionymi w ramę pejzażami, które były dlań milczącymi towarzyszami życia przez wiele lat, a teraz leżały gdzieś w skrzyniach w posiadłości Orny Sina. Pewną pociechę przyniósł mu obfity zapach taniego alkoholu w tawernie i większość czasu spędzał teraz pijany bądź na kacu. Nocą pisał ponure wiersze, które później darł na strzępy za dnia.

Dziesięć lat nauki pod okiem nauczyciela Zhena. Pot i łzy. Egzamin. Trzy dekady pracy nauczyciela. Całe życie poświęcone przebijaniu się przez mur, który oddzielał wyższe warstwy sieneńskiego społeczeństwa od poddanych z prowincji. I wtedy pojawił się Wen Olcha, chłopiec, który był jednocześnie geniuszem i idiotą. Dostrzegł zarówno dobre, jak

i złe strony świata, po czym zdradził imperium i pociągnął za sobą Koro Ha oraz zapewne wielu innych nieszczęśników. Przez niego nauczyciel trafił teraz na dobrowolne wygnanie na chropowatej skale w środku morza, bezustannie smaganej deszczem i wiatrami, gdzie jego umysł obumierał i gnił w winie z sorgo.

I tak było, aż pewnego dnia rano obudził go chrapliwy oddech, przerywany głośnym, nieprzyjemnym kaszlem. Uon Elia cierpiał na swojej pryczy, próbując się podnieść na drżących ramionach. Koro Ha natychmiast wytrzeźwiał – przypadł do posłania mówcy kamieni, wsunął dłonie pod jego plecy i ostrożnie pomógł mu przybrać wygodniejszą pozycję. Uon Elia oddychał głęboko, a w płucach rzęziło mu, jakby były pełne żwiru.

– Dziękuję ci – wydyszał.

– Powinniśmy ściągnąć lekarza – rzekł Koro Ha. Jego umysł pracował na zwiększonych obrotach. Starzec przeżył pod ziemią siedemdziesiąt lat i właśnie teraz miała go dopaść choroba?

Uon Elia potrząsnął głową i słabo ścisnął ramię Koro Ha.

– Gdyby można mi było jeszcze jakoś pomóc, sam bym to zrobił. Ta choroba atakuje mnie od lat, a radzę sobie z nią tylko za pomocą magii.

Niemalże zgiął się wpół, gdy dopadł go kolejny atak kaszlu. Koro Ha przytrzymał go, ale nie mógł zrobić wiele więcej. Eln Se wiedziałaaby, co począć. Zajmowała się wszak matką, gdy tę powoli zabierała choroba. Koro Ha w tym czasie uczył bogate dzieci w Sienie.

– Stres i ta pogoda z pewnością nie pomagają – rzekł cicho Uon Elia, gdy atak minął. – Choroba dopadła mnie szybciej, niż sądziłem, ale taka jest natura rzeczy.

– I nic już nie możesz zrobić? – spytał Koro Ha, a jego żal powrócił. Natura rzeczy. Wyruszył w drogę następnego dnia po

tym, jak dotarły do niego wieści o pogorszeniu się stanu zdrowia matki, ale do Sor Cala dotarł kilka tygodni po jej pogrzebie.

– Wytrzymam jeszcze jakiś czas – odparł Uon Elia, a potem spojrzął na Koro Ha, wpatrując się w niego badawczo mętnymi oczyma. – Przynajmniej na tyle długo, żeby przekazać to, co muszę.

Koro Ha poczuł, jak ogarnia go dziwne, niepokojące odrętwienie.

– Mnie?

– Nie ma nikogo innego – powiedział Uon Elia. – Chyba że sztormy ustaną, a kolejny statek przywiezie nam bystrego dziesięciolatka z Toa Alon.

Koro Ha parsknął śmiechem, rozbawiony absurdalną propozycją Uona Elia. On, który przez całe życie usiłował osiągnąć sukces w obrębie imperialnego systemu, a teraz stał się wyrzutkiem, skazanym na spędzenie ostatnich dni na samotnej skale pośród morza, miał być ostatnią nadzieją dla magii z Toa Alon?

– Moja wiedza może umrzeć wraz ze mną lub przeżyć razem z tobą – rzekł Uon Elia, z trudem nabierając tchu. – To twój wybór.

– Ale nie powinno tak być. – Koro Ha dusił w sobie żal i złość. – Bardzo się cieszyłem, ba, nie posiadałem się z radości, że mogę pomóc ci uczyć te dzieci i rozpalać w nich tę cząstkę Toa Alon, którą zniszczyło imperium. To jedno z nich powinno nauczyć się tego od ciebie i ponieść dalej pochodnię naszej tradycji i naszej magii. Jedno z nich, a nie ja.

– Bzdura! – uciął Uon Elia, a jego głos nabrał siły.

– Wiesz, dlaczego imperium nas ściga? Nie ze względu na przestępstwa Orny Sina ani twoje sekrety, ale dlatego, że mój były uczeń zdradził ich i dołączył do swoich zbuntowanych rodaków. Odrzucił wszystko, czego go nauczyłem, i złapał za

miecz. A imperium, choć stało się moim wrogiem... – Koro Ha przełknął kulę w gardle i roześmiał się sucho przez zaciśnięte zęby. – Myślę, że nienawidzę go za to. Bo wygląda to tak, jakby zdradził zarówno mnie, jak i imperium. A ty mówisz, że powinienem zadbać o przyszłość Toa Alon i stać się strażnikiem magii...

– Tak.

Koro Ha przeczesał dłonią swoje splątane loki.

– Jestem ciałem i krwią z Toa Alon, ale mój umysł jest sieneński.

Uon Elia dźwignął się na łokciach. Ciało zadrżało z wysiłku, ale wytrzymał spojrzenie Koro Ha i przemówił stanowczo:

– Jesteś z Toa Alon. Ujrzałem światło w twoich oczach, gdy uczyłeś te dzieci. Wierzyłeś w to, co robiliśmy. Twój uczeń cię zranił, ale wcale nie musisz żywić do niego nienawiści. On stawia opór, tak jak czynili to mówcy kamieni, którzy upierali się trwać, czy Orna Sin, który omija imperialne prawo. My też będziemy stawiać opór, nawet tu, na wygnaniu. Opór wiąże się z kosztami, ale jeśli się z nimi pogodzimy, być może świat się zmieni, i to choć raz na lepsze. – Padł na posłanie i wciągnął chrapliwie powietrze w płuca, po czym dodał: – Ale masz rację. Naszą magię powinno nieść któreś z dzieci, ale mimo to przejmiesz ją ty. Nie dlatego, że nie ma nikogo innego, ale dlatego, że na to zasłużyłeś.

Koro Ha oparł ramię o zakrzywioną ścianę pokoju, kiedyś stanowiącą burtę okrętu. Czuł, jak umierają w nim dawne nadzieje oraz stare żale. Powoli rezygnował z ostatnich marzeń o przyszłości, których jeszcze się trzymał. W swoim życiu dokonał wielu złych wyborów, jednak pomijając fakt, że wizja Uona Elii była wręcz niedorzeczna, zrozumiał, że tym razem właściwie wyboru nie ma.



Gdy sztormy ucichły, Koro Ha pomógł Uonowi Elii zejść do przystani, gdzie przemytnicy i piraci handlowali ze sobą i z nielicznymi mieszkańcami wyspy. Podczas przechadzki po zaimprovizowanym targowisku mówca kamieni zamknął oczy i oparł się ciężko na ramieniu Koro Ha.

– Nie ma tu wielkich szans na znalezienie składników tradycyjnych pigmentów – mruknął. Zaciskając powieki, szedł powoli u boku nauczyciela po chodniku ułożonym z fragmentów kadłubów zniszczonych jednostek, mokrym po niedawnym deszczu. – Ale jeśli jest tu coś wartego uwagi, znajdę to.

– Z zamkniętymi oczami? – spytał Koro Ha.

– Za pomocą magii poszukującej – odpowiedział Uon Elia. – To najłatwiejsza z naszych sztuk i pierwsza, którą opanujesz.

Koro Ha nadal z trudem akceptował nową wizję przyszłości. Jego życie jak dotąd definiowały teksty, klasyki, doktryna i poezja, a czasem jego własne dzieła, gdy miał ochotę je tworzyć lub czuł się zmuszony, by zarabiać na ich sprzedaży.

Magia wydawała się żywołem wplątanim w tragiczną historię lub uwięzionym za najgrubszymi ścianami imperialnej tajemnicy, zarezerwowanym jedynie dla najwyższych warstw sieneńskiego społeczeństwa. Jego najbliższym kontaktem z magią był jak dotąd tetragram Wena Olchy i nie sądził, by miało się to kiedykolwiek zmienić. Być może za kilka lat Quon Lo, Lon Sa czy Tul Elna – wszak wśród mówców kamieni zawsze były kobiety – mogliby zacząć się jej uczyć, a wówczas to Koro Ha stałby się świadkiem jej użycia, ale nawet do głowy by mu nie przyszło, że sam stanie się adeptem.

Mimo użycia magii Uon Elia nie zdołał znaleźć kobaltu, potrzebnego do uzyskania odpowiedniego koloru atramentu. Zamiast tego postanowił wykorzystać patynę, która spowijała każdego miedziaka na wyspie.

– To całkowicie bezpieczne i sterylne – rzekł, gdy Koro Ha przyglądał mu się, jak zdrapuje zielone skrawki z garści monet do małej glinianej miseczki. – Kobalt dałby nam lepszy kolor, rzecz jasna...

Następnie Uon Elia zmieszał patynę z węglem drzewnym, kilkoma kroplami wody, kulką gumy z akacji i odrobiną alkoholu z sorgo, przesączonego przez muślin, a potem ugniótł wszystko w moździerz. Powstała z tego pasta zielona jak liście na wiosnę.

Koro Ha nabrał tchu, desperacko usiłując uspokoić myśli. Nie miał na to ochoty. Nie bał się bólu, ale przerażała go powaga sytuacji. Wiedział, że z chwilą gdy atrament wniknie w jego ciało, na barkach spoczną nowe obowiązki, które wydawały się niemożliwe do wypełnienia. Przecież utknął na niewielkiej wyspie, zewsząd otoczony piratami i przemytnikami.

Powinien był znosić puste spojrzenia rozkojarzonego Bo Wiosennej Radości i zaciskając zęby, wlec chłopca ku każdemu sukcesowi, który ten – mimo ograniczonych możliwości – zdołałby osiągnąć, a potem osiąść gdzieś i cieszyć się starością. Mógłby mieć własną chatkę, co wieczór pić porządne wino i palić fajkę, może zatrudnić służącego albo dwóch. Może nawet, gdyby dopisało mu szczęście, mógłby spotykać się z innymi uczonymi?

– Mogę trzymać twoją wargę palcami. – Uon Elia rozniecił ogień w żelaznym koszu i rozgrzał czubek zmontowanego przez siebie ustrojstwa, składającego się z igły do szycia i kawałka sznurka. – Mogę też ją jakoś podeprzeć, żeby nie opadła. Mogę szybko zmontować z paru patyków...

– Trzymaj palcami, jeśli musisz – przerwał mu Koro Ha, próbując ukryć niechęć w głosie.

Uon Elia wskazał butelkę alkoholu.

– Pociągnij sobie, żeby stłumić ból.

Koro Ha przełknął łyk wina z sorgo i syknął, gdy trunek rozpałił mu gardło i rozgrzał pierś.

– Nie żałuj sobie – dodał Uon Elia.

Koro Ha zrobił jeszcze trzy łyki. Uon Elia wyjął zarzającą się igłę spomiędzy węgli i podszedł do krzesła, na którym siedział Koro Ha.

– Zagryź to. – Podał nauczycielowi kawałek drewna zawinięty w materiał. – Nie chcę, żebyś mnie ugryzł albo złamał sobie ząb.

Jego słowa bynajmniej nie ukoiliły duszy Koro Ha, ale posłusznie zacisnął zęby na kawałku drewna i zaczął czekać, aż Uon Elia zbliży igłę do jego ciała. Choć uważał to wszystko za nieporozumienie i żałował wydarzeń, które go tu przywiodły, potrzebował tego. Potrzebował celu. Czyż nie dlatego pozwolił, by Orna Sin ściągnął go ze ścieżki, którą zamierzał podążać?

Uon Elia nagle odsunął górną wargę Koro Ha od zębów i wbił w nią igłę, a nauczyciel uświadomił sobie, że jego niepokój był tak naprawdę czymś głębszym i bardziej wzniosłym, niż sądził. Nie brał się bowiem z lęku przed niebezpieczeństwami czy porażką, ale z tego, że Koro Ha znalazł się w samym centrum oddziaływania wielkich sił. Jak kapitan statku wciągnięty w szalejący sztorm, ale mimo to nadal wierzący, że uda mu się dotrzeć na drugi brzeg.

Musiał unieść wielkość, której nieść nie potrafił, a którą mu narzucano podczas tych kilku minut cierpienia, gdy Uon Elia zostawiał na wardze znak mocy. Koro Ha poczuł w ustach krew i przełknął ją.

A potem było już po wszystkim. Starzec wykonał ostatnie nakłucie, a gdy ból zaczął słabnąć, jego miejsce zajęło coś

głębszego i bardziej przerażającego.

W umyśle Koro Ha zapłonęło światło, a przez jego świadomość przepłynął łagodny strumień przypominający luźną myśl czy na pół pamiętane słowo, czekające, aż Koro Ha je pochwyci.

Wiedział, że to magia, ale bał się po nią sięgnąć. Jeszcze nie. Nie bez przewodnika.

– Proszę. – Uon Elia cofnął się, zakasłał, starł krew z igły i uśmiechnął się, pokazując znak identyczny z tym, który właśnie zrobił. – Szkoda, że nie mamy lustra. Lepiej teraz wyglądasz, wierz mi. Ten i ów mógłby nawet nazwać cię przystojniakiem!



3

Interludium

Burza, która ma przeorać świat

Ral Ans Urrera przestaje już myśleć. Wspomnienie prześladowuje ją ciągle podczas podróży, która trwa dzień i noc. Wypełniony wiatrem żagiel unosi się, trawy z szelestem przesuwają się wzdłuż burt, ale jej ciężkie jak ołów ciało szarpia wściekłość i rozpacz.

Pamięta radość, jaka ją przeszła na widok namiotów na szczycie wzgórza i lodowcowych katarakt, które przepełniały suche powietrze delikatną, barwną, rozświetlaną słońcem parą wodną. Potem budzi się w niej przerażenie, bo przecież nie słyszy rżenia koni, krzyków dzieci i śmiechu kobiet przy pracy.

Pamięta trupy wyraźnie, jakby stała przy nich przed chwilą. Pamięta krew wsiąkającą w skóry zakrywające podłogi i ziemię pod nimi. Kości i mięso jak u rzeźnika. Łydki i nogi. Języki. Głowy z oczami nadal patrzącymi przed siebie, twarze spuchnięte i nadgniłe, całkiem nierozpoznawalne.

Ale w tych namiotach mieszkał jej lud. Zdobiły je wzory malowane przez jej najbliższych. I nagle w jednej z owych rozdętych twarzy widzi oczy. Oczy jej ojca.

Wtem oszołomienie przechodzi w żal, wspomnienia się rozmywają, zachodzą mgłą. Przyzywa błyskawicę. Wypełnia powietrze dymem i smrodem płonących ciał. Wywrzaskuje swoją rozpacz w stronę obojętnego nieba, błagając

Niebiańskiego Ojca, by cisnął włócznią i oczyścił ten świat z podłości, pochłonął ją i pozostawił wszędzie popiół, z którego mogłoby wyrosnąć coś lepszego. Bo w tym życiu nie można już było liczyć na nic dobrego.

A wtedy, jakby w odpowiedzi, w jej umyśle odzywa się głos: „Ja cisnąłem tą włócznią”. Znajome światło zagłuszało ów głos, oślepiając ją i wiążąc, wyciszając wszystko poza potwornym bólem.

Czas się rozmywa. Pamięta, że dusiła się dymem i własnym wrzaskiem, bez końca wołając ojca i matkę, siostrę i starszych, którzy wtajemniczyli ją w moc, jaką posiadała. Moc ta wypełniała ją tak jak wcześniej, gdy leżała spowita w dym, a Atar wykrzykiwała jej imię.

I wtedy ją chwyta, tak jak zrobiła wcześniej, we wnętrzu statku. Owładnięta cierpieniem, gniewem i wspomnieniami pogruchotanych ciał, nie zwraca już uwagi na ból.

Spowijająca ją aura wypacza się, migocze i rozpada na tysiące gasnących gwiazd.

Dłoń cesarza wpatruje się w nią i mówi coś cicho, otwierając szeroko oczy z niedowierzaniem. Pora, by i on zamienił się w stertę połyskliwego popiołu.

Teraz siedzi na ławce w łódce, zawinięta w wyszywany srebrną nicią szal, chroniąc się przed zimnem, które wnika w jej ciało. Atar zaś żegluje w kierunku Pustkowie. Ral stanie się tym, czego pragnęli Zabatańczycy – bronią w ich wojnie.

– Zawróć – mówi.

Jhin unosi głowę znad swojej małej książeczki, w której zawsze coś pisze. Atar marszczy brwi, spoglądając na nią z dziobu.

– Ral, nie ma nic...

– Jest – zaprzecza.

W oczach tancerki pojawia się nowy błysk. Czyżby lęk?

– Obiecałaś, że zabierzesz mnie do domu, Atar. Tymczasem step nigdy nie był prawdziwym domem mojego ludu.

Jhin przechyla głowę, zaciekawiony. Atar również wydaje się zaintrygowana.

– A więc gdzie jest twój dom? – pyta.

– Żegluj na północny wschód – odpowiada Ral. W języku kupców nie ma przecież słów na Dwór Niebiańskiego Ojca ani jego sięgające nieba, poszarpane mury. – Będziesz wiedzieć, gdy dotrzemy na miejsce.

Atar waha się przez moment, zastanawiając się nad jej słowami. Jednak mimo wyczuwanego przez Ral gniewu przyzywa przeszywający ciało chłodem wiatr i rozpoczyna zwrot.



Ral budzi się o świcie z ciałem obolałym po całej nocy przespanej na piasku. Niedługo po zgaszeniu ogniska, na którym przygotowali poranny posiłek, Atar zaczyna mówić. Snuje niestworzone historie okaleczone niedoskonałościami jej języka. Opowiada o bogach, o wojnie i o głosie wielkiego czarownika z drugiego końca świata, który wniknął do jej umysłu. Jhin przygląda im się i notuje wszystko w swojej małej książeczce, choć nie mówi ani słowa.

Wzrok perorującej Atar jest rozbiegany, choć mówi ona z ogromnym przekonaniem.

– Chyba nie wierzysz w takie rzeczy – stwierdza Ral.

Atar spogląda jej w oczy.

– Nie mam całkowitej pewności, ale to ostrzeżenie od kogoś, komu ufam.

– Rozumiem twój strach. – Ral uśmiecha się w nadziei, że ukoi jej emocje. – Ale to nie wiatr, którym możesz swobodnie kierować.

– On przemówił do mnie zza morza! Dysponuje magią, jakiej nie daje żaden znak! – upiera się Atar. – Powinno być to niemożliwe, zupełnie jak twoja magia. Nic więc dziwnego, że przyjąłem jego ostrzeżenie, nawet jeśli trudno jest...

– Zabierzesz mnie do domu, jak obiecałeś? – pyta Ral.

Atar powoli kręci głową.

– Powinniśmy zawrócić, Ral, nawet jeśli Poskramiacz Ognia się myli. Zbiorę mój lud i z twoją pomocą moglibyśmy...

– Widziałaś, jak zrywam kajdany ze światła? – pyta Ral, a tym razem Atar przytakuje. – A więc wiesz, że się ich nie boję. Już nie. Nikt z nich nie jest w stanie mnie zatrzymać. Ani Dłoń, ani Głos.

– Ale nie czyni cię to nieśmiertelną.

Ral wzdycha i pochyla się do przodu. Skrywa rozczarowanie wraz z dziesiątkami innych uczuć, których nie może okazać. Pozostaje jej tylko kotłujący się gniew.

– Wybacz, Atar – mówi i sięga po magię.

Dwukrotnie już widziała, jak ktoś robił z niej użytek. Zbadła bolesną strukturę mocy i poznała ją równie dobrze jak własną. W ten sposób przyswoiła ją o wiele łatwiej niż podczas nocy, które spędziła przywiązana do końskiego grzbietu, ogłuszana hukami piorunów.

Atar krzyczy i pada, spowita więzami ze światła. Ral odbiera je jak odległe echo torturującej zorzy, ale płynące z otchłani jej umysłu. Nie wyczuwała zagrożenia dla siebie. Zdobyła tę moc. Zawłaszczyła ją.

– Co ty robisz? – pyta ostro Atar.

Ral zbiera swoje rzeczy. Unosi brew, patrząc na Jhina, który siedzi nad książeczką z pędzlem zanurzonym w atramencie, kuli się i nie chce spojrzeć jej w oczy.

– Uwolnię cię spod władzy czaru, gdy będę już w drodze. Jeśli dopisze ci szczęście, znajdą cię pasterze.

– A jeśli nie? – Atar napiera na więzy.

Ral wzrusza ramionami, wyciąga srebrną misę z plecaka i stawia ją obok Atar.

– Przynajmniej nie będzie ci brakowało wody.

Ral wchodzi na łódkę, choć Atar nie przestaje jej wołać. Ral nie zwraca na to wołanie uwagi. Jednak w jej sercu budzi się żal. Nie jest z tego powodu zadowolona.

Nie zna magii Atar, ale spędziła kilka tygodni wśród Zabatańczyków i na pokładach ich statków. Wielokrotnie czuła chłód ich mocy. Przyzywany przez Atar wiatr jest szybki i gniewny, podobnie jak kotłująca się w niej burza.

Trawa szeleści ze zgrozy. Ziemia drży. Nawet łódka dygocze, jakby miała się zaraz rozpaść. Ral nie przejmuje się tym wszystkim.

Niech się cały świat zawali. Liczy się tylko jej zemsta.



Chmury kotłują się nad jej głową. Wielkie krople deszczu smagają pokład łodzi i moczą włosy Ral. Kobieta obawia się, że lada chwila zerwą żagiel i przygwożdżą go do wody.

Zimno, które pojawiło się wraz z burzą i w wyniku działania jej magii wnika w jej kości i wypełnia płuca. Ral utrzymuje kapryśny wiatr już od trzech dni, a przerywa jedynie po to, by wsunąć sobie do ust garść suszonych owoców i napić się wody z jedyne go bukłaka na pokładzie, trzymanego na wypadek katastrofy, bo przecież żaden Zabatańczyk nie boi się braku wody.

Nie widzi słońca ani gwiazd, ale nie ma to już znaczenia. Dwór Niebiańskiego Ojca – postrzępiony kamienny półksiężyc – wyrasta już na horyzoncie i wznosi się ku niebu. Z początku nie był większy od koniuszka palca, ale teraz jest już równie spory jak jej dłoń i widoczny nawet we mgle.

Łódka przemyka po grzbietach łagodnych wzgórz, a pływaki na obu ramionach co rusz unoszą się i opadają z trzaskiem na ziemię. Żagiel wydyma się, wypełniony to wirem powietrza, to znów przyzwanym przez Ral wiatrem. Ta nie ustaje w wysiłkach. Jest gotowa rozbić się o mury Dworu Niebiańskiego Ojca lub przebić się przez nie.

Sama stała się burzą. Nie pozwoli, by cokolwiek ją zatrzymało.

Mur przybliżyła się, aż wreszcie wypełnia cały horyzont. Ral przygląda mu się z podziwem. Nachodzi ją wspomnienie mitu założycielskiego jej ludu. Pięść Niebiańskiego Ojca uderza w nim spomiędzy gwiazd, by zniszczyć króla tyrana i rozrzucić fale kamienia.

Wspomnienie sprawia, że Ral na moment zapomina o swojej trasie. Któryś z pływaków znów z trzaskiem zderza się z zagrzebanym do połowy w ziemi głazem. Kadłub przeszywa drżenie, a potem łódź wylatuje w powietrze, a Ral pada na ziemię.

Kiedy świat przestaje wirować, Ral uświadamia sobie, że dotarła do niecki między dwoma wzgórzami. Leży na ziemi, a klatka piersiowa i jedno z ramion pulsują bólem. Próbuje się podnieść, ale nagłe szarpnięcie odbiera mięśniom wszelką siłę. Ral jęczy z bólu i pada.

Deszcz siecze jej ciało. Wiatr wyje, a przez mgłę w jej umyśle przebijają się grzmoty pioruna. Migocze błyskawica.

Ral odczuwa wszystko dwukrotnie – reaguje zarówno jej ciało, jak i osobiwa, nowa wrażliwość, którą wypracowała na

grzbiecie ogiera. Ciało zostało połamane, ale duch i magia nadal są silne. Zbyt silne, by pogodzić się z własnym cierpieniem.

Z ust wyrywa się zwierzęcy ryk. Udaje jej się podnieść – złamane ramię zwisa luźno, trąc kością o kość. Zdrowym ramieniem dotyka popękanych żeber. Wbija wzrok w Dwór Niebiańskiego Ojca. Robi krok naprzód i przygryza język, by nie ulec słabości i nie paść na ziemię. Potem stawia kolejny krok i jeszcze jeden.

Bramy Dworu Niebiańskiego Ojca są wykonane z wypolerowanego dębu i wzmocnione żelazem, a zawiasy wydają jej się równie wielkie jak ona sama. Nie pasują do nierównych, nieobrobionych głazów, które wyrastają falami z ziemi. Ral przygląda się ich szczytom, spodziewając się ujrzeć strzelców z napiętymi łukami czy żołnierzy z granatami, ale w deszczu udaje jej się wypatrzeć jedynie zamazane sylwetki.

Nabiera tchu, choć może korzystać tylko z jednego płuca, i opiera zdrową dłoń na drewnie. Chłód magii przyzywania wiatru nagle zamienia się we wściekłe gorąco, które wypływa z jej wnętrza i rozchodzi się falami wokół dłoni. Drewno czernieje i zamienia się w popiół oraz płomień. Ral nie słyszy niczego poza biciem swojego serca. Przyzywa kolejny wiatr, gęsty i mocny niczym pięść, a ten zaczyna tłuc w poczerniałą bramę, rozbijając ją na strzępy. Wrota zapadają się do środka i wał z łoskotem, wstrząsając ziemią. Ral widzi plac z czterema posągami koni, stojącymi w narożnikach. Każdy z kamiennych wierzchowców staje dęba i przebiera w powietrzu przednimi nogami, rozszerzając chrapy. Ral jest przekonana, że posągi, choć wykute wiele pokoleń temu, są uosobieniem furii, którą tu dziś przyniosła. Idzie przez plac, wymachując wyłamany ze stawu ramieniem, całkiem zapomniawszy o pogruchotanych żebrach.

Przyzywa szatę ze światła, jasną i stanowiącą pewną ochronę, wiatr, który podtrzymuje jej słabnące ciało, oraz

błyskawicę, która pomrukuje między jej dłońmi. Ciało zalewa raz gorąco, raz znów zimno, a świat ryczy głucho w odpowiedzi na jej magię. Idzie przez miasto w stronę długiego domu w sercu Dworu Niebiańskiego Ojca, a Sieneńczycy dopadają ją ze wszystkich stron. Najpierw są to żołnierze z kuszami i granatami, ale żaden z nich nie ma nawet cienia szansy, by skorzystać ze swojej broni – Ral bez wahania wyszarpuje ich żywoty z historii świata.

Z placu szerokiego na tyle, by władcy mogli paradować nim konno trójkami, rozbiegają się ulice zbudowane wieki temu. Ludzie uciekają przed nią z wrzaskiem i kryją się za murami swych zbudowanych z ziemi domów. Jednak nie wszyscy, bo są i tacy, którzy pamiętają opowieści starszych i spoglądają na nią z podziwem. Część chwytą proste narzędzia, kuchenne noże, młotki, łuki myśliwskie i podąża za nią. Wiedzą, kim jest, i czują nadzieję na wyzwolenie.

Dla Ral ci ludzie są tym, czym krople deszczu dla rzeki – pogrążają się w jej nurcie, a ona prowadzi ich w stronę centrum miasta. Na jej drodze wyrasta kolejna brama, mniejsza, ale osłaniana przez wieże z licznymi strażnikami, którym towarzyszy Dłoń cesarza. Bełty z kuszy wbijają się w ciała jej towarzyszy, którzy odpowiadają pociskami z proc i strzałami. Spowijająca Ral zorza kotłuje się i faluje, a Dłoń cesarza unosi ramię.

Bucha z niego światło, które opada ją, ale wypala się w ogniu jej furii niczym sucha trawa. Chcąc zadrwić z przeciwnika, Ral odpowiada identycznym gestem, choć ból przeszywa jej bok i ramię. Dwa strumienie błyskawic mkną ku górze, po czym rozlega się ryk pioruna. Zarówno bramę, jak i obie wieże rozsadza eksplozja. Palące się drewno i poszarpane ciała padają na boki.

Na ramionach Ral osiada pył, ale kobieta idzie naprzód. Dostrzega Dłoń leżącego wśród zgliszczy. Trzepocze powiekami,

a ciało spowija magia uzdrowicielska. Płytkie skaleczenie na czole zaczyna znikać, jakby zaszyte niewidzialną igłą. Ral zatrzymuje się i patrzy, jak Dłoń podnosi się na łokciach i próbuje uwolnić belkę, która przebija jego wnętrzości.

Ral okazuje mu współczucie i wypala z niego resztki życia.

Widzi teraz długi dom, którego ściany zdobią ryty galopujących koni z grzywami rozwianymi na wietrze. Te tradycyjne girzańskie ornamenty są oszpecone przez sieneńskie dodatki – kolumny wzniesione po obu stronach wielkich schodów, oplecione sylwetkami wijących się smoków. Podmuch wiatru otwiera wrota na oścież. Strumienie światła ciągną się od podłogi aż po ciemności pod sufitem. Jeden z tych strumieni natrafia na podwyższenie z tronem, na którym zasiada krzepki, barczysty mężczyzna. Na jego ramiona spływają włosy przywodzące na myśl włókna jedwabiu czarnego niczym atrament, a na czole migocze srebrny symbol.

Mężczyzna wstaje z dłońmi schowanymi w rękawach. Otwiera usta i zaczyna przemawiać w języku jej ludu.

Ral ciska błyskawicą, która wypala bruzdę przez całą długość podłogi. Głos zasłania się tarczą ze światła i odbija piorun ku sufitowi, aż w każdym kącie pomieszczenia huczy teraz ogień i migoczą cienie. Głos uskakuje w bok. Szerokie oparcie jego tronu zamienia się w chmurę płonących drzazg, ale mężczyzna przetacza się, zrywa na równe nogi i ciska w odpowiedzi błyskawicą.

Ral zatacza się w tył, zaskoczona gwałtownym uderzeniem i straszliwym żarem w miejscu, gdzie Głos trafił w jej tarczę. Ból żeber i ramienia przybrał na sile, ale kobieta odzyskuje równowagę i skupienie. Jest przecież burzą i nie pozwoli...

Kolejna błyskawica posyła ją na kolana. Z ust wyrywa się jęknięcie bólu. Ral łapie się za żebra. Głos wyprostowuje się i idzie ku niej powoli. Jedną rękę trzyma za plecami, a drugą unosi przed sobą i ciska jeden magiczny pocisk za drugim.

Utkana ze światła szata Ral migocze i słabnie. Chłód, który przeszywał ciało, traci na sile. Na skraju jej pola widzenia pojawia się cień, wyraźniejszy z każdym uderzeniem bólu.

Nawet szalejąca w niej burza zaczyna słabnąć.

Ral widzi swojego ojca siedzącego w siodle. Wyrusza spod Dworu Niebiańskiego Ojca na czele ich stada i wypowiada słowa ostrzeżenia. Jego oczy lśnią, ale widać w nich niepokój. Potem Ral widzi je znowu, odbijające blask żarłocznych płomieni, błagające ją, by rzuciła się do ucieczki, niknące wśród łomotu kopyt rozszalałych koni. Sieneńczycy niszczą ich obóz, rozpędzają ludzi, a potem ją łapią. To wszystko jej wina – nie powinna była się wahać. Nie powinna była ulegać współczuciu! Należało po prostu wziąć nogi za pas. Sieneńczycy spowijają ją kajdanami ze światła i wleką na statek.

Z głębi zbryzganego krwią namiotu wyłania się twarz z martwymi oczami, obrzmiała, z pękniętą czaszką. Było podobnych wiele, ale Ral od tej nie może oderwać wzroku. Nie może otrząsnąć się z wrażenia, że zna te oczy, że jeszcze nie tak dawno temu widziała w nich błysk dumy i niepokoju.

Czuje w gardle ucisk rozpacz. Opada nagle z sił, zapominając o fizycznym bólu, naporze błyskawic Głosu i słabnącej tarczy. Czuje teraz tylko zduszony ból i stłumiony szloch, które tak długo więziła w swojej piersi, gdzie gniły i zarażały jej ciało cierpieniem.

„Co ty robisz, córko?”

Słowa nie należały do niej. Jasne i wyraźne, niosły się echem w jaskini jej umysłu.

„Czy to tak kończy się burza?”

W gardle Ral wzbiera szloch i kobieta osuwa się na podłogę.

Pałący napór błyskawic Głosu znika. Ral dygocze na podłodze, spowita strzępami swojej tarczy, kalecząc się o poszarpaną podłogę. Pada na nią czyjś cień, ale Ral nie może unieść głowy, by spojrzeć zabójcy w oczy.

– Będziesz jeszcze stawiać opór? – pyta Głos w bezbłędnym girzańskim. – Mam nadzieję, że porzuciłaś już ochotę na ucieczkę?

W bezmiarze bólu i rozpaczcy pojawia się iskierka zaskoczenia.

– Nie masz nic do powiedzenia na swoją obronę? – prychna Głos. – W walce z tobą poległy cztery Dłonie i jeden Głos, a do tego straciliśmy wiatrowy statek. Mam nadzieję, że cesarz uzna, że pochwycenie ciebie było warte takiej ofiary. Dziwne, że kobietę stać na aż tyle, ale fakty mówią same za siebie.

Zaskoczenie przeistacza się w gorejące pytanie. Ral z trudem odwraca głowę w stronę górującego nad nią Głosu, który z szyderczą miną śledzi jej wysiłki.

– Co chcesz ze mną zrobić? – pyta Ral.

– Chcę cię powstrzymać przez zniszczeniem tego miejsca i zabijaniem moich ludzi. – Głos przygląda lok i wzrusza ramionami. – A potem zabiorę cię do Fortecy Centralnej i oddam cesarzowi. Powinnaś była tam trafić już wiele tygodni temu.

Nie jest to odpowiedź na jej pytanie.

– Po co?

Głos miażdży ją spojrzeniem.

– Cesarz nie uznał za stosowne podzielić się swoimi zamiarami wobec ciebie.

Jej myśli wirują. Przypomina sobie ciała ludzi, którym odebrała życie po drodze.

Czyżby nie wiedzieli?

Wydawało się to niemożliwe. Jak ktoś mógł się zdobywać na takie okrucieństwa i zalewać świat takimi ilościami nienawiści i terroru bez powodu?

– Ty nie masz niczego wiedzieć. Ty masz słuchać rozkazów – mówi Głos i otwiera dłoń. – Wygląda na to, że znalazłaś sposób na przełamanie magii wiążącej, ale istnieją inne, bardziej

bezpośrednie sposoby na kontrolowanie ciebie. Jeśli będziesz nadal stawiać opór, mam zgodę na to, żeby upuścić ci tyle krwi, żebyś się znalazła na skraju śmierci, przed którą będzie cię chronić jedynie magia uzdrawiająca. Co ty na to, dziewczyno? Wolisz, żebym sięgnął po bolesną technikę?

Ral próbuje się poruszyć, ale jej mięśnie wydają się nieruchomymi żelaznymi prętami oplecionymi wokół kości. Głos mruży oczy.

– Nie chcesz mówić, co?

Sięga do pasa i wyjmuje nóż. Klęka obok niej.

– Podejmij decyzję albo ja podejmę ją za ciebie. Wątpię, czy mój wybór ci się spodoba.

Ral przypomina sobie Dłoń nabitego na pal, umierającego wśród ruin wieży. Pamięta pasmo chłodnej, uśmierzającej magii uzdrawiającej, która była dlań jedynym ratunkiem. Sięga po nią łapczywie resztką sił.

Głos otwiera szerzej oczy. Wstaje i robi krok w tył, ale zdrowa dłoń Ral zaciska się na skraju jego szaty i szarpie na tyle mocno, by stracił równowagę. Mężczyzna przewraca się, a nóż wypada mu z ręki.

Na skraju pola widzenia kłębi się ciemność, ale wściekłość Ral płonie żywym ogniem. Nagle dostrzega nóż leżący na ziemi. Jej palce natrafiają na ostrze, a potem zaciskają się na wypolerowanej drewnianej rękojeści. Głos krzyczy, zrywa się na równe nogi i sięga po magię, ale z jego ust wyrywa się dziki wrzask, gdy ostrze niknie w jego udzie. Ral przewraca go na ziemię, wyrywa nóż, który od razu wbija w brzuch mężczyzny, w pierś, w gardło. Razi go raz za razem, aż świat spowija cisza, a ją otacza otępiająca ciemność.

Najpierw powraca ból, który rozchodzi się po kończynach. Następnie Ral czuje ciepło kojarzące się z łagodną emanacją gasnących węgielków. Otwiera oczy i uświadamia sobie, że leży

na trupie mężczyzny. Szata Głosu jest spowita krwią. Do gardła Ral podchodzi żółć. Nie czuje już furii, nie ma w niej burzy.

Długi dom, choć poczerniały od ognia, nadal stoi. Ral stacza się z trupa i podnosi, drżąc na całym ciele i oddychając ciężko. Przez wyrwy w dachu docierają nowe dźwięki – krzyki walczących i szczęk stali.

Burza być może zgasła w niej, ale nadal szaleje wszędzie dookoła. Pewnie wkrótce znów ją odnajdzie i porwie, by mogła wypełniać swoje zadanie, ale na razie jest zbyt wyczerpana, by myśleć o czymkolwiek poza odpoczynkiem. Z trudem wspina się na podwyższenie i pada na rozbity tron.

Czas przepływa przez nią i pozostawia wrażenie zachodzącego słońca, chłodu wnikałego w ciało i ciszy będącej następstwem chaosu. Potem rozlega się głos, który wyrzywa ją z odrętwienia.

– Ral?

Rozlegają się ciche, ostrożne kroki. Ktoś obchodzi zgliszcza, trupa i kałużę krwi. Ral otwiera oczy i widzi znajomą twarz, ogorzałą od wiatru, poznaczoną zmarszczkami znużenia i troski. Nigdy nie spodziewałaby się, że znów ją ujrzy.

– Ral, nic ci nie jest?

Kobieta uśmiecha się. Powinna się była domyślić, że tancerka ją odnajdzie i zrozumie.

– Tak, Atar. Już jest po wszystkim i muszę tylko odpocząć.

Niemniej słowa w jej umyśle – bynajmniej nie jej własne – wypływają ze studni bólu i przypominają szybko, że burza dopiero się zaczęła.

Głupi Kundel

Podczas marszu z Żelaznego Miasta zmusiłem moich przybocznych, by uczyli się szybciej. Nad naszymi głowami majaczyła już Wschodnia Forteca, a cała dwunastka, włączając w to Biegnącą Sarnę i Czystą Rzekę, musiała opanować przynajmniej cztery typy magii, które przekazywał mój kanon, ale pojawiła się znów osobliwa niespójność, której doświadczyła Biegnąca Sarna podczas prób zmiany postaci.

Podarty Liść pomimo talentu do zmiany postaci i władania ogniem nie radził sobie z przyzywaniem wiatru. Nie udało mu się nigdy zagęścić powietrza na tyle, by stworzył tarczę bądź włócznie. Kazałem mu zamienić się kośćmi z Biegnącą Sarną – przyszło mi bowiem do głowy, że trudności mogą wynikać z błędnego wygrawerowania symbolu. Niemniej Biegnąca Sarna nadal nie potrafiła utrzymać ptasiej postaci dłużej niż kilka chwil, a Podarty Liść nie umiał stworzyć skomplikowanych form powietrza, o które go prosiłem. Wysilał się, aż poczerwieniał na twarzy, a efekty jego mocy zmroziły nas na kość.

Każdy z umysłów inaczej współgrał ze sporządzonym przeze mnie kanonem lub być może ze strukturą samego świata. Mój kanon był pieczęcią, ale każdy z moich przybocznych okazywał

się innym gatunkiem papieru. Jedne wsysały atrament, po którym pozostawał niewyraźny, lecz kolorowy kształt, a na innych, gęstszych, odciskał się wizerunek wyraźniejszy, ale mniej kolorowy.

Czy Dłonie i Głosy cesarza również różnili się tak bardzo od siebie, gdy chodziło o korzystanie z kanałów kanonu? A może cesarz, który rozumiał magię transmisji o wiele lepiej ode mnie, przewidział takie rozbieżności i umiał je rekompensować?

Schodziliśmy na niziny Nayenu, gdzie świerki i sosny górskich puszczy ustępowały miejsca lasom mieszanym. W chaosie moich myśli pojawił się wówczas niepokojący wniosek. Kanon i pakt definiowały to, co można osiągnąć za pomocą magii, ale gdy sięgałem w głąb struktury świata, niepowstrzymywany przez pakt czy kanon, mogłem dokonać dosłownie wszystkiego. Na ogół trzymałem się mocy dobrze mi znanych, takich jak zmiana postaci, przywoływanie wiatru, osłanianie i tak dalej, ale mógłbym wyrwać górę z ziemi i przygwoździć ją wrogów.

Katiz i Atar stali na czele swoich ludzi dzięki magii wybranej przez Naphenę, a mój wuj domagał się Tronu Słońca ze względu na moc ognia i zmiany postaci. Podczas tworzenia paktu wiedźmy i czarownicy wynegocjowali te moce i przekazali je swoim rodakom. Sycząca Kocica utrzymywała, że wybrała sztukę tworzenia ognia i zmiennokształtność, bo te mogły im się najlepiej przysłużyć, ale znałem ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że jest zafascynowana płomieniami i zwierzętami. Czyżby wybrała te sztuki dla własnej zachcianki?

Kto mógłby dojść do władzy, gdyby wiedźmy i czarownicy podjęli inne decyzje? Jak wielką część historii zawdzięczamy starożytnym wyborom, które odcisnęły się trwale na strukturze świata, choć ludzie ci nawet nie pomyśleli o tym, jak ich pomysł wpłynie na życie kolejnych pokoleń?

Czy moje decyzje również miały zmienić świat?

Takie oto myśli dręczyły mnie, gdy zmierzałem w kierunku Wschodniej Fortecy na spotkanie z cesarzem.



– Musimy osiągnąć szybkie, pewne zwycięstwo. – Wredny Lis rozsiadł się przy stole i splótł palce. – Nie mamy właściwie floty, nie licząc kilku łodzi rybackich, a więc nie jesteśmy w stanie powstrzymać ich ucieczki morzem czy posiłków z kontynentu.

Moje spojrzenie powędrowało w stronę babci, stojącej w ciemnym kącie namiotu. Wpatrywała mi się w oczy, zaciskając zdrową dłoń na lasce, ale sekretu nie zdradziła. Przynajmniej na razie.

– Mają przewagę liczebną. – Wściekła Wilczyca skrzyżowała ramiona i kroczyła po ciasnym namiocie. – Mają fortyfikację, lepszą broń, a także lepszą magię. – Wbiła we mnie wzrok. – Przyznam, że te twoje kosteczki to sprytny pomysł, ale nigdy nie testowaliśmy ich w walce, a twoja drużyna nie przeszła odpowiedniego treningu.

Zabolała mnie jej nieufność.

– Przyznaję, że nie powinniśmy zanadto na nich polegać, ale znam ich możliwości i wiem, że są gotowi stawić czoła większości Dłoni cesarza.

– Możemy liczyć na osiemnastu ludzi władających magią – rzekł mój wuj, wpatrując się w mapę i w drewniane żetony, które poukładał. – I dwunastu niedoświadczonych nowicjuszy, których Głupi Kundel obdarował kośćmi. Tę siłę będziemy musieli przeciwstawić wszystkim Dłoniom i Głosom z Żelaznego Miasta, Fortecy Zachodzącego Słońca i Wschodniej Fortecy. Przypuszczam, że to przynajmniej tuzin czarowników.

– Wlicz w to Syczącą Kocicę – dodałem. – I mnie.

Wredny Lis zmarszczył brwi.

– W rzeczy samej. Planujecie może cisnąć miasto na kolana we dwoje?

– Oczywiście, że nie. Nawet głęboka studnia mocy może kiedyś wyschnąć. – Nie wspomniałem, że do tego będziemy musieli się oszczędzać na starcie z cesarzem. – Zgadzam się na plan Wściekłej Wilczycy – dodałem. – Bo rozumiem, że będzie mogła nawiązać kontakt ze swoimi agentami w mieście.

Wściekła Wilczyca odsłoniła zęby.

– Nasi ludzie są gotowi i czekają na sygnał. – Wzięła cztery żetony oznaczone jej znakiem i umieściła je na mapie za murami Wschodniej Fortecy. – W mieście możemy liczyć na przynajmniej czterystu lojalistów, a przypuszczalnie więcej. Być może są wśród nich jeszcze jacyś czarownicy bądź wiedźmy, choć nie mam pewności. Jednak wystarczy ich, żeby wszcząć zamieszanie, wzniecić kilka pożarów, podciąć gardła kilku ważnym ludziom i otworzyć bramy.

– A nasze armie wykorzystają chaos, wtargną do miasta, przejmą port, garnizon i posiadłość gubernatora. – Wredny Lis umieścił własne żetony na mapie.

– Ja z Syczącą Kocicą poprowadzimy najsilniejszych z moich podkomendnych do ataku na imperialnych czarowników – powiedziałem. – W chwili gdy sięgną po magię, będziemy wiedzieć, skąd płynie ich moc, a wtedy spadniemy na nich jak jastrzębie na polne myszy. Pozostali członkowie mojej drużyny będą wspierać nasze oddziały. Jeśli będziemy działać szybko, powinniśmy zdobyć przewagę w walce magicznej, a gdy padną czarownicy wroga, padnie również miasto.

Musiało paść, a wówczas ja i Sycząca Kocica mieliśmy pomknąć nad wodami morza i zaatakować cesarza, w chwili gdy ten będzie zaskoczony utratą miasta. Liczyliśmy na to, że uda nam się wykorzystać jego chwilę słabości. Nie musiałem opowiadać wujowi i Wściekłej Wilczycy o ekspedycji karnej,

którą wiedzie do Nayenu. Gdyby nam się udało, a mocno na to liczyłem, zostałaaby zniszczona na długo przed dotarciem do brzegów. Gdybyśmy zaś ponieśli porażkę, cóż... Wówczas ani Wredny Lis, ani Wściekła Wilczyca nie mieliby najmniejszych szans na ocalenie Nayenu przed okrutną zemstą cesarza.

Wredny Lis przyglądał się mapie, po czym skinął głową z powagą.

– Po raz pierwszy w życiu czuję, że naprawdę możemy wywalczyć wolność.

– W rzeczy samej – wymamrotała babcia z kąta. – A mogło być inaczej, gdybyście przez całe dekady nie kłócili się o tron, który i tak trzeba odbić.

Wściekła Wilczyca parsknęła śmiechem i wbiła we mnie ogniste spojrzenie.

– Po zwycięstwie będziemy mieli czas na uregulowanie starych porachunków.

Poczułem przypływ dumy. Wyrządziłem wiele krzywd i doprowadziłem do śmierci wielu ludzi, ale miałem pozostawić po sobie znaczne dziedzictwo. Zwycięstwo nad imperium równało się zemście, owszem, ale także patrzyłem na nie jak na zaoranie pola, na którym wyrośnie nowy ogród, a w nim spokojna, dostatnia przyszłość dla Nayenu.

Oczywiście, żadna chwila szczęścia nie mogła trwać długo, czego dowiedziałem się już nie raz podczas mojego krótkiego, acz burzliwego życia.

– Jeśli masz na myśli nasze rachunki po upadku Wschodniej Fortecy, możemy je wyrównać – powiedziałem. – Jednak ja, choć mam tyle samo powodów, żeby cię nienawidzić, Wściekła Wilczyco, nie pragnę rozlewu krwi.

Kobieta potrząsnęła gwałtownie głową, jakby dochodziła do siebie po uderzeniu.

– Nie, Kundlu. Ty nie. – Potem zwróciła się do wuja: – Płonący Pies i ja przekazemy wiadomość naszym agentom. Nasze

wojska mają być w gotowości do ataku w ciągu trzech dni.

Przecisnęła się obok mnie i opuściła namiot. Wuj nabrał tchu i rozparł się na krześle.

– Kiedyś będę musiał się z tym uporać – powiedział cicho. – Ale najpierw wygramy tę wojnę, siostrzeńcze.

– Nasz sojusz jest wystarczająco kruchy. Nie narażajmy go planowaniem zdrady – odparłem. – Gdy ta wojna dobiegnie końca, zamierzam zniknąć w dziczy, gdzie będę mógł żyć w pokoju.

I gdzie pod okiem Okary i Syczącej Kocicy będę mógł zgłębiać tajniki magii, pomyślałem. Wiedziałem wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę, jak mało tak naprawdę rozumiem, a wciąż czułem to samo pragnienie osiągnięcia mistrzostwa co w chwili, gdy po raz pierwszy poczułem ciepło wyczarowanego płomienia.

– Tego naprawdę chcesz, siostrzeńcze? – Wredny Lis bębnił palcami po mapie, a potem rozłożył ręce i wzruszył ramionami. – Dobrze. Mam nadzieję, że znajdziesz tam spokój. Ale najpierw mamy wojnę do wygrania.

– W rzeczy samej. – Odwróciłem się do wyjścia. – Powinienem więc zająć się swoją drużyną.

W miarę jak nasza armia zapuszczała się na południe Nayenu, teren się wyrównywał, a lasy się przerzedziły. Mój wuj wzniósł swój namiot dowodzenia w samym sercu wielkiej polany. Wszędzie dookoła widziałem blask ognisk, przebijający się między pniami drzew i przez zagajniki bambusów. Zgiełk życia obozowego, czyniony zarówno przez żołnierzy jak i zwykłych ludzi, którzy z różnych względów towarzyszyli naszej rosnącej armii, zagłuszał odgłosy lasu.

Podszedłem do ogniska mojej drużyny, a tam otoczył mnie spokój. Adeptci siedzieli w kręgu wokół ognia, trzymając ostrze w jednej dłoni i wygrawerowany w kości kanon w drugiej. Wszyscy przyciskali palce do symbolu oznaczającego magię

uzdrawiającą. Podarty Liść nabrał głęboko tchu, przygotował się na najgorsze i ostro skinął głową, a wówczas jego sąsiadka przejechała ostrzem sztyletu po jego ramieniu. Krew natychmiast wezbrała w skaleczeniu, a przez twarz mężczyzny przemknął grymas bólu. Po chwili wyczułem falę uśmierzającego oddziaływania, po czym rana zaczęła się zasklepić.

Przyglądałem się temu w zaskoczeniu. Opanowanie sztuki zaleczania najmniejszych nawet ran zajęło mi długie miesiące, a moja drużyna nauczyła się tego w zaledwie kilka dni. Kanon magii być może ograniczał adeptów sztuk magicznych w tym samym stopniu co imperium, ale mimo to moja drużyna uczyła się błyskawicznie, pod warunkiem, że nie pojawiały się niespodziewane przeszkody, jak wtedy, gdy Biegnąca Sarna próbowała zmienić postać. Ciekawiło mnie, czy przyczyną ich szybkich postępów jest prostota kanonu, czy może brak mojego bezpośredniego zaangażowania.

Czysta Rzeka zerknął na mnie i odgarnął dłonią liście obok siebie. Niektóre były ubrudzone krwią.

– Właśnie dokładam starań, żeby byli w stanie znieść kilka strzał czy paskudne cięcie bez większych skarg – wyjaśnił, gdy siadałem obok niego. – Dogadałeś się z Wilczycą i Lisem?

– W miarę. Podzielę nas na trzy grupy. Jedna będzie wspierać naszych żołnierzy. Druga weźmie udział w polowaniu na Dłonie i Głosy ze mną i z Syczącą Kocicą.

Czysta Rzeka pokiwał głową zamyślony.

– A jak dokładnie nas podzielisz?

Wyłożyłem mu swój plan. Przez jego oblicze przemknął ledwie zauważalny grymas.

– Coś cię martwi – stwierdziłem.

Czysta Rzeka zamrugał, jakby budził się ze snu.

– Nie, ja... – zawahał się, a potem zmarszczył czoło i wykrzywił usta. – Kilka miesięcy temu próbowałem cię zabić.

Wydawało mi się, że mam ku temu dobry powód. I... – Roześmiał się kwaśno. – Cóż, może nadal go mam, ale teraz rozumiem. Rozumiem ciebie i imperium. – Zamachał swoim kanonem. – Wszystko to rozumiem.

– Miałem chyba podobną chwilę w An-Zabat – powiedziałem.

– Może. – Czysta Rzeka potrząsnął głową. – Zanim ty i Wredny Lis przybyliście do Nory na czele swojej małej armii, Dłoń Lotka o mało nie skazał na śmierć dowódcy mojego garnizonu, który wziął za żonę Nayenkę. Nie chciał porzucić rodziny na rozkaz Dłoni Lotki, a więc ten chciał odrąbać mu głowę na dziedzińcu, w obecności jego podwładnych.

– Co się z nim stało?

Czysta Rzeka obrócił swój kanon w palcach, przyglądając się rytom.

– Zdołałem wyperswadować Lotce egzekucję. Tydzień później twój wuj podpalił jego głowę.

Pamiętałem tego człowieka. Miał niecodzienną, poziomą bliznę.

– Przykro mi.

Czysta Rzeka zacisnął szczęki i wzruszył ramionami.

– Był dobrym żołnierzem. Może też dobrym człowiekiem. Utrzymywał spokój w Norze, dbał o bezpieczeństwo mieszkańców i najwyraźniej wierzył w to, co chciał zbudować. Niemniej to właśnie jedna z rzeczy, które zacząłem rozumieć.

Zamknął kanon w pięści i zacisnął ją, aż pobieleły mu kłykcie.

– Jedyną rzeczą, która gwarantuje innym życie, jest potęga. Nie miałem jej wówczas. Wydawało mi się, że będę umiał stworzyć bezpieczną enklawę w obrębie imperium, jak gdybym mógł użyć sobie jego potęgi dla własnych celów. – Prychnął, a w jego głosie pojawiła się gorycz. – Powinienem się domyślić, że to mrzonki. Choć może plan by się powiódł, gdybym był Dłonią.

– Mam dobre powody, żeby w to wątpić – powiedziałem.

Czysta Rzeka spojrział na mnie nabiegłymi krwią oczami. W odpowiedzi sam wzruszyłem ramionami.

– Nasze opowieści różnią się we wszystkim, ale obaj nauczyliśmy się podobnych rzeczy – dodałem.

Czysta Rzeka pokiwał głową, ale uczynił to powoli i ostrożnie, jak gdyby zbliżał się do dziwnej bestii, która w chwili grozy mogłaby doskoczyć mu do gardła.

– Dziwnie się czuję, walcząc po stronie powstania. Co najmniej dziwnie. Jeszcze nie tak dawno temu rozsyłałem patrole w ślad za ludźmi twojego wuja, a całkiem niedawno twoi żołnierze zabili całe mnóstwo moich.

– Lecz przecież jesteś Nayeńczykiem – powiedziałem.

– Tak, jestem. Ale to nie dlatego się tu znalazłem. – Czysta Rzeka obrócił kość w dłoni. – Chcę, żeby świat stał się lepszym miejscem, Olcho. Bezpieczniejszym. Jednak żeby do tego doszło, wojna musi się skończyć.

– A nie sądzisz, że ją wygramy?

– A skąd ja mam to wiedzieć? – Mój rozmówca znów parsknął krótkim śmiechem. – Dotarłem aż tutaj, a ty przekazałeś mi moc, która być może przyda się w tworzeniu. Od imperium zaś dostałem jedynie tytuł i pensję.

– Mam więc nadzieję, że wykorzystasz ją, żeby móc budować – powiedziałem. – W Norze widziałem mnóstwo dobra, Czysta Rzeco. Przykro mi, że zniszczyłem pokój, który zbudowałeś tam dwukrotnie.

– Cóż, a więc mnie przykro, że próbowałem cię wypatroszyć.

– Przytrafiały mi się o wiele gorsze rzeczy. – Uśmiechnąłem się.

Czysta Rzeka zamrugnął, a potem wybuchnął szczerym, dźwięcznym śmiechem, który przypominał mi o jednym jedynym wieczorze naszej przyjaźni, ucztę wydanej przez Głos Żółtą Ziębę oraz naszej nocnej eskapadzie. Były to teraz

przyjemne wspomnienia, choć wówczas zostały splamione przez przemoc, sekrety oraz żalosne przepychanki mściwych dzieciaków.

– Dobra, dość już tego roztkliwiania się – powiedział Czysta Rzeka, opanowawszy śmiech. Wstał i otrzepał szatę. – Przedstawimy plan Wilczycy i Lisa reszcie naszych?

Przywołaliśmy całą drużynę, a ja wyjaśniłem im plan, którym podzieliłem się już z Czystą Rzeką, i zacząłem przydzielać ludzi do zespołów. Najbardziej doświadczeni w sztuce latania mieli dołączyć do mnie i Syczącej Kocicy podczas polowania na imperialnych czarowników. Reszta miała trafić do poszczególnych oddziałów armii Wilczycy i Lisa.

W trakcie przydzielania zadań Biegnąca Sarna założyła ramiona na piersi i zgarbiła się. Odciągnąłem ją później na bok.

– Nie podoba ci się plan? – spytałem, a dziewczyna spojrzała na mnie z gniewem.

– Plan jest dobry, ale wykorzystujesz mnie w niewłaściwy sposób! – odparła.

Dobrze władała magią ognia i wiatru, a więc przydzieliłem ją do wsparcia.

– Jak to możliwe?

– Najniebezpieczniejsze zadania otrzymają ci, którzy walczą z Dłońmi oraz Głosami, i to tam powinnam trafić!

Byłem zaskoczony jej reakcją. Wydawało mi się, że bronienie zwykłych żołnierzy przed magią i granatami będzie trudniejszym zadaniem. Powiedziałem jej to, na co dziewczyna się skrzywiła.

– Byłam pierwszą osobą wybraną do drużyny – powiedziała. – Uczę się dłużej od pozostałych.

– Zgadza się – stwierdziłem. – Ale jako ostatnia nauczyłaś się zmiany postaci i nadal masz problemy z utrzymywaniem się w powietrzu przez dłuższy czas. Polowanie na czarowników wroga będziemy mogli przeprowadzić tylko z powietrza.

– Dam radę! – Biegająca Sarna zacisnęła pięści i podeszła do mnie. – Daj mi szansę!

Stała teraz tuż przede mną, a jej ciemne oczy wpatrywały się w moje. Widziałem w nich mnóstwo determinacji. Przypomniały mi się moje młode lata i wielkie pragnienie, by babcia nauczyła mnie magii. Potem przypomniało mi się, jak marzyłem, by Dłoń Przewodnik przestał marnować mój czas, a później Atar zdradziła mi sekret przyzywania wiatru. Nabrałem tchu, by uporządkować myśli, a wówczas uświadomiłem sobie, że czuję zapach Biegającej Sarny, przepojony dymem, ale mimo to słodki. Potem uzmysłowiłem sobie, że praktycznie jesteśmy w tym samym wieku, choć często o tym zapomniałem. Naraz zaszła we mnie zmiana, jakby wiatr rozmazał słowa wypisane na piasku.

Mój umysł stał się plątaniną zapachów, wspomnień i nowych możliwości. Przecież takie myśli na kilka dni przed bitwą to czyste szaleństwo, prawda? W dodatku myśli, które nadchodzą tak niespodziewanie! Choć w sumie... Poznaliśmy się tak dobrze i od czasu bitwy o Norę zaliczałem ją do tych, którym ufałem najbardziej. W końcu uratowała mi życie.

– No i? – spytała ostro. – Jeśli ci udowodnię, że potrafię zmienić postać na wystarczająco długo, pozwolisz mi walczyć u swojego boku?

– Tak – wypaliłem bez zastanowienia. Chciałem powiedzieć coś jeszcze, jak gdyby kolejne słowa mogły zamaskować niewygodne, choć kuszące myśli krążące w mojej głowie. – Ale tylko jeśli będziesz mogła sprostać wyzwaniu.

Spojrzała na mnie gniewnie.

– Co masz na myśli?

– Jutro, zamiast maszerować, będziesz lecieć, jeśli zdołasz.

Otworzyła szeroko oczy, na co moje serce podskoczyło jak ryba polująca na owada. Były ciemne, ale dostrzegalem w nich takie bogactwo kolorów...

– Cóż, w porządku. – Uśmiechnęła się krzywo, zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy wyczarowała ogień. – A więc będę musiała po raz trzeci udowodnić ci, że się mylisz, Głupi Kundlu.

Odwróciła się na pięcie, dumna i wyprostowana, a potem zasiadła wśród pozostałych. Patrzyłem, jak odchodzi, być może zbyt długo. Żałowałem, że wyznaczyłem jej to wyzwanie. Chciałem zasypać wyrwę, która powstała między nami.

Czysta Rzeka zakaszła głośno.

– Jak na kogoś, kto ma wpływ na nayeńską politykę, wciąż słabo rozumiesz mieszkańców tego kraju – powiedział. W kącikach jego oczu migotało rozbawienie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałem.

Moje zażenowanie zamieniło się w cichy gniew.

– Nic takiego, Olcho – rzekł Czysta Rzeka i wrócił za Biegnącą Sarną do kręgu.

Moi przybocznicy schowali broń i podzielili się na grupy wedle przydziałów. Niektórzy trenowali tworzenie kopuł z wiatru, chroniących żołnierzy przed granatami, a inni ćwiczyli szybkie przeskoki między kanałami kanonu, co przydawało się w walce z imperialnymi czarodziejami.

Chodziłem wśród nich, odczuwając fale ciepła ich magii, które splatały się ze sobą jak światło tańczące między gałęziami drzew. Podsuwałem sugestie tam, gdzie były potrzebne, choć objaśnianie technik rzucania czarów było o wiele trudniejsze niż korygowanie pozycji podczas Żelaznego Tańca. Biegnąca Sarna zajęła fragment polany dla siebie. Zaciskała zęby, raz za razem zmieniając postać, jakby magia była mięśniem, który można wzmacniać treningiem.

Wszyscy ci ludzie włożyli w szkolenie mnóstwo wysiłku, ale przecież rozpoczęli przygodę z magią zaledwie kilka miesięcy temu. Miałem nadzieję, że mój kanon zda swój pierwszy test i wytrzyma starcie z cesarskim, podobnie jak liczyłem na to, że wraz z Syczącą Kocicą pokonamy samego cesarza.

Owa nadzieja wystarczała, by poprowadzić tych ludzi do bitwy, tak jak kiedyś powiodłem Wilgę. Niektórzy zginą, ale ich śmierć będzie miała znaczenie. Nie będą jedynie ofiarami ambicji innych – ich wkład pozwoli na zbudowanie lepszego świata.

Tak przynajmniej sobie mówiłem, choć nie złagodziło to napięcia w mojej piersi.

Okara wyłonił się z lasu i zabrał się do wylizywania resztek jakiegoś złapanego tam stworzenia. Drapiąc go za uszami, zastanawiałem się, czy Sycząca Kocica, Doktryna, Naphena i inni czarownicy oraz wiedźmy z dawnych czasów też tak się czuli, gdy zaczynali swoją wojnę przeciwko bogom. Wydawało mi się, że każde wielkie, znaczące przedsięwzięcie musi wydawać się niemożliwe dla kogoś, kto się go podejmuje. Nie miałem wyboru. Musiałem zdobyć się na działanie – w przeciwnym razie musiałbym patrzeć, jak struktura świata poddaje się wizji okrutnego cesarza lub pogrąża w otchłani przemocy i chaosu. Czuję, że muszę przystąpić do działania, choć nadal byłem pełen wątpliwości.

Na szczęście Okara oparł swój łeb na moim kolanie, przynosząc mi spokój przynajmniej na tę noc.

Wyzwanie

Głupi Kundel

Biegająca Sarna wbiła we mnie długie, spokojne spojrzenie. Wszędzie dookoła członkowie naszej drużyny zwijali obóz. Pojawiło się wśród nich przekonanie, że im więcej człowiek miał przy sobie podczas przemiany, tym trudniej było utrzymać obcy kształt. Moi przybocznicy rozdzielili więc między sobą jej broń, elementy pancerza, posłanie, racje żywnościowe i zapasową odzież, a dziewczyna pozostawiła sobie jedynie tunikę, spodnie, spalony kawałek drewna i kanon magii.

– Zawarliśmy umowę – powiedziała stanowczo. – I dotrzymasz słowa.

– Oczywiście – przytaknąłem.

Biegająca Sarna zadziornie kiwnęła głową, nabrała tchu i przycisnęła kciuk do kanonu magii. Gdy dziewczyna przybrała kształt jastrzębia i rozłożyła skrzydła, w czystym, chłodnym powietrzu poranka rozszedł się zapach cynamonu. Biegająca Sarna spojrzała na mnie po raz ostatni, a potem wzbiła się do lotu.

Przez cały dzień zerkałem ku niebu. Za każdym razem, gdy znikwała z pola widzenia, zaczynałem się martwić, czy jej moc nie osłabła i czy dziewczyna nie spadła z nieba, łamiąc sobie

kości. Serce biło mi żywiej, gdy dostrzegałem jej sylwetkę. Czasem był to tylko ciemny kształt na tle chmur, a czasem widziałem dokładnie, jak siedziała na gałęzi przydrożnego drzewa i poprawiała sobie pióra. Zawsze w takich sytuacjach czułem, jak moje mięśnie przeszywa skurcz wywołany niebywale potężnym oddziaływaniem jej magii.

Jedliśmy w drodze. Za całe pożywienie starczały nam skrawki suszonego mięsa lub kawałki ostro przyprawionej ryby. Raz dostrzegłem Biegnącą Sarnę na gałęzi, rozdierającą na strzępy ciało zabitego przed chwilą królika, choć nigdy nie uczyłem sztuki polowania ani jej, ani nikogo innego. Być może wziął górę jakiś ukryty instynkt, przekazany jej przez ciało jastrzębia? Rozmyślałem nad tym przez moment, lecz zadumę przerwał inny jastrząb, który wylądował obok niej z własną zdobyczą w szponach. Spojrzał na mnie, przełknął ofiarę w całości i zeskoczył z gałęzi na drogę. Drgnąłem, gdy buchnął zapach cynamonu, a ptak zamienił się w Syczącą Kocicę, która siedziała na piętach i uśmiechała się drwiąco.

– O co chodzi z tą dziewczyną? – spytała.

Zamrugąłem zaskoczony.

– Jeśli utrzyma ptasią postać przez cały dzień, zasłuży sobie na przywilej zapolowania na Dłonie i Głosy we Wschodniej Fortecy.

Sycząca Kocica przechyliła głowę z zaskoczeniem.

– Dotrzemy tam jutro, Kundlu! Ona będzie zmęczona.

Nie pomyślałem o tym. Cóż ze mnie za idiota! Zakląłem pod nosem.

– Co gorsza, nie pomyślałeś również o tym, że ona nie jest przyzwyczajona do odżywiania się w ptasiej postaci – ciągnęła Sycząca Kocica. – Na szczęście zwróciłam na to biedactwo uwagę, co zresztą trudne nie było, bo jej magia rozchodzi się na wszystkie strony jak kręgi po kamieniu wrzuconym do wody. Uznałam, że przyjdę jej z pomocą.

– Dziękuję ci za to – mruknąłem, rumieniąc się ze wstydu.

Mało brakowało, bym wytknął, iż to Biegnąca Sarna wpadła na ten pomysł, ale na szczęście zdałem sobie sprawę z tego, jak idiotycznie by to zabrzmiało. Zamiast tego podszedłem do drzewa, na którym siedziała, rozszarpując swoją zdobycz.

– Dość już, Biegnąca Sarno – zawołałem. – Udowodniłaś, że się mylę. Jutro polecisz ze mną. Nie powinienem był poddawać cię takim wyzwaniom.

W jej oczach widziałem coś graniczącego z pogardą. Wrzasnęła, rozpostarła skrzydła i wyskoczyła w powietrze, by zniknąć gdzieś wśród koron drzew.

Zawarliśmy umowę, co prawda głupią, ale Biegnąca Sarna uparła się, że jej dotrzyma. W mojej głowie znów zawirowały przerażające wizje jej śmierci – mogła przecież spaść na ziemię z wyczerpania, oberwać magicznym pociskiem czy zginąć od bełtu wystrzelonego z kuszy.

– Wyglądasz, jakbyś właśnie przełknął kęs zgniłej ryby – zauważyła Sycząca Kocica.

Wiedziałem, że jeśli Biegnąca Sarna jutro umrze, winę za to poniosę ja. Nie umiałem wypowiedzieć tej myśli na głos, ale prześladowała mnie przez resztę dnia, gdy patrzyłem na niebo, analizowałem wywołane jej magią kurcze i modliłem się do wilczych bogów, mędrców i wszystkich innych świętości, które mogłyby mnie wysłuchać. W końcu słońce zaczęło zachodzić, a armie Wilczycy i Lisa zabrały się do rozbijania obozu.

Byłem chory z niepokoju i nie zrobiłem nic poza zrzucając posłania na ziemię. Nie zwróciłem nawet uwagi na Czystą Rzekę i doktora Sho, którzy zajęli się zbieraniem drewna i przygotowywaniem prostego posiłku. Słońce wisiało tuż nad horyzontem i chmury nabierały czerwonego i fioletowego odcienia. Biegnąca Sarna powinna już chyba wrócić do obozu, przybrać ludzką postać, zadrwić ze mnie i paść na posłanie. Czyżby zmogło ją zmęczenie? Czy leżała gdzieś wśród korzeni

drzewa, desperacko utrzymując postać jastrzębia, by dotrzymać umowy?

– Głupi Kundlu, jesteś potrzebny – powiedziała Brązowa Sowa, a ja o mało nie podskoczyłem. – I to szybko.

Złamałem kanon cesarza, porzuciłem Atar na Pustkowiu Batir i ocaliłem babcię przed pewną śmiercią, ale odwrócenie głowy od skraju lasu, z którego mogłaby się wyłonić Biegnąca Sarna, okazało się ponad moje siły.

Brązowa Sowa zacisnęła dłoń na moim ramieniu i obróciła mnie gwałtownie.

– Wystarczy, że musiałam się po ciebie fatygować. Nie marnuj mojego czasu.

Spojrzała ponad moim ramieniem tam, gdzie ja sam patrzyłem. Zmarszczyła brwi ze zdziwienia.

– Kto tam lata? Jakiś zwiadowca? Czego szuka?

– To jeden z moich przybocznych. – Mój głos zabrzmiał, jakby dobiegł z dna studni. – Wysłałem go, żeby miał oko na nasz szlak. Nie chcemy chyba wpaść w cesarską zasadzkę w przeddzień ataku na Wschodnią Fortecę, prawda?

Wiedźma burknęła i poprowadziła mnie przez obóz. Wredny Lis i Wściekła Wilczyca zgromadzili swoich przybocznych i oficerów przed namiotem dowodzenia. Z zaskoczeniem dostrzegłem, że przynajmniej tuzin z ponad czterdziestu oczekujących ludzi nosiło amulet w postaci spalonego kawałka drewna. Nie wiedziałem, czy nadal była to oznaka oddania wobec mnie.

Wredny Lis raz jeszcze wyjaśnił strategię, która miała nas powieść ku zwycięstwu, ale moje myśli uparcie powracały do Biegnącej Sarny i nie słuchałem jego słów.

Nastał zmierzch, a niebo spowił ciemny fiolet. Wredny Lis zakończył przemówienie przy blasku pochodni, a ja nadal czułem oddziaływanie magiczne Biegnącej Sarny. Przecież zaszło słońce. Wypełniła swoją część umowy. Wygrała! Wredny

Lis i Wściekła Wilczyca zwięźczyli naradę krótkimi tryumfalnymi przemowami, które kompletnie niezrozumiały unosiły się wśród moich przerażonych myśli.

Naraz oddziaływanie spotęźniało. Biegnąca Sarna wróciła do obozu. Dlaczego więc nie przybrała ludzkiej postaci? Rzuciłem się do biegu, krzywiąc się z powodu bolesnych kurczy przeszywających moje łydki.

Ptak siedział na ziemi w blasku ognia. Sycząca Kocica przykucnęła obok. Dołączył do nich doktor Sho, niosący swój kufer. Biegnąca Sarna przechyliła ptasią główkę, a mnie znów przeszył lęk. Czy do kanonu wkradł się błąd? Czyżby nie mogła już zmienić postaci i na zawsze uwięzła w ptasiej formie?

Poczułem zapach cynamonu, który ukoił mój lęk i wyciszył skurcze rąk i nóg, dokuczające mi od rana.

Biegnąca Sarna stała wyprostowana i spoglądała mi w oczy. Zrobiła jeden chwiejny krok i osunęła się na ziemię.

Padłem na kolana, by ją złapać. Jej loki musnęły mi twarz, gdy głowa dziewczyny wsparła się o moje ramię. Poczułem ciężki oddech na policzku, nadal pachnący piórami. Zamrugła, wpatrzona we mnie, a w jej oczach nadal widziałem zadziorność.

– Proszę – szepnęła. – Zrobiłam to, czego chciałeś.

Zastanawiałem się później, czy moja mina zdradzała głębie poczucia winy. Jej oblicze jaśniało dumą i wyczerpaniem.

– Nie było potrzeby – powiedziałem.

Dziewczyna pokręciła głową i uśmiechnęła się gorzko.

– Chciałam, żebyś to zobaczył, Kundlu. Chciałam, żebyś zobaczył.

Zatrzepotała powiekami, lecz z następnym oddechem zapadła już w głęboki sen śmiertelnie znużonego człowieka. Spojrzałem na doktora Sho.

– Uwarz jakąś herbatę albo przygotuj zupę, sam nie wiem co. Musi przecież odzyskać siły. Nie może brać udziału w bitwie

w takim stanie.

– A kto ją zatrzyma? – spytała kwaśno Sycząca Kocica, a Okara, skulony u jej stóp, uniósł łeb, jak gdyby chciał wyrazić swoje poparcie dla jej słów.

Namiot Sho wznosił się nieopodal, a doktor często zajmował się w nim wyczerpanymi do cna nowymi rekrutami. Na szczęście namiot w nocy był pusty. Zniosłem Biegnącą Sarne do środka i ułożyłem ją na jednym z posłań.

– Przepraszam – szepnąłem i usiadłem obok niej, patrząc, jak oddycha, i przyglądając się zmęczeniu wyrytemu w jej zmarszczkach.

W pewnym momencie doktor Sho przyniósł mi miskę zupy z ziołami i skrawkami suszonej wieprzowiny. Obejrzał powierzchownie śpiącą dziewczynę i uznał, że jest wyczerpana, ale nic jej nie dolega.

– Dojdzie do siebie – powiedział. – Sam się teraz prześpij.

– Nie będę w stanie zasnąć – odparłem, a potem jadłem i czekałem, aż strach wreszcie mnie opuści.



Spałem oparty o słupek namiotu, a więc nic dziwnego, że obudziłem się z obolałymi plecami. Przez płótno przenikały dźwięki odległej muzyki – nayeńskie flety, bębny oraz kilka śpiewających głosów – co było zaskakujące, zważywszy na to, że rano ruszaliśmy do bitwy.

Biegnąca Sarna, leżąca obok mnie, oddychała powoli i rytmicznie. Dotknąłem jej czoła, ale nie miała gorączki. Otworzyła z trudem oczy i coś wymamrotała. Znowu przebudził się we mnie strach, ale jej oddech szybko powrócił do

poprzedniego rytmu. Łagodnie rozprostowałem ścierpnięte ramiona i opuściłem namiot.

Na niebie wciąż wisiał księżyc i migotały gwiazdy, ale posłania moich przybocznych były puste. Nie widziałem też doktora Sho. Muzyka płynęła zza drzew, gdzie jaśniała pomarańczowa poświata i migotały cienie sylwetek tańczących.

– Głupi Kundlu? – Owinięta kocem Biegająca Sarna stała w wejściu do namiotu i przecierała oczy.

Przełknąłem grudę w gardle.

– Chyba cię obudziłem. Wybacz.

– Nie, nic się nie stało. – Dziewczyna rozejrzała się po obozowisku i zmarszczyła brwi, gdy jej wzrok padł na niedawno wyczyszczony garnek. – Choć jestem trochę głodna.

– Znajdę doktora Sho. Zrobi ci jakąś zupę albo...

– Nie, dziękuję. – Zerknęła na pomarańczową emanację. – Tam na pewno znajdzie się coś przyzwoitego do jedzenia.

Otuliła się ciaśniej kocem i ruszyła przed siebie. Po kilku krokach stanęła, spojrzała za siebie i przechyliła głowę.

– Idziesz? – spytała.

Ruszyłem za nią, nie wiedząc, co powiedzieć. Westchnęła, złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą.

– Jeśli dalej będziesz powłóczył nogami, to umrę tu z głodu!

Jej dłoń emanowała ciepłem jak źródło magii. Trzymała mnie za prawy nadgarstek, tuż nad kikutem pozostawionym przez cios Głosu Przewodnika, a ja nagle poczułem, że jej palce znalazły się blisko pomarszczonej blizny.

– Przykro mi – powiedziałem. – Bez sensu było to wyzwanie. Zachowałem się jak idiota.

– Już coś takiego od ciebie słyszałam – mruknęła dziewczyna. – I wtedy też nie uwierzyłam.

– Nie wierzysz w to, że mi przykro?

– Nie, tego jestem pewna. Ale nie zachowałeś się jak idiota. Twoja decyzja miała sens. Musiałeś mieć pewność, że jestem na

tyle silna, żeby móc walczyć u twojego boku. – Znow na mnie spojrzała. – A teraz wiesz.

– Chyba tak. – Te słowa umknęły ze mnie jak długo wstrzymywany oddech. – Ale żałuję, że zmusiłem cię do tego, żebyś to udowodniła. Powinienem był ci zaufać.

Biegająca Sarna zacisnęła dłoń niczym szpony na moim nadgarstku, a potem rozluźniła ucisk i spojrzała na ścieżkę prowadzącą ku pomarańczowej poświacie.

– Nic się nie stało. Niektóre rzeczy trzeba udowadniać.

Wyszliśmy na jedną z szerszych polan, w sercu której płonęło ognisko. Siedzący wokół niego żołnierze grali na prostych instrumentach, a dziesiątki innych tańczyło dookoła w dzikim, wirującym kręgu. Dudniły bębny, zawodziły piszczałki, a zarówno tańczący, jak i ci, którzy kręcili się na obrzeżach polany i między muzykami, śpiewali tę samą pieśń.

Rozpoznałem Podartego Liścia i kilku członków mojej drużyny, którzy obejmując się za ramiona, podskakiwali wspólnie. Pojawił się też doktor Sho, który ruszył ku nam z różnem w dłoni. Białe kosmyki wokół jego łysiny odbijały blask ognia jak chmury zachód słońca.



– Wstałaś! – powiedział nieco zaskoczony. – I chodzisz bez
niczyjej pomocy!

Zmierzył Biegnącą Sarnę wzrokiem.

– Jak się czujesz? Dokuczają ci mdłości? Czujesz jakieś kurcze czy sztywność, która nie chce odejść?

– Bardzo chce mi się jeść – powiedziała z uśmiechem Biegnąca Sarna, a doktor Sho pokiwał głową, marszcząc brwi. Wzrok dziewczyny padł na rożen w jego ręce, a Sho drgnął i podał go jej.

– Przepraszam, ale wśród zebranych krążyła butelka.

Biegnąca Sarna wypuściła mój nadgarstek i ujęła rożen, a ja poczułem osobliwe połączenie ulgi i rozczarowania. Dziewczyna wgryzła się w mięso nieznanego pochodzenia, a doktor Sho zakaszłał.

– Dobra, przyniosę ich jeszcze kilka. – Ruszył w kierunku ognia.

– Bardzo dziwny człowiek – wymamrotała Biegnąca Sarna z pełnymi ustami.

Trudno było pojąć scenę rozgrywającą się przed naszymi oczami. Za dnia mieliśmy wydać bitwę zjednoczonym siłom imperium w Nayenie, ale nasi żołnierze, zamiast wykorzystać sposobność do odpoczynku, pili, tańczyli, śpiewali, marnując siły, które mogły zadecydować o życiu i śmierci.

– Coś cię trapi – zauważyła Biegnąca Sarna. – Znaczy się bardziej niż zwykle.

Przetrząsnąłem pamięć w poszukiwaniu sposobu na wyrażenie moich złych przeczuć tak, by moje słowa nie zabrzmiały pesymistycznie.

– Nie powinniśmy szykować się na bitwę, zamiast śpiewać i tańczyć? – powiedziałem w końcu.

Biegnąca Sarna przechyliła głowę. Jej loki błysnęły czerwienią i złotem w blasku ogniska.

– Dla wielu z nich to będzie ostatnia noc. To ostatnia okazja, żeby cieszyć się życiem, które razem przeżyliśmy, i zbudować wspomnienia. Będziemy ich pamiętać takimi, jacy są teraz,

szczęśliwymi i opromienionymi blaskiem ognia. Nie tak to powinno wyglądać?

Moje ostatnie wspomnienia o Wildze były pełne krwi, bólu i udręki, wynikającej z bezcelowej rywalizacji, do której przymusił nas Dłoń Przewodnik.

– Masz rację – powiedziałem cicho.

Wpojono mi pragmatyczne teorie wojskowe Sienu, przez co odruchowo pojawił się we mnie sprzeciw – wszak armia powinna ruszać do boju wypoczęta i najedzona. Jednak rozumiałem bolesną prawdę, iż każdy z naszych żołnierzy może nie dożyć kolejnej nocy, bez względu na to, ile zje i jak długo będzie spał. To, co robili, stanowiło uczciwą reakcję na realia. Owszem, było to taktycznie niesłuszne, ale stawiało na pierwszym miejscu dobro ludzi, którzy mieli walczyć i ginąć.

– Lepiej celebrować życie, ryzykując przy tym śmierć, niż kulić się w strachu – powiedziałem w zadumie.

Biegająca Sarna uśmiechnęła się, a w moją pierś wniknęło ciepło.

– Zaczynasz mówić jak Nayeńczyk – oznajmiła.

– To chyba dobrze – powiedziałem z szerokim uśmiechem. – Choć nie do końca wiem, o co ci chodzi.

Dziewczyna podeszła bliżej i splotła palce z moimi.

– Chcesz... eee... tańczyć? – wyjąkałem. Czuję się jednocześnie bezgranicznie głupi, jak też bezgranicznie pełen życia.

Powoli pokręciła głową.

– Istnieją inne sposoby na celebrowanie życia, Głupi Kundlu.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć, i wykrztusiłem jedynie:

– Jesteś tego pewna?

Biegająca Sarna parsknęła śmiechem.

– Przez długie lata studiowałeś poezję, a teraz, gdy wreszcie ta wiedza mogłaby ci się na coś przydać, stać cię tylko na tyle?

– Że co? – Miałem pustkę w głowie.

Dziewczyna znów się uśmiechnęła, a w odpowiedzi wyprowadziła mnie z kręgu blasku ognia do zacisza namiotu, gdzie nakryci kocami dla ochrony przed chłodem nocy, rozpoczęliśmy nasz własny taniec, powolny i delikatny. Ów taniec okazał się prostszy od tych, których uczyła mnie Atar, ale trafił wprost do mojego serca.



Po wszystkim Biegająca Sarna leżała z głową na mojej piersi. Jej włosy rozsypały się na mojej skórze, a palce błędziły po barku i ramieniu aż po kikut, gdzie pozostały.

– Mógłbyś odtworzyć tę dłoń, prawda? – powiedziała sennie, leniwie. – To na pewno łatwiejsze od zmiany postaci.

Uniosłem ramię i przyglądałem mu się w blasku księżyca przenikającym przez płótno namiotu. Różowa blizna odcinała się od ciemnej skóry.

– Mógłbym – powiedziałem. – Ale nie chcę. Jeszcze nie.

Biegająca Sarna spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Przez całe życie uganiałem się za ambicjami – ciągnąłem. – Pozostawiłem za sobą wiele zgliszczy i nie chcę zrzucić z barków całego brzemienia.

– Kiedy więc się na to zdecydujesz?

– Być może nigdy – powiedziałem. – Być może zrobię to, gdy uznam, że zadośćuczyniłem światu za wyrządzone mu krzywdy. Dlaczego? Przeszkadza ci to?

Pokręciła głową, łaskocząc mi policzek włosami.

– Nie. Ale dziwi mnie to, że ty, który władasz taką mocą i uzdrawiasz innych, nie myślisz o sobie. – Ziewnęła. – Z drugiej strony spędziłam cały dzień pod postacią jastrzębia i właśnie

wyczerpałam resztki pozostałej mi energii, a więc być może wszystko wydaje mi się teraz dziwne i bajkowe.

Pogładziłem ją po plecach i ucałowałem czubek głowy.

– Mogę sobie pójść, jeśli pomoże ci to zasnąć.

– Nie, nie. – Wtuliła się we mnie. – Zostań. Tak jest miło.

Kilka chwil, a być może cała wieczność, upłynęło w przyjemnej ciszy.

– To, co stało się dziś... – powiedziała, ale zmarszczyła brwi i po chwili zaczęła na nowo: – Opuściłam rodzinną wieś razem z przyjaciółką, Jasną Koral. Obie uciekałyśmy przed tym samym i miałam nadzieję, że znajdziemy gdzieś bezpieczne schronienie lub przynajmniej szansę na zemstę w armii Wrednego Lisa. Jasna Koral zginęła w Twierdzy Szarego Mrozu.

Cisza, która zapanowała po jej słowach, była zupełnie inna niż ta sprzed chwili.

– Nie było mnie wtedy z nią – szepnęła. – Granat uderzył w ścianę i zapadła się część muru. Rozdzieliliśmy się, a gdy ją znalazłam, nie żyła. – Dotknęła boku szyi. – Strzała.

– Przykro mi.

Dziewczyna przysunęła się jeszcze bliżej i wtuliła policzek w moje ramię.

– Pewnie nie udałooby mi się jej uratować, ale gdybym przy niej była, przynajmniej miałabym pewność. Nie chcę, żeby coś takiego przytrafiło się tobie. Jesteś dla mnie ważny, Głupi Kundlu. Cóż, jesteś ważny dla wielu ludzi, ale ja patrzę na ciebie w szczególny sposób. Od początku wiedziałam, kim jesteś, ale poznałam twoją wartość, dopiero gdy zobaczyłam cię w lazarecie doktora Sho w Norze. Żeby najpotężniejszy czarownik świata spędzał całe dni na zajmowaniu się rannymi? Wtedy zaczęłam tego pragnąć.

– Jest ktoś potężniejszy ode mnie – powiedziałem. – I spędza całe dni na zadawaniu pytań kościom.

Biegająca Sarna spojrzała na mnie gniewnie, ale uśmiechnąłem się.

– Żartuję. Dziękuję ci. A wiesz, kiedy ja zauważyłem cię po raz pierwszy? – spytałem.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Kiedy przegoniłaś tych chłopaków, którzy chcieli skrzywdzić kołodzieja. Nie miałem pewności co do mojego wuja i w sumie nadal nie mam, ale po tym wydarzeniu przynajmniej nabrałem wiary w tych, którzy za nim podążają.

Biegająca Sarna trąciła mnie nosem.

– Cieszę się – szepnęła.

Jej oddechy stawały się coraz dłuższe i głębsze. Leżałem z otwartymi oczami i napawałem się chwilą. Czułem ciepło jej ciała, słuchałem muzyki odległych fletów i bębnów. Cieszyłem się każdą chwilą życia umykającą w mrok.

Pierwszy i najważniejszy wybór

Dłoń Lotka

Głos Wiek Obfitości nie wydał żadnych rozkazów, by Lotka został uwięziony, ale mimo to jego palankinowi towarzyszyła para strażników. Ich cienie padały na jedwab, którym przesłonięto okna. Przynosili mu jedzenie, gdy o to poprosił, co działo się rzadko, i rutynowo zaopatrywali go w pełne butelki ryżowego wina. Forteca Zachodzącego Słońca została porzucona, ale jej sieneńscy mieszkańcy zabrali cały swój dobytek, w tym zawartość piwnic.

Lotka spał jedynie wtedy, gdy zmorzyło go zarówno wyczerpanie, jak i alkohol, a we śnie widział kotłującą się mgłę, upstrzoną krwawymi plamami. W pustce unosiły się cienie przypominające kukielki, które nagle stawały się niebywale wyraźne i atakowały błyskiem stali, hukiem eksplozji i wizjami dziesiątek zwęglonych i poszarpanych ciał.

Widział grób Wilgi, zasypany drobnymi liśćmi, zaniedbany.

Widział twarz Wena Olchy – chłopca, który dzielił z nim żal po śmierci Wilgi – nagle przeobrażającą się w oblicze potwora, który dwukrotnie zniszczył świat.

Zrywał się wstrząśnięty. Głowa go bolała, a umysł przepełniało obrzydzenie do siebie samego oraz do imperium. Był przerażony dumą, jaką poczuł, gdy cesarz zaakceptował

jego plan, oraz koszmarnym losem, jaki ściągnął w ten sposób na Fortecę Zachodzącego Słońca. Leżał i rozpamiętywał swoją udrękę, aż znów nachodził go kipiący nienawiścią sen. Nienawidził Olchy i Nayeńczyków, którzy opierali się imperium i ściągnęli na siebie jego gniew. Nienawidził siebie za to, że zwątpił w mądrość cesarza, i za swoje tchórzliwe wahanie w obliczu tego, co doktryna uznała za stosowne.

Wolał się budzić, niż zasypiać. Z początku przebudzenia były co prawda koszmarem – zrywał się z wściekłym bólem głowy i chorym żołądkiem – ale po załatwieniu swoich potrzeb i napełnieniu żołądka winem popadał w stan śliskiej, obojętnej pustki. Wędrował bez końca w palankinie, kołysząc się łagodnie i próbując o niczym nie myśleć. Wygrzewał się w promieniach słońca wczesnej wiosny lub zagrzebywał w futra, gdy nadciągał przyjemny chłód nocy. Trwał w tym niezmaconym stanie przez cały dzień, aż nachodził go sen, a wraz z nim przerażenie, obrzydzenie i wściekłość.

Dzień upływał za dniem, aż któregoś poranka oślepiło go światło. Ktoś zastukał do drzwi palankinu. Lotka zamrugał i skrzywił się, a serce, dręczone jakimś koszmarem, który pozostawił po sobie jedynie lęk i metaliczny posmak w ustach, powoli wracało do normalnego tempa.

Stał nad nim Głos Wiek Obfitości. Na jego obliczu malowała się szczerść i serdeczność.

– Dłoni Lotko – powiedział – dotrzemy dziś do Wschodniej Fortecy. Myślę, że powinieneś przygotować się na spotkanie z ojcem.

Z ojcem, któremu zawdzięczał wszystko, a w pierwszej kolejności szacunek. Miał ochotę napluć staremu draniowi w twarz. Podniósł się ze stęknieniem i zacisnął powieki, oślepiiony blaskiem słońca.

– Twoim obowiązkiem jest stanąć przed nim i zdać mu sprawozdanie ze wszystkiego, co się wydarzyło. – W słowach

Głosu Wieku Obfitości pojawiła się surowość, jakby był nauczycielem przemawiającym do niesfornego ucznia. – A przynajmniej wyjaśnić mu śmierć Głosu Przewodnika i Dłoni Żara.

– Obaj podjęli walkę, której wygrać nie mogli – mruknął Lotka. – Co tu więcej rzec?

Głos Wiek Obfitości westchnął i zwrócił się do strażników i tragarzy:

– Dłoń Lotka nie będzie już dzisiaj niesiony. Dopilnujcie, żeby napił się herbaty przed dotarciem do miasta. Ja załatwię mu kąpiel w gospodzie przed spotkaniem z Głosem Złotą Ziębą. Nie wolno mu tykać alkoholu ani jedzenia wykwintniejszego od zwykłego ryżu. Zrozumiano?

Strażnicy zasalutowali powoli, zaskoczeni jego słowami.

– To jakaś kara? – zadrwił Lotka.

– Nie, Dłoni Lotko, działamy dla twojego dobra – odparł Głos.

– Wyłaż. Nie trzeźwiejesz od trzech tygodni. Pora ożywić krążenie, bo od stagnacji gnije umysł.

Co byłoby łatwiejsze? – zapytał zamroczony, obolały umysł Lotki. Opór czy uległość? Opór z pewnością oznaczał upokorzenie, a może nawet śmierć, choć Lotka był jedynym żyjącym synem gubernatora Nayenu. Nie sądził, by kiedykolwiek trafił pod katowski miecz, bez względu na to, co powiedział w Fortecy Zachodzącego Słońca, chyba że sam złapałby za broń przeciwko imperium.

Nie. Prawdziwą trudnością w jego przypadku było teraz zagubienie. Nie mógł już liczyć na łatwą przyszłość i w zasadzie mógł zapomnieć o herbacie, książkach i wciągających rozmowach. W najbliższym czasie miał odpowiedzieć za wszystko, co wydarzyło się od czasu walk o Twierdzę Szarego Mrozu, i powrócić do roli Dłoni cesarza albo wytyczyć dla siebie własną ścieżkę przez świat. Mógł też zostać pijakiem, ciężarem dla swej rodziny, żywym nagrobkiem własnej przyszłości.

Głos Wiek Obfitości wsunął głowę przez wejście do palankinu.

– Nie zmuszaj mnie, żebym kazał tym ludziom wywlec cię na zewnątrz.

Lotka burknął, ale napiął mięśnie i podjął decyzję.

Trzy tygodnie odrętwienia i gnuśności odebrały mu wszelkie siły. Wilga zawsze cenił sobie ruch i aktywność – spędzał całe dnie w siodle lub szkolił się w posługiwaniu mieczem czy łukiem. Lotka nie miał tyle zapału do ćwiczeń i poprzestawał na tym, co było absolutnie konieczne. Snuł się teraz powoli na tyłach kolumny, otoczony nieznanymi sobie strażnikami, którzy rozdrażnienie mieli wypisane na twarzach. Uświadomił sobie, że mógł poprosić o konia. Gdyby zrobił to teraz, pogłębiłby tylko swoje upokorzenie. Cieszył się przynajmniej z tego, że pot na skórze i bukłak z letnią herbatą pomogły mu wytrzeźwieć. Skoro musiał stanąć przed ojcem, wolał mieć prostą sylwetkę i czyste spojrzenie.

W obrębie sieneńskiego kanonu krążyły całe setki opowieści o tchórzliwych żonach, które rzucały się do wody bądź wieszały na jedwabnych szalach z powodu nagłego niepowodzenia lub rozpacz po śmierci ukochanego syna. Inne opowiadały o dziewczynach, które na wieść o korzystnym dla rodziny rychłym ślubie z żyjącym daleko i nigdy niewidzianym sędzią odbierały sobie w proteście życie.

Lotka myślał o tych dziewczynach i małżeństwach, których nie pragnęły, i nie potrafił doszukać się tchórzostwa w ich działaniach. Samobójstwo było sposobem na odrzucenie okrutnych poniżeń tego świata i wyrażeniem niezgody na upokarzającą ścieżkę, do której zmusili cię inni. Odbierając sobie życie, człowiek przejmował kontrolę nad sobą w najważniejszym momencie.

Gdyby miał odebrać sobie życie, chciał, by przynajmniej ojciec znał przyczyny tej decyzji.

Chciał też poczuć posmak sprawiedliwości. Chciał ujrzeć, jak obmyślony przez niego brutalny plan dochodzi do skutku. Wszak każda śmierć, do której doprowadził, powinna mieć jakieś znaczenie.

Chciał dożyć chwili, gdy okaleczone ciało Wen Olchy zawisnie nad bramami miasta. Wszak gdyby nie on, nie doszłoby do tego dramatu.

Potem zaś, gdy Lotce nie pozostanie już nic, dla czego mógłby żyć, będzie pił i popadał w coraz to większe odrętwienie.



Po kąpieli i wypiciu imbryków czarnej herbaty Lotka usiadł w korytarzu przed salą audiencyjną ojca. Miał na sobie szatę z żółtego jedwabiu obszytą białymi piórami. Jej miękkość irytowała go, podobnie jak muzyka niewidocznego flecisty dobiegająca z ogrodu. Włosy, pracowicie rozczesane przez jednego ze służących Głosu Wieku Obfitości, spływały na jego pierś jak czarne wodospady. Lotka ułożył dłoń na kolanie i przyglądał się migotliwym liniom tetragramu.

Zastanawiał się, czy gdy wytrzeźwieje, spłucze z siebie kurz oraz popiół traktu i na nowo poczuje delikatny dotyk przepychu, jego gniew zacznie słabnąć. Tymczasem gniew ten płonął dalej, choć inaczej niż wcześniej. Wydawał się słabszy, ale mimo wszystko płonął z wielką intensywnością.

Nie powinni byli zmuszać go do patrzenia, jak żołnierze rozszczepiają głowy niewinnym ludziom, i do słuchania krzyków ginących dzieci. Nie powinni uświadamiać mu, że wszystkie frykasy, jakimi go karmiono, każdy skrawek noszonego przezeń jedwabiu i wszelkie znane mu wygody pojawiły się dzięki rzezi. Bo jak inaczej wyjaśnić swobodę,

z jaką Głos Wiek Obfitości wydał rozkaz, i skwapliwość, z jaką Zhu i Huo go wykonali?

Doszedł do wniosku, że w zasadzie wiedział to wszystko już na długo przed egzaminami, ale pojął dopiero po tym, jak ujrzał takie okrucieństwa na własne oczy. Żaden tekst, nawet doskonale skomponowany i zaopatrzony w odpowiednią ilość przykładów, nie mógł oddać tego, jak surowa jest rzeczywistość.

Oprawione w mosiądz podwójne drzwi skrzypnęły i rozchyliły się, by przepuścić jedną osobę. Półmrok korytarza przeciął strumień blasku wiosennego słońca. Przybyszem był kapitan Huo, który miał na sobie błękitną szatę, oznakę swojej rangi, oraz wypolerowaną łuskową zbroję. W ręku trzymał hełm z pawim piórem, migoczącym w blasku słońca. Ogolony i dostatnio odziany, wydawał się całkowicie innym człowiekiem niż ten, którego Lotka poznał i z którym się swego czasu zmagał.

Czyżby Lotka sam nie był już do takiej transformacji zdolny?

Kapitan Huo usiadł naprzeciwko niego w szerokim korytarzu i wbił wzrok w podłogę.

– Ciekawe – powiedział Lotka, próbując przestawić umysł na wpojone mu dawno meandry imperialnej polityki. – Wygląda na to, że cesarz nie uznał za stosowne, żeby wszystko należycie wyjaśnić mojemu ojcu. Lub też że ojciec ma pytania wymagające udzielenia odpowiedzi w obecności dwóch świadków. Do zdarzeń, w których brałem udział, doszło za jego rządów i choć sam nie miał z nimi wiele wspólnego, jego ludzie zapewne będą mieli mnóstwo pytań. Będzie potrzebował szczegółów, żeby ustalić i rozpowszechnić oficjalną wersję wydarzeń.

Kapitan zmarszczył brwi.

– Skoro obaj tu jesteśmy – ciągnął Lotka – ojciec będzie próbował poznać prawdę o tym, co się stało między Twierdzą

Szarego Mrozu i Fortecą Zachodzącego Słońca. Co masz mu zamiar powiedzieć?

Na twarzy oficera wciąż widać było zaskoczenie.

– Nie powinniśmy o tym rozmawiać – rzekł.

Lotka wzruszył ramionami.

– Nie powinniśmy byli robić wielu rzeczy. Jednak ja mam zamiar przedstawić cię jako kogoś na kształt bohatera. Przeciwwstawiałeś mi się, gdy uznałem, że to konieczne, choć to ja miałem rację, bo wypełniałem rozkazy cesarza. Oczywiście nie mogłeś tego zweryfikować, a przyznaję, że w istocie zachowywałem się, jakbym oszalał. O mało nie doszło między nami do walki, choć żadnego z nas nie można za to winić. Ciekawa opowieść, prawda?

Opowieść wyjaśniała tyle, ile zdaniem Lotki powinna. Gdyby życie było złożonym pytaniem zadawanym na imperialnym egzaminie, miałoby konkretną, choć niełatwą odpowiedź. Lotka zresztą ją znał, choć wydawała mu się przerażająca. Trzymał się więc nadziei, że odpowiedź wystarczy. W przeciwnym razie mógł znów osunąć się w kotłujący się, bulgoczący mrok nienawiści jak w palankinie.

Huo powoli pokiwał głową.

– W istocie ciekawa opowieść, Dłoni Lotko.

Lotka pochylił się do przodu.

– A chciałbyś sam opowiedzieć podobną?

Nim kapitan zdołał odpowiedzieć, wewnątrz drzwi otworzyły się i na progu stanął młody zarządca w żółtej liberii Głosu. Złożył im głęboki pokłon i gestem dał znać Lotce, by podążył za nim.

Na kolumnach z pni cedrów płonęły lampy olejne, które wypełniały salę jasnym światłem, a jej obrzeża migotliwymi cieniami. Uwagę Lotki w całości zaprzętnął przetykany srebrną nicią dywan, który ciągnął się po wyłożonej kafelkami podłodze aż po podwyższenie, na którym zasiadał jego ojciec. Głos Złota

Zięba otoczony był obrazami odpowiadającymi porze roku – przedstawiały kwitnące orchidee nad spienionymi strumieniami i kolibry uwijające się między kwiatami. Podłokietniki jego tronu oplatały dwa węzowe smoki, a nad głową Głosu zawieszono płachtę czerwonego jedwabiu z wyszytym złotą nicią cesarskim tetragramem.

Na podłodze leżały trzy czerwone sznury. Lotka uklonił się pokornie przy pierwszym i drugim, a przy trzecim przytknął czoło do dywanu i zamarł w oczekiwaniu.

– Przebyłeś długą drogę w bardzo krótkim czasie, synu. – Głos ojca poniósł się echem po sali, w której znajdowali się już tylko we dwóch, bo zarządca skrył się w jakimś niewidocznym pomieszczeniu. – Co więcej, choć jeszcze niedawno byłeś uczniem, nagle musiałeś objąć dowództwo. Z pewnością było to dla ciebie trudne doświadczenie.

– Dziękuję ci za twoją wyrozumiałość, ojcze – odparł Lotka i zamilkł. Nie miał pojęcia, jak powinien zareagować, gdy ojciec przejdzie z fazy formalności i chłodnej uprzejmości do otwartego oskarżenia. Może powinien zapić się na śmierć, zamiast bezustannie przeżywać koszmar spod Fortecy Zachodzącego Słońca? A może powinien posłużyć się cynizmem i spróbować racjonalnie wyjaśnić poczucie winy i nienawiść do siebie samego? Przełknął ślinę, czując suchość w ustach.

– Mam nadzieję, że dobrze wypełniłem swoje obowiązki.

W odpowiedzi Lotka usłyszał szelest jedwabiu i kroki na marmurowych stopniach. Nie padł na niego cień, ale czuł nad sobą obecność ojca. Nie przystawało to do żadnego znanego mu dworskiego kodeksu.

– Powstań, Dłoni Lotko.

Młodzieniec uniósł głowę, nie spodziewając się niczego. Czuł się jak moneta, która wiruje na krawędzi i zaraz się przewróci. Ojciec stał nad nim, trzymając wykonany z czarnego drzewa

żelaznego futerał na zwój. Widniała na nim pieczęć ze złotego wosku, na którym odcisnięto tetragram cesarza.

– To wiadomość od samego cesarza – powiedział Głos Złota Zięba.

Światło odbiło się od pieczęci. Lotka wpatrywał się w nią, niczego nie rozumiejąc.

– Że... że co? Dlaczego on... – Przełknął ślinę, odkaszlnął i wreszcie znalazł w sobie szacunek oraz odpowiednie słowa wymagane przez zasady stosownego zachowania. – Jestem zaszczycony, choć nie miałem świadomości, że cesarz porozumiewa się w tej formie. Mógł przecież po prostu przesłać wiadomość przez ciebie czy przez Głos Wiek Obfitości, prawda?

– Mógł. – W głosie ojca pojawiło się napięcie.

Lotka próbował rozgryźć te emocje. Chciał dociec, czy ojciec usiłował zamaskować dumę, czy może wzgardę, ale całkowicie zaskoczyła go nierealność tej chwili.

– A mimo to wybrał inne rozwiązanie. Treść tej wiadomości jest przeznaczona tylko dla ciebie, mój synu.

Lotka drżącymi dłońmi ujął zwój i złamał pieczęć. Rozwijany papier zaszeleścił cicho. Na wiadomość składała się garść logogramów, starannie wypisanych niemalże czarnym atramentem, który na końcach przechodził w czerwień.

*Czy nie lepiej piąć się w stronę szczytu góry,
niż zadowalać się życiem u stóp wzgórza?
Ci, którzy wiernie służą, zostaną nagrodzeni.
Wkrótce porozmawiamy, Dłoni Lotko,
twarzą w twarz.*

Lotka przeczytał wiadomość dwukrotnie i analizował każdy logogram, próbując dotrzeć do ukrytego w nim znaczenia. Zaskoczył go cytat z Wędrującego Wąskim Traktem. Czyżby było to upomnienie? A może zachęta? Czy cesarz chciał dać mu do

rozumienia, że właśnie się pnie, czy może zwrócić uwagę na to, że przestał? Od bitwy z Olchą w zasadzie głównie próbował przeżyć.

– Wiadomość przywieziono kliprem, który wyprzedził flotę zmierzającą tu z kontynentu – rzekł Głos Złota Zięba. – Osobiście wręczył mi ją jeden z Pięści cesarza. Powiedział mi również, że masz wsiąść na jego statek i dołączyć do floty oraz podróżującego z nią imperatora. Wyruszasz jutro.

Jutro? Ale przecież dopiero co przybył na miejsce. Był pewien, że jego podróż dobiegła końca.

Czy było coś, co cesarz chciałby omówić tylko z nim i zataić przed jego ojcem?

– Co to oznacza twoim zdaniem? – zastanawiał się na głos Lotka.

Ojciec zrobił krok w tył i odwrócił wzrok.

– Pieczęć była nienaruszona, Lotko. Tylko ty znasz treść tego listu.

– Ale ty jesteś moim ojcem. – Lotka podał mu list.

Głos Złota Zięba cofnął się.

– Nie dla mnie ta informacja. Gdybym miał się tego dowiedzieć, cesarz sam by mi powiedział.

– To żadna informacja, a jedynie aforyzm połączony z zaproszeniem! To... – Lotka zamachał arkuszem, słuchając jego szelestu. Ojciec wybałuszył oczy z przerażenia. Lotka próbował nad sobą zapanować, ale serce biło mu coraz mocniej, a jego ręce zaczęły drżeć i nagle zacisnął dłoń, miażdżąc starannie wykaligrafowaną wiadomość.

– Nie! – krzyknął jego ojciec i rzucił się, by wyrwać mu kartkę. – Przecież wiadomość napisana przez samego cesarza to taka cenna rzecz! Jego pismo to dar! Nie wolno ci obchodzić się z nią tak lekceważąco!

Lotka czuł, jak kipi w nim furia.

– Czy na to, co wydarzyło się pod Fortecą Zachodzącego Słońca, również zareagowałeś z takim oburzeniem? – Bez skrepowania wyrzucał z siebie myśl za myślą. Zacisnął dłoń na liście z taką siłą, że czuł, jak skraj arkusza wbija mu się w skórę. – Jesteś gotów bronić kawałka papieru, a tymczasem Głos Wiek Obfitości bez wahania skazał setki ludzi na śmierć!

– Tak chciał cesarz. – Głos Złota Zięba wyprostował się i musnął dłonią długie kosmyki swojej brody. – A ty właśnie znieważylesz jego słowa.

– Rozumiem, czym jest hierarchia i obowiązek do wypełnienia – powiedział Lotka. – Ale ty nie widziałeś jego twarzy, ojczu. Patrzył na dzieci rozszarpywane na strzępy! Na ich matki i ojców nadzieiwanych na ostrza! Na niewinnych ludzi mordowanych jak zwierzęta! Patrzył na to i ani nie drgnął.

– To barbarzyński, buntowniczy lud, Lotko. Byłeś pod Twierdzą Szarego Mrozu. Powinieneś...

– Ci ludzie z miasta wcale nie byli buntownikami! – wyrzucił z siebie, a słowa przetoczyły się po pomieszczeniu jak nabierająca siły burza.

Żaden Głos cesarza nie mógł znieść takiej niesubordynacji, nawet jeśli jej autorem był jego ostatni żyjący syn, ale mimo to Lotka wciąż mówił. Moneta w końcu upadła, a upamiętnione na niej oblicze było naznaczone gniewem.

– Może i byli wśród nich tacy, którzy sympatyzowali z wrogiem, udzielali mu schronienia czy szpiegowali nasze kolumny, żeby przekazać informacje buntownikom, ale na pewno nie wszyscy byli winni, ojczu. Nie złapali za broń przeciwko nam. Nie wyczarowywali ognia. To byli nasi ludzie. Nasi poddani. Nasi młodsi bracia i siostry w wielkiej rodzinie imperium! Dzieci cesarza! Tymczasem Wiek Obfitości wyróżnął ich jak świnie!

Oblicze Głosu Złotej Zięby pociemniało jak chmura burzowa.

– Jestem Głosem i będziesz się do mnie zwracał moim tytułem, Dłoni Lotko.

Zaskoczony Lotka wbił w niego spojrzenie.

– Ja ci mówię o koszmarach tego świata, a ty wytykasz mi złe zachowanie?

– Nie ma moralności ważniejszej od woli cesarza.

Słowa te okazały się paliwem, które roznieciło gniew Lotki.

– Musi jakaś być! – ryknął i nie zastanawiając się wcale, przywołał błyskawicę. Ta ożyła w jego dłoni, a potem uderzyła w podłogę, roztrzaskując i topiąc płytki, w których powstała czarna, cuchnąca szrama. Papier, który Lotka trzymał w dłoni, zamienił się w popiół, rozwiewający się w powietrzu.

Lotka pomyślał o Dłoni Wspaniałomyślności i jego szacie, nadpalonej podczas podobnego ataku. Zrobił to, co uznał za stosowne. Doktryna zabraniała twierdzić, iż cesarz popełnił błąd, ale zdaniem Lotki imperator powinien był odwiedzić w nocy Dłoń Wspaniałomyślność i wyjaśnić mu swój zamysł. Dlaczego tego nie zrobił? Czyżby kierowała nim gruboskórna obojętność, zwykłe lenistwo czy zaniedbanie?

Bez względu na powód bądź jego brak cesarz, choć wydawało się to niemożliwością, popełnił błąd. A może więc miał takich pomyłek na sumieniu znacznie więcej? Może popełnił ją w Fortecy Zachodzącego Słońca?

– Musi istnieć wyższa moralność – powtórzył Lotka. Jego głos przypominał szept, który rozległ się w ciszy po uderzeniu pioruna. – Czy w przeciwnym razie Wędrujący Wąskim Traktem napisałby tyle o obowiązkach cesarza wobec jego ludu? Musi istnieć coś nad nim! Coś większego! Jakiś obowiązek, który tu pogwałcił, ojczy. Nie widziałeś tego, ale muszę wierzyć w to, że gdybyś ujrzał czyn Wieku Obfitości, zgodziłbyś się ze mną.

Głos Złota Zięba wsunął dłonie do rękawów.

– Przemoc, która została zastosowana pod Fortecą Zachodzącego Słońca, była odpowiedzią na czyny Wena Olchy w Twierdzy Szarego Mrozu.

– To nie to samo – warknął Lotka.

– A muszę ci przypominać, że to był twój plan? To właśnie dał mi cesarz do zrozumienia.

– Ja jedynie chciałem zwabić tu Olchę. Nie zależy mi na niczym oprócz jego śmierci. Chcę odwetu za Wilgę. Wszyscy inni ludzie...

Lotka potrząsnął głową i zamachał bezradnie rękami, na co jego ojciec drgnął. Młodzieniec odebrał ten odruch z dziwną satysfakcją – starzec się go bał.

– Ich śmierć niczemu nie służyła – ciągnął. – Jeśli wytępisz Nayeńczyków, powstanie wybuchnie gdzieś indziej. Buntownicy są jak chwasty, które rozsiewają się po ogrodzie. Olcha musi zostać zniszczony, zgadza się, bo jego moc to zagrożenie egzystencjalne. Nie wykluczam, że jest rywalem dla samego cesarza. Ale ci cywile z miasta? Nawet ci bandyci z gór? Czy naprawdę warto dla nich nurzać się w rzezi i popadać w skrajne łajdactwo? Czy Wędrujący Wąskim Traktem nie napisał, że mamy obowiązki wobec mieszkańców imperium, nie tylko tych z centrum, ale również tych, którzy pochodzą z prowincji. Mamy ich chronić, mamy ich prowadzić i mamy dbać o ich dobrobyt! Czy Dłoń cesarza powinien uczestniczyć w rzezi swoich braci i sióstr?

Na obliczu ojca od dawna zastygła obojętna surowość i Lotka wiedział, że przemawiając do niego, niczego nie osiągnie. Równie dobrze mógłby zacząć wrzeszczeć na strzaskane płytki. Lotka mógł jeszcze wygłosić tysiące słów – mógł sięgnąć po cytaty z mędrców lub formułować kolejne argumenty, w czym go szkolono, by służył imperium – ale zdusił je wszystkie. Nie było sensu strzępić języka. Nie był w stanie przekonać ojca.

Jednakże jego wybuch być może miał sens. Dzięki temu, że wyrzucił z siebie prawdę, płomień przygasł mu w piersi, a poczucie winy stało się mniej dotkliwe.

– Mógłbym cię zabić tu i teraz. – Głos ojca wydawał się drzeć.
– Za to, że zagroziłeś Głosowi, a potem za te zdradzieckie słowa.

Lotka mogłaby się pogodzić z tym, że usłyszał groźbę ze strony Głosu, ale to, że owym Głosem był jego ojciec, całkowicie zmieniało sprawę.

– Mam jutro audiencję u cesarza – odparł. – Gdyby chciałem, żebym zginął, z pewnością by ci powiedział. Zabijanie mnie wbrew jego woli kwalifikuje się jako zdrada.

Przez chwilę zastanawiał się, czy ojciec sięgnie po moc transmisji i poprosi o zgodę, by spalić go na popiół, ale nie odczuł oddziaływania magii. Czuł na sobie jedynie jego ciężkie, nienawistne spojrzenie.

– Czy to wszystko, Wasza Eminencjo? – spytał.

Ojciec skinął głową, a potem odwrócił się, wszedł na podwyższenie i zasiadł sztywno na tronie. Lotka uklonił się jeszcze raz. Nie był pewien, dlaczego to uczynił. Być może powodowała nim siła przyzwyczajenia, choć wydawało się to mało prawdopodobne.

Z pewnością musiało być w tym coś jeszcze. Gdy cofał się od tronu, zrozumiał wszystko. Wypełnił rytuał i zrobił to, co mu kazano, ponieważ miał rację. Gdyby świat był jedynie trudnym pytaniem czy intelektualną zagadką, a imperialny kanon stanowiłby klucz do jej rozwiązania, posłużyłby się nim, by dojść do odpowiedzi. I odkryłby, że jego ojciec, a z nim Głos Wiek Obfitości i sam cesarz doszli do błędnych wniosków. Mogłoby więc teraz stworzyć podstawy własnej moralności.

Młody zarządca wyprowadził go z sali audiencyjnej na korytarz. Gdy drzwi stały otworem, zauważył, że kapitan Huo nadal tam siedzi. Lotka pochylił głowę.

– Wybacz, kapitanie – powiedział po prostu. – Historia rozsypała się w trakcie opowiadania.

Bitwa o Wschodnią Fortecę

Głupi Kundel

Wschodnia Forteca ciągnęła się wzdłuż wybrzeża Nayenu, a za nią morze mieniło się w blasku budzącego się świtu. Staliśmy na klifie i spoglądaliśmy na zbocza niewysokich wzgórz pokrytych polami uprawnymi, które sięgały murów miasta, wznosząc się i opadając niczym grzbiet smoka. Gdybym się zmienił w jastrzębia i spojrzał na miasto jego oczami, dostrzegłbym pochodnie straży na wewnętrznych murach, dzielących dzielnice i odgradzających posiadłość gubernatora w samym centrum, gdzie spędziłem ostatnie dni mojej naiwnej młodości.

Przyjrzałem się przystani w poszukiwaniu proporców i flag, które mogłyby zdradzić obecność floty cesarza. Dostrzegłem maszty kilku jednostek przy nabrzeżu i dalej na wodach zatoki, ale nie było ich więcej niż zwykle. Zdążyliśmy więc na czas. Wciąż mieliśmy szansę na zdobycie miasta, gdy cesarz będzie na morzu, co postawi go w gorszej sytuacji. Sycząca Kocica, moi przybocznicy oraz ja będziemy mieli szansę uderzyć na niego w samym środku zamieszania wywołanego upadkiem miasta i utratą nayeńskich Głosów.

Prowadziło mnie to do wniosku, którego próbowałem uniknąć – w pewnym momencie bitwy musiałem się zmierzyć z Głosem Złotą Ziębą oraz z Lotką. Myśl obudziła ból w moim sercu. Przecież oni byli rodziną Wilgi i walka z nimi wydawała się zdradą, choć po tym, co Lotka zrobił w Fortecy Zachodzącego Słońca, wiedziałem, że zasłużył na sprawiedliwość. Moje osobiste odczucia musiały odejść na bok.

– Głupi Kundel jak zwykle pogrążony w myślach – powiedziała Sycząca Kocica, stając obok mnie na skraju klifu. – Oczywiście nietrudno jest dotrzeć na dno płytkiej kałuży.

Zmarszczyłem brwi, patrząc na nią. Choć sam zrezygnowałem z codziennych szat i założyłem prostą skórzaną zbroję, starucha nadal nosiła swoje postrzępione, obszerne futra.

– Kpij, jeśli chcesz. Każde z nas radzi sobie z niepewnością i lękiem na własny sposób, Sycząca Kocico.

Parsknęła śmiechem. Siedzący u jej stóp Okara zaszczekał w odpowiedzi, a potem trącił łbem moją dłoń. Podrapałem go za uchem.

– Mam dziwne wrażenie, że wybrałeś dla siebie najlepszych adeptów – powiedziała. – Czysta Rzeka i Biegnąca Sarna są najsilniejsi z całej dwunastki, a do tego mają największe doświadczenie. Choć wydaje mi się, że częściowa kompetencja Podartego Liścia równoważy układ sił.

– Nie tak dawno temu narzekałaś, że nie potrzebujesz osłony – stwierdziłem. – Teraz twierdzisz, że masz jej za mało. O co ci właściwie chodzi?

Wzruszyła ramionami, przez co czaszki w jej włosach zakołysały się, jakby przytakiwały, że i one nie mają pewności.

– Mam złe przeczucie, Kundlu – powiedziała. – Kości nigdy nie chciały, żebym ci pomagała. Mówiły tylko, że powinnam wrócić do jaskini. Zeszłej nocy miałam wrażenie, że wrzeszczą.

Przeszył mnie dreszcz.

– Co jest dla ciebie ważniejsze? Szczeliny w starych kościach czy własne przekonanie o tym, co należy zrobić? – spytałem.

– Naphena zadała kiedyś podobne pytanie. Na krótko przed tym, jak ją zabito – odpowiedziała.

– Nie jestem Napheną. Bogowie są po mojej stronie.

Starucha zerknęła na Okarę, który przechylił łeb i zamrugał, patrząc na nią.

– Jesteś tego pewien?

– Mamy tego samego wroga – odparłem. – Póki co to musi wystarczyć.

Sycząca Kocica wydeła usta.

– Pamiętam, co mi obiecałeś, Kundlu. Jednak istnieje linia, której nie powinieneś przekraczać, bez względu na to, jak mocno wierzysz w przyjaźń Okary. Unikaj tego, jeśli możesz.

– Imperium musi się skończyć, Sycząca Kocico, jeśli reszta świata ma jeszcze zachować jakąś nadzieję.

Jej jedyną odpowiedzią było gorzkie prychnięcie.

– Bez twojej pomocy nie zdołam tego uniknąć.

– Wiem, niech cię szlag. Przecież tu jestem, prawda? Daj mi więc znać, kiedy bierzemy się do roboty! – warknęła i odeszła do lasu, trącając po drodze doktora Sho.

– Udowadnia, że jej miano nie wzięło się znikąd, co? – zauważył doktor.

– Nie sądziłem, że będzie się denerwować przed bitwą.

– Nie wydaje mi się, żeby się bała o siebie. – Przez moment doktor Sho sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, a potem wzruszył ramionami. – Ale któż może to wiedzieć? Ja sam nie mam szczególnej ochoty na to, co ma nadejść, obojętnie, kto zwycięży.

– Przykro mi – powiedziałem. – Wiem, co sądzisz na temat przemocy.

Lekarz machnął lekceważąco ręką.

– Gdybym nie uznał, że to sprawa godna zaangażowania, nie włókłbym się za wami. Przecież twój wuj mi nie płaci.

– Może jeszcze nie. – Uśmiechnąłem się. – Bo któż nie chciałby mieć przyszłego Króla Słońca wśród swoich dłużników?

– Miewałem już wśród dłużników potężnych ludzi. Gdy przestaną cię potrzebować, przestaje im zależeć na regulowaniu długów.

Podrapałem raz jeszcze Okarę za uchem, a potem popchnąłem go delikatnie w kierunku doktora Sho.

– Ja jestem ci winien bardzo dużo i mam zamiar spłacić swój dług. Ale póki co muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

Pies spojrzał na mnie, zaskoczony przez chwilę, a potem poczłapał do doktora Sho, by obwąchać jego dłoń.

– Miej na niego oko. Coraz bardziej się do niego przyzwyczajam, a przynajmniej w chwilach, gdy nie włada nim bóg.

– Przecież on jest moim psem w tym samym stopniu, co twoim. – Doktor Sho uklęknął i pogłaskał Okarę. – Będę go trzymał tuż przy sobie. Nie musisz się martwić.

Okara zaskomlał i polizał policzek doktora Sho. Przynajmniej ci dwaj będą bezpieczni. Jeśli nasze planowanie i zgromadzone siły zawiodą, a powstanie znów rozbije się o mury Wschodniej Fortecy – lub jeśli nie zdołamy pokonać cesarza, czego najwyraźniej bała się Sycząca Kocica – doktor Sho wymknie się, zaszyje w jakimś odległym zakątku świata i powróci do roli wędrownego znachora w towarzystwie Okary. Podejrzywałem, że znajdzie jakiś sposób, by przeżyć cały świat.

Nawet jeśli poniesiemy klęskę, coś dobrego przetrwa. Ta myśl wyciszyła nieco mój strach i dodała mi nadziei.

– Znajdę cię po bitwie i pomogę ci z rannymi – powiedziałem. – Teraz odszukam moją drużynę i przygotujemy się do walki.

Sho pokiwał głową, a ja odwróciłem się, by odejść. Kątem oka ujrzałem, jak robi krok ku mnie, wahał się, jakby chciał wygłosić jakieś ostrzeżenie, ale rozmyślił się. Klepnął psa w bok i poprowadził go ku głównej kolumnie, gdzie zebrał własną drużynę zielarzy i szamanek, najlepszych uzdrowicieli, jakich powstanie mogło zgromadzić.

Patrzyłem, jak odchodzi, i zastanawiałem się, co takiego niemalże mi powiedział. Może nie miało być to ostrzeżenie, ale raczej życzenie szczęścia, które aż za bardzo wyglądało jak pożegnanie. Rozumiałem ten impuls. Śmierć Wilgi nadal mnie prześladowała, a gdy szedłem z powrotem do swojej drużyny, duszony od dawna strach zaczął znów dochodzić do głosu.

Biegająca Sarna była teraz dla mnie kimś ważnym. Czysta Rzeka również. I nawet Podarty Liść pomimo popisów głupoty przez ostatnie miesiące stał się istotnym elementem mojego życia. Resztę członków drużyny również nauczyłem się cenić, choć każdego na swój sposób. Niektórzy z nich mogli nie dożyć nawet południa. Skoro już prześladowało mnie poczucie winy z powodu śmierci Wilgi, jak bardzo wpłynie na mnie śmierć tych ludzi, towarzyszy, przyjaciół czy kochanki – nawet jeśli tylko na jedną noc – ze względu na wydany przeze mnie rozkaz?

Każdy wybór wpływał na kształt struktury świata, co było ciężkim brzemieniem nawet wtedy, gdy podobne wybory dotyczyły jedynie własnego życia i przemierzanych ścieżek. Jak można było prowadzić życie, w którym wybory wpływały na losy tak wielu innych ludzi? Dlaczego ktoś taki jak Wredny Lis, Wściekła Wilczyca czy cesarz, który przekształcał, niszczył, budował i definiował całe pokolenia, mógł chcieć wziąć na swoje barki tak ogromną odpowiedzialność?

Przez całe moje życie pragnąłem wolności. Szukając jej, zaplątałem się w biurokrację, która oferowała jedynie rozmaite sposoby ugięcia się przed wolą imperium i stawania się jej

narzędziem. Porzuciłem więc wolność, którą znalazłem u boku Syczącej Kocicy, by spłacić swój dług wobec Nayenu i babci. Postanowiłem wesprzeć walczących przeciwko imperium, które na swój osobliwy sposób pomagałem zbudować. Wiedziałem jednak, że gdy spłacę wszystkie długi, podążę za przykładem Syczącej Kocicy.

Zastanawiałem się, czy istniały inne miejsca takie jak jej jaskinia, gdzie wiedźmy i czarownicy z dawnych czasów pozostawili okruchy swojej wiedzy. Być może największe sekrety, których szukałem, ujęto w jakichś malowidłach w głębi góry czy wyryto w kamieniu w podziemiach dawno zapomnianych miast.

Postanowiłem, że gdy wojna dobiegnie końca i zagrożenie stwarzane przez Doktrynę zniknie, udam się na poszukiwanie tych sekretów. Być może zdołam przekonać Biegnącą Sarnę lub Czystą Rzekę, by mi towarzyszyli. A może Sycząca Kocica się zgodzi? Wiedziałem, że wyrwanie się z sieci zobowiązań będzie nie lada wyzwaniem, ale chciałem wreszcie zacząć szukać wiedzy wyłącznie dla zaspokojenia własnej ciekawości. Oto było życie, w którym chciałem odnaleźć pokój.

Był to miły plan, przepełniony nadzieją. Problem w tym, że czekał na mnie po drugiej stronie otchłani, którą przemierzyć mogłem tylko dzięki straszliwej bitwie i pojedynkowi z potężnym przeciwnikiem. Nie mogłem być pewien swojego zwycięstwa. Szczerze powiedziawszy, nigdy nie ułożyłem bardziej naiwnego planu.



Chmury zapłonęły czerwonym blaskiem wschodu słońca, choć na nagie pola między murami Wschodniej Fortecy

i skrajem lasu nadal padały długie cienie świtu. Światło lustrzanych latarni nadal nieprzerwanie przesunęło się po murach i przenikało rzadkie poranne mgły niczym drapieżne, badawcze ślepie. Kulilem się wśród zarośli z Czystą Rzeką, Biegnącą Sarną i Podartym Liściem. Nie odrywałem wzroku od murów i przyglądałem się powolnej paradzie pochodni, czekając na znak informujący, że agenci Wścieklej Wilczycy rozpoczęli sianie zamętu w mieście. Podarty Liść dopinał paski swojej bitewnej uprzęży, hałasując i pobrzękując bronią. On i Biegnąca Sarna nadal nosili miecze. Choć mieli walczyć magią i moim zdaniem zwykła broń na wiele im się nie przydawała, to sądziłem, że stare przyzwyczajenie będzie im dodawać otuchy.

Wyobraziłem sobie Wilgę obok mnie, podeksytowanego śmiałym planem ataku, pogrążonego w cichym napięciu i czekającego na napływ adrenaliny, z chwilą gdy atak się rozpocznie. On powinien tu być. Ha, lecz przecież gdyby nie zginął, ja nigdy bym się tu nie znalazł! Być może zamiast tego razem służylibyśmy na murach Wschodniej Fortecy i bronili miasta przed desperackim atakiem powstańców.

Moją uwagę przykuł jakiś ruch na murach. Kilka pochodni spadło na ziemię, a potem znikło. Jedna z lustrzanych lamp zatrzymała się. Buchnął dym, po czym zamigotał ogień.

W okolicznych zaroślach pojawili się żołnierze z innych oddziałów. Kucali przy ziemi, opatuleni w płaszcze, koce czy strzępy materiału z posłania, trzymając broń blisko przy sobie. Wielu miało tradycyjne amulety ze zwierzęcych kości, ale wszyscy trzymali gałęzie, pęki liści i kępy traw, co z bliska stanowiło kiepski kamuflaż, ale dowódcy liczyli, że w półmroku świtu obserwatorzy z murów nie zostaną zbyt szybko zaalarmowani. Niespodziewanie na polu przed nami zaroilo się od żołnierzy biegnących w kierunku murów. Próbuąc zdążyć przed wschodem słońca, pędzili naprzód i wymijali nieruchomy krąg światła przy zrzuconej lustrzanej latarni.

My nadal czekaliśmy na skraju lasu. Zamiast dołączać do szturmów, mieliśmy zwracać baczną uwagę na strukturę świata i atakować tam, gdzie ktoś sięgał po magię. Czekałem w napięciu na pierwszą błyskawicę, pierwszy zapach płonących ciał. Na śmierć tuzina ludzi w starciu, które sam pomogłem opracować.

Drobne czary wywoływały dreszcze, skurcze czy chłód w płucach, ale wielka magia, która mogłaby zniszczyć całe imperium, pociągnęłaby za sobą o wiele przerażające konsekwencje.

Lecz to wszystko dla większego dobra, wmawiałem sobie. Jak ból po wzięciu silnego leku czy podczas operacji.

Ten świat musiał odcierpieć swoje, by stać się lepszym miejscem.

Ale lepszym dla kogo? – zapytałem się w myślach głosem tak podobnym do głosu Atar, że zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie dotarła do mnie dzięki transmisji. Nie dla tych, którzy ucierpią. Nie dla tych, którzy utoną podczas wielkich zmian.

Jednak myśl należała do mnie. Przebiła się z głębi, gdzie pochowałem ją i do niej podobne po wydarzeniach z Nory.

Wstrzymałem oddech, patrząc na naszych żołnierzy, którzy zmierzali w stronę murów, aż rozległy się nieuniknione okrzyki alarmu. Dobrze wycelowana salwa z kusz mogłaby zdziesiątkować nasz szturm, ale Sieneńczycy byli wstrząśnięci i zszokowani. Ich ostrzał był mało celny, ale pomimo to rozległy się wrzaski bólu, a potem ujrzałem, jak dziesiątki szturmujących padają trupem. Bełty rozbijały czaszki i przeszywały ciała, a trafieni kulili się na ziemi, wyjąc i rżąc w oczekiwaniu na powolną śmierć.

– Zaraz polecą błyskawice – wymamrotałem. – Szykujcie się do przemiany!

Usłyszałem szelesty, gdy moi towarzysze przygotowywali się do akcji, łapiąc mocno swoje kanony. Biegnąca Sarna dotknęła mojego nadgarstka, próbując mnie pokrzepić i oczekując tego samego po mnie.

Zagrzmiał piorun, ale zamiast błyskawicy ujrzeliśmy eksplozję granatów chemicznych, która rozrzuciła kilka poszarpanych ciał. Skrzywiłem się, zastanawiając się jednocześnie, gdzie kryli się moi przybocznicy, którzy towarzyszyli żołnierzom. Przecież wiedzieli, jak bronić innych przed granatami, choć ćwiczyli tylko na szyszkach i kamieniach.

Eksplodował kolejny granat, a oślepiające światło ukazało obrońcom sylwetki naszych ludzi pośród rzedniejącej mgły. Od głównej bramy Wschodniej Fortecy dzieliło ich zaledwie kilkaset kroków, choć ta nadal pozostawała zamknięta. Gdy echo po eksplozji przycichło, poniosło się wycie nieszczęśników, którym udało się przeżyć wybuch.

Zacisnąłem zęby.

– Będziemy musieli otworzyć bramę – powiedziałem. – Jeśli zmienię postać, otwórzcie ją sami!

– Nie wystawi nas to na atak? – spytał Podarty Liść. – Myślałem, że chodzi nam o to, żeby...

– Chodzi nam o to, żeby wygrać – rzuciła Biegnąca Sarna. – Jeśli plan zawiedzie, znajdziemy inny...

Urwała, bo niespodziewanie jedną z dwóch wież flankujących główną bramę rozsadziła potworna eksplozja. Z poszarpanych szczątków budowli buchnął ogień, a chwilę później wielkie dębowe wrota zaczęły się rozchyłać.

Dwie z lustrzanych latarni odwrócono, by skupić światło przed bramą. Napastnicy rzucili się hurmą w stronę wyłomu, lecz biegli teraz po oświetlonym terenie, przez co byli łatwym celem dla kuszników na murach. Przygotowałem się w myślach na widok dziesiątek trupów, ale niespodziewanie moje płuca

wypełnił chłód, a zmierzające ku atakującym bełty odbijały się od niewidzialnej kopuły wirującej nad ich głowami i mknęły w górę pod szalonym kątem.

– Tak! – wykrzyknął Podarty Liść i zerwał się na równe nogi.

Jego radość nie trwała długo. Nagle poczułem falę gorąca i z murów strzeliła błyskawica, która wybiła wielką dziurę w ziemi. Nawet nie spojrzałem, czy ten, który przywołał wiatr, przeżył atak.

– Za mną! – krzyknąłem i zmieniłem postać, po czym wystrzeliłem ku niebu.

Czując skurcze w całym ciele, pomknąłem nad pobojobowiskiem. Moja wola, twarda jak ostrze noża, wbiła się już w strukturę i rzeźbiła ją pierwszymi wybuchami magii bitewnej. Rozległ się grzmot i powietrze przecięła błyskawica jasna jak słońce w południe. Mury miejskie eksplodowały w miejscu, skąd przed chwilą wystrzelił pocisk magiczny wroga. Na miasto spadł grad gruzu i spalonych zwłok.

Zatoczyłem krąg nad rumowiskiem. Czysta Rzeka, Podarty Liść i Biegnąca Sarna pomknęli za mną i zajęli pozycje powyżej. Wystrzelono w moją stronę chmurę strzał – odrzuciłem je wszystkie, przez cały czas przyglądając się zgliszczom. Przecież nadal istniała możliwość, że wrogie czarownik przeżył.

I wtedy wyczułem chłodną emanację przyzywania wiatru. Cisnąłem w odpowiedzi własnym wichrem, który starł się z wrogim. Tak jak kamień wrzucony do wody rozsyła fale na powierzchni stawu, tak zderzenie dwóch sił wstrząsnęło powietrzem. Uderzyłem mocniej skrzydłami, by odzyskać równowagę w powietrzu, i wtedy dostrzegłem wrogiego czarodzieja. Jego popalone, podarte szaty powiewały w otworze strzelniczym. Między jego uniesionymi dłońmi zaświeciła błyskawica. Odruchowo wzniosłem między nami mur ze światła, licząc na to, że Biegnąca Sarna i inni są za mną.

Magia bitewna z łoskotem zwarła się z moją tarczą, pulsując, nabrzmiewając mocą, próbując ją połamać i strzaskać. Na mury za sylwetką mojego przeciwnika opadł jakiś skrzydlaty kształt, który przeobraził się w wysokiego człowieka o rozwichrzonej czuprynie. Poczułem gwałtowny napór magii transmisji i chłód towarzyszący przyzywaniu wiatru. Wrogi czarownik odwrócił głowę na ułamek sekundy przed tym, jak ostrze uformowane z wiatru wbiło mu się w pierś i zrzuciło go z muru.

Czysta Rzeka stał przez moment na skraju muru i patrzył na trupa, obracając w głowie jakąś niewypowiedzianą myśl, a potem znów zmienił postać i zerwał się do lotu, by do nas dołączyć.

Czułem oddziaływanie innych fal mocy. Moi skrzydlaci sojusznicy razili mury ogniem, a żołnierze wdzierali się przez bramy na ulice miasta. W odpowiedzi buchały chłód magicznego wiatru, gorąco błyskawic i duszący ciężar magii wiążącej. Przez chwilę powstrzymywałem się od działań, analizując fale mocy przewalające się nad polem bitwy, aż wyczułem czyjąś wolę z siłą i nieuchronnością opadającego meteorytu przebijającą się przez strukturę. To Sycząca Kocica dołączyła do walki z Dłońmi na murach. Tymczasem w innych miejscach losy bitwy obróciły się na korzyść obrońców. Wyczułem wyraźnie, jak jedna z wiedźm kołujących nad bitwą, przenoszącą się już na ulice miasta, znikła trafiona przez błyskawicę.

Pomknąłem w kierunku centrum tej mocy i odnalazłem je na środku rynku. Czarownik w pozłacanej zbroi stał za szeregiem żołnierzy ze wzniesionymi tarczami oraz włóczniami i ciskał ponad ich głowami błyskawice w tłum powstańców. Naraz uniósł głowę, wyczuwając moją magię. Wykrzywił usta i uskokzył, a potem wyrzucił swoją furię ku niebu. Wyminąłem jego błyskawice, odbijając te, które przemknęły zbyt blisko.

Czysta Rzeka trzymał się nieco z tyłu nade mną, ale Biegnąca Sarna i Podarty Liść oderwali się od formacji i pomknęli w kierunku Dłoni. Serce zabiło mi żywiej, gdy ten skierował ku nim swoją uwagę oraz magię. Podarty Liść zanurkował pod kolejną błyskawicą, a Biegnąca Sarna pomknęła za nim jak zimorodek. Dłoń cofnął się o krok i machnął ręką w stronę dziewczyny, gotów wypalić ją z nieba. Buchnął zapach cynamonu i Biegnąca Sarna niespodziewanie przeistoczyła się w kobietę, nie martwiąc się tym, czy zdoła zwolnić. Jeden z jej mieczy błysnął wyrywany z pochwy. Iskry na końcach palców czarownika zamigotały, gdy wpadła na niego, wbijając mu miecz w pierś. Głowa Sieneńczyka uderzyła o bruk, a dziewczyna wyszarpnęła miecz z jego piersi i rozcięła mu na wszelki wypadek gardło.

Podarty Liść wylądował obok niej. Zaskoczeni żołnierze odwrócili się w ich stronę, ale Podarty Liść zdołał już stworzyć krąg płomieni i pchnąć go na walczących. Stojący najbliżej wrzasnęli z bólu i przerażenia, próbując ugasić ogień ogarniający ich ciała, a pozostali upuścili broń i rzucili się do ucieczki. Większość z nich wpadła prosto pod spragnione krwi miecze i włócznie powstańców, którzy jeszcze chwilę temu kulili się przed falami błyskawic.

Opadłem na bruk, zmieniłem postać na ludzką i pomogłem Biegnącej Sarnie powstać. Masowała swój bok, ale uśmiechała się dziko.

– Dobra robota – powiedziałem.

– Żebyś, cholera, wiedział – dodał zdyszany Podarty Liść.

Czysta Rzeka wylądował obok nas. Z niechęcią przyglądał się rzezi spanikowanych Sieneńczyków.

– Ilu ich jeszcze pozostało, Olcho? O ile dobrze pamiętam, w mieście nie powinno być więcej niż dwanaście Dłoni i jeden Głos, ale po odwrocie Lotki walczymy nie z miastem, ale z każdym sieneńskim żołnierzem i czarownikiem w Nayenie.

Spojrzałem na trupa u stóp Biegnącej Sarny.

– Jeśli zaczniemy polowanie na Głos, powstańcy pozostaną bez naszego wsparcia. Nasi czarownicy i wiedźmy znają się na rzeczy, ale jest ich za mało, a poza tym muszą jeszcze chronić żołnierzy przed bełtami, granatami i wrogą magią.

– Jeśli zabierze nam to zbyt wiele czasu, Sieneńczycy wytną nas i przegramy – powiedział obojętnie Czysta Rzeka. – Ty i Sycząca Kocica jesteście bardzo potężni, ale wątpię, czy dalibyście radę we dwoje utrzymać miasto.

Może by nam się udało, ale wówczas na pewno zostalibyśmy tyranami o wiele brutalniejszymi od samego imperium, gotowymi miażdżyć w zarodku każdy przejaw niepokoju.

– Rozumiem – wymamrotałem i sięgnąłem przez strukturę w kierunku moich wspomnień o Syczącej Kocicy.

„O co chodzi? Trochę jestem zajęta” – odpowiedziała. Poczulem przypływ adrenaliny, nie lęku, ale raczej ekscytacji, a po niej miażdżącą falę. Znad murów na południu buchnął biały ogień, zamieniając je w bulgoczący żużel.

„Mam nowy plan” – powiedziałem. „Polowanie na Głosy. Jeśli odetniemy im kanon, miasto upadnie”.

„Niezła myśl” – odparła. „Ale muszę ci przypomnieć, że cesarz zbliża się z każdą chwilą. Skoro tobie udało się porozumieć z twoją zabatańską przyjaciółką po drugiej stronie globu, Doktryna też tego dokona”.

Wymamrotałem przekleństwo. Starucha miała rację, ale ten plan mógł dać naszym czarownikom chociaż chwilę przewagi, przynajmniej dopóki cesarz nie uświadomi sobie, co się stało, i nie odezwie się bezpośrednio do Dłoni.

„Załatwimy Głosy, a potem bierzemy się za cesarza. To było elementem planu od samego początku”.

Czułem, że Sycząca Kocica zgadza się ze mną niechętnie, a więc na powrót wniknąłem w strukturę. Przeanalizowałem imperialną magię i doszedłem do tego, skąd się bierze. Jednym

z jej źródeł było centrum miasta, drugim ufortyfikowany garnizon blisko portu, a trzecim strażnica na wewnętrznym murze. To tam czekały Głosy, przypuszczalnie z rezerwowymi siłami.

– W porządku – powiedziałem. – Trzymajcie się blisko mnie.

Biegnąca Sarna spojrzała mi w oczy i zmarszczyła brwi, jakby chciała zadać pytanie, ale jedynie skinęła głową, wytarła miecz i wsunęła go do pochwy. Zmieniłem postać, uniosłem się w powietrze i poleciałem w ślad za ciężkim kanałem transmisji ku najbliższemu Głosowi cesarza.

Z wieży strzegącej bramy do innej dzielnicy miasta wystrzeliła migotliwa, ledwie zauważalna strużka światła. Serce zabiło mi szybciej na myśl, iż być może jest to ojciec Wilgi, Głos Złota Zięba, który traktował mnie jak gościa w swoim domu. Od dziecka wpajano mi sieneńskie wartości, wśród których najważniejsze miejsce zajmował nabożny szacunek wobec rodziców, a w szczególności wobec ojca. Wilgę łączyła z Głosem Złotą Ziębą burzliwa relacja, ale żaden Sieneńczyk nie mógłby wybaczyć mordercy własnego ojca.

Zawahałem się i w tymże momencie strukturę rozdarł wirujący podmuch, który zaatakował mnie jednocześnie zimnem i gorącem. Z wieży wystrzeliła błyskawica. Osłoniłem się murem światła w nadziei, że moi przybocznicy szybko się za nią schronią. Całkowicie nią pochłonięty, zapomniałem, że istnieje jeszcze inne, mniej zauważalne niebezpieczeństwo. Magia osłaniająca chroniła przed błyskawicami i ogniem, ale nie przed wiatrem.

Przeszył mnie podmuch przywodzący na myśl deszcz sztyletów. Z dziesiątek skaleczeń buchnęła krew. Z rozciętymi ścięgnami nie mogłem już machać skrzydłami. Zbyt zaskoczony, by choćby wrzasnąć, pomknąłem w dół. Miasto pode mną wirowało, gwiazdy zamieniały się w latarnie i ryczące płomienie bitwy. Ból i szok przyćmiły moje myśli, ale mimo to

zdołałem sięgnąć po magię uzdrowicielską. Po moim ciele natychmiast rozlał się kojący spokój, a rany zaczęły się zasklepiać. Wezwałem wiatr, który pomógł mi skoczyć ku niebu, z powrotem w stronę wieży, gdzie moi przybocznicy – choć już ich nie rozpoznawałem – wili się i unikali błyskawic i języków płomieni.

Zwiększyłem moc niosącego mnie wiatru i biorąc przykład z Biegnącej Sarny, postanowiłem wykorzystać własne ciało jako pocisk. Stworzyłem wokół siebie osłonę ze światła, ognia, błyskawic i wiatru, co całkiem mnie oślepiło, ale nadal mogłem się kierować mocą transmisji.

Głos uderzał we mnie wszystkim, co miał. Poczulem na plecach zimny dreszcz, gdy w rozpaczliwym odruchu stworzył tarczę. Pękła jednak z trzaskiem w kontakcie ze mną – zerwała co prawda spowijające mnie płomienie, dzięki czemu ujrzałem wykrzywioną z przerażenia, wychudłą twarz Głosu, ale ogień natychmiast powrócił i uderzyłem prosto w niego.

Jego ciało rozerwało się na strzępy, a krew, przemieszana z kurzem, zbryzgała popękane drewno i kamienie. Ja nadal przedzierałem się przez wieżę, aż skręciłem ku górze, gdzie belki wspierające trzeszczały już z wysiłku, a kamienie zgrzytały. Wieża przechylała się jak pijak, którego ktoś zdzielił w głowę. Coraz większe kawały gruzu odpadały od niej i niszczyły znajdujące się poniżej domy ludzi bogatych i wpływowych, aż z wieży zostały tylko fragmenty, przypominające z oddali szczątki zepsutego zęba.

Zatoczyłem koło nad ruiną, a ci z moich przybocznych, którzy unikali ataków Głosu, dołączyli do mnie. Sięgnąłem po transmisję, najpierw kierując się wspomnieniami o Biegnącej Sarnie, potem o Czystej Rzece, a w końcu, z mocno bijącym sercem, o Podartym Liściu.

„Czego?” – warknął ten ostatni w odpowiedzi.

„To ja, Głupi Kundel!” – odparłem. „Co z pozostałymi?”

„Nie wiem!” – rzekł Podarty Liść, godząc się na moją obecność w jego umyśle z zaskakującą uległością. „Widziałem, jak odepchnął cię wiatr, a potem musiałem już skupić się na próbach pozostania przy życiu”.

Spojrzałem na ulice w poszukiwaniu poszarpanych, nieruchomych ciał ptaków, a potem uświadomiłem sobie, jak nedorzeczne to było. Przecież nawet oczy drapieżnego ptaka były o wiele słabsze od mocy transmisji. Uwolniłem Podartego Liścia i skupiłem się na najpotężniejszych wspomnieniach Biegnącej Sarny, które pochodziły z zeszłej nocy. Błyskawicznie odkryłem niewyraźne ślady życia, o wiele słabsze, niż powinny być.

„Biegnąca Sarno!”

Poczułem jej świadomość. Nie usłyszałem żadnych słów, ale wykryłem jej obecność w strukturze i znalazłem ją wśród potrzaskanych, zbryzganych krwią dachówek, leżącą na boku i zwiniętą w kłębek. Ścisnęła kanon magii i powoli leczyła jedną ranę za drugą.

Zmieniłem postać i ukląknąłem obok niej. Miałem ochotę ją objąć, ale bałem się, bo mój dotyk mógłby naruszyć jakąś niewidoczną złamaną kość. Zamrugała i otworzyła oczy.

– Niełatwo się tu lata – wymamrotała. – Daj mi chwilę. Muszę sobie poskładać żebra.

Zaśmiałem się nerwowo, a gdy na powrót się opanowałem, zadałem pytanie:

– Widziałaś, co się stało z Czystą Rzeką?

Słabo pokręciła głową.

– Ten Głos odrzucił go jak worek szmat. Nie wiem, gdzie wylądował.

Zrobiło mi się niedobrze, gdy patrzyłem, jak leczy swoje rany. Zastanawiałem się, czy Czysta Rzeka również gdzieś leży i próbuje powrócić do pełni sił. A może już nie żyje? Liczyłem na to, że zabiorę ich ze sobą na starcie z cesarzem, choćby po to,

by zajęli uwagę Pięści, przybocznej gwardii magicznej cesarza, ale jeśli tak kiepsko wypadli w starciu z Głosami, wysłanie na cesarza równało się karze śmierci.

Mój kanon spełnił swoje zadanie. Moi przyboczni władali magią z większą siłą i pewnością niż Dłonie, którzy byli znacznie lepiej wykształceni. Ale nawet jeśli moi ludzie uczyli się szybciej, to przecież większość Dłoni, Głosów czy Pięści miała znacznie więcej niż rok na przyswojenie mocy, a sam cesarz żył od tysiącleci. Czyżby kanon magii był nieudanym zamysłem od samego początku, choćby dlatego, że za jego pomocą próbowałem w ciągu miesięcy przekazać to, co cesarz tworzył od pokoleń? Jeśli tak, to skazałem na śmierć moich przybocznych, którzy walczyli dla mnie i mi ufali.

Podarty Liść wylądował obok mnie i zmienił postać. Rozciągnął ramiona z szerokim uśmiechem.

– Zauważyłem go! – powiedział. – Czystą Rzekę! Stoi o własnych siłach. Zdołał odzyskać kontrolę przed upadkiem. Mówi, że musi tylko złapać oddech. Wy dwoje najwyraźniej oberwaliście najbardziej.

Poczułem ulgę, ale nie osłabiła ona mojego przeświadczenia, że wszystko to jest błędem i nie powinienem był wciągać w to tych ludzi.

– Dobra. – Biegająca Sarna dźwignęła się na równe nogi, nadal masując sobie bok. – Kto teraz?

Było już za późno na żal. Za późno na wyrzuty sumienia z powodu nadmiernie wybuchających ambicji.

– Musimy zabić jeszcze jeden Głos – powiedziałem, wiedząc, że tym razem będzie to Złota Zięba. Już znieczuliłem się na ból, który obudził świadomość, że zdradzałem wspomnienie Wilgi. Szykowałem się na to, by wyciąć w strukturze świata kolejną bolesną szczerbę. – Za mną.

Niewykonalna propozycja

Dłoń Lotka

Lotka stał na rufie szybkiej łodzi o nazwie Piana Morska i przyglądał się dymom, które przesłaniały malejący księżyc. Czuł niewyraźne magiczne wibracje towarzyszące odległej bitwie. Buntownicy rozpoczęli atak, a ekspedycja karna wciąż miała przed sobą dwa dni drogi.

Wschodnia Forteca padała, a on miał za moment stanąć przed obliczem cesarza, by odpowiedzieć za swoje zdradzieckie słowa lub zostać nagrodzonym za rychły sukces brutalnego, choć genialnego planu.

Widział przed sobą ogromną flotę transportowców, które przypominały wręcz miasto na falach, a ich żagle były tak ogromne, że przesłaniały gwiazdy. Okręt idący na czele nie miał nazwy, ale na jego maszcie znajdował się złoty tetragram cesarza, odbijający światło latarni pokładu. Załoga Piany Morskiej zwała go Tronem Oceanu. Podobnie jak każda inna jednostka floty, szedł pod pełnymi żaglami, wypełnionymi wiatrem znikąd, przepelniającym płuca Lotki chłodem. Prędkość okrętu wydawała się niemożliwa przy jego rozmiarach.

Tak czy owak, byli zbyt daleko, by zdążyć z odsieczą i ocalić Wschodnią Fortecę przed koszmarem bitwy. Kolejny ciężar na

duszy Lotki.

Myśli te pozostawiały jedynie pustą gorycz. Nie był Su Białym Nożem. Nigdy nim nie był. Nawet jeśli jego plan udał się idealnie, brakowało mu siły i bezwzględności, których wymagała jego pozycja.

Cesarz na czele ekspedycji karnej nadal mógł przegnać buntowników z miasta, szansa na zniszczenie ich na polu walki została stracona na zawsze. Walki zapowiadały się na długie i wyczerpujące, chyba że cesarz postanowiłby pokarać Nayen losem, jaki przypadł w udziale Toa Alon. Miał wszak tak ogromną moc, że mógłby utopić wszystkich mieszkańców wyspy jedną falą albo cisnąć miasto do morza. Po tym, co się wydarzyło pod Fortecą Zachodzącego Słońca, Lotka zastanawiał się, czy imperium mogło się jeszcze przed czymkolwiek powstrzymać.

Niemniej nienawiść, która płonęła tak żywym ogniem i mogłaby sprawić, iż podobne koszmary przypadłyby mu do gustu, straciła na sile. W Twierdzy Szarego Mrozu, kiedy stał nad ciałem jego torturowanej babki, Wen Olcha powiedział coś, co Lotka pamiętał jedynie częściowo, ale ostatnie słowa rozbrzmiewały w jego umyśle niczym aforyzm mędrców.

„Czy to wydaje ci się w porządku?”

W porządku? Takie byłoby życie wypełnione poezją, sztuką i prostymi zajęciami, które dawałyby mu tyle pieniędzy, by mógł sobie pozwolić na hojność wobec przyjaciół. Życie bez szczęku mieczy, bez wrzasku dzieci czy wycia ich matek. Bez miast skazanych na zagładę ze względu na źle zaplanowany podstęp.

Żałował, że nie uświadomił sobie tego dawno temu, gdy stał nad grobem Wilgi z Wenem Olchą. Mógł wówczas uciec ze ścieżki, którą dla niego wytyczono. Lepiej stać się rozczarowaniem, ale czuć satysfakcję z życia, niż gardzić sobą ze względu na innych.

Cóż za niesieneńska myśl, uświadomił sobie i parsknął śmiechem.

Być może Wen Olcha odniesie zwycięstwo. Być może Nayen odzyska wolność.

– Bawi cię to, że jakieś miasto zostało złupione? – Kapitan Huo wyłonił się z luku prowadzącego do kabiny rufowej. – Nie przypominam sobie, żebyś się śmiał pod Fortecą Zachodzącego Słońca.

– Nie, nie bawi mnie to, kapitanie. – Lotka odwrócił się od miasta, gdzie właśnie płacono przemocą za przemoc. Jeśli buntownicy wygrają, miasto czekała masakra. Nie miał pojęcia, o czym rozmawiali kapitan i Głos Złota Zięba, ani też dlaczego cesarz wezwał oficera na audiencję na swój okręt. Przypuszczalnie miał zostać nagrodzony za swój udział w planie lub miał odegrać rolę świadka wielu potknięć Lotki. – Ale jeśli nie będę się śmiał, pozostanie mi tylko płacz, a nie chcę stawać przed cesarzem z zapuchniętymi oczami.

Lotka został co prawda wezwany, ale w sercu krył własny plan. Cesarz miał odpowiedzieć za cierpienie, które Lotka znosił, za ból, który płynął z życia ułożonego dlań przez innych.

A jeśli nie uda mu się zemścić, przynajmniej zrozumie powód swego cierpienia.



Dłoń na pokładzie Tronu Oceanu, a być może nawet sam cesarz przywołał wiatr, by wyhamować pęd okrętu. Żagle załopotały w przeciwnym kierunku, a Piana Morska podeszła do burty na tyle blisko, by załoga zdołała opuścić trap. Lotka pochylił nisko głowę, wsunął ręce w rękawy czarnej, obszytej srebrną nicią szaty – tej samej, którą nosił w dniu swoich egzaminów –

i pokonał dystans między okrętami. Za nim podążył Huo w wypolerowanej zbroi, która odbijała światło latarni.

Powitał ich Pięść cesarza – żołnierz w zwykłym mundurze, którego Lotka nie rozpoznał od razu. Przytknął zaciśniętą dłoń do piersi w salucie, a na jego ręce zamigotał tetragram.

– Witajcie na pokładzie – powiedział Pięść. Za nim, na platformie za żaglem, postać w tym samym mundurze przywołała wiatr, który wypełnił żagle na nowo. – Cesarz przyjmie was na dziobie.

Kapitan Huo odwzajemnił salut, a Lotka jedynie skinął głową. Wedle hierarchii imperium stał nad Pięściami, których wybierano z wojska, a nie z puli kandydatów do egzaminów. Nie byli urzędnikami ani oficerami, a jedynie gwardią przyboczną cesarza.

Idąc za Pięścią na dziób, Lotka dostrzegł tuziny innych mężczyzn w takich samych mundurach. Ekspedycji karnej towarzyszyło ich przynajmniej pięćdziesięciu. Przy schodach prowadzących na pokład dziobowy Pięść dotknął ramienia kapitana Huo.

– Cesarz chce się z wami spotkać po kolei – rzekł. – Dłoń idzie pierwszy.

Lotka sam nigdy nie pracował jako minister, ale rozumiał, jak jego ojciec radzi sobie z mrocznymi aspektami prawa. Było tylko dwóch godnych uwagi świadków tego, co się wydarzyło w Twierdzy Szarego Mrozu i w Norze. Wyglądało na to, że cesarz chciał wysłuchać ich historii z osobna, porównać je i zanalizować w poszukiwaniu prawdy.

Cesarz stał na dziobie z dłońmi splecionymi na plecach. Pierścienie z koralu i jadeitu połyskiwały na jego palcach. Z prawego ramienia spływała peleryna ze złotego jedwabiu, obszyta futrem gronostajów i haftowana w niezliczone srebrne dłonie. Na podobieństwo kończyn Tronu Tysiąca Ramion emanował strumieniami światła, które zmierzały w stronę

Nayenu, Toa Alon, Pustkowiec Batir i samego Sienu, łącząc go z każdym Głosem w imperium. Pokład dziobowy przedzielały trzy sznury – dwa czerwone i jeden złoty – zamieniające go w otwartą salę audiencyjną, gdzie rolę sufitu odgrywały gwiazdy, a nad nimi, niczym filar wyrastający z centrum świata i podtrzymujący niebiosa, wisiał miążdzący ciężar magii.



Strach zacisnął się na gardle Lotki. Nim postawił stopę na pokładzie Tronu Oceanu, pogodził się z porażką, a nawet ze

śmiercią, ale filozoficzny dystans czy rezerwa w stosunku do własnego losu nikły wobec przytłaczającej obecności boga.

– Dłoni Lotko! – Cesarz odwrócił się ku niemu.

Zwieńczenia korony wyrastały z nad jego głowy niczym smocze poroże. Na srebrnych niciach zwisały szklane koraliki, które kołysały się na wysokości jego oczu. Cesarz miał ciemną, wąską brodę i ostre rysy twarzy, które maskowały nie tylko jego wiek, ale i brzemień tysiącletnich rządów, a jego głos był równie potężny jak jego magia.

– Pokonałeś długą drogę w jakże krótkim czasie. Nie musisz się bać tych kilku ostatnich kroków.

Lotka dopiero wtedy uświadomił sobie, że stoi jak wryty, niezdolny nawet do rytualnego okazania szacunku. Zrobił krok naprzód, ukłonił się i dotknął czołem pierwszego sznura. Cesarz machnął lekceważąco ręką.

– Wszystko to tylko jedno wielkie przedstawienie, a tu przecież nikt na nas nie patrzy. Chodź. Podejdź do mnie.

Lotka zawahał się. Próbował zrobić to, o co poprosił go władca, i stanąć przy nim, ale polecenie było żywym pogwałceniem zasad zachowania. Co prawda zboczył na tyle, by stawić czoła ojcu, ale naruszenie struktur imperium u stóp cesarza – nawet na jego rozkaz! – wydawało się niemożliwością.

– Czyżby coś cię dręczyło, Dłoni Lotko? – powiedział cesarz. – Cóż takiego?

Jego oczy były przesłonięte, ale Lotka czuł na sobie jego przenikliwe spojrzenie. Przez dłuższą chwilę walczył ze ściśniętym gardłem, aż w końcu wykrztusił:

– Należy ci okazać pokorę, Wasza Wysokość.

Przez oblicze cesarza przemknął uśmiech przypominający pasmo mgły.

– To prawda, ale czy człowiekowi powinno zależeć na zobowiązaniach mrówek? – Wskazał burtę. – Podejdź bliżej, Dłoni Lotko. Porozmawiajmy.

Nierzeczywistość tej sytuacji wyprowadziła Lotkę z równowagi. Nadal czuł lęk, ale nie umiał nad nim zapanować. Jak miał się zachować na polu bitwy, skoro właśnie wszelkie fundamenty stosownego zachowania zostały strzaskane?

– A czy człowiek powinien chcieć rozmawiać z mrówką? – spytał Lotka, nim uświadomił sobie, co właściwie zamierza.

Śmiech cesarza obudził w nim zimny dreszcz.

– Czy powinien? Cóż, a może jedna mrówka zachowała się w nieoczekiwany sposób? Mrówki to ciekawe istoty. W młodości, zanim w moim umyśle powstała idea stworzenia imperium, byłem nimi zafascynowany. Tak, mrówkami i osami. Wiesz, Dłoni Lotko, że jesteś pierwszym z Dłoni, który przekonał do czegoś cesarza?

Lotka nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Nadal stał nieruchomo, jakby wrósł w pokład. Cesarz jeszcze raz – tym razem z surową miną – wskazał mu burtę. Nogi Lotki wreszcie zaczęły słuchać jego rozkazów, choć kolana chciały się ugiąć, a kręgosłup drżał, gdy bez pokłonu przechodził nad sznurami.

– Tak być nie powinno, sam rozumiesz – ciągnął cesarz. – Ręka nie powinna poprawiać umysłu, który nią porusza, a usta nie mówią tego, czego on nie chce wyrazić. Jednak ty sprzeciwiłeś się rozkazowi. Zaproponowałeś alternatywne rozwiązanie, jak gdybym sam nie przemyślał każdej możliwości i nie odrzucił każdej alternatywy. Co więcej, miałeś rację. Twój pomysł okazał się krwawy, ale rozwiązywał wiele problemów.

Lotka miał przemożną chęć, by przeprosić za ów pomysł, który zesłał rzeź na Wschodnią Fortecę, ale zdusił ją w sobie. Znalazł się wszak na odległych, niezbadanych wodach.

– Poczułem w tej chwili coś, z czym nie miałem styczności od... och, od setek lat – ciągnął cesarz. – Od czasu, gdy opuścił mnie mój stary, zrzedliwy przyjaciel, który towarzyszył mi od początku mojego wielkiego projektu i zamierzał wytrwać ze mną do końca, rzucając wyzwanie upływowi czasu. – Skrzywił

się. – Rzucił też wyzwanie mnie, choć nie osiągnął w ten sposób tyle, co ty. – W jego głosie nagle pojawiła się zawziętość. – I co, Dłoni Lotko? Nie masz nic do powiedzenia?

Lotka przełknął ślinę.

– Przykro mi z powodu twojej straty, Wasza Wysokość.

Cesarz przechylił głowę.

– Nie uważam tego za stratę. Bo każdy z was dotarł do mojego człowieczeństwa. Człowiek wszak może ulec obsesji, która z czasem doprowadzi do jego zniszczenia. Wędrujący zapewne ująłby to w jakiś poetycki aforyzm. Powiedziałyby coś o statkach, kapitanach i nawigatorach, jak sądzę. – Milczał przez moment, a potem podjął: – Od jakiegoś czasu wszystko się psuje, Dłoni Lotko. Pewnie tego nie widzisz, bo jesteś młody i niewiele wiesz, ale imperium w miarę swojego rozrostu staje się kruche. Wiesz o powstaniu w Nayenie i pewnie słyszałeś o An-Zabat, ale istnieje jeszcze wiele innych pęknięć. Niektóre są powierzchowne, a inne głębokie, ale wszystkie stanowią wielkie zagrożenie. Ale imperium musi rosnąć dalej, jeśli ma spełnić swój cel. Ogłoszenie zwycięstwa na tym etapie zniszczy jedynie wszystko to, czemu miało służyć. Doszedłem do wniosku, że potrzebuję pomocy nie tylko od kończyn i ust. Potrzeba mi oczu, które widzą inaczej niż ja. Potrzebuję kolejnego Wędrującego Wąskim Traktem, by chronić moje imperium przed własną ślepotą. Żaden umysł, choćby nawet ogromny, nie jest wszak w stanie rozważyć każdej opcji.

Lotka potrząsnął głową z niedowierzaniem. Nie miał pojęcia, czego oczekiwać po tej rozmowie, ale takiego obrotu spraw nie wyobrażał sobie nigdy. Nigdy też tego nie pragnął. O czymś takim marzyłby Wen Olcha, nie buntownik i przywódca powstania, ale ambitny chłopak, który mieszkał pod ich dachem i przyjaźnił się z Wilgą.

– Przedstawiłem tę propozycję tylko po to, żeby ratować własne życie i zapewnić sobie zemstę – rzekł. Były to jedyne

słowa, które wydawały się uczciwą odpowiedzią.

Cesarz zachichotał, tym razem cicho, jakby spodobały mu się harce szczenięcia.

– Kolejny dowód na wszystko, co powiedziałem. Chciałeś skorzystać z mojej pomocy, jakbym był twoim bliźnim. Czyż imperium nie próbuje robić tego samego, ale na większą skalę, kierując się wiecznymi, uniwersalnymi wartościami?

– Ale mi się nie udało! – Lotka usłyszał nutę rozpaczony we własnym głosie. Czego się w zasadzie spodziewał? To oczywiste, że zaraz zostanie potępiony! – Buntownicy przybyli za szybko! Wschodnia Forteca upadnie!

– Nie, Dłoni Lotko – powiedział cesarz. – Nie upadnie. Cóż, będzie płonąć przez jakiś czas, a wielu ludzi będzie cierpieć i umrze, ale to są drobne rzeczy, a my i tak się zemścimy. Tak to zawsze było z Wędrującym. Widział możliwości, których ja nie potrafiłem dostrzec. Ja zaś widziałem sposoby, żeby przekształcić te pomysły w rzeczywistość. Ty dałeś mi pomysł, ale ja przerobiłem go tak, żeby najlepiej odpowiadał moim potrzebom, a więc również potrzebom świata. Chciałbym, żeby taki układ między nami kwitł.

Lotka oparł dłoń o burtę, by się uspokoić i nawiązać styczność z rzeczywistością. Poczuł szorstką strukturę drewna, co dowodziło, że nie ulega wcale halucynacjom.

Cóż mógł powiedzieć? Cesarz odrzucił nakazy przyzwoitości, lecz były one jedynie symbolami prawdziwych fundamentów imperium. Porządek wynikał przecież z tego, że każda jednostka – a w zasadzie każda rzecz – dopasowywała swoje cele do woli cesarza. Lotka zaś miał nowy cel życia. Mógł przystać na propozycję cesarza, mógł też ją odrzucić i zostać człowiekiem bez miejsca i wartości, dryfującym ku nędzy i śmierci.

Cesarz nagle odwrócił wzrok i przyglądał się, jak jedna ze strug światła biegnących na wschód zamigotała i przybrała na

sile. Lekki uśmiech za zasłoną ze szklanych koralików zamienił się we wściekły grymas.

– Oto pułapka zaskoczyła! – powiedział cesarz.

Lotka poczuł chłód buchającej od władcy emanacji, która wniknęła w jego płuca. Nad plecami cesarza rozwinęły się nagle świetliste skrzydła, które wyglądały, jakby utworzono je ze złotych ostrzy. Uderzył wiatr znikąd, który uniósł go wysoko. Cesarz wisiał przez chwilę w powietrzu, łopocząc szatą i peleryną, po czym zerknął w dół, na Lotkę. Przez chwilę było widać jego oczy, czarne i bezdenne, przywodzące na myśl przestrzeń między gwiazdami.

– Po powrocie chcę usłyszeć odpowiedź.

Wiatr znów natarł. Rozległ się huk przypominający uderzenie pioruna i cesarz znikł. Pozostało po nim jedynie zamazane światło na czarnym niebie, mknące w stronę dymów, które kotłowały się nad Wschodnią Fortecą.

Okrucieństwo było odpowiedzią na okrucieństwo. Na to zaś odpowiadało kolejne okrucieństwo. Wydawało się, że ten cykl nie ma końca. Lotka miał wrażenie, że pogrąża się w nim coraz bardziej, aż zaciska się na nim prawa dłoń cesarza. Chciał się śmiać. Chciał płakać.

Zamiast tego jednak opadł na burtę i zwrócił do morza zawartość żołądka.

Polowanie na Głosy

Głupi Kundel

Dwie fale transmisji unosiły się nad Wschodnią Fortecą niczym identyczne łańcuchy żelaza zamocowane w strukturze świata. Jeden zaczynał się gdzieś w zachodniej dzielnicy niedaleko portu, a drugi w sercu miasta. Gigantyczna emanacja, której źródłem mogła być jedynie Sycząca Kocica, przedzierała się w kierunku Głosu w zachodniej dzielnicy, co oznaczało, że ja miałem się zająć tym drugim.

Wokół nielicznych latarni rozlewały się plamy czerwonego i żółtego światła, zwiastując krew i płomień, które rychło miały zalać te ulice, gdzie nie dotarła jeszcze bitwa. Emanacja mocy prowadziła mnie jednak dalej, za ostatni krąg fortyfikacji, który oddzielał rezydencję gubernatora od reszty Nayenu. Znajdował się tam sieneński ogród, będący miniaturą imperium, wzniesiony na ruinach tego, co kiedyś było Pałacem Króla Słońca. Tam właśnie spędziłem najpiękniejsze dni mojej młodości, zanim wojna i cierpienie otworzyły drzwi do świata rozczarowań. Stamtąd właśnie Głos Złota Zięba związał cesarski kanon z miastem. Stamtąd dobiegała emanacja.

Skontaktowałem się z Czystą Rzeką, Podartym Liściem i Biegnącą Sarną.

„Trzymajcie się blisko mnie” – przekazałem im i zanurkowałem w kierunku ogrodu.

Przemknąłem blisko drzew śliwkowych rosnących nad grobem Wilgi, a mój pęd roztrącił ich gałęzie i strząsnął deszcz białych płatków. Transmisja Głosu dochodziła z sali bankietowej znajdującej się w pobliżu. Czysta Rzeka strzegł moich pleców, zaciskając dłoń na kanonie, jakby to była rękojeść miecza. Biegająca Sarna stała obok mnie, spięta i pochylona do przodu, jakby szykowała się do bitwy. Podarty Liść gapił się na bogatą roślinność, pozłacane ściany pawilonów, sztuczne wzgórze, porowate skały sterczące z pobliskiego stawu oraz rozmaite egzotyczne rośliny, sprowadzone z najdalszych zakątków imperium. Tu osiągnąłem dojrzałość, ale teraz, po tylu latach spędzonych w dziczy, bazaltowe kolumny, wąskie strumyki i zadbane zagajniki wydawały mi się raczej pustym gestem, nieudolną próbą naśladowania natury niż wyszukany oddaniem jej piękna. Przez dziesięć lat nic się tu nie zmieniło. Między pniami bambusów widziałem pawilon, gdzie po raz pierwszy spotkałem Dłoń Przewodnika i usłyszałem opowieść o kocie, która przepięczętowała moją przyszłość i los całego świata.

– Na płonących bogów! – wymamrotał Podarty Liść. – Za pieniądze płacone ogrodnikom dałoby się wyżywić całe miasto przez rok!

– Poczekaj, aż zobaczysz to, co znajduje się w środku – powiedział sucho Czysta Rzeka. – Za zgromadzone tam bogactwo mógłbyś kupić całą wyspę, a w porównaniu z przepychem pałacu cesarza to jedynie dziecięce bazgroły przy pięknej kaligrafii.

Podarty Liść otworzył szeroko oczy.

– Nic dziwnego, że wielu ludzi ma ochotę pracować dla tych łajdaków.

– Cisza – rozkazałem. – Oczy szeroko otwarte.

Pozwoliłem, by moja świadomość częściowo wniknęła w strukturę niczym kula jadeitu zanurzona w wodzie, na tyle, by zwiększyć moją wrażliwość na magię, ale nie stracić styczności z otaczającym mnie światem. Wszak Złota Zięba mógł zaatakować nie za pomocą eksplozji magii, ale bełtu wystrzelonego z jakiejś kryjówki. Gdyby mnie zaskoczył, mógłby mnie zabić, zwłaszcza gdyby przebił jakiś żywotny organ lub nasączył bełt trucizną. Dystans i wysokie mury odgradzały nas od wrzasków ginących i szczęku oręża. Odległe grzmoty, przypominające stłumione uderzenia piorunów, zdradzały detonacje granatów w jakimś odległym zakątku miasta.

Ruszyłem w dół ze wzgórza i przeszedłem obok łuku z białych kamieni zdobiącego grób Wilgi. Spojrzałem na niego, próbując nie myśleć o tym, co mnie tu sprowadziło, a przecież miałem zabić ojca i młodszego brata mojego przyjaciela.

Ale dlaczego miałem ich zabijać? Przecież znałem ich chyba na tyle, bym zdołał wyeliminować ich innymi metodami. Siłą woli nie dorównywałem Syczącej Kocicy czy cesarzowi, ale z pewnością mogłem pokonać Głos cesarza, który nie władał przecież magią z dawnych czasów.

Gdyby udało mi się odepchnąć poczucie winy, z pewnością dałbym radę. Wściekła Wilczyca i Wredny Lis pewnie wzdrygnęliby się na myśl o wzięciu Głosu czy Dłoni do więzienia, ale ja umiałem odciąć ich od kanonu, a ich tetragramy mogłem unieszkodliwić kilkoma ciosami noża. To okrucieństwo, ale Wilga z pewnością by mi je wybaczył. Wszak ratowałem im życie.

– Złota Ziębo! Lotko! – wykrzyknąłem.

Chmary ptaków, które umknęły tu przed koszmarem opanowującym dolne dzielnice, zerwały się do lotu z pobliskich krzewów, trzepocąc skrzydłami.

– Wyjdźcie i poddajcie się! Jesteście otoczeni! Miasto upadnie i to od was zależy, ilu ludzi zginie i jak brutalna będzie ich śmierć! Podejmując dalszą walkę, przynosiscie wstyd pamięci Wilgi.

– Wstyd pamięci Wilgi? – Głos Złotej Zięby dobiegł z otwartych okien sali bankietowej. – Każdy twój oddech przynosi wstyd jego pamięci!

Zignorowałem nagły przypływ bólu zbudzony jego słowami.

– Lotka może ci opowiedzieć o burzy ognia i błyskawic, którą przywołałem w Twierdzy Szarego Mrozu. Jeśli nie wyjdiesz, zrównam ten ogród z ziemią.

– Od jak dawna układasz ten plan, Olcho? – wykrzyknął w odpowiedzi Złota Zięba. – Czy knułeś już wtedy, gdy mieszkałeś w moim domu? Czy w duchu cieszyłeś się ze śmierci mojego syna, choć umieściłeś swoją cegielkę na jego grobie?

Zgrzytnąłem zębami. Nigdy nie zdradziłem Wilgi. Nigdy nie zdradziłem tego, co naprawdę kochałem w Sienie, jak choćby umiłowania piękna czy wdzięku, i nadal za nimi tęskniłem, choć przez ostatnie miesiące, gdy zajmowałem się głównie szerzeniem agresji, musiałem ową tęsknotę stłumić. Brakowało mi popołudni spędzanych na picciu herbaty i doskonaleniu kaligrafii, ale nie umiałem ignorować okrucieństw, na których zbudowano imperium, czy szalonych ambicji cesarza.

– Wyjdź – powiedziałem. – Rozmowa prowadzona przez zabarykadowane drzwi do niczego nas nie doprowadzi.

– A do czego miałyby prowadzić? – parsknął śmiechem Złota Zięba. – Lotka opowiedział mi o tym, co się wydarzyło w Twierdzy Szarego Mrozu, a ja czułem fale magii towarzyszące zniszczeniu, jakie tam szerzyłeś. Nie będę prowadzić negocjacji z pozycji takiej słabości.

– Dobrze – powiedziałem. – Nie będzie więc negocjacji. Zajmiemy się handlem. Poddacie się, ty i twój syn, a ja pozwolę wam żyć.

– A może po prostu nas pozabijaj, co? – W głosie Żłotej Zięby pojawiła się nuta hysterii. – A może nie chcesz przyznać, że ta twoja rewolucja niczym się nie różni od naszego podboju, a jedynie zamienia miejscami pokonanych i zwycięzców?

Kiedyś lubiłem rozważać moralne dylematy i odruchowo zacząłem budować odpowiedź, choć dobrze wiedziałem, że oskarżenie w jego słowach to pułapka.

– Gra na czas – mruknął po nayeńsku Czysta Rzeka.

Czułem gigantyczną obecność Syczącej Kocicy, przemieszczającej się w strukturze. Nadal znajdowała się w okolicy portu. Jak to możliwe, by samotny Głos, nawet przy wsparciu gwardii honorowej Dłoni, stawiał jej opór tak długo? W innych miejscach odbierałem sygnały licznych zmian postaci i przyzywanych płomieni. Usiłowałem nadażyć za falami chłodu, oznaczającymi przywołanie wiatru, ale nie byłem w stanie odróżnić tych, które brały się z kanonu cesarskiego, od tych, które tworzyli moi przybocznicy.

– Zachowajcie czujność i krzyczcie, gdy ujrzyte pierwsze zapowiedzi kłopotów – zwróciłem się do reszty w ich rodzinnym języku, a potem zamknąłem oczy i zanurzyłem się głębiej w strukturę. Najpierw odnalazłem Lotkę, bo znałem go lepiej. Przywołałem wspomnienia naszej rozmowy przy grobie Wilgi oraz naszej krótkiej konfrontacji w Twierdzy Szarego Mrozu, jego pełnych przerażenia oczu i pospiesznej ucieczki.

Gdy sięgnąłem ku Atar, jakiś prąd ściągnął mnie na zachód, daleko nad morze. Lotki nie było w ogrodzie, co było ciekawym odkryciem, ale nie musiałem się tym teraz zajmować. Co prawda poczułem ulgę, bo z samym Głosem Żłotą Ziębą byłoby się łatwiej uporać. Skupiłem się więc na ojcu Wilgi.

Nie znałem go dobrze, ale moje wspomnienia o nim były tak pełne oczekiwań, nadziei, lęku i żalu, że natychmiast wskoczyły mi do głowy. Znowu poczułem otaczającą go aurę autorytetu, jak wtedy, gdy stał na podium i witał mnie oraz innych

kandydatów, a potem oznajmiał nasz sukces. Czułem jego frustrację, taką samą jak wówczas, gdy przekonywałem go, że Wilga powinien dołączyć do wyprawy na Wściekłą Wilczycę.

Podążając za wspomnieniami, wniknąłem w prądy pod strukturą prosto do jego umysłu. Świadomość Czystej Rzeki wirowała nurtem, który kipiał przerażeniem. Świadomość Atar okazała się o wiele spokojniejsza, ale nadal unosiła się nad nią burza strachu i gniewu. W umyśle Złotej Zięby natrafiłem na nieporuszony staw, lśniący niczym lustro, przejrzysty jak szkło, mimo frustracji w jego głosie, coraz większego strachu oraz gniewu, który okazał w rozmowie.

Przyszło mi wówczas do głowy, że Głos Złota Zięba nigdy nie będzie sam we własnym umyśle. Niestety, co uświadomiłem sobie z zimnym lękiem, wniosek ten przyszedł za późno.

„Witaj, Olcho” – powiedział jakiś głos, który rozbrzmiał w mojej głowie niczym uderzenie pioruna.

Słyszałem go tylko raz, gdy leżałem nieruchomo, dotykając czołem złotej nici, ale pamiętałem go równie dobrze jak własnego ojca. Potem spadł na mnie ciężar równy górze.

Arogancja

Głupi Kundel

Próbowałem wywrzeszczyć ostrzeżenie, ale nie mogłem otworzyć ust, jakby moją głowę pochwyliło stalowe imadło. Biegnąca Sarna zrobiła ku mnie krok, a na jej twarzy troska zamieniała się w strach. Drzwi do rezydencji Złotej Zięby nagle stanęły otworem. Czulem zapach burzy z piorunami. Po moich plecach spływał zimny lęk. Z wnętrza sali bankietowej wypadła błyskawica, która wgrzyła się w ramię Podartego Liścia i wyrzuciła go wirującego w powietrze. Wpadł w zagajnik bambusów, miażdżąc je ciężarem ciała, i zaległ wśród popękanych łodyg. Znad jego ciała buchał dym.

„Zastanawiałem się, czy znajdziesz w sobie tyle pychy, żeby wdrzeć się do umysłu Głosu” – powiedział cesarz. Jego słowa przypominały korzenie góry wwiercające się w fundamenty ziemi. „Gdzieżby tam, pomyślałem sobie. Dłoń Olcha był przecież taki przebiegły i tak boleśnie doświadczył mojej obecności po An-Zabat. Mimo to warto było zastawić pułapkę. Bez tetragramu nie było łatwo znaleźć cię w strukturze. Jesteś istotną, zauważalną osobowością, ale spotkaliśmy się jak dotąd tylko raz, a ty bardzo się zmieniłeś od tego czasu. Byłoby o wiele łatwiej, gdybyś sam się ze mną skontaktował, ale gdy

wypuściłeś Dłoń Lotkę, zdałem sobie sprawę, że być może jesteś na tyle głupi, żeby to zrobić.

Podarty Liść jęknął, ale się nie podnosił. Biegająca Sarna uskoczyła przed kolejną błyskawicą, która przemknęła nad nią i roztrzaskała bazaltową kolumnę. Spojrzała na mnie z przerażeniem, ale ja, całkowicie uwięziony przez cesarza, nie mogłem jej ani pocieszyć, ani bronić. Czysta Rzeka kucnął i zaczął tkać ścianę z wiatru odgradzającą nas od sali bankietowej, a ja poczułem żal, że nie przekazałem im magii osłaniającej.

Nie był to jednak dobry moment na roztrząsanie porażek. Zamknąłem oczy i skupiłem się na potędzie umysłu, który wdarł się w moją świadomość. Przypominał żelazny pręt woli Syczącej Kocicy, ale był cięższy i przebijał nie tylko strukturę świata, ale i strukturę moich własnych myśli. Rzuciłem się na niego, próbując przeciąć więź między nami, tak jak odciąłem Przewodnika w Twierdzy Szarego Mrozu.

Wysiłek przyniósł mi mnóstwo bólu, ale żadnego rezultatu. Zupełnie jakbym uderzył głową o skałę.

„Obawiam się, że jest już za późno, ale nie martw się. Nie chcę cię zabijać. Odbieram cię jako bardzo intrygującego człowieka. Nie jesteś pierwszym Dłonią cesarza, który odważył się dopuścić zdrady, ale pierwszym, który zrobił to z innych powodów niż własne idiotyczne i krótkowzroczne ambicje. Powiedz mi, które aspekty imperialnej doktryny uznałeś za wystarczająco niewygodne, żeby odrzucić na bok swoją przyszłość i rozpocząć wojnę bez szans na zwycięstwo?”

Głos Złota Zięba stanął w drzwiach z uśmiechem satysfakcji na twarzy. Sięgnąłem po magię bitewną, nie myśląc już o ocaleniu mu życia, ale o zniszczeniu go, zanim zdoła wyrządzić krzywdę moim przybocznym. Jednakże wola cesarza nadal mnie więziła i nie pozwalała na żaden ruch.

Złota Zięba uniósł dłoń i wycelował w leżącą Biegnącą Sarnę. Dziewczyna ryknęła, zerwała się na równe nogi, zacisnęła dłoń na swoim kawałku kości, aż pobiełały jej kłykcie, i cisnęła ogniem. Płomień odbił się od tarczy utwardzonego światła, która przygasła, po czym Głos wypuścił błyskawicę.

Wrzasnąłem w myślach, bo nie miałem już kontroli nad własnym głosem. Błyskawica przeszła ją na wylot.

Dziewczyna zatoczyła się do przodu i padła. Czysta Rzeka zmienił postać i wystrzelił ku niebu. Cesarz nadal trzymał moją głowę i nie pozwolił mi przyglądać się ucieczce. Nie miałem więc pojęcia, czy mój towarzysz szykuje się do ataku, czy też naprawdę ucieka.

„Przestań. Nie mogłeś się chyba spodziewać innego rozwoju wydarzeń, gdy pociągnąłeś ich za sobą w sam środek bitwy?”

Chyba się roześmiał, a potem dodał:

„Nie musisz odpowiadać na żadne z moich pytań, Olcho. Jesteś teraz dla mnie jak otwarta, fascynująca księga. Mam wrażenie, że spoglądam w lustro i cofam się o całe eony w czasie. Jestem dla ciebie tym, czym bogowie byli dla mnie. Niemniej popełniłeś tragiczny błąd. Czy choć raz nie przyszło ci do głowy, żeby zakwestionować źródło wszystkiego, w co uwierzyłeś na mój temat? Wszystkiego o moich intencjach? O tym, jak mogę zareagować na rozmaite zagrożenia pojawiające się w moim imperium? A może zmylił cię Okara, który pojawił się pod postacią zranionego psiaka, czym sprawił, że zapomniałeś o jego manipulacjach. Myśl, Olcho. Czy istnieje lepszy sposób na poradzenie sobie z rosnącym zagrożeniem niż pchnięcie go na prastarego wroga?”

Jego słowa powinny zburzyć mój świat, ale czułem jedynie cząstkę bólu, którego się spodziewałem. Usłyszałem ciche jęknięcie, które zmusiło mnie do otwarcia oczu. Biegnąca Sarna nadal oddychała, ale jej twarz wykrzywiał grymas bólu, a dłonie wciąż zaciskały się na kawałku kości. Jej palce szukały

logogramu uruchamiającego magię uzdrawiającą, ale nawet gdyby go dotknęła, nie zdołałaby zaleczyć własnych ran. Była zbyt słaba. Zbyt krótko się szkoliła. Poprowadziłem ją bez namysłu w sam środek przerażającego starcia, choć nie miała tyle sił i mocy, by je przetrwać.

„Kto prowadzi ludzi na wojnę, a nie chce patrzeć na ich śmierć?” – zastanawiał się cesarz. „Zarzucaś mi mnóstwo win, ale sam masz ich wiele, a do tego bardzo skromną świadomość co do siebie samego”.

Nadal oddychała. Mógłbym ją uzdrowić. Mógłbym naprawić szkody, które wyrządziłem, kierując się pychą.

Gdzie była Sycząca Kocica? Tylko ona była zdolna wypędzić cesarza z mojego umysłu!

Nagle przypomniały mi się jej ostatnie lekcje o transmisji i mocy przegradzania i zamykania struktury. Nie mogłem zwyciężyć z cesarzem w pojedynku na siłę woli. Nie miałem szans odciąć go od kanonu tak jak Głos Przewodnika, a potem Wściekłą Wilczycę i Płonącego Psa od ich wiedźmich mocy. Jednak mogłem zrobić to, czego dokonała girzańska wiedźma z dawnych czasów, i odciąć się od struktury, nawet jeśli tylko na chwilę.

Sięgnąłem głęboko nie w samą strukturę świata, ale w strukturę własnego umysłu i wzniosłem tam mury, tak jak zrobiła to Sycząca Kocica, kiedy po raz pierwszy uczyła mnie magii transmisji. Tak jak zrobiłem to sam, gdy wykuwałem własny kanon.

„Co ty...”

Po raz pierwszy od czasu najwcześniejszego dzieciństwa opadła na mnie absolutna cisza. Szósty zmysł, za pomocą którego czułem strukturę świata, z początku nieświadomie, skupił się wyłącznie na strukturach wewnątrz mojego umysłu. Nagły brak namacalności i dogłębna prostota wszelkich wrażeń wywołały we mnie szok, a widmowa kończyna, która tworzyła

wszelką magię, z furją natarła na barierę, próbując ją zniszczyć, choć ta stanowiła moją jedyną ochronę przed transmisją cesarza. Mury zredukowały świat wokół mnie do prostej geometrii obrazu przedstawiającego pejzaż. Zmiana w percepcji była tak przytłaczająca, że prawie zapomniałem o moim celu. Przypomniałem sobie o wszystkim, gdy usłyszałem zduszony, ochrypliwy krzyk Biegnącej Sarny i ujrzałem, jak Głos Złota Zięba unosi dłoń.

Czułem przerażenie na samą myśl o pozbyciu się ochrony, ale zlikwidowałem barierę w umyśle i poczułem powrót znajomej złożoności oraz splatających się przepływów mocy. Po plecach spłynął mi zimny powiew. W powietrzu unosił się zapach cynamonu.

Cisnąłem strzałą zbudowaną z wiatru.

Złota Zięba padł na plecy, a z jego bezsilnych palców strzeliły niegroźne iskry. Z piersi Głosu buchnęła krew, która zbryzgała jego drogie jedwabie i chlusnęła na ziemię. Zabułgotał, łapiąc się za dziurę w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się jego serce, aż zamarł.

Opadłem na kolana przy Biegnącej Sarnie. Oddychała już jak ptaszek, który wypadł z gniazda. Jej koszula poczerniała i stopiła się z poparzonym ciałem. Była to niełatwa rana, ale przecież zdołałem wyciągnąć trujące włókna z okaleczonego ramienia babci, a teraz miałem więcej doświadczenia i umiejętności. Wiedziałem, że poradzę sobie lepiej. Potrafiłem nie tylko ocalić jej życie, ale wygładzić blizny tak, by po jej ranie nie pozostał najmniejszy nawet ślad, żaden dowód na moje błędy.

Sięgnąłem po magię uzdrawiającą, a wtedy opadł na mnie znajomy przerażający ciężar.

Czaił się w umyśle Głosu Złotej Zięby i czekał na okazję, by mnie uwięzić i znów nade mną zapanować, nim zdołam stawić jakikolwiek opór. Być może wcześniej nie znał mojego umysłu

na tyle, by odnaleźć go przez nurty struktury, ale teraz mógł tego dokonać z całą pewnością. Nic nie stało na przeszkodzie, by zrobił ze mną to samo co ja z Czystą Rzeką, Atar i Głosem Złotą Ziębą.

Mogłem spróbować sięgnąć po kanon czarodziejstwa, by uleczyć Biegnącą Sarnę i jednocześnie odgradzić się od szerszej struktury – i oddziaływania cesarza – ale bariera wewnątrz mojego umysłu mogła wpłynąć na struktury kanonu. Jej życie zawisło na włosku, a cesarz przystąpił do ataku. Nie miałem czasu na eksperymenty.

– Biegnąca Sarno! – Wcisnąłem kawałek kości do jej dłoni i nakierowałem palce. – Nie mogę ci teraz pomóc. Musisz na razie sama utrzymywać się przy życiu. Rozumiesz?

Odnalazła wzrokiem moją twarz. Jej oblicze przeszywał grymas bólu, ale pokiwała głową i zacisnęła mocniej dłoń. Wyczułem łagodną, kojącą emanację uzdrawiania, lecz w tej samej chwili musiałem skupić się na własnej ochronie.

Odciałem się od struktury, zanim cesarz zdołał ponownie wedrzeć się do mojego umysłu. Świat znów ucichł i stał się obcy moim zmysłom, wyczulonym na pokłady głębi. Obecność cesarza znikła. Byłem na razie bezpieczny, ale na jak długo?

Wiedziałem, że dopadnie mnie, w chwili gdy wrócę do struktury świata, by sięgnąć po magię.

Na szczęście Biegnąca Sarna zaczęła oddychać spokojniej.

– Nie próbuj leczyć ciała – powiedziałem. – Tym ja się zajmę. Ja albo Sycząca Kocica, gdy tu dotrze.

Nad nami wirowały płatki popiołu znad chaosu bitwy, która szalała nad Wschodnią Fortecą. Nie było ani śladu Kocicy, ani Czystej Rzeki, który najwyraźniej uciekł na dobre. Przekląłem go pod nosem i podszedłem do Podartego Liścia, leżącego wśród bambusów. Spod jego lewego ramienia, krytego łuskami strzaskanej zbroi, rozlewała się kałuża czerwonej, szybko

ciemniejszej krwi. Spojrzał na mnie. Bez wątpienia cierpiał wielki ból, ale oddychał miarowo.

Odwróciłem się ku niemu. Gdzież ona była, do cholery? Trudno było sobie wyobrazić, by jakiś Głos cesarza zatrzymał ją na tak długo.

– Gdzie twój kanon? Powinieneś móc zaleczyć to bez trudu!

Podarty Liść potrząsnął głową, krzywiąc się.

– Upuściłem go. Przykro mi, ale koziółkowałem w powietrzu.

Podmuchi wiatru rozwiął kłębiący się dym i jakaś istota z rozłożystymi skrzydłami przemknęła przez wirujący w powietrzu popiół, a potem zaczęła opadać w kierunku dziedzińca niedaleko grobu Wilgi.

– Sycząca Kocica! – Odwróciłem się ku lądującej istocie, która zasłoniła wstające słońce. – Co zabrało ci...

Wiatr poruszał jedwabiami zwisającymi obok wielkich skrzydeł z twardego światła. Szklane koraliki zwiślały ze złotej korony i stukały o siebie, gdy postać ruszyła ku mnie. Dłonie kryła w rękawach, a wiatr i światło skrzydeł gasły.

Raz już tę postać widziałem, i to ze sporej odległości, otoczoną chmurą dymu z kadzidła, i już wtedy wydała mi się zbyt młoda, jak na to stanowisko. Teraz w twardym spojrzeniu, choć przesłoniętym przez rozkołysane koraliki, wyczuwałem doświadczenia mileniów oraz zimną, niezmierną furję cesarza.

– Nadal mnie fascynujesz, Olcho – powiedział i zrobił krok ku mnie. Niewyraźnej nie chciał mnie zabijać, choć w tym momencie mógł tego dokonać samą tylko myślą, a ja nie zdobyłbym się na żaden opór. – Przyznam, że zastosowałeś sprytną taktykę obronną, zważywszy na to, jaką bronią cię zaatakowałem. Wszak gołąb, który ucieka przed cieniem jastrzębia, również okazuje spryt. Gdybym chciał cię zabić, zrobiłbym to z pokładu mojego okrętu. Lub z powietrza. Odebrałbym ci życie równie łatwo, jak ktoś gasi świecę. Bez

ostrzeżenia. Nie miałbyś nawet okazji poczuć żalu, strachu czy nawet zaskoczenia. A wiesz, czemu tego nie zrobiłem?

Skoro miałem pozostawać poza strukturą, potrzebowałem broni. Sięgnąłem w kierunku rękojeści miecza Podartego Liścia, nadal znajdującego się w pochwie. Dobywając go, przyciągnąłbym uwagę cesarza i przypuszczalnie położył kres rozmowie oraz mojemu życiu.

– Odpowiedz mi! – rozkazał ogłuszającym tonem tego, kto stał na czele hierarchii wykutej z resztek wszystkich królestw świata.

Ja mogłem jedynie pokręcić głową. Zawładnął mną strach tak wielki, iż mogłem skupić się tylko na podtrzymywaniu obrony i na desperackich próbach znalezienia jakiegokolwiek nadziei na kontratak.

– Zostałeś źle poinformowany – powiedział. – Trudno mi zresztą wyobrazić sobie coś równie absurdalnego jak zaufanie bogu zdefiniowanemu jako opiekun oszustwa. Nie mam zamiaru pogrążyć świata w chaosie, Olcho. Czy uczyniłem coś, co by na to wskazywało?

– Kłamiesz – wykrztusiłem. – Siejesz chaos i zniszczenie. Wszędzie, dokąd dociera imperium, nastaje cierpienie.

– Wszędzie, gdzie dotrze imperium, pojawia się porządek – poprawił mnie cesarz. – Oczywiście nie od razu. Chaos jest niczym młody koń i należy go najpierw złamać, zanim zostanie przebudowany w coś trwałego. Znasz doktrynę Sienu, moją doktrynę, prawie równie dobrze jak każdy śmiertelnik. Rozumiesz jej strukturę, jej warstwy, jej hierarchię. Nie pragnę wojny, Olcho, i robię wszystko, żeby jej uniknąć.

Milczał przez moment.

– Zanim wykułem moje imperium, Sien był zlepkiem małych królestw, których władcy domagali się większej władzy, rzucali na siebie swoje armie i topili własne kraje we krwi. Reszta świata wygląda mniej więcej tak samo. Ostatnio widziałeś to na

własne oczy w Nayenie. Ambicja nie jest wcale specjalnym talentem bogów. Wszyscy zostaliśmy nią przeklęci. Ja zaś usiłuję stworzyć świat, w którym ambicję można kontrolować i wykorzystywać dla dobra nas wszystkich. Świat z cesarzem, który w nieskończoność zasiada na szczycie hierarchii, z pozycjami, na które należy sobie zasłużyć, i społeczeństwem, w którym wszyscy, od najbogatszego arystokraty po najuboższego syna owczarza, mają możliwość awansować dzięki egzaminowi. To starannie zaprojektowany świat. Niekompletny, rzecz jasna. System musi bowiem zawrzeć wszystkich, ale ludzie się opierają i nie chcą zrezygnować ze swoich sentymentalnych poglądów, wedle których ich kultury powinny trwać dalej. To tylko jeden z wielu szkodliwych, wypaczonych punktów widzenia na świat.

Równie dobrze mógłby mówić starożytnym językiem, z którego pochodziły wróżące runy Syczącej Kocicy lub którym mówiono na dalekich rubieżach Pustkowiec Batir.

– Włożyłem tyle pracy w zbudowanie tak uporządkowanego świata. Dlaczego więc miałbym zaryzykować to wszystko dla czegoś tak krótkowzrocznego jak zemsta? Wszak już spętaliśmy bogów dzięki paktom. Stali się w zasadzie widzami, którzy przyglądają się upływowi czasu i powoli opuszczają świat, w miarę jak doktryna pożera religie, będące ostatnimi przyczółkami ich wpływów. Oni pragną wyrwać się na wolność i wykorzystali w tym celu ciebie, Olcho.

– To po co był kanon? – spytałem w nadziei, że cesarz odwróci wzrok na tyle długo, bym zdołał złapać miecz Podartego Liścia. – Dlaczego uzbroiłeś Dłonie i Głosy, jakbyś chciał rzucić wyzwanie bogom?

Cesarz zatrzymał się i uśmiechnął niemalże łagodnie jak rodzic próbujący wyjaśnić skomplikowaną prawdę dziecku, które jeszcze nie potrafi jej zrozumieć.

– Tylko głupiec nie chce się zbroić przeciwko znanemu sobie wrogowi – powiedział. – Ja pragnę pokoju, Olcho. Walczyłem o niego ze wszystkich sił i poświęciłem całe życie na to, żeby go rozszerzyć i zachować. To bogowie pragną wojny.

– A więc dlaczego nie skorzystali z okazji, gdy Naphena zbudowała swoje obeliski?

– Bo stawilibyśmy opór. Bogowie są zawistni i małostkowi, ale ostrożni. Zbrodnia Napheny, jeśli można ją w ogóle tak nazwać, nie była tak poważna, żeby domagać się wojny. Zrobili z niej przykład i mieli nadzieję, że ich okrucieństwo przerazi resztę z nas. To użyteczna strategia, przyznaję, i sam z niej korzystałem, ale wystarczyło mi silnej woli, żeby nie ulec lękowi. Teraz bogowie wykorzystują ciebie, żeby zniszczyć naszą obronę, i sięgną po władzę, gdy będziemy słabi.

Dzieliło nas jedynie kilka kroków. Cesarz przyglądał mi się zza swojej połyskliwej zasłony.

– Ile osiągnąłeś, zmieniając strony? Nie musiałeś aż tyle cierpieć.

Dlaczego tak się ze mną bawił? Czemu powstrzymywał się od decydującego ciosu? Chciał patrzeć, jak się wiję? Chciał mnie upokorzyć, by ukarać za zdradę? To, że przedstawił jakąś wersję prawdy, wydawało mi się niemożliwe, ale czy miałem jakikolwiek dowód? Mogłem opierać się jedynie na słowach Okary, Syczącej Kocicy i samego cesarza. Trzech istot, które zrodziły się w czasach mitycznych i których perspektywy i cele były mi równie obce jak moje dla ryb w stawie Głosu Złotej Zięby.

– Wróc ze mną do Fortecy Centralnej – powiedział cesarz. – Znajdę dla ciebie miejsce we Wschodniej Dzielnicy Akademickiej. We dwóch będziemy bronić...

Moje płuca wypełnił chłód, a włoski na karku zaczęły się podnosić. Ktoś przyzywał wiatr. Cesarz oderwał ode mnie spojrzenie i zerknął w stronę Biegnącej Sarny, która nagle

wyciągnęła rękę i eksplodowała gwałtownym naporem ciśnienia.

Cesarz w odpowiedzi wyciągnął palec i przywołał osłaniający go wichur. Oba żywioły starły się, a wtedy cesarz cisnął błyskawicą, jasną niczym słońce. Wyszarpnąłem miecz Podartego Liścia i poderwałem się, celując prosto w serce cesarza.

Biegająca Sarna wrzasnęła. Był to pojedynczy, rozdzierający serce dźwięk, po którym zapadła cisza.

Poczułem zapach płonącego ciała i topiącej się stali.

Cesarz spojrzał na mnie z rozczarowaniem wymalowanym na twarzy. Rozeszła się od niego gorąca emanacja, a jego uniesiona dłoń strzeliła falą gorąca. Czubek mojego miecza, zmierzający ku tej dłoni, rozjarzył się bielą, a potem stopił. Płynna stal ściekała na ziemię niczym gęsty płyn.

– A to była głupota – powiedział cesarz. – Odłóż broń, Olcho.

Wrzask Biegającej Sarny wciąż rozbrzmiewał w moich uszach i nakładał się na ostatni, chrapliwy oddech Wilgi. Oba dźwięki rozbrzmiewały w mojej głowie i budziły taki ból, iż moje serce w każdej chwili groziło rozpadnięciem się na kawałki. Być może zgromadziłem moc, która pozwoliła mi na odwrócenie losów wojny i scalenie armii powstańców, ale wciąż byłem zbyt słaby, by ocalić życie tych, którzy liczyli się dla mnie najbardziej.

Niemniej moją największą siłą zawsze był spryt.

Okara obiecał, lub prawie obiecał, że wybaczy mi wszystko, jeśli udaremnię cesarzowi plany. Jeśli chciałem, by Biegająca Sarna przeżyła, jeśli chciałem ocalić powstanie i sam Nayan, mogłem pokładać nadzieję jedynie w dobrej woli bogów.

Usunąłem więc barierę z mojego umysłu i wbiłem wolę w strukturę świata, jakby był to długi sztylet. Nie widywałem tego wcześniej i nie uczyłem się tego, ale ostrzeżenia i niechętnie wyjaśnienia Syczącej Kocicy dały mi wystarczająco dużo, bym zrozumiał ideę. Chodziło o stworzenie nowego rodzaju kanonu.

O zbudowanie ścian, które nie otaczały umysłu, lecz wyznaczały granice w samej strukturze świata.

Zakreśliłem krąg, którego promieniem było moje wyciągnięte ramię, i odciąłem fragment świata, w którym stałem wraz z cesarzem. Stworzyłem w ten sposób mały mikrokosmos. W jego obrębie zebrałem przepływ struktury, uproszczonej na tyle, bym mógł całkowicie utrzymać ją w moim umyśle, i nie wypuszczałem jej, niezmiennej i bezspornej w swej spójności. Była twardsza niż diament i nawet wola cesarza, cięższa od góry, nie była zdolna jej przeniknąć.

Cesarz otworzył szeroko oczy. Blask i gorąco w jego dłoni zgasły niczym słońce kryjące się za księżycem.

Rozgrzana do białości stal przebiła się przez jego dłoń. Z głośnym wyciem rzuciłem się na niego, przewróciłem go i przycisnąłem ostrze do jego piersi. Z ran cesarza buchnęły kłęby dymu i strumienie krwi, co jak dotąd było pierwszym dowodem na jego człowieczeństwo.

Leżeliśmy przez moment. Cesarz oddychał chrapliwie, a w kącikach jego ust bulgotała krew. Obróciłem ostrze, aż stal zazgrzytała o zębra. Wola cesarza poderwała się niczym smok i z furią uderzyła o barierę, którą zbudowałem wokół nas. Desperacko próbował przebić się z powrotem do struktury świata.

– Zostałeś wykorzystany! – warknął, opryskując mnie krwią.

Zacisnąłem powieki i nie myślałem o niczym. Odepchnąłem myśli o bitwie i o ranach Biegnącej Sarny, a skupiłem się jedynie na utrzymaniu murów, które oddzielały nas od szerszej struktury. Musiałem je utrzymać, póki nie umrze.

Czyjaś dłoń wbiła się w moje ramię, odciągnęła mnie od cesarza i rzuciła na ziemię. Przetoczyłem się z krzykiem i zerwałem na równe nogi, gotów stawić czoła napastnikowi. Czaszki we włosach Syczącej Kocicy wpatrywały się we mnie, a ich puste oczodoły zdawały się płonąć z furii. Zawahałem się

i o mało nie straciłem kontroli nad stworzoną przez siebie pieczęcią w strukturze.

– Zapewne powiesz mi później, że nie miałeś wyboru – warknęła Sycząca Kocica.

– Przecież wszystko w porządku – wymamrotałem zaskoczony, niemalże zmieszany. Pomyślałem, iż przyczyną zapewne był wysiłek konieczny do utrzymania pieczęci. – Okara powiedział..

Cesarz parsknął śmiechem, a potem się rozkaszał. Znużony i zrezygnowany, uniósł zdrową dłoń i wskazał coś na niebie.

Gwiazdy przesłaniał dym, ale ciemna przestrzeń między nimi wydawała się falować i rozmywać niczym świat widziany przez upał nad piaskami Pustkowiec Batir. Za sobą słyszałem pełen niedowierzania okrzyk Podartego Liścia. Sycząca Kocica cisnęła swoją wolę w kierunku cesarza i zbudowana przeze mnie pieczęć rozprysnęła się jak porcelana.

Poczułem przerażenie, a potem ból, jakby każdą żyłą w moim ciele płynął ogień. Przepęłił mnie strach, że zaraz umrę.

Mimo to moje serce nie przestawało bić, a ja zrozumiałem wreszcie, co czuję. Nie był to nagły atak choroby czy uderzenie wroga, ale oddziaływanie magii potężniejszej nawet od tej, która dzięki woli cesarza biła z Tronu Tysiąca Ramion. Magii, która mogła być jedynie dziełem bogów. Teraz ta moc rozdzierała świat na strzępy i dosięgała również mnie. Wszak chroniąca mnie bariera już znikła.

Cesarz śmiał się bełkotliwie, zachłystując się krwią.

– Potrzebowałem jedynie nieco więcej czasu – wymamrotałem, a potem spojrzał na mnie błyszczącymi oczami. – Ale to... Aleś ty łatwowierny... Niech mnie szlag!

– Nie ruszaj się, Doktryno – rzuciła Sycząca Kocica i podeszła do jego boku. Rozeszła się kolejna fala magii, łagodna niczym łyk ciepłej herbaty i jakże słaba w porównaniu z tym, co

opadało z nieba. Starucha ostrożnie wyjęła ostrze z piersi cesarza.

– Co ty wyprawiasz? – spytałem.

– Teraz to będziemy go potrzebować – warknęła Sycząca Kocica i ruchem podbródka wskazała niebo.

Z rozedrganej, falującej mgły nad nami wyłaniały się niewiarygodne postacie. Widziałem rozwijające się skrzydła, przypominające kwiaty, spowite w blask spływający z wyrw między gwiazdami.

– Nie – mruknąłem. – Jeśli go zabijemy, wybaczą nam i cały konflikt zostanie zakończony.

– Jeśli mnie zabijecie – głos cesarza nabierał siły, w miarę jak Sycząca Kocica leczyła jego rany – na co bogowie z pewnością liczyli, pozbawicie nas największej szansy, jaką macie w starciu z nimi.

– Nic nie mów! – parsknęła Sycząca Kocica. – Próbuję łątać twoje poszarpane płuca!

Cisnąłem swój umysł do prądów przeszywających strukturę, które kotłowały się niczym kocioł wrzącej wody, jakby w ich nurt jednocześnie wrzucono tysiące rozgrzanych kamieni. Wbiłem się we wspomnienia znalezionego psa, pobitego i porzuconego przy drodze, któremu pomogłem powrócić do zdrowia. Przypomniałem sobie również jaskinię Syczącej Kocicy i wszystko inne, co mogło doprowadzić mnie do Okary. Chciałem móc sobie wszystko wyjaśnić, zanim sprawy wymkną się spod kontroli i koniec świata rozpocznie się na poważnie.

Ale nie mogłem go znaleźć, choć szukałem intensywnie. Odniosłem wrażenie, że jego umysł znikł ze struktury. A może struktura została już podarta w zbyt wielu miejscach, przez co zacząłem się gubić wśród jej strzępów?

Gdybym zabił cesarza, nie byłoby już potrzeby prowadzić tej wojny. Bogowie z pewnością by to dostrzegli i wszystko mogłoby znów wyglądać tak jak kiedyś. Osobliwe wrota na

niebie zostałyby zamknięte. Bogowie znikliby wraz z otaczającą ich zgrozą, a ja miałbym wreszcie czas, by znaleźć Biegnącą Sarnę, uzdrowić ją i rozpocząć godne życie, na zawsze żegnając się ze zdradą, koszmarem i wojną. Sięgnąłem po magię bitewną i odwróciłem się ku cesarzowi.

Ten wbił we mnie wzrok, a w jego oczach błysnęła nienawiść. Mój żołądek skrzywiło oddziaływanie magiczne, jakiego nigdy wcześniej nie odczuwałem. Zatoczyłem się i padłem, nie mogąc przewyciężyć zawrotów głowy. Najwyraźniej cesarz tworzył cud, którego nie umiałem wyjaśnić, niepasujący do mocy jego kanonu i nieprzypominający magii przekazywanej przez znane mi pakty. Naraz zniknął z hukiem przypominającym uderzenie pioruna, a powietrze z sykiem zbiło się, by wypełnić pozostawioną przez niego pustkę. Padłem na ziemię, a obok na kolanach wylądowała Sycząca Kocica. Czaszki w jej włosach kołysały się i stukały.

– Ty idioto! – ryknęła. – Nie mogłeś choć raz zrobić czegoś mądrego?

– Nie mogłem postąpić inaczej! – Wiedziałem, że to żałosna, wręcz dziecinna obrona.

– Mówiłam ci, żebyś tego nie robił, i proszę! – Sycząca Kocica przysiadła na piętach.

– Myślałem...

– Nie, nie myślałeś. Ty reagowałeś. Uznałeś, że zabicie Doktryny uwolni nas od wszystkich naszych problemów, bez względu na to, jak tego dokonasz.

– A gdzie ty byłaś? – spytałem, maskując wstyd wybuchem gniewu. – Razem dalibyśmy mu radę!

– Przybyłam najszybciej, jak się dało. Tamten Głos okazał się zaciekłym przeciwnikiem, a te półwiedźmy, które wysłałeś, stanowiły bardziej problem niż pomoc. Straciliśmy dwie, a reszta znikła. Zapewne uciekły.

Czyli straciłem kolejnych przybocznych, posłanych do bitwy, na którą nie byli w zasadzie przygotowani. Podszedłem do Biegnącej Sarny, która leżała w kraterze wybitym w ścieżce. Z jej poczerniałych ran unosił się dym. Padłem na kolana, a moje serce przepełnił ból, dzięki któremu zapomniałem nawet o nadejściu bogów. Przez mgłę przebiły się wspomnienia. Jej odwaga. Jej życzliwość. Jej rumieńce.

Wtem poczułem, że coś odciąga mnie od struktury świata, jak gdyby jakiś umysł poszukiwał mnie dzięki mocy transmisji.

„Pomóż... mi...”

Serce zabiło mi szybciej. Zakrawało to na cud, ale ona naprawdę jeszcze żyła! Podbiegłem do niej i przekonałem się, że w popalonej, kalekiej dłoni nadal zaciskała kanon. Wyczułem też ledwie zauważalną emanację uzdrawiającej mocy, tyle, by udało jej się utrzymać przy życiu, choć jej rany z pewnością były śmiertelne.

Ale przynajmniej miałem szansę ją uratować. Nie powiodłem jej na pewną śmierć!

Niewiele to znaczyło w obliczu końca świata, ale przynajmniej mogłem zrobić coś, co miało sens. Zacerpnałem mnóstwo magii uzdrawiającej i wlałem ją w jej ciało, tak jak w ciało babci w Twierdzy Szarego Mrozu. Gdy jej klatka piersiowa odzyskała pierwotny wygląd, Biegnąca Sarna nabrała tchu, drżąc na całym ciele, a potem zaczęła wrzeszczeć. Jej krzyk rozdzierał mi uszy i serce.

– Jestem przy tobie! Wszystko będzie dobrze! – wołałem.

– Nie okłamuj jej, Głupi Kundlu – warknęła Sycząca Kocica. – Bitwa z dawnych czasów wnet rozpocznie się na nowo.

– Ale Okara...

– Nawet jeśli bogowie wybaczą ci złamanie paktu, nie zapomnij, że Doktryna też to zrobił – ciągnęła starucha. – Zwinął i rozwinął strukturę, a sam przecisnął się przez

szczelinę. Pewnie jest już w Fortecy Centralnej, a jego Dłonie, Pięści, Głosy czy co tam ma właśnie łątają mu rany.

Jeden z bogów – odległa, mieniąca się sylwetka złożona ze światła załamującego się pod niemożliwymi kątami – wyciągnął rękę w stronę zachodniego horyzontu. Poczulem nagłą zmianę w strukturze świata. Światło eksplodowało mi za zaciśniętymi powiekami, a po kręgosłupie spłynął wściekły ból. Pochyliłem się, walcząc z nudnościami. Magia uzdrawiająca zadrżała niczym pędzel w ręku przestraszonego kaligrafa. Biegająca Sarna jęknęła, gdy kojąca moc zaczęła słabnąć, ale odbudowałem czar, gdy tylko byłem w stanie. Na zachodnim horyzoncie szalał fioletowy ogień, tu i ówdzie buchały już kłęby dymu i pary.

– Przynajmniej nie musisz się już martwić o ekspedycję karną – rzekła Sycząca Kocica.

– Doktryna powiedział, że Okara mnie wykorzystał. Że to bogowie, a nie cesarz, pragnęli wojny.

Sycząca Kocica zignorowała mnie. Zamiast tego podeszła do Podartego Liścia, nadal leżącego wśród połamanych bambusów.

– Nie ruszaj się – burknęła, a ja poczułem falę jej magii uzdrawiającej. Na tle chaotycznych odgłosów towarzyszących przebudzeniu bogów przypominała wyciszającą melodię.

– Nie wiem, co przyświecało temu psu na początku, ale teraz byłby głupcem, gdyby postawił się swoim – rzekła.

Wszystkie moje wysiłki i całe planowanie poszły na marne. Znowu poczułem ogromny ciężar, ale nie wiedziałem, czy to jakiś bóg, kontratak cesarza, czy może moja własna rozpacz.

– Ustabilizuj jej stan! Szybko! – rzuciła Sycząca Kocica.

Wpatrywała się w miejsce nad morzem, które wydawało się ściągać dym znad miasta. Kłęby zaczynały tam gęstnieć, tworząc ciemną masę przypominającą drugi księżyc. Struktura wydawała się osobliwie luźna, niczym nici starej, postrzępionej szaty.

– Gdy będziemy mieć pewność, że dziewczynie nic nie grozi, odnajdziesz swojego wuja i Wściekłą Wilczycę. Muszą sprowadzić jak najwięcej ludzi do centrum miasta, bez znaczenia, Sieneńczyków czy Nayeńczyków.

– Sieneńczycy się nie poddali! – zaprotestowałem. – Nie powinniśmy zaczekać...?

– Które z nas przeżyło już kiedyś koniec świata? – warknęła starucha. – Rób, co ci mówię. Mogę zapewnić ochronę wszystkim, którzy znajdą się wewnątrz murów miejskich, ale nie za nimi, choć nie ręczę za tych, którzy znajdą się na skraju. Moja moc też ma swoje ograniczenia.

– A przed czym chcesz ich chronić?

– Wszyscy jesteśmy związani ze strukturą, Głupi Kundlu – odpowiedziała. – Nasze ciała, nasze umysły, wszystko, czym jesteśmy. Jak myślisz, co się stanie z ludźmi, gdy struktura zacznie się rozsypywać?

– Zaczniemy umierać? – spytałem.

– Oby tylko – mruknęła Sycząca Kocica.

Spojrzałem na Biegnącą Sarnę. Jej skóra połyskiwała jak u noworodka. Wiedziałem, że zdołam zaleczyć wszystkie rany i usunąć blizny. Nic już nie będzie przypominać o tym, że kiedyś zaprowadziłem ją na skraj śmierci. Oddychała miarowo, a jej puls, choć słaby, przestał gasnąć.

– Przeżyje! – zawołała Sycząca Kocica. Wstała już, a wiatr smagał jej twarz, trącając czaszkami kruków. Pręt jej woli wbijał się w głąb struktury i wycinał w niej ogromną elipsę wokół murów Wschodniej Fortecy. – Idź już! Nie będę długo czekać! Masz się jak najszybciej znaleźć za moją barierą. Nie spodoba ci się to, co wyłazi w miejscach, gdzie struktura staje się rzadka.

Nigdy dotąd nie słyszałem takiego ponaglenia w jej głosie. Zerwałem się na równe nogi i wzbiłem w powietrze, ale pokonałem zaledwie kilkaset kroków, gdy jeden z bogów

odwrócił się ku mnie. Sięgnął jednym z niezliczonych odnóży przypominających skrzydła, a mój świat wypełnił fioletowy ogień.

Odsłonięcie świata

Dłoń Lotka

Paskudne uczucie pustki ogarnęło Lotkę, jakby patrzył na starożytne dzieło sztuki znieważone przez wandala. Nadal stał na dziobie statku, gdzie pozostawił go cesarz. Trzymał się burty i spoglądał w kierunku centrum owego straszliwego oddziaływania magicznego. Zjawisko powinno być widoczne – powinien móc dostrzec jakąś eteryczną ciemność czy rozlewający się cień, sięgający od ziemi do nieba – ale o tym, że dzieje się coś złego, informowały go jedynie wrażliwość na strukturę świata oraz świadomość, że z chwilą pojawienia się owego oddziaływania kanon magii znikł z jego umysłu, jakby w strukturze świata wybito dziurę na wylot.

Wśród Pięści stanowiących załogę Tronu Oceanu zapanował lęk. Oficerowie, starający się trzymać resztki dyscypliny, wykrzykiwali rozkazy, a ludzie biegali po pokładzie i sprawdzali balisty na dziobie i rufie. Lotka sądził, iż załodze chronionej przez czarowników broń miotająca jest w zasadzie zbędna, ale teraz zrozumiał, że dobrze było zachować ostrożność. Kapitan Huo ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się działaniom przeszkolonej, choć mocno zaniepokojonej załogi. Był jedynym człowiekiem na pokładzie, który nie zdawał sobie jeszcze sprawy z okrutnej rany, jaką zadano światu,

i równie przerażającego prawdopodobieństwa śmierci cesarza. Bo czy istniał inny powód, dla którego kanon magii miałby zniknąć, i to nie tylko z jednego umysłu, co miało miejsce pod Twierdzą Szarego Mrozu, ale z całego świata?

Lotka poczuł, jak drętwieje z przerażenia. Śmierć cesarza natychmiast uwalniała go od dziesiątek ciężących na nim problemów i dylematów, jak choćby dziwacznej propozycji, którą właśnie usłyszał, czy jego własnego kryzysu wiary w służbę imperium. Z drugiej strony znany mu świat właśnie osuwał się w chaos. W myślach ujrzał niezliczone powstania i rebelie, szerzące się po świecie niczym dziki ogień po stepie. Koszmar spod Fortecy Zachodzącego Słońca bladł w obliczu śmierci i zniszczenia, które nastąpiłyby w tej sytuacji.

Okrucieństwo nie miałoby końca do chwili, gdy z chaosu wyłoniłaby się nowa zgraja tyranów, by narzucić światu własną wizję.

Kątem oka dostrzegł migotanie, a potem gdzieś z tyłu jego głowy przebudziła się zgroza. Ciemność między gwiazdami zaczęła się rozmazywać, potem się rozchyliła, aż w końcu uformowała kształt, którego w pierwszej chwili nie umiał pojąć. Sam nie wiedział, czy patrzy na ogromnego morskiego ptaka, czy też na gigantyczny kwiat zawieszony w powietrzu. Nowe zjawisko było zarówno obiema tymi rzeczami, jak i żadną z nich. Perłowe skrzydła rozwijały się w nieskończoność. Były ich dziesiątki, a może setki. Niczym płatki kosmicznej róży, każda para skrzydeł unosiła się i opadała we własnym oszalamiającym tempie.

Wszyscy ludzie na pokładzie okrętu stanęli jak wryci i wpatrywali się w niebo, gdzie pojawiały się kolejne przedziwne kształty, wszystkie nieprawdopodobne i niepojęte.

Zgroza w sercu Lotki w mig ustąpiła respektowi, jaki mógłby odczuwać owad, gdyby nagle nabrał świadomości i zrozumiał, że przyłgnął do ściany cesarskiego dworu. Był niczym, ale mimo

to jedna z owych istot wyciągnęła ku niemu skrzydło w geście powitania. Z opalizujących piór buchnęły płomienie, które opadły niczym fala przyboju, jaśniejsze od słońca w południe.

Jednakże respekt przeobraził się znów w przerażenie.

Lotka, całkiem zapomniawszy o tym, że porzucił go kanon, sięgnął po magię osłaniającą. Znad morza buchnęły kłęby pary, a z pokładu pod jego stopami uniósł się dym. Wszędzie słychać było wrzaski, nagle dziwnie stłumione, jakby powietrze nieoczekiwanie zgęstniało.

A więc tak miał umrzeć. Śmierć miała mu przynieść istota zbyt dziwna, jak na sen czy mit.

Tron Oceanu przestawał istnieć. Nie płonął, ale po prostu się rozpadał, jakby ktoś albo coś rozplatało strukturę na nici. Mocny drewniany pokład przez moment wydawał się sypki niczym piasek, a potem przeobraził się w dym i Lotka runął w dół, chroniony jedynie przez migotliwą aurę światła, którą jakimś cudem zdołał utkać.

Magia osłaniająca ocaliła go przed osobliwą magią niszczycielską pochłaniającą okręt, ale nie broniła przecież przed morzem, które szalało i kipiało niczym podczas zimowego sztormu. Wpadł głęboko w toń, a jego szaty, nasączone lodowatą wodą, uniosły się wokół niego. Lotka wiał się i szarpał, aż pozbył się jedwabów, a potem zaczął desperacko płynąć w kierunku białawej kipieli, którą uznał za powierzchnię. Sól kłuła go w oczy, wdzierała się do nosa i próbowała wepchnąć się do ust.

W końcu wyrwał się na powierzchnię i potężnym haustem wciągnął powietrze do płonących płuc. Wokół niego, niczym wielkie zbocza, unosiły się fragmenty kadłuba, dryfując w ostatnich chwilach przed zatonięciem. Skrzydlata istota nie zwracała sobie głowy niszczeniem całego okrętu, a jedynie zadowolili się wycięciem jego centrum.

Jakaś dłoń zacisnęła się na ramieniu Lotki i zaczęła ciągnąć go w stronę masztu, za którym wlokły się resztki takielunku. Kolumna masztu została odcięta od pokładu czysto niczym ciosem ogromnego noża rzeźnickiego.

Lotka zdołał wdrapać się na maszt i przytulić do niego mocno. Dopiero wtedy ujrzał unoszące się na wodzie szczątki. Wszędzie falowały kończyny, korpusy i inne fragmenty ciała, pocięte bezkrwawo nieznanym niszczycielskim płomieniem.

– Umiesz pływać? – czyjś głos przebił się przez huk fal.

Kapitan Huo trzymał się masztu obok Lotki i nachylał nad nim. Ten pokiwał głową, powstrzymując nudności. Jak Huo przetrwał, skoro wszyscy inni najwyraźniej zginęli? Zresztą jak przetrwał sam Lotka? Przecież bez kanonu nie mógł sięgnąć po magię, a mimo to...

– Musimy odpłynąć od wraku! – wykrzyknął Huo. – Przywiąż się do masztu i machaj nogami. Musimy się zbliżyć do innych jednostek!

Trzymał długą linę, którą obwiązał sobie jedno ramię, a potem drugie. Stworzył tym samym uprząż, dzięki której mógł utrzymać się nad powierzchnią wody, pod warunkiem, że sam maszt nie zatoni. Lotka pochwycił przemoczony sznur, nadal przywiązany do ściętego masztu. Gdyby ten poszedł na dno, pociągnąłby ich za sobą, ale przecież wpław i tak nie dotarłby do lądu.

– Czemu mi pomagasz? – wykrzyknął do kapitana.

– Nie mamy na to czasu! – Huo zmarszczył brwi.

– Ale przecież ty mnie nienawidzisz! – krzyczał Lotka, ignorując protesty Huo. – Czemu nie pozwalasz mi pójść na dno?

– Moje uczucia nie mają tu nic do rzeczy! – warknął Huo. – Jesteś Dłonią cesarza, a ja źle zrobiłem, skoro w ciebie zwątpiłem. Cesarz darzy cię zaufaniem. Moim zadaniem jest uratować ci życie.

Lotka parsknął śmiechem, ale rozkaszłał się, gdy nabrał słonej wody do ust. Huo mówił tak, jakby był pewien, że cesarz żyje. Tymczasem we Wschodniej Fortecy wydarzyło się coś strasznego, co wyciszyło kanon magii i przywołało na świat koszmary.

Lotka nie miał wątpliwości, że za wszystkim stał Wen Olcha. Któż inny miałby tyle mocy? Wola cesarza została złamana, choć wydawało się to niemożliwe. Olcha dokonał już tego pod Twierdzą Szarego Mrozu.

Gdyby nie jego własny spryt połączony ze strachem i niechęcią do wzięcia udziału w przesyconym okrucieństwem szaleństwie, być może zdołałby bardziej opóźnić marsz Olchy w kierunku Wschodniej Fortecy i dał cesarzowi więcej czasu na zamknięcie pułapki. Może zdołałby ocalić świat przed zniszczeniem.

Przepełniła go rozpacz, a wraz z nią pojawiła się chęć, by puścić maszt i pozwolić falom porwać jego ciało, co byłoby idealnym zakończeniem absurdalnego życia. Poczul jednak coś w sercu. Była to wściekłość tak silna, iż morze nie zdołałoby jej zagasić. Wściekłość na wszystko, co zrobił Olcha – najpierw Wildze, potem Przewodnikowi, a na końcu całemu światu.

Jasna istota wisząca na niebie za kapitanem rozłożyła kolejne skrzydło.

Nie było już czasu na wątpliwości. Mógł ocalić życie tylko dzięki tej linie trzymanej przez Huo i dryfującemu masztowi. Był gotów do niego przywrzeć i zrobić wszystko, by nie poddać się śmierci. Chciał przeżyć Wena Olchę i doczekać chwili, gdy zostanie on ukarany za wszystkie winy.

Lotka zarzucił wystrzępioną linę na jedno ramię, znalazł jej drugi koniec w wodzie, przewlókł go pod pachą i zawiązał tak mocno, jak tylko pozwoliły mokre włókna. Huo skinął głową, nadal nieświadom tego, że śmierć wisiała nad nimi na opalizujących piórach.

– Płynmy razem! – zawołał. – Jeden z okrętów...

Wtedy opadły fioletowe płomienie, szerząc zniszczenie wśród flotyli niosącej cesarską armię. Wrzaski ludzi nagle ucichły. Fale szalały. Lotka zacisnął powieki i poczuł, jak coś porywa go ku niebu.

Wędrujący Wąskim Traktem

Głupi Kundel

Mknęły ku mnie fale perłowego ognia, a wraz z nimi przebudziła się zgroza. Skręciłem ostro na jastrzębich skrzydłach i dla obrony przywołałem ścianę światła. Płomienie rozlały się po tarczy, która wytrzymała przez pełną nadziei chwilę, a potem zaczęła się rozłazić jak mokry papier.

Porażone ogniem nerwy eksplodowały bólem. Wrzeszczałem, wdzierając się głęboko do wnętrza struktury świata. Bariery światła nieprzerwanie eksplodowały wokół mnie. Przywołałem magię uzdrawiającą, która spajała moje ciało, rozszarpywane przez płomienie. Odruchowo ściągnąłem również podmuch wiatru. Poderwał mnie i wyniósł poza zasięg mocy zsyłanej przez nienawistnych bogów.

Toczyłem się i przewracałem, aż zatrzymałem się gdzieś za murami Wschodniej Fortecy, niedaleko skraju lasu. W cieniu drzew leżały całe rzędy rannych Nayeńczyków, a pomocnicy doktora Sho uwijali się wśród nich z opatrunkami i nalewkami. Powróciłem do ludzkiej postaci i rzuciłem się ku nim biegiem, choć czułem bolesne skurcze wywołane wyczerpaniem i oddziaływaniem magicznym.

– Kierujcie się do miasta! – krzyczałem, zdzierając sobie gardło.

Starsza kobieta uniosła głowę znad opatrywanego mężczyzny i spojrzała na mnie zaskoczona.

– Czy Forteca już padła? – zapytała.

Zatrzymałem się przy niej.

– Nie, ale tam jest bezpieczniej! Zbierz wszystkich i schowajcie się za murami! – odpowiedziałem.

Zmarszczyła czoło jeszcze mocniej i wskazała mężczyznę, którego miała pod opieką.

– Ci ludzie są ranni i nawet chwila poświęcona na rozmowę może skazać kogoś z nich na śmierć! Nie wyobrażam sobie, żeby teraz gdziekolwiek ich nosić! Mów, co się dzieje i kto wydał rozkaz, albo zjeżdżaj stąd i daj nam pracować!

Nie rozpoznała mnie, bo zresztą jak miała to zrobić. Od wydarzeń w Twierdzy Szarego Mrozu trzymałem się na uboczu, skupiony na przygotowywaniu kanonu i przybocznych. Zawsze obozowałem z dala od reszty i mało kto z szeregowych powstańców miał o mnie jakiegokolwiek pojęcie. Rozejrzałem się w poszukiwaniu doktora Sho, mając nadzieję, że gdzieś dostrzegę jego kufer z lekami, czy może mignie mi futro Okary. Ci uzdrowiciele przecież słuchali jego rozkazów, a Sho zrozumiałaby ostrzeżenia Syczącej Kocicy.

Osobliwy drżący miraż, który pojawił się w przerwach między gwiazdami tuż przed zstąpieniem skrzydlatych bogów, tu i ówdzie rozlewał się nad lasem. Miałem wrażenie, że światło trzęsie się i dygocze. Spostrzeżenie przepełniło mnie nagłym przerażeniem, bo przypomniały mi się fale migotliwego ognia. Zamrugalem, bojąc się, że wzrok nie doszedł jeszcze do siebie po obrażeniach, ale choć przechylałem głowę i mrużyłem oczy, drżenie powietrza wcale nie mijało i miałem spore trudności z odróżnieniem liścia paproci od pnia drzewa czy korzenia od opadłej gałęzi.

Na skraju jednej z plam, które widziałem, poruszył się jakiś cień. Najpierw obudziła się we mnie nadzieja, że widzę Okarę idącego za doktorem Sho, ale to, na co patrzyłem, przypominało bardziej przygarbionego lisa o długich nogach i ostrym pysku, przemykającego przez szczelinę między dwoma pniami. Wtedy jednak doliczyłem się piątej i szóstej nogi i zauważyłem, że stworzenie nie ma ogona. Podążała za nim ciemność, a gdy spróbowałem skupić wzrok, stworzenie odpłynęło na skraj pola widzenia, jakby moje spojrzenie umknęło ze strachu. Sięgnąłem po magię bitewną.

– Uciekajcie! Natychmiast! – wykrzyknąłem i pchnąłem uzdrowicielkę tak, by znalazła się za mną.

W chwili gdy nóż uformowany z mojej woli dotknął struktury świata, stworzenie rozdziawiło paszczę, pokazując niezliczone zakrzywione zęby. Z mojej wyciągniętej ręki strzeliła błyskawica. Bestia przetoczyła się z głuchym sykiem, szczękając kłami. Jej targane spazmami ciało buchało dymem.

Uzdrowicielka wrzasnęła i przypadła do ziemi, nakrywając twarz dłońmi. Ja zaś zrobiłem ostrożnie krok w kierunku potwora. Nadal nie mogłem skupić na nim wzroku, a koszarne oddziaływanie magiczne towarzyszące pojawieniu się bogów potężniało z każdą chwilą i budziło coraz większy ból. Tak jak często zmuszałem świat, by podporządkował się mojej woli, tak teraz zmusiłem wzrok, by skupił się na potworze. Stworzenie mogło kiedyś być wilkiem czy psem, ale jego ciało było zniekształcone i uformowane w coś innego, zupełnie jak moje podczas pierwszej, nieudanej próby zmiany postaci. Patrzyłem na ten twór pozbawiony oczu i uszu, a składający się z mięśni i szponów. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób postrzegał świat dookoła siebie, ale nawet teraz, w szczytowym momencie agonii, odwrócił ku mnie pysk i zaczął warczeć.

– Zbierzcie tylu rannych, ilu się da – powiedziałem ostro. –
I uciekajcie!

Tym razem kobieta pokiwała głową.

– Potrzeba nam czasu do zbudowania noszy.

– Uporajcie się z tym jak najszybciej – powiedziałem
i przywołałem wiatr, by oderwać łeb potwora od jego ciała.
W tejże chwili usłyszałem za sobą syk.

W lesie zaroilo się od wypaczonych, potwornych istot. Każda
była inna od pozostałych. Hybrydy zwierząt i ptaków wypadały
na mnie, a błysk ich szponów rozcinał cienie. Odpowiedziałem
burzą wiatru, ognia i błyskawic, która zamieniała jedną bestię
po drugiej w zwęglone truchła. Wokół mnie pojawiły się
płomienie.



– Nie ma czasu! – wykrzyknąłem, paląc kolejną skaczącą na mnie bestię na popiół. – Uciekajcie!

Przez wrzaski przerażonych rannych i ich opiekunów przebiły się rozkazy. Uzdrowicielka niedaleko mnie złapała swojego pacjenta pod pachy i zaczęła go wlec przez pole, nie chcąc porzucić go nawet po to, by ocalić własne życie, co wydało mi się zarówno wspaniałe, jak i idiotyczne. Wszędzie dookoła rozgrywały się podobne sceny, częściowo rozmazywane przez blask błyskawic, skaczące potwory i płonące drzewa – mężczyźni i kobiety ryzykowali własne życie, by ocalić jak największą ilość rannych. Chciałem na nich krzyczeć i poganiać ich, by się pospieszyli, zanim potwory dostrzegą w nich łatwiejszy łup.

Tak się jednak nie stało.

Potwory nacierały w coraz większych ilościach, a z każdym kolejnym napastnikiem coraz wyraźniej czułem przenikające do kości oddziaływanie magiczne bogów. Bestie ignorowały rannych i uzdrowicieli, ale moja magia nie liczyła się z niczym. Strzelała gotująca się żywica, drzewa waliły się na ziemię, a wszędzie dookoła buchały pożary, których ryk zagłuszał wycie i syki bestii oraz wołanie na alarm. Bitwa stanowiła wielkie zagrożenie dla rannych, ale z jakiegoś powodu to ja byłem głównym celem ataku. Nie umiałem tego wyjaśnić, ale potrafiłem to wykorzystać, by odciągnąć uwagę potworów.

Zmieniłem postać i skoczyłem ku niebu. Przemknąłem przez korony drzew i pomknąłem nad nimi. Bestie pędziły za mną, wyjąc i sycząc, przemykając między cieniami i migotliwymi plamami szybciej niż jakiegokolwiek inne stworzenie. Kątem oka dostrzegłem inny cień, który opadał szybko, celując we mnie szponami i straszliwym dziobem. Wpadł we mnie, wgryzając się w ciało i rozrywając pióra. Przegnałem go wybuchem wiatru z płomieniami, ale pojawiły się kolejne cienie. Wpijały się we mnie szponami jak z żelaza i ciągnęły mnie w dół, ku ziemi.

Uderzyliśmy w pień jakiegoś drzewa. Rozpędziłem stwory wachlarzem błyskawic i zacisnąłem zęby, by jakoś przetrzymać

gorąco magii. Kolejne bestie krążyły jednak nad moją głową, a świat wydawał się nagle cieńszy i wręcz postrzępiony – wszędzie bowiem widziałem niezliczone falujące, rozmazane plamy, które rozmywały zarysy korzeni, krzaków i pni. Słyszałem wycie i tupot łap wypaczonych wilków. Nim zdążyłem nabrać tchu i rozmasować kurcze w ramionach, bestie wypadły na mnie z lasu, a ich skrzydlaci kuzyni runęli z nieba. I znów walczyłem, ciskając ogniem, wiatrem i błyskawicami, aż las znów zaczął płonąć. Ramiona miałem ciężkie jak z ołowiu, ciało dygotało z zimna, a w głowie czułem pustkę. Nawet moja moc miała swoje granice, do których właśnie dotarłem.

Długi, kłapiący dziób wyłonił się z kłębiącego się dymu i wgryzł w moje ramię. Wrzasnąłem głośno i podmuchem wiatru ostrego jak brzytwa odrzuciłem bestię w sam środek płonącego piekła. Jakiś szpon wbił się w moje udo i padłem na kolana, choć jednocześnie zamieniłem napastnika w bulgoczącą, czarną jak smoła kałużę. Pozwoliłem, by mój umysł zanurzył się głębiej w strukturę, uruchamiając jednocześnie pół tuzina czarów i lecząc rozszarpywane kolejnymi razami ciało.

Musiałem się zastanowić, odetchnąć, zaplanować cokolwiek!

Sycząca Kocica ostrzegała mnie przed potworami ulepionymi z tkaniny rzeczywistości, które szalały po świecie, gdy czarownicy i wiedźmy toczyli wojnę z bogami, i nie potrafiły pokonać barier dzielących strukturę.

Tak jak w chwili, gdy wykonałem mój idiotyczny atak na cesarza, wbiłem się głęboko w strukturę i wzniosłem własne mury. Napór obcej mocy zelżał natychmiast, a mnie ogarnęło odrętwienie. Potwory rzucały się w stronę bariery. Niektóre wyhamowywały w ostatniej chwili, bulgocząc i dygocząc, wymiotując kwaśną krwią i zamieniając się w stosy mięsa, sterczących kości i czarnej juchy. W przepełnionym dymem

powietrzu wirował dziwny, obrzydliwy zapach, przywodzący na myśl woń kurzu i gnijącego mięsa.

Potwory, które zdołały uciec, czaiły się przy stworzonej przeze mnie barierze, kłapiąc szczękami i obwąchując rozmytą ziemię. Kilka z nich miało ślepią, którymi wpatrywały się we mnie z morderczą desperacją. W obrębie kręgu zaś świat się goił. Spoglądając na spalony pień starego drzewa, nie czułem już zawrotów głowy i nudności.

Przycisnąłem kolana do piersi, otoczony śmiercią i poczerniałymi szkieletami drzew, osaczony zewsząd przez potwory, których kończyny zaprzeczały prawidłom fizjologii, a skrzydła wszelkiej logice.

Zaciskałem oczy ze wszystkich sił, aż za powiekami eksplodowało światło. Marzyłem o tym, by ów koszmar wreszcie się zakończył, ale gdy otwierałem oczy, potwory wciąż tam były.

Wiedziałem, że jestem potrzebny gdzieś indziej, ale bezpieczeństwem mogłem się cieszyć jedynie wewnątrz mojej bariery. Gdybym padł z głodu, pragnienia czy wyczerpania, czar przestałby działać. Gdybym zmienił postać, bariera natychmiast by się rozpadła, a bestie na pewno wykorzystałyby ów moment słabości i rozszarpały mnie na strzępy.

Jeden ze stworów spojrział w górę, zaalarmowany jakimś odgłosem, odsłonił kły przypominające łopaty i pochylił łeb. Pozostałe poszły w jego ślady. Jeden z nich, krążący w górze, zakrakał, jakby jakiś drapieżca zagroził jego gniazdu, a potem odleciał. Potwory naziemne rozplynęły się w poszyciu.

Siedziałem wstrząśnięty. Zrozumiałem, że pojawiła się okazja do ucieczki, ale mimo to byłem zbyt przerażony, by zlikwidować barierę. Wtedy usłyszałem kroki i szelest liści.

Zakręciło mi się w głowie na widok doktora Sho. Na plecach miał kufer z lekami, a u jego boku stał Okara.

– Wstawaj – burknął Sho zgryźliwie. – Zrobiło się tu mocno niestabilnie po tych twoich magicznych popisach.

– Jak mnie znalazłeś? – wyrzuciłem z siebie. – Jak ty to przeżyłeś?

– O mało nie doszło do pożaru całego lasu! – powiedział doktor. – Uznałem więc, że to albo Sycząca Kocica, albo ty. Nie zostałeś ranny? Wyglądasz dobrze.

– Nie, nic mi nie jest. – Nabrałem tchu, drżąc na całym ciele. Jego obecność dodała mi otuchy. Wszystko nagle wydało się normalniejsze, choć sam doktor nie wydawał się zwykłym człowiekiem. – Odniosłem parę ran, ale sam się z nimi uporałem.

– Póki co powstrzymaj się od leczenia. I od latania. Najlepiej to w ogóle nie rzucaj czarów. – Podał mi dłoń. Złapałem ją i wstałem. – Nieutkanych przyciąga magia. Przypominają pająki, które czają się w sieci w oczekiwaniu na wibracje wywołane przez szamoczącą się muchę, choć w tym przypadku wibracje rozrywają też sieć.

– Nieutkani? – spytałem, na co doktor wskazał groteskowe zwłoki.

– Już miałeś z nimi kontakt. Chodźmy już. Dasz radę nieść ze sobą tę barierę?

– Nie wiem – powiedziałem.

Sho zmarszczył brwi i podrapał się po łysej głowie.

– Nie jest jeszcze na tyle źle, żebyś musiał, ale to tylko kwestia czasu. Póki co, jeśli się pospieszymy, powinniśmy niebawem znaleźć się w bezpiecznym miejscu. – Wbił wzrok w niebo. – Nie sądziłem, że Doktryna naprawdę to zrobi, a już na pewno nie teraz.

Miałem wrażenie, że nogi nie utrzymają mnie już dłużej.

– To nie on – wychrypiałem – tylko ja.

Czułem rozczarowanie, które biło od Sho jak ciepło z nadzaru. Nic nie powiedział, ale jego oczy zdradzały, że jego

stosunek do mnie nagle się zmienił, zupełnie jakby w duchu wyrysował nową mapę naszej znajomości.

Okara najwyraźniej wyczuł moje przygnębienie i trącił moją dłoń. Gniew znów we mnie zapłonął i ponownie sięgnąłem przez strukturę, szukając umysłu boga. Chciałem, by usłyszał oskarżenia cesarza i własne kłamstwa, ale jego umysł unikał mnie, jakby sam Okara nigdy nie istniał. Być może nawet jego istnienie było kłamstwem.

– Wyjaśnisz mi wszystko po drodze. – Doktor Sho odwrócił się w stronę lasu. – Chodź. Zlikwiduj swój czar i chodź za mną. Zmarnowaliśmy już zbyt wiele czasu.

– Jeszcze nie. – Mój gniew, choć z początku wycelowany w boga, skupił się teraz na upartym, tajemniczym lekarzu. – Udzielasz mi wykrętnych odpowiedzi od roku, a jednocześnie dysponujesz wiedzą, której żaden lekarz nie zdołałby zgromadzić, bez względu na to, ile by podróżował. Sycząca Kocica zna cię i rozmawia z tobą jak ze starym przyjacielem, choć ona liczy sobie setki lat. Jak może mieć równie starych przyjaciół? Teraz okazuje się, że znasz nazwę potworów, które mnie zaatakowały, i utrzymujesz, że wiesz o bezpiecznym miejscu nawet w chwili, gdy struktura się rozpada, a świat kończy. Kim jesteś, doktorze Sho? Skąd wiesz to wszystko?

– To bez znaczenia! – parsknął. – Idziemy!

Zacisnąłem zęby i wbiłem w niego wściekły wzrok.

– Oskarżasz mnie o moje błędy. Nie ty jeden, bo Sycząca Kocica też to robi. Ale skąpisz mi wiedzy jak chciwiec srebra. Jak mam postępować właściwie, skoro ledwie rozumiem ten świat?

Na obliczu doktora Sho pojawiło się poczucie winy. Odwrócił wzrok, poprawił paski kufra i potrząsnął głową.

– Nie mamy czasu...

– To mów szybko! Nie ruszę się stąd, póki nie usłyszę odpowiedzi.

– Dobrze więc! Niech cię szlag! – rzucił ostrym, nieprzyjemnym głosem Sho, a potem nabrał tchu i spojrzał na mnie nieprzyjaźnie. – Człowiek tak bywały i długowieczny jak ja jest znany pod wieloma imionami, ale to, które ty znasz najlepiej, brzmi Wędrujący Wąskim Traktem.

W oddali zawyla jakaś bestia. Okara położył płasko uszy i warknął głucho, a doktor Sho odetchnął głęboko.

Wpatrywałem się w niego z niedowierzaniem.

– Nie dość, że pochodzę z czasów, gdy Doktryna zaczął budować imperium, to jeszcze pomogłem mu je wznieść – ciągnął. Słowa, które cedził jeszcze przed chwilą, teraz buchnęły jak woda z pękniętej tamy. – Wierzyłem wówczas, że doprowadzimy do pokoju, który sobie wymarzył, ale myliłem się. Być może w istocie doprowadziłeś do tego, że apokalipsa wybuchła szybciej, ale Okara się nie mylił, ona i tak była nieunikniona. Opuściłem cesarza w chwili, kiedy sobie to uświadomiłem, a on odrzucił jedyne rozwiązanie, które mogłoby naprawdę położyć kres serii wojen grożących zagładą świata.

Poczuliśmy podmuch wiatru, który w jednej chwili był przeraźliwie zimny, a w innej dusząco gorący.

– Świat się skończył, ale mamy szansę go odbudować – kontynuował. – To niełatwe zadanie, ale ty nigdy nie uciekałeś przed trudnościami czy niebezpieczeństwami, prawda? Chodź ze mną, Głupi Kundlu. Zbudujmy coś z tych popiołów. Coś, co przetrwa.

Nie czekając na moją odpowiedź, zagłębił się w las. Okara patrzył na mnie moment dłużej. Być może padłem ofiarą złudzenia optycznego, być może gdzieś mocniej buchnął ogień lub zamigotała rozstępująca się rzeczywistość, ale w jego bliznach zajaśniało coś, co przypominało ogień.

Chcąc ocalić jedno życie, zniszczyłem to, co powinno być wiecznym pokojem. Czy miałem teraz inny wybór? Musiałem

zrobić wszystko, aby to teraz naprawić. Doktor Sho – nie, Wędrujący Wąskim Traktem, którego aforyzmy zbudowały fundamenty imperium i nadal rozbrzmiewały echem wewnątrz mojej czaszki – obiecał mi szansę odkupienia. Tylko głupiec by nie skorzystał.

Czarna Paszcza

Koro Ha

Sezon tajfunów dobiegł końca. Gdy lato ustąpiło miejsca dusznej jesieni, do Czarnej Paszczy na nowo zaczęły zawijać statki i powróciło zapotrzebowanie na usługi skryby. Koro Ha sporządzał i tłumaczył dokumenty na tyle często, że mógł już utrzymać siebie i Uona Elię, lecz na tym się kończyło. Nie przejmował się jednak, bo miał przed sobą wielki cel i niewiele czasu, by go zrealizować.

W ciągu sezonu tajfunów Koro Ha żywił nadzieję, że choroba tocząca ciało mówcy kamieni odejdzie wraz z deszczami, ale jego kaszel nasilił się tak bardzo, że był w stanie naraz wypowiedzieć jedynie kilka słów, a potem musiał nabierać sił.

Słyszając codziennie rżenie w płucach sędziwego nauczyciela, Koro Ha przykładał się do nauki magii z taką samą desperacją, z jaką uczył się do egzaminów. Odnalazł w sobie niezłomną umiejętność koncentracji, choć wydawało mu się, że odebrał mu ją wiek. Był tak pochłonięty nauką, że czasami zapominał o tym, by jeść i spać.

Miał cel i umiał mu się oddać, co odepchnęło od niego marazm, który włókł się za nim przez lata. Nie miał czasu na zazdrość, gorycz czy nienawiść do siebie. W umyśle desperacko

łaknącym zdobycia nowej wiedzy i scementowania nowych umiejętności nie było na to miejsca.

A były to z pewnością nowe umiejętności.

Okazało się, że umysł wyszkolony do analizy argumentów niezbyt nadaje się do medytacji. Zabłąkane myśli mogły rozbić jego świadomość na tysiące kawałków, gdy wszystkie analizowały chwile porażki i próbowały uchronić się przed nimi w przyszłości.

Nie poddawał się jednak i pod okiem nieprzerwanie kaszłającego Uona Elii Koro Ha stopniowo odnalazł w sobie jądro własnego jestestwa. Był to osobliwy żywioł, niemający nic wspólnego z ciałem i myślą, dzięki któremu były nauczyciel sięgnął w głąb strumienia magii.

Zgodnie z obietnicą Uona Elii najpierw nauczył się magii odnajdującej. Z początku bez trudu lokalizował poszukiwane przedmioty na targowisku, takie jak jedwab, powszechnie spotykana przyprawa czy pióro rzadkiego ptaka. Trzymał każdy z nich w ręku do chwili, gdy wyczuwał jego budowę w strukturze świata, a potem udawał się na targowisko, gdzie go szukał. W miarę postępów wybierał coraz trudniejsze obiekty, jak czyjś włos podniesiony z pokładu Łamacza Fal, koral z płyczn w zatoce czy, paradoksalnie, kawałek kobaltu wiele miesięcy po tym, jak Uon Elia go potrzebował.

Te ćwiczenia dobiegły końca, gdy Uon Elia nie był już w stanie dojść dalej niż do drugiego pokoju. Stary mówca kamieni nie wydawał się tym szczególnie przejęty, ale zrozumiał, że pora przejść do dalszych etapów kształcenia Koro Ha. Naciął swój palec i poprosił ucznia, by uleczył skaleczenie, objaśniając przy tym zawilosci magii tego typu.

Magia odnajdująca była stosunkowo prosta, bo wymagała jedynie sięgnięcia po nią, zbadania odpowiedniego materiału i zapamiętania jego budowy, po czym można było rozpocząć poszukiwania. Magia uzdrawiająca okazała się bardziej

złożona. Nie wystarczało jedynie po nią sięgnąć. Żeby ją kształtować, należało zrozumieć odpowiednią energię, a także nią manipulować. Koro Ha miał z tym problemy do chwili, gdy uświadomił sobie analogię – przecież uczenie przypominało nadawanie nowej struktury umysłowi.

Gdy po raz pierwszy uleczył małe skaleczenie na palcu Uona Elia, poczuł radosne trzepotanie serca. Nie czuł się tak od dzieciństwa, gdy nauczyciel Zhen przesunął go na czoło klasy.

– Dobra robota – powiedział Uon Elia głosem przypominającym szelest wiatru. – Bierzymy się teraz za kultywację.

– Ale przecież dopiero zacząłem sobie radzić z tym! – zaprotestował Koro Ha. – Utrzymujesz się przy życiu od wielu dekad dzięki magii uzdrawiającej, a ja słyszałem historie o cesarskich czarownikach, którzy wykorzystywali moc do przyłączania odrąbanych kończyn! Nie mam pojęcia, jak robić takie rzeczy.

– Zasada jest... właściwie taka sama – rzekł Uon Elia. – Kup jakieś... książki o anatomii. I o... medycynie. Jesteś bystrym człowiekiem.

Przeszli więc do trzeciej formy magii i ostatniej uprawianej w Toa Alon. Uon Elia wysłał Koro Ha, by ten kupił ceramiczną doniczkę i napełnił ją ziemią, co nie było łatwe na wyspie zbudowanej całkowicie ze skały. Koro Ha przetrząsnął ją całą i znalazł jedynie wąziutkie pasemko piasku w zatoce, na dodatek zbyt słonego zdaniem Uona Elia. Koro Ha złożył więc zamówienie u kapitana jednego z wychodzących na morze statków. Dowódca, dla którego były nauczyciel czasem pracował jako skryba, uniósł brew, gdy usłyszał prośbę o worek ziemi, ale zgodził się w zamian za rabat na dalsze usługi.

Podczas tej samej wizyty na targowisku Koro Ha znalazł sieneński traktat o medycynie, zrabowany przez piratów. Planował rozwijać swoje uzdrowicielskie umiejętności do

powrotu statku z ziemią. Stan Uona Elii pogarszał się szybko, gdy nastąpiła zima i pojawiły się ciężkie, ciemne chmury, choć to nie pogoda odpowiadała za jego samopoczucie, ale upływ czasu. Koro Ha karmił starego mówcę kamieni rosołem z wodorostów lub kości, gdy udało się jakąś nabyć, i liczył na to, że ten przeżyje wystarczająco długo, by przekazać mu ostatni sekret, najważniejszy i najlepiej skrywany, za który imperium zemściło się, niszcząc Sor Cala.

Koro Ha przyglądał się, jak starzec marnieje – chudł w oczach, a rzęzący oddech przerodził się w niemalże nieustający kaszel – w jego sercu pojawiła się rozpacz, która przytłumiała radość z sukcesu. Przetrzęsnał medyczne opracowanie w poszukiwaniu informacji o wyniszczających chorobach czy leczeniu płuc, ale nie był lekarzem i nie doszedł do tego, czy może zrobić coś poza zapewnieniem starcowi ciepła, wygody i jedzenia.

Wczesna wiosna i rocznica ich ucieczki z Sor Cala nie przyniosły wielkiej ulgi. Ciemne chmury rodziły sztormy z piorunami, a Koro Ha, słuchając niekończącego się kaszlu towarzysza, całymi nocami walczył z coraz większym przerażeniem. Bał się zamknąć oczy, by starzec nie odszedł podczas chwili jego nieuwagi.

Podczas jednej takiej nocy, gdy przez szczeliny między okiennicami wdzierano się migotanie błyskawic, Koro Ha leżał z otwartymi oczami i słuchał oddechów Uona Elii, modląc się, by statek z ziemią wrócił jak najszybciej, a on zdołał nauczyć się czegoś o kultywacji. Pioruny wstrząsnęły belkami Łamacza Fal, a potem zamigotała błyskawica.

– Koro Ha! – krzyknął ktoś za drzwiami. – Uon Elia! Otwierajcie!

Po chwili zaskoczenia rozpoznali głos. Była to Yin Ila z nową blizną na policzku i szaleństwem w szeroko otwartych oczach.

– Musimy uciekać! – oznajmiła, wdzierając się do pokoju. – Zabierzcie tylko to, co zmieści się w szalupie. Chyżość kotwicz przy wylocie z zatoki! Nie da się precyzyjnie przejść przez Zęby podczas burzy!

Pochyliła się nad łóżkiem Uona Elii i przyjrzała starcowi z niepokojem.

– Co z nim? Umiera? – spytała.

– Co się dzieje? – chciał wiedzieć Koro Ha.

– Wracaliśmy tu, żeby sprawdzić, co u was słychać – powiedziała Yin Ila, przyglądając się starcowi, który oddychał powoli, z wielkim trudem. – I wyładować... No, nieważne już co. Niestety, drogę przeciął nam imperialny kliper, który jakimś cudem szedł pod wiatr. Zasypali nas gradem strzał i podpalili żagiel błyskawicą. Gdyby chcieli nas zatopić, byłoby po nas. Wydaje się, że próbują znaleźć Uona Elię i ciebie. Jakoś zdołaliśmy ich zgubić w sztormie.

– A więc jesteśmy już bezpieczni? – spytał Koro Ha. – Przecież nie przyplłynęli tutaj?

Yin Ila powoli pokręciła głową.

– Czaili się na Chyżość i znali naszą trasę, co umiem wyjaśnić tylko w jeden sposób. – W jej oczach połyskiwały złość oraz żal. – Orna Sin zaczął mówić.

Koro Ha poczuł nudności. Oczami wyobraźni ujrzał pożółkły uśmiech Orny Sina i jego przenikliwe spojrzenie na pokładzie Chyżości Południowego Wiatru. Stał na tle szerokiego horyzontu morza, a jego broda unosiła się na wietrze w drodze do Sor Cala. Przypomniawszy sobie jego zawziętość i niezłomny spokój w obliczu zagrożeń ze strony imperium, nawet gdy pan Mah zaczął nadzorować lekcje Koro Ha. Jakimi torturami go złamano? Ile cierpienia musiał znieść?

– Może chodzić? – Yin Ila wskazała mówcę kamieni ruchem głowy.

– Będziemy musieli go nieść – rzekł Koro Ha.

Zacisnęła zęby.

– Ile mu zostało, twoim zdaniem?

Koro Ha zdusił wściekłość.

– Zabieramy go z nami. To nie podlega dyskusji.

Żeglarka nabrała tchu i pokiwała głową.

– Złap go za kolana. Ja chwycę ramiona.

Gdy podnieśli starca z posłania, ten drgnął i otworzył szeroko oczy, w których błysnęło przerażenie.

– Wszystko w porządku – odezwał się Koro Ha. – To Yin Ila! Zabieramy cię na Chyżość. Pora opuścić Czarną Paszczę.

Uon Elia wkrótce się uspokoił. Koro Ha chciał wierzyć w to, że zrozumiał sytuację i pogodził się z nią, a nie poddał się zmęczeniu czy chorobie. Gdy przechodzili przez główną izbę, niosąc starca, właściciel Łamacza Fal wyjrzał ze swego pokoju z latarnią w dłoni.

– Gorzej z nim – powiedziała Yin Ila. – A na pokładzie mamy lekarza.

Koro Ha poczuł się winny, gdy usłyszał kłamstwo, ale gdyby imperium wiedziało o Czarnej Paszczy, nikt na całej wyspie nie mógłby liczyć na bezpieczeństwo. W oczach imperium wszyscy byli przestępcami lub przynajmniej ich współnikami, a poczucie obowiązku nakazywało Koro Ha uratować tyle ludzi, ile mógł. Moralna iskierka w jego duszy walczyła z pragmatyzmem. Droga przez Zęby była po prostu za wąska, by wszystkim udało się uciec, a do tego szalał sztorm.

Właściciel przybytku zamknął drzwi, uwalniając Koro Ha od wszelkich dylematów, a Yin Ila wyprowadziła ich w noc. Błyskawice oświetlały ich drogę po wąskich, śliskich od deszczu stopniach. Na szczęście wiatr wytracał siłę przed wtargnięciem do zatoczki, ale jego upiorne wycie sprawiało, że serce podchodziło Koro Ha do gardła. Ciepły, ulewny deszcz w mig przemoczył ich ubrania, co stanowiło większy problem niż niesienie Uona Elia. Mówca kamieni ważył tyle, co nic, ale Koro

Ha nie był dobrze zbudowanym człowiekiem i odetchnął z wdzięcznością, gdy dotarli do skleconego z wraków pomostu, do którego Yin Ila przycumowała łódź. W oddali widać było znajomą sylwetkę Chyżości, niewyraźną wśród strug deszczu.

Yin Ila stękała z każdym pociągnięciem wiosła, a łódź z trudem wspinała się na fale, ale powoli, cierpliwie przybliżała się do statku. Gdy opuszczali zatokę, Koro Ha spojrzął znad ciała Uona Elii, ułożonego na dnie łodzi i oddychającego szybko, bez wątplenia wyprowadzonego z równowagi wszystkimi wydarzeniami, jakie miały miejsce. Patrzył teraz na Czarną Paszczę, zza której wyłaniał się właśnie kanciasty kształt. Nie umiał dostrzec żadnych szczegółów poza tym, że był to cień pod czerwonymi, wydętymi wiatrem żaglami.

Yin Ila zakłęła, a mięśnie jej odsłoniętych przedramion napęczniały, gdy naparła na wiosła. Koro Ha czuł chłód wędrujący po jego plecach, zupełnie jakby ze sieneńskiego statku wylało się coś, co po nim spływało. Żagle obcego okrętu wypełnił wiatr znikąd i nagle skoczył naprzód w gęsty deszcz, rozbijając nadciągające fale.

– Nie jesteś przypadkiem czarodziejem, staruszkule? – głos Yin Ili niósł się nad pluskiem fal i skrzypnięciami wiosła. – Zróbże coś!

Koro Ha złapał się burty, by nie wpaść do wody. Uon Elia zamrugnął, patrząc na niego, po czym jęknął i znów zacisnął powieki. Koro Ha poczuł rozpacz. Nie mogli liczyć na niczyją pomoc.

Myśl umknęła, gdy Koro Ha poczuł delikatne wibracje magii poszukującej.

– No i? – wykrzyknęła Yin Ila.

– Wiosłuj! – odkrzyknął Koro Ha.

Odwrócił się, by spojrzeć na sieneński okręt, gdy magia Uona Elii nagle zmieniała swój charakter. Nie była już drzeniem, ale przerodziła się w wibrującą energię. Koro Ha nigdy czegoś

takiego nie doświadczył, lecz przypomniały mu się odurzające żądze dojrzewania: wiersze gloryfikujące wojnę, opowiadające o odwadze i mięśniach, ale nie mówiące nic o krwi czy łamanym kościach, czy nocnej nauce klasyków przy blasku świec i niezliczonych imbrykach herbaty.

Coś długiego i wijącego się, przypominającego mackę wielkiej morskiej bestii wystrzeliło z wód zatoczki i oplotło się wokół sieneńskiego okrętu. Inna kończyzna pochwyciła maszt, a po niej z wód wyrosły kolejne, które oplatały jednostkę. Niektóre pękały, gdy okręt parł naprzód, pchany widmowym wiatrem, ale inne trzymały mocno i powoli hamowały statek, aż ten się zatrzymał, a do włókien oplatających kadłub nadal dołączały kolejne. Koro Ha spoglądał na wody, szukając wzrokiem paszczy bestii, która pochwyciła jednostkę, a teraz szykowała się do jej pożarcia.

Uon Elia zachichotał, a potem padł, zdjęty kaszlem.

– To wodorosty z dna zatoki – wychrypiał. – Proszę, Koro Ha. Właśnie widziałeś kultywację.

Nim ten zdążył odpowiedzieć, z pokładu sieneńskiej jednostki wystrzeliła błyskawica, która przecięła część włókien. Kolejna przecięła następne, po czym okręt skoczył naprzód.

– Wiosłuj! – wykrzyknął Koro Ha.

Byli już w połowie drogi do Chyżości. Nauczyciel ścisnął dłoń starca.

– Proszę! Potrzeba nam jeszcze chwili!

Mówca kamieni nabrał tchu i nie wypuszczał powietrza. Koro Ha poczuł oddziaływanie magii, które jednak szybko wygasło. Nie pojawiły się nowe włókna w miejsce przeciętych.

– Ja nie... – wyszeptał Uon Elia. – Przepraszam!

– A więc powiedz mi, jak to zrobić! – błagał Koro Ha.

Starzec otworzył usta, by odpowiedzieć, ale słowa pochłonął kaszel tak silny, że Uon Elia aż zgiął się wpół. Zaciskał przy tym

dłonie jak szpony i kopał nogami z każdym następnym spazmem.

Mignęła kolejna błyskawica i wrogi okręt zerwał się z uwięzi. Pomknął ku nim z prędkością, która wydawała się niemożliwa. Rozbijał fale, które powinny go roztrzaskać i pochłonąć, by spoczął na dnie wśród setek innych.

Wtedy Koro Ha – jakby nie tyle walczył o życie, co raczej zmagął się ze znaczeniem tajemniczego wiersza, jakby zależało mu, by z wersów wypłynął sens – poczuł falę inspiracji. Sięgnął po magię szukającą i wskazał wody nadal dzielące ich małą łódź oraz burtę Chyżości. Przesuwał dłoń, aż palce przeszyło drżenie.

– Tam! – wykrzyknął. – Skręć tam! Wiosłuj tam!

Yin Ila wpatrywała się w niego, jakby oszalał.

– Rób, co mówię!

Żeglarka zacisnęła mocno usta i napała na wiosła. Okręt sieneński mknął ku nim jak strzała. Koro Ha wpatrywał się w miejsce, ku któremu zmierzali, i w myślach rozpaczliwie popędzał łódź. Modlił się do wszystkich bogów, którzy mogliby ich słuchać, by choć na chwilę wyciszyli fale i pozwolili im dotrzeć na miejsce.

Wrogi okręt był coraz większy, a jego cień padał na łódź. Koro Ha spodziewał się, że lada moment Sieneńczycy zniszczą ich magią bitewną, ale zamiast tego wzdłuż burty pojawili się łucznicy, którzy zaczęli posyłać strzały zaopatrzone w groty z hakami oraz linki. Pierwsze trzy wpadły niegroźnie do wody, ale czwarta wgryzła się w rufę łodzi tuż nad wodą dosłownie chwilę przed tym, jak dotarli do wskazanego miejsca.

Drewno zgrzytnęło o kamień. Strugi wody wystrzeliły spod kadłuba sieneńskiego okrętu. Z trzaskiem pękających lin wroga jednostka wdarła się na jeden z Zębów. Rozległy się wrzaski łuczników na dziobie, z których wielu straciło równowagę i wpadło do wody. Okręt przechylił się ciężko na burtę.

– Strzała! – wykrzyknęła Yin Ila.

Minęła chwila, zanim Koro Ha zrozumiał, o co jej chodzi. Padł na kolana, sięgnął po wbity w burtę strzałę i złamał ją, zanim przymocowana do niej lina zdołała się naprężyć.

Ci spośród Sieneńczyków, którzy nie wpadli do wody, pospiesznie opuszczali własne szalupy. Dziób ich okrętu przemieścił się nagle pod wpływem mas wody wdzierających się przez dziurę w kadłubie. Obracał się coraz bardziej z trzaskiem pękającego poszycia, aż niespodziewanie pękł z ogłuszającym łoskotem. Koro Ha przyglądał się scenie z mieszaniną przerażenia i satysfakcji, aż jego uwagę przyciągnęły dziwne światła migoczące gdzieś nad powierzchnią morza, niczym fale ciepła wznoszące się z nad czarnego kamienia.

– Czy to też jego robota? – spytała Yin Ila, która zwolniła nieco tempo wiosłowania.

– Nie – odparł Koro Ha, na moment zapominając o dziwnym zjawisku na niebie. Przepełniała go duma równie wielka jak ta po zdaniu egzaminów. – To ja. Naprowadziłem ich na Zęby. Czuję, że nasza łódź zdoła nad nimi przemknąć, i się nie pomyliłem.

Bezpośrednie zagrożenie minęło i wreszcie mógł uklęknąć obok Uona Elii. Czoło mówcy kamieni było lepkie od potu, a pod zaciśniętymi powiekami przesuwaly się źrenice.

Koro Ha wyciągnął dłoń i sięgnął po magię uzdrawiającą. Poczul mdłości, a potem obawę. Nie. Miał wrażenie, że natknął się na coś, co nie powstało w jego umyśle i ciele, ale raczej przypominało fale mocy Uona Elii. Było więc czymś z zewnątrz.

Odwrócił wzrok ku tonącej jednostce. Nadal widział migotliwe fale, które zalewały całe niebo aż po horyzont i wnikały w powierzchnię morza na skraju jego wzroku. Wtedy dostrzegł Dłoń, który wypełził ze szczątków tonącego okrętu

i krwawiąc z rany na czole, objął ramieniem maszt. Drugą rękę wycelował w nich, by cisnąć błyskawicą.

– Wiosłuj szybciej! – wykrzyknął Koro Ha.

Yin Ila odpowiedziała jedynie burknięciem i zaklęła pod nosem, a Dłoń cesarza cisnął magią bitewną. Buchnęły iskry, które jednak zamigotały i niegroźnie wpadły do wody.

Mina Dłoni zmieniła się nagle, co było widać nawet z tej odległości, choć jedynym źródłem światła był księżyc, a oblicze obcego maga zalewała krew. Koro Ha ujrzał na nim najpierw zdumienie, a potem zgrozę. Potem poczuł kolejną, desperacką falę magii, równie słabą jak pierwsza.

– Ha! – mruknęła Yin Ila. – Ciągłe żyjemy.

Coś potężnego, co emanowało z serca Czarnej Paszczy, wstrząsnęło światem. Z głębi zatoki napłynął zgrzyt ocierających się o siebie skał. Woda bulgotała i kipiała, wstrząsana gwałtownymi ruchami dna.

Pomimo swoich niedawnych doświadczeń z magią Koro Ha w pierwszej chwili uznał, że śni. Ogromny, przypominający pazur kamienny nawis, który ochraniał miasto przemytników, nagle zaczął opadać, a potem przechylił się na bok, jakby zaraz miał runąć. Budynki zsuwały się ze ścian klifów i z ogłuszającym pluskiem wpadały do morza.

Wyspa się nie rozpadała, ale obracała.

Oszołomiony Koro Ha, który jeszcze przed chwilą był przekonany, iż przygląda się katastrofie geologicznej, naraz zrozumiał, że patrzy na coś o wiele bardziej potwornego. To, co brał za pazur, okazało się żuchwą gigantycznego drapieźnika czy potwornego ptaka. Wnioski potwierdziły się chwilę później, gdy reszta monstrualnego łba wynurzyła się z wody.

Yin Ila krzyknęła. Jej mięśnie były naprężone jak liny okrętowe, gdy ze wszystkich sił zmagiała się z falami pędzącymi w kierunku wyłaniającego się z wody potwora.

Tonący okręt sieneński pękł, gdy w samym środku kadłuba wyrósł gigantyczny żąb. Koro Ha mógł jedynie wpatrywać się z nabożnym zachwytem. Pojawiły się kończyny, cienkie, najwidoczniej uformowane z kamiennych kręgów, i wystrzeliły w powietrze, gdy potwór obrócił się i rzucił w morze, wzbijając fale, rozchodzące się we wszystkich kierunkach. Jedna z nich pochwyciła łódź i cisnęła nią naprzód, jakby była piłką rzuconą przez dziecko. Yin Ila złapała tył szaty Koro Ha i pociągnęła go na dno łodzi. Byłemu nauczycielowi żołądek podszedł do gardła. Łódź zawisała, jakby nagle zobojętniała na swój ciężar, a potem z ogłuszającym łoskotem wpadła na powrót do morza. Poszycie zatrzeszczało groźnie, ale wytrzymało.

Poobijany, potłuczony Koro Ha dzwignął się na kolana i pochylił nad burtą. Strach stał się dla niego czymś abstrakcyjnym – pożerał go, ale nie mógł przegnać desperacji, z jaką mężczyzna wpatrywał się w przerażający spektakl rozgrywający się na jego oczach.

Fale wyrzucały z siebie resztki zniszczonych domów, wzniesionych z kadłubów żaglowców pogruchotanych przez sztormy i mielizny. Tu i ówdzie miotali się rozbitkowie, niekiedy wrzeszcząc. Nigdzie nie widział Dłoni cesarza, którego zawiodła jego własna magia. Nad wszystkim zaś, niemal jak drugi księżyc, unosił się ogromny kamienny łeb przypominający czaszkę żmii.

W pustych oczodołach potwora płonęło światło, ale na tyle drobne i odległe, że trudno było zrozumieć skalę. Koro Ha miał jednak wrażenie, że gdyby bestia pochyliła się nad tonią, statek pod pełnymi żaglami mógłby przepłynąć przez jej oczodół.

– Co to jest? – wrzasnęła Yin Ila, nadal klęcząc.

Znów rozległ się ogłuszający zgrzyt kamienia i łeb odwrócił się od nich, kierując się na północny zachód. Spoglądał teraz daleko za Boskie Słupy, w stronę serca Sienu. Ruszył naprzód na sześciu długich, wijących się odnóżach, z każdym krokiem

budząc wściekły wir, ściągający unoszące się na wodzie resztki ku sobie.

– Czytałem sieneńskie opracowania na temat wielu legend – mruknął Koro Ha. – Mówiły o bestiach zrodzonych przez prymitywną magię i pokonanych przez cesarza, gdy ten zakładał imperium.

Nad falami rozległo się wołanie. Koro Ha oderwał wzrok od kamiennej bestii i odkrył, że fala rzuciła ich niedaleko Chyżości Południowego Wiatru. Żeglarze machali i wołali do nich, a niektórzy zachęcali do większego wysiłku.

Wyspa przebudziła się, powstała i okazała się potworem, a załoga Chyżości nie chciała czekać, by się przekonać, co jeszcze wyłoni się z wody. Yin Ila znów złapała za wiosła i odłożyła je dopiero wtedy, gdy łódź zatrzymała się przy burcie statku, gdzie zwisała już drabinka sznurowa. Wtedy żeglarka uklękła przy starcu, złapała linę i zaczęła obwiązywać jego nogi.

– Przestań się gapić i pomóż mi – warknęła. – Chyba że chcesz go zostawić?

Koro Ha uklękł obok niej, a wtedy powieki starego mówcy kamieni rozchyliły się.

– Koro Ha – wyszeptał ledwie słyszalnym głosem – posłuchaj mnie...

– Już prawie dotarliśmy na pokład! – rzekł Koro Ha. – Jeszcze tylko chwila...

Dłoń starca zacisnęła się na nadgarstku byłego nauczyciela. Yin Ila przerwała pracę, zaskoczona nagłym ruchem człowieka, który zdaniem obojga balansował na krawędzi śmierci.

– Ogromna wiedza – wymamrotał mówca kamieni. – Prastare sekrety są zagrzebane pod Boskimi Słupami. Przekazywane z... pokolenia na pokolenie, od pierwszego mówcy kamieni. Gdybym miał czas, wyrecytowałbym ci całość, ale... Ale oddalam się.

– Opowiesz mi o wszystkim na pokładzie – rzekł Koro Ha łamiącym się głosem, ale Uon Elia potrząsnął stanowczo głową. Wpatrywał się w nauczyciela mętными oczami, którymi spoglądał już na coś między życiem a śmiercią. Znów się rozkaszał, a potem leżał, drżąc na całym ciele. Siły go opuściły i wydawał się słabszy niż kiedykolwiek wcześniej.

– Znajdź je – wyrzeźbił. – Wśród wiatromistrzów... Albo więdźm Nayenu... Albo Jeźdźców Burzy, jeśli nadal żyją.

– Jak? – spytał Koro Ha. – Jak mam odnaleźć tych ludzi?

– Będą tworzyć przystanie. – Dłóń Uona Elio zsunęła się z ramienia Koro Ha i bez siły padła na pokład. – Dziury w strukturze...

Wydał rżęzący oddech i znieruchomiał.

– Uonie Elio! – Koro Ha czuł, jak desperacja ugniata mu pierś. – Co chcesz przez to powiedzieć? Uonie Elio!

Yin Ila przytknęła palce do nadgarstka starca, po czym spochmurniała i wstała.

– On nie żyje. Chodźmy.

– Co? – Koro Ha patrzył z niedowierzaniem, jak żeglarka wspina się po drabince linowej. – Mamy go tu zostawić?

– Nie ma ziemi, w której można by go pochować – powiedziała. – Nie mamy też czasu, żeby zaszyć go w płótno i rzucić do morza. Nasz statek odpływa, Koro Ha. Musimy się spieszyć.

Ruszyła w górę, a Koro Ha nadal klęczał obok ciała Uona Elio. Oczy starego mówcy kamieni nadal były otwarte i spoglądały na niebo, gdzie między gwiazdami migotały kolejne miraże. Koro Ha zamknął mu powieki i udał się w ślad za żeglarką.

Był teraz ostatnim mówcą kamieni, choć nie odebrał całego wykształcenia. W mówcach kamieni żyła nadzieja na ocalenie własnej kultury. Był najsilniejszym ogniwem, które łączyło rzeczywistość z Toa Alon sprzed nadejścia imperium. Wiedział,

że przeżyje ów zamęt na świecie i odnajdzie wiedzę, o której mówił Uon Elia.

Stojąc na pokładzie płynącej pod pełnymi żaglami Chyżości Południowego Wiatru i wpatrując się w coraz bardziej odległą postać kamiennego potwora, kontynuującego swoją długą wędrówkę po morzu, myślał o tym, jak trudne okaże się to zadanie.

Koniec tomu drugiego





fot. © Toshi Shimizu

J.T. Greathouse

Pisze fantasy i science fiction od ukończenia jedenastego roku życia. Posiada licencjat z historii i filozofii oraz tytuł magistra z metod nauczania uzyskany na Uniwersytecie Whitwortha. Ukończył też drugi fakultet z kultury azjatyckiej. Spędził cztery miesiące na intensywnym kursie nauki języka chińskiego i kultury Chin na Uniwersytecie Minzu w Pekinie.

Jego opowiadania, często pod pseudonimem Jeremy A. TeGrotenhuis, ukazywały się w Beneath Ceaseless Skies, Writers of the Future 34, Deep Magic, Orson Scott Card's Intergalactic Medicine Show i innych miejscach.

Pracował również jako nauczyciel angielskiego jako języka obcego w Tajpej, księgarz w Auntie's Bookstore w Spokane i jako nauczyciel w liceum.

Obecnie mieszka w Spokane w stanie Washington z żoną Hannah i regałami pękającymi od książek.

COPYRIGHT © BY Jeremy TeGrotenhuis 2022
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

TYTUŁ ORYGINAŁU
The Garden of Empire

WYDANIE I
ISBN 978-83-7964-751-4

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski
Robert Łakuta

PROJEKT I GRAFIKA OKŁADCE

Ashley Ruggirello © Orion Publishing Group, Ltd 2022

PROJEKT OKŁADKI POLSKIEGO WYDANIA NA PODSTAWIE ORYGINAŁU

Szymon Wójciak

OPRACOWANIE OKŁADKI

Konrad Kućmiński

ILUSTRACJE

Paweł Zaręba

TŁUMACZENIE

Marcin Mortka

REDAKCJA

Joanna Orłowska

KOREKTA

Magdalena Byrska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ

pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka
[instagram.com/fabrykaslow](https://www.instagram.com/fabrykaslow)

KRONIKI
OLCHY

TOM
2

TAM, GDZIE UPADA HIERARCHIA,
JEJ MIEJSCE ZAJMUJE OKRUCIEŃSTWO.

Rebelia osiąga punkt wrzenia.
Powstańcy nie cofną się przed niczym, byle uwolnić się
od Imperium. Niedawni sojusznicy nagle stają się śmiertelnym,
nieprzewidywalnym zagrożeniem, ale bez nich Głupi Kundel
nie ma żadnych szans na pokonanie cesarza.
Nawet ze swoją nowo nabytą mocą, przychylnością bogów
i niezłomnym pragnieniem wolności.

A jednak musi stanąć do tej walki.
Musi powstrzymać szaleństwo krwi i ochronić tych,
którzy kiedyś ochronili jego. Aby to zrobić,
będzie musiał zaryzykować wszystko – i uciec się
do starożytnej magii, która może
rozerwać świat na strzępy.

fabrykaslow.com.pl



/fabryka



/fabrykaslow

patroni
medialni



breche.book

fabryka słów

